PAULLINA

SIMONS

Tatiana i Aleksander

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Mapa

Podziękowania

Prolog

CZĘŚĆ I. Druga Ameryka

CZĘŚĆ II. Most do wolności

CZĘŚĆ III. Aleksander

Epilog

PAULLINA

SIMONS

Tatiana i Aleksander

Świat Książki

Tytuł oryginału
TATIANA AND ALEXANDER

Wydawca
Grażyna Smosna

Redaktor prowadzący
Ewa Niepokólczycka

Redakcja
Barbara Skawińska

Korekta
Elżbieta Jaroszuk
Jolanta Spodar

Copyright © Paullina Simons, 2003
Copyright © for the Polish translation by Katarzyna Malita, 2004

Świat Książki
Warszawa 2013

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: Fabryka.pl

Skład i łamanie
Joanna Duchnowska

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-455-9

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

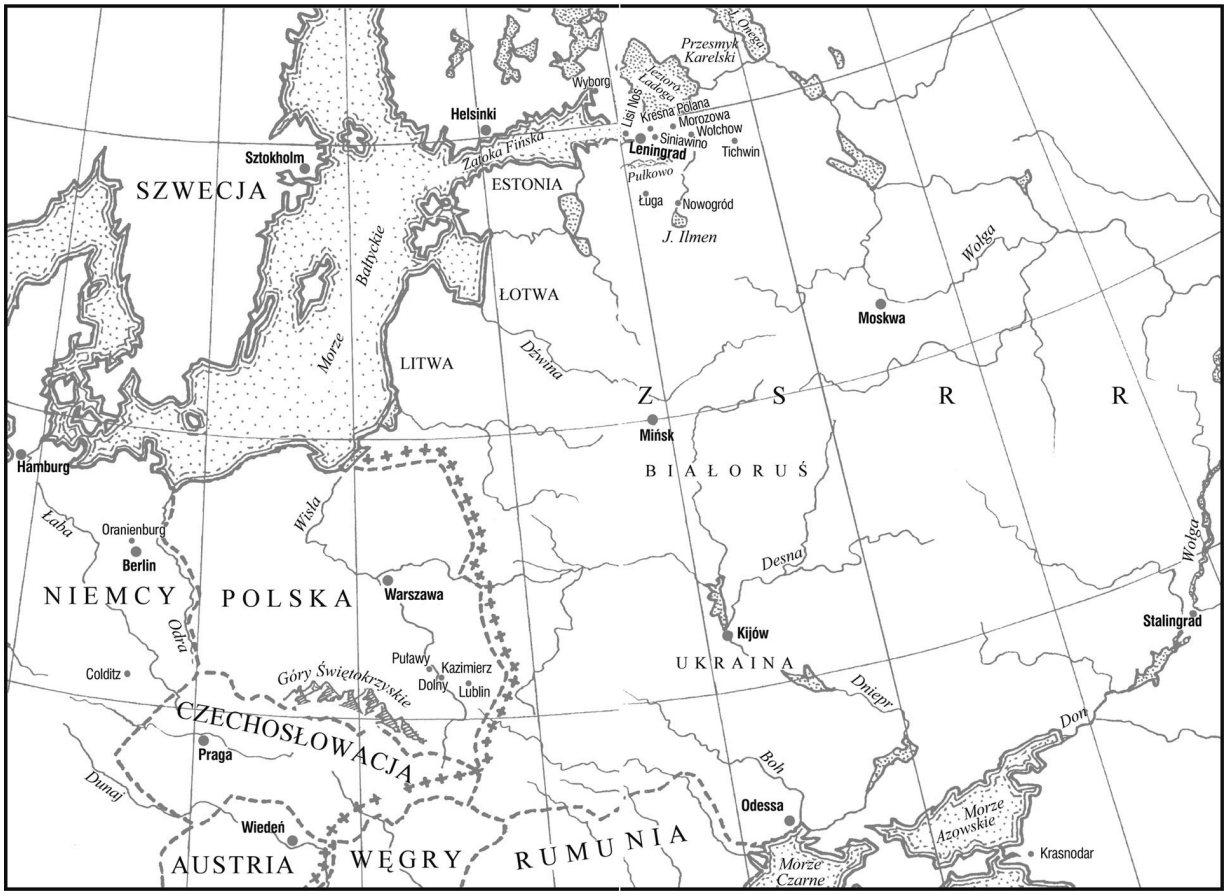
Wyborg
Helsinki
Sztokholm
SZWECJA
Zatoka Fińska
ESTONIA
Bałtyckie
Morze
ŁOTWA
LITWA
Dźwina
Hamburg
Laba
Oranienburg
Berlin
Wisła
NIEMCY
POLSKA
Warszawa
Odra
Colditz
Puławy
Kazimierz
Dolny
Lublin
Góry Świętokrzyskie
CZECHOSŁOWACJA
Praga
Dunaj
Wiedeń
AUSTRIA
WĘGRY
RUMUNIA
Przesmyk Karelski
Onega
Jezioro Ładoga
Lisi Nos
Kresna
Polana
Morozowa
Wolchow
Siniawino
Leningrad
Tichwin
Pułkowo
Ługa
Nowogród
J. Ilmen
Wołga
Moskwa
Mińsk
BIAŁORUŚ
Desna
Kijów
UKRAINA
Dniepr
Don
Stalingrad
Boh
Odessa
Morze Azowskie
Krasnodar
Morze Czarne

W skład trylogii wchodzą:

JEŹDZIEC MIEDZIANY
TATIANA I ALEKSANDER
OGRÓD LETNI

Raz jeszcze dla mojego dziadka i babci, którzy liczą sobie dziewięćdziesiąt pięć i dziewięćdziesiąt jeden lat, nadal uprawiają ogórki, hodują kwiaty i żyją długo i szczęśliwie, i dla naszego dobrego przyjaciela Anatolija Studenkowa, który pozostał w Rosji i któremu długie szczęśliwe życie nie było dane.

Podziękowania

Proszę, by serdeczne i mocno spóźnione podziękowania przyjęli:

Larry Brantley, potężny głos armii, za niezliczone godziny poświęcone na opowiadanie mi o rzeczach, o których nie miałam pojęcia.

Tracy Brantley, jego żona i moja prawdziwa przyjaciółka, która od pierwszych chwil dała mi to, czego potrzebowałam najbardziej, płacząc we wszystkich właściwych momentach, i która od razu pokochała Tanię i Szurę.

Irene Simons, moja pierwsza teściowa, za nazwisko, pod którym publikuję swoje powieści.

Elaine Ryan, moja druga teściowa, która dała mi swego cudownego drugiego syna.

Radik Tichomirow, przyjaciel mojego ojca od ponad pięćdziesięciu lat, za kopiowanie w St. Petersburgu pamiętników osób, które przeżyły blokadę, i przysyłanie mi setek stron w oryginalnej, rosyjskiej wersji.

Robert Gottlieb, kolega rusofil, który zawsze służył mi pomocą, i Kim Whalen za dziesięć lat ciężkiej pracy.

Jane Barringer, obdarzona twarzą i cierpliwością Melanii z *Przeminęło z wiatrem*, w którą wcieliła się Olivia DeHavilland, za uważne przeczytanie każdego słowa *Jeźdźca Miedzianego* – trzy razy! – dzięki czemu książka stała się lepsza.

Joy Chamberlain, niezwykła redaktorka, matka, pływaczka, która widzi, czuje i rozumie wszystko i jak zawsze bardzo boi się przekazywać mi złe wieści.

Nick Sayers, mój przyjaciel, były wydawca i redaktor, który kiedyś wypiwszy zbyt dużo wina, powiedział mi, że nawet gdybym napisała

książkę telefoniczną, on i tak ją opublikuje. Ha!

Pawla Sałacowa, która bardzo ciężko pracuje, by uczynić moje życie łatwiejszym. Czasami wydaje mi się, że ma dwadzieścia rąk.

Mój drugi i ostatni mąż Kevin – jesteś na medal.

I w bladym blasku ukąpany,
Wysoko wyciągając dłoń,
ON, Jeździec goni go Miedziany,
I dźwięcznie w bruk łomoce koń.

I wszędzie, dokąd, obłąkany,
Uciekał, gnany zmorą trwóg,
Tam Jeździec ścigał go Miedziany
I ciężko dudnił kopyt stuk.

Aleksander Puszkin
Przekład Julian Tuwim

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Prolog

Boston, grudzień 1930

Aleksander Barrington stał przed lustrem i drżącymi palcami próbował poprawić zawiązany na szyi szaro-biały krawat skautów. Nie mógł jednak oderwać wzroku od swojej twarzy, na której gościł wyjątkowo posępny wyraz. Kąciki ust opadały smutno w dół. Wszystko szło nie tak. I to w taki dzień jak dzisiaj.

Odchodząc od lustra, rozejrzał się z westchnieniem po niewielkim pokoju. Drewniana podłoga, smutne, imitujące boazerie tapety, łóżko, stolik nocny.

To jednak nie miało żadnego znaczenia. To nie był jego pokój. Wynajęli go tylko, a całe umeblowanie należało do mieszkającej na dole gospodyni. Jego prawdziwy pokój nie znajdował się tutaj, w Bostonie, lecz w Barrington. Bardzo go lubił i żaden z pokoi, w których mieszkał od czasu wyjazdu, nie przypadł mu już potem do serca. A w ciągu minionych dwóch lat zdążył poznać sześć pokoi. Stało się to, gdy ojciec sprzedał dom i zabrał Aleksandra z Barrington, pozbawiając go raz na zawsze dzieciństwa.

A teraz zostawiał za sobą także i ten pokój. Nie dbał o to.

Nie to było najważniejsze.

Aleksander raz jeszcze spojrzał w lustro. Chłopiec, który odpowiedział mu spojrzeniem, był zdecydowanie zbyt poważny jak na jego gust. Zbliżył się do lustra, przytulił twarz do zimnej powierzchni i odetchnął głęboko.

– Aleksandrze – szepnął. – Co teraz?

Teddy, jego najlepszy przyjaciel, uważał, że wyjazd z kraju to najbardziej ekscytująca rzecz na świecie.

Aleksander nie mógł się z nim bardziej nie zgadzać.

Przez uchylone drzwi słyszał kłótnię rodziców. Postanowił ich zignorować. W zdenerwowaniu często podnosili głos. Nagle drzwi otworzyły się szeroko. W progu stanął ojciec, Harold Barrington.

– Jesteś gotowy, synu? – spytał. – Samochód czeka na dole. Twoi przyjaciele też chcą się z tobą pożegnać. Teddy zapytał, czy nie mógłbym go zabrać zamiast ciebie – Harold się uśmiechnął. – Powiedziałem, że niewykluczone. Co ty na to, Aleksandrze? Chcesz się zamienić z Teddym? Zamieszkać z jego zwariowaną matką i jeszcze bardziej zwariowanym ojcem?

– To byłaby całkiem miła odmiana, bo moi rodzice są przecież tak rozsądni – odparł Aleksander, nie spuszczając wzroku z ojca.

Harold Barrington był szczupłym mężczyzną średniego wzrostu. W jego szerokiej twarzy o kwadratowej szczęce wyróżniał się mocno zarysowany podbródek. W wieku czterdziestu ośmiu lat miał nadal gęste, choć lekko siwiejące jasnobrązowe włosy, a oczy lśniły intensywnym błękitem. Aleksander bardzo lubił, gdy ojciec był w dobrym humorze, bo wtedy z jego oczu znikał wyraz powagi.

Odsuwając stojącego w progu Harolda, do pokoju wkroczyła Jane Barrington w swojej najlepszej jedwabnej sukience i białym toczku.

– Harry, zostaw chłopca w spokoju – powiedziała. – Widzisz przecież, że poprawia ubranie, bo chce elegancko wyglądać. Samochód poczeka. Teddy i Belinda też – wygładziła długie, ciemne włosy ułożone starannie pod kapeluszem. W głosie Jane nadal słychać było cień śpiewnego włoskiego akcentu, którego nie zdołała się pozbyć od czasu, gdy w wieku siedemnastu lat przyjechała do Ameryki. – Nigdy nie przepadałam za tą Belindą – powiedziała ściszonym głosem.

– Wiem, mamo – odparł Aleksander. – Dlatego wyjeżdżamy z kraju, prawda? – Nie odwracając się, obserwował ich w lustrze. Z wyglądu podobny był do matki, ale miał nadzieję, że charakterem przypomina ojca. Nie był jednak do końca pewny. Matka bawiła go, ojciec wprawiał w zakłopotanie. Jak zawsze.

– Jestem gotowy, tato – powiedział.

Harold podszedł do syna i objął go ramieniem.

– Myślałeś, że zapisując się do skautów, przeżyjesz wielką przygodę. Ale dopiero teraz przekonasz się, jak naprawdę wygląda wielka przygoda.

– Tak – odparł, myśląc jednocześnie: Skauci w zupełności by wystarczyli. – Tato? – spytał, patrząc nie na ojca, lecz na swoje odbicie w lustrze. – Jeśli coś tam nie wyjdzie… możemy zawsze tu wrócić, prawda? Będziemy mogli wrócić do… – Urwał. Nie chciał, by ojciec usłyszał, jak łamie mu się głos. Wziął głęboki oddech i dokończył – do Ameryki?

Kiedy Harold nie odpowiadał, Jane podeszła do Aleksandra, który stał teraz między rodzicami. Matka, w butach na niedużych obcasach, była prawie siedem centymetrów wyższa od ojca, który z kolei był o pół metra wyższy od syna. – Powiedz chłopcu prawdę, Haroldzie. Powinien ją znać. Powiedz mu. Jest już przecież duży.

– Nie, Aleksandrze – powiedział ojciec. – Nie wrócimy. Zamieszkamy w Związku Radzieckim na stałe. Nie ma dla nas miejsca w Ameryce.

Aleksander chciał powiedzieć, że dla niego na pewno jest tu miejsce. On miał w Ameryce swoje miejsce. Przyjaźnił się z Teddym i Belindą od czasu, gdy skończyli trzy lata. Barrington było małym miasteczkiem z domami o białych ścianach i czarnych okiennicach, z trzema kościołami i krótką główną ulicą, z czterema przecznicami po obu stronach. W lasach otaczających Barrington Aleksander wiódł bardzo szczęśliwe życie. Wiedział jednak, że ojciec nie to chciał usłyszeć, więc nie odezwał się ani słowem.

– Aleksandrze, razem z twoją matką jesteśmy absolutnie pewni, że to najlepsze, co mogło się przydarzyć naszej rodzinie. Po raz pierwszy w życiu mamy wreszcie okazję zrobić to, w co głęboko wierzymy. Nie będziemy już jedynie głosić idei komunizmu. Łatwo jest nawoływać do zmian, żyjąc w luksusie. Teraz będziemy żyć w zgodzie z własnymi przekonaniami. Wiesz, że walczyłem o to przez całe swoje dorosłe życie. Widziałeś mnie. I matkę również.

Aleksander skinął głową. To prawda, widział ich. Ojca i matkę aresztowanych za przekonania. Odwiedziny u ojca w więzieniu.

Nieprzyjazne spojrzenia mieszkańców okolic Barrington. Wyśmiewanie w szkole. Nieustanne bójki w obronie ojca i jego ideałów. Widział matkę stojącą u boku męża w czasie pikiet i protestów. On sam też stał u jej boku. We trójkę pojechali do Waszyngtonu, by wziąć udział w demonstracji komunistów przed Białym Domem. Tam też ich aresztowano. W wieku siedmiu lat Aleksander spędził noc w izbie zatrzymań dla młodocianych przestępców. Pocieszał go tylko fakt, że jako jedyny chłopiec z Barrington miał okazję zobaczyć Biały Dom.

Wtedy był przekonany, że poniósł już dość ofiar. Potem doszedł do wniosku, że kolejną ofiarą z jego strony było zerwanie związków z rodziną i wyprowadzenie się z domu, w którym Barringtonowie mieszkali od ośmiu pokoleń. Myślał, że mieszkanie w małych wynajmowanych pokojach w ruchliwym i zakurzonym Bostonie i głoszenie tam socjalistycznych idei było ostatnią z ofiar.

Mylił się jednak.

Decyzja o przeprowadzce do Związku Radzieckiego była dla Aleksandra niespodzianką, i to niezbyt miłą. Ale jego ojciec wierzył. Był przekonany, że w Związku Radzieckim wreszcie znajdą swoje miejsce; nikt nie będzie się tam z Aleksandra wyśmiewał, a wszyscy powitają ich z otwartymi ramionami i nieskrywanym podziwem. Znajdą tam miejsce, gdzie będą mogli zbudować nowe życie i nadać mu odpowiednie znaczenie. W nowej Rosji człowiek pracy był potęgą, a niebawem miał stać się królem. Niezachwiana wiara ojca była dla Aleksandra wystarczającą gwarancją.

Matka pocałowała go pomalowanymi na czerwono wargami, zostawiając ślad na czole. Usiłowała to szybko wytrzeć, lecz nie do końca się jej udało.

– Kochanie, wiesz na pewno, że pragnieniem ojca jest, byś nauczył się, co jest w życiu najważniejsze, i wyrósł na dobrego człowieka.

– Przecież tu nie chodzi o mnie, mamo – odparł z lekkim rozdrażnieniem Aleksander. – Jestem jeszcze dzieckiem…

– Nie – przerwał mu stanowczo ojciec. Jego ręka nadal spoczywała na ramieniu syna. – Tu chodzi przede wszystkim o ciebie, Aleksandrze. Teraz

masz dopiero jedenaście lat, ale już niedługo staniesz się mężczyzną. A ponieważ masz tylko jedno życie, możesz je przeżyć tylko w jeden sposób. Jadę do Związku Radzieckiego, żeby uczynić z ciebie mężczyznę, jakim powinieneś być. Ty, synu, jesteś jedynym, co pozostanie po mnie na świecie.

– Przecież w Ameryce też jest mnóstwo mężczyzn – zauważył Aleksander. – Herbert Hoover. Woodrow Wilson. Calvin Coolidge.

– Tak, ale to nie są dobrzy ludzie. W Ameryce rodzą się ludzie chciwi i samolubni, dumni i opętani chęcią zemsty. Nie chcę, żebyś wyrósł na takiego człowieka.

– Aleksandrze – powiedziała matka, mocno go przytulając. – Chcemy, żebyś w przyszłości miał w sobie cechy, których próżno szukać u Amerykanów.

– Racja – odparł Harold. – W Ameryce można spotkać samych mięczaków.

Aleksander cofnął się o krok, nie spuszczając wzroku z odbicia swojej poważnej twarzy. To właśnie oglądał, zanim do pokoju weszli rodzice. Siebie. Patrzył na swoją twarz i zadawał sobie pytanie: Jakim będę człowiekiem, gdy już dorosnę?

– Nie martw się, tato – powiedział salutując. – Będziesz ze mnie dumny. Nie będę chciwy, samolubny ani dumny. Nie opęta mnie chęć zemsty. Będę twardy i zdecydowany. Chodźmy już. Jestem gotowy.

– Nie chcę, żebyś był twardy, Aleksandrze. Chcę, żebyś był dobrym człowiekiem – Harold zawiesił głos. – Lepszym niż ja.

Kiedy wychodzili z pokoju, Aleksander odwrócił się na chwilę i po raz ostatni spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Nie chcę zapomnieć tego chłopca, pomyślał, bo może kiedyś będę musiał do niego wrócić.

Sztokholm, maj 1943

Codziennie płonę na stosie, pomyślała osiemnastoletnia Tatiana, budząc się pewnego letniego poranka. Nie mogę tak dłużej żyć. Wstała z łóżka, umyła się, wyszczotkowała włosy, spakowała do plecaka książki i ubrania, po czym zostawiła pokój tak czysty, jakby w ciągu minionych dwóch miesięcy w ogóle w nim nie mieszkała. Białe firanki, poruszane lekkim wiatrem, powiewały nieubłaganie.

W niej też nie było litości.

Nad biurkiem wisiało owalne lustro. Zanim Tatiana upięła włosy, spojrzała na swoje odbicie. Z trudem rozpoznała swoją twarz, z której na dobre znikła dziecięca krągłość. Pozostały tylko mocno zarysowane kości policzkowe, wysokie czoło, lekko kwadratowa szczęka i zaciśnięte wargi. Jeśli nadal miała dołeczki w policzkach, to nie było ich już widać, gdyż jej usta od dawna nie rozciągały się w uśmiechu. Blizna na policzku rozciętym przez odłamek rozbitej szyby dżipa zamieniła się w cienką, różową linię. Piegi też dawno wyblakły. Jednak nie to było najważniejsze. Tatiana przede wszystkim nie mogła poznać swoich oczu. Niegdyś lśniące zielenią, osadzone głęboko w bladej twarzy, wyglądały teraz tak, jakby stanowiły jedynie przejrzystą, kryształową granicę oddzielającą duszę od otaczającego obcego świata. Nie potrafiła już podnosić ich na nikogo. Nie umiała już patrzeć na siebie. Wystarczyło bowiem jedno spojrzenie w ich zieloną toń, by wyjawić, co dzieje się za delikatną fasadą.

Odgarnęła jasne, sięgające łopatek włosy. Już nie czuła do nich nienawiści.

Jakże mogła ich nienawidzić, skoro Aleksander tak bardzo je kochał.

Nie będzie o tym myśleć. Chciała je obciąć, ostrzyc się niczym jagnię prowadzone na rzeź. Chciała ostrzyc włosy, wydłubać oczy, wybić zęby i wyrwać żyły z gardła.

Upięła włosy w kok na czubku głowy i zawiązała chustkę. Wolała nie zwracać na siebie uwagi, choć w Szwecji – kraju pełnym blondynek – łatwo było zgubić się w tłumie.

Nic dziwnego, że czuła się tak zagubiona.

Wiedziała, że czas ruszać przed siebie. Nie mogła jednak znaleźć w sobie siły, która byłaby zdolna popchnąć ją do przodu. Nosiła w sobie dziecko, ale równie dobrze mogła je urodzić w Szwecji, jak w Ameryce. To byłoby nawet prostsze. Mogłaby tu zostać. Nie musiałaby wyruszać do dalekiego, zupełnie obcego kraju, szukać miejsca na frachtowcu płynącym do Wielkiej Brytanii, a potem przemierzać oceanu w samym środku szalejącej wojny. Niemcy codziennie bombardowali wody na północy Europy, ich torpedy niszczyły alianckie łodzie podwodne i statki, które wybuchały niczym ogniste kule na zimnych wodach Zatoki Botnickiej, Bałtyku, Arktyki i Atlantyku. Pozostanie w bezpiecznym Sztokholmie nie wymagało od niej niczego więcej, niż do tej pory robiła.

A co robiła?

Wszędzie widziała Aleksandra.

Na każdym kroku, wszędzie, gdzie tylko przysiadała choćby na chwilę, odwracała głowę na prawo i widziała go – wysokiego, w mundurze oficera, z karabinem przerzuconym przez ramię. Patrzył na nią i uśmiechał się. Wyciągała rękę, by dotknąć powietrza; muskała białą poduszkę, na której widziała jego twarz. Odwracała się do niego i łamała dla niego chleb; siadała na ławce i patrzyła, jak przechodzi przez ulicę, by zbliżyć się do niej wolnym, ale pewnym krokiem. Każdego dnia chodziła za wysokimi Szwedami, mężczyznami o szerokich ramionach, i zaglądała niegrzecznie w twarze nieznajomych, bo wszędzie widziała twarz Aleksandra. Potem mrugała oczami, a on znikał. I ona też znikała. Spuszczała wzrok i szła dalej.

Kiedy jednak podnosiła oczy, on znów tam był, przy jej boku, wysoki, piękny. Śmiał się do niej, a gdy przesuwał palce przez jej włosy, z ramienia spadał mu rzemień karabinu.

Raz jeszcze spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Za nią stał Aleksander. Odgarnął jej włosy z szyi i pochylił się, by ją pocałować. Nie czuła jego zapachu ani dotyku warg. Ale widziała go, niemal czuła łaskotanie czarnych włosów na szyi.

Zamknęła oczy.

Wyszła z hotelu i zjadła śniadanie w kawiarni Spivak. Jak zwykle zamówiła dwie porcje bekonu, dwie filiżanki czarnej kawy i trzy sadzone jajka. Udawała, że czyta angielską gazetę, którą kupiła w kiosku przy porcie; udawała, bo słowa wirowały jej w głowie i za nic nie mogła ich poukładać. Wróci do niej po południu, kiedy trochę się uspokoi. Wyszła z kawiarni i ruszyła w stronę przystani. Usiadła na ławce i obserwowała, jak szwedzki robotnik portowy ładuje na barki papier, który miał popłynąć do Helsinek. Nie spuszczała z niego wzroku. Wiedziała, że za kilka minut zrobi przerwę i pójdzie porozmawiać z kolegami pracującymi pięćdziesiąt metrów dalej. Zapali papierosa, wypije kawę, znów zapali. Nie będzie go przy barce przez trzynaście minut. Zostawi ją bez nadzoru, przed trapem prowadzącym prosto do kabiny.

Trzynaście minut później wróci i dalej będzie przeładowywał papier z ciężarówki, wożąc go po trapie na ręcznym wózku. Za sześćdziesiąt dwie minuty pojawi się kapitan; robotnik zasalutuje i odrzuci cumy. Po chwili kapitan wyruszy przez zamarznięty Bałtyk do Helsinek.

Tatiana obserwowała go po raz siedemdziesiąty piąty.

Helsinki leżały zaledwie o cztery godziny od Wyborga. Z gazet, które kupowała codziennie w kiosku nieopodal kawiarni, dowiedziała się, że Wyborg – po raz pierwszy od tysiąc dziewięćset osiemnastego roku – znów należy do Związku Radzieckiego. Armia Czerwona odebrała Finom Karelię. Barka do Helsinek i podróż ciężarówką przez lasy do Wyborga.

– Czasami marzę o tym, żebyś nie była tak cholernie uparta – mówi Aleksander. Udało mu się dostać trzydniową przepustkę. Są w Leningradzie – to ostatni wspólny pobyt w tym mieście, ich ostatni Leningrad, ich ostatnie listopadowe dni, ostatnie wszystko.

– Czy przypadkiem kocioł nie przygania garnkowi?

– Może. Ale wolałbym, żeby nie musiał wcale przyganiać – prychnął zdesperowany. – Są takie kobiety – powiedział – wiem, że na pewno są takie kobiety, które słuchają swoich mężczyzn. Widziałem je. Inni mężczyźni je mają…

– No to dla ciebie zabrakło. – Łaskocze go. Ale on nie wygląda na rozbawionego. – Już dobrze. Powiedz mi, co mam robić – mówi, zniżając kusząco głos. – Zrobię

wszystko, co każesz.

– Wyjedź z Leningradu i natychmiast wracaj do Łazariewa – mówi Aleksander. – Jedź tam, gdzie będziesz bezpieczna.

– Nie, spróbuj jeszcze raz – odpowiada, przewracając oczami. – Wiem, że potrafisz w to grać.

– Potrafię. – Aleksander usiadł na starej kanapie rodziców. – Ale nie chcę. Nie słuchasz mnie wcale, gdy mówię o bardzo ważnych rzeczach...

– Bo wcale nie są bardzo ważne. – Tatiana klęka przed nim i ujmuje jego dłonie w swoje. – Jeśli NKWD przyjdzie po mnie, będę wiedziała, że ty się wymknąłeś i z radością stanę pod ścianą. – Ściska go mocno za ręce. – Stanę pod ścianą jako twoja żona i nie będę żałować ani jednej sekundy, spędzonej z tobą. Pozwól mi zostać tutaj. Pozwól mi raz jeszcze poczuć twój zapach, raz jeszcze cię pocałować – mówi. – A teraz zagraj w moją grę, choć smutno tak razem leżeć w zimnym Leningradzie. Ale to prawdziwy cud, że w ogóle możemy razem leżeć. Powiedz mi, co mam robić, a ja to zrobię.

Aleksander ciągnie ją za rękę.

– Chodź tutaj. – Otwiera szeroko ramiona. – Usiądź na mnie.

Spełnia jego życzenie.

– Teraz połóż mi dłonie na twarzy.

Raz jeszcze jest posłuszna.

– Przytul usta do moich oczu i pocałuj mnie.

Znów spełnia jego życzenie.

– Pocałuj mnie w czoło.

Jest posłuszna. I jeszcze raz.

– Taniu...

– Ciii...

– Nie widzisz, że zaczynam się łamać?

– Ach tak – mówi. – Czyżby to znaczyło, że jesteś jeszcze cały?

Siedziała i obserwowała robotnika portowego, gdy świeciło słońce; siedziała i obserwowała go, gdy padał deszcz. Albo gdy w powietrzu unosiła się mgła, co praktycznie miało miejsce każdego dnia o ósmej rano.

Ten ranek był jednak inny. Bardzo zimny. Nad przystanią unosił się zapach świeżej wody i ryb. Wysoko na niebie krzyczały mewy, gdzieś w oddali jakiś mężczyzna coś głośno zawołał.

Gdzie jest mój brat? Dlaczego nie może mi pomóc? A moja siostra, matka? Pasza, pomóż mi, zagraj ze mną jeszcze raz w piłkę nożną, ukryj się w lesie, ale tak, żebym mogła cię znaleźć. Dasza, popatrz, co się wydarzyło, do czego doszło. Widzisz mnie? Mamo, mamo. Chcę do mamy. Gdzie jest moja rodzina? Dlaczego niczego ode mnie nie chce, dlaczego nie jest mi ciężarem, nie miesza się do moich spraw? Gdzie jesteście, kiedy tak bardzo potrzebuję waszej pomocy? Dziadku, nie wiem, co robić. Poradź mi.

Tego ranka robotnik portowy nie poszedł na sąsiednie molo, by wypić kawę z kolegą i wypalić z nim papierosa. Przeszedł przez ulicę i usiadł na ławce obok Tatiany.

To ją zupełnie zaskoczyło. Nie odezwała się jednak ani słowem, tylko mocniej otuliła białym pielęgniarskim fartuchem. Poprawiła chustkę na głowie, zacisnęła usta i nadal wpatrywała się w port.

– Mam na imię Sven – powiedział po szwedzku. – A ty?

– Tatiana – odparła po dłuższej chwili. – Nie mówię po szwedzku.

– Chcesz papierosa? – spytał po angielsku.

– Nie – odpowiedziała również po angielsku. Zastanowiła się przez chwilę, czy nie powinna mu powiedzieć, że słabo mówi w tym języku. Była pewna, że on nie mówi po rosyjsku.

Zapytał, czy przynieść jej kawę albo cieplejsze okrycie. Nie i nie. Siedziała ze wzrokiem utkwionym w przystań.

Sven milczał przez chwilę.

– Chcesz wsiąść na moją barkę, prawda? Chodź. Zaprowadzę cię. – Ujął ją pod ramię. – Chyba coś tu zostawiłaś – powiedział, ciągnąc ją lekko. – To idź i przynieś. – Tatiana się nie poruszyła. – Weź ode mnie papierosa, weź kawę albo wsiadaj na barkę. Ja się nawet nie odwrócę. Nie będziesz musiała się skradać. Pozwoliłbym ci wsiąść już pierwszego dnia. Trzeba było tylko poprosić. Chcesz płynąć do Helsinek? Nie ma sprawy. Wiem, że

nie jesteś Finką. – Urwał na chwilę. – Ale widzę, że jesteś w ciąży. Dwa miesiące temu byłoby znacznie łatwiej. Niepotrzebnie to utrudniłaś. Ale musisz albo się cofnąć, albo ruszać do przodu. Jak długo chcesz siedzieć tutaj i obserwować moje plecy?

Tatiana wpatrywała się w wody Bałtyku.

– No, jak długo to potrwa? – powtórzył pytanie.

– Gdybym wiedziała, nie siedziałabym tutaj.

– To nie siedź. Chodź.

Potrząsnęła głową.

– Zbyt długo jesteś sama – powiedział. – Gdzie jest twój mąż? Gdzie jest ojciec twojego dziecka?

– Zginął w Związku Radzieckim – szepnęła.

– Ach, więc jesteś Rosjanką. Teraz już rozumiem. Udało ci się jakoś uciec? No, skoro już tu jesteś, to zostań. Zostań w Szwecji. Idź do konsulatu i załatw sobie status uchodźcy. Setki ludzi docierają tutaj przez Danię. Koniecznie idź do konsulatu.

Tatiana potrząsnęła głową.

– Niedługo urodzisz dziecko. Musisz wrócić albo ruszyć przed siebie.

Objęła rękami brzuch. Jej oczy się zaszkliły.

Doker poklepał ją łagodnie i wstał.

– No i co teraz? Chcesz wracać do Związku Radzieckiego… dlaczego?

Milczała. Jak miała powiedzieć, że zostawiła tam duszę?

– Jeśli wrócisz, co się z tobą stanie?

– Najprawdopodobniej umrę – szepnęła.

– A jeśli ruszysz przed siebie?

– Najprawdopodobniej będę żyła.

Klasnął w dłonie.

– I jeszcze masz wątpliwości? Musisz wybrać życie.

– Tak – odparła. – Ale jak mam dalej żyć? Spójrz tylko na mnie. Myślisz, że jeśli potrafiłabym dokonać wyboru, nie zrobiłabym tego?

– Siedzisz więc tutaj w Sztokholmie jak w czyśćcu, patrzysz, jak dzień po dniu ładuję papier, patrzysz, jak palę. I co dalej? Potem będziesz

siedzieć na tej ławce z dzieckiem? Tego właśnie chcesz?

Milczała.

Kiedy po raz pierwszy spojrzała na niego, siedziała na ławce i jadła lody.

– Ruszaj przed siebie.

– Nie mogę.

Pokiwał energicznie głową.

– Możesz. Tylko jeszcze o tym nie wiesz. Teraz już rozumiem. Dla ciebie wciąż trwa zima. – Uśmiechnął się. – Ale nie przejmuj się. Lato jest tuż, tuż. Lód w końcu stopnieje.

Tatiana z trudem podniosła się z ławki. Odchodząc, powiedziała po rosyjsku:

– To nie jest lód, mój morski filozofie. To stos.

KSIĘGA I

DRUGA AMERYKA

...Podnieś głowę jeszcze wyżej
Stań w falach dziś
I zawsze
Bo on był synem, którego urodziłaś
I oddałaś wiatrowi i falom

Rudyard Kipling

Rozdział pierwszy

Szpital w Morozowie, 13 marca 1943

Późnym wieczorem, w małej rybackiej wiosce, w której na czas operacji na Newie swoją siedzibę miało dowództwo Armii Czerwonej, w wojskowym szpitalu leżał ranny mężczyzna. Czekał na śmierć.

Przez długi czas leżał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Nie poruszył się do chwili, gdy w szpitalu zgasły światła, a na oddziale intensywnej opieki zapadła cisza.

Niedługo po niego przyjdą.

Był młodym, dwudziestotrzyletnim żołnierzem, wyniszczonym przez wojnę. Miesiące spędzone na szpitalnym łóżku pokryły jego twarz bladością, która nie była wynikiem strachu czy tęsknoty, lecz braku słońca. Był nieogolony, a czarne włosy miał ostrzyżone tuż przy skórze. Kiedy patrzył daleko przed siebie, w jego oczach, koloru karmelu, malowała się pustka. Aleksander Biełow, choć teraz posępny i zrezygnowany, nie był okrutnym ani nieczułym człowiekiem.

Przed kilkoma miesiącami, podczas bitwy o Leningrad, wybiegł na lód, by ratować swego przyjaciela, Anatolija Marazowa, który leżał na zamarzniętej Newie z kulą w szyi. Razem z nim do rannego Marazowa podbiegł zupełnie pozbawiony rozsądku lekarz, Matthew Sayers z Bostonu, pracujący dla Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Kiedy wpadł do przerębli, Aleksander musiał go wyciągać spod lodu, ryzykując własne życie, a potem ciągnąć przez lód w stronę ciężarówki, za którą mogli się ukryć. Niemcy ostrzeliwali ciężarówkę z powietrza, próbując ją wysadzić, lecz zamiast niej wysadzili Aleksandra. Leżąc na lodzie,

przypomniał sobie niemieckie samoloty w Łudze na początku wojny, które ostrzeliwały pole pełne żołnierzy i kobiet. Teraz już wiedział, dlaczego zrobiło to na nim aż tak wielkie wrażenie. Wśród samolotów Luftwaffe Aleksander zobaczył własną śmierć.

Tatiana wyrwała go ze szponów czterech jeźdźców, którzy zjawili się po niego i na palcach rąk ukrytych w czarnych rękawicach liczyli jego dobre i złe uczynki. Tatiana, której powiedział: Wyjedź z Leningradu i natychmiast wracaj do Łazariewa. Do Łazariewa, małej rybackiej wioski ukrytej głęboko w sosnowych lasach u stóp Uralu, nad brzegiem potężnej rzeki Kamy. Do Łazariewa, gdzie przez krótki czas mogła być bezpieczna. Ale Tatiana była bardzo podobna do amerykańskiego lekarza: nie miała za grosz rozsądku. Nie, zaprotestowała. Nigdzie się nie ruszy. Bez jego wiedzy przyjechała na front. I wygrażając pięścią, krzyknęła też: Nie! czterem jeźdźcom. Jeszcze go nie dostaniecie. Nie pozwolę na to. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby go wyrwać z waszych rąk.

I zrobiła. Oddając mu własną krew, odebrała im Aleksandra. Wsączyła w jego żyły życie i uratowała go.

Aleksander zawdzięczał życie Tatianie, lecz doktor Sayers zawdzięczał swoje Aleksandrowi. Dlatego też postanowił wywieźć ich razem do Helsinek, skąd mogli bezpiecznie wyruszyć do Stanów Zjednoczonych. Z pomocą Tatiany opracowali plan, bardzo dobry plan. Przez dwa miesiące Aleksander leżał w szpitalu i rzeźbiąc figurki i kołyski z kawałków drewna, wyobrażał sobie, że jeździ z nią po Ameryce. Kiedy zamykał oczy, widział wyraźnie, jak zabliźniają się wszystkie pozostawione przez wojnę rany, a oni siedzą razem w samochodzie i słuchając radia, śpiewają na cały głos.

Tak długo żył na ulotnych skrzydłach nadziei. Wiedział, jak bardzo była ulotna, nawet gdy pogrążał się w niej bez reszty. Była to nadzieja człowieka otoczonego przez wroga, który biegnąc, modli się, by zdążył się ukryć w jakiejś szczelinie, zanim wróg ponownie załaduje broń, zanim rozlegnie się salwa ciężkiej artylerii. Słyszy za sobą warkot karabinów, słyszy krzyki wroga, lecz nie ustaje w biegu, mając nadzieję, że uda mu się umknąć

przed złowieszczym gwizdem pocisku. Nurkuje w nadzieję lub umiera w rozpaczy. Nurkuje w rzece Kamie.

Kiedy trzy dni temu otworzył oczy, stał przed nim jego „najlepszy" przyjaciel Dmitrij Czernienko. Trzymał w ręce jego plecak. On sam był przekonany, że zgubił go na lodzie, gdy został ranny. Dmitrij wyjął z plecaka należącą do Tatiany białą sukienkę w czerwone róże. Trzymał ją w geście ukrytej groźby. Zażądał, by Aleksander zostawił Tatianę, by uciekł do Ameryki bez niej, zabierając ze sobą jego, Dmitrija. Żądał, by Aleksander poświęcił swoje życie.

Powinien był zabić Dmitrija, prawie mu się to udało. Gdyby nie powstrzymał go ten idiota sanitariusz, pobiłby Dmitrija na śmierć, lecz i bez tego wiedział, że jego los jest już przypieczętowany. Zastanawiał się, kiedy to się stało, ale nie chciał poznać odpowiedzi na to pytanie.

Kiedy opuścił mały pokój w Bostonie w grudniu tysiąc dziewięćset trzydziestego roku.

Teraz, w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku, gdyby zabił Dmitrija, zostałby aresztowany i natychmiast wtrącony do więzienia. Tam, pilnowany dzień i noc, oskarżony o morderstwo, czekałby na wyrok sądu wojennego. Nie bacząc na grożące jej niebezpieczeństwo, Tatiana zostałaby w Związku Radzieckim, by być blisko niego, a doktor Matthew Sayers z Czerwonego Krzyża wyruszyłby do Helsinek sam.

Ale Dmitrij nie zginął. Gdy tylko odzyskał przytomność, pobiegł do generała Mechlisa z NKWD i powiedział mu wszystko, co wiedział o Aleksandrze Biełowie. A wiedział dużo.

Dmitrij nie wspomniał jednak ani słowem o Tatianie. Chciał zniszczyć Aleksandra, to było jasne. Tatiana wiedziała o tym od samego początku, bo doskonale znała się na ludziach. Wiedziała, że Dmitrij ma złe zamiary i powiedziała o tym Aleksandrowi. Byli ostrożni, ukrywali się, udawali, że są tylko znajomymi, dbali o pozory, lecz kiedy Dmitrij znalazł w plecaku Aleksandra białą sukienkę w róże, wszystko zrozumiał. A potem dowiedział się o ich potajemnym ślubie. Miał ich oboje w garści i postanowił, że zrobi wszystko, by ich zniszczyć. I zrobił.

Aleksander dostrzegł jednak przed sobą blady promyk nadziei. Maleńki płomyk gasnącej świecy. Dmitrij chciał uciec ze Związku Radzieckiego. Kiedy więc z posiniaczoną twarzą i złamaną ręką pobiegł do generała Mechlisa, opowiedział mu tylko o swoim najlepszym przyjacielu Aleksandrze Biełowie. Nie wspomniał ani słowem o tym, że Tatiana Mietanowa jest żoną Aleksandra, bo chciał, by Tatiana Mietanowa wyjechała nie z Aleksandrem, lecz z nim.

Aby wydostać Tatianę ze Związku Radzieckiego, Aleksander Biełow zacisnął zęby i zamknął oczy; odsunął się od niej, odepchnął ją, pozwolił odejść.

W swoim starym życiu mógł zrobić już tylko jedno: zebrać siły i oddać honory lekarzowi, który niebawem ocali jego żonę. Potem będzie mógł rozpocząć swoją własną bitwę i stawić czoło wrogowi. Ale teraz pozostało mu tylko czekanie.

Nie chciał, żeby zabrano go w szpitalnej bieliźnie. Poprosił więc pełniącą nocny dyżur pielęgniarkę, by przyniosła mu galowy mundur oficerski i czapkę. Ogolił się za pomocą noża i odrobiny wody, ubrał starannie, a potem siedział na krześle ze splecionymi na piersiach ramionami. Kiedy przyjdą po niego, a wiedział, że tak się stanie, chciał odejść tak godnie, jak pozwolą na to sługusy NKWD. Nagle usłyszał chrapanie leżącego na sąsiednim łóżku mężczyzny, ukrytego wciąż za namiotem tlenowym.

Jak dziś wygląda życie Aleksandra? Co wpływa na jego świadomość? I co stanie się z nim za godzinę lub dwie, gdy zakwestionowane zostanie wszystko, czym był do tej pory? Kiedy szef tajnej policji, generał Mechlis, podniesie na niego przenikliwe oczka i rzuci: „Powiedzcie nam, kim jesteście, majorze", jak zabrzmi odpowiedź Aleksandra?

Czy jest mężem Tatiany?

Tak.

– *Nie płacz, kochanie.*

– *Nie kończ jeszcze. Proszę. Jeszcze nie.*

– Taniu, muszę już iść. – Obiecał pułkownikowi Stiepanowowi, że wróci w niedzielę na wieczorny apel, i za nic nie mógł się spóźnić.

– Proszę. Jeszcze nie.

– Taniu, załatwię sobie następną przepustkę... Po bitwie o Leningrad. Wrócę tutaj na pewno. Ale teraz...

– Nie, Szura. Proszę, nie.

– Trzymasz mnie tak mocno. Rozpleć nogi.

– Nie. Nie ruszaj się. Proszę...

– Już prawie szósta, maleńka. Muszę iść.

– Szura, kochany, proszę... nie odchodź.

– Nie kończ, nie odchodź. A co ja mogę zrobić?

– Zostań tutaj. We mnie. Na zawsze. Jeszcze nie, proszę. Jeszcze nie.

– Ciii, Taniu, ciii.

Pięć minut później otwiera zamek w drzwiach.

– Muszę pędzić, nie, nie odprowadzaj mnie do koszar. Nie chcę, żebyś sama wracała po nocy. Masz jeszcze ten pistolet, który ci dałem? Zostań tutaj. Nie patrz, jak będę szedł korytarzem. – Otula ją swoim płaszczem, mocno przyciska do piersi, całuje jej włosy, usta. – Bądź grzeczna, Taniu – mówi. – I nie żegnaj się ze mną.

Tatiana salutuje.

– Do zobaczenia, kapitanie mojego serca – mówi, a po policzkach płyną jej łzy, tak jak płynęły od piątku do niedzieli.

Czy jest żołnierzem Armii Czerwonej?

Tak.

Czy jest mężczyzną, który złożył swoje życie w ręce Dmitrija Czernienki, parszywego drania grającego rolę najlepszego przyjaciela?

Raz jeszcze tak.

Dawno temu Aleksander był Amerykaninem, Barringtonem. Mówił jak Amerykanin. Śmiał się jak Amerykanin. Latem grał w piłkę jak Amerykanin, pływał i życie, jakie wiódł, uważał za rzecz najbardziej oczywistą z możliwych. Miał najlepszych przyjaciół i jak Amerykanin sądził, że będą z nim do końca życia. Jak Amerykanin kochał też swoich rodziców.

Dawno temu były lasy w Massachusetts, które nazywał domem. Dawno temu była też nieduża torba, w której chował wszystkie swoje skarby – muszelki, oszlifowane przez wodę kawałki szkła, które znajdował na plaży w Nantucket, opakowanie z waty cukrowej, kawałki gałązek i sznurka, zdjęcie przyjaciela Teddy'ego.

Dawno temu miał matkę, której śmiejącą się twarz o dużych oczach, zawsze starannie umalowaną, nadal oglądał we wspomnieniach.

A kiedyś, gdy księżyc lśnił błękitem na czarnym niebie, a gwiazdy migotały srebrnym blaskiem, na jeden moment w wieczności Aleksander znalazł coś, czego nie spodziewał się nigdy zaznać w swoim radzieckim życiu.

Kiedyś.

Teraz powoli zmierzał do kresu swych dni. Ale nie zamierzał odejść po cichu.

Przypiął do munduru trzy medale za odwagę i Order Czerwonej Gwiazdy za jazdę czołgiem po kruchym lodzie, włożył czapkę, usiadł na krześle przy łóżku i czekał.

Wiedział doskonale, jak funkcjonariusze NKWD przychodzą po takich ludzi jak on. Nie chcą zwracać na siebie uwagi, nie robią zbytniego zamieszania. Przychodzą w środku nocy lub zjawiają się na zatłoczonym dworcu kolejowym, kiedy właśnie wybierasz się do kurortu na Krymie. Pojawiają się nagle na targu rybnym; zgarniają cię z pomocą sąsiada, który prosi, byś koniecznie zajrzał do niego, tylko na minutkę. Pytają, czy mogą się do ciebie przysiąść w stołówce, gdy jesz *pielmieni*. Przedzierają się przez zatłoczony sklep i proszą, byś dołączył do nich w dziale zamówień specjalnych. Siadają obok ciebie na ławce w parku. Są zawsze bardzo uprzejmi, spokojni i elegancko ubrani. Samochodu, którym podjeżdżają do krawężnika, by zabrać cię do Wielkiego Domu, i pistoletów, które noszą ukryte pod ubraniem, jeszcze nie widać. Pewna kobieta, którą aresztowano w samym środku tłumu, uniemożliwiła agentom wykonanie zadania. Zaczęła głośno krzyczeć, wspięła się na latarnię, gdzie dalej wrzeszczała wniebogłosy tak, że nawet obojętni zazwyczaj przechodnie zatrzymywali

się i patrzyli. Agenci musieli ją zostawić w spokoju, lecz ona zamiast zniknąć gdzieś w głębi kraju, wróciła do domu i poszła spać. Przyszli po nią w nocy.

Na Aleksandra po raz pierwszy czekali pod szkołą. Rozmawiał z przyjacielem, kiedy podeszli do niego dwaj mężczyźni i powiedzieli mu, że zapomniał o spotkaniu z nauczycielem historii. Czy mógłby wrócić na chwilę do szkoły? Od razu się zorientował, że coś jest nie tak, od razu wyczuł kłamstwo. Chwycił przyjaciela za ramię i potrząsnął głową. Ale jego kolega przezornie postanowił zniknąć; wiedział, że nie jest tu do niczego potrzebny. Aleksander został z dwoma mężczyznami sam i zaczął rozważać, jak najlepiej wybrnąć z tej sytuacji. Kiedy zauważył, że do krawężnika wolno podjeżdża czarny samochód, wiedział, że wybrnąć będzie coraz trudniej. Był tylko ciekaw, czy w biały dzień, przy świadkach strzelą mu w tył głowy. Doszedł do wniosku, że nie i rzucił się do ucieczki. Puścili się w pościg, ale mieli przecież po trzydzieści kilka lat, a nie siedemnaście. Zgubił ich po paru minutach, skręcił w wąską uliczkę, ukrył się na pewien czas, a potem ruszył w stronę targu przy cerkwi Świętego Mikołaja. Kupił kawałek chleba, ale bał się wracać do domu. Pomyślał, że tam właśnie najpierw zaczną go szukać. Ojciec nie będzie za nim tęsknił, matka nawet nie zauważy jego nieobecności. Spędził noc na dworze.

Następnego ranka poszedł do szkoły, myśląc, że w klasie będzie bezpieczny. Dyrektor sam przyniósł Aleksandrowi zawiadomienie, z którego wynikało, że zaraz musi się stawić w jego gabinecie.

Kiedy tylko wyszedł z klasy, natychmiast chwycili go pod ręce i zaciągnęli do czekającego przy krawężniku samochodu.

W Wielkim Domu pobito go do nieprzytomności, po czym przeniesiono do więzienia Kriesty, gdzie czekał, co postanowią z nim zrobić. Nie miał żadnych złudzeń. Nie wniesiono jeszcze przeciwko niemu oskarżeń, lecz wiedział doskonale, że dla nich nie ma to żadnego znaczenia. Może zresztą wcale nie był niewinny. Był przecież Amerykaninem i nosił nazwisko Aleksander Barrington. To była jego zbrodnia. Reszta to tylko szczegóły.

Aleksander wiedział, że kiedy przyjdą po niego tej nocy, nie będą chcieli robić zamieszania na oddziale intensywnej opieki. Zdawał sobie sprawę, że

cała ta komedia, którą postanowili odegrać – zabierają go do Wołchowa, gdzie zostanie awansowany na podpułkownika – sprawdzi się doskonale do czasu, gdy zostanie z nimi sam. Chciał jednak zadbać o to, by nigdy nie dotrzeć do Wołchowa, gdzie przygotowano już wszystko do „procesu" i egzekucji. Tutaj, w Morozowie, gdzie działają mniej doświadczeni, mamroczący coś pod nosem oficerowie, miał większe szanse, by pozostać przy życiu.

Wiedział, że według artykułu 58 radzieckiego Kodeksu karnego z tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku nie jest nawet więźniem politycznym. Jeśli oskarżą go o zbrodnie przeciwko państwu, stanie się zwykłym kryminalistą i zostanie odpowiednio osądzony i skazany. Kodeks, w czternastu paragrafach, opisywał jego wykroczenia w najbardziej oględny sposób. Nie musiał wcale być Amerykaninem, nie musiał uciekać przez radzieckim wymiarem sprawiedliwości, nie musiał nawet być prowokatorem, obywatelem obcego państwa. Nawet nie musiał być szpiegiem ani nawoływać do zmiany ustroju. Ani popełnić żadnej zbrodni. Zamiar jej popełnienia był traktowany równie poważnie i zasługiwał na taką samą karę jak sama zbrodnia. Zamiar dopuszczenia się zdrady był traktowany równie surowo jak sama zdrada. Rząd radziecki z dumą podkreślał wyższość tych zapisów nad konstytucjami państw zachodnich, które niepotrzebnie czekały na popełnienie przestępstwa, by dopiero potem wymierzyć stosowną karę.

Każdy zamierzony lub popełniony czyn mający na celu osłabienie państwa radzieckiego lub radzieckiej siły militarnej był karany śmiercią. Ale nie tylko czyn. Czasami brak odpowiedniego działania był również traktowany jako przejaw działalności kontrrewolucyjnej.

A co do Tatiany... Aleksander wiedział, że w ten lub inny sposób Związek Radziecki pozbawi ją życia. Dawno temu planował z Dmitrijem ucieczkę do Ameryki – chciał ją tu zostawić, żonę dezertera z Armii Czerwonej. A jeśli zginąłby na froncie – zostałaby wdową, samotną i opuszczoną. Dmitrij mógł też go wydać w ręce NKWD, tajnej policji Stalina, co zresztą w końcu zrobił. Tatiana stałaby się wówczas rosyjską żoną amerykańskiego

„szpiega” i wroga klasowego. Takie możliwości miał przed sobą Aleksander i prześladowana przez pech dziewczyna, która została jego żoną.

Kiedy Mechlis zapyta mnie, kim jestem, czy zasalutuję i powiem: „Jestem Aleksandrem Barringtonem” i nie obejrzę się za siebie?

Czy mógł to zrobić? Nie oglądać się za siebie?

Nie sądził, by był do tego zdolny.

Przyjazd do Moskwy, 1930

Jedenastoletni Aleksander czuł, że robi mu się niedobrze.

– Co tak śmierdzi, mamo? – spytał, kiedy we trójkę wchodzili do małego, zimnego pokoju. Było ciemno i mało widział. Ojciec zapalił światło, ale niewiele to pomogło. Żarówka była bardzo słaba. Aleksander oddychał przez usta i powtórzył swoje pytanie. Matka nie odpowiadała. Zdjęła elegancki kapelusik i płaszcz, a kiedy uświadomiła sobie, że w pokoju jest bardzo zimno, założyła płaszcz z powrotem i zapaliła papierosa.

Ojciec chodził po pokoju zdecydowanym krokiem, dotykając po kolei starej toaletki, drewnianego stołu, zakurzonych zasłon w oknie.

– Nie jest tak źle – powiedział. – Na pewno będzie nam tu wspaniale. Aleksandrze, będziesz miał swój własny pokój, a my z matką zostaniemy tutaj. Chodź, pokażę ci, gdzie zamieszkasz.

Aleksander wziął ojca za rękę.

– Ale ten smród, tato…

– Nie przejmuj się. – Harold się uśmiechnął. – Wiesz, że mama dokładnie wszystko wysprząta. Poza tym to nic takiego… To tylko… mieszka tutaj wiele osób. – Uścisnął dłoń syna. – To zapach komunizmu, synu.

Kiedy wreszcie przewieziono ich do hotelu, gdzie mieli zamieszkać, było już bardzo późno. Aleksander sądził, że hotel znajduje się w pobliżu centrum miasta, ale nie był do końca pewny. Przybyli do Moskwy o świcie po szesnastogodzinnej podróży pociągiem z Pragi. Tam jechali

dwadzieścia godzin z Paryża, gdzie spędzili dwa dni, czekając na papiery czy pociąg. Aleksander sam już nie wiedział na co. Ale w Paryżu bardzo mu się podobało. Dorośli stale się czymś denerwowali, więc postanowił ich ignorować. Przez cały czas czytał swoją ulubioną książkę, *Przygody Tomka Sawyera*. Kiedy tylko chciał zapomnieć o towarzystwie dorosłych, otwierał książkę i od razu czuł się lepiej. Mama będzie oczywiście próbowała mu potem wytłumaczyć, co zaszło między nią i ojcem. Żałował, że nie zna sposobu, by przekonać ją, żeby robiła to, co każe tato, i nie odzywała się ani słowem.

Nie potrzebował jej wyjaśnień.

Teraz było inaczej.

– Zapach komunizmu, tato? A co to jest, do cholery?

– Aleksandrze! – wykrzyknął ojciec. – Czy matka niczego cię nie nauczyła? Co to za język? Gdzie się tego nauczyłeś? My z matką nie używamy takich słów.

Nie lubił kłócić się z ojcem, ale bardzo chciał mu przypomnieć, że w czasie częstych sprzeczek oboje z matką używali właśnie takich wyrażeń. A nawet gorszych. Ojciec zawsze jednak wychodził z założenia, że skoro kłótnie nie dotyczą Aleksandra, to chłopiec nic nie słyszy. Jakby nie kłócili się w pokoju obok albo nawet tuż przy nim. W Barrington rzeczywiście nigdy nic nie słyszał. Sypialnia rodziców znajdowała się w drugim końcu korytarza na górze, dzieliło go od niej dużo drzwi i pokojów. Nie dobiegały go żadne głosy. I tak powinno być.

– Tato – spróbował raz jeszcze. – Proszę, powiedz mi, co to za zapach.

– To tylko toalety, synu – odparł wyraźnie zmieszany ojciec.

– A gdzie są? – Aleksander rozejrzał się po pokoju.

– Na korytarzu, na zewnątrz. – Harold się uśmiechnął. – Popatrz na to z jaśniejszej strony, w nocy nie będziesz musiał daleko chodzić.

Aleksander położył plecak i zdjął płaszcz. Nie dbał o zimno. Nie będzie przecież spał w płaszczu.

– Tato – powiedział, oddychając przez usta i siłą powstrzymując wymioty – przecież wiesz, że nigdy nie wstaję w nocy? Śpię jak zabity.

W pokoju stało wąskie łóżko przykryte cienkim kocem. Kiedy ojciec wyszedł, Aleksander otworzył okno, by zobaczyć, co jest na zewnątrz. Moskiewskie powietrze było bardzo zimne. Jak na grudzień przystało, temperatura spadła mocno poniżej zera. Spoglądając z wysokości drugiego piętra na ulicę, zauważył pięć osób leżących w jednej z bram. Zostawił otwarte okno. Co z tego, że jest bardzo zimno. W pokoju przyda się trochę świeżego powietrza.

Wyszedł na korytarz, by skorzystać z toalety. Nie mógł się jednak do tego zmusić i wymknął się na zewnątrz. Po powrocie do pokoju rozebrał się i wsunął do łóżka. Miał za sobą długi dzień i zasnął natychmiast. Wcześniej jednak próbował się przez chwilę zastanawiać, czy kapitalizm też ma swój zapach.

Rozdział drugi

Przyjazd na wyspę Ellis, 1943

Tatiana ciężko podniosła się z łóżka i podeszła do okna. Był już ranek, niebawem pielęgniarka przyniesie dziecko do karmienia. Rozsunęła białe zasłony. Odciągnęła zasuwkę i próbowała podnieść okno, ale świeża biała farba przykleiła ramę do ściany. Pchnęła mocniej. Rama drgnęła, Tatiana podniosła okno i wysunęła głowę na zewnątrz. Ciepły ranek pachniał słoną wodą.

Słona woda. Odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się. Lubiła ten zapach. Nie przypominał żadnego spośród tych, z jakimi zetknęła się wcześniej.

Za to mewy przecinające powietrzem z ostrym krzykiem były jak najbardziej znajome. Ale nie widok z okna.

W blasku poranka nowojorski port był lśniącą taflą zielonkawej wody, w oddali Tatiana dostrzegła wysokie budynki. Po prawej stronie we mgle wznosiła się potężna statua trzymająca w uniesionej dłoni zapaloną pochodnię.

Tatiana, zauroczona, siedziała przy oknie i patrzyła na budynki po drugiej stronie wielkiej wody. Ależ były wysokie! I takie piękne. Wzbijały się w niebo, ze swoimi iglicami i płaskimi dachami głosiły chwałę śmiertelnego człowieka dla nieśmiertelnych niebios. Obserwowała szybujące w powietrzu ptaki, spokojną powierzchnię wody, potęgę budynków i port otwierający swe podwoje na Atlantyk. Nagle słońce zaświeciło jej prosto w oczy i musiała odwrócić wzrok. W porcie zaczął się ruch, powierzchnia wody nie przypominała już szklanej tafli. W zatoce pojawiły się promy, holowniki, statki i frachtowce, a nawet kilka jachtów.

Ich gwizdki i syreny tworzyły tak wielką kakofonię dźwięków, że Tatiana przez chwilę miała chęć zamknąć okna. Ale nie zamknęła.

Zawsze chciała zobaczyć ocean. Widziała już Morze Czarne i Bałtyk, oglądała wiele jezior – o jedno jezioro Ładoga za dużo – lecz nigdy nie widziała oceanu. A Atlantyk był oceanem, przez który przepłynął kiedyś mały Aleksander, oglądając sztuczne ognie w święto Czwartego Lipca. To przecież już niedługo. Może i jej uda się zobaczyć fajerwerki. Będzie musiała zapytać o to Brendę, swoją pielęgniarkę. Brenda nie była, niestety, nastawiona do niej zbyt życzliwie. Wszystkie informacje przekazywała stłumionym głosem, gdyż dolną część jej twarzy – a chyba i serce – zakrywała maska, chroniąca ją przed Tatianą.

– Tak – poinformowała zimno. – Będą fajerwerki. Czwarty Lipca jest już za dwa dni. Wprawdzie to nie tak wielki pokaz jak przed wojną, ale na pewno będzie na co popatrzeć. Nie zawracaj sobie jednak tym głowy. Jesteś w Ameryce zaledwie od tygodnia i myślisz tylko o fajerwerkach? Masz dziecko, które musisz obronić przed zakaźną chorobą i sama musisz się wyleczyć. Byłaś dziś na spacerze? Wiesz, że doktor kazał ci spacerować na świeżym powietrzu. Musisz też zakrywać usta, żeby nie kaszleć na dziecko, i nie wolno ci go podnosić, bo zanadto się zmęczysz. Byłaś w końcu na tym spacerze? A co ze śniadaniem? – Brenda zawsze mówiła bardzo szybko. Tatiana pomyślała, że robi to celowo, by nie mogła jej zrozumieć.

Ale nawet Brenda nie mogła zepsuć jej smaku śniadania składającego się z jajek, szynki, pomidorów i kawy z mlekiem. Zjadła je, siedząc na łóżku. Musiała przyznać, że pościel, miękki materac, poduszki i gruby wełniany koc, podobnie jak chleb były dla niej źródłem nieustającej radości.

– Czy mogę teraz zobaczyć synka? Muszę go nakarmić. – Jej piersi były ciężkie od mleka.

Brenda z trzaskiem zamknęła okno.

– Nie otwieraj więcej okna – powiedziała. – Dziecko może się zaziębić.

Tatiana roześmiała się radośnie.

– Zaziębi się w takim ciepłym powietrzu?

– Tak, w takim wilgotnym na pewno.

– Ale dopiero co kazałaś mi wyjść na spacer…

– Powietrze na zewnątrz a powietrze w pokoju to zupełnie inna sprawa – rzuciła ostro Brenda.

– Ale nie zaraził się ode mnie gruźlicą – powiedziała Tatiana, kaszląc głośno dla większego efektu. – Proszę, przynieś mi moje dziecko.

Kiedy już nakarmiła synka, znów otworzyła okno i z synkiem w ramionach usiadła na parapecie.

– Spójrz, Anthony – szepnęła po rosyjsku. – Widzisz? Widzisz wodę? Ładna, prawda? A tam za portem rozciąga się wielkie miasto, pełne ludzi, ulic i parków. Kiedy tylko dojdę do siebie, popłyniemy tam jednym z tych wielkich promów i pospacerujemy ulicami Nowego Jorku. Masz ochotę? – Gładząc buzię synka, spojrzała przez zieloną wodę na miasto. – Twój tato na pewno by miał – szepnęła.

Rozdział trzeci

Morozowo, 1943

Rankiem Matthew Sayers stanął przy łóżku Aleksandra.

– Nadal pan tutaj jest… – Zawiesił głos. – Może więc pana nie zabiorą.

Doktor Sayers, jak każdy Amerykanin, był wiecznym optymistą.

Aleksander potrząsnął głową.

– Czy włożył pan mój medal Bohatera Związku Radzieckiego do jej plecaka? – spytał tylko.

Doktor skinął głową.

– Dobrze go pan schował?

– Jak najlepiej.

Aleksander podziękował mu skinieniem głowy.

Sayers wyjął z kieszeni strzykawkę, fiolkę i małą buteleczkę z lekarstwem.

– Będzie pan tego potrzebował.

– Bardziej potrzebuję tytoniu. Ma pan trochę?

Sayers wyjął pudełko papierosów.

– Skręciłem je dla pana.

– Świetnie. Mam zapalniczkę.

Sayers pokazał Aleksandrowi małą fiolkę z przezroczystym płynem.

– Daję panu dziesięć granów roztworu morfiny. Proszę tylko nie brać wszystkiego naraz.

– A po co miałbym brać? Nie podajecie mi już morfiny od tygodni.

– Może się panu przydać, kto wie. Jeśli zajdzie taka potrzeba, proszę wziąć ćwierć grana, najwyżej pół. Dziesięć granów może zabić dwóch

dorosłych mężczyzn. Widział pan kiedyś, jak się ją podaje?

– Tak – odparł Aleksander. Przed oczami stanęła mu Tatiana ze strzykawką w ręce.

– Dobrze. Skoro nie może pan podłączyć kroplówki, najlepiej wbić strzykawkę w brzuch. Ma pan tu też trochę sulfamidów. Żeby infekcja się nie odnowiła. I małą buteleczkę karbolu. Można oczyścić tym ranę, gdy zabraknie innych środków. No i jeszcze bandaż. Będzie pan musiał codziennie zmieniać opatrunek.

– Dziękuję, doktorze.

Zapadło milczenie.

– Ma pan granaty?

Aleksander skinął głową.

– Jeden w plecaku, drugi w bucie.

– Broń?

Aleksander poklepał kaburę.

– Zabiorą ją panu.

– Będą musieli zrobić to siłą. Nie oddam im dobrowolnie.

Doktor Sayers uścisnął dłoń Aleksandra.

– Pamięta pan wszystko, co panu mówiłem? – spytał Aleksander. – Bez względu na to, co się ze mną stanie, weźmie pan to. – Zdjął z głowy czapkę i podał ją lekarzowi. – I wypisze pan świadectwo zgonu. Powie jej pan, że widział mnie martwego na lodzie i zsunął ciało do przerębli. Rozumiemy się?

Sayers skinął głową.

– Zrobię co w mojej mocy – powiedział – ale bardzo nie chcę.

– Wiem.

Na twarzach obu mężczyzn malował się posępny wyraz.

– Majorze… a co mam zrobić, jeśli rzeczywiście znajdę pana martwego na lodzie?

Aleksander też się nad tym zastanawiał.

– Wypisze pan świadectwo zgonu i pochowa mnie w jeziorze Ładoga. Proszę zrobić nade mną znak krzyża, zanim zsunie mnie pan pod lód. –

Zadrżał lekko. – I proszę nie zapomnieć o czapce.

– Ten Czernienko stale kręci się koło mojej ciężarówki – powiedział Sayers.

– Nie pozwoli panu wyjechać samemu. Może pan być tego pewny. Musi go pan zabrać.

– Wcale nie chcę go zabierać.

– Chce ją pan ocalić, prawda? Jeśli on nie pojedzie, ona nie ma żadnych szans. Proszę więc przestać myśleć o rzeczach, na które nie ma pan żadnego wpływu, tylko nie spuszczać go z oka i nie ufać mu za grosz.

– A co mam z nim zrobić w Helsinkach?

Aleksander pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– W tej sprawie już nic nie mogę poradzić. Proszę tylko nie robić niczego, co wystawiłoby na niebezpieczeństwo pana lub Tanię.

– Oczywiście.

– Musi pan być bardzo ostrożny, rozluźniony i dzielny. Proszę wyjechać z nią jak najszybciej. Poinformował już pan Stiepanowa o swoim wyjeździe? – Pułkownik Michaił Stiepanow był dowódcą Aleksandra.

– Powiedziałem mu, że wracam do Finlandii. Poprosił mnie, żebym zabrał… pańską żonę z powrotem do Leningradu. Powiedział, że będzie jej łatwiej, jeśli wyjedzie z Morozowa.

Aleksander skinął głową.

– Już z nim rozmawiałem. Poprosiłem, żeby pozwolił jej wyjechać z panem. Zabiera ją więc pan za jego zgodą. To dobrze. Łatwiej wyjedziecie.

– Stiepanow powiedział mi, że żołnierzy, którzy mają otrzymać awans, przewozi się do Wołchowa. Po co ta hipokryzja? Nie potrafię już odróżnić prawdy od kłamstwa.

– Witam w moim świecie – powiedział Aleksander.

– Czy on wie, co się z panem stanie?

– On sam mi to powiedział. Muszą mnie zabrać na drugi brzeg jeziora. Tutaj nie mają więzienia. Ale nie powie o tym mojej żonie, jeśli go o to zapyta. Potwierdzi tylko, że mam dostać awans. Kiedy ciężarówka wyleci

w powietrze, ta oficjalna wersja będzie wygodniejsza nawet dla NKWD. Nie lubią się tłumaczyć z aresztowania oficerów. O wiele łatwiej jest powiedzieć, że zginąłem.

– Ale przecież tutaj, w Morozowie, mają więzienie – powiedział Sayers ściszonym głosem. – Nawet o tym nie wiedziałem. Poszedłem zbadać dwóch żołnierzy umierających na dyzenterię. Zamknęli ich w malutkim pomieszczeniu w piwnicy opuszczonej szkoły. To schron podzielony na malutkie cele. Myślałem, że poddano ich kwarantannie. – Spojrzał na Aleksandra. – Nawet nie mogłem im pomóc. Nie wiem, dlaczego nie pozwolili im spokojnie umrzeć. Przysłali przecież po mnie za późno.

– Przysłali w samą porę. Dzięki temu będą mogli powiedzieć, że zmarli pod opieką lekarza. I to lekarza Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. To brzmi zupełnie inaczej.

– Boi się pan? – spytał Sayers, oddychając ciężko.

– O nią – odparł Aleksander i spojrzał na doktora. – A pan?

– Strasznie.

Aleksander skinął głową i oparł się o krzesło.

– Proszę powiedzieć mi tylko jedno, doktorze. Czy moja rana zagoiła się na tyle, że mogę walczyć?

– Nie.

– Znów się otworzy?

– Nie, ale może wdać się infekcja. Proszę nie zapominać o sulfamidach.

– Nie zapomnę.

– I proszę się nie martwić o Tanię – powiedział cicho Sayers, zanim jeszcze wyszedł z pokoju. – Nic się jej nie stanie. Będzie ze mną. Nie spuszczę jej z oka aż do Nowego Jorku. A tam wszystko już będzie dobrze.

– Mam nadzieję – odparł Aleksander, kiwając lekko głową. – Proszę ją poczęstować czekoladą.

– Myśli pan, że to pomoże?

– Proszę to zrobić – powtórzył Aleksander. – Pięć razy odmówi, ale za szóstym na pewno weźmie.

Wychodząc z pokoju, doktor Sayers odwrócił się w drzwiach. Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie przez krótką chwilę, po czym Aleksander zasalutował.

Życie w Moskwie, 1930

Kiedy odebrano ich na dworcu, zanim jeszcze udali się do hotelu, zawieziono ich do restauracji, gdzie jedli i pili przez cały wieczór. Aleksander nie posiadał się z radości, że ojciec mimo wszystko miał rację – wszystko układało się jak najlepiej. Jedzenie było nawet dość smaczne i pojawiało się na stole w dużych ilościach. Chleb nie był jednak świeży, podobnie jak – o dziwo – kurczak. Masło trzymano w temperaturze pokojowej, tak samo jak wodę, ale mocna herbata była słodka i gorąca, a ojciec pozwolił nawet Aleksandrowi wypić łyk wódki, kiedy wszyscy wznieśli kryształowe kieliszki, krzycząc z całych sił: *Na zdorowie!* Matka natychmiast zaprotestowała. „Haroldzie! Nie dawaj dziecku wódki. Oszalałeś?" Sama nie przepadała za alkoholem, więc tylko przykładała kieliszek do ust. Aleksander spróbował z ciekawości i natychmiast znienawidził wódkę, a w gardle paliło go jeszcze przez kilka godzin. Widząc jego niewyraźną minę, matka dokuczała mu dobrodusznie. Kiedy pieczenie ustało, zasnął przy stole.

Potem dotarli do hotelu.

A potem zobaczył toalety.

Hotel był cuchnący i ciemny. Ciemne tapety, ciemne podłogi, które w wielu miejscach – także w pokoju Aleksandra – ułożono krzywo. Aleksander zawsze myślał, że powinny być proste, może się na tym nie znał? Może zdobycze radzieckiej techniki i budownictwa nie dotarły jeszcze do Ameryki. Sądząc po pełnych entuzjazmu wypowiedziach ojca na temat Związku Radzieckiego, Aleksander wcale by się nie zdziwił, gdyby oto dowiedział się, że koło wynaleziono dopiero po Wielkiej Rewolucji Październikowej.

Narzuty na łóżkach były ciemne, podobnie jak tapicerka mebli. W oknach wisiały ciemnobrązowe zasłony, a w kuchni stał piec opalany węglem, cały osmalony. Trzy szafki z ciemnego drewna były brudne i wyszczerbione. W sąsiednich pokojach usytuowanych w mrocznym korytarzu mieszkali trzej bracia z leżącej nad Morzem Czarnym Gruzji. Wszyscy mieli czarne kręcone włosy, śniadą skórę i ciemne oczy. Natychmiast przyjęli Aleksandra do swego grona, mimo że miał jasną skórę i proste włosy. Nazywali go Sasza i karmili płynnym jogurtem, nazywanym tutaj kefirem, którego Aleksander nie znosił z całego serca.

Ku swej rozpaczy odkrył, że nie znosi też wielu rosyjskich potraw. Nie mógł zasiąść do stołu, jeśli postawiono na nim danie kapiące od cebuli i octu. A niestety, większość potraw stawianych przed nimi przez pełnych najlepszej woli innych mieszkańców hotelu pławiła się w cebuli i occie.

Z wyjątkiem mówiących po rosyjsku braci z Gruzji, reszta mieszkańców ich piętra prawie w ogóle nie mówiła w tym języku. Na drugim piętrze hotelu Dierżawa, co po rosyjsku znaczy „mocarstwo", mieszkało jeszcze trzydzieści osób, które przybyły do Związku Radzieckiego z tych samych powodów co Barringtonowie. I tak trafiła tu rodzina Włochów, których pod koniec lat dwudziestych wyrzucono z Rzymu, a Związek Radziecki przyjął jak swoich. Harold i Aleksander byli zdania, że to bardzo szlachetne.

W hotelu mieszkała też rodzina z Belgii i dwie z Anglii. Aleksander najbardziej lubił Anglików, bo język, którym się posługiwali, był tym, który znał. Harold nie życzył sobie jednak, by Aleksander mówił po angielsku; nie przepadał też za Anglikami ani Włochami. Prawdę mówiąc, nie przepadał za nikim, kto mieszkał na tym samym piętrze co oni. Przy każdej okazji starał się zniechęcić syna do kontaktów z siostrami Tarantella i Simonem Lowellem z Liverpoolu. Harold Barrington chciał, by jego syn przyjaźnił się z radzieckimi dziećmi. Chciał, żeby chłonął kulturę Moskwy i jak najszybciej nauczył się mówić po rosyjsku. Co Aleksander, pragnąc zrobić ojcu przyjemność, czynił.

Harold nie miał problemów ze znalezieniem pracy w Moskwie. Kiedy mieszkał jeszcze w Ameryce i nie musiał pracować, zajmował się wszystkim po trochu, i choć niewiele rzeczy potrafił robić naprawdę dobrze, z wieloma radził sobie całkiem nieźle, a czego nie potrafił, uczył się bardzo szybko. W Moskwie władze umieściły go w drukarni, gdzie drukowano „Prawdę", radziecką gazetę, i tam przez dziesięć godzin dziennie obsługiwał powielacz. Co wieczór wracał do domu z palcami tak poplamionymi tuszem, że były niemal czarne. Mimo wysiłków tusz nigdy nie dawał się zmyć do końca.

Mógł również zostać dekarzem, ale w Moskwie niewiele budowano. „Jeszcze nie – mawiał Harold – ale już bardzo niedługo". Mógł też pracować przy budowie dróg, ale w Moskwie niewiele się działo na tym polu. „Jeszcze nie, ale już bardzo niedługo".

Matka Aleksandra dzielnie trwała przy ojcu. Mogła znieść wszystko z wyjątkiem brudu w łazience. Aleksander dokuczał jej („Tato, czy pochwalasz wysiłki mamy, która chce zniszczyć zapach proletariatu?"), lecz Jane mimo to przez godzinę szorowała wspólną wannę, zanim do niej weszła. Codziennie po pracy, jeszcze przed przygotowaniem kolacji, szorowała też toaletę. Aleksander z ojcem długo czekali na jedzenie.

– Aleksandrze, mam nadzieję, że myjesz ręce po każdym wyjściu z łazienki...

– Mamo, nie jestem dzieckiem – odparł. – Wiem, że muszę myć ręce. – Wciągał ze świstem powietrze. – Och, *eau de* komunizm. Co za zapach, jaka siła...

– Przestań. I w szkole też. Myj ręce wszędzie.

– Dobrze, mamo.

Wzruszyła ramionami.

– Tutaj wszystko straszliwie śmierdzi, ale nie jest jeszcze tak źle jak na końcu korytarza. Czujesz ten smród dobiegający z pokoju Marty?

– A można nie czuć? Nowy radziecki porządek daje tam o sobie znać ze zdwojoną siłą.

– Wiesz, dlaczego jest aż tak źle? Ona mieszka tam z dwoma synami. Coś okropnego.

– Nie wiedziałem, że ma dwóch synów.

– Ależ tak. W zeszłym miesiącu przyjechali z wizytą z Leningradu i zostali na dobre.

Aleksander uśmiechnął się szeroko.

– Chcesz przez to powiedzieć, że to oni tak śmierdzą?

– Nie oni – odparła z obrzydzeniem Jane. – To te dziwki, które sprowadzają z Dworca Leningradzkiego. Przyprowadzają codziennie nową. I to one tak śmierdzą.

– Mamo, jesteś uprzedzona. Nie każdego stać na kupowanie perfum Chanel w Paryżu. Może powinnaś się z nimi podzielić… mogłyby zrobić wielkie francuskie mycie. – Aleksander był bardzo zadowolony z własnego żartu.

– Poskarżę na ciebie ojcu.

– Może jeśli przestaniesz opowiadać naszemu jedenastoletniemu synowi o dziwkach, wszystko będzie w porządku – odparł ojciec, który znajdował się tuż obok.

– Aleksandrze, kochanie, życzę ci radosnej Wigilii. – Zmieniwszy temat, Jane uśmiechnęła się ze smutkiem. – Tato nie chce, byśmy pamiętali o pozbawionych znaczenia obrzędach…

– Nie o to chodzi – wtrącił Harold. – Chcę tylko, byśmy traktowali je odpowiednio: jako należące do przeszłości i zupełnie niepotrzebne.

– A ja zgadzam się z nim w zupełności – ciągnęła spokojnie Jane – ale od czasu do czasu czujesz dziwny ucisk w piersiach, prawda?

– Zwłaszcza dzisiaj – zgodził się Aleksander.

– Racja. No, ale za to zjedliśmy dobrą kolację. A prezent dostaniesz na Nowy Rok, jak inni radzieccy chłopcy. – Urwała. – Ale nie od Świętego Mikołaja, od nas. – Znów krótka przerwa. – Nie wierzysz już w Świętego Mikołaja, prawda, synku?

– Nie, mamo – odparł wolno Aleksander, nie patrząc na matkę.

– Od kiedy?

– Od teraz. – Wstał, by zebrać talerze ze stołu.

Jane Barrington znalazła pracę w bibliotece uniwersyteckiej, gdzie wypożyczała studentom książki. Po kilku miesiącach przeniesiono ją jednak do działu encyklopedii, potem do działu map, a wreszcie do stołówki, gdzie wydawała obiady. Co wieczór, po wyszorowaniu toalety, gotowała dla rodziny rosyjską kolację, od czasu do czasu użalając się nad brakiem mozzarelli, oliwy z oliwek niezbędnej do przygotowania dobrego spaghetti lub świeżej bazylii. Haroldowi i Aleksandrowi zupełnie to nie przeszkadzało. Jedli kapustę, kiełbasę, ziemniaki, grzyby i czarny chleb posypany solą. Harold zażądał też, by Jane nauczyła się gotować gęsty barszcz na wołowinie, specjalność wszystkich rosyjskich kobiet.

Aleksander spał bardzo głęboko, gdy nagle obudził go krzyk matki. Niechętnie wstał z łóżka i wyszedł na korytarz. Matka, ubrana w biały szlafrok, miotała przekleństwa pod adresem jednego z synów Marty, który uciekał przed nią, nie odwracając głowy. Jane trzymała w rękach garnek.

– Co się tutaj dzieje? – spytał Aleksander. Harold nie wstał z łóżka.

– Szłam właśnie do łazienki i pomyślałam, że napiję się trochę wody. Jest przecież środek nocy, nie powinnam więc nikomu przeszkadzać. Wchodzę do kuchni i co widzę? Ten drań, to obleśne zwierzę, brudną łapą grzebie w moim barszczu, wyjmuje z garnka kawałki mięsa i wyjada je jeden po drugim. Moje mięso! Mój barszcz! Prosto z garnka! Świnia! – wrzeszczała na cały korytarz. – Obleśna świnia! Nie ma za grosz szacunku dla cudzej własności!

Aleksander stał spokojnie i słuchał matki, która jeszcze przez parę minut wykrzykiwała obelgi, a potem zrezygnowana wylała całą zawartość garnka do zlewu.

– Jak mogłabym to jeść, wiedząc, że to zwierzę maczało w garnku swoje brudne łapska – powiedziała.

– Dobranoc, mamo – powiedział Aleksander i wrócił do łóżka.

Następnego ranka Jane nadal opowiadała o nieprzyjemnym zajściu. I po południu, kiedy Aleksander wrócił ze szkoły, też. Nie mogła dojść do siebie

jeszcze przy kolacji, na którą zamiast pysznego barszczu zjedli coś duszonego bez mięsa, co bardzo Aleksandrowi nie smakowało. Zdążył się już przekonać, że znacznie bardziej woli mięso od jego braku. Mięso syciło go jak nic innego. Rósł bez opamiętania, co wprawiało go w zakłopotanie, i musiał czymś swoje coraz potężniejsze ciało karmić. Pochłaniał więc kurczęta, wołowinę, wieprzowinę. Ryby, jeśli można je było dostać. Kolacja złożona z samych jarzyn nie bardzo mu odpowiadała.

– Uspokój się – powiedział Harold. – Niepotrzebnie tak się tym denerwujesz.

– Jak mogę się nie denerwować? Sądzisz, że ta szumowina przynajmniej umyła ręce po tym, jak obmacywała dziwkę z dworca, która wcześniej zadawała się z pięćdziesięcioma takimi samymi mętami jak on?

– Przecież wylałaś zupę. Po co to całe zamieszanie? – powiedział Harold.

Aleksander próbował zachować powagę. Wymienili z ojcem spojrzenia. Kiedy ojciec nic nie powiedział, odchrząknął cicho.

– Mamo – zaczął – chciałbym tylko zauważyć, że zachowujesz się bardzo niesocjalistycznie. Syn Marty ma prawo do twojej zupy. Tak samo jak ty masz prawo do jego dziwki. Nie znaczy to oczywiście, że masz na nią ochotę. Ale gdybyś miała, a ona należałaby do niego, co nie wchodzi w grę, bo ona nie należy do nikogo, mogłabyś ją mieć. Podobnie jak jego masło. Masz ochotę na odrobinę jego masła? Chętnie ci przyniosę.

Harold i Jane patrzyli zdumieni na syna.

– Oszalałeś? Dlaczego miałabym chcieć czegoś, co należy do tego człowieka?

– I o to mi właśnie chodzi, mamo. Do niego nic nie należy. Jest twoje. I do ciebie też nic nie należy. Bo jest jego. On ma prawo grzebać w twoim barszczu. Tego przecież mnie uczyliście. I tego uczą mnie w szkole. Dzięki temu wszyscy jesteśmy lepsi. Dlatego tak właśnie żyjemy. By korzystać z dobrobytu innych ludzi. By cieszyć się osiągnięciami innych i czerpać z nich korzyści. Nie mam pojęcia, dlaczego ugotowałaś tak mało barszczu. Nie wiesz, że Nastia z końca korytarza od roku nie oglądała mięsa? – Aleksander spojrzał wesoło na rodziców.

– Na miłość boską, co cię opętało?

Aleksander skończył jeść przyprawioną cebulą kapustę.

– Kiedy jest następne zebranie partii? – spytał ojca. – Już nie mogę się doczekać.

– Wiesz co, synu? Pora chyba skończyć z tymi zebraniami – odparła Jane.

– Wręcz przeciwnie – powiedział Harold, mierzwiąc włosy syna. – Bardzo mu się przydadzą.

Aleksander uśmiechnął się szeroko.

Przybyli do Moskwy zimą i już po trzech miesiącach uświadomili sobie, że aby zdobyć rzeczy, które były im potrzebne, białą mąkę lub żarówki, muszą się udać do spekulantów, którzy kręcili się wokół dworców kolejowych, sprzedając owoce i szynkę ukryte w kieszeniach kożuchów. Było ich niewielu, a za swoje towary żądali astronomicznych sum. Harold ostro się temu sprzeciwiał i jadł małe porcje czarnego chleba na kartki, barszcz bez mięsa, ziemniaki bez masła, za to suto polane olejem lnianym, który wcześniej uznawali za nadający się wyłącznie do wytwarzania farby i linoleum oraz do zaprawiania drewna. „Nie będziemy płacić prywaciarzom – mawiał. – Jedną zimę jakoś przeżyjemy bez owoców. A za rok będzie ich już dużo. Poza tym nie mamy żadnych dodatkowych funduszy. Skąd mamy brać pieniądze na kupowanie u spekulantów?" Jane nie odpowiadała, a Aleksander wzruszał ramionami, bo też nie potrafił udzielić ojcu odpowiedzi. Jednak kiedy Harold już spał, Jane przychodziła po ciemku do pokoju syna i szeptała mu, by nazajutrz kupił sobie trochę pomarańczy, żeby nie dostał szkorbutu, szynki, żeby ustrzec się przed niedożywieniem, i trochę trudnego do zdobycia mleka o wątpliwej zresztą świeżości.

– Słyszysz mnie, Aleksandrze? Wkładam ci do torby kilka amerykańskich dolarów, do wewnętrznej kieszeni.

– Dobrze, mamo. Ale skąd je bierzesz?

– Nie przejmuj się tym, synku. Przywiozłam trochę ze sobą, tak na wszelki wypadek. – Podchodziła do niego w ciemnościach i całowała go

w czoło. – Nic się nie polepszy z dnia na dzień. Wiesz, co się dzieje w naszej Ameryce? Panuje kryzys. Bieda, bezrobocie, wszędzie jest bardzo źle. Żyjemy w bardzo trudnych czasach. Ale żyjemy w zgodzie z naszymi przekonaniami. Budujemy nowe państwo, oparte nie na wyzysku, lecz na wspólnocie i wzajemnych korzyściach.

– Za pomocą kilku amerykańskich dolarów?

– Tak, za pomocą kilku amerykańskich dolarów – zgadzała się z synem Jane, przytulając jego głowę do piersi. – Ale nic nie mów ojcu. Bardzo by się denerwował. Mógłby się poczuć zdradzony. Nic mu nie mów.

– Nie powiem.

Następnej zimy Aleksander skończył dwanaście lat, a w Moskwie wciąż brakowało świeżych owoców. Nadal panowało przeraźliwe zimno, a jedyną zauważalną różnicą było to, że sprzed dworców zniknęli wszyscy spekulanci. Skazano ich na dziesięć lat Sybiru za działanie na szkodę państwa i proletariatu.

Rozdział czwarty

Życie na wyspie Ellis, 1943

Leżąc w łóżku i dochodząc do zdrowia, Tatiana próbowała czytać, by w ten sposób pogłębiać swoją znajomość angielskiego. W niewielkiej, lecz dobrze zaopatrzonej bibliotece na wyspie Ellis znalazła wiele angielskich powieści, które były darem lekarzy, pielęgniarek i wielu innych osób. Znalazła też kilka książek rosyjskich: Majakowskiego, Gorkiego, Tołstoja. Tatiana czytała w swoim pokoju, lecz nie mogła się skoncentrować nad angielskim tekstem. Jej myśli wędrowały daleko, a przed oczami pojawiały się obrazy rzek, lodu i krwi, połączone ze straszliwymi wspomnieniami bombardowań, samolotów, moździerzy i przerębli. Widziała siedzące nieruchomo na kanapach matki z workami na zwłoki w rękach, wygłodzone zmarznięte siostry na stosach martwych ciał, braci, którzy ginęli w wysadzanych w powietrze pociągach, ojców, z których został tylko popiół, dziadków z chorymi płucami i babki umierające z żalu. Biały mundur maskujący, kałuże krwi, czarne matowe włosy, czapkę oficerską leżącą na lodzie. Wszystkie te obrazy były tak wyraziste, że ruszyła chwiejnym krokiem do wspólnej łazienki, gdzie długo wymiotowała. Potem zmuszała się do dalszej nauki angielskiego, by jej umysł nie wędrował już więcej sobie tylko znanymi ścieżkami, a serce nie chowało się w ziejącej pustką dziurze w piersiach, gdzie dławił ją przerażający strach.

W takich chwilach podnosiła też z łóżeczka śpiącego Anthony'ego i kładła go sobie na piersi, by poczuć jego bliskość, znaleźć ukojenie. Jednak choć synek pachniał tak rozkosznie, a na wargach czuła dotyk jego

jedwabistych czarnych włosków, nie mogła powstrzymać biegu myśli. Gdyby tylko...

Bardzo lubiła go wąchać. Lubiła go rozbierać, gdy tylko było dość ciepło, i gładzić jego pulchne różowe ciałko. Lubiła wąchać jego włosy, szyję, czuć na twarzy pachnący mlekiem oddech. Lubiła przewracać go na brzuszek, muskać plecki, nóżki i długie stopy, wąchać karczek. Pieszczoty matki nigdy nie przeszkadzały malcowi w spokojnym śnie.

– Czy to dziecko nigdy się nie budzi? – spytał doktor Edward Ludlow podczas jednego z obchodów.

– Jest jak lew – powiedziała wolno Tatiana po angielsku. – Śpi cały dzień, a nocą budzi się, by polować.

Edward się uśmiechnął.

– Widzę, że czujesz się dużo lepiej. Zaczynasz żartować.

Uśmiechnęła się blado. Doktor Ludlow, szczupły mężczyzna, poruszał się z wielkim wdziękiem. Nigdy nie podnosił głosu, nie wymachiwał rękami. Jego oczy, głos i ruchy były niezwykle kojące. Potrafił doskonale rozmawiać z pacjentami, co jest niezbędną cechą każdego dobrego lekarza. Tatiana doszła do wniosku, że musi mieć jakieś trzydzieści parę lat. Trzymał się zawsze bardzo prosto, co mogło świadczyć, że ma za sobą pobyt w wojsku. Czuła, że może mu zaufać. Miał takie poważne oczy.

Doktor Ludlow pomógł przyjść Anthony'emu na świat, kiedy Tatiana przypłynęła do portu w Nowym Jorku i zaczęła rodzić o miesiąc za wcześnie. Teraz odwiedzał ją codziennie, choć Brenda utrzymywała, że normalnie pracuje na wyspie Ellis tylko przez kilka dni w tygodniu.

– Już prawie pora obiadu – powiedział teraz, spoglądając na zegarek. – Jeśli czujesz się na siłach, może zjemy coś razem w stołówce? Załóż szlafrok i znikamy.

– Nie, nie. – Nie chciała wychodzić z pokoju.

– Ależ tak.

– A co z moją gruźlicą?

Machnął ręką.

– Załóż tylko maseczkę.

Niechętnie spełniła to życzenie i ruszyła za nim korytarzem. Usiedli przy jednym z wąskich stolików, które wypełniały duży pokój o wysokich oknach.

– Wygląda to niezbyt zachęcająco – powiedział Edward, spoglądając na talerz. – Ale mam trochę wołowiny. Weź ode mnie kawałek. – Odkroił połowę polanego sosem mięsa i przełożył na talerz Tatiany.

– Dziękuję, ale spójrz tylko, ile mam jedzenia. Biały chleb, margarynę. I ziemniaki, ryż i kukurydzę. Tyle tego jest.

Siedzi w ciemnym pokoju, a przed nią stoi talerz. Na talerzu leży kawałek czarnego chleba wielkości karty do gry. W chlebie widać trociny i kawałki kartonu. Bierze do ręki nóż i widelec i powoli kroi kromkę na cztery kawałki. Wkłada jeden do ust, żuje powoli i z trudem przełyka. Potem następny, jeszcze jeden i w końcu ostatni. Żuje bardzo długo. Wie, że kiedy zje, nie weźmie do ust nic aż do następnego ranka. Marzy o tym, by znalazła w sobie dość siły, żeby zostawić połowę chleba na obiad, ale nie może. Kiedy podnosi wzrok znad talerza, widzi wbity w siebie wzrok siostry, Daszy. Jej talerz od dawna jest pusty.

– Tak bym chciała, żeby Aleksander wrócił – mówi Dasza. – Może znalazłby dla nas coś do jedzenia.

Tak bym chciała, żeby Aleksander wrócił, myśli Tatiana.

Zadrżała, ziemniak upadł na podłogę. Pochyliła się i podniosła go, strzepnęła kurz i bez słowa zjadła.

Edward patrzył na nią z uniesionym do góry widelcem, na który nałożył duży kawałek mięsa.

– Mam cukier, herbatę, kawę i mleko skondensowane – ciągnęła Tatiana drżącym głosem. – Są też jabłka i pomarańcze.

– Ale nie ma kurczaków, wołowiny, nie mamy zbyt dużo mleka, a masła w ogóle – odparł Edward. – Cały zapas masła przeznaczony był dla rannych, ale nic już nie zostało. Szybciej dochodziliby do zdrowia, gdybyśmy mogli ich lepiej karmić.

– Może oni wcale nie chcą szybciej zdrowieć. Może podoba im się tutaj – powiedziała, a Edward znów spojrzał na nią badawczo. Nagle coś przyszło jej do głowy. – Edwardzie, mówisz, że mamy mleko?

– Niewiele, ale tak. Mamy normalne mleko, nie skondensowane.

– Przynieś mi je razem z dużą kadzią i długą drewnianą łyżką. Dziesięć litrów, dwadzieścia. Im więcej, tym lepiej. Jutro będziemy mieli masło.

– A co mleko ma wspólnego z masłem? – spytał.

Tatiana spojrzała badawczo na Edwarda, który uśmiechnął się nieśmiało.

– Jestem lekarzem, nie farmerem – powiedział. – Jedz, jedz. Musisz się dobrze odżywiać. I masz rację. Bez względu na wszystko, zostało nam jeszcze bardzo dużo jedzenia.

Rozdział piąty

Morozowo, 1943

Przyszli po niego po kilku godzinach. Aleksander spał, siedząc na krześle. Potrząsnęli nim gwałtownie, a kiedy otworzył oczy, zobaczył czterech mężczyzn w garniturach, którzy gestem kazali mu wstać.

Podniósł się powoli.

– Jedziecie do Wołchowa, gdzie otrzymacie awans. Pospieszcie się. Nie mamy czasu do stracenia. Musimy przedostać się przez jezioro, zanim się rozwidni. Niemcy stale bombardują Ładogę. – Mężczyzna o ziemistej cerze, który przemawiał cichym, naglącym głosem, najwyraźniej dowodził pozostałymi. Tamci nie otworzyli nawet ust.

Aleksander podniósł plecak.

– Zostawcie to – powiedział mężczyzna.

– To znaczy, że tu wrócę?

– Tak, jutro. – Mężczyzna zamrugał powiekami.

– Dobrze wiedzieć. Ale jestem żołnierzem i zawsze zabieram ze sobą swój plecak. Mam tam papierosy i książkę. Jeśli nie robi wam różnicy, wezmę go i tym razem.

– Macie broń?

– Oczywiście.

– Możemy ją zabrać?

Aleksander zrobił krok w ich kierunku. Przewyższał wzrostem o głowę najwyższego z mężczyzn. W szarych zimowych płaszczach cała czwórka przypominała przysadziste pnie drzew. Na ramionach płaszczy widniały

wąskie niebieskie paski, symbol NKWD – Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych.

– Chciałbym was dobrze zrozumieć – powiedział cicho, lecz zdecydowanie Aleksander. – Chcecie mi odebrać broń, tak?

– Tak. Będzie wam wygodniej – wymamrotał pierwszy mężczyzna. – Jesteście ranni, prawda? Musi wam być ciężko nosić cały ten ekwipunek…

– To nie jest mój ekwipunek, tylko kilka osobistych rzeczy. Idziemy. – Aleksander odsunął stojących mu na drodze mężczyzn. – No, towarzysze, marnujemy niepotrzebnie czas.

Nie była to równa walka. Aleksander był oficerem, majorem. Z zachowania mężczyzn ani z dystynkcji na pagonach płaszczy nie potrafił się domyślić ich rangi. Nie mieli żadnej władzy, dopóki nie wyprowadzili go z budynku i nie odebrali mu jego własnej. Tajna policja lubiła działać po cichu, w ciemnościach. Jej funkcjonariusze nie chcieli, by podsłuchały ich drzemiące pielęgniarki i ranni żołnierze. Ta policja lubiła postępować tak, jakby wszystko było w największym porządku. Ranny żołnierz udaje się nocą na drugą stronę jeziora, by tam otrzymać awans. Co w tym niezwykłego? Jednak aby odegrać tę komedię do końca, musieli mu zostawić broń. Tak jakby w ogóle mogli ją zabrać.

Kiedy wychodzili z pokoju, Aleksander zauważył, że dwa łóżka obok miejsca, gdzie do tej pory leżał, są puste. Znikł żołnierz mający problemy z oddychaniem i jego sąsiad. Pokręcił głową.

– Czy oni też dostaną awans? – spytał ironicznie.

– Żadnych pytań, idziemy – rzucił ostro jeden z mężczyzn. – Szybko.

Kiedy Aleksander szedł przez korytarz, zastanawiał się, gdzie śpi Tatiana. Czy za tymi drzwiami? Czy jest teraz gdzieś tutaj? Wciąż tak blisko. Odetchnął głęboko, zupełnie jakby chciał poczuć jej zapach.

Opancerzona ciężarówka czekała przed budynkiem. Zaparkowano ją tuż obok należącego do doktora Sayersa dżipa Czerwonego Krzyża. W ciemnościach Aleksander zauważył czerwono-biały symbol. Kiedy zbliżali się do ciężarówki, z ciemności wyłoniła się jakaś postać. Dmitrij.

Pochylał się nad unieruchomioną w gipsie ręką, jego twarz była jednym wielkim siniakiem z opuchniętym wybrzuszeniem zamiast nosa.

Przez chwilę stał w milczeniu.

– Wybieracie się gdzieś, majorze Biełow? – spytał wreszcie. Świszczącym głosem podkreślił szczególnie słowo „Biełow", które zabrzmiało jak „Biełofffff".

– Nie zbliżaj się do mnie, Dmitrij – warknął Aleksander.

Dmitrij, jakby biorąc sobie radę do serca, cofnął się o krok, po czym roześmiał cicho.

– Już nie możesz mnie skrzywdzić, Aleksandrze.

– Ani ty mnie.

– Och, wierz mi – powiedział Dmitrij zwodniczo słodkim głosem – ja nadal mogę ci wyrządzić krzywdę.

I zanim enkawudziści wepchnęli Aleksandra do ciężarówki, Dmitrij wystudiowanym gestem odrzucił głowę do tyłu i mrużąc oczy, pogroził mu palcem, obnażając w krzywym uśmiechu pożółkłe zęby.

Aleksander odwrócił głowę, wyprostował ramiona i nie patrząc nawet w stronę Dmitrija, wskoczył na ciężarówkę.

– Pieprz się – powiedział głośno i wyraźnie, starając się, by w jego głosie zabrzmiała cała satysfakcja, na jaką mógł się w tej chwili zdobyć.

– Wsiadać i milczeć – rzucił jeden z enkawudzistów przez zaciśnięte zęby, po czym zwrócił się do Dmitrija. – Wracajcie na oddział, już dawno po ciszy nocnej. Po co się tutaj snujecie?

W tyle ciężarówki Aleksander zauważył drżących towarzyszy z oddziału. Nie sądził, że razem z nim pojedzie jeszcze dwóch ludzi, dwóch żołnierzy Armii Czerwonej. Był przekonany, że w samochodzie nie będzie nikogo, oprócz niego i enkawudzistów. Nie spodziewał się, że będzie musiał ryzykować i poświęcać życie jeszcze innych ludzi. Co teraz?

Jeden z funkcjonariuszy wyrwał mu plecak. Aleksander natychmiast próbował go odebrać. Mężczyzna nie puszczał.

– Jest dla was za ciężki – powiedział, szamocząc się z Aleksandrem. – Wezmę go i oddam wam po drugiej stronie jeziora.

– Nie – odparł Aleksander, potrząsając głową. Wyrwał plecak mężczyźnie.

– Biełow…

– Sierżancie! – rzucił ostro Aleksander. – Mówicie do oficera. Dla was jestem majorem Biełowem. Proszę zostawić moje rzeczy w spokoju. A teraz ruszajmy. Mamy przed sobą długa drogę. – Uśmiechając się pod nosem, odwrócił się tyłem do mężczyzny. Plecy nie bolały go aż tak bardzo, jak się obawiał: mógł chodzić, wskoczyć na ciężarówkę, rozmawiać, pochylać się i usiąść na podłodze. Martwił się ogarniającą go coraz większą słabością.

Silnik ciężarówki zaskoczył wreszcie i ruszyli. Powoli oddalali się od szpitala, od Morozowa, od Tatiany. Aleksander odetchnął głęboko i odwrócił się w stronę dwóch siedzących przed nim mężczyzn.

– Kim wy, do cholery, jesteście? – spytał. Słowa były ostre, lecz wypowiedział je mocno zrezygnowanym tonem. Spojrzał przelotnie na towarzyszy. Było ciemno, więc z trudem rozróżniał twarze. Siedzieli przytuleni do ściany ciężarówki, drobniejszy w okularach na nosie nie miał jednej ręki. Potężniejszy otulał się płaszczem, a głowę miał owiniętą bandażem, spod którego widać było tylko nos, oczy i usta. Jego oczy były jasne i czujne, widoczne nawet w mroku ciężarówki. Choć „jasne” nie jest najwłaściwszym określeniem. Lśniły lekko złośliwym blaskiem, czego nie można było powiedzieć o oczach drobniejszego mężczyzny. Te były zupełnie matowe i pozbawione życia.

– Kim jesteście? – powtórzył pytanie Aleksander.

– Porucznik Mikołaj Uspieński, a to kapral Borys Majkow. Zostaliśmy ranni w Operacji Iskra, piętnastego stycznia, po stronie Wołchowa. Stacjonowaliśmy w namiocie polowym aż do…

– Wystarczy – przerwał mu Aleksander, wyciągając rękę. Zanim usłyszy więcej, chciał uścisnąć im dłoń, by sprawdzić, do czego się nadają. Uspieński był w porządku – jego uścisk był mocny, przyjacielski i pozbawiony strachu. Miał silną dłoń. W przeciwieństwie do Majkowa, który podał mu bezsilną lewą rękę.

Aleksander oparł się o ścianę ciężarówki i dotknął ukrytych w butach granatów. Cholera jasna. Słyszał świszczący oddech Uspieńskiego. W szpitalu Tania przeniosła go na sąsiednie łóżko i otoczyła namiotem tlenowym. Był żołnierzem z jednym płucem, który nic nie słyszał i nie odzywał się ani słowem. A jednak teraz siedział, oddychał samodzielnie, słyszał i mówił.

– Muszę przyznać, że wszystko to odbywa się wbrew wszelkim normalnym procedurom…

– Bo nie jest normalne – przerwał mu Aleksander. – Posłuchajcie, musicie teraz zebrać się w sobie. To wam się bardzo przyda.

– Do przyjęcia medalu? – spytał podejrzliwie Majkow.

– Jeśli nie przestaniecie się trząść, przyznają wam medal pośmiertnie – powiedział Aleksander.

– Skąd wiecie, że się trzęsę?

– Słyszę, jak wasze buty uderzają o siebie. Spokojnie, żołnierzu.

Majkow odwrócił się do Uspieńskiego.

– Mówiłem wam, poruczniku, że coś jest nie tak. Dlaczego obudzili nas w środku nocy?

– A ja powiedziałem, żebyście się zamknęli – rzucił ostro Aleksander.

Z wąskiego okienka w szoferce ciężarówki wpadała smuga bladoniebieskiego światła.

– Poruczniku, możecie wstać? – zapytał Aleksander. – Musicie zablokować to okienko.

– Kiedy ostatni raz słyszałem coś takiego, mój kwatermistrz nieźle oberwał – Uspieński się uśmiechnął.

– Możecie być spokojni, tutaj nikomu nic się nie stanie. Wstańcie.

Uspieński usłuchał.

– Powiedzcie nam prawdę. Dostaniemy awans?

– A niby skąd mam to wiedzieć?

Kiedy Uspieński zablokował okno, Aleksander zdjął but i wyjął z niego jeden granat. W ciężarówce było na tyle ciemno, że ani Majkow, ani Uspieński nie widzieli, co robi.

– A powinniście – mruknął Uspieński. – Coś mi się wydaje, że znaleźliśmy się tutaj z waszego powodu.

Aleksander był tego pewny, ale nie odezwał się ani słowem. Podczołgał się na tył ciężarówki i usiadł, opierając o drzwi. W szoferce siedziało tylko dwóch enkawudzistów. Byli młodzi, niedoświadczeni i żaden z nich nie miał ochoty przeprawiać się przez jezioro: niebezpieczeństwo niemieckiego ostrzału wisiało nad nimi jak złowieszcza chmura. Brak doświadczenia u kierowcy przejawiał się między innymi w tym, że bał się rozwinąć prędkość większą niż dwadzieścia kilometrów na godzinę. Aleksander wiedział, że jeśli Niemcy śledzą poczynania armii radzieckiej ze swoich pozycji w Siniawinie, to wolna jazda tej ciężarówki na pewno nie umknie uwagi ich zwiadowców. On sam mógłby szybciej przejść przez lód piechotą.

– Majorze, czy wy dostaniecie awans? – spytał Uspieński.

– Tyle przynajmniej mi powiedzieli i pozwolili zatrzymać broń. Dopóki nie przekonam się, że jest inaczej, będę optymistą.

– Oni wcale nie pozwolili wam zatrzymać broni. Wszystko widziałem i słyszałem. Nie mieli dość odwagi i siły, żeby ją odebrać.

– Jestem ciężko ranny – powiedział Aleksander, wyjmując papierosa. – Gdyby zechcieli, mogli mi ją zabrać bez trudu. – Zapalił.

– Macie jeszcze jednego? Nie paliłem od trzech miesięcy. – Uspieński spojrzał na Aleksandra. – I nie oglądałem nikogo oprócz pielęgniarek… – Urwał na chwilę. – Ale słyszałem wasz głos.

– Nie powinniście palić – odparł Aleksander. – Z tego co wiem, nie macie płuc.

– Mam jedno, a pielęgniarka, która się mną opiekowała, celowo pogarszała mój stan, żeby mnie nie odesłali na front. Tyle dla mnie zrobiła.

– Naprawdę? – spytał Aleksander, siłą wyrzucając sprzed oczu postać pielęgniarki, drobnej dziewczyny o przejrzystych oczach, jasnej i czystej jak letni poranek w Łazariewie.

– Przyniosła lód i kazała mi wdychać zimne powietrze, żeby świszczało mi w płucach. Żałuję, że nie zrobiła dla mnie czegoś więcej.

Aleksander podał mu papierosa. Chciał, żeby Uspieński wreszcie przestał mówić. Nie sądził, by odkrycie, że Tatiana uratowała go tylko po to, by teraz trafił prosto w szpony Mechlisa, szczególnie go uradowało.

– Towarzysze – powiedział. – Co ja mam z wami zrobić?

– Z nami? – burknął jak zwykle podejrzliwy Majkow. – A co my tutaj w ogóle robimy?

Aleksander nie odpowiadał. Wyjął z kieszeni pistolet, wymierzył w stronę drzwi i wypalił prosto w zamek. Majkow pisnął ze strachu. Ciężarówka zwolniła. Nieoczekiwany hałas najwyraźniej zaniepokoił jadących w szoferce enkawudzistów. Leżący teraz na podłodze Uspieński nie blokował już okna. Zanim ciężarówka się zatrzymała, Aleksander miał kilka sekund. Otwierając gwałtownie drzwi, wyrwał zawleczkę granatu. Podciągnął się na dachu i rzucił granat przed siebie. Spadł parę metrów przed ciężarówką. Kilka sekund później powietrzem wstrząsnęła eksplozja. Zanim Aleksander upadł na lód, zdążył jeszcze usłyszeć krzyk Majkowa: „Co to...". Ból, jaki poczuł w niezagojonej ranie na plecach, był tak straszliwy, jakby blizny rozrywały się milimetr po milimetrze.

Ciężarówka podskoczyła i zaczęła ślizgać się na lodzie. Wreszcie stanęła przed przeręblem wyrwanym przez granat Aleksandra. Wyrwa w lodzie była mniejsza od ciężarówki, lecz popękany lód nie był w stanie jej utrzymać. Zatrzeszczał i wyrwa zaczęła niebezpiecznie rosnąć.

Aleksander wstał i kulejąc, podbiegł do tylnych drzwi. Gestem kazał żołnierzom wyczołgać się ze środka.

– Co to było? – wykrzyknął Majkow. Uderzył się w głowę i z nosa płynęła mu krew.

– Wyskakujcie z ciężarówki! – wrzasnął Aleksander.

Uspieński i Majkow natychmiast go posłuchali, a zrobili to w samą porę, gdyż przód ciężarówki zaczął powoli osuwać się w wody Ładogi. Kierowcy musieli stracić przytomność po zderzeniu z przednią szybą i lodem. Nawet nie próbowali wydostać się ze środka.

– Majorze, co do cholery...

– Cicho. Za trzy, cztery minuty Niemcy zaczną ostrzeliwać ciężarówkę. – Aleksander nie miał najmniejszego zamiaru umierać na lodzie. Zanim zobaczył Uspieńskiego i Majkowa, miał cichą nadzieję, że znajdzie się w ciężarówce sam i po wysadzeniu jej razem z siedzącymi w szoferce enkawudzistami zdoła wrócić na brzeg koło Morozowa i ukryć się w lesie. Ale ostatnio wszystkie jego nadzieje cechował jeden wspólny element: miały cholernie krótki żywot.

– Chcecie tutaj zostać i obserwować poczynania bardzo sprawnej niemieckiej armii czy zabieracie się razem ze mną?

– A co z kierowcami? – spytał Uspieński.

– To enkawudziści. Myśleliście, że gdzie zabierają was o świcie?

Majkow próbował wstać. Zanim zdążył odezwać się choć słowem, Aleksander pociągnął go z powrotem na lód.

Nie byli daleko od brzegu, może dwa kilometry. Tuż przed świtem w powietrzu unosiła się mgła. Szoferka ciężarówki znajdowała się już pod wodą, a wyrwa w lodzie stale się powiększała. Była już na tyle duża, że mogła się w niej zmieścić cała ciężarówka.

– Wybaczcie, majorze – powiedział Uspieński – ale wygadujecie bzdury. W czasie całego pobytu w wojsku nie zrobiłem nic złego. Oni na pewno nie przyszli po mnie.

– Nie – odparł Aleksander. – Przyszli po mnie.

– Kim wy, do cholery, jesteście?

Ciężarówka powoli znikała pod wodą.

Uspieński spojrzał na lód, na drżącego i zakrwawionego Majkowa, na Aleksandra i roześmiał się.

– Może powiecie nam, majorze, co zrobimy tu sami na gołym lodzie, kiedy ciężarówka już zatonie?

– Nie martwcie się. – Aleksander westchnął ciężko. – Mogę zagwarantować, że nie będziemy długo sami.

Skinął głową w kierunku odległego brzegu i wyjął dwa pistolety. Reflektory lekkiego pojazdu wojskowego były coraz bliżej. Dżip zatrzymał

się pięćdziesiąt metrów od nich i wyskoczyło z niego pięciu mężczyzn z karabinami maszynowymi wymierzonymi w Aleksandra.

– Wstawać! No już!

Uspieński i Majkow natychmiast wstali z uniesionymi rękami, lecz Aleksander nie zamierzał słuchać rozkazów wydawanych przez oficerów niższych rangą. Nie wstał i okazało się, że postąpił słusznie. Zaraz usłyszał gwizd pocisku i zakrył głowę rękami.

Kiedy podniósł wzrok, dwóch enkawudzistów leżało na lodzie twarzą w dół, a pozostali trzej czołgali się w jego stronę, z wymierzonymi w niego karabinami, sycząc „Nie ruszać się, nie ruszać się". Może Niemcy ich zastrzelą, zanim ja będę musiał to zrobić?, pomyślał Aleksander. Próbował odnaleźć brzeg. Gdzie jest Sayers? Nie wyjechał jeszcze na lód, ale dżip NKWD stał nieruchomo, tworząc niezły cel dla Niemców. Kiedy enkawudziści byli już blisko niego, zasugerował, że może powinni wsiąść do samochodu i wolno wrócić do Morozowa.

– Nie! – krzyknął jeden z nich. – Musimy was przewieźć do Wołchowa!

Rozległ się gwizd jeszcze jednego pocisku, tym razem spadł dwadzieścia metrów od dżipa – jedynego środka transportu, dzięki któremu mogli dostać się do Wołchowa lub wrócić do Morozowa. Kiedy Niemcy wysadzą go w powietrze, grupka mężczyzn pozbawiona jakiejkolwiek osłony na otwartym lodzie wytrzyma w starciu z niemiecką artylerią kilkanaście sekund.

Leżąc na brzuchu, Aleksander nie spuszczał wzroku z enkawudzistów.

– Co chcecie teraz zrobić, towarzysze? Powiedzcie. Chcecie jechać do Wołchowa pod niemieckim ostrzałem? No to ruszajmy.

Enkawudziści spojrzeli na opancerzoną ciężarówkę, która niemal znikła pod powierzchnią jeziora. Aleksander patrzył rozbawiony, jak chęć przetrwania walczy w nich z obowiązkiem wykonania rozkazu.

– Wracajmy – powiedział wreszcie jeden z nich. – Pojedziemy do Morozowa i tam poczekamy na dalsze instrukcje. Zawsze możemy przewieźć go do Wołchowa jutro.

– Moim zdaniem to bardzo słuszna decyzja.

Zdumiony Uspieński nie spuszczał wzroku z Aleksandra, który zupełnie go zignorował.

– No, ruszajcie się. Na trzy. Biegnijcie do dżipa, zanim wyleci w powietrze – Aleksander nie tylko chciał pozostać przy życiu; nie zamierzał też przemoczyć ubrania. Jeśli przemoknie, będzie mógł pożegnać się z życiem. Wiedział, że ani w Wołchowie, ani w Morozowie nie dostanie suchego ubrania. Pozostanie w mokrym, aż zachoruje na zapalenie płuc i umrze, a jego ciało nadal będzie oblepiać mokry mundur.

Cała szóstka podczołgała się do dżipa. Trzej enkawudziści kazali im wsiąść z tyłu. Uspieński i Majkow spojrzeli na Aleksandra z niepokojem.

– Naprawdę uważacie, że to dobry pomysł? – spytał Uspieński.

– Wsiadajcie.

Dwaj enkawudziści wsiedli razem z nimi. Uspieński i Majkow odetchnęli z ulgą.

Aleksander wyjął papierosy. Poczęstował Uspieńskiego i bladego jak ściana Majkowa, który odmówił.

– Dlaczego to zrobiliście? – szepnął Uspieński do Aleksandra.

– Co?

– Chciałbym móc kiedyś poprosić, byście mi to wszystko wytłumaczyli, ale szczerze mówiąc, mam nadzieję, że nigdy was już nie zobaczę.

– I tak wam powiem – odparł Aleksander. – Zrobiłem to, bo nie miałem ochoty na awans.

Kiedy dotarli do brzegu, ruszyli w stronę kwatery dowództwa, mijając po drodze ciężarówkę medyczną zmierzającą w stronę rzeki. Na miejscu pasażera Aleksander dostrzegł doktora Sayersa. Kiedy zaciągał się papierosem, zdołał się lekko uśmiechnąć, choć zauważył, że drżą mu palce. Wszystko szło tak dobrze, jak oczekiwał. To, co zostało na jeziorze, rzeczywiście wyglądało jak pozostałość po niemieckim ataku. Dwa ciała na lodzie, ciężarówka pod wodą. Sayers wypisze świadectwo zgonu, podpisze je i wszystko będzie tak, jakby Aleksander nigdy nie istniał. NKWD będzie wdzięczne – bardzo lubi, by jego ofiary znikały w niewyjaśniony sposób – a kiedy Stiepanow się dowie, co tak naprawdę zaszło i że Aleksander żyje,

Tatiany i Sayersa już dawno tu nie będzie. Stiepanow nie będzie musiał okłamywać Tatiany. Nie mając żadnych informacji, uwierzy, że Aleksander, Uspieński i Majkow zginęli na jeziorze.

Przesunął dłonią po gołej głowie i zamknął oczy, lecz szybko je otworzył. Posępny rosyjski krajobraz był o wiele lepszy niż to, co kryło się pod powiekami.

W tej potyczce wszyscy odnieśli zwycięstwo. NKWD nie musi odpowiadać na pytania Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, Armia Czerwona może udawać żałobę po ludziach, którzy polegli i utonęli, a Mechlis nadal ma w swoich szponach Aleksandra. Gdyby chcieli go zabić, zrobiliby to od razu. Nie takie mieli rozkazy. Wiedział, dlaczego tak się stało. Kot chciał się trochę pobawić myszą, zanim rozerwie ją na strzępy.

Kiedy dotarli do Morozowa, była ósma rano. Baza powoli budziła się do życia, a ponieważ do czasu bezpiecznego przewiezienia ich do miejsca zagrożenia musieli pozostać w ukryciu, Aleksandra, Uspieńskiego i Majkowa wtrącono do więzienia mieszczącego się w podziemiach starej szkoły. Więzienie tak naprawdę było betonową celą szeroką na metr i długą na niecałe dwa. Szczerze zdziwiony Majkow nie mógł uwierzyć, że nie wraca do łóżka. Enkawudziści najpierw wybuchnęli śmiechem, a potem kazali im się położyć plackiem na ziemi i ani drgnąć.

Dla Aleksandra cela była za krótka, nie mógł się wyciągnąć na podłodze. Gdy strażnicy wyszli, wszyscy trzej skulili się na ziemi, podciągając kolana pod brodę. Rana Aleksandra pulsowała boleśnie. Siedzenie na zimnym betonie tylko potęgowało ból. Cierpienie dozowano mu jednak stopniowo, jakby ktoś chciał powiedzieć: „Przywyknij do tego, bo niebawem będziesz to wspominał jak radość dzieciństwa".

Uspieński nie dawał mu spokoju.

– Czego ode mnie chcecie? – spytał Aleksander. – Dość tych pytań. Jak będą was przesłuchiwać, nie będziecie musieli kłamać.

– Dlaczego mieliby nas przesłuchiwać?

– Zostaliście aresztowani. Jeszcze tego nie pojmujecie?

Majkow wpatrywał się w swoje dłonie.

– Och, nie – powiedział. – Mam żonę, matkę, dwójkę małych dzieci. Co się teraz ze mną stanie?

– Z wami? – burknął Uspieński. – A kim wy jesteście? Ja mam żonę i dwóch synów. Dwóch małych synów. Moja matka też chyba jeszcze żyje.

Majkow nie odpowiedział. Obydwaj spojrzeli badawczo na Aleksandra. Po chwili Majkow spuścił wzrok.

– No dobra – powiedział w końcu Uspieński. – Co takiego zrobiliście?

– Poruczniku! – Aleksander odwoływał się do stopnia, kiedy chciał go pohamować. – Już dość się nagadaliście.

Uspieński nie dawał za wygraną.

– Nie wyglądacie na religijnego fanatyka.

Aleksander milczał.

– Ani na Żyda. Albo jakiegoś parszywego drania. – Przyjrzał mu się uważnie. – Jesteście kułakiem? Członkiem Politycznego Czerwonego Krzyża? Filozofem? Socjalistą? Historykiem? A może niszczycie uprawy? Działacie na szkodę przemysłu? Agitujecie przeciwko Związkowi Radzieckiemu?

– Jestem woźnicą, Tatarem.

– Dostaniecie za to dziesięć lat. Gdzie jest wasz wóz? Przydałby się żonie do zwożenia cebuli z pobliskich pól. Chcecie powiedzieć, że aresztowano nas tylko dlatego, bo mieliśmy cholernego pecha i leżeliśmy na sąsiednich łóżkach?

Przeciągły jęk Majkowa zabrzmiał jak szloch.

– Ale my nic nie wiemy! Nic nie zrobiliśmy!

– Tak? – spytał Aleksander. – Powiedzcie to artystom i ich skromnej publiczności, którzy na początku lat trzydziestych zbierali się wieczorami, by posłuchać muzyki, nie zgłaszając tego wcześniej radzie miejskiej. Zrzucali się po kilka kopiejek na wino. Kiedy zostali aresztowani za agitację antyradziecką, zebrane przez nich pieniądze uznano za fundusze mające wspomóc niemal wymarłą już burżuazję. Wszyscy zebrani dostali od trzech do dziesięciu lat. – Zamilkł na chwilę. – Nie, nie wszyscy. Tylko ci,

którzy przyznali się do popełnienia przestępstwa. Jeśli ktoś odmówił przyznania się do winy, został rozstrzelany.

Uspieński i Majkow patrzyli na niego zdumieni.

– Skąd o tym wiecie?

Aleksander wzruszył ramionami.

– Bo miałem wtedy czternaście lat i udało mi się uciec przez okno, zanim mnie złapali.

Usłyszeli, że ktoś nadchodzi, i zamilkli. Aleksander wstał i kiedy otwarto drzwi, powiedział do Majkowa:

– Kapralu, wyobraźcie sobie, że wasze stare życie przestało istnieć. Wyobraźcie sobie, że zabrali wam wszystko i nic wam już nie zostało…

– Biełow, idziemy! – krzyknął strażnik z naganem.

– Tylko w ten sposób uda wam się to przetrzymać – powiedział Aleksander, wychodząc z celi. Za sobą usłyszał trzask zamykanych drzwi.

Siedział w niewielkiej sali w opuszczonej szkole, na szkolnym krześle przy stoliku, który stał tuż przed tablicą. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że do środka wejdzie zaraz nauczyciel z podręcznikiem pod pachą i rozpocznie lekcję na temat imperializmu i drzemiącego w nim zła.

Zamiast nauczyciela weszło dwóch mężczyzn. W pokoju znajdowały się teraz cztery osoby: siedzący na krześle Aleksander, strażnik na tyłach klasy i dwóch przybyłych, którzy stali za stolikiem nauczyciela. Jeden z nich był łysy i bardzo szczupły, a w jego twarzy wyróżniał się wyjątkowo długi nos. Przedstawił się uprzejmie jako Riduard Morozow.

– Ale nie pochodzicie z tego miasta? – spytał Aleksander.

– Nie – uśmiechnął się blado.

Drugi mężczyzna był bardzo gruby i też łysy, a jego kartoflowaty nos pokrywała siateczka popękanych naczyniek. Wyglądał na człowieka, który sporo pije. Przedstawił się – nieco mniej uprzejmie – jako Mitterand, co niemal rozbawiło Aleksandra, bo Mitterand był przywódcą niezbyt licznego Ruchu Oporu w okupowanej przez Niemców Francji.

Morozow rozpoczął przesłuchanie.

– Wiecie, dlaczego się tutaj znaleźliście, majorze Biełow?

Uśmiechał się ciepło i przemawiał uprzejmym, niemal przyjaznym tonem. Wyglądało to tak, jakby prowadzili towarzyską rozmowę. Aleksander pomyślał, że za chwilę Mitterand powinien zaproponować mu szklankę herbaty, a może nawet kieliszek wódki, by nieco go uspokoić. Uznał to oczywiście za żart, ale butelka wódki rzeczywiście pojawiła się na stoliku, razem z trzema kieliszkami. Morozow rozlał alkohol.

– Tak – odparł pogodnie Aleksander. – Powiedziano mi wczoraj, że dostanę awans. Będę teraz podpułkownikiem. Nie, dziękuję – powiedział, gdy podsunęli mu kieliszek wódki.

– Odmawiacie, towarzyszu Biełow?

– Jestem majorem. – Aleksander wstał. – A wy macie jakiś stopień? – Odczekał chwilę. Mężczyzna nie odpowiedział. – Myślę, że nie. Nie nosicie munduru, bo go nie macie. Nie będę z wami pił. I nie usiądę, dopóki się nie dowiem, czego ode mnie chcecie. Z radością będę z wami współpracował, towarzysze – dodał – ale nie obrażajcie mnie, udając, że jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Czekam na wyjaśnienie, co się tutaj dzieje.

– Jesteście aresztowani.

– Ach, tak. Więc nici z awansu? Szkoda. Byłem podpułkownikiem od czwartej rano, czyli tylko dziesięć godzin. Ale nadal nie powiedzieliście mi, czego ode mnie chcecie. Bo chyba sami tego nie wiecie. Może pójdziecie i znajdziecie kogoś, kto będzie mi mógł wszystko wyjaśnić? A tymczasem każcie mnie odprowadzić do celi i przestańcie marnować mój czas.

– Majorze! – wykrzyknął Morozow. Tym razem jego głos nie zabrzmiał już tak uprzejmie. Jednak obaj mężczyźni pili wódkę. Aleksander się uśmiechnął. Jeśli zostaną w klasie i będą nadal pić, sami odprowadzą go na radziecko-fińską granicę, tłumacząc mu wszystko po angielsku. Nazywali go majorem. Aleksander doskonale rozumiał panujące w armii prawa. Najważniejsze z nich brzmiało, że nigdy nie wolno odzywać się niegrzecznie do wyższych rangą. Panujący w wojsku porządek był niewzruszony i nikt nie ośmielał się go kwestionować.

– Majorze – powtórzył Morozow. – Zostaniecie tutaj.

Aleksander usiadł na krześle.

Mitterand powiedział coś cicho do młodego strażnika stojącego przy drzwiach. Aleksander nie słyszał pojedynczych słów, ale mniej więcej zrozumiał treść. Jego sprawa nie tylko wymykała się spod kontroli Morozowa, ale zupełnie go przerastała. Mogła się nią zająć tylko znacznie grubsza ryba. I z pewnością wkrótce się tu zjawi. Na razie jednak będą sami próbowali go złamać.

– Załóżcie ręce na kark, majorze – powiedział Morozow.

Aleksander rzucił papierosa na ziemię i zgasił go końcem buta. Wstał.

Zabrali mu broń i nóż, przeszukali też plecak. Kiedy znaleźli cztery bandaże, pióra i białą sukienkę Tatiany, czyli nic godnego uwagi, postanowili zerwać mu z piersi medale. Zdarli mu też dystynkcje z ramion i powiedzieli, że nie jest już majorem i nie ma praw do tego tytułu. Nadal jednak nie wyjaśnili, o co jest oskarżony, ani nie zadali żadnych pytań.

Trzymali w rękach jego plecak. Kiedy poprosił, by mu go oddali, roześmieli się głośno. Spojrzał na niego niemal bezradnie, wiedząc, że w środku znajduje się sukienka Tatiany. Jeszcze jedna rzecz, którą podepczą, którą będzie musiał porzucić.

Odprowadzono go do betonowej celi bez okna, w której nie było ani Uspieńskiego, ani Majkowa. Nie miał tam krzesła, łóżka ani koca. Był zupełnie sam, a jedynym źródłem tlenu były otwierane przez strażnika drzwi i umieszczone w nich niewielkie okratowane okienko. Odrobina tlenu wpadała też do środka przez wizjer, przez który go obserwowano, i niewielką dziurę w suficie, prawdopodobnie wpuszczano tędy do środka trujący gaz.

Zostawili mu zegarek, a ponieważ ograniczyli się wyłącznie do przeszukania plecaka, nie znaleźli ukrytych w butach lekarstw. Czuł jednak, że nie są tam bezpieczne. Gdzie je schować? Zdjął buty i wyjął strzykawkę, fiolkę z morfiną i buteleczkę z sulfamidami. Wsunął wszystko do kieszeni kalesonów. Będą musieli przeszukać go bardzo dokładnie, by znaleźć je właśnie tam.

Kiedy się schylił, przypomniał o sobie piekący ból w plecach. Wraz z upływem czasu czuł, że rana robi się coraz większa i puchnie. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zrobić sobie zastrzyku z morfiny, ale szybko się rozmyślił. Nie wiedział, co go czeka, lecz chciał stawić temu czoło z jasnym umysłem. Przełknął jednak jedną gorzką tabletkę sulfamidów. Nie miał w czym jej rozpuścić, a nie chciał prosić o wodę. Pogryzł ją więc, wzdrygając się, gdy poczuł na języku jej smak. Potem usiadł na podłodze. Wiedział, że nie mogą go obserwować, bo w celi jest bardzo ciemno. Zamknął oczy. A może nadal pozostały otwarte? No cóż, właściwie nie miało to żadnego znaczenia. Siedział i czekał. Czy minął już dzień? Tylko jeden? Bardzo chciał zapalić, jednak siedział bez ruchu. Czy Sayers i Tatiana już wyjechali? Czy Tania pozwoliła się przekonać, zmusić do wyjazdu, pocieszyć? Czy zabrała swoje rzeczy i wsiadła do ciężarówki Sayersa? Czy uciekli już z Morozowa? Aleksander nie dałby za to głowy. Bał się, że Sayers mimo wszystko nie wytrzymał, że nie zdołał przekonać Tatiany i ona nadal tu jest. Jeśli Tatiana nadal jest w Morozowie, to gdy zaczną go przesłuchiwać na serio i dowiedzą się o niej, będzie po nim. Na myśl, że ona może być tak blisko, prawie zabrakło mu tchu. Musi zwodzić NKWD jeszcze przez jakiś czas, by upewnić się, że jednak wyjechała. Im szybciej ona to zrobi, tym szybciej on będzie się mógł oddać w ręce władz.

Wydawało się, że Tatiana jest tak blisko. Mógł niemal wyciągnąć rękę po plecak i dotknąć jej sukienki, by po chwili zobaczyć ją uśmiechniętą, z rozwianymi na wietrze jasnymi włosami. Tak, była bardzo blisko. Nie musiał nawet dotykać sukienki. Nie potrzebował pociechy. To ona jej potrzebowała. I tak bardzo potrzebowała jego. Jak zdoła przejść przez to wszystko sama?

Nie, koniecznie musi zacząć myśleć o czymś innym.

Okazało się jednak, że nie musi zastanawiać się zbyt długo.

– Idiota! – usłyszał nagle głos dobiegający z zewnątrz. – Jak chcecie obserwować więźnia, jeśli w celi nie ma światła? Mógł się równie dobrze zabić w tych ciemnościach. Kretyn!

Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka z lampą naftową w ręce wszedł mężczyzna, którego twarzy Aleksander nie mógł w ciemnościach rozpoznać.

– Musimy was widzieć przez cały czas – powiedział i odwrócił się. To był Mitterand.

– Kiedy w końcu ktoś mi powie, co się tutaj dzieje? – spytał Aleksander.

– Nie wy zadajecie pytania! – krzyknął Mitterand. – Nie jesteście już majorem. Jesteście niczym. Macie tu siedzieć i czekać, aż zdecydujemy się was wezwać.

Wyglądało na to, że Mitterand zjawił się w celi tylko po to, by wrzasnąć na Aleksandra i przywołać go do porządku. Kiedy wyszedł, strażnik przyniósł trzy czwarte kilograma chleba i trochę wody. Aleksander się posilił i poszukał w podłodze odpływu. Nie chciał, by w celi stale paliło się światło. Poza tym nie miał ochoty walczyć z lampą o cenny tlen. Wylał więc naftę do odpływu, pozostawiając na dnie odrobinę, która wypaliła się w ciągu dziesięciu minut. Strażnik natychmiast otworzył drzwi i wrzasnął: „Dlaczego lampa zgasła?"

– Nafta się skończyła – wyjaśnił uprzejmie Aleksander. – Macie jeszcze trochę? – Strażnik potrząsnął głową. – Nie? To szkoda.

Spał w całkowitych ciemnościach, na siedząco, opierając głowę o ścianę. Kiedy się obudził, nadal było ciemno. Nie wiedział jednak, czy aby na pewno się obudził. Śniło mu się, że otworzył oczy, a wokół panowały ciemności. Śniła mu się Tatiana i gdy się obudził, nadal o niej myślał. Sny i rzeczywistość zupełnie się wymieszały. Aleksander nie wiedział, gdzie kończy się koszmar, a zaczyna prawdziwe życie. Śniło mu się, że zamknął oczy i zasnął.

Czuł, że powoli oddala się od swojego ciała, od Morozowa, od szpitala, od swojego życia i w tym oddaleniu było mu zaskakująco dobrze. Poczuł przeraźliwe zimno i szybko wrócił do swojego skulonego, zesztywniałego ciała. Rana w plecach pulsowała i piekła. Zacisnął zęby i próbował walczyć z otaczającą go ze wszystkich stron ciemnością.

Harold i Jane Barrington, 1933

Hitler został kanclerzem Niemiec. Prezydent von Hindenburg „ustąpił z urzędu". Aleksander czuł, że w powietrzu czai się coś złego, ale nie potrafił określić co to. Dawno przestał liczyć na więcej jedzenia, nowe buty, cieplejszy płaszcz zimowy. Latem nie potrzebował przecież płaszcza. Barringtonowie spędzali lipiec na daczy w Krasnej Polanie. Wynajęli dwa pokoje od Litwinki i jej syna pijaka, który bił matkę, dopóki nie oddała mu pieniędzy otrzymanych za wynajem pokoi.

Pewnego popołudnia, kiedy na kocu rozłożonym nad stawem zjedli posiłek złożony z ugotowanych na twardo jajek, pomidorów, odrobiny makaronu i wódki dla matki („Mamo, od kiedy pijesz wódkę?"), Aleksander leżał z książką w hamaku. Nagle w lesie za sobą usłyszał jakiś hałas. Odwrócił niechętnie głowę i zobaczył rodziców. Stali niedaleko polany nad jeziorem i wrzucając kamyki do wody, cicho rozmawiali. Było to dla Aleksandra coś zupełnie nowego. Ostatnio stosunki między rodzicami stały się tak napięte, że porozumiewali się wyłącznie podniesionym głosem. W normalnych okolicznościach wróciłby zaraz do książki. Lecz ta cicha rozmowa rodziców, ich niezwykła bliskość – sam już nie wiedział, co o tym myśleć. Harold wyjął kamyki z dłoni Jane, przyciągnął ją do siebie, jedną ręką objął w pasie, a drugą ujął jej dłoń. Pocałował ją i zaczęli tańczyć. Walcowali powoli po całej polanie, a zdumiony Aleksander usłyszał, że jego ojciec śpiewa. Śpiewa!

Kiedy tak tańczyli, złączeni mocnym uściskiem, z ustami przy ustach, Aleksander poczuł, że przepełnia go szczęście i tęsknota, uczucie, jakiego nie potrafił określić ani wyrazić. Nigdy wcześniej nie oglądał rodziców w tak intymnej sytuacji i nie miało się to już nigdy powtórzyć.

Wreszcie oderwali się od siebie i spojrzeli na niego z uśmiechem.

W odpowiedzi uśmiechnął się nieśmiało. Czuł się bardzo nieswojo, ale nie potrafił oderwać od nich oczu.

Podeszli razem do hamaka. Ojciec nadal obejmował matkę ramieniem.

– Dziś jest nasza rocznica, synku.

– Twój ojciec śpiewał mi naszą piosenkę – powiedziała Jane. – Tańczyliśmy do niej w dniu naszego ślubu, trzydzieści jeden lat temu. Miałam wtedy dziewiętnaście lat. – Uśmiechnęła się do Harolda.

– Zostaniesz tutaj, synku? Poczytasz jeszcze?

– Nigdzie się nie wybieram.

– To dobrze. – Harold ujął Jane za rękę. Razem ruszyli w stronę domu.

Aleksander wrócił do książki, lecz po godzinie przewracania kartek nie mógł sobie przypomnieć ani jednego słowa z tego, co przed chwilą przeczytał.

Zima nadeszła zbyt szybko. W czwartkowe wieczory po kolacji Harold brał Aleksandra za rękę i razem wędrowali na Arbat – moskiewską ulicę muzyków, poetów i bardów oraz starszych dam sprzedających *ciaszki* jeszcze z czasów cara. Nieopodal Arbatu, w niewielkim zadymionym dwupokojowym mieszkaniu zbierała się grupa cudzoziemców i Rosjan. Wszyscy byli zagorzałymi komunistami i spotykali się na dwie godziny, by pić, palić i dyskutować o tym, jak poprawić komunizm w Związku Radzieckim, jak przyspieszyć powstanie społeczeństwa pozbawionego podziałów klasowych; społeczeństwa, w którym nie będzie potrzebny aparat państwowy, policja i armia, bo znikną z niego wszelkie przyczyny prowadzące do konfliktów.

– Marks powiedział, że jedynym źródłem konfliktów są różnice między klasami. Jeśli one znikną, policja nie będzie do niczego potrzebna. Obywatele, na co czekamy? Czyż nie trwa to dłużej, niż sądziliśmy? – To Harold.

Do dyskusji wtrącił się nawet Aleksander, powtarzając zdanie, które gdzieś przeczytał: „Dopóki istnieje państwo, nie ma mowy o wolności. Kiedy zapanuje wolność, nie będzie państwa". Harold uśmiechnął się z aprobatą, słysząc, jak jego syn cytuje Lenina.

Na zebraniach Aleksander zaprzyjaźnił się z sześćdziesięcioletnim Sławanem. Ten zniszczony przez czas mężczyzna wyglądał tak, jakby miał zmarszczki nawet na czaszce, lecz jego oczy lśniły ostrym błękitem, a na

ustach zawsze gościł złośliwy uśmieszek. Mówił niewiele, ale Aleksandrowi spodobał się ironiczny wyraz jego twarzy i ciepło, które pojawiało się w oczach, gdy tylko chłopiec patrzył w jego stronę.

Po dwóch latach spotkań Harolda i piętnastu innych uczestników wezwano do Obkomu – Komitetu Okręgowego – gdzie zasugerowano, by podczas zebrań koncentrowali się na innych sprawach, a nie na poprawie funkcjonowania komunizmu w Rosji, gdyż zakładało to z góry, że nie funkcjonuje on najlepiej. Kiedy Aleksander dowiedział się o tym od ojca, zapytał od razu, skąd Partia wie, o czym grupa pijanych mężczyzn rozmawia raz w tygodniu we czwartek w pięciomilionowym mieście. Harold odpowiedział, powołując się na Lenina: „To prawda, że wolność jest bardzo cenna. Tak cenna, że należy ją racjonować. Najwyraźniej znaleźli jakiś sposób, żeby dowiedzieć się, o czym dyskutujemy. Może to ten Sławan. Na twoim miejscu przestałbym z nim rozmawiać".

– To nie on, tato.

Po tym ostrzeżeniu zebrania nadal odbywały się we czwartki, lecz teraz czytano na głos fragmenty *Co zrobić?* Lenina, *Manifestu komunistycznego* Marksa i pamflety Róży Luksemburg.

Harold często przywoływał słowa aprobaty, które padały z ust amerykańskich zwolenników komunizmu, by pokazać, że radziecki komunizm zyskuje międzynarodowe uznanie i że jego dominacja jest tylko kwestią czasu.

– Posłuchajcie, jak przed śmiercią wyraziła się o Leninie Isadora Duncan – powiedział pewnego wieczoru i zacytował: – „Inni kochają siebie, pieniądze, teorie, władzę. Lenin kochał swoich rodaków... Lenin był Bogiem, tak jak Bogiem był Chrystus, ponieważ Bóg jest miłością, a Chrystus i Lenin byli wyłącznie miłością".

Słysząc słowa ojca, Aleksander uśmiechnął się z aprobatą.

Pewnego wieczoru, w czasie trwającego wiele godzin zebrania, piętnastu mężczyzn, z wyjątkiem Sławana, próbowało wytłumaczyć czternastoletniemu Aleksandrowi znaczenie „odejmowania wartości". Jakim sposobem dana rzecz – na przykład buty – może kosztować po

wykonaniu mniej niż suma wartości pracy włożonej w ich wykonanie i zużytych do produkcji materiałów.

– Czego nie rozumiesz?! – wrzasnął sfrustrowany komunista, który za dnia pracował jako inżynier.

– Jak można zarobić na sprzedaży butów.

– A kto mówi o zarabianiu? Nie czytałeś *Manifestu komunistycznego*?

– Czytałem.

– Nie pamiętasz, co powiedział Marks? Różnica pomiędzy sumą, jaką fabryka wypłaca robotnikowi za wytworzenie butów, a ich rzeczywistym kosztem to zysk kapitalistów, który powstaje z wyzysku proletariatu. Właśnie to komunizm próbuje wyeliminować. Nie słuchałeś uważnie?

– Słuchałem, ale odejmowanie wartości to nie tylko eliminowanie zysku – odparł Aleksander. – Odejmowanie wartości oznacza, że koszt wytworzenia butów jest wyższy niż cena, za jaką można je sprzedać. Kto pokryje tę różnicę?

– Państwo.

– A skąd weźmie na to pieniądze?

– Przez jakiś czas będzie płaciło robotnikom mniej za wytworzenie tych butów.

Aleksander milczał przez chwilę.

– Rozumiem, że w okresie szalejącej na całym świecie inflacji Związek Radziecki będzie wypłacał robotnikom mniej pieniędzy? Ile mniej?

– Mniej i tyle.

– A jakim sposobem my będziemy mogli kupić te buty?

– Na razie nie będziemy mogli. Będziemy musieli nosić zeszłoroczne. Dopóki państwo nie stanie na nogi. – Inżynier się uśmiechnął.

– Celna uwaga – powiedział spokojnie Aleksander. – Ale państwo stanęło już chyba na nogi, skoro stać je na pokrycie kosztów rolls-royce'a Lenina, prawda?

– A co rolls-royce Lenina ma wspólnego z tematem naszej rozmowy?! – wrzasnął inżynier. Sławan się roześmiał. – Związek Radziecki da sobie

radę. Na razie jest jeszcze w powijakach. Jeśli będzie to tego zmuszony, pożyczy pieniądze za granicą.

– Z całym szacunkiem, towarzyszu, żaden kraj na świecie nie pożyczy Związkowi Radzieckiemu ani grosza – powiedział Aleksander. – W 1917 roku po rewolucji anulowano całe zadłużenie zagraniczne. Przez długi czas nie zobaczymy ani grosza. Wszystkie banki na świecie zatrzasnęły drzwi przed Związkiem Radzieckim.

– Musimy być cierpliwi. Nie da się wprowadzić zmian z dnia na dzień. A ty powinieneś myśleć bardziej pozytywnie. Haroldzie, czego ty uczysz swojego syna?

Harold nie odpowiedział, a w drodze do domu spytał:

– Co cię opętało, Aleksandrze?

– Nic. – Chciał wziąć ojca za rękę, jak zawsze, ale pomyślał nagle, że jest już na to za duży. Przez chwilę szedł obok niego w milczeniu, lecz w końcu ujął dłoń ojca. – Z jakiegoś powodu zasady ekonomii nie chcą tu zadziałać. A to rewolucyjne państwo zbudowano przede wszystkim na ekonomii i przewidziano wszystko, tylko nie to, jak opłacać robotników. Ci nie czują się już jak proletariat, bardziej jak należące do państwa fabryki i maszyny. Jesteśmy tutaj od trzech lat. Właśnie skończyliśmy pierwszy plan pięcioletni. Jest mało jedzenia, sklepy świecą pustkami i… – Chciał dodać: coraz więcej ludzi znika, ale się rozmyślił.

– A jak myślisz, co się dzieje w Ameryce? – spytał Harold. – Trzydziestoprocentowe bezrobocie. Myślisz, że tam jest lepiej? Cały świat cierpi. Spójrz tylko na Niemcy i szalejącą tam inflację. Teraz Adolf Hitler obiecuje Niemcom, że ich kłopoty nareszcie się skończą. Może mu się uda. Niemcy z pewnością mają taką nadzieję. Towarzysze Lenin i Stalin obiecali to samo mieszkańcom Związku Radzieckiego. Jak Stalin nazwał Rosję? Drugą Ameryką, prawda? Musimy więc głęboko wierzyć i niebawem wszystko się ułoży. Zobaczysz.

– Wiem, tato. Może masz rację. Ale wiem też, że państwo musi jakoś płacić ludziom. Ile mniej może płacić tobie? Już nie stać nas na mleko i mięso, których zresztą nie można nigdzie kupić. Będzie ci płacić coraz

mniej i mniej, a co potem? Szybko dojdą do wniosku, że potrzebują więcej pieniędzy, by rządzić krajem, a twoja praca to w rachunku ekonomicznym najwyższy zmienny koszt. I co zrobią? Będą ci co roku obniżać pensję… do jakiej granicy?

– Czego się boisz? – Harold ścisnął syna za rękę. – Kiedy dorośniesz, znajdziesz sobie dobrą pracę. Nadal chcesz być architektem? To będziesz. Masz przed sobą piękną karierę.

– Boję się – odparł Aleksander, uwalniając dłoń z uścisku ojca – że niewiele czasu upłynie, a ja, a my wszyscy staniemy się tylko trwałym kapitałem, niczym więcej.

Rozdział szósty

Edward i Vikki, 1943

Tatiana siedziała przy oknie, przytulając do siebie jedną ręką dwutygodniowego synka. W drugiej trzymała książkę. Siedziała z zamkniętymi oczami. Kiedy usłyszała za sobą oddech, natychmiast je otworzyła.

O kilka kroków od niej stał Edward Ludlow z wyrazem zaciekawienia i troski na twarzy. Rozumiała go. Po przyjściu na świat Anthony'ego zamknęła się w sobie i niewiele mówiła. Nie uważała tego zresztą za coś niezwykłego. Wiele zjawiających się tutaj osób trwało w milczeniu, jakby bezmiar tego, co zostawili za sobą, i tego, co ich czeka, przytłaczał ich niczym wielki, niemożliwy do udźwignięcia ciężar. Siedzieli więc w małych białych pokojach, patrząc pustym wzrokiem na kamienne szaty Statuy Wolności.

– Bałem się, że upuścisz dziecko – powiedział. – Nie chciałem cię przestraszyć...

Pokazała mu, jak mocno trzyma Anthony'ego.

– Nie martw się.

– Co czytasz?

Spojrzała na książkę.

– Nie czytam... siedzę tylko – trzymała w ręce *Jeźdźca Miedzianego i inne poematy* Aleksandra Puszkina.

– Dobrze się czujesz? Jest środek popołudnia. Nie chciałem cię budzić.

Potarła oczy. Dziecko nadal spało.

– To dziecko nigdy nie śpi w nocy, tylko w dzień.

– Zupełnie jak jego matka.

– Matka jest do jego dyspozycji. – Uśmiechnęła się. – Wszystko w porządku?

– Tak, tak – odpowiedział szybko. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że przyszedł pracownik INS[1], żeby z tobą porozmawiać.

– Czego chce?

– Czego? Chce ci dać szansę pozostania w Stanach Zjednoczonych.

– Myślałam, że skoro mój syn… skoro urodził się na amerykańskim gruncie…

– Amerykańskiej ziemi – poprawił ją łagodnie. – Prokurator generalny chce osobiście zbadać twój przypadek. – Urwał na chwilę. – Podczas wojny do Stanów Zjednoczonych nie przybywa zbyt wielu pasażerów na gapę, musisz to zrozumieć. Zwłaszcza ze Związku Radzieckiego. To niezwykły przypadek.

– Czy on wie, że spotkanie ze mną może być niebezpieczne? – spytała Tatiana. – Powiedziałeś mu, że mam gruźlicę?

– Tak. Założy maseczkę. A tak nawiasem mówiąc, jak się czujesz? Plułaś krwią?

– Nie. I nie mam już gorączki. Czuję się o wiele lepiej.

– Wychodziłaś na spacer?

– Tak. Słone powietrze dobrze mi robi.

– Racja. – Spojrzał na nią poważnie. Odpowiedziała mu pełnym powagi spojrzeniem. – Słone powietrze jest bardzo zdrowe. – Odchrząknął i ciągnął dalej. – Wszystkie pielęgniarki nie mogą wyjść ze zdumienia, że malec nie zaraził się gruźlicą.

– Wyjaśnij im, Edwardzie – odparła – że gdybym miała gruźlicę przez cały rok i codziennie odwiedzałoby mnie dziesięć tysięcy ludzi, to zaraziłoby się tylko od dziesięciu do szesnastu osób. Ta choroba nie jest aż tak zaraźliwa, jak się powszechnie uważa. Przyślij więc tutaj tego człowieka z INS, jeśli się nie boi. Ale musisz go ostrzec, że ryzyko zawsze istnieje. I powiedz mu, że nie mówię zbyt dobrze po angielsku.

Edward powiedział z uśmiechem, że radzi sobie całkiem nieźle i spytał, czy chce, żeby z nią został.

– Nie. To nie będzie konieczne, ale dziękuję.

Tom, pracownik INS, rozmawiał z nią przez piętnaście minut, by sprawdzić, czy opanowała podstawy angielskiego. Opanowała. Spytał, co potrafi robić. Powiedziała mu, że jest pielęgniarką, ale potrafi też szyć i gotować.

– No cóż, w czasie wojny zawsze brakuje pielęgniarek – powiedział.

– Tak, zwłaszcza tutaj, na wyspie – odparła Tatiana. Pomyślała, że Brenda bez wątpienia minęła się z powołaniem.

– Nie mamy zbyt wielu podobnych przypadków.

Nie odpowiedziała.

– Chce pani zostać w Stanach Zjednoczonych?

– Oczywiście.

– Sądzi pani, że będzie pani mogła podjąć pracę, by pomóc naszemu krajowi w czasie wojny?

– Naturalnie.

– Nie pozostanie pani na utrzymaniu społeczeństwa? W czasie wojny to dla nas bardzo ważne. Rozumie pani? Prokurator generalny musi się gęsto tłumaczyć za każdym razem, gdy pozwoli pozostać w kraju osobie takiej jak pani. Teraz w Stanach panuje ogromny zamęt. Musimy być pewni, że pani pobyt tutaj nie będzie dla nikogo ciężarem i że okaże się pani lojalna w stosunku do swego nowego kraju, a nie starego.

– Tym proszę się nie martwić – odparła. – Kiedy tylko wyleczę się z gruźlicy i pozwolą mi pracować, znajdę szybko jakieś zajęcie. Zostanę pielęgniarką, szwaczką albo kucharką. Jeśli zajdzie taka potrzeba, mogę wykonywać wszystkie te prace. Gdy wrócę do zdrowia, będę robić wszystko.

Jakby przypominając sobie nagle, że Tatiana jest chora na gruźlicę, Tom wstał i podszedł do drzwi, przyciskając maseczkę do ust.

– Gdzie będzie pani mieszkać? – spytał stłumionym głosem.

– Chcę zostać tutaj.

– Gdy pani wyzdrowieje, musi pani znaleźć jakieś mieszkanie.

– Znajdę. Proszę się nie martwić.

Skinął głową i zapisał coś w notesie.

– Jakie nazwisko chce pani przyjąć? Z dokumentów, które pani ze sobą przywiozła, dowiedziałem się, że wydostała się pani ze Związku Radzieckiego jako pielęgniarka Czerwonego Krzyża, Jane Barrington.

– Tak.

– Jak bardzo fałszywe były te dokumenty?

– Nie rozumiem, o co panu chodzi.

Tom milczał przez chwilę.

– Kim jest Jane Barrington?

Teraz zamilkła Tatiana.

– To matka mojego męża – powiedziała w końcu.

– Barrington? – westchnął Tom. – To raczej nie jest typowe rosyjskie nazwisko?

– Mój mąż był Amerykaninem. – Spuściła wzrok.

Tom otworzył drzwi.

– Czy to właśnie nazwisko chce pani przyjąć, ubiegając się o kartę stałego pobytu?

– Tak.

– Nie rosyjskie?

Myślała już o tym.

Tom zrobił krok w jej stronę.

– Czasami przybywający do Stanów uciekinierzy chcą zachować odrobinę przeszłości. Dlatego zostawiają sobie stare imię. Zmieniają tylko nazwisko. Proszę się nad tym zastanowić.

– Ja nie chcę – odparła. – Proszę zmienić wszystko. Ja nie chcę… jak pan to ujął?… niczego zachowywać.

Zapisał coś w notesie.

– Zostajemy więc przy Jane Barrington.

Kiedy wyszedł, Tatiana otworzyła *Jeźdźca Miedzianego* i usiadła przy oknie. Spojrzała na port i Statuę Wolności. Dotknęła zdjęcia Aleksandra,

które trzymała w książce; nie patrząc na niego, dotykała jego twarzy, sylwetki w mundurze. Szeptała krótkie słowa po rosyjsku, by tym razem pocieszyć siebie; nie Aleksandra, nie jego syna, lecz siebie. Szura, Szura, Szura, szeptała Jane Barrington, znana niegdyś jako Tatiana Mietanowa.

Dni Tatiany upływały na karmieniu Anthony'ego, przebieraniu go i praniu kaftaników i pieluszek w umywalce w łazience. Chodziła też na krótkie spacery i przesiadywała na ławkach przed szpitalem, trzymając w ramionach zawiniętego w kocyk synka. Brenda przynosiła jej śniadanie do pokoju. Obiad i kolację też jadła u siebie. Kiedy Anthony nie spał, nosiła go na rękach. Oglądała tylko dwie rzeczy: nowojorski port i synka. Pociecha, którą czerpała z bliskości dziecka, gasła w zderzeniu z samotnością wypełniającą jej dni. Brenda i doktor Ludlow nazywali to rekonwalescencją, Tatiana – izolacją.

Pewnego ranka pod koniec lipca postanowiła się przejść korytarzem w czasie, gdy Anthony smacznie spał. Była już zmęczona sobą i nieustannym przesiadywaniem w pokoju, zwłaszcza że fizycznie czuła się o wiele lepiej.

Z korytarza usłyszała jęki i idąc w ich kierunku, dotarła na oddział pełen rannych mężczyzn. Dyżur pełniła Brenda – była zresztą jedyną dyżurującą pielęgniarką – i bez najmniejszych oporów okazywała pacjentom, jak bardzo jest niezadowolona z takiego obrotu spraw. Z zaciętą twarzą, ostrymi ruchami czyściła ranę na nodze jednego z żołnierzy, nie zważając na jego błagania, by robiła to delikatniej albo go zastrzeliła.

Tatiana podeszła do niej i spytała, czy nie potrzebuje pomocy. W odpowiedzi usłyszała, że ona nie życzy sobie, by chora dziewczyna zarażała jeńców, i kazała jej natychmiast wracać do pokoju. Nie ruszając się z miejsca, Tatiana patrzyła na Brendę, na otwartą ranę w udzie żołnierza, na jego szeroko otwarte oczy. W końcu powiedziała:

– Pozwól mi zabandażować mu nogę. Chciałabym pomóc. Mam przecież maseczkę. Z drugiego końca korytarza woła cię czterech rannych.

Jednemu ząb wpadł do kawy, drugi ma bardzo wysoką gorączkę, a trzeciemu leci z ucha krew.

Brenda podała jej wiaderko i wyszła, choć Tatiana widziała, że walczy ze sobą. Ciekawe, co sprawiało jej większą przykrość: opieka nad rannymi czy wyrażenie zgody, by Tatiana w końcu postawiła na swoim.

Tatiana skończyła oczyszczać ranę. Żołnierz leżał spokojnie z zamkniętymi oczami. Śpi albo umarł, pomyślała, zabandażowała mu nogę i zabrała się do dalszej pracy.

Zdezynfekowała rany ramienia i głowy, podłączyła kroplówkę i podała morfinę. Sama miała ochotę na sporą dawkę. Czy morfina może ukoić ból serca? Cały czas myślała o tym, ile szczęścia mieli niemieccy żołnierze z łodzi podwodnej, którzy jako jeńcy zostali przetransportowani do Ameryki, by tu dochodzić do zdrowia.

Nagle na oddziale pojawiła się Brenda. Widząc pochyloną nad rannym Tatianę, kazała jej wracać do pokoju, zanim zarazi gruźlicą wszystkich pacjentów. Zabrzmiało to tak, jakby ich los naprawdę ją obchodził.

Tatiana szła korytarzem, kiedy nagle przy automacie z wodą zauważyła wysoką, szczupłą dziewczynę w pielęgniarskim fartuchu. Dziewczyna płakała. Długowłosa i długonoga, zwracała uwagę swoja urodą, której nie mógł przyćmić nawet rozmazany pod zapuchniętymi oczami tusz do rzęs. Tatiana chciała się napić wody, więc przeszła niepewnie obok dziewczyny i zatrzymała się jakieś pół metra od niej. Dziewczyna zanosiła się płaczem. Tatiana ujęła ją pod łokieć.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Tak – wyszlochała dziewczyna.

– Och.

Płakała dalej. W palcach trzymała lekko już wilgotnego papierosa.

– Gdybyś tylko wiedziała, jak strasznie jestem nieszczęśliwa.

– Mogę coś dla ciebie zrobić?

Dziewczyna spojrzała na Tatianę.

– Kim jesteś?

– Możesz mówić do mnie Tania.

– Nie jesteś przypadkiem tą chorą na gruźlicę pasażerką na gapę?

– Czuję się już lepiej – odparła cicho Tatiana.

– Wcale nie nazywasz się Tania. Tom przekazał mi twoje dokumenty i sama wszystko przygotowałam. Nazywasz się Jane Barrington. Ale co mnie to wszystko obchodzi? Moje życie legło w gruzach, a my tu rozmawiamy o twoim imieniu. Chciałabym mieć takie problemy.

Tatiana szukała gorączkowo w myślach słów pocieszenia.

– Mogło być znacznie gorzej – powiedziała w końcu.

– I tu się bardzo mylisz, panienko. Gorzej już być nie może. To dno. Nic gorszego nie może mi się już przydarzyć. Nic.

Tatiana dostrzegła obrączkę na palcu dziewczyny i poczuła ogarniającą ją falę współczucia.

– Bardzo mi przykro. Chodzi o twojego męża?

Dziewczyna skinęła głową, nie podnosząc wzroku.

– To straszne. Wiem. Wszystko przez tę wojnę…

– Dno dna! – Dziewczyna kiwała żałośnie głową.

– Twój mąż… on nie wróci, prawda?

– Nie wróci? – wykrzyknęła dziewczyna. – O to właśnie chodzi! On wraca. I to szybko. Już w przyszłym tygodniu.

Zaskoczona Tatiana cofnęła się o krok.

– Dokąd idziesz? Wyglądasz, jakbyś miała zaraz zemdleć. To przecież nie twoja wina, że on wraca. Nie przejmuj się tak. W czasie wojny dziewczynom mogą się przydarzyć chyba znacznie gorsze rzeczy, tylko jakoś żadna nie przychodzi mi do głowy. Masz ochotę na kawę? Może papierosa?

Tatiana przystanęła.

– Chętnie napiję się z tobą kawy.

Usiadły w dużej jadalni przy jednym z prostokątnych stolików. Dziewczyna przedstawiła się jako Viktoria Sabatella („Ale mów do mnie Vikki”), mocno uścisnęła dłoń Tatiany i spytała:

– Jesteś tutaj z rodzicami? Od wielu miesięcy nie widziałam tutaj żadnych imigrantów. Nie ma ich na statkach. Niewielu… Co jest? Źle się

czujesz?

– Już mi lepiej – odparła Tatiana. – Jestem sama – urwała. – Z moim synem.

– No co ty! – Viktoria z trzaskiem postawiła filiżankę na stole. – Ty nie możesz mieć syna!

– Ma prawie miesiąc.

– A ty ile masz lat?

– Dziewiętnaście.

– Boże, tam skąd pochodzisz, wcześnie zaczynacie. A skąd pochodzisz?

– Ze Związku Radzieckiego.

– Co ty? Masz męża? Skąd to dziecko?

Tatiana otworzyła usta, ale Vikki ciągnęła dalej, jakby w ogóle nie zadała żadnego pytania. Zanim wzięła kolejny oddech, zdążyła powiedzieć Tatianie, że ona nigdy nie znała swojego ojca („Umarł albo zniknął, co za różnica") i nie miała bliskich kontaktów z matką („Urodziła mnie bardzo młodo"), która mieszkała w San Francisco z dwoma mężczyznami („Ale nie w jednym mieszkaniu") i udawała, że albo jest chora („Tak, psychicznie"), albo umiera („Z całej tej namiętności"). Vikki wychowywali dziadkowie ze strony matki („Kochają mamusię, ale nie aprobują jej stylu życia") i nadal z nimi mieszka („To wcale nie jest takie zabawne, jak myślisz"). Początkowo chciała zostać dziennikarką, potem manikiurzystką („Oba te zawody opierają się na pracy rąk, więc to naturalne") i wreszcie postanowiła zostać pielęgniarką („Bardziej zostałam do tego zmuszona"), kiedy zaczęło się wydawać, że wojna w Europie wciągnie w swój wir także Stany Zjednoczone. Tatiana słuchała potoku słów Vikki z uwagą, kiedy ta nagle spojrzała na nią uważnie i spytała:

– Z kim tutaj jesteś?

– Z synem.

– Masz męża?

– Kiedyś miałam.

– Tak? – westchnęła Vikki. – Też chciałabym mieć go… kiedyś.

W tym momencie rozmowę obu dziewcząt przerwało pojawienie się kościstej, wysokiej, elegancko ubranej kobiety w białym kapeluszu, która szła przez jadalnię, wymachując energicznie białą torebką.

– Vikki! – krzyknęła. – Do ciebie mówię! Vikki! Widziałaś go?

Vikki westchnęła i przewróciła oczami.

– Nie, proszę pani. Dzisiaj go nie widziałam. Jest chyba na uniwersytecie. Tutaj przyjeżdża po południu we wtorki i czwartki.

– Po południu? Nie ma go na uniwersytecie! I skąd tak dobrze znasz jego rozkład zajęć?

– Pracuję z nim od dwóch lat.

– Ja jestem jego żoną od ośmiu i nie mam pojęcia, gdzie się, do cholery, podziewa. – Podeszła do stolika i spojrzała podejrzliwie na Tatianę. – A to co za jedna?

Tatiana podciągnęła wiszącą na szyi maseczkę na twarz.

– Ona jest ze Związku Radzieckiego – wyjaśniła Vikki. – Słabo mówi po angielsku.

– Powinna się nauczyć, skoro chce w tym kraju zarabiać na życie. Toczymy wojnę, nie będziemy nikogo utrzymywać. – Kobieta, wymachując torebką, która o mało nie wylądowała na głowie Tatiany, wypadła z jadalni.

– Kto to był?

Vikki machnęła ręką.

– Nie zwracaj na nią uwagi. Im mniej będziesz o niej wiedziała, tym lepiej. To szurnięta żona doktora Ludlowa. Wpada tutaj raz w tygodniu i szuka męża.

– Dlaczego go gubi?

Vikki się roześmiała.

– Powinnaś chyba zapytać, dlaczego doktor Ludlow tak często jej ginie.

– No dobra, dlaczego?

Vikki machnęła ręką. Tatiana zrozumiała, że jej nowa znajoma nie chce rozmawiać o doktorze. Przyjrzała się jej uważnie. Vikki była absolutnie świadoma własnej urody i robiła wszystko, by zaprezentować ją światu w całej okazałości. Długie, lśniące włosy opadały miękką falą na ramiona,

oczy podkreślał czarny ołówek i rozmazany teraz tusz, a na pełnych wargach widać było cień czerwonej szminki. Zgrabną figurę opinał biały, nieco zbyt krótki fartuch. Tatiana zastanowiła się, jak ranni mężczyźni reagują na tyle… wdzięków.

– Vikki, dlaczego płaczesz? Nie kochasz męża?

– Kocham go, kocham. Chciałabym tylko móc go kochać z odległości niemal dziesięciu tysięcy kilometrów. – Zniżyła głos. – To nie jest odpowiednia pora na powrót.

– Na powrót męża do żony? A kiedy jest na to odpowiednia pora?

– Nie spodziewałam się go. – Znów zaczęła płakać, a łzy kapały prosto do filiżanki. Tatiana przezornie ją odsunęła, żeby Vikki mogła dopić kawę, jeśli będzie miała na to ochotę.

– A kiedy się go… jakie to było słowo? …spodziewałaś?

– Na Boże Narodzenie!

– Dlaczego wraca tak wcześnie?

– Zestrzelili go nad Pacyfikiem. Uwierzysz?

Tatiana patrzyła na nią zdumiona.

– Nic mu nie jest – rzuciła obojętnie Vikki. – To tylko draśnięcie. Powierzchowna rana ramienia. Kiedy go trafili, przeleciał jeszcze około stu pięćdziesięciu kilometrów. Rana nie może więc być poważna.

Tatiana wstała od stolika.

– Muszę nakarmić synka.

– Chris będzie bardzo nieszczęśliwy.

– Kto?

– Doktor Pandolfi. Nie poznałaś go? Przychodzi tutaj z doktorem Ludlowem.

Chris Pandolfi. Pamięta go doskonale.

– Tak, poznałam go. – Pandolfi wszedł na pokład statku, na którym przypłynęła do Stanów, i postanowił, że nie pomoże jej urodzić dziecka na amerykańskiej ziemi. Chciał ją odesłać do Związku Radzieckiego. A przecież już odeszły jej wody i na dodatek była chora na gruźlicę. Edward Ludlow ostro wówczas zaprotestował i polecił, by Pandolfi pomógł Tatianie

dotrzeć na wyspę Ellis. Poklepała Vikki po ramieniu. Nie była pewna, czy Chris Pandolfi jest aż tak dobrą partią.

– Wszystko będzie dobrze, Viktorio. Może powinnaś dać sobie spokój z tym lekarzem. Twój mąż wraca do domu. Masz wielkie szczęście.

Viktoria wstała i ruszyła korytarzem za Tatianą.

– Mów do mnie Vikki – powiedziała. – Czy mogę nazywać cię Jane?

– Jak?

– Przecież tak masz na imię?

– Możesz do mnie mówić Tania.

– Dlaczego mam mówić do ciebie Tania, jeśli masz na imię Jane?

– Jestem Tania. Imię Jane figuruje tylko w dokumentach. – Vikki patrzyła na nią, nic nie rozumiejąc. – A zresztą, mów do mnie, jak chcesz.

– Kiedy wychodzisz?

– Wychodzę?

– Z Ellis.

Tatiana zamyśliła się na chwilę.

– Chyba nigdy stąd nie wyjdę – powiedziała. – Nie mam dokąd pójść.

Vikki weszła za nią do pokoju i spojrzała na śpiącego w łóżeczku malca.

– Jest taki malutki – powiedziała, dotykając jasnych włosów Tatiany. – Czy jego ojciec miał ciemne włosy?

– Tak.

– Jak to jest być matką?

– Jest...

– Kiedy poczujesz się lepiej, musisz mnie koniecznie odwiedzić. Chcę, żebyś poznała babcię i dziadka. Uwielbiają małe dzieci. Stale mnie męczą, żebym się postarała o dziecko. – Potrząsnęła głową. – Boże, pomóż mi. – Raz jeszcze spojrzała na Anthony'ego. – Jest słodki. Szkoda, że jego ojciec nigdy go nie widział.

– Tak. – Tatiana nie potrafiła powiedzieć nic więcej.

Chłopczyk był taki bezradny. Nie potrafił się odwrócić na brzuszek ani podnieść główki. Tak trudno było go ubierać – bezwładne rączki i główka stanowiły prawdziwe wyzwanie dla matczynych umiejętności Tatiany.

W niektóre dni owijała go tylko w pieluszkę i przykrywała kocykiem. Nie miała dla niego żadnych ubranek z wyjątkiem pary kaftaników, które przyniósł Edward. Latem było na szczęście ciepło i dzięki Bogu nie musiała się z nimi męczyć. Zawsze miała z tym kłopot, bo główka nie chciała przejść przez wycięcie kaftanika, a rączki wsunąć się w długie rękawy. Kąpanie synka było jeszcze gorsze. Pępek jeszcze się nie zagoił, więc myła jego małe ciałko myjką. Szło całkiem nieźle, ale mycie głowy przekraczało zupełnie jej możliwości. Synek nie mógł jeszcze pomóc, nie umiał podnieść rąk do góry ani siedzieć nieruchomo. Główka odchylała mu się niebezpiecznie do tyłu, małe ciałko wysuwało się z rąk, nóżki kiwały niebezpiecznie nad umywalką. Żyła w nieustannym strachu, że go upuści, że wyśliźnie się jej z rąk i upadnie na pokrytą czarno-białymi kafelkami podłogę. Jego całkowite uzależnienie budziło w niej całą gamę sprzecznych uczuć: od niepokoju po dławiącą w gardle czułość. Zgodnie z wielkim planem natury potrzebował jej jak nikt, i to sprawiło, że czuła się coraz silniejsza.

A musiała być silna. Bardzo często, kiedy Anthony spał, czuła bolesne pulsowanie w głowie i słabość ogarniającą nogi i ręce; bała się, że zsunie się z parapetu i spadnie na betonową podłogę.

W takich chwilach odkrywała synka i dotykała go, jakby dzięki temu mogła odnaleźć w sobie nowy zapas sił. Wyjmowała go z łóżeczka i przytulała do piersi, gdzie spał dalej z główką na jej sercu. Miał bardzo długie nogi i ręce i kiedy go pieściła, wyobrażała sobie inną matkę, która patrzyła na ciemnowłosego jak Anthony malca. Dotykała go, karmiła i pieściła, bo całe życie czekała, by urodzić tego właśnie synka.

---

1 INS – Immigration and Naturalization Service. Wydział zajmujący się sprawami imigracji i naturalizacji obywateli (przyp. tłum.).

Rozdział siódmy

Przesłuchanie, 1943

Usłyszał głosy na zewnątrz i po chwili drzwi otworzyły się z hukiem.

– Aleksander Biełow?

Już miał powiedzieć: „Tak", lecz z jakiegoś powodu pomyślał nagle o Romanowych rozstrzelanych w środku nocy w małej betonowej celi. Czy to był środek nocy? Wciąż tej samej nocy? Następnej? Zapytał więc jedynie:

– Mam iść z wami?

– Tak.

Ruszył za strażnikiem do małego pokoju na górze. Tym razem nie była to klasa, lecz stary składzik, może dyżurka pielęgniarek.

Kazano mu usiąść na krześle. Potem kazano wstać. Znów usiąść. Za oknami nadal było ciemno. Nie wiedział, która jest godzina. Kiedy zapytał, usłyszał ostre „Milczeć!" Postanowił nie ponawiać pytania. Po kilku chwilach do pokoju weszło dwóch mężczyzn. Jednym z nich był gruby Mitterand, drugiego nie znał.

Drugi mężczyzna zaświecił mu latarką prosto w twarz. Zamknął oczy.

– Otwórzcie oczy, majorze!

– Władimirze, daj spokój – powiedział cicho Mitterand. – Możemy to załatwić inaczej.

Dobrze, że mówią do niego majorze. Oznaczało to, że nadal nie zjawił się pułkownik, który mógłby go przesłuchiwać. Tak jak podejrzewał, w Morozowie nie było nikogo, kto mógłby się tym zająć. Musieli go odstawić do Wołchowa, gdzie sprawy przybrałyby dla niego zupełnie inny obrót, ale nie chcieli ryzykować dalszej utraty ludzi podczas przeprawy

przez jezioro. Już raz im się nie udało. Wiedział, że w końcu znajdzie się na drugim brzegu, ale aby tak się stało, najpierw musi puścić lód. Może będzie musiał spędzić w celi w Morozowie miesiąc. Czy wytrzyma jeszcze jedną minutę?

– Majorze Biełow – zaczął Mitterand – polecono mi poinformować was, że zostaliście aresztowani za zdradę stanu. Jesteśmy w posiadaniu dokumentów oskarżających was o szpiegostwo i zdradę ojczyzny. Co macie do powiedzenia w tej sprawie?

– Wszystkie oskarżenia są bezpodstawne – odparł Aleksander. – Coś jeszcze?

– Zostaliście uznani za szpiega!

– To nieprawda.

– Poinformowano nas, że używacie fałszywego nazwiska.

– To nieprawda, noszę swoje własne nazwisko.

– Mamy przed sobą krótkie oświadczenie. Chcielibyśmy, żebyście je podpisali. To potwierdzenie, że na mocy Kodeksu kryminalnego z tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku, artykuł 58, poinformowaliśmy was o przysługujących wam prawach.

– Niczego nie podpiszę.

– Żołnierz, który leżał obok was w szpitalu, powiedział nam, że słyszał, jak rozmawialiście po angielsku z lekarzem Czerwonego Krzyża. Lekarz ten odwiedzał was codziennie. Czy to prawda?

– Nie.

– Dlaczego ten lekarz was odwiedzał?

– Nie wiem, czy wiecie, dlaczego żołnierze trafiają na oddział beznadziejnych przypadków, ale tak się złożyło, że zostałem ranny. Może powinniście porozmawiać z moimi zwierzchnikami. Major Orłow…

– Orłow nie żyje! – rzucił ostro Mitterand.

– Przykro mi to słyszeć. – Aleksander się wzdrygnął. Orłow był bardzo dobrym dowódcą. Nie tak dobrym jak Michaił Stiepanow, ale tamtemu trudno było dorównać.

– Majorze, oskarżono was o wstąpienie do wojska pod fałszywym nazwiskiem. Oskarżono was, że jesteście Amerykaninem o nazwisku Aleksander Barrington. Zarzuca się wam również, że uciekliście z pociągu wiozącego was do obozu pracy we Władywostoku, gdzie mieliście odbyć karę za agitację antyradziecką i szpiegostwo.

– To wszystko wierutne kłamstwa. Gdzie jest mój oskarżyciel? Chciałbym go poznać. – Która to noc? Czy przynajmniej następna? Czy Tatiana i Sayers wydostali się już z Morozowa? Wiedział, że jeśli tak, to na pewno zabrali ze sobą Dmitrija. W takiej sytuacji NKWD nie mogłoby już utrzymywać, że istnieje jakiś oskarżyciel, bo on sam zniknął jak jeden z ministrów politbiura Stalina. – Chcę dotrzeć do sedna tej sprawy tak samo jak wy – powiedział z uczynnym uśmiechem. – A może jeszcze bardziej. Gdzie on jest?

– Milczeć! – wrzasnął Mitterand. – To my zadajemy pytania! – kłopot polegał na tym, że nie mieli więcej pytań. Powtarzali więc w kółko jedno i to samo:

– Czy jesteście Amerykaninem o nazwisku Aleksander Barrington?

– Nie – odpowiadał Amerykanin o nazwisku Aleksander Barrington. – Nie wiem, o czym mówicie. – Nie miał pojęcia, ile to już trwa. Świecili mu latarką prosto w twarz; zamykał oczy. Kazali mu wstać, co potraktował jako okazję do rozprostowania nóg. Stał z radością przez blisko godzinę i z żalem przyjął komendę, by usiadł. Nie wiedział, czy minęła dokładnie godzina, lecz aby zająć się czymś podczas tego nudnego przesłuchania, zaczął liczyć mijające sekundy. Zadanie pytania: „Czy jesteście Amerykaninem o nazwisku Aleksander Barrington?", i udzielenie przez niego odpowiedzi: „Nie. Nie wiem o czym mówicie", zajmowało siedem sekund. Dwanaście, jeśli odpowiadał bardzo wolno, szurał stopami po podłodze, przewracał oczami albo ciężko wzdychał. W pewnej chwili zaczął ziewać i nie mógł się powstrzymać przez trzydzieści sekund. W ten sposób czas zdawał się płynąć szybciej.

To samo pytanie zadali mu sto czterdzieści siedem razy. Mitterand musiał się przy tym wspomóc sześcioma kieliszkami wódki. Wreszcie

przekazał pałeczkę Władimirowi, który pił mniej i radził sobie znacznie lepiej. W pewnej chwili zapytał nawet Aleksandra, czy ma ochotę na kieliszek. Odmówił uprzejmie, wdzięczny za niespodziewaną przerwę w nudnym przesłuchaniu. Wiedział, że nie wolno mu przyjmować niczego, co mu zaproponują, bo w ten sposób chcieli sobie zaskarbić jego wdzięczność.

Szybko się przekonali, że trafili na twardego przeciwnika. Sto czterdzieści siedem razy później purpurowy ze złości Władimir rzucił:

– Zabrać go z powrotem do celi. – A po chwili dodał: – Zmusimy was do przyznania się, majorze. Wiemy, że wszystkie oskarżenia są prawdziwe i już nasza w tym głowa, byście się do nich przyznali.

Kiedy partyjni funkcjonariusze przesłuchiwali więźniów z zamiarem jak najszybszego ich skazania i wysłania do obozu pracy, wszyscy najczęściej zdawali sobie sprawę z odgrywanej komedii. Prowadzący przesłuchanie wiedzieli doskonale, że oskarżenia są fałszywe; wiedzieli to też więźniowie zaskoczeni stawianymi im oskarżeniami. Jednak w obliczu przedstawianej im alternatywy nie mieli już siły, by zaprzeczać zmyślonym faktom. Mieszkaliście przecież obok kontrrewolucjonisty; przyznajcie się, że działaliście razem z nim albo czeka was dwadzieścia pięć lat w Magadanie. Jeśli się przyznacie, dostaniecie tylko dziesięć. W obliczu takiego wyboru więźniowie zazwyczaj przyznawali się do wszystkiego. Robili to, by ocalić życie, rodzinę, albo bici i poniżani, załamani i przytłoczeni ciężarem zarzucanych im kłamstw nie byli już w stanie dalej zaprzeczać. Aleksander zastanawiał się, czy przypadkiem nie po raz pierwszy od rozpoczęcia tej szopki więźniowi nie postawiono prawdziwych zarzutów – był przecież Aleksandrem Barringtonem – i po raz pierwszy przesłuchujący go ludzie mieli za sobą prawdę. Prawdę, której musiał zaprzeczyć, którą musiał pochować pod ciężarem kłamstw, by pozostać przy życiu. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powiedzieć o tym Mitterandowi i Władimirowi, ale nie sądził, by zrozumieli lub docenili kryjącą się w tym ironię.

Kiedy wrócił do celi, weszło za nim dwóch strażników. Mierząc do niego z karabinów, kazali mu się rozebrać.

– Chcemy wyprać wasz mundur – powiedzieli.

Został w samych kalesonach. Kazali mu też zdjąć zegarek, buty i skarpety. Aleksander zmartwił się skarpetami, bo podłoga w celi była przeraźliwie zimna.

– Po co wam moje buty?

– Wypastujemy je.

Aleksander w duchu pochwalił się za przezorność, która kazała mu przenieść lekarstwa doktora Sayersa z butów do kieszeni kalesonów.

Niechętnym ruchem podał buty strażnikom, którzy wyrwali mu je z rąk i wyszli bez słowa.

Kiedy drzwi zamknęły się i został sam, podniósł lampę naftową i przytrzymał ją blisko ciała, by trochę się ogrzać. Nie przejmował się już utratą cennego tlenu.

Strażnik zauważył to jednak i wrzasnął, by nie dotykał lampy. Kiedy go nie posłuchał, wpadł do środka i zabrał lampę, zostawiając Aleksandra w zimnej, ciemnej celi.

Rana w plecach, choć starannie zabandażowana przez Tatianę, boleśnie pulsowała. Bandaż biegł naokoło brzucha. Jakże pragnął teraz owinąć bandażem całe ciało.

Musiał maksymalnie ograniczyć kontakt z zimną powierzchnią. Stanął więc na środku celi, by tylko stopy dotykały lodowatej podłogi. Stał i wyobrażał sobie ciepło.

Otulał rękami głowę, sięgał nimi na plecy, splatał na piersiach.

Wyobrażał sobie...

Tatiana opiera mu głowę na piersiach, słuchając bicia serca. Potem podnosi na niego wzrok i uśmiecha się. Wspina się na czubki palców i stojąc na jego stopach, trzymając się ramion, unosi ku niemu twarz.

Ciepło.

Nie było już ranka ani nocy. Nie było światła. Nie miał jak odmierzać czasu. Przed oczami widział stale jej obraz, ale nie wiedział, jak długo o niej myślał. Próbował liczyć, ale poczuł, że chwieje się z wyczerpania. Musi się przespać.

Sen czy zimno? Sen czy zimno?

Sen.

Skulił się w rogu celi, drżąc na całym ciele, próbując odegnać złe myśli. To już następny dzień czy następna noc?

Następny dzień po czym? Następna noc po czym?

Będą mnie głodzić. Nie dadzą pić. A potem zatłuką mnie na śmierć. Ale najpierw zamarzną mi stopy, potem nogi, wnętrzności. Wszystko zamieni się w lód. Moja krew i serce też. Wtedy nareszcie zapomnę.

Tamara i jej opowieści, 1935

Tamara, stara *babuszka,* mieszkała na ich piętrze od dwudziestu lat. Jej drzwi były zawsze otwarte i czasami po szkole Aleksander wpadał do niej na pogaduszki. Zauważył, że starsi ludzie lubią towarzystwo młodych. Mogli się z nimi dzielić swoimi doświadczeniami i życiową mądrością. Pewnego dnia, siedząc na niewygodnym krześle, Tamara powiedziała Aleksandrowi, że jej mąż został aresztowany z przyczyn religijnych w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku i dostał dziesięć lat.

– Chwileczkę, Tamaro Michajłowno, dziesięć lat gdzie?

– W obozie pracy, oczywiście. Na Syberii. A gdzieżby indziej?

– Skazali go i wysłali tam do pracy?

– Do więzienia…

– Miał pracować za darmo?

– Aleksandrze, stale mi przerywasz, a ja muszę ci coś powiedzieć.

Zamilkł.

– Prostytutki z Arbatu aresztowano w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku. Kilka miesięcy później wróciły na ulicę, a niektórym pozwolono nawet ściągnąć do siebie rodziny. Mojemu mężowi i grupie innych pobożnych osób nie pozwolono wrócić, a już na pewno nie do Moskwy.

– Jeszcze tylko trzy lata – powiedział powoli Aleksander. – Jeszcze tylko trzy lata przymusowej pracy.

Tamara potrząsnęła głową i zniżyła głos.

– W tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku dostałam telegram od władz Kołymy. Bez prawa do korespondencji, napisali. Wiesz co to oznacza, prawda?

Aleksander nie chciał się nawet domyślać.

– To znaczy, że on nie żyje – wyjaśniła drżącym głosem. Spuściła głowę.

Aleksander lubił przesiadywać u Tamary tak samo, jak lubił towarzystwo Sławana. Pewnego dnia opowiedziała mu, jak aresztowano trzech księży z pobliskiego kościoła i skazano na siedem lat za odmowę zrezygnowania z narzędzi kapitalizmu. W ich przypadku narzędziem była wiara w Jezusa Chrystusa, której nie chcieli się wyprzeć.

– Też trafili do obozu pracy?

– Och, Aleksandrze!

Zamilkł. Tamara mówiła dalej.

– To zabawne… widziałeś ten hotel w dole ulicy, przed którym jeszcze parę miesięcy temu wystawały prostytutki?

– Hmmm.

Widział.

– Zauważyłeś, że one też zniknęły?

– Hmmm.

To też zauważył.

– Zabrano je. Za zakłócanie porządku publicznego, za działanie na szkodę społeczeństwa…

– I za to, że nie zrezygnowały z narzędzi kapitalizmu – dokończył sucho Aleksander.

Tamara roześmiała się i pogłaskała go po głowie.

– Racja, mój chłopcze. Racja. A wiesz, ile czasu spędzą w tym obozie, który tak cię interesuje? Trzy lata. Pamiętaj: Jezus Chrystus – siedem, prostytucja – trzy.

– Wystarczy – powiedziała Jane, wchodząc do środka. Ujęła syna za rękę i wyprowadziła z pokoju. W progu odwróciła się jeszcze. – Czy możemy nie

uczyć się o prostytutkach od starych bezzębnych kobiet? – powiedziała z wyrzutem do Tamary, choć tak naprawdę zwracała się do Aleksandra.

– A od kogo mam się o nich uczyć, mamo? – spytał.

– Synu, twoja matka chce, żebym o czymś z tobą porozmawiał. – Harold odchrząknął.

Aleksander zacisnął usta i siedział w milczeniu. Zakłopotanie ojca tak go bawiło, że musiał usiąść na dłoniach, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Matka udawała, że układa coś pracowicie w drugiej części pokoju. Harold spojrzał gniewnie w jej stronę.

– Tato – Aleksander powiedział to niskim głosem. Kilka miesięcy temu przeszedł mutację i bardzo podobało mu się nowe brzmienie głosu. Było takie dorosłe. On sam mocno wystrzelił w górę, w ciągu minionych sześciu miesięcy urósł o blisko dwadzieścia centymetrów, ale nadal był przeraźliwie chudy. Nie mieli… właściwie wszystkiego. – Tato, chcesz pójść na spacer, żeby o tym porozmawiać?

– Nie! – krzyknęła Jane. – Nic wtedy nie usłyszę. Zostańcie w domu.

– Dobra, tato, porozmawiamy tutaj. – Aleksander kiwnął głową. Ściągnął brwi, starając się, by jego twarz nabrała wyrazu stosownej powagi. Ale mógłby nawet zrobić zeza i pokazać język, bo Harold nawet na niego nie patrzył.

– Synu – zaczął. – Niedługo osiągniesz już wiek, w którym… jestem pewny… jesteś miłym chłopcem i na dodatek bardzo przystojnym. Chcę ci tylko pomóc i niebawem, może nawet już… jestem pewny, że ty…

Jane zacmokała w tle. Harold zamilkł.

Aleksander siedział jeszcze przez chwilę, po czym wstał, poklepał ojca po plecach i powiedział:

– Dzięki, tato. Bardzo mi pomogłeś.

Poszedł do swojego pokoju, lecz Harold nie wszedł tam za nim. Aleksander słyszał za ścianą kłótnię rodziców, po czym rozległo się pukanie do drzwi. Matka.

– Mogę z tobą porozmawiać?

– Mamo. – Do końca usiłował zachować powagę. – Tato powiedział już chyba wszystko, co było do powiedzenia. Nie wiem, czy możesz jeszcze coś dodać.

Usiadła na łóżku. Aleksander został na krześle przy oknie. W maju skończy szesnaście lat. Lubił lato. Może w tym roku też wynajmą pokój na daczy w Krasnej Polanie?

– Aleksandrze, twój ojciec nie wspomniał o...

– A czy w ogóle o czymś wspomniał?

– Synu...

– Proszę, mów dalej.

– Nie zamierzam robić ci wykładu na temat dziewcząt...

– Dzięki Bogu.

– Posłuchaj, chcę tylko, żebyś pamiętał o jednym... – Urwała.

Czekał cierpliwie.

– Marta powiedziała mi, że jednemu z tych jej synalków usunięto interes! – szepnęła. – Usunięto, Aleksandrze, a wiesz dlaczego?

– Nie jestem pewny, czy chcę wiedzieć.

– Bo złapał francuską chorobę! Wiesz co to takiego?

– Wydaje mi się...

– A jej drugi syn ma pryszcze na całym ciele. To odrażające.

– Tak, to...

– Francuskie przekleństwo! Francuska korona! Syfilis! Przeżarł Leninowi mózg – szepnęła. – Nikt o tym nie mówi, ale to prawda. Chcesz się tym zarazić?

– Hmmm – mruknął Aleksander. – Nie.

– Szerzy się wszędzie. Znamy z ojcem mężczyznę, który przez tę chorobę stracił nos.

– Osobiście wolałbym stracić nos niż...

– Aleksandrze!

– Przepraszam.

– To bardzo poważna sprawa, synu. Zrobiłam co w mojej mocy, by wychować cię na porządnego, czystego chłopca, ale spójrz tylko, gdzie

przyszło nam żyć. Niedługo będziesz już samodzielny.

– Kiedy?

– Jak myślisz, co się z tobą stanie, kiedy nie będziesz wiedział, gdzie wcześniej szlajała się dziwka, z którą się zadałeś? – spytała rezolutnie Jane. – To nie znaczy, że kiedy dorośniesz, synu, masz być świętym ani eunuchem. Chcę tylko, żebyś był ostrożny. I zawsze chronił to, co należy tylko do ciebie. Musisz być czysty, zawsze czujny. Pamiętaj też, że bez zabezpieczenia wpędzisz dziewczynę w kłopoty, i co wtedy? Ożenisz się z kimś, kogo nie kochasz, bo nie byłeś dość ostrożny?

Aleksander spojrzał na matkę.

– Wpędzę w kłopoty?

– Powie ci, że dziecko jest twoje, a ty nigdy nie będziesz tego wiedział na pewno. Za to będziesz żonaty i na dodatek odpadnie ci interes!

– Mamo – powiedział. – Przestań, proszę.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Jak mógłbym nie zrozumieć?

– Twój ojciec miał ci to wszystko wyjaśnić.

– Wyjaśnił. Moim zdaniem świetnie sobie poradził.

Jane wstała.

– Przestaniesz choć na chwilę żartować?

– Tak, mamo. Dziękuję, że do mnie przyszłaś. Cieszę się, że porozmawialiśmy na ten temat.

– Masz jakieś pytania?

– Absolutnie żadnych.

Zmiana nazwy hotelu, 1935

W pewien mroźny czwartek pod koniec stycznia, w drodze na zebranie partii, Aleksander spytał ojca:

– Tato, dlaczego znów zmieniono nazwę naszego hotelu? To już trzeci raz w ciągu sześciu miesięcy.

– Na pewno nie trzeci.

– Ależ tak. – Szli ulicą ramię w ramię. Nie dotykali się jednak. – Kiedy się tam wprowadziliśmy, nazywał się Dierżawa. Potem hotel Kamieniewa. Jeszcze później hotel Zinowiewa. A teraz mamy hotel Kirowa. Dlaczego? I kim jest ten Kirow?

– Był sekretarzem partii w Leningradzie – odparł Harold.

Na zebraniu stary Sławan zarechotał głośno, gdy Aleksander powtórzył swoje pytanie. Przywołał go do siebie, poklepał po głowie i powiedział:

– Nie martw się, synu, ta nazwa zostanie na długo.

– Dość już tego – powiedział Harold, odciągając syna na bok. Aleksander nie dawał jednak za wygraną i wyrwał się ojcu.

– Dlaczego, Sławanie Iwanowiczu?

– Bo Kirow nie żyje – odparł mężczyzna. – Zabili go w Leningradzie w zeszłym miesiącu. A teraz polują na ludzi.

– Nie złapali zabójcy?

– Złapali, złapali. – Sławan uśmiechnął się znacząco. – Ale co z resztą?

– Jaką resztą? – Aleksander zniżył głos.

– Ze spiskowcami. Oni też muszą umrzeć.

– To był jakiś spisek?

– Oczywiście. Po co mieliby prowadzić obławę?

Harold ostrym głosem wezwał Aleksandra do siebie, a kiedy wracali do domu, powiedział:

– Synu, dlaczego tak przyjaźnisz się z tym Sławanem? Co on ci opowiada?

– To fascynujący człowiek – odparł Aleksander. – Wiesz, że był w Akatui? Pięć lat. – Akatui był to carski obóz pracy przymusowej. – Powiedział, że dali mu tam białą koszulę, latem pracował tylko osiem godzin, a zimą sześć. Nigdy nawet nie ubrudził sobie koszuli. Dostawał kilogram białego chleba dziennie. I mięso. Powiedział, że spędził tam najlepsze lata swojego życia.

– Jakoś nie potrafię mu zazdrościć – mruknął Harold. – Posłuchaj, nie chcę, żebyś tyle z nim rozmawiał. Siadaj z nami.

– Hmmm. Za dużo palisz. Dym piecze mnie w oczy.

– Będę dmuchał w inną stronę. Ten Sławan to wichrzyciel. Trzymaj się od niego z daleka, rozumiesz? – Urwał. – Długo już nie pociągnie.

– Czego?

Dwa tygodnie później Sławan zniknął.

Aleksandrowi bardzo brakowało staruszka i jego opowieści.

– Tato, ludzie z naszego piętra znikają. Nie ma już pani Tamary.

– Nigdy jej nie lubiłam – wtrąciła Jane, pociągając łyk wódki. – Chyba zachorowała i leży w szpitalu. Była już bardzo stara, Aleksandrze.

– Ale, mamo, w jej pokoju mieszka teraz dwóch młodych mężczyzn w garniturach. Czy będą mieszkać w jednym pokoju, kiedy Tamara wróci ze szpitala?

– Nic o tym nie wiem – powiedziała zdecydowanym tonem Jane i równie zdecydowanym ruchem nalała sobie następny kieliszek wódki.

– Włosi też wyjechali. Mamo, wiedziałaś, że Włosi wyjechali?

– Kto? – spytał głośno Harold. – Kto znika? Frascasowie nigdzie nie znikli. Są na wakacjach.

– Tato, jest zima. Dokąd mogli pojechać?

– Na Krym. Są w jakimś uzdrowisku. Dżubga, czy jakoś tak. Wracają za dwa miesiące.

– Tak? A van Dorenowie? Dokąd pojechali? Też na Krym? W ich pokoju też mieszka już ktoś inny. Jakaś rosyjska rodzina. Myślałem, że to piętro jest przeznaczone tylko dla obcokrajowców.

– Przenieśli się do innego budynku w Moskwie – powiedział Harold, dziubiąc jedzenie. – Obkom próbuje zasymilować obcokrajowców w radzieckim społeczeństwie.

Aleksander odłożył widelec.

– Powiedziałeś: „przenieśli się”? A niby dokąd? W naszej łazience śpi przecież Nikita.

– Kto to jest Nikita?

– Tato, nie zauważyłeś nawet, że w wannie śpi jakiś mężczyzna?

– Jaki mężczyzna?

– Nikita.

– Och. Od jak dawna tam jest?

Aleksander spojrzał na matkę.

– Od trzech miesięcy.

– Śpi w wannie od trzech miesięcy? Dlaczego?

– Bo w Moskiwe nie ma ani jednego wolnego pokoju do wynajęcia. Przyjechał tu z Nowosybirska.

– Nigdy go nie widziałem. – Harold powiedział to tonem sugerującym, że skoro on nie widział Nikity, to ten nie ma prawa istnieć. – A co on robi, kiedy chcę się wykapać?

– Wychodzi na pół godziny – powiedziała Jane. – Daję mu kieliszek wódki, a potem idzie na spacer.

– Mamo. – Aleksander zabrał się z zapałem do jedzenia. – W marcu przyjeżdża do niego żona. Błagał mnie, żebym porozmawiał z wszystkimi mieszkańcami naszego piętra i poprosił ich, by kąpali się trochę wcześniej. Wtedy oni mogliby...

– No już, przestańcie się ze mną drażnić – zaprotestował Harold.

Matka z synem spojrzeli na siebie znacząco.

– Idź sprawdzić, tato – zaproponował Aleksander. – A jak wrócisz, powiesz mi, gdzie mogli się przeprowadzić van Dorenowie.

Kiedy Harold wrócił z łazienki, wzruszył ramionami.

– Ten człowiek to jakiś czubek. Niezłe z niego ziółko.

– Ten człowiek – powiedział Aleksander, patrząc na kieliszek matki – jest głównym inżynierem floty bałtyckiej.

Miesiąc później, w lutym, Aleksander wrócił ze szkoły i usłyszał, że jego rodzice znowu się kłócą. Wykrzykiwali jego imię.

Matka martwiła się o niego. Ale dlaczego? Wszystko było przecież w porządku. Mówił płynnie po rosyjsku. Śpiewał, pił piwo i grał z przyjaciółmi w hokeja w Parku Gorkiego. Dlaczego więc się martwiła?

Chciał wejść do pokoju i powiedzieć jej, że u niego wszystko gra, ale nigdy nie lubił się wtrącać do kłótni rodziców.

Nagle usłyszał wyraźny odgłos uderzenia. Wpadł do pokoju rodziców. Zobaczył matkę leżącą na podłodze z zaczerwienionym policzkiem i pochylonego nad nią Harolda. Podbiegł do ojca i popchnął go w plecy.

– Co robisz, tato?! – wykrzyknął. – Co ty wyprawiasz? – Uklęknął obok matki.

Usiadła i spojrzała gniewnie na Harolda.

– Ładne rzeczy pokazujesz swojemu synowi – rzuciła. – Po to przywiozłeś go do Związku Radzieckiego? Żeby pokazać mu, jak ma traktować kobiety? Może swoją żonę?

– Zamknij się! – krzyknął Harold, zaciskając pięści. – Zamknij się.

– Tato! – Aleksander zerwał się z podłogi. – Przestań. Co ty wyprawiasz?

– Twój ojciec nas porzucił.

– Nikogo nie porzucam!

Aleksander popchnął ojca w pierś i powtórzył:

– Co ty wyprawiasz, tato?

Harold odepchnął go gwałtownie, po czym uderzył otwartą dłonią w twarz. Jane wciągnęła ze świstem powietrze. Aleksander zachwiał się, ale nie upadł. Harold chciał go uderzyć jeszcze raz, ale tym razem Aleksander zdążył się uchylić. Jane chwyciła męża za nogi i pociągnęła na podłogę. Upadł na plecy, uderzając głową o kanapę.

– Nie waż się go nawet tknąć! – wrzasnęła.

Harold i Jane leżeli na podłodze, stał tylko Aleksander. Nie mogli spojrzeć sobie w oczy, więc odwracając głowy, oddychali tylko chrapliwie. Aleksander wytarł krew z rozciętej wargi.

– Haroldzie! – wykrzyknęła Jane, nadal klęcząc na podłodze. – Spójrz tylko na nas. Ten pieprzony kraj zupełnie nas niszczy – płakała. – Wracajmy do domu, zacznijmy wszystko od początku.

– Oszalałaś? – syknął Harold, przenosząc wzrok z żony na syna. – Wiesz, co wygadujesz?

– Tak.

– Zapomniałaś już, że zrzekliśmy się amerykańskiego obywatelstwa? Zapomniałaś, że w tej chwili nie jesteśmy obywatelami żadnego kraju, że czekamy dopiero na radzieckie obywatelstwo? Myślisz, że Ameryka przyjmie nas z powrotem? Przecież oni niemal nas wyrzucili z kraju. A co sobie pomyślą władze radzieckie, kiedy dowiedzą się, że od nich też odwracamy się plecami?

– Nie obchodzi mnie wcale, co sobie pomyślą władze radzieckie.

– Boże, jaka ty jesteś naiwna!

– Ja jestem naiwna? A ty? Wiedziałeś, jak tu będzie, a jednak nas przywiozłeś? Przywiozłeś tu swojego syna?

Patrzył na nią rozczarowany.

– Nie przyjechaliśmy tutaj, by wieść wygodne życie. To mogliśmy mieć w Ameryce.

– Racja. I mieliśmy. My jakoś sobie poradzimy, ale to nie jest życie dla Aleksandra. Wyślij do domu przynajmniej jego.

– Co takiego? – Zdumiony Harold zdobył się jedynie na szept.

– Tak. – Aleksander pomógł matce wstać. – Ma dopiero piętnaście lat. Odeślij go do domu.

– Mamo!

– Nie pozwól mu umrzeć w tym kraju. Nie widzisz, co się tutaj dzieje? Aleksander to widzi. Ja też. Czemu ty jesteś ślepy?

– Aleksander nic nie widzi. Prawda, synu?

Aleksander milczał. Nie chciał stawać po stronie ojca.

– Widzisz?! – wykrzyknęła triumfalnie Jane. – Proszę cię, Haroldzie. Niedługo będzie za późno.

– Wygadujesz bzdury. Za późno na co?

– Za późno dla Aleksandra – powiedziała łamiącym się głosem, blada z rozpaczy. – Zapomnij choć na chwilę o swojej dumie. Dla niego. Zanim będzie się musiał zarejestrować w wojskowej komisji rekrutacyjnej, gdy w maju skończy szesnaście lat, zanim dojdzie do tragedii. Wyślij go stąd, dopóki jest jeszcze amerykańskim obywatelem. On nie zrzekł się swoich

praw do Stanów Zjednoczonych. Ja zostanę tu z tobą, przeżyję z tobą życie do końca, ale...

– Nie! – wykrzyknął Harold przerażonym głosem. – Wprawdzie nie ułożyło się tak, jak sądziłem, wiem, jest mi bardzo przykro...

– Nie żałuj mnie, ty draniu. Nie żałuj mnie, ja ci przecież w tym wszystkim pomagałam. Wiedziałam, co robię. Żałuj swojego syna. Jak myślisz, co się z nim stanie?

Jane odwróciła się od Harolda.

Aleksander podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Była zimna lutowa noc.

Za sobą słyszał głosy rodziców.

– Janie, daj spokój, wszystko się ułoży. Zobaczysz. Aleksandrowi będzie tutaj lepiej niż nam. Komunizm to przyszłość świata, wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Kiedy bogatych i biednych tego świata zacznie dzielić coraz większa przepaść, komunizm będzie odgrywać coraz większą rolę. Ameryka to przegrana sprawa. Kto będzie się troszczył o zwykłych ludzi, kto będzie bronił ich praw, jeśli nie komuniści? Nam przyszło żyć w najtrudniejszym okresie. Ale nie mam wątpliwości i wiem, że ty też ich nie masz. Komunizm to przyszłość.

– Boże święty! – wykrzyknęła Jane. – Czy ty kiedykolwiek dasz sobie z tym spokój?

– Teraz nie mogę – odparł. – Musimy to przeżyć do końca.

– Racja. Sam Marks napisał, że kapitalizm produkuje przede wszystkim swoich własnych grabarzy. Nie sądzisz, że może pomylił ustroje?

– Oszalałaś? – syknął Harold. Aleksander odwrócił wzrok. – Komuniści muszą ukrywać swoje poglądy i cele, jakie sobie stawiają. Deklarują otwarcie, że można je osiągnąć tylko dzięki obaleniu siłą istniejącego porządku. Upadek kapitalizmu jest nieunikniony. Upadek egoizmu, chciwości, indywidualności, osiągnięć jednostki.

– Upadek dobrobytu, wygód, przyzwoitych warunków życia, prywatności, wolności. – Jane z wściekłością wyrzucała z siebie słowa,

a Aleksander nadal wyglądał przez okno. – Druga Ameryka, Haroldzie. Druga pieprzona Ameryka.

Nie odwracając się, Aleksander dostrzegł w szybie zagniewaną twarz ojca i wyraz rozpaczy na twarzy matki. Zobaczył też szary pokój z odpadającym ze ścian tynkiem i wyłamany zamek sklejony taśmą. Z odległości dziesięciu metrów poczuł dobiegający z łazienki fetor i nie odezwał się ani słowem.

Przed przybyciem do Związku Radzieckiego jedynym światem, który miał dla niego jakiś sens, była Ameryka, gdzie ojciec mógł wchodzić na mównicę i głosić upadek amerykańskiego rządu. Policja, której zadaniem było ten rząd ochraniać, zgarniała ojca z mównicy i wtrącała do celi więzienia w Bostonie, gdzie mógł przespać swój zapał naprawiania świata. Po dwóch dniach go wypuszczano, a on ze zdwojoną siłą znów opowiadał tym, którzy chcieli go słuchać, o godnych pożałowania wadach i słabościach Ameryki lat dwudziestych. W opinii Harolda tych wad i słabości było wiele. W rozmowie z Aleksandrem wyznał pewnego dnia, że za nic nie potrafi zrozumieć imigrantów napływających tłumnie do Nowego Jorku i Bostonu. Ludzie ci mieszkali w opłakanych warunkach i z wielką radością pracowali za grosze, czym zawstydzali Amerykanów. Ich radość mąciła jedynie niemożność ściągnięcia do Stanów Zjednoczonych wszystkich członków rodzin, by także i oni mieszkali w opłakanych warunkach i pracowali za grosze.

Harold Barrington mógł bez większych problemów głosić ideały rewolucji w Ameryce. Aleksander nie widział w tym nic zdrożnego. Czytał esej Johna Stuarta Milla *O wolności*, z którego dowiedział się, że wolność nie polega wcale na robieniu, lecz na mówieniu tego, na co się ma ochotę. Jego ojciec stał na straży poglądów Milla w myśl największej tradycji amerykańskiej demokracji. Co w tym mogło być złego?

Kiedy przyjechał do Moskwy, ten esej stracił dla niego cały sens. Wraz z upływem lat wrażenie to jeszcze bardziej się pogłębiało; otaczał go niedostatek i bezsens, a jego młodzieńczy duch stale napotykał nowe przeszkody. W drodze na czwartkowe zebrania przestał brać ojca za rękę;

zauważył jednak z bólem, że w jego własnej dłoni zimą nigdy nie pojawiała się pomarańcza.

Nazywając Rosję „drugą Ameryką", towarzysz Stalin ogłosił, że za kilka lat Związek Radziecki będzie miał tyle samo torów kolejowych, bitych dróg i domów jednorodzinnych co Stany Zjednoczone. Powiedział, że przemysł w Ameryce nie rozwija się tak szybko jak w ZSRR, bo kapitalizm wprowadza ze sobą chaos, podczas gdy socjalizm wspiera równomierny rozwój na wszystkich frontach. W Stanach Zjednoczonych panuje trzydziestopięcioprocentowe bezrobocie, w przeciwieństwie do Związku Radzieckiego, gdzie niemal wszyscy obywatele mają pracę. Rosjanie pracują – co jest kolejnym dowodem na ich wyższość – podczas gdy Amerykanie żyją na koszt państwa, bo nie ma dla nich pracy. To było jasne. Dlaczego więc poczucie wszechobecnego marazmu było tak powszechne?

Jednak zagubienie i marazm odczuwane przez Aleksandra były mało istotne. Najważniejsza była młodość. A Aleksander był młody, nawet w Moskwie.

Odwrócił się do matki i podał jej chusteczkę, by wytarła twarz. Sam przesunął rękawem po rozciętej wardze. Zanim wyszedł z pokoju, pozostawiając rodziców ich rozpaczy, powiedział do ojca:

– Nie słuchaj jej. Nie pojadę sam do Ameryki. Moja przyszłość jest tutaj, na dobre i na złe. – Zbliżył się o krok. – Ale nie waż się jej więcej uderzyć. – Był już o kilkanaście centymetrów wyższy od ojca. – Jeśli uderzysz ją jeszcze raz, będziesz miał ze mną do czynienia.

Tydzień później Harold stracił pracę w drukarni, ponieważ zgodnie z nowym prawem cudzoziemcom nie wolno było obsługiwać maszyn drukarskich. Wydajność w pracy i lojalność w stosunku do Związku Radzieckiego nie miały żadnego znaczenia. Najwyraźniej praca ta dawała zbyt wiele okazji do sabotażu, do drukowania fałszywych oświadczeń, dokumentów, informacji i do szerzenia kłamstw mających na celu obalenie władzy radzieckiej. Na takiej właśnie działalności przyłapano wielu cudzoziemców, którzy potem rozprowadzali materiały propagandowe

wśród ciężko pracujących obywateli radzieckich. Tak więc Harold skończył z drukowaniem.

Przeniesiono go do fabryki wytwarzającej narzędzia, gdzie robił śrubokręty i zasuwy.

Pracował tam tylko przez kilka tygodni. Ta praca też nie była bezpieczna. Cudzoziemców przyłapano na wytwarzaniu noży i broni dla siebie, zamiast narzędzi dla państwa radzieckiego.

Harold znalazł potem zatrudnienie jako szewc, co bardzo rozbawiło Aleksandra („Tato, znasz się na robieniu butów?").

Tam wytrzymał tylko kilka dni.

– Co takiego? Wytwarzanie butów też nie jest bezpieczne? – spytał Aleksander.

Najwyraźniej nie było. Cudzoziemcy robili kalosze i mocne buty dla dobrych radzieckich obywateli, którzy przez bagna i góry uciekali w nich z kraju.

Pewnego kwietniowego wieczoru w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku zasępiony Harold wrócił do domu i zamiast zabrać się do gotowania (teraz on przygotowywał kolację dla całej rodziny), usiadł ciężko przy stole. Powiedział, że do szkoły, w której zamiatał podłogi, przyszedł przedstawiciel Obkomu i kazał mu poszukać nowego mieszkania.

– Chcą, żebyśmy sobie znaleźli inne pokoje. Żebyśmy byli bardziej niezależni. – Wzruszył ramionami. – Mają rację. Przez ostatnie cztery lata wiedliśmy dość łatwe życie. Przyszła pora, by dać państwu coś od siebie. – Urwał i zapalił papierosa.

Aleksander zauważył, że ojciec spogląda na niego ukradkiem.

– Nikita zniknął. Może zajmiemy po nim wannę – mruknął.

W całej Moskwie nie było dla Barringtonów wolnego pokoju. Po miesiącu poszukiwań Harold wrócił do domu z pracy i powiedział:

– Znów był u mnie ten człowiek z Obkomu. Nie możemy tu zostać. Musimy się wyprowadzić.

– Do kiedy?! – wykrzyknęła Jane.

– Za dwa dni ma już nas tutaj nie być.

– Ale nie mamy dokąd pójść!

Harold westchnął.

– Zaproponowali mi przeniesienie do Leningradu. Tam jest więcej pracy… fabryka, zakłady stolarskie, elektrownia.

– W Moskwie nie ma elektrowni, tato?

Harold zignorował pytanie syna.

– Pojedziemy do Leningradu. Mają tam więcej wolnych pokoi. Zobaczycie. A ty, Janie, znajdziesz pracę w bibliotece publicznej.

– Leningrad?! – wykrzyknął Aleksander. – Tato, ja się nie ruszę z Moskwy. Mam tu przyjaciół, szkołę. Proszę.

– Nie mamy wyboru, synu. Pójdziesz do nowej szkoły. Poznasz nowych przyjaciół.

– Rewelacja.

– Nie mamy wyboru – powtórzył Harold.

– Tak – odparł głośno Aleksander. – Ale kiedyś go mieliśmy, prawda?

– Aleksandrze! Nie podnoś na mnie głosu. Słyszysz?

– Jasno i wyraźnie! – wykrzyknął Aleksander. – Nigdzie nie jadę. Słyszysz?

Harold zerwał się z krzesła. Zerwała się także Jane. I Aleksander.

– Przestańcie! Przestańcie natychmiast! – zawołała Jane.

– Nie życzę sobie, żebyś się do mnie w ten sposób odzywał, Aleksandrze – powiedział Harold. – Przeprowadzamy się i nie chcę już o tym więcej mówić.

Odwrócił się do żony i powiedział:

– Aha, jeszcze jedno. – Zakaszlał niepewnie. – Chcą, żebyśmy zmienili nazwisko. Na bardziej rosyjskie.

– Dlaczego teraz? – prychnął Aleksander. – Po tych wszystkich latach?

– Dlatego! – wykrzyknął Harold, tracąc zupełnie panowanie nad sobą. – Chcą, byśmy udowodnili swoją lojalność! Za miesiąc skończysz szesnaście lat. Zarejestrujesz się w wojskowej komisji rekrutacyjnej. Musisz mieć

rosyjskie nazwisko. Im mniej pytań, tym lepiej. Od teraz zostajemy Rosjanami. Będzie nam łatwiej. – Spuścił wzrok.

– Boże święty, tato! – krzyknął Aleksander. – Czy to się kiedykolwiek skończy? Nie możemy nawet zatrzymać nazwiska? Nie dość, że wyrzucają nas z domu, każą się przenieść do innego miasta? Nazwisko też musimy stracić? Co nam zostanie?

– Nie będziemy się ukrywać! Postępujemy słusznie. Nosimy amerykańskie nazwisko. Powinniśmy je zmienić dawno temu.

– Racja – zgodził się Aleksander. – Frascasowie i van Dorenowie tego nie zrobili. I co się z nimi stało? Są na wakacjach. Na przedłużonych wakacjach, zgadza się, tato?

Harold podbiegł do syna i podniósł rękę, by go uderzyć, lecz Aleksander go odepchnął.

– Nie dotykaj mnie – syknął lodowato. – Te czasy już minęły.

Harold spróbował jeszcze raz. Aleksander znów go odepchnął, lecz tym razem nie wypuścił z uścisku rąk ojca. Nie chciał, żeby matka widziała, jak wpada we wściekłość. Jego biedna matka, która stała roztrzęsiona, z twarzą zalaną łzami. Zaciskając dłonie, mówiła płaczliwie:

– Kochani, Haroldzie, Aleksandrze, błagam was, przestańcie.

– To jemu każ przestać! – wykrzyknął Harold. – Ładnie go wychowałaś. Nie ma szacunku dla nikogo!

Matka podeszła do Aleksandra i objęła go za ramiona.

– Proszę cię, synku – powiedziała. – Uspokój się. Wszystko będzie dobrze.

– Naprawdę tak sądzisz, mamo? Przenosimy się do innego miasta, zmieniamy nazwisko, tak samo jak ten hotel nazwę. I uważasz, że to wszystko jest w porządku?

– Tak – odparła. – Nadal mamy siebie. Nadal mamy swoje życie.

– Jakże szybko zmienia się znaczenie słów „w porządku". – Oswobodził się z uścisku matki i chwycił płaszcz.

– Aleksandrze, nie wychodź! – zawołał Harold. – Zabraniam ci opuszczać ten pokój.

Aleksander odwrócił się do ojca, spojrzał mu prosto w oczy i powiedział:

– Spróbuj mnie zatrzymać.

Wyszedł i nie było go przez dwa dni. Potem spakowali rzeczy i opuścili hotel Kirowa.

Matka była pijana i gdy szli na dworzec, nie mogła nieść walizek.

Kiedy Aleksander po raz pierwszy zorientował się, że z matką dzieje się coś bardzo niedobrego? O to właśnie chodziło: nie stało się to z dnia na dzień. Początkowo tylko w niewielkim stopniu nie przypominała osoby, jaką była dawniej, i to nie Aleksander powinien był dostrzec zmiany zachodzące w jej zachowaniu. Powinien to zrobić ojciec, ale Harold był ślepy. Aleksander wiedział doskonale, że ojciec nie potrafi jednocześnie zaprzątać sobie głowy sprawami osobistymi i globalnymi. I nieważne było, czy Harold postanowił zignorować te zmiany, czy też po prostu ich nie zauważał. Nie zmieniało to w niczym faktu, że Jane Barrington stopniowo, bez ostrzeżenia, zmieniła się nie do poznania i przestała być osobą, którą była do tej pory.

Rozdział ósmy

Wyspa Ellis, 1943

Edward przyszedł odwiedzić Tatianę w połowie sierpnia. Była w Ameryce już od siedmiu tygodni. Jak zwykle siedziała na swoim miejscu przy oknie, trzymając w ramionach owiniętego tylko w pieluszkę Anthony'ego i łaskotała go w małe stópki. Czuła się o wiele lepiej. Oddychała głęboko, prawie nie kaszlała, od miesiąca nie pluła już krwią. Nowojorskie powietrze działało jak najlepsze lekarstwo.

– Edwardzie – powiedziała, gdy ją badał. – Szukała cię dzisiaj twoja żona.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

– Tak... moja żona czasami mnie szuka – odparł i odwrócił wzrok.

Tatiana patrzyła, jak dotyka stetoskopem jej piersi.

– Jest o wiele lepiej. Chyba będę musiał cię wypisać.

Milczała.

– Masz dokąd iść? – Urwał. – Będziesz musiała znaleźć jakąś pracę.

– Podoba mi się tutaj.

– Wiem. Ale jesteś już zdrowa.

– Myślałam, że może zacznę pracować tutaj. Przyda wam się jeszcze jedna pielęgniarka.

– Chcesz pracować na Ellis?

– Bardzo.

Edward spotkał się w Wydziale Zdrowia Publicznego z głównym chirurgiem, który następnie przyjechał do Tatiany, by poinformować ją, że zostanie zatrudniona na trzymiesięczny okres próbny. W ten sposób

sprawdzą, czy radzi sobie z pracą i posiada odpowiednie kwalifikacje. Wyjaśnił też, że nie zostanie zatrudniona przez szpital na wyspie, ale przez Wydział Zdrowia Publicznego, więc czasami będzie musiała pełnić dyżur w nowojorskim szpitalu uniwersyteckim, jeśli zabraknie tam pielęgniarek. Zgodziła się od razu, lecz spytała, czy będzie mogła mieszkać na wyspie i pracować na nocnej zmianie. Chirurg nie palił się zbytnio do tego pomysłu.

– Ale dlaczego? Może pani znaleźć mieszkanie w mieście, po drugiej stronie zatoki. Nasi obywatele nie mieszkają na wyspie.

Tatiana wyjaśniła, jak tylko potrafiła najlepiej, że miała nadzieję, iż mieszkający na wyspie uchodźcy będą mogli się zająć jej malutkim synkiem. Bo ona bardzo chce pracować, ale nie ma go z kim zostawić. A wszystko ułoży się jeszcze lepiej, jeśli będzie mogła dalej mieszkać w swoim pokoju.

– Ależ on jest za mały!

– Dla mnie w sam raz.

Ponieważ Tatiana nie mogła wyprawić się na Manhattan, poprosiła Vikki, by kupiła jej fartuch i buty.

– Wiesz, że możesz kupić tylko dwie pary butów? Mamy reglamentację. Chcesz, żeby jedną z nich były pielęgniarskie pantofle?

– Chcę mieć tylko te. Po co mi inne buty?

– A jeśli zechcesz pójść na tańce? – spytała Vikki.

– Gdzie?

– Na tańce! No wiesz, trochę się pokręcić, poskakać? A jeśli będziesz chciała się ładnie ubrać? Twój mąż nie wróci, prawda?

– Nie. Mój mąż nie wróci.

– Jeśli masz zostać wdową, to koniecznie musisz sobie kupić nowe, ładne buty.

Tatiana potrząsnęła głową.

– Muszę mieć tylko fartuch i pantofle. I muszę zostać na Ellis. Niczego więcej nie potrzebuję.

Vikki potrząsnęła głową, w jej oczach pojawił się błysk zaskoczenia.

– Kiedy przyjdziesz do nas na obiad? Może w tę niedzielę? Doktor Ludlow powiedział, że wypisze cię już ze szpitala.

Vikki kupiła Tatianie fartuch, który był trochę za duży, i buty, które pasowały idealnie. Kiedy przestała już być pacjentką, nadal robiła to samo, czyli opiekowała się zagranicznymi żołnierzami, których przywożono na statkach do Nowego Jorku, leczono na wyspie, a potem odsyłano do obozów jenieckich. Było wśród nich wielu Niemców, kilku Włochów, kilku Etiopczyków, jeden czy dwóch Francuzów. Nie było jednak żadnych Rosjan.

– Taniu, co ja mam zrobić? – Vikki wpadła do pokoju i usiadła na łóżku, na którym Tatiana karmiła piersią Anthony'ego. – Masz przerwę?

– Tak, na lunch. – Tatiana uśmiechnęła się lekko, ale Vikki nie zwróciła uwagi na ukryty w jej słowach żart.

– Kto się zajmuje małym, kiedy pracujesz na oddziale?

– Zabieram go ze sobą i kładę na wolnym łóżku.

Widząc to, Brenda o mało nie dostawała ataku serca, ale Tatianę niewiele to obchodziło. Nie chciała go zostawiać samego w pokoju, gdy spał. Gdyby na wyspę trafiało więcej imigrantów, ktoś mógłby się zająć jej synkiem, kiedy pracowała. Ale na wyspie zjawiało się niewiele osób. Dwanaście w lipcu, osiem w sierpniu. I wszyscy mieli własne dzieci, własne problemy.

– Zrobić z czym, Vikki?

– Z moim życiem, Taniu! Wiesz przecież, że mój mąż wrócił do domu.

– Wiem. Poczekaj spokojnie. Może znów wyślą go na front.

– Na tym polega cały problem! Oni już go nie chcą. Nie może obsługiwać ciężkiego sprzętu. Został zwolniony ze służby. Chce, żebyśmy mieli dziecko. Wyobrażasz sobie?

Tatiana milczała przez chwilę.

– Vikki, dlaczego w ogóle wyszłaś za mąż?

– Bo była wojna! A jak myślisz? Dlaczego ty wyszłaś za mąż? Wyruszał na front, poprosił mnie, żebym za niego wyszła, no i zgodziłam się. Co

w tym złego, pomyślałam, jest przecież wojna? Czy to najgorsze, co może mi się przytrafić?

– Nie – odparła Tatiana.

– Nie sądziłam, że wróci tak wcześnie. Myślałam, że będzie wracał tylko na Boże Narodzenie. A może zginie. Wtedy mogłabym powiedzieć, że byłam żoną bohatera.

– A teraz nie jest bohaterem?

– To się nie liczy. On żyje!

– Och.

– Zanim wrócił do domu, co tydzień chodziłam na tańce, a teraz już nic nie mogę. Boże święty! – wykrzyknęła. – Małżeństwo to taka nuda.

– Kochasz go?

– Jasne. – Vikki wzruszyła ramionami. – Ale Chrisa też kocham. A dwa tygodnie temu poznałam lekarza, który okazał się bardzo miły… Teraz koniec z tym wszystkim.

– Masz rację. Małżeństwo jest bardzo niewygodne. – Tatiana urwała na chwilę. – Dlaczego nie załatwisz sobie… jak to się nazywa?

– Rozwodu?

– Tak.

– Oszalałaś? Z jakiego ty kraju pochodzisz? Jakie tam panują obyczaje?

– W moim kraju jesteśmy wierne swoim mężom.

– Jego tu nie było! Nikt nie może oczekiwać, że będę mu wierna, kiedy on jest o tysiące kilometrów stąd i Bóg jeden wie, jak się prowadzi na tym Dalekim Wschodzie. A co do rozwodu… jestem na to za młoda.

– Ale nie jesteś za młoda, żeby zostać wdową? – mówiąc to, Tatiana wzdrygnęła się lekko.

– Nie! To zaszczyt zostać wdową. Ale nie mogę zostać rozwódką. Mam być kolejną Wallis Simpson?

– Kim?

– Świetnie sobie tutaj radzisz, Taniu. Brenda powiedziała mi, choć przyznaję, zrobiła to bardzo niechętnie, że masz doskonałe podejście do

pacjentów. – Edward uśmiechnął się. Szli razem między łóżkami. Tatiana niosła na rękach rozbudzonego i bardzo ożywionego Anthony'ego.

– Dziękuję.

– Nie boisz się, że twój synek zarazi się, przebywając stale wśród chorych?

– Oni nie są chorzy. Prawda, Anthony? Są tylko ranni. Przynoszę tutaj małego, a oni bardzo się cieszą. Niektórzy z nich zostawili w domu żony i dzieci. Dotykają go i są szczęśliwi.

– To świetny chłopak – Edward z uśmiechem pogłaskał Anthony'ego po ciemnej główce. Malec odpłacił mu szerokim bezzębnym uśmiechem. – Zabierasz go na spacery?

– Cały czas.

– To dobrze. Niemowlęta potrzebują dużo świeżego powietrza. Ty zresztą też.

– Wychodzimy codziennie.

Edward odchrząknął.

– W niedzielę lekarze ze szpitala uniwersyteckiego i Wydziału Zdrowia grają w softball na Sheep Meadow w Central Parku, a pielęgniarki przychodzą nas dopingować. Chciałabyś przyjść w tę niedzielę z Anthonym?

Tatiana była zbyt zmieszana, by odpowiedzieć.

– Masz dzieci, Edwardzie? – spytała.

Potrząsnął głową.

– Moja żona nie jest jeszcze gotowa, by mieć dzieci. Ona...

Stali na schodach, gdy usłyszeli nagle stukot wysokich obcasów.

– Edwardzie?! – zawołał z parteru wysoki, przenikliwy głos. – To ty?

– Tak, kochanie, to ja – odpowiedział spokojnym głosem.

– No, dzięki Bogu, że cię znalazłam. Wszędzie cię szukam.

– Jestem tutaj, kochanie.

Pani Ludlow wbiegła po schodach i stanęła obok nich, dysząc ciężko. Tatiana mocniej przytuliła synka. Żona Edwarda spojrzała na nią z dezaprobatą.

– Nowa pielęgniarka?

– Siostro Barrington, poznała już pani Marion?

– Tak – odparła Tatiana.

– Nie, nigdy się nie spotkałyśmy – oświadczyła pani Ludlow. – Nie zapominam twarzy.

– Spotykamy się co wtorek w jadalni – odparła Tatiana. – Pyta mnie pani, gdzie jest pan Edward, a ja odpowiadam, że nie wiem.

– Nigdy się nie spotkałyśmy – powtórzyła z naciskiem Marion.

Tatiana nie odpowiedziała. Edward też milczał.

– Edwardzie, możemy porozmawiać na osobności? A pani – dodała, spoglądając ostro na Tatianę – jest zbyt młoda, by nosić dziecko. Nie trzyma go pani jak należy. Trzeba zawsze podtrzymywać główkę. Gdzie jest jego matka?

– Marion, to ona jest matką – wyjaśnił Edward.

Pani Ludlow zamilkła na chwilę, potem zacmokała, mruknęła pod nosem: „Ach, ci imigranci", po czym odciągnęła męża na bok.

Vikki wpadła na oddział i chwytając Tatianę pod ramię, wyciągnęła na korytarz.

– On żąda rozwodu! – syknęła z wściekłością. – Możesz w to uwierzyć?

– Nie.

– Powiedziałam, że nie dam mu rozwodu, że to nie uchodzi, a on na to, że odda sprawę do sądu i wygra, bo ja… nie do końca rozumiem, co powiedział… złamałam jakieś przymierze. Ach tak, ja na to, może ty nie zabawiałeś się z dziwkami na tym Dalekim Wschodzie? I wiesz, co na to powiedział?

– Że nie?

– Że tak! Ale z żołnierzami sprawy mają się inaczej, wyjaśnił. Uwierzysz? – Vikki trzęsła się cała, a jej oczy lśniły świętym oburzeniem. Tym razem jednak tusz nie rozmazał się pod oczami, a wargi jak zwykle błyszczały czerwienią. – Dobrze, powiedziałam, w porządku, pożałujesz, na co odparł,

że już żałuje. – Wzruszyła ramionami i rozjaśniła się. – Koniecznie przyjdź na obiad w niedzielę. Babcia zrobi lasagne.

Tatiana nie przyszła.

Przyjdź na obiad, Taniu. Jedź do Nowego Jorku, Taniu. Przyjdź z nami pograć w softball do Central Parku, Taniu. Popłyniemy promem, Taniu, jedź z nami do Bear Mountain. Chodź, Taniu, wracaj do nas, do żywych.

Rozdział dziewiąty

Rozmowa ze Stiepanowem, 1943

Kiedy Aleksander otworzył oczy – czy w ogóle je otwierał? – było nadal ciemno, nadal zimno. Drżał jak w febrze, obejmując się ramionami. To nie wstyd zginąć na wojnie, umrzeć młodo, umrzeć w lodowatej celi, ratować swoje ciało przed poniżeniem.

Pewnego dnia, kiedy Tatiana zmieniała mu w szpitalu opatrunek, nie patrząc w oczy, spytała, czy widział światło. Odparł: „Nie, nie widziałem".

Nie powiedział jej całej prawdy.

Bo słyszał...

Galop miedzianego konia.

Lecz tutaj wszystkie kolory straciły swój blask.

Jak w otępieniu usłyszał szczęk metalowej zasuwy i klucza przekręcanego w zamku. Do celi z latarką wszedł jego dowódca, Michaił Stiepanow, i spojrzał na skulonego w rogu więźnia.

– A jednak to prawda – powiedział. – Żyjecie.

Aleksander chciał się uśmiechnąć, uścisnąć dłoń Stiepanowa, lecz był zbyt zmarznięty i straszliwie bolały go plecy. Nie poruszył się więc i nie odezwał ani słowem.

Stiepanow kucnął na podłodze tuż przy nim.

– Co się stało z tą ciężarówką? Na własne oczy widziałem wasz akt zgonu wystawiony przez lekarza Czerwonego Krzyża. Powiedziałem waszej żonie, że zginęliście. Wasza ciężarna żona jest przekonana, że nie żyjecie. Co wy wyprawiacie?

– Wszystko jest w absolutnym porządku – odparł Aleksander. – Cieszę się, że was widzę, towarzyszu pułkowniku. Próbujcie nie oddychać zbyt głęboko. Nie ma tu dość tlenu dla nas obu.

– Aleksandrze, nie chciałeś jej powiedzieć, co się z tobą stanie?

Skinął głową.

– Ale po co ta eksplozja, akt zgonu?

– Chciałem, by myślała, że nie ma już dla mnie nadziei.

– Dlaczego?

Aleksander nie odpowiedział.

Gdziekolwiek pójdziesz, pójdę z tobą, mówi Tatiana. Ale jeśli zostaniesz tutaj, ja też zostanę. Nie zostawię ojca mojego dziecka w Związku Radzieckim. Pochyla się nad oniemiałym Aleksandrem. „Pamiętasz, co mi powiedziałeś w Leningradzie? Jakie życie mogę zbudować dla siebie, wiedząc, że zostawiłem cię, byś umarła w Związku Radzieckim albo zgniła w więzieniu? To twoje słowa – uśmiecha się. – I tym razem muszę się z tobą zgodzić – zniża głos. – Gdybym cię zostawiła, bez względu na to, jaką ruszę drogą, ze stukotem kopyt Jeździec Miedziany będzie mnie ścigał aż po kres moich dni".

Nie mógł tego powiedzieć swojemu dowódcy. Nie wiedział, czy Tatianie udało się uciec.

– Chcecie zapalić?

– Tak – odparł Aleksander. – Ale tutaj nie mogę. Za mało tlenu.

Stiepanow podał mu rękę i pomógł wstać.

– Postójcie przez kilka minut. Rozprostujcie nogi. – Spojrzał na przekrzywioną na bok głowę Aleksandra. – Ta cela jest dla was za niska. Nie pomyśleli o tym.

– Ależ tak. Dlatego właśnie mnie tu zamknęli.

Stiepanow stał tyłem do drzwi, Aleksander naprzeciwko niego.

– Jaki dziś dzień, towarzyszu pułkowniku? – spytał. – Jak długo tu jestem? Cztery, pięć dni?

– Jest ranek szesnastego marca. Wasz trzeci dzień.

Trzeci dzień! – pomyślał z przerażeniem.

Trzeci dzień! – pomyślał z radością. To prawdopodobnie oznacza, że Tania…

Nie odważył się myśleć dalej. Stiepanow pochylił się w jego stronę i Aleksander miał wrażenie, że powiedział bardzo cicho, niemal niesłyszalnie: „Mów głośno, żeby mogli cię usłyszeć, ale słuchaj mnie, byśmy mogli się razem śmiać, kiedy wrócisz na pole koniczyny i pokażę ci, jak ją jeść".

Spojrzał na twarz Stiepanowa, bardziej zatroskaną niż zwykle, jego szare oczy, wykrzywione współczuciem usta.

– Pułkowniku? – spytał.

– Nic nie mówiłem, majorze.

Odpędzając od siebie wizję łąki, słońca i koniczyny, Aleksander powtórzył cicho:

– Pułkowniku?

– Wszystko się spieprzyło, majorze – szepnął Stiepanow. – Szukają już waszej żony, ale… ona znikła. Przekonałem ją, by wróciła do Leningradu z doktorem Sayersem, tak jak prosiliście. Ułatwiłem jej wyjazd.

Aleksander nic nie powiedział, wbił tylko paznokcie w dłonie.

– Ale ona dosłownie rozpłynęła się w powietrzu. I wiecie, kto jeszcze? Doktor Sayers. Poinformował mnie, że wraca do Leningradu z waszą żoną…

Aleksander jeszcze mocniej wbił paznokcie w dłonie, by powstrzymać się od patrzenia na Stiepanowa i wypowiedzenia choćby słowa.

– Był w drodze do Helsinek, ale przecież miał najpierw jechać do Leningradu! – wykrzyknął Stiepanow. – Miał ją tam podrzucić i zabrać ze sobą pielęgniarkę Czerwonego Krzyża, którą zostawił w szpitalu na Greckim. Słuchacie mnie? Nigdy nie dotarli do Leningradu. Dwa dni temu na Lisim Nosie, na granicy radziecko-fińskiej znaleziono jego ciężarówkę Czerwonego Krzyża, spaloną i splądrowaną. Doszło tam do walki z żołnierzami fińskimi i czterej nasi ludzie zginęli. Nie było jednak ani śladu Sayersa i siostry Mietanowej.

Aleksander milczał. Chciał podnieść z podłogi swoje serce. Ale było ciemno i nie mógł go znaleźć. Słyszał, jak toczy się po podłodze, słyszał jak bije, krwawi, pulsuje gdzieś w rogu celi.

Stiepanow jeszcze bardziej zniżył głos.

– Fińscy żołnierze też strzelali i zabijali.

Aleksander nadal milczał.

– To jeszcze nie wszystko.

– Nie? – Aleksandrowi zdawało się, że to powiedział. Tylko jedno krótkie słowo, niczym oddech. Nie?

– Nie było ani śladu doktora Sayersa. Ale… – Stiepanow zawiesił głos. – Na śniegu znaleziono waszego dobrego przyjaciela, Dmitrija Czernienkę. Był martwy.

Dla Aleksandra była to niewielka pociecha.

Ale zawsze jakaś pociecha.

– Majorze, co Czernienko robił na granicy?

Aleksander nie odpowiedział. Gdzie jest Tatiana? Chciał zadać tylko to jedno pytanie. Jak udało im się dotrzeć gdziekolwiek bez ciężarówki? Co zrobili bez ciężarówki – przeszli piechotą przez bagna Karelii?

– Majorze, wasza żona zaginęła. Nie ma też Sayersa, Czernienko nie żyje… – Stiepanow się zawahał. – Ale to nie wszystko. Kiedy go zastrzelili, miał na sobie fiński mundur. Mundur fińskiego pilota, a w kieszeni fińskie dokumenty zamiast własnej książeczki wojskowej!

Aleksander milczał. Nie miał nic do ukrycia poza informacjami, które mogą kosztować Stiepanowa życie.

– Aleksandrze! – syknął pułkownik. – Nie odpychaj mnie! Próbuję ci pomóc.

– Towarzyszu pułkowniku – zaczął, próbując stłumić w sobie strach. – Proszę was, żebyście mi już więcej nie pomagali.

Tak bardzo chciał mieć jej zdjęcie. Jeszcze raz dotknąć białej sukienki w czerwone róże. Chciał ją zobaczyć tuż przy sobie jak wtedy, gdy po ślubie stali na schodach cerkwi w Morozowie.

Strach, który ściskał mu wnętrzności, bardzo przypominał przejmujący smutek. To on powstrzymał go przed myśleniem o Tani, o tym, jak stała przytulona do niego. Myśl o jej ciele, oczach, ustach była w tej chwili nie do zniesienia. Tego musi się nauczyć: nie wolno mu patrzeć na nią nawet we wspomnieniach. Nie mógł oddychać ani mówić.

Przeżegnał się drżącymi rękami.

– Wszystko było w porządku – wydusił wreszcie – dopóki nie przyszliście tutaj i nie powiedzieliście mi, że moja żona zaginęła. Czy wiecie, co mi robicie? – Zaczął się trząść jak w febrze.

Stiepanow podszedł bliżej. Zdjął płaszcz i podał go Aleksandrowi.

– Okryjcie się.

Aleksander natychmiast spełnił jego polecenie.

– Już czas! – usłyszeli krzyk na korytarzu.

– Powiedz mi prawdę – szepnął Stiepanow. – Kazałeś żonie wyjechać z Sayersem do Helsinek? Planowałeś to od samego początku?

Aleksander milczał. Nie chciał, by pułkownik cokolwiek wiedział – jedno życie, dwa, trzy, wystarczy. Jednostka to milion ludzi podzielony przez milion. Stiepanow nie zasługiwał na to, by umrzeć przez niego.

– Dlaczego jesteś taki uparty? Daj spokój! Nic od ciebie nie wyciągnęli, więc sprowadzają nowego człowieka, żeby cię przesłuchał. To najtwardszy śledczy, jakiego mają. Nigdy nie zawodzi. Wszyscy przesłuchiwani przez niego więźniowie w końcu podpisują zeznanie. Trzymają cię tu prawie nagiego w lodowatej celi, niedługo wymyślą coś nowego, żeby cię złamać. Będą cię bili, postawią cię w lodowatej wodzie, oślepią ostrym światłem, aż oszalejesz. Śledczy będzie ci celowo opowiadał rzeczy, za które zechcesz go zabić. Musisz być silny. Bo inaczej nie masz żadnych szans.

– Myślicie, że jest bezpieczna?

– Nie, nie sądzę, by była bezpieczna! Kto może być bezpieczny tutaj? – szepnął Stiepanow. – Ty? Ja? I na pewno nie ona. Szukają jej wszędzie. W Leningradzie, Mołotowie, Łazariewie. Jeśli jest w Helsinkach, też wpadną na jej trop, wiesz o tym doskonale. Ściągną ją tutaj z powrotem. Dziś rano zadzwonią do szpitala Czerwonego Krzyża w Helsinkach.

– Już czas! – krzyknął znowu strażnik na korytarzu.

– Ile razy w życiu będę jeszcze musiał słyszeć te słowa? – powiedział głośno Aleksander. – Słyszałem, jak mówili je do matki, do ojca, do żony, teraz mówią je do mnie. Kiedy to się skończy?

Stiepanow zdjął płaszcz z jego ramion.

– Przestępstwa, o które cię oskarżają…

– Proszę mnie nie pytać, towarzyszu pułkowniku.

– Zaprzeczaj wszystkiemu, Aleksandrze.

– Towarzyszu pułkowniku? – Zatrzymał go, gdy odwrócił się, by wyjść z celi. – W ten dzień, kiedy mnie zabrali, czy… Tania przyszła do was? – Był tak słaby, że słowa niemal nie chciały mu przejść przez usta. Nie dbał już o to, jak zimna jest ściana, nie mógł dłużej utrzymać się na nogach. Oparł plecy o lodowaty beton i osunął się na podłogę. – Widzieliście ją?

Spojrzał na Stiepanowa, który skinął głową.

– Jak się czuła?

– Nie pytaj, Aleksandrze.

– Czy…

– Nie pytaj.

– Proszę mi powiedzieć.

– Pamiętasz, jak przyniosłeś mi syna? – spytał Stiepanow łamiącym się głosem. Aleksander odwrócił wzrok. – Dzięki tobie znalazłem pociechę. Mogłem go jeszcze zobaczyć, zanim umarł. Mogłem go pochować.

– Wystarczy – powiedział Aleksander.

– Kto pocieszy twoją żonę?

Aleksander ukrył twarz w dłoniach.

Stiepanow wyszedł.

Aleksander siedział bez ruchu na podłodze może minutę, może dzień, może kilka lat. Nie potrzebował morfiny, nie potrzebował lekarstw, nie potrzebował fenobarbitalu. Chciał, by ktoś wystrzelił mu prosto w pulsującą bólem pierś.

Drzwi celi się otworzyły. Aleksander nie dostał jednak ani chleba, ani wody. Nie oddano mu też ubrania. Nie wiedział już, jak długo siedzi prawie nagi w lodowatej celi.

Do środka wszedł wysoki, łysy mężczyzna o nieprzyjemnej twarzy, który najwyraźniej nie miał ochoty stać, bo strażnik wniósł krzesło. Mężczyzna usiadł.

– Wiecie, co trzymam w rękach, majorze? – spytał przyjemnym, nosowym głosem.

Aleksander potrząsnął głową. Między nimi stała lampa naftowa. Wstał i odsunął się od ściany.

– Wasze ubranie, majorze. Kompletne ubranie i wełniany koc. Spójrzcie, co wam jeszcze przyniosłem. Duży kotlet wieprzowy, z kością. Jest jeszcze ciepły. I ziemniaki. Ze śmietaną i masłem. Kieliszek wódki i papierosa. Możecie wyjść z tej cholernej celi, zjeść coś dobrego, ubrać się. Macie na to ochotę?

– Wielką – odparł Aleksander obojętnym tonem. Nie chciał, by w obecności tego obcego mężczyzny zadrżał mu glos.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Tak też myślałem. Przyjechałem aż z Leningradu. Możemy chwilę porozmawiać?

– Czemu nie? Nie mam nic innego do roboty.

Mężczyzna parsknął śmiechem.

– Racja. – Wpatrywał się w Aleksandra przenikliwym wzrokiem.

– O czym chcecie porozmawiać?

– Przede wszystkim o was, majorze Biełow. I o paru innych rzeczach.

– W porządku.

– Chcielibyście dostać z powrotem swoje ubranie?

– Jestem pewny – odparł Aleksander – że dla tak inteligentnego człowieka jak wy odpowiedź jest jasna.

– Mam dla was inną celę. Cieplejszą, większą, z oknem. O wiele cieplejszą. Teraz musi być tam chyba ze dwadzieścia stopni Celsjusza.

Tutaj nie ma nawet pięciu. – Znów się uśmiechnął. – A może mam wam to przeliczyć na skalę Fahrenheita, majorze?

Fahrenheita? Aleksander zmrużył oczy.

– To nie będzie konieczne.

– Czy wspominałem o tytoniu?

– Tak.

– Te wszystkie drobne przyjemności, majorze. Chcielibyście je mieć?

– Czy nie odpowiedziałem już na to pytanie?

– Rzeczywiście. No to zadam wam jeszcze jedno.

– Słucham.

– Czy jesteście Aleksandrem Barringtonem, synem Harolda Barringtona, który przyjechał tutaj w grudniu tysiąc dziewięćset trzydziestego roku z piękną żoną i ładnym, jedenastoletnim synem?

Stojąc przed siedzącym na krześle śledczym, Aleksander nie mrugnął nawet okiem.

– Jak się nazywacie? – spytał. – Wasi ludzie zwykli się przedstawiać.

– Nasi ludzie? – Mężczyzna się uśmiechnął. – Powiem wam coś. Wy udzielicie odpowiedzi na moje pytanie, a ja na wasze.

– A jak brzmi wasze pytanie?

– Czy jesteście Aleksandrem Barringtonem?

– Nie. Jak brzmi wasze nazwisko?

Śledczy potrząsnął głową.

– O co chodzi? – spytał Aleksander. – Prosiliście, żebym odpowiedział na wasze pytanie. Odpowiedziałem. Teraz odpowiedzcie na moje.

– Leonid Słonko. Czy to coś zmienia?

Aleksander patrzył na niego badawczo.

– Przyjechaliście z Leningradu?

– Tak.

– Pracujecie tam?

– Tak.

– Długo, towarzyszu Słonko? Powiedzieli mi, że jesteście bardzo dobrzy. No to ile już pracujecie? Sądzę, że co najmniej dziesięć lat.

– Dwadzieścia trzy.

Aleksander gwizdnął z podziwem.

– Gdzie w Leningradzie?

– Gdzie co?

– Gdzie pracujecie? W Kriestach? Czy w areszcie na Millionej?

– Co wiecie o areszcie na Millionej, majorze?

– Wiem, że zbudowano go za panowania Aleksandra II, w tysiąc osiemset sześćdziesiątym czwartym roku. Tam właśnie pracujecie?

– Tak, od czasu do czasu przesłuchuję tam więźniów.

Aleksander skinął głową.

– Ładne miasto, Leningrad – ciągnął dalej. – Ale nadal nie mogę do niego przywyknąć.

– Nie? A dlaczego niby mieliście przywyknąć?

– Racja, dlaczego? Wolę Krasnodar. Cieplej. Wiecie, prawda? – Aleksander się uśmiechnął. – A jaką funkcję sprawujecie, towarzyszu?

– Jestem szefem wydziału śledczego.

– Nie służycie w wojsku? Tak też myślałem.

Słonko wstał, trzymając w rękach ubranie Aleksandra.

– Właśnie przyszło mi do głowy, majorze – powiedział wolno – że nasza rozmowa dobiegła końca.

– Zgadza się – odparł Aleksander. – Dziękuję, że zajrzeliście do mnie.

Słonko wypadł z celi tak gwałtownie, że zapomniał zabrać krzesło i lampę naftową. Strażnik zabrał je dopiero po długiej chwili.

Znów zapadła ciemność.

Przytłaczała go, lecz nie tak bardzo jak strach.

Tym razem nie musiał czekać długo.

Drzwi celi otworzyły się i do środka weszło dwóch strażników. Kazali mu wyjść ze sobą.

– Nie jestem ubrany – odparł Aleksander.

– Tam, gdzie idziemy, ubranie nie będzie wam potrzebne.

Obiecujące, pomyślał. Strażnicy byli młodzi i pełni zapału – tacy są zawsze najgorsi. Szedł najpierw między nimi, potem wysunął się lekko do

przodu, boso w górę kamiennymi schodami, w dół szkolnym korytarzem, przez tylne drzwi do lasu, boso w marcowej brei. Czy każą mu wykopać dół? Poczuł na plecach dotknięcie lufy. Stopy zdrętwiały mu zupełnie, całe ciało też zaczynało drętwieć, lecz serce w piersiach nadal biło mocno. Gdyby tylko przestało boleć, zniósłby to wszystko znacznie lepiej.

Przypomniał sobie dziesięcioletniego amerykańskiego skauta, potem radzieckiego chłopca. Nagie drzewa wyglądały przerażająco, lecz przez chwilę z radością wdychał chłodne powietrze i oglądał poszarzałe niebo. Wszystko będzie dobrze, pomyślał. Jeśli Tania jest w Helsinkach i pamięta, co jej mówiłem, na pewno zdołała przekonać Sayersa, by wyjechali stamtąd jak najszybciej. Może już ich tam nie ma. Może są w drodze do Nowego Jorku. A wtedy reszta nie ma już najmniejszego znaczenia.

– Odwróćcie się – rzucił jeden ze strażników.

– Mam się najpierw zatrzymać? – spytał, szczękając zębami.

– Zatrzymajcie się – powiedział zmieszany strażnik – i odwróćcie.

Zatrzymał się. Odwrócił.

– Aleksandrze Biełow – powiedział niższy najbardziej pompatycznym głosem, na jaki zdołał się zdobyć – uznano was winnym zdrady i szpiegostwa przeciwko ojczyźnie podczas prowadzonej przeciwko niej wojny. Karą za zdradę jest śmierć. Wyrok zostanie wykonany natychmiast.

Aleksander stał nieruchomo. Zsunął stopy i przycisnął ręce do boków. Stał i patrzył na strażników, nie mrugnąwszy okiem. Oni zamrugali nerwowo powiekami.

– I co teraz? – spytał powoli.

– Karą za zdradę jest śmierć – powtórzył niższy. Podszedł do Aleksandra i podał mu opaskę na oczy. Aleksander zauważył, że drżą mu ręce.

– Ile macie lat, kapralu? – spytał cicho.

– Dwadzieścia trzy.

– Zabawne, ja też – powiedział. – Pomyślcie tylko, trzy dni temu byłem majorem Armii Czerwonej. Trzy dni temu przypięli mi do piersi medal Bohatera Związku Radzieckiego. Niesamowite, prawda?

Kiedy strażnik uniósł opaskę, nadal drżały mu ręce. Aleksander odsunął się i potrząsnął głową.

– Zapomnijcie o tym. I nie odwrócę się. No, idźcie, wracajcie do swego towarzysza.

– Ja tylko wykonuję rozkazy, majorze – powiedział młody strażnik i Aleksander nagle rozpoznał w nim jednego z kaprali, których trzy miesiące temu miał na swoim stanowisku artyleryjskim podczas próby przerwania blokady Leningradu. Zostawił go przy dziale przeciwlotniczym, kiedy wybiegł na lód, by ratować Anatolija Marazowa.

– Kapral... Iwanow? – spytał. – No, no. Mam nadzieję, że poradzicie sobie lepiej z moją egzekucją niż z zestrzeliwaniem cholernych samolotów Luftwaffe, które o mało co nas nie zabiły.

Kapral nie był w stanie podnieść na niego wzroku.

– Będziecie musieli na mnie spojrzeć, gdy będziecie do mnie mierzyli, kapralu – powiedział, prostując się jeszcze bardziej. – Inaczej spudłujecie.

Iwanow stanął obok drugiego strażnika.

– Odwróćcie się, majorze – poprosił.

– Nie – odparł Aleksander. Stał wyprostowany, patrząc na żołnierzy. – Czego się boicie? Widzicie przecież, że jestem prawie nagi i nieuzbrojony.

Strażnicy stali jak sparaliżowani.

– Towarzysze – powiedział Aleksander. – Nie wydam wam rozkazu. Musicie to zrobić sami.

Drugi z żołnierzy powiedział:

– No dobra, Iwanow, podnieś karabin.

Podnieśli je obaj. Aleksander spojrzał prosto w jedną z luf. Zamrugał oczami. Boże, proszę cię, opiekuj się moją Tanią, bo zostanie zupełnie sama na świecie.

– Na trzy – powiedział kapral, gdy odbezpieczyli broń.

– Raz...

– Dwa...

Aleksander spojrzał im prosto w twarz. Obaj tak bardzo się bali. Zajrzał do swego serca. Nie znalazł w nim strachu. Było mu bardzo zimno, poza

tym czuł, że ma na tym świecie jeszcze coś do zrobienia; coś co nie może czekać całą wieczność. Zamiast drżących kaprali zobaczył nagle przed sobą odbitą w lustrze swoją jedenastoletnią twarz w dniu, w którym wyjeżdżali z Ameryki. Jakim stałem się człowiekiem? – pomyślał. Czy takim, jakim chciał mnie widzieć ojciec? Zacisnął usta. Nie wiedział. Wiedział jednak, że stał się człowiekiem, jakim sam chciał być. W takiej chwili taka świadomość powinna wystarczyć. Nie rozczarowałem samego siebie, pomyślał, prostując ramiona i unosząc brodę. Był gotów na „trzy".

Ale „trzy" nie padło.

– Czekać! – usłyszał dobiegający z boku głos. Strażnicy opuścili karabiny. Słonko, w ciepłym płaszczu, miękkim kapeluszu i skórzanych rękawiczkach, podszedł szybko do Aleksandra.

– Odsuńcie się – rzucił do żołnierzy i zarzucił na ramiona Aleksandra trzymany w rękach płaszcz. – Macie szczęście, majorze Biełow. Ułaskawił was sam generał Mechlis. – Położył mu dłoń na ramieniu. Dlaczego ten gest przyprawił Aleksandra o drżenie?

– Chodźcie. Wracamy. Musimy was ubrać. Zamarzniecie tu zupełnie.

Aleksander spojrzał zimno na śledczego. Czytał kiedyś, że coś podobnego spotkało Fiodora Dostojewskiego, którego mieli rozstrzelać żołnierze Aleksandra II. W ostatniej chwili car okazał pisarzowi łaskę i skazał go na wygnanie. Spojrzenie śmierci prosto w twarz i późniejsze wygnanie na zawsze odmieniły Dostojewskiego. Aleksander nie miał czasu, by zajrzeć w swoją duszę i szukać w niej zmian choćby przez pięć minut. Pomyślał, że z ich strony nie był to wcale akt łaski, lecz podstęp. Cieszył się, że pozostał do końca spokojny. Nie przejmował się dreszczem, który od czasu do czasu przebiegał przez całe jego ciało. I w przeciwieństwie do Dostojewskiego przez ostatnie sześć lat zaglądał śmierci w twarz zbyt często, by się bać.

Ruszył za Słonką w stronę szkoły. Mały pochód zamykali dwaj żołnierze. W małym ciepłym pokoju znalazł swoje ubranie, buty i jedzenie na stole. Ubrał się, wciąż drżąc z zimna. Wsunął stopy w skarpety, które – o dziwo – wyprano, i przez długą chwilę rozcierał palce, by przywrócić krążenie.

Zauważył na stopach kilka czarnych plam i przez chwilę poczuł strach przed odmrożeniem, infekcją, amputacją. Trwało to jednak tylko ułamek sekundy, bo znów dała o sobie znać rana w plecach, która paliła go jak ogień. Do pokoju wszedł kapral Iwanow i zaproponował mu kieliszek wódki, żeby się ogrzał. Aleksander wypił wódkę i poprosił o gorącą herbatę.

Kiedy zjadł wszystko i wypił herbatę, poczuł się bardzo syty i śpiący. Tak śpiący, że był bliski utraty przytomności. Trzymali go bez snu przez – nie wiedział już, jak długo – dwa dni? Trzy? Czarne plamy na stopach powoli znikały. Zamknął na chwilę oczy, a kiedy znów je otworzył, siedział przed nim Słonko.

– Życie uratował wam sam generał Mechlis – powiedział. – Chciał wam pokazać, że jesteśmy rozsądni i wiemy, co to litość.

Aleksander nawet nie skinął głową. Potrzebował wszystkich sił, by nie zasnąć.

– Jak się czujecie, majorze? – Słonko wyjął butelkę wódki i dwa kieliszki. – No, obaj jesteśmy przecież rozsądni. Napijmy się. Nie różnimy się aż tak bardzo.

Aleksander potrząsnął tylko głową.

– Zjadłem, wypiłem herbatę – powiedział. – Czuję się bardzo dobrze. – Z trudem utrzymywał się na krześle.

– Chcę z wami chwilę porozmawiać.

– Chcecie usłyszeć ode mnie kłamstwo, a tego nie mogę wam powiedzieć. Choćbyście nie wiem jak mnie do tego zmuszali. – Udał, że mruga, a tak naprawdę marzył tylko o tym, żeby zamknąć oczy.

– Majorze, ocaliliśmy wam życie.

Z wielkim wysiłkiem otworzył oczy.

– Tak, ale po co? Czy ocaliliście je dlatego, że uwierzyliście w moją niewinność?

Słonko wzruszył ramionami.

– Spójrzcie, to przecież proste. – Podsunął Aleksandrowi kartkę papieru. – Musicie tylko podpisać, że rozumiecie, iż ocalono wam życie. Zostaniecie

zesłani na Syberię, gdzie w spokoju dożyjecie swoich dni, z dala od wojny. Chcecie?

– Nie wiem – odparł Aleksander. – Ale nic nie podpiszę.

– Musicie, majorze. Jesteście naszym więźniem. Musicie zrobić to, co wam każemy.

– Nie mam nic do dodania poza tym, co już powiedziałem.

– Nie musicie niczego dodawać, tylko podpiszcie ten dokument.

– Niczego nie podpiszę.

– A gdybyście to zrobili, to jakie nazwisko by się tu znalazło? – spytał nagle Słonko. – Wiecie chociaż?

– Doskonale – odparł Aleksander.

Słonko nalał sobie kieliszek wódki. Aleksander wiedział, że głowa opada mu co chwilę. Ale mając znów na sobie ubranie i buty, czuł się znacznie silniejszy.

– Nie mogę uwierzyć, że każecie mi pić samemu, majorze. To niemal niegrzeczne.

– Może nie powinniście pić, towarzyszu Słonko. Tak łatwo jest osunąć się w przepaść.

Słonko podniósł wzrok znad kieliszka i przez długą chwilę wpatrywał się w Aleksandra.

– Wiecie – powiedział w końcu – dawno temu znałem kobietę, bardzo piękną kobietę, która dużo piła.

Nie oczekiwał żadnej odpowiedzi, więc Aleksander milczał.

– Tak. Była niezwykła. Bardzo dzielna, ale cierpiała straszliwie, nie mogąc pić w więzieniu. Kiedy przywieźliśmy ją na przesłuchanie, była zupełnie pijana. Trzeźwiała przez kilka dni. A potem długo rozmawialiśmy. Zaproponowałem jej kieliszek, który z wdzięcznością przyjęła. Gdy dałem jej do podpisania pewien dokument, nie wahała się ani chwili. Chciała uzyskać ode mnie tylko jedną, jedyną rzecz. Wiecie jaką?

Aleksandrowi udało się potrząsnąć głową.

– Chciała, żebym ocalił jej syna. Prosiła tylko o to. Abym ocalił jej jedynego syna, Aleksandra Barringtona.

– To piękne z jej strony – odparł Aleksander. Zacisnął dłonie, by powstrzymać drżenie. Błagał swoje ciało, by znieruchomiało, żeby było jak krzesło, stół, jak tablica na ścianie. Nie chciał, by drżało jak szyba podczas marcowej wichury. W każdej chwili mogła wyskoczyć z ramy. Jak witraż w cerkwi w Łazariewie.

– Pozwólcie, że was o coś zapytam, majorze – powiedział przyjaźnie Słonko, wychylając kieliszek i stawiając go z brzękiem na stole. – Gdybyście wy mieli poprosić o jedną rzecz przed śmiercią, co by nią było?

– Papieros – odparł Aleksander.

– Nie litość?

– Nie.

– Czy wiecie, że wasz ojciec też mnie prosił, żebym się nad wami zlitował? Wiedzieliście o tym?

Aleksander zbladł.

– Twoja matka błagała mnie, żebym ją zerżnął, ale odmówiłem – powiedział nagle Słonko po angielsku. – Na początku.

Aleksander zacisnął zęby. Nie drgnął ani jeden mięsień jego ciała.

– Mówicie do mnie, towarzyszu? – spytał po rosyjsku. – Bo ja mówię tylko po rosyjsku. W szkole próbowali mnie nauczyć francuskiego, ale nie mam za grosz talentu do języków. – Nie mógł powiedzieć nic więcej. Zupełnie zaschło mu w ustach.

– Zapytam was raz jeszcze – powiedział Słonko. – Cierpliwie i uprzejmie. Czy jesteście Aleksandrem Barringtonem, synem Jane i Harolda Barringtonów?

– A ja cierpliwie i uprzejmie wam odpowiem – odparł Aleksander – choć zadano mi to pytanie już sto pięćdziesiąt razy. Nie, nie jestem.

– Ale majorze, dlaczego osoba, która nam o tym powiedziała, miałaby kłamać? Skąd zdobyłaby takie informacje? On nie mógł przecież tego wymyślić. Znał takie szczegóły z waszego życia, o których nikt nie może mieć nawet pojęcia.

– A gdzie jest ten człowiek? – spytał Aleksander. – Chciałbym go zobaczyć. Zobaczyć i spytać, czy jest absolutnie pewny, że mówi właśnie

o mnie. Bo ja jestem pewny, że się myli.

– Nie, jest pewny, że to wy jesteście Aleksandrem Barringtonem.

Aleksander podniósł głos.

– Skoro jest taki pewny, to niech mnie rozpozna. Czy człowiek, o którym mówicie, jest porządnym towarzyszem? Czy jest dobrym radzieckim obywatelem? Nie jest przypadkiem zdrajcą, nie odwrócił się od ojczyzny? Służył jej tak wiernie jak ja? Czy został odznaczony, nigdy nie unikał bitew, nawet jeśli wydawały się beznadziejne i o zwycięstwo było bardzo trudno? Ten człowiek jest dla nas wszystkich wzorem, tak? Pozwólcie mi więc poznać ten wzór nowej radzieckiej świadomości. Niech wskaże na mnie palcem i powie: „To jest Aleksander Barrington". – Uśmiechnął się. – A potem zobaczymy.

Teraz zbladł Słonko.

– Przyjechałem aż z Leningradu, żeby porozmawiać z wami jak z rozsądnym człowiekiem – syknął, a w jego głosie nie brzmiała już fałszywa pokora. Zmrużył oczy.

– A ja z radością z wami porozmawiam – odparł Aleksander. – Zawsze z przyjemnością rozmawiam z uczciwym radzieckim funkcjonariuszem, który za wszelką cenę dąży do poznania prawdy i nic go przed tym nie powstrzyma. Chcę wam pomóc. Przyprowadźcie tu człowieka, który mnie oskarża. Wyjaśnijmy tę sprawę raz na zawsze. – Wstał i zrobił krok w stronę biurka. – A kiedy już to zrobimy, chcę, by przywrócono mi nazwisko, które ktoś bezprawnie oczernił.

– A jakie nazwisko macie na myśli, majorze?

– To, które prawnie noszę. Aleksander Biełow.

– Czy wiecie, że jesteście podobni do matki? – powiedział nagle Słonko.

– Moja matka od dawna nie żyje. Zmarła na tyfus w Krasnodarze. Wasi szpiedzy na pewno wam o tym powiedzieli.

– Mówię o waszej prawdziwej matce. Kobiecie, która gotowa była obciągnąć każdemu strażnikowi, byle tylko dostać kieliszek wódki.

Aleksander nawet nie drgnął.

– To interesujące, ale nie sądzę, by moja matka, żona wieśniaka, kiedykolwiek widziała na oczy strażnika.

Słonko splunął i wyszedł.

Nad Aleksandrem stanął strażnik. Nie był to jednak kapral Iwanow. Aleksander marzył teraz tylko o tym, by zamknąć oczy i zasnąć. Jednak za każdym razem, gdy opadały mu powieki, strażnik uderzał go kolbą pod brodę i kazał otwierać oczy.

Tymczasem słońce już zaszło i w pokoju zrobiło się ciemno. Kapral włączył światło i skierował żarówkę prosto w twarz Aleksandra. Coraz śmielej poczynał sobie z karabinem. Kiedy próbował uderzyć go w szyję po raz trzeci, Aleksander złapał za lufę, wyrwał karabin z rąk strażnika i wymierzył prosto w jego pierś. Wstając z krzesła, powiedział:

– Musicie tylko pilnować, żebym nie zasnął. Nie musicie się posuwać aż do tego. Możecie to zrobić?

– Oddajcie mi karabin.

– Najpierw odpowiedzcie.

– Tak, mogę.

Oddał strażnikowi broń. Kapral uderzył go lufą prosto w czoło. Aleksander zachwiał się, na moment zrobiło mu się ciemno przed oczami, ale nie wydał z siebie ani jednego dźwięku. Po chwili strażnik wyszedł z pokoju i wrócił ze zmiennikiem.

– Zamknijcie oczy, majorze – powiedział kapral Iwanow. – Kiedy wrócą, krzyknę. Dacie radę szybko otworzyć oczy?

– Natychmiast – odparł z wdzięcznością Aleksander. Zamknął oczy, siedząc na najbardziej niewygodnym z krzeseł, z niskim oparciem, pozbawionym podpórek pod ramiona. Miał nadzieję, że nie spadnie.

– Takie mają metody. – Usłyszał jeszcze głos kaprala. – Nie dadzą wam zmrużyć oka, będą was głodzić, będą was trzymać nagiego w ciemnej, lodowatej celi, aż się złamiecie i przyznacie, że białe jest czarne i podpiszecie ten ich pieprzony papier.

– Wiem. – Aleksander nie otworzył oczu.

– Kapral Borys Majkow podpisał. Wczoraj został rozstrzelany.

– A ten drugi? Uspieński? – spytał Aleksander, wciąż nie otwierając oczu.

– Wrócił do szpitala. Przekonali się, że ma tylko jedno płuco. Czekają, żeby umarł. Po co mają marnować kulę?

Aleksander był zbyt zmęczony, by odpowiedzieć. Iwanow zniżył głos i powiedział:

– Majorze, parę godzin temu słyszałem, jak Słonko kłócił się z Mitterandem. Powiedział: „Nie martwcie się. Złamię go albo umrze".

Aleksander milczał.

Usłyszał jeszcze szept Iwanowa:

– Nie pozwólcie się im złamać, majorze.

Nie odpowiedział. Spał.

Leningrad, 1935

W Leningradzie Barringtonowie znaleźli dwa sąsiadujące ze sobą pokoje w mieszkaniu komunalnym w rozpadającej się dziewiętnastowiecznej kamienicy. Aleksander znalazł nową szkołę, rozpakował książki, ubrania i nadal żył swoim piętnastoletnim życiem. Harold został zatrudniony jako stolarz w fabryce produkującej stoły. Jane została w domu i piła. Aleksander trzymał się jak najdalej od dwóch pokoi, które nazywali domem. Sporo czasu spędzał, włócząc się po Leningradzie, który podobał mu się znacznie bardziej niż Moskwa. Pastelowe budynki, białe noce, Newa. Ze swoimi ogrodami, pałacami, szerokimi ulicami Leningrad był bardzo romantyczny. Wąskie rzeki i kanały przecinały miasto, które zdawało się nigdy nie zasypiać.

W wieku szesnastu lat, zgodnie z przepisami, Aleksander zarejestrował się w wojskowej komisji rekrutacyjnej jako Aleksander Barrington. To był jego mały bunt. Nie zamierzał zmieniać nazwiska.

W swoim komunalnym mieszkaniu starali się trzymać na uboczu – mieli tak niewiele dla siebie i nic, co mogliby zaoferować innym – lecz

mieszkające na drugim piętrze małżeństwo, Swietłana i Władimir Wisselscy, traktowali ich bardzo przyjaźnie. Mieszkali w jednym pokoju z matką Władimira i początkowo byli pod sporym wrażeniem Barringtonów, zazdroszcząc im dwóch pokoi tylko dla siebie. Władimir był inżynierem specjalistą od budowy dróg, a Swietłana pracowała w bibliotece. Stale powtarzała Jane, że dla niej też znajdzie się tam miejsce. Jane zdobyła pracę, lecz nie była w stanie wstawać rano, by chodzić do biblioteki.

Aleksander lubił Swietłanę. Była po trzydziestce, zawsze dobrze ubrana, ładna, dowcipna. Lubił sposób, w jaki z nim rozmawiała, niemal tak jakby był zupełnie dorosły. Latem tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku nie mógł sobie znaleźć miejsca. Załamani i zrujnowani rodzice nie wynajęli daczy. Znudzony, bez przyjaciół, za dnia spacerował po ulicach Leningradu, a nocami czytał. Załatwił sobie kartę w bibliotece Swietłany i często tam przesiadywał, prowadząc z nią długie rozmowy. Od czasu do czasu czytał. Często Swietłana wracała z nim do domu.

Widział też, że dzięki przyjaznej opiece Swietłany matka odzyskała nieco humor, lecz po pewnym czasie znów zaczęła popołudniami popijać.

Aleksander spędzał coraz więcej czasu w bibliotece. Kiedy wracali razem do domu, Swietłana częstowała go papierosem, którego nie odmawiał, lub wódką, której nigdy nie przyjmował. Nadal jej nie znosił. Papierosów początkowo też, lecz po jakimś czasie przekonał się, że zaczyna tęsknić do ich smaku w ustach. Wódka zmieniała go w sposób, który bardzo mu się nie podobał, lecz papierosy uspokajały jego kipiący od hormonów nastoletni organizm.

Pewnego popołudnia wrócili do domu wcześniej niż zwykle i zastali matkę zupełnie pijaną. Weszli do jego pokoju, by usiąść na chwilę, zanim Swietłana będzie musiała wrócić na dół. Zaproponowała Aleksandrowi kolejnego papierosa i podając mu go, przysunęła się bliżej. Przyglądał się jej przez chwilę, zastanawiając się, czy przypadkiem nie odczytuje błędnie jej zamiarów. Swietłana wyjęła papierosa z ust, wsunęła go między wargi Aleksandra i pocałowała go lekko w policzek.

– Nie bój się – powiedziała. – Nie ugryzę cię.

A więc nie odczytał błędnie jej zamiarów.

Miał szesnaście lat i był gotowy.

Jej usta powędrowały do jego warg.

– Boisz się? – spytała.

– Nie – odparł, rzucając na podłogę papierosa i zapalniczkę. – Ale ty powinnaś się bać.

Spędzili razem na kanapie dwie godziny. Kiedy Swietłana wyszła w końcu z pokoju i wracała do siebie, szła korytarzem chwiejnym krokiem osoby, która podjęła walkę, myśląc, że zwycięstwo przyjdzie bez najmniejszego trudu. Niestety, na koniec musiała przyznać, że przegrała z kretesem, tracąc na dodatek całą broń.

Minęła po drodze Harolda, który wracał do domu z pracy i kiwając jej na powitanie głową, powiedział:

– Nie chcesz zostać na kolacji?

– Nie ma kolacji – odparła słabym głosem. – Twoja żona jeszcze śpi.

Aleksander zamknął drzwi do swojego pokoju i uśmiechnął się.

Harold przygotował kolację dla siebie i syna, który spędził resztę wieczoru w swoim pokoju, udając, że czyta. Tak naprawdę nie mógł się już doczekać następnego dnia.

Następnego popołudnia ze Swietłaną i następnego.

Spotykali się późnym popołudniem przez cały miesiąc.

Bardzo lubił Swietłanę i było mu z nią dobrze. Mówiła mu, co ma robić, by sprawić jej przyjemność, a on nigdy jej nie zawodził. To ona nauczyła go cierpliwości i wytrwałości, a to w połączeniu z wrodzoną tendencją do trwania na posterunku do samego końca sprawiało, że Swietłana wychodziła z pracy coraz wcześniej. Pochlebiało mu to. Lato mijało jak sen. Problemem były tylko soboty i niedziele, kiedy Swietłana odwiedzała Barringtonów razem z mężem. Najmniejszym gestem nie mogli zdradzić, że coś ich łączy, i Aleksander czuł, że nie wytrzyma już dłużej napięcia.

Niebawem Swietłana zaczęła narzekać, kiedy spędzał wieczory poza domem.

Aleksander posmakował już jednak innego życia i chciał się nim cieszyć, a nie zamykać w domu ze Swietłaną.

Z radością nadal poświęcałby jej swój czas i spotykał się z dziewczętami w swoim wieku, lecz pewnego niedzielnego wieczoru, gdy siedzieli przy kolacji złożonej z ziemniaków i odrobiny śledzi, mąż Swietłany powiedział nagle:

– Moja Swietoczka musi sobie chyba znaleźć drugą posadę. W bibliotece pracuje coraz krócej.

– A kiedy będzie odwiedzać moją żonę? – spytał Harold, nabierając na talerz kolejną porcję ziemniaków. Siedzieli stłoczeni przy niewielkim stole w pokoju rodziców Aleksandra.

– A odwiedzasz mnie? – spytała Jane.

Wszyscy zamilkli.

– Ależ tak – powiedziała wreszcie Jane. – Codziennie. Widuję cię przecież popołudniami.

– Musicie się świetnie bawić – powiedział Władimir. – Swietłana wraca zawsze w świetnym humorze. Gdybym nie wiedział, że jest inaczej, mógłbym pomyśleć, że ma jakiś romans. – Roześmiał się jak mężczyzna, dla którego sama myśl o romansie żony jest tak absurdalna, że niemal sprawia mu przyjemność.

Swietłana odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła głośnym śmiechem. Nawet Harold zachichotał. Tylko Jane i Aleksander siedzieli jak oniemiali. Przez resztę wieczoru Jane nie odzywała się już do nikogo ani słowem, tylko coraz więcej piła. Niedługo potem opadła nieprzytomna na kanapę, podczas gdy pozostali sprzątali po kolacji.

Następnego dnia, kiedy Aleksander wrócił do domu, zastał u siebie w pokoju matkę, poważną i trzeźwą.

– Odesłałam ją do domu – powiedziała, gdy wszedł do środka i rzucił na podłogę torbę z książkami i kurtkę. Stał przed nią ze splecionymi na piersiach ramionami.

– W porządku.

– Co ty wyprawiasz? – spytała cicho. Widział, że płakała.

– Nie wiem, mamo. A ty?

– Aleksandrze…

– Czym się martwisz?

– Że nie potrafię się opiekować moim synem.

– I to cię tak martwi?

– Nie chcę, żeby było za późno – powiedziała zduszonym głosem. – To moja wina, wiem. Ostatnio, niewiele… – Urwała – …Niewiele z siebie dawałam. Ale bez względu na to, co się dzieje w naszej rodzinie, ona nie może tu więcej przychodzić, jeśli chce to nadal ukrywać przed mężem.

– Tak jak ty ukrywasz przed swoim to, co robisz popołudniami? – spytał Aleksander.

– Jakby go to w ogóle obchodziło – parsknęła Jane.

– Jakby to w ogóle obchodziło Władimira – odpalił.

– Przestań! – krzyknęła. – Po co to wszystko? Żebym przejrzała na oczy?

– Mamo, wiem, że ciężko ci w to uwierzyć, ale to naprawdę nie ma nic wspólnego z tobą.

– Rzeczywiście, bardzo trudno mi w to uwierzyć – odparła z goryczą. – Ty, najpiękniejszy chłopiec w całej Rosji, chcesz mi powiedzieć, że nie znalazłeś sobie dziewczyny w swoim wieku, a niemal moją rówieśniczkę, z którą się na dodatek przyjaźnię?

– A kto mówi, że nie znalazłem? Czy dzięki uczennicy zdołałabyś wytrzeźwieć?

– A więc jednak to ma coś wspólnego ze mną! – Nadal siedziała na kanapie. Aleksander stał przed nią.

– To chcesz osiągnąć w życiu? Stać się zabawką dla znudzonych, dużo starszych od siebie kobiet?

Poczuł, że ogarnia go coraz większy gniew. Zacisnął zęby. Matka coraz częściej tylko go denerwowała.

– Odpowiedz mi! – krzyknęła. – Tego właśnie chcesz?

– A czemu nie?! – krzyknął równie głośno jak ona. – Wydaje ci się, że mam mnóstwo bardziej interesujących zajęć do wyboru? Co ci się w tym tak bardzo nie podoba?

Jane zerwała się z kanapy.

– Nie zapominaj się – powiedziała. – Nadal jestem twoją matką.

– To zachowuj się jak matka! – wrzasnął.

– Opiekowałam się tobą przez całe życie.

– I spójrz tylko, dokąd to nas wszystkich zaprowadziło. My, Barringtonowie, żyjemy w Leningradzie, ty wydajesz połowę pensji ojca na wódkę, ale to i tak za mało. Sprzedałaś biżuterię, sprzedałaś książki, jedwabie, pościel. Sprzedałaś wszystko, żeby mieć pieniądze na alkohol. Co ci jeszcze zostało, mamo? Co jeszcze masz do sprzedania?

Po raz pierwszy w życiu Jane podniosła rękę i uderzyła Aleksandra w twarz. Zasłużył na to, wiedział o tym doskonale, ale nie mógł się powstrzymać przed wypowiedzeniem tych słów.

– Mamo, jeśli chcesz mi przedstawić jakieś inne wyjście, to zrób to. Ale jeśli chcesz powiedzieć mi, co mam robić, tak nagle, po wielu miesiącach milczenia, to daj sobie spokój. Nie posłucham. Sama musisz coś z sobą zrobić. – Zawiesił głos. – Przestań pić.

– Teraz jestem trzeźwa.

– To porozmawiamy jutro.

Jednak następnego dnia znów była pijana. I następnego też.

Zaczął się rok szkolny. Aleksander zakręcił się koło dziewczyny o imieniu Nadia. Pewnego popołudnia Swietłana czekała na niego przed szkołą. Wychodził, roześmiany, razem z Nadią. Przeprosił ją i podszedł do Swietłany.

– Aleksandrze, muszę z tobą porozmawiać. – Poszli do niewielkiego parku i usiedli na ławce pod jesiennym już drzewem.

Odchrząknął.

– Posłuchaj… i tak musieliśmy z tym skończyć.

– Skończyć – powiedziała to takim tonem, jakby myśl o tym nigdy nawet nie przyszła jej do głowy.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Nie możemy! – wykrzyknęła. – Dlaczego mielibyśmy z tym kończyć?

– Co dlaczego?

– Nie rozumiesz, Aleksandrze? – spytała drżącym głosem i chwyciła go za rękę. – To tylko próba, której jesteśmy poddani.

– To próba, z której nie wyjdę zwycięsko, Swietłano. Nie wiem, co ci mogło przyjść do głowy. Chodzę do szkoły. Mam szesnaście lat. A ty jesteś trzydziestodziewięcioletnią mężatką. Myślałaś, że jak długo to potrwa?

– Kiedy zaczynaliśmy – odparła ochryple – o niczym nie myślałam.

– I dobrze.

– Ale teraz...

Spuścił wzrok.

– Swietłano...

Wstała z ławki. Jej gardłowy krzyk sprawił, że Aleksander poczuł ból w płucach, jakby wraz z powietrzem wdychał jej żałosne uczucia.

– Masz rację. Jestem śmieszna. – Odetchnęła głęboko i machnęła ręką. – Masz rację. – Usiłowała się uśmiechnąć, lecz nic z tego nie wyszło. – Może jeden, ostatni raz? Przez wzgląd na to, co było? Żeby się pożegnać jak należy?

W odpowiedzi Aleksander spuścił tylko głowę.

Cofnęła się o krok, opanowała i powiedziała najspokojniejszym głosem, na jaki mogła się zdobyć:

– Aleksandrze, zapamiętaj to do końca życia: masz wiele niezwykłych darów. Nie marnuj ich. Nie rozdawaj bezmyślnie, nie traktuj zbyt lekko. Jesteś bronią, którą będziesz niósł ze sobą aż do dnia swojej śmierci.

Nie zobaczyli się już nigdy więcej. Aleksander załatwił sobie kartę w innej bibliotece. Władimir i Swietłana przestali ich odwiedzać. Harold początkowo bardzo się temu dziwił, ale szybko zapomniał o sąsiadach. Aleksander wiedział doskonale, że ojciec ma zbyt dużo innych zmartwień, by przejmować się nieobecnością w swoim życiu ludzi, za którymi zresztą nie przepadał.

Jesień powoli przeszła w zimę. Rok tysiąc dziewięćset trzydziesty piąty w tysiąc dziewięćset trzydziesty szósty. Aleksander obchodził sylwestra tylko z ojcem. Poszli razem do pobliskiego baru, gdzie ojciec postawił mu kieliszek wódki i próbował z nim porozmawiać. Rozmowa była krótka

i wymuszona. Harold Barrington – na swój własny trzeźwy sposób – nie zwracał zupełnie uwagi na żonę i syna. Aleksander nie znał świata, w którym zamieszkiwał jego własny ojciec i przestał go rozumieć. Nie chciał go zresztą rozumieć, nawet gdyby był do tego zdolny. Wiedział, że ojciec bardzo pragnął, by on nadal trwał u jego boku, rozumiał go, wierzył w niego, tak jak to robił, gdy był młodszy. Ale on już tego nie potrafił. Te czasy dawno minęły. Przepełnione idealizmem dni należały do przeszłości. Pozostało już tylko życie.

Oddanie pokoju, 1936

Czy mogło być jeszcze gorzej?

Mogło. I to już niebawem.

Pewnego ciemnego ranka w styczniu na progu ich mieszkania stanął niewysoki człowiek z Uprawdomu – komitetu mieszkaniowego. Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn w garniturach. Pomachał Barringtonom przed oczami kartką papieru, informując ich, że muszą zrezygnować z jednego pokoju na rzecz innej rodziny. Harold nie miał siły oponować. Jane była na to zbyt pijana. Tylko Aleksander podniósł głos, lecz zaraz zamilkł. To nie miało sensu. Nie mieli do kogo pójść, by wymóc anulowanie decyzji.

– Nie możecie powiedzieć, że to niesprawiedliwe. – Członek Uprawdomu uśmiechnął się z wyższością do Aleksandra. – Macie dwa ładne pokoje, a jesteście tylko we trójkę. A oni nie mają gdzie się podziać. Ona jest w ciąży. Gdzie wasz młody socjalistyczny duch, towarzyszu przyszły komsomolcu?

Razem z ojcem przeniósł łóżko, niedużą komodę, biblioteczkę i kilka swoich osobistych rzeczy. Postawił łóżko pod oknem, a komodą i biblioteczką odgrodził się od rodziców. Kiedy ojciec chciał się dowiedzieć, czy jest zły z tego powodu, warknął:

– W wieku szesnastu lat wprost marzę o tym, by dzielić z wami pokój. Wiem, że wy też nie chcecie mieć ani grama prywatności.

Rozmawiali po angielsku, bo tak było wygodniej. Poza tym mogli wypowiedzieć nieistniejące w rosyjskim słowo „prywatność".

Kiedy Jane obudziła się następnego ranka, zapytała, co Aleksander robi w ich pokoju. Była niedziela.

– Zostaję tu na dobre – odparł i wyszedł z domu na cały dzień. Pojechał pociągiem do Peterhofu i spacerował tam samotnie, przygnębiony, niczego nie rozumiejąc. Poczucie, które towarzyszyło mu przez całe jego młode życie – że zjawił się na tym świecie, by dokonać niezwykłych czynów – nie do końca go opuściło; rozpłynęło się tylko w jego żyłach, stało mniej wyraźne. Już nie pulsowało z wielką siłą w całym ciele. Wchodząc w okres dojrzewania, nie widział już przed sobą jasno wytyczonych celów. Przepełniało go poczucie rozpaczy.

Miałem dobre dzieciństwo, pomyślał. A dojrzewanie – też mógłbym jakoś przez to wszystko przejść. Mógłbym z tym żyć, gdyby tylko towarzyszyła mi nadzieja, że na końcu dzieciństwa, na końcu dojrzewania, znajdę w życiu coś, co będzie tylko moje, co będę mógł osiągnąć sam i powiedzieć potem: „Zrobiłem to dla siebie. To moje życie".

Nadzieja.

Tej zimowej niedzieli znikła z życia Aleksandra na zawsze, a poczucie celu na dobre zamarzło w jego żyłach.

Koniec, 1936

Harold przestał przynosić wódkę do domu.

– Tato, nie sądzisz, że mama i tak jakoś ją zdobędzie?

– Za co? Nie ma pieniędzy.

Aleksander nie chciał wspominać o tysiącach amerykańskich dolarów, które matka przechowywała od dnia ich przyjazdu do Związku Radzieckiego.

– Przestańcie mówić o mnie tak, jakby mnie tu nie było! – krzyknęła Jane.

Spojrzeli na nią zaskoczeni. Niedługo po tej rozmowie Jane usiłowała podkradać pieniądze z kieszeni Harolda i sama kupowała wódkę. Harold zaczął trzymać pieniądze poza domem. Jane przyłapano potem w mieszkaniu obcych ludzi, jak przeszukiwała szuflady, już na rauszu po wypiciu francuskich perfum, które tam znalazła.

Aleksander bał się, że naturalną koleją rzeczy matka zacznie teraz przepijać pieniądze, które przywiozła z Ameryki. I będzie pić, dopóki się nie skończą. Najpierw radzieckie ruble, które zaoszczędziła, pracując jeszcze w Moskwie, a potem amerykańskie dolary. Ma ich dość, by kupować wódkę na czarnym rynku przez rok, a kiedy pieniądze się skończą, co wtedy?

Nic.

Bez tych pieniędzy Aleksander będzie skończony.

Musi się postarać, by wytrzeźwiała i pozwoliła mu schować je poza domem. Bo jeśli odkryje, że wziął dolary bez jej pozwolenia, wpadnie w histerię, i wszystko się wyda. Kiedy Harold się dowie, że jego żona nie ufała mu już od dnia wyjazdu ze Stanów Zjednoczonych, nie darzyła go pełnią miłości i szacunku, nie wierzyła w jego motywy, ideały i marzenia, które, jak sądził, dzieliła z nim od samego początku, załamie się zupełnie i nigdy nie dojdzie do siebie. Aleksander nie chciał ponosić odpowiedzialności za przyszłość ojca, chciał tylko mieć do dyspozycji pieniądze, które pomogą mu jakoś ułożyć sobie życie. Jego matka, gdy była trzeźwa, też tego pragnęła. Wiedział o tym doskonale. Kiedy wytrzeźwieje, pozwoli mu ukryć pieniądze. Kłopot w tym, jak do tego doprowadzić.

Pod koniec jednego wyjątkowo trudnego tygodnia Aleksander próbował powstrzymać matkę od picia. Kiedy wpadła w szał, obrzuciła go stekiem tak straszliwych obelg, że zareagował nawet Harold.

– Na miłość boską, daj jej wreszcie wódki i powiedz, żeby się zamknęła.

Aleksander nie spełnił polecenia ojca. Siedział przy Jane i czytał na głos Dickensa po angielsku; czytał też po rosyjsku Puszkina, najzabawniejsze

opowiadania Zoszczenki, karmił ją zupą i chlebem, podawał kawę, robił okłady z zimnych ręczników. Jednak Jane nadal ziała nienawiścią do całego świata. Kiedy na chwilę zapadła cisza, Harold spytał:

– Co ona mówiła o tobie i Swietłanie? O co jej chodziło?

– Tato, nie nauczyłeś się jeszcze, że nie należy jej słuchać? I wierzyć w ani jedno słowo?

– Tak, tak, masz rację – mruknął Harold, odchodząc od syna. Nie mógł jednak odejść daleko, bo w wąskim pokoju nie było wiele miejsca.

W poniedziałek, kiedy ojciec poszedł do pracy, Aleksander został w domu i przez cały dzień przekonywał przygnębioną, trzeźwą matkę, że musi schować pieniądze w bezpiecznym miejscu. Próbował jej wytłumaczyć, najpierw cicho i spokojnie, potem krzycząc, że jeśli coś, nie daj Boże, się z nimi stanie, jeśli zostaną aresztowani...

– Opowiadasz bzdury, synu. Dlaczego mieliby nas aresztować? Jesteśmy tacy jak oni. Nie żyje się nam najlepiej, ale niby czemu mielibyśmy żyć lepiej niż reszta Rosjan? Przyjechaliśmy tutaj, by dzielić ich los.

– I robimy to w wielkim stylu – odparł Aleksander. – Mamo, kiedy ty wreszcie zmądrzejesz? Jak myślisz, co się stało z innymi cudzoziemcami, którzy przyjechali z nami do Moskwy? – Urwał. Matka zastanawiała się przez chwilę. – Nawet jeśli nie mam racji, to nie zaszkodzi wykazać się odrobiną przezorności i ukryć pieniądze. Ile nam zostało?

Po chwili zastanowienia odparła, że nie wie. Pozwoliła Aleksandrowi policzyć. Było dziesięć tysięcy dolarów i czterysta rubli.

– Ile dolarów przywiozłaś z Ameryki? – spytał.

– Nie wiem. Siedemnaście tysięcy. Może dwadzieścia.

– Och, mamo.

– Co? Część z nich poszła na twoje pomarańcze i mleko w Moskwie. A może już o tym zapomniałeś?

– Nie zapomniałem – odparł znużonym głosem. Ile mogli na to wydać? Pięćdziesiąt dolarów? Sto?

Jane paliła papierosa. Spojrzała na Aleksandra, mrużąc oczy.

– Jeśli pozwolę ci schować pieniądze, dasz mi trochę wódki? Tak w formie podziękowania?

– Tak. Ale tylko jeden kieliszek.

– Oczywiście. Nie chcę więcej. Wiesz, czuję się dużo lepiej, gdy jestem trzeźwa. Ale jeden mały kieliszek bardzo mi pomoże, wiesz o tym, prawda?

Zamrugał powiekami, lecz nie powiedział ani słowa. Chciał tylko zapytać matkę, czy wie, jak bardzo jest naiwna.

– No dobrze – powiedziała Jane. – Skończmy z tym raz na zawsze. Gdzie chcesz schować pieniądze?

Aleksander zaproponował, by ukryć je w wydrążonej okładce książki. Wyjął z biblioteczki jeden z opasłych tomów matki, by pokazać, o co mu chodzi.

– Jeśli ojciec się o tym dowie, nigdy ci nie wybaczy.

– Może to dopisać do całej listy innych rzeczy. Ukrycie pieniędzy powinno się znaleźć tuż pod odmową dzielenia jego poglądów. No, mamo. Kończmy z tym, bo muszę iść do szkoły. Oddamy potem książkę do biblioteki.

Jane patrzyła na trzymany przez syna tom. Był to *Jeździec Miedziany i inne poematy* Aleksandra Puszkina.

– Dlaczego nie schowamy ich w Biblii, którą przywieźliśmy z domu?

– Bo widok dzieł Puszkina w bibliotece w Leningradzie nikogo nie zaniepokoi. A widok angielskiej Biblii mógłby wzbudzić spore podejrzenia, nie sądzisz? – Uśmiechnął się.

Jane niemal odpowiedziała mu uśmiechem.

– Aleksandrze, tak mi przykro, że ostatnio nie czułam się dobrze.

Spuścił głowę.

– Nie chcę rozmawiać o tym z twoim ojcem, bo stracił już do mnie cierpliwość, ale mam problemy z przystosowaniem się do życia, które tu wiedziemy.

– Wiemy – odparł. – Zauważyliśmy.

Objęła go ramionami, a on poklepał ją lekko po plecach.

– Ciii – szepnął. – Już dobrze.

– Te pieniądze, Aleksandrze – powiedziała, podnosząc wzrok na syna. – Myślisz, że jakoś ci pomogą?

– Nie wiem. Ale zawsze lepiej je mieć, niż nie mieć.

Zabrał książkę ze sobą, a po lekcjach poszedł do biblioteki publicznej. W wielkim dziale z dziełami Puszkina znalazł dla niej miejsce na dolnej półce. Schował ją między dwoma wielkimi tomami, których nie wypożyczano od tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku. Pomyślał, że to dobry znak. Nikt nie powinien wypożyczyć także i jego książki. Nadal jednak miał uczucie, że nie jest całkiem bezpieczna i żałował, że nie może znaleźć lepszego miejsca.

Kiedy wrócił do domu, matka znów była pijana, a w jej oczach nie pozostał ani cień wyrzutów sumienia i czułości, jakie oglądał rankiem. Zjadł kolację razem z ojcem, słuchając radia.

– Wszystko w porządku w szkole?

– Tak, tato.

– Masz tam dobrych przyjaciół?

– Jasne.

– A dziewczyny? – Ojciec próbował nawiązać dłuższą rozmowę.

– Też.

Ojciec odchrząknął.

– Jakieś miłe Rosjanki?

– Dlaczego pytasz? – Aleksander się uśmiechnął.

– Czy mój chłopak podoba się miłym Rosjankom?

Aleksander wzruszył ramionami.

– Uważają, że jestem w porządku.

– Pamiętam, jak razem z Teddym stale bawiliście się z tą dziewczynką, jak ona miała na imię?

– Belinda.

– Tak, Belinda. Była bardzo miła.

– Tato. – Aleksander się roześmiał. – Mieliśmy wtedy osiem lat. Tak, jak na ośmiolatkę była bardzo miła.

– Szalała za tobą.

– A Teddy za nią.

– To mniej więcej podsumowuje wszystkie związki na ziemi.

Wyszli do baru.

– Trochę tęsknię za naszym domem w Barrington – wyznał nagle Harold. – Ale chyba tylko dlatego, że mieszkam tu za krótko. Nie miałem czasu, by zmienić przyzwyczajenia i zostać osobą, jaką pragnę być.

– Żyjesz tak zbyt długo. I dlatego tęsknisz za domem w Barrington.

– Nie. Wiesz, co myślę, synu? Jakoś im tutaj nie wychodzi, bo to jest przecież Rosja. Komunizm sprawdziłby się o wiele lepiej w Ameryce. – Uśmiechnął się nieśmiało. – Zgodzisz się ze mną?

– Och, tato, daj spokój.

Harold nie ciągnął rozmowy.

– Nie ma sprawy. Idę na chwilę do Lwa. Chcesz pójść ze mną?

Mógł albo wrócić do pokoju, gdzie czekała na niego pijana do nieprzytomności matka, albo siedzieć w zadymionym pokoju, gdzie kumple ojca bez końca omawiali niejasne fragmenty *Kapitału* i zastanawiali się, jak odnieść zwycięstwo w Ameryce.

Aleksander chciał zostać z ojcem, ale sam. Wrócił więc do domu, do matki. Chciał być sam z kimś.

Następnego ranka, kiedy Harold i Aleksander zbierali się do wyjścia, Jane, nadal skacowana po minionej nocy, chwyciła syna za rękę.

– Zostań jeszcze chwilę, synu. Chcę z tobą porozmawiać.

Kiedy Harold wyszedł, powiedziała naglącym głosem:

– Myślałam o tym, co mi mówiłeś. Spakuj się. Gdzie jest ta książka? Biegnij po nią.

– Po co?

– Jedziemy do Moskwy.

– Do Moskwy?

– Tak. Zabieram cię do ambasady amerykańskiej.

– Mamo.

– Do Moskwy dotrzemy wieczorem. Zaraz z rana zabiorę cię do ambasady. Zatrzymają cię tam do czasu, gdy skontaktują się z Departamentem Stanu w Waszyngtonie. A potem odeślą z powrotem.

– Mamo, nie.

– Tak, Aleksandrze. Ja zaopiekuję się ojcem.

– Nie potrafisz zająć się sama sobą.

– Nie martw się o mnie. Mój los jest już przypieczętowany. Ale ty masz przed sobą całe życie. Martw się tylko o siebie. Twój ojciec stale chodzi na te zebrania. Myśli, że jak bawi się z dorosłymi, to nie zostanie ukarany. A oni już mają jego numer. I mój też. Ale ty, Aleksandrze, jeszcze nie masz swojego numeru. Muszę cię stąd wydostać.

– Nie pojadę bez ciebie i taty.

– Pojedziesz. Mnie i ojcu nigdy nie pozwolą wrócić. Ale ty świetnie poradzisz sobie w Ameryce. Wiem, że teraz jest tam trudno, nie ma pracy, ale będziesz wolny, odzyskasz swoje życie, więc przestań się ze mną spierać. Jestem twoją matką. Wiem, co mówię.

– Mamo, zabierasz mnie do Moskwy, żeby mnie oddać Amerykanom?

– Tak. Ciotka Esther zaopiekuje się tobą do czasu, gdy skończysz szkołę średnią. Departament Stanu wszystko zorganizuje, będzie czekała na twój statek w Bostonie. Masz dopiero szesnaście lat, Aleksandrze, ludzie z konsulatu na pewno cię przyjmą.

Aleksander był kiedyś bardzo blisko związany z siostrą swojego ojca. Uwielbiała go, lecz pokłóciła się kiedyś straszliwie z Haroldem na temat wątpliwej przyszłości Aleksandra w Związku Radzieckim. Nie rozmawiali ze sobą ani nie pisali do siebie od lat.

– Mamo, pamiętaj o dwóch rzeczach – powiedział. – W przyszłym miesiącu skończę siedemnaście lat, a kiedy skończyłem szesnaście, zarejestrowałem się w wojskowej komisji rekrutacyjnej. Pamiętasz? To obowiązkowe. Kiedy wstąpiłem do Armii Czerwonej, stałem się obywatelem radzieckim. Na dowód mam książeczkę wojskową.

– W konsulacie nie muszą o tym wiedzieć.

– Jestem pewny, że wiedzą. To przecież ich praca. A po drugie… – urwał. – Nie mogę wyjechać bez pożegnania z ojcem.

– Napisz do niego list.

Z ciężkim sercem Aleksander spełnił polecenie matki. Odebrał książkę z biblioteki i napisał list do ojca. Podróż pociągiem trwała bardzo długo. Całe dwanaście godzin, żeby wszystko przemyśleć. Nie miał tylko pojęcia, jak matce udało się przetrzymać tyle godzin bez alkoholu. Kiedy wysiadali w Moskwie na Dworcu Leningradzkim, trzęsły się jej ręce. Zapadła już noc, oboje byli zmęczeni i głodni. Nie mieli gdzie spać. Nie mieli nic do jedzenia. Pod koniec kwietnia było już w miarę ciepło, więc noc spędzili na ławce w Parku Gorkiego. Aleksander pamiętał doskonale, jak zimą grywał tu z przyjaciółmi w hokeja. Słodko-gorzkie wspomnienia, które przyprawiają o bolesny ucisk w gardle.

– Muszę się napić, Aleksandrze – szepnęła Jane. – Muszę się napić, żeby uciszyć ten niepokój. Zostań tutaj. Zaraz wrócę.

– Mamo – powiedział, kładąc dłoń na jej kolanie – jeśli się stąd ruszysz, pójdę prosto na dworzec i wsiądę do pierwszego pociągu jadącego do Leningradu.

Jane westchnęła głęboko i przysunęła się do syna.

– Połóż się. Prześpij. Mamy przed sobą długi dzień.

Oparł głowę na ramieniu matki i zasnął.

Następnego ranka o ósmej stanęli przed wejściem do ambasady. Musieli czekać całą godzinę, zanim ktoś się zjawił tylko po to, by powiedzieć im, że nie mogą wejść do środka. Jane podała swoje nazwisko i list do konsulatu z wyjaśnieniem sytuacji syna. Czekali niespokojnie przez następne dwie godziny. W końcu zawołał ich stojący przy bramie wartownik i powiedział, że konsul nie może im pomóc. Jane błagała go, by pozwolił jej porozmawiać z konsulem choć przez pięć minut. Wartownik potrząsnął głową i powiedział, że nic nie może dla nich zrobić. Jane zaczęła wymachiwać rękami tak gwałtownie, że Aleksander musiał ją przytrzymać. W końcu odprowadził ją na bok i wrócił, by porozmawiać z wartownikiem. Mężczyzna wzruszył tylko ramionami i przeprosił go.

– Przykro mi – powiedział po angielsku. – Zbadali tę sprawę, ale akta twoich rodziców wysłano już do Departamentu Stanu w Waszyngtonie. – Urwał. – Twoje zresztą też. Skoro jesteście obywatelami radzieckimi, nie podlegacie już naszej jurysdykcji. Nic nie mogą dla was zrobić.

– A azyl polityczny?

– Na jakiej podstawie? A poza tym wiesz, ilu Rosjan prosi nas o azyl? Codziennie przychodzą dziesiątki ludzi. W poniedziałki blisko setka. Jesteśmy tutaj na zaproszenie rządu radzieckiego. Jeśli zaczniemy udzielać azylu jego obywatelom, jak długo pozwolą nam zostać? Będziesz ostatnim. Tylko w zeszłym tygodniu odstąpiliśmy od tej zasady i pozwoliliśmy wejść do konsulatu owdowiałemu ojcu z dwójką dzieci. Miał krewnych w Stanach i powiedział, że bez trudu znajdzie tam pracę. Był elektrykiem. Ale doszło do skandalu dyplomatycznego i musieliśmy go wydalić. Nie możemy tego więcej robić. – Urwał i spojrzał na Aleksandra. – Nie jesteś elektrykiem, prawda?

– Nie – odparł Aleksander – ale jestem obywatelem amerykańskim.

Wartownik potrząsnął głową.

– Nie możesz być. W wojsku nie można służyć dwóm panom.

Aleksander wiedział o tym doskonale, ale spróbował jeszcze raz.

– Mam w Ameryce krewnych. Będę z nimi mieszkał. I mogę pracować. Zostanę kierowcą taksówki. Mogę sprzedawać owoce na rogu ulicy. Uprawiać ziemię. Ścinać drzewa. Będę robił wszystko co trzeba.

Wartownik zniżył głos.

– Tu nie chodzi o ciebie, ale o twoich rodziców. Mają zbyt wysoką pozycję, by konsulat mógł się w to mieszać. Po przyjeździe zrobili wokół siebie za dużo zamieszania. Chcieli, żeby wszyscy ich znali. No to teraz znają. Twoi rodzice powinni byli się poważnie zastanowić, zanim zrezygnowali z amerykańskiego obywatelstwa. Po co ten pośpiech? Trzeba się było najpierw upewnić.

– Mój ojciec był pewny.

Podróż powrotna trwała dokładnie tyle samo co podróż do Moskwy. Dlaczego wydawało mu się więc, że ciągnie się w nieskończoność? Matka milczała przez długie godziny. Za oknem rozciągały się puste pola; nie mieli nic do jedzenia.

Nagle Jane odchrząknęła.

– Tak bardzo chciałam mieć dziecko. Po pięciu latach prób i czterech poronieniach wreszcie cię urodziłam. Tamtego roku w Bostonie szalała epidemia grypy. Zabiła tysiące ludzi, także moją siostrę, rodziców i brata twojego ojca, wielu naszych bliskich przyjaciół. Wszyscy znajomi stracili kogoś bliskiego. Poszłam do lekarza, bo źle się czułam i bałam się, że to ta okropna grypa. Powiedział mi, że jestem w ciąży. Odparłam, że to niemożliwe, wszyscy przecież zachorujemy, zrezygnowaliśmy ze spadku i jesteśmy niemal bez grosza, nie wiedzieliśmy, gdzie będziemy mieszkać i jak będziemy żyć. Lekarz spojrzał tylko na mnie i powiedział: „Dziecko przynosi jedzenie ze sobą".

Wzięła go za rękę. Nie sprzeciwiał się.

– Ty, nasz syn, rzeczywiście przyniosłeś ze sobą jedzenie. Czuliśmy to z Haroldem od razu. Kiedy się urodziłeś, była późna noc. Wybierałeś się na ten świat tak szybko, że nawet nie zdążyłam pojechać do szpitala. Lekarz przyjechał do nas i przyjął poród w naszym łóżku. Powiedział, że bardzo ci się spieszyło. Byłeś największym dzieckiem, jakie oglądał. Pamiętam do dziś, że kiedy powiedzieliśmy mu, iż nazwiemy cię Anthony Aleksander po twoim pradziadku, podniósł cię do góry, czerwonego, z ciemnymi włosami i wykrzyknął: „Aleksander Wielki!" Bo rzeczywiście byłeś ogromny. – Zawiesiła głos. – Byłeś takim pięknym chłopcem – szepnęła.

Aleksander cofnął dłoń i odwrócił się do okna.

– Wiązaliśmy z tobą ogromne nadzieje. Żałuję, że nie potrafisz sobie wyobrazić marzeń, jakie snuliśmy dla ciebie, gdy spacerowaliśmy z tobą po bostońskim molo. Siedziałeś w wózku, a wszystkie starsze panie zatrzymywały się, żeby popatrzeć na chłopca o tak czarnych włosach i lśniących oczach.

Aleksander milczał.

– Zapytaj ojca, zapytaj go przy najbliższej okazji, czy w swoich marzeniach przewidział dla jedynego syna coś takiego.

– Nie przyniosłem ze sobą dość jedzenia, prawda, mamo? – odparł Aleksander o czarnych włosach i lśniących oczach.

Rozdział dziesiąty

Duchy wyspy Ellis, 1943

Tatiana cieszyła się, że może mieszkać i pracować na Ellis. Jej świat był tak mały, tak ograniczony, specyficzny i wypełniony po brzegi, że nie miała miejsca na wyobrażanie sobie innego życia, na przenoszenie się w wyobraźni do Nowego Jorku, do prawdziwej Ameryki lub na powracanie we wspomnieniach do Leningradu i prawdziwego Aleksandra. Dopóki przebywała na Ellis ze swoim malutkim synkiem, mieszkała z nim w niewielkim pokoju z dużym białym oknem, spała w wąskim łóżku, nosiła biały uniform i wygodne buty, dopóki mieszkała w tym pokoju z Anthonym i swoim czarnym plecakiem, nie musiała sobie wyobrażać niemożliwego życia w Ameryce bez Aleksandra.

Pragnąc rozpaczliwie uwolnić się od mocy tego plecaka, często tęskniła za hałasem swojej rodziny, za chaosem i kłótniami, za śpiewami przy wódce, za zapachem dymu z wypalanych jeden za drugim papierosów. Tęskniła za swoim nieznośnym bratem, troskliwą siostrą, zaniedbaną matką, surowym ojcem i stale zadowolonymi z życia dziadkami – tak kochanymi. Tęsknota za nimi przepełniała ją bólem, jaki ściskał jej pusty żołądek podczas blokady Leningradu. Tak bardzo pragnęła, by przechadzali się z nią korytarzami Ellis, robiąc przy tym mnóstwo hałasu.

Za dnia nosiła synka w ramionach, opatrywała i karmiła rannych, pozostawiając swoje krwawiące rany aż do wieczora, kiedy zaczynała je przemywać i bandażować, wspominając sosny i ryby, rzekę, siekierę, las i ognisko, jagody, zapach dymu z papierosów i głośny śmiech wydobywający się z męskiego gardła.

Nie można deptać nagich korytarzy wyspy Ellis Trzy, nie słysząc echa kroków milionów stóp, przemierzających je przed Tatianą. Kiedy przechodziła przez krótki mostek do wielkiej sali na Wyspie Jeden, wrażenie to jeszcze się potęgowało. Bo w przeciwieństwie do Ellis Trzy, gdzie nadal toczyło się życie, Ellis Jeden była opuszczona. W zbudowanym w gotyckim stylu budynku, na schodach, w salach, na korytarzach i w zakurzonych pokojach pozostały jedynie duchy przeszłości, duchy ludzi, którzy przybywali tam od tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego roku na przypływających siedem razy dziennie statkach. Schodzili na brzeg w Castle Garden po drugiej stronie zatoki lub bezpośrednio tutaj, by trafić do Sali Imigrantów, z której szli na górę do wielkiej Sali Rejestracyjnej, ściskając bagaże i dzieci, poprawiając czapki i chustki na głowach, pozostawiwszy za sobą Stary Świat: matki i ojców, mężów, braci i siostry, którym albo obiecali, że później ściągną ich do siebie, albo wyjechali, nie obiecując nic. Pięć tysięcy dziennie, trzydzieści tysięcy na miesiąc, czasem pięćdziesiąt i osiemdziesiąt, osiem milionów rocznie, dwadzieścia milionów od tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego drugiego do tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku, bez wiz, dokumentów, bez pieniędzy. Mieli ze sobą tylko ubrania i to, czego się w Starym Świecie nauczyli: byli stolarzami, szwaczkami, kucharzami, murarzami, sprzedawcami.

Mama świetnie by sobie tu dała radę z tym swoim szyciem. Tato naprawiałby im wszystkie instalacje, a Pasza nie odstępowałby mnie ani na krok, jak wtedy, gdy byliśmy jeszcze dziećmi. Dasza opiekowałaby się synkiem Aleksandra, kiedy ja chodziłabym do pracy. Uznałaby to za wielką ironię losu, ale na pewno by to robiła.

Przybywali do Nowego Świata z dziećmi, bo nikt przecież nie zostawia dzieci – przybywali tu dla nich, by dać im amerykańskie ulice, pory roku, Nowy Jork. A Nowy Jork znajdował się po drugiej stronie zatoki, tak blisko, a jednak tak niemożliwie daleko dla tych, którzy musieli przejść przez procedury imigracyjne i badania medyczne, zanim dane im będzie stanąć na drugim brzegu. Wielu z nich było chorych, podobnie jak Tatiana,

niektórzy jeszcze bardziej. Połączenie zakaźnych chorób, braku znajomości języka i jakichkolwiek umiejętności sprawiało, że lekarze i urzędnicy imigracyjni byli niekiedy zmuszeni odsyłać imigrantów z powrotem – niewielu, zaledwie kilku dziennie. Zaawansowani wiekiem rodzice i ich dorosłe dzieci mogli zostać rozdzieleni. Mężowie i żony też.

Tak jak ja. Tak jak ja.

Obawa przed porażką, strach przed powrotem, pragnienie, by znaleźć się wreszcie w Ameryce, uzyskać niezbędny stempel były tak silne, że ich cień nadal unosił się wśród opuszczonych sal, przenikał kamienne ściany pomiędzy rozbitymi oknami. Cały ból, tęsknota i nadzieja imigrantów odbijały się echem od ścian Ellis i otaczały Tatianę, gdy z Anthonym w ramionach spacerowała po pustych korytarzach.

Po wprowadzeniu nowych przepisów w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku wyspa Ellis przestała już być wrotami prowadzącymi do Nowego Świata, przez które przechodzili niemal wszyscy imigranci. A jednak statki pełne ludzi nadal przypływały do portu, najpierw codziennie, potem co tydzień, co miesiąc. Liczba osób przewijających się przez wyspę zmalała z miliona rocznie najpierw do paru tysięcy, potem do paru setek. Większość ludzi zjawiała się w nowojorskim porcie z wizą w paszporcie. Imigranci nieposiadający wizy mogli zostać teraz zgodnie z prawem odesłani z powrotem i często tak się działo. Nic dziwnego, że coraz mniej chętnych podejmowało ryzyko wyruszenia w niebezpieczną podróż tylko po to, by zakończyć ją w porcie przeznaczenia. A jednak w roku poprzedzającym wybuch wojny 748 osób bez dokumentów i pieniędzy przedostało się do Ameryki między skrzyniami pełnymi pomidorów.

Nie odesłano ich z powrotem.

Kiedy zaczęto się zastanawiać nad zamknięciem niepotrzebnej już wyspy, wybuchła druga wojna światowa. W latach tysiąc dziewięćset trzydzieści dziewięć – tysiąc dziewięćset czterdzieści jeden Ellis stała się szpitalem dla uchodźców i uciekinierów. Kiedy Ameryka przystąpiła do wojny, ranni żołnierze oraz niemieccy i włoscy jeńcy trafiali właśnie tam.

Wtedy też na wyspie zjawiła się Tatiana.

Czuła się tu potrzebna. Nikt nie chciał pracować na Ellis, nawet Vikki, która czuła instynktownie, że jej wrodzony talent do flirtu marnuje się zupełnie wśród rannych cudzoziemców, którzy albo wrócą do swojej ojczyzny, albo zaczną pracować jako pomocnicy na amerykańskich farmach. Vikki z wielką niechęcią odbywała dyżury na Ellis. Znacznie bardziej wolała pracę w szpitalu uniwersyteckim w Nowym Jorku, gdzie ranni żołnierze, jeśli zaraz nie umarli, za punkt honoru stawiali sobie sprawienie przyjemności uroczej pielęgniarce.

Powoli i po cichu na wyspę zaczęto przywozić rannych żołnierzy niemieckich, którzy dochodzili tu do zdrowia. Także Włochów, nieprzestających mówić, nawet gdy umierali; mówili w języku, którego Tatiana nie rozumiała. Ich słowa były jednak pełne pasji i wściekłości, a to rozumiała aż za dobrze. Śmiali się gardłowo i gardłowo krzyczeli, czepiając się jej fartucha palcami, gdy znoszono ich z pokładów statków, gdy patrzyli w jej twarz, wyrażając cichym głosem swoje nadzieje i słowa podzięki. Czasem, zanim umarli, gdy nie wystarczało im trzymanie za rękę i nie cierpieli na żadną zakaźną chorobę, przynosiła im swojego synka. Kładła im na piersi, by ich wyniszczone przez wojnę ręce mogły objąć małe śpiące ciałko, by znaleźli pociechę i ukojenie dla udręczonych serc.

Tak bardzo by chciała przynieść śpiącego synka Aleksandrowi.

Rannych podzielono między Brendę, Tatianę i Vikki. Włosi i Niemcy chcieli patrzeć na Vikki, lecz woleli, by opiekowała się nimi Tatiana. Nikt nie chciał trafić pod opiekę Brendy, która nie była ani atrakcyjna, ani nie potrafiła przynieść ukojenia w cierpieniu. W nocy, kiedy Brenda i Vikki wracały do domu, Tatiana chodziła z Anthonym między łóżkami i szeptała słowa pociechy.

Coś z zamkniętej, ograniczonej atmosfery wyspy przynosiło ukojenie także i jej. Mogła mieszkać z Anthonym w niewielkim pokoju o białych ścianach, mogła jeść trzy posiłki w stołówce i oszczędzać racje mięsa i masła. Mogła opiekować się synkiem, cieszyć się nim, obserwować, jak rośnie.

Pewnego letniego popołudnia Edward i Vikki posadzili ją przy stoliku w stołówce i przy filiżance kawy próbowali przekonać, by przeprowadziła się do Nowego Jorku. Powiedzieli jej, że w czasie wojny miasto rozkwitło, otwarto mnóstwo nocnych klubów, stale odbywają się jakieś imprezy, w sklepach pełno jest ubrań i butów. Może powinna wynająć niewielkie mieszkanie z kuchnią, mieć jeden pokój dla siebie i drugi dla Anthony'ego, może, może, może.

Tysiące kilometrów od Nowego Jorku szalała wojna. Tysiące kilometrów od Nowego Jorku płynęła potężna rzeka Kama, wznosiły się góry Ural, które widziały wszystko, wszystko znały. I gwiazdozbiory. One wiedziały. Wysyłały swoje promienie, które nocą wpadały przez okno pokoju Tatiany na wyspie Ellis, szeptały do niej, podtrzymywały ją na duchu. Pozwól płakać nam. Ty żyj dalej.

Tatiana słyszała szepczące do niej echa, korytarze wydawały się tak znajome, białe prześcieradła, słony zapach wody, kamienne szaty Statuy Wolności, nocne powietrze, migoczące na drugim brzegu zatoki światła miasta snów. Ale ona już żyła na wyspie snów, a Nowy Jork nie mógł jej dać tego, czego najbardziej potrzebowała.

Ogień zgasł. Na polanie zapadła już ciemność, lecz oni zostali na rozłożonym na chłodnej ziemi kocu. Aleksander siedzi z szeroko rozłożonymi nogami, między nimi, tyłem do niego, usadowiła się Tatiana. On obejmuje ją ramionami. Oboje patrzą w niebo. Milczą.

– Taniu – szepcze po chwili Aleksander, całując ją w głowę – widzisz gwiazdy?

– Oczywiście.

– Chcesz się tutaj kochać? Odrzucimy koc i będziemy się kochać pod nimi... niech na nas patrzą. Na pewno nigdy tego nie zapomną.

– Szura... – mówi Tatiana cichym smutnym głosem. – One już nas widziały. Wiedzą. Spójrz. Widzisz ten gwiazdozbiór po prawej stronie? Gwiazdy na dole tworzą uśmiech. Uśmiechają się do nas. – Urywa na chwilę. – Widziałam je wiele razy za twoją głową.

– Tak – odpowiada Aleksander, otulając ją ciaśniej ramionami i kocem. – To chyba gwiazdozbiór Perseusza, greckiego herosa...

– Wiem, kim jest Perseusz. Kiedy byłam mała, zaczytywałam się greckimi mitami. – Przytula się mocniej do niego. – Bardzo mi się podoba, że Perseusz uśmiecha się do nas, kiedy się kochamy.

– Wiesz, że te żółte gwiazdy są bliskie wybuchu, a te niebieskie, największe, najjaśniejsze...

– To nowe.

– Tak. Świecą coraz jaśniej, wybuchają i znikają. Popatrz, ile niebieskich gwiazd świeci wokół tego uśmiechu.

– Widzę.

– Słyszysz gwiezdny wiatr?

– Słyszę jakiś szmer.

– To gwiezdny wiatr, który przynosi z nieba szept, prosto ze starożytności i niesie go... do wieczności...

– Co szepczą gwiazdy?

– Tatiana... Tatiana... Ta... tiana...

– Przestań, proszę.

– Będziesz o tym pamiętać? Gdziekolwiek się znajdziesz, zawsze możesz odnaleźć na niebie Perseusza, odnaleźć ten uśmiech i usłyszeć, jak galaktyczny wiatr szepcze twoje imię. Będziesz wtedy wiedziała, że to ja, że to ja cię wołam... przyzywam cię do Łazariewa.

Tatiana przytula twarz do ramienia Aleksandra.

– Nie będziesz mnie musiał przyzywać, żołnierzu – mówi. – Nigdy się stąd nie ruszę.

Rozdział jedenasty

Baseball w Central Parku, 1943

Minął lipiec, potem sierpień i wrzesień. Siedem miesięcy od czasu przyjazdu Tatiany do Nowego Jorku. Przez cały czas pozostawała na wyspie i ani razu nie odważyła się wybrać do miasta. Wreszcie Edward i Vikki mieli już tego dość i pewnej niedzieli niemal siłą zabrali ją z synkiem na prom, by mogła zobaczyć Nowy Jork. Słysząc protesty Tatiany („Nie mam nawet wózka dla Anthony'ego"), w sklepie z używanymi rzeczami Vikki kupiła za cztery dolary wózek.

– To nie dla ciebie. Dla małego. Nie możesz odmówić przyjęcia prezentu dla dziecka.

Tatiana nie odmówiła. Często sama pragnęła, by jej synek miał więcej ubranek i zabawek. Może nawet wózek do spacerów po Ellis. W tym samym sklepie kupiła mu potem dwie grzechotki i pluszowego misia, choć malec zdecydowanie wolał papierowe torebki, w które opakowano zabawki.

– Edwardzie, co powie twoja żona, gdy się dowie, że spacerujesz po Nowym Jorku nie z jedną, ale z dwiema pielęgniarkami? – spytała Vikki.

– Na pewno wydrapie oczy jędzy, która jej o tym powie.

– Będę milczeć jak grób. A ty, Taniu?

– Ja nie mówić po angielsku – odparła i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Nie mogę uwierzyć, że ta dziewczyna ani razu nie była w Nowym Jorku. Taniu, jak ci się udało załatwić to z INS? Nie musisz się tam meldować co parę tygodni, żeby mogli sprawdzić, jak sobie radzisz?

– Departament Sprawiedliwości przychodzi do mnie – odparła Tatiana, patrząc z wdzięcznością na Edwarda.

– Ale to całe trzy miesiące! Nie chciałaś się wybrać do Nowego Jorku, żeby na własne oczy zobaczyć, o co ten cały krzyk?

– Dużo pracuję.

– Dużo karmisz – odparła Vikki. – Masz cudnego synka. Niedługo nie zmieści się już do wózka. Jest chyba bardzo duży jak na swój wiek. Tyle mleka. – Spojrzała na piersi Tatiany i głośno zakaszlała.

– Nie wiem. – Tatiana spojrzała z dumą na Anthony'ego. – Nie znam innych chłopców w jego wieku.

– Uwierz mi, to gigant. Kiedy przyjdziesz do nas na obiad? Może jutro? Nie mam już ochoty wysłuchiwać narzekań babci na temat mojego rozwodu. Klamka już zapadła. Jestem teraz rozwódką. A babcia przy każdym niedzielnym obiedzie powtarza mi, że kobiety splamionej rozwodem nie zechce żaden mężczyzna.

– I dlatego musisz jej stale udowadniać, że się myli? – spytał Edward.

Tatiana stłumiła śmiech.

– Dla mnie istnieje tylko jeden mężczyzna. Chris Pandolfi.

Tatiana prychnęła głośno.

– Nasza Tania nie przepada za Chrisem, prawda? – Edward się uśmiechnął.

– Dlaczego? – spytała Vikki.

– Bo nazywa mnie Siostra Jaskier. Chyba się ze mnie naśmiewa. Co to takiego ten jaskier?

Edward położył jej dłoń na plecach i pokręcił głową.

– Wesoły żółty kwiatek – powiedział z uśmiechem, lecz Vikki opowiadała już, że razem z Chrisem spędzi Święto Dziękczynienia na Cape Cod i że znalazła śliczną szyfonową sukienkę na sobotnie tańce.

Na targu przed Battery Park kłębiły się tłumy ludzi.

Tatiana, Vikki i Edward przepchnęli wózek ze śpiącym Anthonym na Church Street, potem ruszyli wzdłuż Wall Street do South Street. Po drodze minęli targ rybny Fulton, przeszli przez Chinatown i Małe Włochy.

Edward i Vikki byli wykończeni. Tatiana szła niezmordowanie przed siebie, zachwycona widokiem wysokich budynków, tłumów roześmianych ludzi, handlarzy sprzedających na ulicach świeczniki, świece, stare książki, jabłka, muzykami grającymi na rogach na harmonijkach i akordeonach. Szła tak lekko, jakby w ogóle nie dotykała chodnika stopami. Nie mogła się nadziwić ziemniakom, jabłkom i winogronom wysypującym się z koszy na chodnikach, wozom, z których sprzedawano materiały, samochodom i taksówkom, tysiącom, milionom samochodów, piętrowym autobusom. Zachwycał ją stukot kolejki miejskiej na Third Avenue, na Second Avenue. Patrzyła na wszystko oczarowana, otwierając ze zdumienia usta.

Wreszcie zatrzymali się w kawiarence przy Mulberry Street. Vikki i Edward opadli na stojące na chodniku krzesła. Tatiana stała z ręką oparta o poręcz wózka. Patrzyła na otoczoną tłumem gości młodą parę wychodzącą z kościoła po drugiej stronie ulicy. Wszyscy wyglądali na bardzo szczęśliwych.

– Wiem, że jest drobniutka i wygląda tak, jakby w każdej chwili miała upaść, ale spójrz tylko na nią, Edwardzie. Nawet się nie zmęczyła – powiedziała Vikki.

– Za to ja straciłem parę kilogramów. Nie chodziłem tyle od czasu służby w wojsku – odparł Edward.

Ach, więc jednak był w wojsku.

– Edwardzie, codziennie chodzisz tyle między łóżkami. –Tatiana nie spuszczała wzroku z młodej pary. – Ale ten wasz Nowy Jork to naprawdę jest coś.

– Jak wypada w porównaniu ze Związkiem Radzieckim? – spytała Vikki.

– Bardzo korzystnie.

– Pewnego dnia musisz mi wszystko opowiedzieć. Patrzcie, brzoskwinie! Może kupimy kilka?

– Czy Nowy Jork zawsze tak wygląda? – Tatiana próbowała ukryć zdumienie.

– Ależ skąd. Tylko w czasie wojny. Normalnie panuje tu znacznie większy ruch.

Dwa tygodnie później Tatiana pojechała razem z Vikki i Anthonym do Central Parku, gdzie Edward grał w softball przeciwko drużynie urzędników z Wydziału Zdrowia. W ich gronie znalazł się również Chris Pandolfi. Żona Edwarda nie przyszła. Wyjaśnił, że odpoczywa.

Tatiana uśmiechała się do przechodniów i do sprzedawców owoców. W powietrzu radośnie szalały ptaki, wszędzie panowało ożywienie. Schyliła głowę i przytrzymała synka mocniej jedną ręką, biorąc do drugiej pachnące słońcem brzoskwinie. Zastanawiała się, czy powinna pojechać z Edwardem i Vikki do Bear Moutain pewnej niedzieli, gdy uda mu się zdobyć kilka galonów racjonowanej benzyny, a jego żona znów zechce odpocząć. Tej niedzieli była jednak w Central Parku, w Nowym Jorku, w Stanach Zjednoczonych, w Ameryce. Nad jej głową świeciło słońce, trzymała mocno Anthony'ego, Edward grał w softball, a Vikki podskakiwała radośnie przy bocznej linii boiska. Tym razem powstrzymała się od marzeń.

Ale gdzie tak naprawdę była mama Anthony'ego? Co się z nią stało? Tatiana chciała, by ta dziewczyna wróciła; dziewczyna sprzed dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, która siedziała na ławce we francuskiej, kupionej w Polsce białej sukience w czerwone róże i jadła lody w dniu, w którym w Rosji wybuchła wojna. Co się z nią stało? Z dziewczyną, która pływała ze swoim bratem Paszą, która czytała całe lato, i jeszcze wszystko miała przed sobą. Co się stało z porucznikiem Armii Czerwonej, który w galowym mundurze stał po drugiej stronie zalanej słońcem ulicy? Mogła przecież nie kupić tych lodów, mogła wsiąść do wcześniejszego autobusu i popędzić przez miasto w innym kierunku, w stronę innego życia. Ale ona kupiła lody. I z powodu tych lodów znalazła się właśnie tutaj.

W Nowym Jorku, z całym jego zamieszaniem, gdzie roześmiana Vikki, wrzeszczący wniebogłosy Anthony, Edward ze swoim ciepłym poczuciem humoru próbowali tę dziewczynę odnaleźć. Wszystko, co było kiedyś, należało teraz do przeszłości. Najgorsze i najlepsze dni. Uniosła piegowatą twarz, spojrzała na rozbawioną Vikki, uśmiechnęła się i ruszyła w stronę

budki z napojami, by kupić dla przyjaciół coca-colę. Długie jasne włosy jak zawsze splotła w warkocz. Miała na sobie prostą, niebieską sukienkę, za długą i za szeroką.

Dogonił ją Edward i spytał, czy może przez chwilę ponieść Anthony'ego. Skinęła głową, po czym szybko ją opuściła, by nie widzieć, jak Edward niesie synka Aleksandra. Wszystko musiało pozostać po staremu. Na Sheep Meadow z Edwardem i Vikki nie było miejsca dla duchów przeszłości.

Kupili colę, wodę i truskawki, po czym ruszyli z powrotem w stronę rozłożonego na trawie koca. Tatiana nie odzywała się ani słowem.

– Taniu, spójrz, jak on się uśmiecha – powiedział Edward. – Nic nie może się równać z uśmiechem dziecka, prawda?

– Hmmm – odparła Tatiana, nie podnosząc wzroku. Wiedziała doskonale, że bezzębny uśmiech malca natychmiast przysparzał mu nowych przyjaciół. Obserwowała to w szpitalu na Ellis. Niemieccy i włoscy żołnierze uwielbiali jej synka.

– Kupiłem dla was coś dobrego. Myślisz, że jest jeszcze za mały, by jeść truskawki?

– Tak.

– Spójrz tylko. Czyż nie są piękne? Za dużo kupiłem. Weź trochę. Może uda ci się coś z nimi zrobić.

– Na pewno – odparła cicho i wypiła spory łyk wody. – Potrafię zrobić dżem i galaretkę. Mogę je zawekować w cukrze w całości, mogę upiec placek z kruszonką. Mogę je też zamrozić na zimę. Jestem mistrzynią w przetwarzaniu owoców.

– Taniu, na ile sposobów można przyrządzać jagody?

– Zdziwiłbyś się.

– Już jestem zdziwiony. Co teraz robisz?

– Dżem jagodowy.

– Uwielbiam tę piankę z wierzchu.

– No to chodź i zjedz trochę.

Podnosi łyżkę do jego ust. On oblizuje wargi i uśmiecha się od ucha do ucha.

– Pycha.

– Hmmm. – Dostrzega błysk w jego oczach. – Szura, nie. Muszę to skończyć. Trzeba stale mieszać. To dla staruszek na zimę.

– Taniu...

– Szura...

Obejmuje ją ramionami.

– Czy wspominałem już, że mam serdecznie dość jagód?

– Jesteś niemożliwy.

Rozdział dwunasty

Rozmowy z towarzyszem Słonko, 1943

– Majorze!

Aleksander natychmiast otworzył oczy. Nadal siedział na krześle w pokoju, gdzie go przesłuchiwano, nadal pilnował go Iwanow. Do środka wszedł Słonko. Na pierwszy rzut oka widać było, że udawana wcześniej uprzejmość i obojętność należą już do przeszłości.

– No, majorze, wygląda na to, że musicie przestać grać w te swoje gierki.

– Świetnie – odparł Aleksander. – Nie jestem w nastroju do zabawy.

– Majorze!

– Dlaczego wszyscy tutaj krzyczą? – spytał Aleksander, pocierając czoło. Czuł, że za chwilę pęknie mu czaszka.

– Majorze, znacie kobietę o nazwisku Tatiana Mietanowa?

To pytanie było jeszcze gorsze niż wcześniejsze uwagi o matce. Opanował się tylko dzięki sile woli. Jeśli uda mi się to przetrzymać, pomyślał, to przetrzymam wszystko. Jeśli zdołam to przeżyć, to przeżyję wszystko. Nie wiedział, czy ma kłamać, czy mówić prawdę. Słonko najwyraźniej coś knuł.

– Tak – powiedział.

– A kim ona jest?

– Była jedną z pielęgniarek w szpitalu w Morozowie.

– Była?

– Przecież już mnie tam nie ma – odparł spokojnie.

– Okazuje się, że jej też.

Nie zabrzmiało to jak pytanie, więc Aleksander postanowił milczeć.

– Ale przecież ona jest kimś więcej niż tylko zwykłą pielęgniarką – powiedział Słonko, wyjmując z kieszeni książeczkę wojskową Aleksandra. – Tutaj napisano, że jest waszą żoną.

– Tak. – Całe jego życie w jednym słowie. Opanował się. Wiedział, że Słonko nie strzela w ciemno. Musiał być przygotowany na wszystko.

– Ach, więc jednak jest waszą żoną.

– Tak.

– Wiecie, gdzie teraz jest?

– Musiałbym być wszechwiedzący. Nie mam pojęcia.

– Jest u nas – odparł Słonko, pochylając się w jego stronę. – Siedzi u nas w areszcie. – Roześmiał się z satysfakcją. – Co wy na to, majorze?

– Co ja na to? – powtórzył pytanie Aleksander, nie odrywając wzroku od śledczego. Splótł ramiona na piersi i czekał. – Mogę zapalić? – zapytał i po chwili dostał papierosa. Kiedy go zapalał, postarał się, by nie drżały mu ręce. Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, doszedł do wniosku, że Słonko blefuje. Przecież nie dalej jak wczoraj Stiepanow powiedział mu, że Tatiana zniknęła i nikt nie może jej znaleźć. Powiedział też, że wszyscy ludzie Mechlisa wpadli w panikę. W poprzednich dwóch rozmowach Słonko nie napomknął jednak o tym ani słowem. Zupełnie jakby nic nie wiedział. A teraz nagle wyciągnął Tatianę niczym z kapelusza z dumnym uśmiechem magika. Blefował, to pewne. Gdyby ją rzeczywiście złapali, zapytaliby go o nią wcześniej. Słonko na pewno by powiedział mu, że jej szukają i nie mogą znaleźć. Ale nie wspomniał o Dmitriju, o Sayersie ani o Tatianie.

Był sam, a Słonko miał przy sobie trzech strażników; świecili mu prosto w twarz, czuł, że całe jego ciało ogarnia coraz większa słabość spowodowana brakiem snu, zmęczeniem psychicznym, palącą raną w plecach, nie mówiąc już o smutku, który przytłaczał mu serce. Nie odezwał się, ale wysiłek ten sporo go kosztował. Ile sił jeszcze mu zostało? Kiedy został aresztowany w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku, miał ich dużo i nie był ranny. Dlaczego Słonko nie stanął mu na drodze

właśnie wtedy? Zacisnął zęby i czekał na ciąg dalszy. Bo wiedział, że na pewno nadejdzie.

– Wasza żona jest przesłuchiwana właśnie w tym momencie…

– Przez kogoś innego? – spytał Aleksander. – Jestem zaskoczony, towarzyszu, że powierzyliście tak ważne zadanie komuś innemu. Musicie mieć wielu doskonale wyszkolonych ludzi.

– Majorze, pamiętacie, co się wydarzyło trzy lata temu, w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku?

– Tak, walczyłem w wojnie z Finlandią. Zostałem ranny i odznaczono mnie medalem za odwagę, a potem awansowano na podporucznika.

– Nie o tym mówię.

– Ach tak.

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym roku rząd radziecki wprowadził w życie specjalne prawo dla kobiet, które nie zadenuncjowały swoich mężów za zbrodnie wymienione w artykule 58 Kodeksu karnego. Karą za taką postawę było dziesięć lat w obozie pracy przymusowej. Wiecie coś o tym?

– Na szczęście nie, towarzyszu. W tysiąc dziewięćset czterdziestym roku nie byłem jeszcze żonaty.

– Będę z wami szczery, majorze, bo mam już serdecznie dość tych waszych gierek. Wasza żona, doktor Sayers i Dmitrij Czernienko próbowali uciec…

– Chwileczkę. Doktor Sayers przecież nie mógł nigdzie uciekać. Czy nie pracował dla Czerwonego Krzyża? Oni mają prawo bez problemu przekraczać granice, czyż nie?

– Tak – rzucił ostro Słonko. – Ale wasza żona i jej towarzysz nie mieli takiego prawa. Na granicy doszło do wymiany ognia i szeregowiec Czernienko został zastrzelony.

– Czy to on był waszym świadkiem? – Aleksander się uśmiechnął. – Mam nadzieję, że nie jedynym.

– Wasza żona i doktor Sayers dotarli do Helsinek.

Aleksander nadal się uśmiechał.

– Ale doktor został poważnie ranny. Wiecie, jak się o tym dowiedzieliśmy, majorze? Zadzwoniliśmy do szpitala w Helsinkach. Powiedziano nam, że doktor zmarł dwa dni temu.

Uśmiech na twarzy Aleksandra zamarł.

– Bardzo uczynny doktor Czerwonego Krzyża poinformował nas również, że doktor Sayers przyjechał do szpitala z ranną pielęgniarką Czerwonego Krzyża. Z jego opisu należy sądzić, że była nią Tatiana Mietanowa. Nieduża blondynka w ciąży? Z rozciętą twarzą? To ona, prawda?

Aleksander nie drgnął.

– Tak też myślałem. Poprosiliśmy go, żeby miał ją na oku do czasu, aż zjawią się tam nasi ludzie. Odnaleźliśmy ją w helsińskim szpitalu i przywieźliśmy dziś wcześnie rano. Macie jakieś pytania?

– Tak – odparł Aleksander. Z całych sił powstrzymywał się, by nie wstać, bo doszedł do wniosku, że tak będzie lepiej. Pragnął gorąco, by całe jego ciało zamieniło się w stal. Ale nic z tego nie wyszło. Za nic nie mógł powstrzymać drżenia nóg. Udało mu się jednak spytać zimnym jak stal głosem:

– Czego ode mnie chcecie?

– Prawdy.

Czas – cóż za zabawne z niego zjawisko. W Łazariewie, podczas ich wspólnego miesiąca, pędził jak oszalały. A teraz stanął w miejscu, gdy Aleksander odliczał sekundy, próbując za wszelką cenę zachować spokój. Patrzył na brudną drewnianą podłogę i przez moment pomyślał, że aby ocalić Tatianę, gotów jest wyznać prawdę. Podpiszę to pieprzone zeznanie. Bo to przecież jest prawda. Jestem osobą, za którą on mnie uważa. Zaraz jednak pomyślał o kapralu Majkowie. Przecież on nic nie wiedział, w ogóle go nie znał. Jaką więc prawdę mógł im wyznać, zanim go rozstrzelali? Dla śledczego Słonko kłamstwa są prawdą, a prawda kłamstwem. Odpowiedzi, jakich udzielamy, odpowiedzi, jakie ukrywamy, on wie, że to wszystko bzdura, a jednak miarą jego sukcesu jest liczba kłamstw, jakie udaje mu się od nas wyciągnąć. Dla niego nie jestem Aleksandrem Barringtonem

bardziej niż Stiepanow, bardziej niż Majkow. Chce tylko, żebym skłamał, by mógł uznać, że jego misja zakończyła się kolejnym sukcesem. Pragnie chwycić w szpony siedemnastoletniego chłopca, którego nigdy nie udało mu się przesłuchać. Co za odwaga – co za bezczelność! – być skazanym agitatorem, uciec i nie umrzeć. Tylko to się dla niego liczy. Chce, żebym podpisał jakiś świstek, dzięki czemu będzie mógł mnie wreszcie zabić, po siedmiu latach, bez względu na to, czy jestem Aleksandrem Barringtonem, czy nie. Chce uzyskać rozgrzeszenie za moją śmierć. Otrzyma je, kiedy przyznam się do wszystkiego.

Słonko wypaczał prawdę w nadziei, że to osłabi Aleksandra. Prawdą było, że Tatiana uciekła. Na pewno jej szukali. Może rzeczywiście zadzwonili do Czerwonego Krzyża w Helsinkach. Może dowiedzieli się, że Sayers umarł. Może powiedziano im, że towarzyszyła mu pielęgniarka i nie znając jej nazwiska, tylko na podstawie opisu, wywnioskowali, że była żoną Aleksandra. Minęło dopiero kilka dni. Czy rzeczywiście mogli tak szybko wysłać do Helsinek jednego ze swoich funkcjonariuszy? Przecież z trudem ściągali ciężarówki z zaopatrzeniem z Leningradu oddalonego zaledwie o siedemdziesiąt kilometrów. Czy rzeczywiście nie tylko ją namierzyli, ale też przywieźli z powrotem?

Czy Tania zostałaby w Helsinkach? Aleksander powiedział jej, że nie mogą zostać w tym mieście, ale czy będąc tam sama, zrozpaczona, zapamiętała jego słowa?

Podniósł wzrok i spojrzał na śledczego. Słonko przyglądał mu się z wyrazem twarzy człowieka, który zaciera ręce z radości, że zaraz zabierze się do smakowitej uczty. Z wyrazem twarzy człowieka, który zaraz będzie świadkiem rozerwania matadora przez rozjuszonego byka.

– Czyż nie usłyszeliście ode mnie prawdy, towarzyszu? – spytał Aleksander lodowatym tonem.

– Majorze Biełow, może nie obchodzi was własne życie, ale chyba jesteście gotowi z nami współpracować, gdy w grę wchodzi życie waszej ciężarnej żony?

– Powtórzę moje pytanie raz jeszcze, towarzyszu, bo może go nie dosłyszeliście. Czy nie powiedziałem wam całej prawdy?

– Nie, nie powiedzieliście! – wykrzyknął Słonko i z całych sił uderzył Aleksandra w twarz.

– Powiedziałem! – Aleksander zacisnął zęby. – Tyle że nie możecie się cieszyć z faktu, iż mieliście rację. Myślicie, że wreszcie udało wam się złapać człowieka, którego ścigacie. Powtarzam raz jeszcze, że się mylicie. Nie będziecie się na mnie odgrywać za swoje błędy. Muszę stanąć przed trybunałem wojskowym. Nie jestem jednym z waszych partyjnych pionków, których możecie bezkarnie zastraszać. Jestem oficerem Armii Czerwonej, odznaczonym za odwagę. Służyliście kiedyś ojczyźnie w czasie wojny, towarzyszu? – Aleksander wstał. Był o głowę wyższy od Słonki. – Nie sądzę. Chcę stanąć przed generałem Mechlisem. Razem natychmiast rozwiążemy tę sprawę. Chcesz poznać prawdę, Słonko? Proszę. Ja jestem im nadal potrzebny, a ty – urwał na chwilę – możesz wracać do swojego więzienia w Leningradzie.

Słonko zaklął. Kazał dwóm strażnikom posadzić Aleksandra na krześle, co zrobili z wielkim trudem.

– Nie macie nade mną żadnej władzy – powiedział głośno Aleksander. – Nic na mnie nie macie. Człowiek, który mnie oskarżył, nie żyje, bo inaczej już by tu był. Władzę nade mną ma wyłącznie mój dowódca, pułkownik Stiepanow, i generał Mechlis, który wydał rozkaz, by mnie aresztować. Oni powiedzą wam, że przed Operacją Iskra w obecności pięciu generałów Armii Czerwonej odznaczono mnie Orderem Czerwonej Gwiazdy. W czasie forsowania rzeki zostałem ranny, a za zasługi na froncie odznaczono mnie medalem Bohatera Związku Radzieckiego.

– Gdzie jest ten medal, majorze? – spytał Słonko, z trudem cedząc słowa.

– Zabrała go moja żona, bo u niej jest bezpieczny. Jeśli ją aresztowaliście, będziecie mieli okazję na niego spojrzeć. – Aleksander się uśmiechnął. – Będzie to z pewnością jedyna taka okazja.

– To ja jestem oficerem śledczym! – wrzasnął purpurowy z wściekłości Słonko. Raz jeszcze uderzył Aleksandra w twarz.

– Gówno prawda! – krzyknął Aleksander. – Nie jesteście wcale oficerem. Ja nim jestem. Możecie straszyć kobiety, ale nie macie żadnej władzy nade mną.

– I tu się mylicie, majorze – odparł Słonko. – Mam nad wami władzę, a wiecie dlaczego?

Kiedy Aleksander nie odpowiadał, Słonko pochylił się i szepnął pełnym jadu tonem:

– Bo już niedługo będę miał władzę nad waszą żoną.

– Doprawdy? – Aleksander wyrwał się strażnikom, zerwał z krzesła i kopnięciem odepchnął je na bok. – Bardzo mnie to zdziwi. A macie chociaż władzę nad swoją własną? Wątpię, czy z moją wam się uda.

Słonko nie cofnął się ani o krok.

– Uda mi się na pewno i nie omieszkam was o tym poinformować.

– Koniecznie – odparł Aleksander. – Od razu będę wiedział, że kłamiecie.

Słonko prychnął mu prosto w twarz.

– Towarzyszu – powiedział powoli Aleksander. – Nie jestem człowiekiem, którego szukacie.

– Jesteście nim, majorze. Wszystko, co mówicie i robicie, coraz bardziej utwierdza mnie w tym przekonaniu.

Po powrocie do małej zimnej celi Aleksander dziękował Bogu, że znów ma na sobie mundur.

W środku paliła się lampa naftowa, a strażnik przez cały czas obserwował go przez wizjer.

Nie mógł uwierzyć, że to, co go spotkało, stało się nie za sprawą ideologii, walki komunizmu z imperializmem, nie za sprawą zdrady, a nawet szpiegostwa, lecz z powodu urażonej dumy jednego małego człowieczka.

Dmitrij i Słonko są ulepieni z tej samej gliny, pomyślał. Jednak Słonko miał przynajmniej podejrzenia, które usprawiedliwiały jego zajadłość. Ograniczony i ziejący nienawiścią Dmitrij nie miał nic, a bezradność

rozwścieczała go jeszcze bardziej. Teraz już nie żył. Jednak zginął za późno.

Aleksander siedział w rogu celi, gdy usłyszał szczęk zamka. Westchnął ciężko. Czy oni nigdy nie dadzą mu spokoju?

Do środka wszedł Słonko, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Strażnik pozostał na zewnątrz. Słonko, dużo niższy od Aleksandra – od sufitu dzieliło go dobre dwadzieścia centymetrów – kazał mu natychmiast wstać. Aleksander podniósł się z podłogi z wyraźną niechęcią. Musiał stać na lekko ugiętych kolanach z pochyloną głową. Wyglądał trochę tak, jakby szykował się do ataku, choć jego skulona sylwetka mogła sugerować chęć poddania się.

– No, no, ta wasza żona to bardzo interesująca kobieta.

– Doprawdy?

– Tak. Właśnie z nią skończyłem. – Słonko zatarł ręce. – Bardzo interesująca.

Aleksander spojrzał szybko na otwarte drzwi. Gdzie jest strażnik? Sięgnął do kieszeni kalesonów. Widząc to Słonko wrzasnął:

– Co robicie?!

Ale Aleksander nie był uzbrojony.

– Wyjmuję strzykawkę z penicyliną – odparł Aleksander. – Pułkownik Stiepanow pozwolił mi ją zatrzymać. Byłem ranny i nadal bardzo bolą mnie plecy – uśmiechnął się. – Muszę wziąć lekarstwo. Nie jestem już tym człowiekiem, którym byłem w styczniu, towarzyszu.

– Dobrze wiedzieć – odpalił Słonko. – A czy jesteście człowiekiem, którym byliście w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku?

– Tak, nadal nim jestem.

– Kiedy będziecie sobie robić zastrzyk, pozwólcie mi powiedzieć, że wasza żona wiele nam o was opowiedziała...

– Czytałem – przerwał mu Aleksander, otwierając fiolkę z morfiną – że są na świecie kraje, gdzie zmuszanie żon do składania zeznań przeciwko mężom jest niezgodne z prawem. Niesamowite, prawda? – Wbił igłę w fiolkę i powoli wciągnął roztwór morfiny do strzykawki.

– Do niczego jej nie zmuszaliśmy. – Słonko się uśmiechnął. – Sama nam wszystko powiedziała. Ale to nie wszystko…

– Towarzyszu! – krzyknął Aleksander, robiąc krok do przodu. – Ostrzegam was. Nie mówcie ani słowa więcej. – Stał pół metra od Słonki. Gdyby zaszła taka potrzeba, mógł mu w braterskim geście położyć ręce na ramionach. Nie zaszła.

– Nie?

– Nie. Zaufajcie mi, towarzyszu Słonko. Prowokujecie nie tego człowieka, co trzeba.

– A niby dlaczego? – spytał ciepło Słonko. – Bo nie dacie się sprowokować?

– Wręcz przeciwnie – odparł Aleksander. – Bo może wam to przyjść zbyt łatwo.

Zamilkli obaj na długą chwilę.

– Nie zrobicie zastrzyku, majorze?

– Tak, kiedy stąd wyjdziecie.

– Ja nie wyjdę.

Aleksander potrząsnął głową.

– Trzymajmy się tego, co teraz najważniejsze. Czy zwołaliście sąd wojskowy? Jestem pewien, że pozwolą się wam przysłuchiwać. Będziecie mieli okazję usłyszeć, jak niewinny człowiek oczyszcza się z zarzutów w komunistycznym kraju.

– W waszym kraju, majorze – poprawił go Słonko.

– W moim komunistycznym kraju – zgodził się Aleksander. W jego ciele nie drgnął ani jeden mięsień. Cela miała niecałe dwa metry szerokości, metr długości. Czekał. Wiedział, że Słonko nie zwołał trybunału. Nie miał żadnej władzy – ani by postawić go przed sądem, ani by nakazać egzekucję. Nie miał nawet prawa, by prowadzić bardzo gruntowne śledztwo. Chciał tylko wydobyć od niego przyznanie się do winy. Aleksander wiedział, że skoro główny świadek oskarżenia leżał martwy na śniegu, generał Mechlis mógł powiedzieć do Słonki: „Uwolnijcie Biełowa. Nie stać nas na utratę najlepszych ludzi, nie mamy żadnych dowodów na to, że był szpiegiem,

poza zeznaniami martwego teraz dezertera. Towarzysz Stalin nie wydał rozkazu, by rozstrzelać Biełowa. A ja słucham tylko jego rozkazów". A jednak Słonko nie rezygnował. Dlaczego?

Słonko nie mógł go tknąć. Aleksander mijał takich jak on na ulicy, nie zwracając na nich uwagi. Tak daleko zaszedł proletariat. Człowiek taki jak Słonko, partyjna świnia, nie miał żadnej władzy nad Aleksandrem, którego ścigał od siedmiu lat.

W świecie Aleksandra było to jak najbardziej uzasadnione, ale w świecie Słonki – nie do pomyślenia.

Aleksander czekał. Po kilku chwilach powiedział:

– Wyjdźcie, towarzyszu, wróćcie tu, gdy będziecie mieli coś więcej. Postawcie mnie przed sądem generałów. Albo przynieście moje zwolnienie.

– Majorze, wy już nigdy nie będziecie wolni – odparł Słonko. – Poleciłem, by tak się stało.

– Będę wolny, gdy umrę.

– Nie pozwolę wam umrzeć. Wasza matka umarła. I wasz ojciec. Chcę, żebyście żyli życiem, jakie dla was zaplanowali; życiem, dla którego was tu przywieźli. Oboje wiązali z wami tak wielkie nadzieje, Aleksandrze Barrington. Oboje mi o tym powiedzieli. Czy spełniliście ich marzenia?

– Nic nie wiem o tych osobach, ale na pewno spełniłem marzenia moich rodziców. Wysoko zaszedłem w Armii Czerwonej. Byliby ze mnie dumni.

– A co z nadziejami waszej żony, majorze? Czy też je spełniliście?

– Towarzyszu, mówiłem już, nie wspominajcie o mojej żonie.

– Nie? A ona bardzo chętnie o was mówiła. Kiedy nie była zajęta… hmmm… czym innym.

– Towarzyszu! – Aleksander zrobił krok w stronę Słonki. – Ani słowa więcej.

– Nie wyjdę stąd.

– Wyjdziecie. Wróćcie, kiedy będziecie mogli mi coś zaproponować.

– Nigdzie nie pójdę, majorze. Im bardziej chcecie, żebym stąd wyszedł, tym bardziej chcę zostać.

– Nie wątpię. Ale wyjdziecie. – Aleksander stał nieruchomo jak posąg. Niemal nie oddychał.

– Majorze! To nie ja jestem aresztowany. Nie moja żona została aresztowana. Nie ja jestem Amerykaninem.

– Ja też nim nie jestem.

– Ależ jesteście, majorze. Powiedziała mi o tym wasza własna żona, kiedy obciągała mi kutasa.

Ręka Aleksandra opadła z wielką siłą na szyję Słonki. Nie miał nawet czasu, by szybciej odetchnąć. Odrzucił głowę na betonową ścianę, oczy wyszły mu z orbit, otworzył usta. Wolną ręką Aleksander wbił mu pod mostek, prosto w prawą komorę serca, igłę strzykawki wypełnionej dziesięcioma granami morfiny. Przycisnął mocno opuszek kciuka do szczęki i zamknął mu usta. Nawet gdyby chciał, Słonko nie mógł wydać z siebie żadnego dźwięku.

– Bardzo ci się dziwię – powiedział Aleksander po angielsku. – Nie wiedziałeś, z kim masz do czynienia? Dziwne, gdy wydaje nam się, że wiemy tak dużo, to tak naprawdę wiemy niewiele. – Zacisnął zęby i ścisnął szyję Słonki. Patrzył, jak oczy najpierw zachodzą mu mgłą, a potem stają się zupełnie szkliste. – To za moją matkę – szepnął. – Za ojca… i za Tatianę.

Słonko w konwulsjach osuwał się na ziemię. Aleksander trzymał go jedną ręką za gardło i puścił dopiero wtedy, gdy jego mięśnie zwiotczały, a otwarte oczy zupełnie znieruchomiały. Śledczy opadł na ziemię jak wór kamieni. Aleksander wyrwał z jego piersi pustą strzykawkę, wrzucił ją do odpływu i podszedł do drzwi.

– Strażnik! – krzyknął. – Coś jest nie tak z towarzyszem Słonko.

Strażnik wpadł do celi, rozejrzał się, spojrzał na leżącego nieruchomo Słonkę i spytał przerażonym głosem:

– Co się stało?

– Nie wiem – odparł spokojnie Aleksander. – Nie jestem lekarzem. Ale może powinniście go sprowadzić. Towarzysz mógł dostać ataku serca.

Strażnik nie wiedział, czy ma wybiec z celi, czy zostać; zostawić Aleksandra, czy zabrać go ze sobą. Na jego bladej twarzy malowało się

przerażenie tak wielkie, że Aleksander nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Zostawcie go tutaj, a mnie zabierzcie ze sobą – poradził. – Nie musicie zamykać celi. On się raczej stąd nie ruszy.

Strażnik wyprowadził Aleksandra z celi i obaj pobiegli w górę po schodach. Wypadli ze szkoły i biegiem ruszyli w stronę budynku zajmowanego przez dowództwo.

– Nawet nie wiem, komu mam o tym powiedzieć – powiedział bezradnie strażnik.

– Chodźmy do pułkownika Stiepanowa. On będzie wiedział, co robić.

Na widok Aleksandra Stiepanow oniemiał. Tymczasem strażnik był już tak przerażony, że nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Mruknął coś o Słonce, że leży nieruchomo, a on, choć stał przy drzwiach celi, nic nie słyszał. Stiepanow parę razy powtórzył, żeby się uspokoił, ale żołnierz nie był w stanie wypełnić nawet najprostszych poleceń. Wreszcie Stiepanow musiał zaproponować nieszczęśnikowi kieliszek wódki i skonsternowany odwrócił się do Aleksandra.

– Towarzyszu pułkowniku – zaczął Aleksander – towarzysz Słonko dostał w celi jakiegoś ataku. Strażnik wyszedł na moment… może za potrzebą. Teraz boi się, że uznacie, iż nie wykonywał należycie swoich obowiązków. Wiem jednak, że to bardzo dobry żołnierz i nie mógłby chyba nic poradzić, nawet gdyby był w celi.

– Mój Boże, Aleksandrze – powiedział Stiepanow, ubierając się szybko – chcesz mi powiedzieć, że Słonko nie żyje?

– Nie wiem, towarzyszu pułkowniku. Nie jestem lekarzem. Wydaje mi się jednak, że powinniśmy go tu sprowadzić. Może da się jeszcze coś zrobić.

Ściągnięty do celi lekarz wzruszył tylko ramionami i nie badając nawet pulsu Słonki, oświadczył, że śledczy nie żyje. W celi unosił się straszliwy fetor. Wychodząc, wszyscy wstrzymywali oddech.

– Och, Aleksandrze – westchnął Stiepanow.

– Towarzyszu pułkowniku – odparł – wygląda na to, że prześladuje mnie pech.

Nikt nie miał pojęcia, co począć ze Słonką. Przyszedł do celi Aleksandra o drugiej nad ranem. Wszyscy byli pogrążeni we śnie i nikt nie miał ochoty zajmować się tą sprawą. Nie było też miejsca dla Aleksandra. Zaproponował więc sam, że spędzi noc w przedpokoju Stiepanowa ze strażnikiem u boku. Obaj zainteresowani wyrazili na to zgodę. Stiepanow przyniósł koc.

– Dziękuję, towarzyszu pułkowniku – powiedział Aleksander, kładąc się na podłodze. Stiepanow spojrzał na trzęsącego się ze strachu strażnika, który usadowił się w kącie.

– Co się tu, do cholery, dzieje, majorze? – szepnął do Aleksandra.

– Wy mi to powiedzcie, towarzyszu pułkowniku – odparł Aleksander. – Co się tutaj dzieje? Czego Słonko chciał ode mnie? Powtarzał mi stale, że sprowadzili Tatianę z Helsinek, że wszystko mu opowiedziała. O co mu chodziło?

– Wszyscy tu wychodzą z siebie – powiedział Stiepanow. – Próbowali ją znaleźć, ale ona jakby zapadła się pod ziemię. W Związku Radzieckim ludzie nie znikają...

– Prawdę mówiąc, towarzyszu, znikają cały czas.

– Ale nie bez śladu.

– Ależ tak.

– Daj spokój, Aleksandrze.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

– Kiedy szpital na Greckim powiadomił NKGB...

– Kogo?

– Jeszcze ci nie powiedzieli? Nie ma już NKWD. Teraz mamy NKGB. Ludowy Komitet Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Ta sama agencja, inna nazwa. To pierwsza zmiana nazwy od tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku – Stiepanow wzruszył ramionami. – Ale nie o to chodzi. Gdy funkcjonariusze NKGB dowiedzieli się, że Sayers i Mietanowa nie dotarli do szpitala w Leningradzie, zaczęli coś podejrzewać. Znaleźli przewróconą ciężarówkę, czterech martwych żołnierzy radzieckich i kilku fińskich, w ciężarówce nie było apteczki, a z płótna nad kabiną zniknął

znak Czerwonego Krzyża. Nikt nie potrafił tego sensownie wytłumaczyć. Nie było też ani śladu doktora i jego pielęgniarki. Żołnierze z sześciu posterunków granicznych zeznali jednak, że odprawili powracającego do Helsinek lekarza z pielęgniarką. Towarzyszył im ranny fiński pilot, który został rzekomo wymieniony na radzieckiego jeńca. Nie mogli sobie przypomnieć nazwiska tej pielęgniarki, ale zaklinali się, że było amerykańskie. No a potem znaleźliśmy tego fińskiego pilota. Okazało się jednak, że nie jest ani Finem, ani pilotem i trudno go określić mianem rannego. To twój przyjaciel Dmitrij, który leżał na śniegu z podziurawioną kulami klatką piersiową. A lekarz i pielęgniarka rozpłynęli się w powietrzu. Mitterand zadzwonił więc do szpitala Czerwonego Krzyża w Helsinkach i znalazł tam lekarza, który nie mówił po rosyjsku. Ci idioci… – Stiepanow jeszcze bardziej zniżył głos – przez cały dzień szukali kogoś, kto mógłby porozmawiać z nim po angielsku. – Uśmiechnął się. – Już miałem zaproponować ciebie.

Aleksander nie zareagował.

– Wreszcie udało im się ściągnąć kogoś z Wołchowa, kto znał angielski. Dowiedział się, że Matthew Sayers nie żyje.

– A więc to przynajmniej była prawda – westchnął Aleksander. – Mają parszywy zwyczaj mieszania kłamstw z odrobiną prawdy. Trudno się zorientować, jak jest w rzeczywistości.

– Tak, Sayers zmarł w Helsinkach. Zatrucie krwi w wyniku odniesionych ran. Towarzysząca mu pielęgniarka zniknęła i nikt nie widział jej od dwóch dni. Lekarz przypuszcza, że nie ma jej już w Finlandii.

Aleksander patrzył na Stiepanowa, a w jego oczach malował się smutek, żal i wielka ulga. Targało nim tak wiele sprzecznych emocji, że nie wiedział, co najpierw czuć, co najpierw powiedzieć. Przez straszliwy ułamek sekundy poczuł żal, że jednak nie zdołali sprowadzić Tatiany z powrotem, że nie będzie mógł na nią spojrzeć po raz ostatni.

– Dziękuję, towarzyszu pułkowniku – szepnął.

Stiepanow poklepał go lekko po plecach.

– Prześpij się. Musisz teraz być silny. Jesteś głodny? Mam trochę wędzonej kiełbasy i chleba.

– Dziękuję, ale najpierw położę się spać.

Stiepanow zniknął w swojej kwaterze, a Aleksander nareszcie z lekkim sercem pomyślał, że Tania rzeczywiście zastosowała się do wszystkich jego poleceń i nie została w Helsinkach. Musiała pojechać dalej do Sztokholmu. Może nawet jest tam teraz. Pomyślał też, że Sayers musiał wypełnić swoją misję do końca, bo gdyby wyznał Tatianie prawdę o „śmierci" Aleksandra, byłaby już z powrotem w Związku Radzieckim w szponach człowieka, który… och, Tatiano…

Ale to było wszystko, co miał.

Przynajmniej ten pieprzony Dmitrij nie żyje.

Zapadł w niespokojny sen.

Most nad Wołgą, 1936

Kiedy Aleksander miał siedemnaście lat, w więzieniu Kriesty zapytano go, kim jest. Wtedy jego odpowiedź nie miała żadnego znaczenia – i tak wszystko wiedzieli. Pytali, odchodzili, czasami nie było ich kilka dni, po czym znów wracali, by zadać nieśmiertelne pytanie: „Czy jesteście Aleksandrem Barringtonem?"

– Tak – odpowiadał Aleksander, bo nie znał żadnej innej odpowiedzi na to pytanie i był przekonany, że prawda go ocali.

A potem odczytali mu wyrok. Nie zaprowadzili go jednak do sali sądowej, nie postawili przed trybunałem złożonym z generałów. Siedział w betonowej celi bez okien, z kratami zamiast drzwi. Na podłodze stał kubeł, a wysoko pod sufitem wisiała goła żarówka. Kazali mu wstać, kiedy odczytywali wyrok z kartki papieru. W celi zjawiło się dwóch mężczyzn, którzy doszli chyba do wniosku, że nie zrozumiał wszystkiego, bo gdy pierwszy skończył czytać, drugi wziął od niego papier i odczytał wszystko jeszcze raz.

Aleksander usłyszał swoje nazwisko, wypowiedziane głośno i wyraźnie, „Aleksandrze Barrington – a potem wyrok, wypowiedziany jeszcze głośniej i wyraźniej: – Zostaliście skazani na dziesięć lat w obozie pracy przymusowej we Władywostoku za prowadzenie w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku w Moskwie agitacji antyradzieckiej i za działania mające na celu podważenie władzy radzieckiej i zasad działania państwa radzieckiego przez stałe kwestionowanie zasad ekonomicznych głoszonych przez Ojca i Nauczyciela". Usłyszał dziesięć lat, ale pomyślał, że się przesłyszał. Dobrze, że przeczytali mu wszystko jeszcze raz. O mało co nie powiedział: „Gdzie jest mój ojciec? On to wszystko załatwi, powie mi, co mam robić".

Ale nie odezwał się ani słowem. Wiedział, że wszystko, co go spotkało, spotkało także jego rodziców i siedemdziesiąt osiem osób, które mieszkały kiedyś z nimi w hotelu w Moskwie. Ten sam los spotkał grupę muzyków, których występów czasami słuchał, i grupę komunistów, do której należeli razem z ojcem. A także Sławana, który z rozrzewnieniem wspominał obóz pracy za panowania cara Mikołaja II.

Czy Nikita nadal sypia w wannie w jakimś innym hotelu? Chyba raczej nie.

Zapytali go, czy rozumie wysunięte przeciwko niemu oskarżenia, czy rozumie wymierzoną mu karę.

Aleksander nie rozumiał oskarżeń. Nie rozumiał kary. Ale mimo to skinął głową.

Z całych sił próbował sobie wyobrazić życie, jakie od tej pory przyjdzie mu wieść. Życie, którego pragnął dla niego ojciec. Chciał go zapytać, czy poświęcenie młodości na wprowadzanie w czyn dwóch planów pięcioletnich Stalina, mających doprowadzić do industrializacji Rosji Radzieckiej, było właśnie tym, czego dla niego pragnął. Ale ojca przy nim nie było.

Czy jego przeznaczeniem była praca w kopalni złota w syberyjskiej tundrze, bo państwa nie było stać na to, by płacić za pracę?

– Macie jakieś pytania?

– Gdzie jest moja matka? Chcę się z nią pożegnać.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

– Wasza matka? A skąd mamy, do cholery, wiedzieć, gdzie ona jest? Wyjeżdżacie jutro rano. Może uda wam się ją znaleźć do tego czasu.

Wyszli z celi, nadal się śmiejąc. Aleksander nie ruszył się z miejsca.

Następnego ranka wsadzono go do pociągu jadącego do Władywostoku. Pokryty bliznami mężczyzna, który siedział obok niego, powiedział:

– Mamy szczęście, że wysyłają nas do Władywostoku. Dopiero co wróciłem z Perm-35. To piekło na ziemi.

– A gdzie to jest?

– Niedaleko Mołotowa. Słyszałeś o tym obozie? To nad Kamą. Nie tak daleko jak Władywostok, ale znacznie gorzej. Nikt nie wraca stamtąd żywy.

– Wy wróciliście.

– Bo byłem tam tylko dwa lata i wypuścili mnie. Przez pięć kwartałów z rzędu przekraczałem wyznaczone normy. Byli bardzo zadowoleni z mojej kapitalistycznej wydajności. Doszli do wniosku, że w końcu odezwał się we mnie prawdziwy proletariusz.

Kiedy Aleksander umiejscowił Władywostok na mapie Związku Radzieckiego, zrozumiał, że choć nie ma pieniędzy ani domu, jeśli chce przeżyć, musi uciec. Miasto leżało na końcu świata, a jeśli na ziemi istniał Hades, to dla Aleksandra był nim właśnie Władywostok. Jechał bydlęcym wagonem przez Ural, przez równinę zachodniej Syberii, mijał po drodze całą Mongolię i objeżdżał Chiny tylko po to, by zgnić w przemysłowym mieście położonym na wąskim pasku lądu na brzegu Morza Japońskiego. Był pewny, że z wieczności, którą był Władywostok, nie ma żadnego powrotu.

Przez tysiąc kilometrów wyglądał niewielkim otworem w ścianie wagonu lub przez drzwi, które strażnicy czasem zostawiali otwarte, by do środka wpadło trochę powietrza. Szansa na ucieczkę pojawiła się, gdy zbliżali się do przeprawy przez Wołgę. Wyskoczę, pomyślał Aleksander. Mieli przejechać rozchwianym mostem, który wznosił się jakieś trzydzieści

metrów nad przepaścią. Nie wiedział zbyt wiele o Wołdze. Czy dno jest kamieniste? Czy jest głęboka? Jak szybko płynie? Udało mu się jednak dostrzec, że jest bardzo szeroka, i wiedział, że tysiąc kilometrów dalej na południe od Astrachania uchodzi do Morza Kaspijskiego. Nie wiadomo, czy będzie miał jeszcze jedną, lepszą, szansę. Wiedział jednak, że jeśli przeżyje skok do Wołgi, będzie mógł ruszyć do jednej z południowych republik, może do Gruzji lub Armenii, a potem przekroczyć granicę turecką. Żałował, że nie ma przy sobie amerykańskich dolarów matki. Kiedy wrócili z nieudanej wyprawy do Moskwy, zaniósł książkę z powrotem do biblioteki, a potem aresztowali go tak szybko, że nie miał czasu, by ją odzyskać. Ale nawet bez grosza przy duszy zdawał sobie sprawę z tego, że ma przed sobą tylko jeden wybór: ucieczka albo śmierć.

Spojrzał w dół i poczuł skurcz żołądka. Czy zdoła przeżyć? Pomyślał nagle, że wcale nie chce umierać. Przypomniał sobie Williama Millera z Barrington. Sympatycznego, bardzo popularnego wśród kolegów blondyna. Już jako pięciolatek zaczął pobierać lekcje pływania. Potrafił skakać, robić salta i pływać pod wodą, był lepszy od wszystkich dzieciaków z Barrington; lepszy od Aleksandra, który bez strachu podejmował coraz śmielsze próby. Pewnego letniego popołudnia, gdy mieli osiem lat, bawili się w Tarzana w gigantycznym basenie w domu Williama. William skakał na „bombę" z wysokiej trampoliny do głębokiej na trzy metry wody. Ale nie przewidział grubego Bena, który mieszkał na tej samej ulicy, i w chwili skoku Williama znalazł się tuż pod trampoliną. William dostrzegł go o ułamek sekundy za późno i już w powietrzu przesunął się nieco w lewo, by uniknąć zderzenia z masywnym kolegą. Uderzył głową o betonowy brzeg basenu i zniknął pod wodą. Od tamtego dnia William Miller jeździł na wózku popychanym przez zatrudnioną na stałe pielęgniarkę, a karmiony był przez umieszczoną w żołądku rurkę. Dziwne? Czy skok siedemnastoletniego chłopca, mierzącego blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu, z wysokości trzydziestu metrów do głębokiej na trzy metry rzeki z głazami na dnie może okazać się jeszcze bardziej niezwykły? Aleksander nie potrafił wyrecytować z pamięci odpowiednich praw fizyki, ale jakiś głos

w środku powtarzał mu, że raczej nie działają na jego korzyść. Nie miał jednak czasu ani na przerażenie, ani na zastanawianie się. Wiedział, że może zginąć. Wiedział o tym jego żołądek. Wiedziało jego tłukące się w piersi serce. Ale ta śmierć przynajmniej będzie szybka. Przeżegnał się. We Władywostoku będzie umierał przez resztę życia.

Szepnął: „Pomóż mi, Boże" i wyskoczył z pociągu, mając na sobie tylko więzienne ubranie.

Upadek z wysokości trzydziestu metrów trwał tylko kilka sekund. Kiedy zderzył się z powierzchnią wody, pociąg dojeżdżał dopiero do drugiego brzegu rzeki. Skoczył nogami w dół i miał nadzieję, że w tym miejscu rzeka jest dość głęboka. Była. Była też zimna i rwąca. Porwał go prąd i niósł przez dobre pół kilometra. Przez cały czas walczył, by utrzymać się na powierzchni, zaczerpnąć łyk powietrza. Kiedy spojrzał znów na most, pociąg był tylko niewielką plamką na horyzoncie. Nie wyglądało na to, by się zatrzymał. Nikt chyba nie zauważył jego ucieczki, może z wyjątkiem siedzącego obok niego więźnia, który od Leningradu aż po Wołgę mruczał pod nosem: „Taki kawał chłopaka, poczekaj tylko do Władywostoku, a przekonasz się, co tam z tobą zrobią".

Nie chciał ryzykować i wychodzić z wody, zanim most nie zniknie mu z oczu na dobre. Płynął z prądem przez jakieś pięć kilometrów. Wyczerpany, wyczołgał się wreszcie na brzeg. Było lato i ubranie szybko na nim wyschło. Wykopał parę ziemniaków, zjadł je na surowo, zdjął ubranie, z liści pod daszkiem z gałęzi umościł legowisko (dzięki Bogu za skautów) i zasnął. Kiedy się obudził, ubranie było wilgotne i strasznie bolały go nogi. Nie wiedział, jak zdobyć nowe ubranie, więc rozpalił ogień, wysuszył to, które miał, i przewrócił je na lewą stronę, by więzienne szarości nie rzucały się zbytnio w oczy. Wysmarował się sokiem z liści, błotem i zgniecionymi poziomkami, by jeszcze bardziej zatrzeć kolor, i gdy nie przypominało już prawie wcale więziennego stroju wydanego przez NKWD, wyruszył w drogę, trzymając się brzegu rzeki.

Podróżował w dół Wołgi na barkach i łodziach rybackich, oferując pomoc przy łowieniu ryb do czasu, aż jeden z rybaków zażądał od niego

dokumentów. Po tym zdarzeniu Aleksander zaczął unikać ludzi i cofnął się w głąb lądu w nadziei, że znajdzie drogę prowadzącą w góry, które ciągnęły się między Gruzją i Turcją. Trzymał się z daleka od rybaków i rolników – wiedział, że wcześniej czy później ktoś zażąda od niego dokumentów, a on nie zdoła uciec. Po aresztowaniu zabrano mu dokumenty i wydano książeczkę więzienną, ale tej nie mógł przecież nikomu pokazać. Już dawno ją spalił.

Podróżowanie bez czyjejkolwiek pomocy miało jedną podstawową wadę: było bardzo wolne. Piechotą przemieszczał się zaledwie trzydzieści kilometrów dziennie. Musiał więc ryzykować i zatrzymywać przejeżdżające wozy, by szybciej dotrzeć na południe.

Pewnego dnia, gdy przechodził przez pole, zatrzymała go piętnastoletnia dziewczyna. Zatrzymała go na tyle długo, by odważył się poprosić o kawałek chleba i kubek wody i spytać, czy nie znajdzie się dla niego jakaś praca. Wzięła go za rękę i zaprowadziła do domu, gdzie poznał jej rodziców, którzy przyjęli go bardzo serdecznie. Dziewczyna miała duże, zniszczone przez pracę w gospodarstwie dłonie, gęste jasnobrązowe włosy, okrągłą twarz, pulchne ciało. Na szyi i ramionach lśniły kropelki potu, a na piersi mały złoty krzyżyk. Była bardzo młoda.

Aleksander nie dotarł do Gruzji. Skończył swoją wędrówkę w Białym Jarze, wiosce położonej niedaleko Krasnodaru nad Morzem Czarnym. Nadal znajdował się więc w Republice Rosyjskiej. Ponieważ na jego drodze stanęła Łarysa, a w wiosce był czas żniw, zaoferował rodzinie Biełowych pomoc w pracach polowych. Jefim i Marica Biełowowie mieli czterech synów: Griszę, Walerego, Saszę i Antona, i jedną córkę.

W niewielkim domu nie było już dla niego miejsca, lecz z radością spał w stodole na sianie, pracował od wschodu do zachodu słońca, a nocami marzył o Łarysie. Uśmiechała się do niego, rozchylając kusząco usta, udając, że stale nie może złapać tchu. Aleksander wiedział doskonale, że to tylko podstęp, ale był wygłodniały jak nigdy dotąd. Jego ciało zbyt długo żyło w nieustannym napięciu, zbyt długo uciekał i miał się na baczności. Łarysa niosła ze sobą obietnicę ukojenia.

Trzymał się jednak od niej z daleka. Nie miał ochoty narazić się jej braciom. Pracowali w polu, kopali ziemniaki, marchew, cebulę, młócili zboże dla kołchozu. A wszystko to bez pomocy zwierząt. Nic dziwnego, że byli silni jak woły. Obecność nastoletniej, rwącej się do życia siostry sprawiła, że patrzyli podejrzliwie na plątających się w okolicy robotników takich jak Aleksander, którzy zdejmowali koszule i pracowali tylko w spodniach. Z każdym słonecznym dniem ich skóra coraz bardziej brązowiała, a pod nią rysowały się coraz wyraźniejsze mięśnie. Aleksander miał siedemnaście lat, ale wyglądał, jadł i pracował jak mężczyzna. Miał też potrzeby dorosłego mężczyzny. Łarysa zauważyła to od razu. Zauważyli to też jej bracia. Trzymał się więc od niej z daleka. Wiązał siano w bele. Zaproponował, że narąbie drewna na całą zimę, zrobi im nowy, większy stół. Miał nadzieję, że nie zdążył jeszcze zapomnieć, jak w dzieciństwie ojciec uczył go posługiwać się piłą, młotkiem i heblem. Chwytał się wszystkich tych prac w nadziei, że nie będzie musiał wychodzić w pole.

Oczywiście, im bardziej trzymał się od niej z daleka, tym bardziej intrygowało to Łarysę, która zachowywała się tak wyzywająco, jak tylko może to robić piętnastolatka mieszkająca w niewielkim domu razem z rodzicami i czterema braćmi.

W Krasnodarze nad Morzem Czarnym panowały sierpniowe upały. Pewnego popołudnia, gdy Aleksander wiązał siano w zgrabne bele, jego uwagę zwrócił padający na ziemię promień słońca. Ale kiedy się odwrócił, promień zniknął. Zasłoniła go stojąca przed nim Łarysa.

Aleksander trzymał w rękach widły, kłębek sznurka i nóż. Niskim głosem spytała go, co robi. Już miał odpowiedzieć, że wiąże siano, ale uświadomił sobie, że ona doskonale o tym wie, więc milczał. W innych okolicznościach nie zdołałby się powstrzymać. Teraz też przychodziło mu to z wielkim trudem. Ale czuł, że ta dziewczyna wpędzi go w poważne kłopoty.

– Łaryso, nic dobrego z tego nie wyniknie – powiedział.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparła, przysuwając się jeszcze bliżej. Była boso, a to, co miała na sobie, trudno było uznać za sukienkę. – Na zewnątrz

jest strasznie gorąco. Weszłam tutaj, żeby trochę pobyć w cieniu. Nie przeszkadzam ci, prawda?

Odwrócił się tyłem do niej i pochylił nad kopą siana.

– Twoi bracia mnie zabiją.

– A dlaczego mieliby to robić? Tak ciężko pracujesz. Tylko cię pochwalą. – Podeszła jeszcze bliżej. Czuł zapach jej potu. Wciągnęła głęboko powietrze. Ona też poczuła jego zapach.

– Przestań.

Zrobiła jeszcze jeden krok w jego stronę i zatrzymała się. Nadal stał do niej tyłem, lecz kątem oka zauważył, że sadowi się na skrzydle drewnianej bramy.

– Posiedzę tu chwilę – usłyszał jej głos – i popatrzę na ciebie.

Spojrzał na nią i wrócił do pracy. Jego ciało niemal się poddało. Za chwilę, pomyślał, za króciutką chwilę mogę zaznać tak wielkiej ulgi. To też potrwa tylko chwilę. Nikomu nie stanie się żadna krzywda. Siedziała tak blisko niego, że czuł zapach jej młodego ciała, świeżo umytych włosów, jej oddech. Na moment zamknął oczy.

– Aleksandrze – powiedziała lekko ochrypłym głosem. – Spójrz tutaj. Chcę ci coś pokazać.

Zrozpaczony, odwrócił się z bólem serca. Łarysa podciągnęła powoli sukienkę i lekko rozchyliła nogi. Jej biodra znajdowały się na wysokości oczu Aleksandra. Podniósł wzrok i zatrzymał go na jej nagich udach. Jęknął.

– Chodź tutaj.

Podszedł do niej. Zsunął z jej ramion sukienkę, by cieszyć się nagim ciałem. Dysząc ciężko, pocałował ją mocno w usta, a potem opuścił głowę na jej piersi. Palce wędrowały po całym ciele dziewczyny, pieszcząc je, szukając miękkości, ciepła... jęczała, trzymając się mocno belki nad bramą. Nagle tuż przed stodołą rozległ się głośny śmiech. Łarysa chciała go od siebie odepchnąć, ale on nie ruszył się ani o krok.

W końcu popchnęła go bardzo mocno i zeskoczyła z bramy. Do stodoły wszedł Grisza, najstarszy brat, i powiedział:

– Ach, tutaj jesteś, Łaryska. Wszędzie cię szukam. Zmykaj stąd. Przestań naprzykrzać się Aleksandrowi. Nie wiesz, że ma mnóstwo pracy? Idź do mamy. Chce się dowiedzieć, dlaczego nie przyprowadziłaś jeszcze krów z pastwiska. Kołchoźnik zaraz przyjdzie po mleko.

– Już idę – odparła Łarysa, mijając Aleksandra. Grisza wyszedł pierwszy, a ona odwróciła się jeszcze i z kuszącym uśmiechem na twarzy powiedziała:

– Aleksandrze, następnym razem nikt nam nie przeszkodzi. Obiecuję, że będę cię całować wszędzie. A potem będę mówić do ciebie Szura, a nie Sasza, jak na brata. Musisz tylko trochę poczekać.

Przez resztę dnia Aleksander nie mógł myśleć o niczym innym. Myślał o obietnicy także wieczorem i w nocy, gdy leżał sam w stodole. Jednak następnego ranka zobaczył coś, co dało mu do myślenia jeszcze więcej. Była to blada twarz Łarysy. Kiedy podszedł do niej, podniosła ręce i nie patrząc mu w oczy, powiedziała:

– Źle się czuję.

– Nie przeszkadza mi to – odparł. – Przy mnie zaraz poczujesz się lepiej.

Odepchnęła go lekko.

– Trzymaj się ode mnie z daleka, Aleksandrze – powiedziała, nie podnosząc oczu. – Zrób to dla siebie. Nie zbliżaj się do mnie.

Skonsternowany, zabrał się do pracy. Nie widział jej przez resztę dnia, ale przy kolacji zauważył, że oprócz kredowobiałej twarzy Łarysa ma też wysoką gorączkę. Następnego wieczoru gorączka wzrosła jeszcze bardziej, a dzień później na twarzy dziewczyny pojawiła się purpurowa wysypka.

Dorośli wpadli w panikę. Dziewczyna najwyraźniej była poważnie chora.

Niedługo potem gorączki i wysypki dostał Aleksander, lecz wtedy już nikt nie wpadał w panikę. Bo w wiosce pojawił się jeździec apokalipsy na bladym koniu. Wszyscy wiedzieli, że to tyfus, groźna, śmiertelna choroba, która nie oszczędziła nikogo. Ból głowy, który pojawiał się jako pierwszy z objawów, był tak straszliwy, że kiedy Aleksander dostał czterdzieści stopni gorączki, a na jego ciele pojawiła się swędząca wysypka, z radością

powitał towarzyszące chorobie otępienie. Zaraza powaliła po kolei wszystkich braci, a Łarysa dostała krwotoku. Kiedy zachorowali rodzice, Łarysa umarła. W jednej chwili przytulała gorące dłonie do piersi Aleksandra, a w następnej już nie żyła. Nie zdołali jej pochować, bo wszyscy byli zbyt słabi, by wykopać grób. Leżała więc w izbie, a oni dyszeli ciężko i czekali, by jeździec zabrał ich ze sobą. Nie czekali długo.

Na koniec przy życiu pozostał już tylko ojciec Łarysy, Jefim, i Aleksander. Nie wychodzili z domu od wielu dni, może nawet tygodni. Podnosili się wzajemnie na duchu, pili wodę i modlili się. Aleksander modlił się po angielsku, wtrącając rosyjskie słowa. Modlił się o pokój, za matkę i ojca, prosił Boga, by zachował ich przy życiu. Modlił się o zdrowie, życie, za Amerykę, Teddy'ego, Belindę, Boston, Barrington, za lasy. Na koniec modlił się o szybką śmierć, bo nie mógł już tego dłużej wytrzymać. Nagle zobaczył utkwione w swojej twarzy udręczone oczy Jefima, poczuł na dłoni dotyk jego ręki i usłyszał szept płynący z jego zakrwawionych ust:

– Synu, nie umieraj. Nie umieraj tutaj. Wracaj do swoich rodziców. Wracaj do domu. Gdzie on jest, synu?

Jefim umarł. Ale Aleksander żył. Po sześciu tygodniach kwarantanny poczuł się znacznie lepiej. Władze radzieckie, by zapobiec rozprzestrzenianiu się śmiertelnej choroby w rejonie Kaukazu, spaliły wioskę razem z ciałami ofiar zarazy. Aleksander, który pozostał przy życiu, postanowił podać się za trzeciego syna Jefima. Kiedy więc w maskach na twarzy zjawili się u niego przedstawiciele rady miejskiej i spytali stłumionym głosem: „Jak się nazywacie?", odparł bez wahania: „Aleksander Biełow". Sprawdzili rejestry urodzin w Białym Jarze i wydali Aleksandrowi nowe dokumenty, dzięki którym mógł bez żadnego ryzyka podróżować po całym Związku Radzieckim. Przedstawiciele rady wsadzili go do pociągu. Uzbrojony w pisemne pozwolenie, dotarł do Leningradu, gdzie zamieszkał u Miry Biełowej, siostry Jefima. Gdy stanął na jej progu, Mira oniemiała. Na szczęście od dwunastu lat nie widziała swojej rodziny ani prawdziwego Aleksandra Biełowa. I choć zdumiała się na widok wysokiego, szczupłego chłopca o czarnych włosach i ciemnych oczach („No wiesz, Sasza, nie mogę

się nadziwić. Kiedy miałeś pięć lat, byłeś pulchnym blondynkiem!"), nie pamiętała go na tyle dobrze, by zacząć coś podejrzewać. Aleksander został u ciotki. Spał w korytarzu na wąskim łóżku, które było dla niego pół metra za krótkie. Jadał kolacje z Mirą, jej mężem i teściami, ale poza tym starał się spędzać z nimi jak najmniej czasu. Miał już plan. Skończy szkołę i wstąpi do wojska.

Nie miał czasu, by wspominać, myśleć, odczuwać ból. Postawił przed sobą jeden cel – zobaczyć znów swoich rodziców. A potem marzył już tylko o jednym: by na zawsze wyjechać ze Związku Radzieckiego.

Nowy przyjaciel, 1937

W czasie ostatnich sześciu miesięcy szkoły średniej Aleksander poznał Dmitrija Czernienkę. Drobny i nierzucający się w oczy, chodził za nim krok w krok. Zasypywał go niekończącym się potokiem pytań, a ciekawość i nachalność nowego kolegi zaczynała go irytować. Dmitrij był jak szczeniak, którego nigdy nie miał. Wydawał się nieszkodliwy. Samotny, rozpaczliwie szukał przyjaźni. Był mizernym chłopakiem o kręconych włosach i okrągłej twarzy. Jego niespokojne oczy nie mogły się zatrzymać na nikim ani na niczym dłużej niż kilka sekund. A jednak sposób, w jaki Dmitrij patrzył na niego z podziwem, otwierając przy tym szeroko usta, bawił Aleksandra. Łatwo mu było też dokuczyć, choć potrafił się śmiać z samego siebie, kiedy zajął ostatnie miejsce w biegu, spudłował podczas meczu piłki nożnej lub spadł z drzewa.

Raz czy dwa Aleksander zauważył, że Dmitrij dokucza na szkolnym podwórku młodszym uczniom. Kiedy za drugim razem próbował przekonać Aleksandra, by dołączył do niego, ten odciągnął go na bok i spytał:

– Co ty wyprawiasz?

Dmitrij przeprosił i już nigdy nikomu nie dokuczał. Aleksander doszedł do wniosku, że te ciągoty przyjaciela mają swoje źródło w braku

popularności wśród kolegów i szybko mu wybaczył, podobnie jak niewybredne uwagi rzucane pod adresem dziewcząt.

– Ależ ona ma śliczną dupcię! Hej, mała, zakręć tyłeczkiem!

Cierpliwie i stanowczo wytykał przyjacielowi błędy w zachowaniu, a Dmitrij był chętnym i pojętnym uczniem. Jednak żadne uwagi Aleksandra nie mogły sprawić, by Dmitrij strzelał gole podczas meczów, przybiegał pierwszy na metę lub słuchał bez mrugnięcia okiem, jak dziewczyna opowiada o swoich włosach. Co prawda, Aleksander musiał przyznać, że od pewnego czasu Dmitrij zachowuje się o wiele lepiej. Na dodatek śmiał się z wszystkich opowiadanych przez niego dowcipów, a w każdej przyjaźni to bardzo ważna cecha.

Dmitrija bardzo ciekawił akcent przyjaciela, lecz Aleksander zbywał jego pytania milczeniem. Nie ufał Dmitrijowi przede wszystkim dlatego, że nie ufał nikomu. W rozmowach nie poruszali więc nigdy tematu amerykańskiej przeszłości Aleksandra, ograniczając się do polityki prowadzonej przez komunistów (omawiali ją przyciszonym głosem, nie stroniąc od dowcipów), dziewcząt (Dmitrij miał na tym polu skromniejsze doświadczenie niż Aleksander, czyli żadne) i rodziców.

Pewnego popołudnia, gdy wracali razem do domu, Dmitrij rzucił niedbale, że jego ojciec jest strażnikiem w jednym z miejskich więzień. I to wcale nie w byle jakim, lecz w samym (zniżył głos do pełnego triumfu scenicznego szeptu) Wielkim Domu, najbardziej osławionym i znienawidzonym więzieniu w Leningradzie. Aleksander wiedział, że Dmitrij powiedział mu o tym, gdyż był przekonany, że dzięki pozycji zajmowanej przez ojca on sam urośnie w oczach Aleksandra. W tej jednak chwili Aleksander spojrzał na niego zupełnie inaczej.

Zobaczył nagle, że los zrobił mu nieoczekiwany prezent, że oto pojawia się możliwość, by dowiedzieć się, co stało się z jego rodziną. Ta możliwość wystarczyła, by Aleksander przełknął z trudem wypracowaną nieufność i opowiedział Dmitrijowi o Ameryce. Opowiedział mu całą prawdę o swojej przeszłości i poprosił o pomoc w odnalezieniu Harolda i Jane

Barringtonów. Dmitrij odparł z płonącymi oczami, że pomoże mu z radością. Wdzięczny Aleksander objął go mocno i powiedział:

– Dima, jeśli mi pomożesz, przysięgam na Boga, że będę twoim przyjacielem do końca życia. Zrobię dla ciebie wszystko.

Poklepując Aleksandra po plecach, Dmitrij odparł, że nie musi mu wcale dziękować, pomoże mu z radością, bo są przecież najlepszymi przyjaciółmi, czyż nie?

– Zgadza się – odparł Aleksander.

Kilka dni później Dmitrij powiedział mu, że jego matka została „uwięziona bez prawa do korespondencji".

Aleksander przypomniał sobie starą Tamarę i jej męża. Wiedział, co to oznacza. W obecności Dmitrija zdołał się opanować, lecz w nocy długo płakał w poduszkę.

Z pomocą ojca Dmitrija udało im się wejść na pięć minut do Wielkiego Domu pod pretekstem złożenia wizyty Czernience, który miał im udzielić informacji o walce państwa radzieckiego z agitatorami i zdrajcami, co było im potrzebne do napisania wypracowania szkolnego.

I tak pewnego ciepłego czerwcowego popołudnia Aleksander spotkał się z ojcem. Spotkanie trwało ledwo kilka minut. Aleksander miał nadzieję, że dadzą mu przynajmniej z dziesięć minut, w tym może dwie sam na sam z ojcem. Musiał się jednak zadowolić tylko dwiema w obecności Dmitrija, jego ojca i strażnika. Harold i Aleksander Barrington nie mogli liczyć nawet na odrobinę prywatności.

Aleksander długo zastanawiał się nad tym, co ma powiedzieć ojcu, aż słowa mocno wbiły mu się w pamięć. Ani niepokój, ani strach nie mogły ich stamtąd usunąć.

Tato! – chciał zawołać. Kiedy miałem siedem lat, razem z mamą pojechaliśmy na Revere Beach, pamiętasz? Pływałem tak długo, aż zacząłem szczękać zębami z zimna, a potem wykopaliśmy w piachu wielką dziurę, zbudowaliśmy zaporę i czekaliśmy, aż zmyją ją fale oceanu. Słońce spiekło nas niemiłosiernie, a potem trzy razy jechaliśmy tą straszną kolejką, jedliśmy watę cukrową i lody, aż rozbolał mnie brzuch. Pachniałeś

piaskiem, słoną wodą i słońcem. Trzymałeś mnie za rękę i powiedziałeś, że ja też pachnę morzem. To był najszczęśliwszy dzień w moim życiu, a przeżyłem go dzięki tobie. Kiedy zamykam oczy, widzę go przed sobą. Zapamiętam do końca życia. Nie martw się o mnie. Dam sobie radę, tutaj i wszędzie. O nic się nie martw.

Nie został jednak z ojcem sam na sam ani na minutę i nie mógł mu powiedzieć nic z tego, co sobie zaplanował. Nie sądził też, by Harold mógł czytać w jego myślach, bo w oczach ojca przez cały czas lśniły łzy. Aleksander zaczął się bać, że zwróci to uwagę strażnika, że domyśli się, iż w małej celi dzieje się coś niezwykłego. Na szczęście strażnik nie dopatrzył się w tym spotkaniu żadnych osobistych podtekstów.

W betonowej celi rozległ się tylko głos ojca, który przemówił po angielsku, na prośbę Aleksandra.

– Czy więzień mógłby powiedzieć coś do nas po angielsku? – spytał strażnika.

– Dobrze – warknął. – Ale niech mówi krótko. Nie będę tu marnował czasu.

– Powiem coś po angielsku – odparł Harold. – Kilka wersów z Kiplinga. – Widać było, że mówi z wielkim trudem. Chwycił Aleksandra za ręce i powiedział: – „Jeśli przed własną prawdą nie ucieczesz, nawet gdy nogi strach ci będzie niósł, gdy zniesiesz widok ruin życia rzeczy i odbudujesz, mając w ręce gruz…”[2]

Aleksander usłyszał jego słowa głośno i wyraźnie.

Ściskając mocno dłonie syna, Harold szepnął:

– Obym to ja był umarł zamiast ciebie! Absalomie, synu mój, synu mój.

Aleksander odsunął się bez słowa i mrugając oczami, odsunął od siebie obraz ojca, matki, Ameryki. Ceną za opanowanie podczas tego spotkania w celi był wyszczerbiony ząb i kawałek nieśmiertelnej duszy. Kocham cię, szepnął samym tylko ruchem warg i drzwi celi zamknęły się z trzaskiem.

– To był twój ojciec? – spytał Dmitrij, podbiegając, by nadążyć za idącym szybko Aleksandrem. – Na szczęście nie jesteś do niego podobny.

– To prawda, jestem podobny do matki – odparł Aleksander przez zaciśnięte zęby.

– I co powiedział? Warto było tam iść?

– Niewiele.

– Ale co powiedział po angielsku?

– To był fragment wiersza Rudyarda Kiplinga *Jeśli*. Znasz go?

Dmitrij wzruszył ramionami.

– Czytałem dawno temu w szkole. Niezbyt mi się podobał. Chcesz mi powiedzieć, że zamiast czegoś bardziej osobistego ojciec zacytował wiersz nieżyjącego imperialisty?

– To bardzo piękny wiersz.

Po tym spotkaniu Dmitrij nie opuszczał Aleksandra ani na chwilę. A jemu to nie przeszkadzało, bo potrzebował przyjaciela.

Nie minęło sporo czasu, a Dmitrij zaczął snuć plany wspólnej ucieczki ze Związku Radzieckiego. Ponieważ Aleksander od dawna nie myślał o niczym innym, nie widział powodu, by powstrzymywać Dmitrija. Nie widział też powodu, by nie zabrać go ze sobą. We dwóch będzie im łatwiej, mogą się osłaniać podczas walki, lepiej obserwować teren. Aleksander tak to sobie wyobrażał – Dmitrij będzie idealnym towarzyszem broni, będzie go osłaniał.

Ale podczas gdy Aleksander był cierpliwy, Dmitrij nie mógł usiedzieć na miejscu. Aleksander wiedział, że odpowiednia chwila musi nadejść i nadejdzie. Rozmawiali o możliwości wyruszenia pociągiem do Turcji, o przedarciu się zimą na Syberię i przekroczeniu po lodzie Cieśniny Beringa. Rozmawiali o Finlandii i w końcu na nią się zdecydowali. Była najbliżej i najłatwiej było do niej dotrzeć.

Co tydzień Aleksander chodził do biblioteki i sprawdzał, czy *Jeździec Miedziany* leży na swoim miejscu. A jeśli ktoś go wypożyczy? Jeśli zatrzyma książkę? Musiał mieć pewność, że jego pieniądze znajdują się w bezpiecznym miejscu.

Po ukończeniu szkoły średniej postanowili rozpocząć trzymiesięczny kurs w szkole oficerskiej Armii Czerwonej. To był pomysł Dmitrija. Doszedł do wniosku, że dzięki temu będzie im łatwiej podrywać dziewczyny. Aleksander sądził zaś, że zapewni im to swobodne przedostanie się do Finlandii, jeśli dojdzie do wojny między dwoma krajami, co było bardzo prawdopodobne. Rosja nie patrzyła łaskawym okiem na swego odwiecznego wroga, oddalonego zaledwie o dwadzieścia kilometrów od Leningradu, bez wątpienia najwspanialszego miasta w kraju.

Aleksander nie tak wyobrażał sobie szkołę oficerską. Brutalność instruktorów, mordercze szkolenie, nieustanne poniżanie ze strony sierżantów. Wszystko to miało na celu złamać ducha kandydatów, zanim zrobi to wojna. Poniżenie było o wiele trudniejsze do zniesienia niż wyczerpujące biegi, pot oblewający ciało w przeraźliwym zimnie, deszcz. Najgorsze ze wszystkiego były jednak nocne pobudki i stanie całymi godzinami w szeregu za karę, że jakiś pieprzony kadet zapomniał wyglansować butów.

W szkole oficerskiej Aleksander nauczył się dowodzenia i szacunku. Nauczył się milczeć, utrzymywać porządek w szafce, zjawiać się zawsze na czas i mówić: „Tak jest, towarzyszu", nawet jeśli z całych sił pragnął warknąć: Pieprz się. Dowiedział się też, że jest silniejszy i szybszy od innych, że w sytuacji stresowej potrafi zachować spokój i że boi się znacznie mniej od towarzyszy.

Dowiedział się też, że wypowiedziane pod jego adresem słowa, które miały nim wstrząsnąć, osiągały swój cel.

Po zderzeniu z brutalną dwoistością szkoły – chcieli tam zrobić z nich mężczyzn, łamiąc ducha – Aleksander był wdzięczny, że nie trafił tam jako jeden z poborowych: tych traktowano jeszcze gorzej.

A potem Dmitrij wyleciał ze szkoły.

– Uwierzysz? Co za banda dupków. Najpierw kazali mi przejść przez piekło, a teraz nie pozwalają ukończyć szkoły? Co to za gówno? Ale miałem na tyle przytomności umysłu, by napisać list do dowódcy. Aleksandrze, kto

jest dowódcą w szkole? Widziałeś ten list? Powiedzieli mi, że zbyt wolno ładuję i rozładowuję broń, że za wolno się czołgam, że nie potrafię zachować zimnej krwi w testach bojowych. Uznali też, że nie mam odpowiednich zdolności przywódczych, by zostać oficerem. Spójrz tylko: proponują mi wstąpienie do armii w charakterze szeregowca. Ale jeśli nie potrafię szybko ładować broni jako oficer, to jaki będzie ze mnie pieprzony szeregowiec?

– Może mają inne wymagania w stosunku do oficerów i szeregowców.

– Jasne, że mają! Ale powinni ostrzej traktować żołnierzy wysyłanych na front. To przecież oni będą stać na pierwszej linii ognia. Wyrzucili mnie ze szkolenia, dzięki któremu mógłbym zadekować się na tyłach i gdzie niczego bym nie spieprzył, a zamiast tego proponują mi pozycje na linii ataku? Nie, dziękuję. – Dmitrij spojrzał na Aleksandra. – A ty dostałeś list?

Dostał. Poinformowano go, że lada dzień otrzyma awans na podporucznika, ale nie sądził, by Dmitrij był w odpowiednim nastroju, żeby to usłyszeć. Kłamstwo nie miało jednak żadnego sensu, więc powiedział przyjacielowi prawdę.

– To czysty idiotyzm. Spieprzyli nam plany dokumentnie. Co z nami będzie, gdy ty zostaniesz oficerem, a ja szeregowcem? – Uderzył się nagle w czoło. – Już wiem! To rewelacyjny pomysł. Mamy tylko jedno wyjście, rozumiesz?

– Nie.

– Musisz zrezygnować z awansu. Powiedz im, że jesteś zaszczycony i wdzięczny, ale zmieniłeś zdanie. Za kilka dni zostaniesz szeregowcem, trafimy do jednego oddziału i kiedy nadarzy się odpowiednia okazja, zwiejemy. – Uśmiechał się radośnie. – Przez chwilę myślałem, że wszystko stracone i nasze plany wezmą w łeb.

– Poczekaj chwilę – Aleksander spojrzał na niego z ukosa. – Dima, co chcesz, żebym zrobił?

– Zrezygnuj z awansu.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Żebyśmy mogli przeprowadzić nasz plan do końca.

– Nasze plany się nie zmieniły. Jeśli zostanę podporucznikiem, będę dowódcą oddziału, w którym znajdzie się sierżant odpowiedzialny za twój pluton. Rozumiesz? I tak uciekniemy do Finlandii.

– A jeśli nie trafimy do tego samego oddziału? Przecież na tym polegał nasz plan.

– Nasz plan zakładał, że obaj zostaniemy oficerami. Nie było w nim mowy o tym, że zostaniemy szeregowcami.

– Racja, ale plany uległy zmianie. Musimy wszystko jeszcze raz przemyśleć.

– Ale jeśli obaj zostaniemy szeregowcami, nie będziemy mieli żadnej władzy.

– A komu potrzebna jest władza? – Dmitrij zmrużył oczy. – Tobie?

– Wcale jej nie chcę – odparł Aleksander. – Chcę tylko osiągnąć pozycję, dzięki której zrealizuję nasz plan. Musisz przyznać, że jeśli jeden z nas zostanie oficerem, będziemy mieli więcej możliwości, żeby znaleźć się tam, gdzie trzeba. Gdybym to ja wyleciał ze szkoły, a ty dostałbyś awans, na pewno bym chciał, żebyś został oficerem. Bo wtedy mógłbyś wiele dla nas zdziałać.

– Tak – odparł wolno Dmitrij. – Ale to nie ja zostałem oficerem, prawda?

– To tylko paskudny pech, Dima. Nie zawracałbym sobie tym dłużej głowy.

– Ja muszę sobie zawracać, bo to mną będą sobie wycierać dupy.

Aleksander milczał.

– Moim zdaniem będzie o wiele lepiej – powiedział po chwili Dmitrij – jeśli obaj znajdziemy się w tym samym plutonie.

– Nie mamy na to gwarancji – odparł Aleksander. – Ciebie mogą wysłać do Karelii, a mnie na Krym… – urwał. To było śmieszne. Za nic nie zamierzał zrezygnować z awansu. Jednak widząc wyraz oczu Dmitrija, jego przygarbione ramiona i szydercze wykrzywienie ust, przekonał się, że na ich przyjaźni pojawiła się rysa. Raz jeszcze spróbował przekonać Dmitrija, że wszystko ułoży się jak należy. – Dima, pomyśl, o ile łatwiejsze

będzie twoje życie w armii, jeśli przyjmę ten awans. Lepsze jedzenie. Lepsze papierosy. Lepsza wódka. Lepsze bary. Lepsze zadania.

Dmitrij nadal patrzył na niego bardzo sceptycznie.

– Jestem twoim sojusznikiem i przyjacielem, i będę mógł ci pomagać.

Dmitrij nie reagował.

I w zasadzie miał rację, bo choć Aleksander rzeczywiście próbował mu pomagać, to nie miał przez to wcale łatwiejszego życia. W przeciwieństwie do Aleksandra. Bo to jemu przydzielono lepszą kwaterę, lepiej go karmiono, miał więcej swobody i przywilejów, lepiej mu płacono, dostał lepszą broń, miał dostęp do tajnych nieraz informacji, a w klubie oficerskim swoje wdzięki oferowały mu kobiety z większą klasą. Niewątpliwą korzyścią dla Dmitrija był fakt, że Aleksander rzeczywiście został jego dowódcą w garnizonie leningradzkim. Dzieliło ich tylko dwóch sierżantów i jeden kapral. Szybko okazało się jednak, że jest to korzyść dość wątpliwa. A okazało się w chwili, gdy Aleksander krzyknął na przyjaciela, bo nie utrzymywał linii podczas marszu. Dmitrij się skulił. Aleksander zorientował się od razu, że albo będzie musiał nadal wykrzykiwać rozkazy pod adresem wszystkich, także i Dmitrija, co dla przyjaciela było nie do przyjęcia, albo nie będzie tego robić w ogóle, co z kolei było nie do przyjęcia dla Armii Czerwonej.

Przeniósł więc Dmitrija do innego oddziału, którym dowodził jeden z oficerów dzielących z nim kwaterę, porucznik Siergiej Komkow. Decyzja ta natychmiast popsuła jego stosunki z kolegą.

– Biełow, powinni cię natychmiast poćwiartować żywcem – powiedział przysadzisty, niemal łysy Komkow, gdy pewnego wieczoru grali razem w karty. – Co ty sobie wyobrażałeś, gdy poprosiłeś mnie, żebym przyjął Czernienkę do swojego oddziału? W całej armii nie ma chyba większej dupy. To chodząca łajza w mundurze. Moja mała siostra jest odważniejsza. Nic mu nie wychodzi, a wścieka się, gdy go pouczam. Nie możemy go postawić przed sądem wojskowym za tchórzostwo?

Aleksander się roześmiał.

– Daj spokój, to porządny facet. Zobaczysz, że w bitwie sprawdzi się na pewno.

– Przestań pieprzyć, Biełow. Dzisiaj o mało go nie zastrzeliłem za dezercję, kiedy podczas marszu upuścił karabin, a potem musiał cofnąć się o trzy kroki, żeby go podnieść. Wymierzyłem do niego z karabinu, ale zaraz tego pożałowałem. Chciałem mu to jakoś wynagrodzić, więc został szefem ekipy czyszczącej oficerskie latryny.

– Odpuść, Komkow. On się jeszcze wyrobi.

– Wiesz, że jeden z karabinów wypalił przypadkowo, a Czernienko padł na ziemię i nakrył głowę rękami? Nie muszę chyba dodawać, że nie pomyślał w ogóle o swoim towarzyszu. Nie mam pojęcia, dlaczego tak go bronisz. Jak dojdzie do bitwy, wszyscy przez niego zginiemy.

Na scenę wkraczają dziewczęta, 1939

Kiedy zaczęli odwiedzać kluby, poznał dziewczynę o imieniu Luba. Potem Luba zjawiała się coraz częściej, a Aleksandra przestały interesować inne dziewczyny. Było tak do chwili, gdy pewnego dnia zauważył Dmitrija rozmawiającego z Lubą na osobności. Kiedy przyjaciel wyznał, że sam jest zainteresowany Lubą, Aleksander skinął tylko głową i usunął się w cień. Luba cierpiała, bo Dmitrij zabawiał się z nią przez jakiś czas, po czym zostawił ją bez słowa.

Podobna sytuacja powtórzyła się jeszcze dwa, trzy razy. Aleksandrowi jednak to nie przeszkadzało, zawsze mógł sobie znaleźć nową dziewczynę. Próbował zostawiać Dmitrija w barze Sadko i chodzić do klubu oficerskiego, lecz Dmitrij stanowczo się temu sprzeciwiał, bo sam nie miał tam wstępu. Aleksander chodził więc nadal z Dmitrijem do Sadko i udawał, że nie interesuje go żadna konkretna dziewczyna. I była to prawda. Podobały mu się wszystkie.

Swieta lubiła być tylko na górze i nie chciała, by ją dotykał.

Olga z kolei bardzo lubiła być dotykana. Tylko dotykana.

Milla za dużo mówiła o komunizmie i gospodarce.

Lena w ogóle za dużo mówiła.

Izabela zjawiła się w klubie raz, szybko wróciła, a podczas ich trzeciego spotkania spytała, czy chce się z nią ożenić.

Dina powiedziała, że lubi go bardziej niż wszystkich mężczyzn, z jakimi była do tej pory, a tydzień później przyłapał ją z Anatolijem Marazowem.

Maja lubiła to robić w każdy sposób, chętnie więc spełniał jej życzenia, a potem dowiedział się, że dba tylko o własną przyjemność.

Megan, pieszcząc go ustami, nie przestawała mówić.

Nina nie przestawała mówić, gdy on ją pieścił.

Nadia chciała grać w karty, nie przedtem, nie potem, ale zamiast.

Kira powiedziała, że zrobi to tylko wtedy, jeśli będzie mogła z nią pójść jej przyjaciółka Ella.

Zoe była bezwstydna i po piętnastu minutach już zaspokojona.

Masza była bezwstydna, ale spełnienie osiągała dopiero po dwóch godzinach.

Marisa należała do dziewcząt, które lubią słuchać słodkich słówek, a Marta wolała, by milczał.

Sofia lubiła wszystko, jeśli tylko sama nie musiała nic robić.

Sonia była najzabawniejsza aż do pewnego sobotniego wieczoru, kiedy stała się dziewczyną o złamanym sercu. Nagle okazało się, że wcale nie jest zabawna ani nieszczęśliwa. Była wściekła.

Łara chciała się za wszelką cenę dowiedzieć, czy kiedykolwiek zabił człowieka.

Żenia chciała się dowiedzieć, czy pragnie mieć dziecko.

A potem zaczął zapominać ich imiona.

Stało się to w czasie, kiedy coraz dłużej powstrzymywał się od spełnienia. Wracał do nich, patrzył im w oczy, obserwował ich usta, próbował je namówić, by stanęły przed nim zupełnie nagie, szukał zbliżenia, szukał czegoś więcej, ale potem zapominał i wszystko zaczynało się od nowa. Kilka w jedną noc, w piątkowy wieczór, w sobotni, w niedzielę, w wieczory, kiedy stał na warcie i w niedzielne popołudnia.

Niewiele za dnia, ku jego wielkiemu rozczarowaniu, bo bardzo lubił patrzeć na ich rozpalone namiętnością twarze.

Powoli zaczynał trzymać się od nich z daleka, choć nadal bardzo mu się podobały, nadal ich potrzebował, pragnął. Pokazywał im jednak zrezygnowaną twarz bez uśmiechu, traktował je z rezerwą i nie dbał o to, by sprawić im przyjemność. Ale wtedy się okazało, że nagle zaczyna je bardzo pociągać!

Coraz więcej dziewcząt szukało jego towarzystwa, pragnęło spacerować z nim po Newskim Prospekcie i trzymać go pod ramię. Wiele z nich ściskało go z wdzięcznością, gdy było już po wszystkim, szeptało słowa podziękowania. Coraz więcej wracało do klubu w następnym tygodniu, gdy on był już zajęty następną albo trzema. I wszystkie coś od niego chciały – nie wiedział, co to jest, ale był pewny, że nie może im tego dać.

– Chcę więcej, Aleksandrze – mówiła jedna po drugiej. – Więcej.

On tylko uśmiechał się i mówił:

– Uwierz mi, dałem ci wszystko, co mam.

– Nie. Chcę jeszcze więcej.

Odpowiadał więc zrezygnowanym tonem:

– Przykro mi, ale nie mogę dać ci nic więcej. To niemożliwe. Dla mnie. Tylko do tego jestem zdolny.

Kiedy patrzył na każdą dziewczynę, z która się spotykał, z którą się witał, którą dotykał i całował, myślał: Czy to ta jedyna? Miałem je niemal wszystkie, czy przeoczyłem wśród nich tę jedyną? Czy była przy mnie, a ja nie miałem o tym pojęcia?

Jednak od czasu do czasu, zanim zapadł w sen, zanim osunął się w mrok nocy pod gwiazdami, w pociągach, na barkach i wozach, na ułamek sekundy stawał mu przed oczami obraz stodoły i Łarysy. Czuł jej ciepły oddech i ogarniało go wielkie poczucie żalu za czymś, co bezpowrotnie stracił i czego nigdy już nie odzyska.

---

2 Tłum. Michał Kuźmiński

Rozdział trzynasty

Obiad u Sabatellów, 1943

Pod koniec października Tatiana przyjęła wreszcie zaproszenie na niedzielny obiad u Vikki. Rodzina Sabatellów mieszkała w Małych Włoszech, na rogu ulic Mulberry i Grand.

Kiedy wchodziły do mieszkania, Tatiana najpierw usłyszała głośny ryk, a potem niski alt, który wykrzyknął:

– Gelso-mii-no! – Z kuchni wyszła gruba, niska kobieta o ciemnych włosach. – Miałaś tu być trzy godziny temu.

– Przepraszam, babciu. Tania nie skończyła jeszcze… naprawdę nie mam pojęcia, co ona robi w tym szpitalu. Taniu, poznaj moją babcię, Isabellę. A to synek Tani, Anthony.

Kobieta uściskała Tatianę, po czym porwała w ramiona trzyipółmiesięcznego Anthony'ego i zaniosła do kuchni. Położyła go na blacie, a Tatiana pomyślała, że jeśli natychmiast nie przyjdzie malcowi z pomocą, to Isabella ugotuje z niego gulasz.

– Gelsomina? – spytała cicho, gdy razem z Vikki stały w kuchni i popijały wino.

– Nawet nie pytaj. To znaczy „jaśmin". Ma coś wspólnego z moją zmarłą matką.

– Twoja matka żyje! – wykrzyknęła z wściekłością Isabella, głaszcząc czule malca. – Mieszka w Kalifornii.

– Kalifornia oznacza po włosku „czyściec" – wyjaśniła Vikki.

– Przestań. Wiesz, jak bardzo jest chora.

– Twoja matka jest chora? – szepnęła Tatiana.

– Tak – mruknęła w odpowiedzi Vikki. – Psychicznie.

– Przestań, jesteś niemożliwa – zagrzmiała Isabella, uśmiechając się promiennie do Anthony'ego.

– Powiedziałam im, żeby pod żadnym pozorem nie wypytywali cię o ojca chłopca. – Vikki przysunęła się do Tatiany. – Dobrze zrobiłam?

– Bardzo dobrze.

Tatianie bardzo podobało się mieszkanie dziadków Vikki, duże, ale bardzo przytulne. Patrzyła z podziwem na ogromne okna, wysokie półki na książki i duże, wygodne meble. Nie mogła się jednak przyzwyczaić do koloru, w jakim zostało urządzone: wszystko, począwszy od wykładziny na podłodze i ścian, a na ciężkich aksamitnych zasłonach skończywszy, miało barwę czerwonego wina, które popijała.

W burgundowym saloniku zastawionym meblami z ciemnego drewna poznała Travisa, szczupłego i znacznie cichszego od żony dziadka Vikki.

– Kiedy poznałam Travisa... – powiedziała przy obiedzie Isabella, trzymając jedną ręką Anthony'ego, a drugą nakładając Tatianie porcje lasagne. – Vikki, podaj Tani chleb i sałatę. Nie siedź tak dziewczyno, nalej jej wina. O czym to ja mówiłam? Ach, tak. Kiedy poznałam Travisa...

– Już o tym mówiłaś, kobieto – przerwał jej Travis cichym głosem, patrząc na Tatianę. Poskrobał się w łysą głowę, jakby chciał ją przeprosić.

– *Prego*, nie przerywaj. Kiedy cię poznałam, miałeś się ożenić z moją ciotką Sofią.

– Po co mi to mówisz? Ja przecież doskonale o tym wiem. Powiedz jej!

– Och – szepnęła Tatiana. Ugryzła kawałek chleba i nabrała na talerz kolejną porcję sałaty. Zacznie jeść, oni nie przestaną mówić i dzięki temu wszyscy będą się świetnie bawić.

– To młodsza siostra mojej matki – ciągnęła dalej Isabella. – Poznaliśmy się z Travisem w niewielkim miasteczku we Włoszech, niedaleko Florencji. Wiesz, gdzie leży Florencja?

– Tak – odparła Tatiana. – Matka mojego męża pochodziła z Włoch.

– Matka wysłała mnie po Travisa na stację. Bo nigdy nigdzie nie mógł trafić. Mieszkaliśmy w dolinie schowanej głęboko między górami. Miałam

go odebrać ze stacji i przyprowadzić do ciotki Sofii, która czekała na niego w domu.

– Babciu, z twoją pomocą dopiero się naprawdę zgubił. – Vikki się zaśmiała.

– Siedź cicho, dziecko. Do domu mieliśmy jakieś dziesięć kilometrów. Kiedy przeszliśmy dwa kilometry, wiedziałam już, że bez niego nie będę mogła przeżyć ani jednego dnia. Zatrzymaliśmy się w tawernie po drodze. Ja nie piłam wina, miałam dopiero szesnaście lat. Travis zaproponował mi łyk swojego. Piliśmy z jednego kieliszka…

Isabella przestała podsuwać wszystkim jedzenie, uśmiechnęła się i odwróciła do Travisa. Jadł lasagne i udawał, że nie zwraca na żonę uwagi.

– Nie wiedzieliśmy, co robić – podjęła opowieść. – Moja ciotka, tak jak Travis, miała dwadzieścia siedem lat. Mieli się pobrać. Wyglądało na to, że znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia. Siedzieliśmy w tawernie wśród wzgórz otaczających Florencję i nie wiedzieliśmy, co począć. Wiecie, co w końcu zrobiliśmy? – Isabella szturchnęła Travisa, który upuścił widelec i jęknął głośno. – Nie wróciliśmy do domu. Postanowiliśmy pojechać do Rzymu i napisać stamtąd do rodziny. Jednak zamiast do Rzymu wyruszyliśmy pociągiem do Neapolu, a potem statkiem na wyspę Ellis. Przyjechaliśmy tutaj w tysiąc dziewięćset drugim roku. Mieliśmy tylko siebie.

Tatiana przestała jeść i nie spuszczała wzroku z Isabelli i Travisa.

– Czy ciotka pani wybaczyła?

– Nikt mi nie wybaczył.

– Matka nie pisze do niej do dziś – wyjaśnił Travis z pełnymi ustami.

– Travis, przecież ona nie żyje. Jak może do mnie pisać?

– Aleksandrze, od jak dawna kochasz moją siostrę? – pyta umierająca z głodu Dasza.

– Nigdy jej nie kochałem – odpowiada Aleksander. – Kocham ciebie. Wiesz dobrze, co nas łączy.

– Powiedziałeś, że kiedy latem dostaniesz urlop, przyjedziesz do Łazariewa i się pobierzemy – mówi Dasza, zanosząc się kaszlem.

– Tak. Przyjadę do Łazariewa i weźmiemy ślub – zapewnia Aleksander Daszę, siostrę Tatiany.

Tatiana opuściła nisko głowę i pod stołem zaczęła poruszać zesztywniałymi palcami.

– W Ameryce urodziły się nam dwie córki – mówiła dalej Isabella. – Travis chciał syna, ale Bóg postanowił inaczej. – Westchnęła. – Bardzo staraliśmy się o chłopca. Trzy razy poroniłam. – Spojrzała tęsknie na Anthony'ego, tak tęsknie, że Tatiana zapragnęła nagle chwycić małego w ramiona, jakby miała go za chwilę stracić.

– W tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku nasza starsza córka, Annabella, urodziła Gelsominę...

– I dała mi na imię Viktoria – wtrąciła Vikki.

– Co ona mogła wiedzieć? – prychnęła Isabella. – Czy Viktoria to włoskie imię? Chyba nie. Nasza młodsza córka, Francesca, mieszka w Darien w Connecticut. Przyjeżdża do nas raz w miesiącu. Wyszła za mąż za bardzo przyzwoitego mężczyznę, ale nie mają jeszcze dzieci.

– Babciu, ciocia Francesca ma trzydzieści siedem lat. Nikt nie rodzi dzieci w tym wieku – oświadczyła Vikki.

– Miałam urodzić syna – powiedziała żałośnie Isabella.

– Nie, nie miałaś – odparł Travis. – Gdyby tak rzeczywiście było, tobyś go urodziła. Oddaj teraz chłopca matce, kobieto, i zjedz coś wreszcie.

– Taniu, kto się nim opiekuje, kiedy pracujesz? – spytała Isabella, z żalem podając jej Anthony'ego. Tatiana objęła synka i mocno przytuliła do piersi.

– Zabieram go ze sobą. Śpi albo opiekuje się nim jakiś żołnierz.

– Tak nie może być. Jeśli chcesz, mogę się nim zajmować.

– Dziękuję bardzo – powiedziała Tatiana – ale nie sadzę, żebym mogła...

– Mogłabym przyjeżdżać na Ellis i zabierać go ze sobą. A później bym go odwoziła z powrotem.

– Isabello! – wykrzyknął Travis. – On nigdy nie będzie twoim synem, choćbyś nie wiem jak tego pragnęła. Zajmij się jedzeniem, na miłość boską.

Tatiana uśmiechnęła się do niej.

– Zastanowię się nad pani propozycją. A wasza historia jest cudowna. To wielkie szczęście, że macie siebie.

– A ty masz szczęście, że urodziłaś takiego wspaniałego chłopca – odparła Isabella.

– Tak.

– Powiedz nam, gdzie jest twoja rodzina?

Tatiana zamilkła.

– Masz matkę, dziecino?

– Miałam – odparła.

– A ojciec?

– Też nie żyje.

– A rodzeństwo?

– Wszyscy nie żyją.

– Dziadkowie?

Tatiana potrząsnęła głową.

– Nie mam już nikogo.

Isabella i Travis przestali jeść. Vikki nadal jadła, ale patrzyła na Tatianę przerażonym wzrokiem.

– Dwa lata temu Niemcy otoczyli Leningrad ciasnym pierścieniem. Nie mieliśmy nic do jedzenia – zamilkła.

Jest dwudziesty trzeci czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku, urodziny Tatiany i Paszy. Oboje kończą szesnaście lat i rodzina Mietanowych świętuje ten dzień na daczy w Łudze. Pożyczyli stół i ustawili go na podwórku, bo na werandzie nie było dość miejsca dla siedemnastu osób: siedmiu członków rodziny, siostry taty, jej męża i córki, babci Mai i sześciu Iglenków. Tato przywiózł z Leningradu czarny kawior i wędzonego jesiotra. Przywiózł też śledzia z ziemniakami i cebulą, a mama ugotowała barszcz i przygotowała sześć sałatek. Kuzynka Marina upiekła kulebiak z grzybami, Dasza szarlotkę, a babcia Tatiany ze strony ojca babeczki ze śmietaną. Babcia Maja namalowała dla niej obrazek, a tato przywiózł nawet z miasta trochę czekolady, bo wie, jak Tania za nią przepada. Tatiana ma na sobie białą sukienkę w czerwone róże. To jedyna ładna sukienka, jaką ma. Tato przywiózł ją dwa lata temu z Polski. To jej ulubiona sukienka.

Wszyscy popijają wódkę, wszyscy z wyjątkiem Tatiany; piją, dopóki mogą utrzymać w ręce kieliszek. Opowiadają dowcipy polityczne i jedzą bez końca. Tato gra na gitarze i śpiewa rzewne rosyjskie piosenki. Wszyscy starają się włączyć do chóru, choć nie pamiętają słów i fałszują niemiłosiernie.

Gdybyś tylko wiedziała
Jak kocham
Te moskiewskie wieczory...

– Taniu, kiedy skończysz osiemnaście lat – mówi tato – wynajmę dla ciebie i Paszy salę balową w hotelu Astoria. Wydamy prawdziwą ucztę.

– Dla mnie nie wydałeś uczty – mówi Dasza, która skończyła osiemnaście przed pięcioma laty.

– W tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym było ciężko – odpowiada ojciec. – Nic nie mieliśmy, ale teraz jest inaczej, a za dwa lata będzie jeszcze lepiej. Wypiję za ciebie toast w Astorii, dobrze, Daszeńko?

Tania chce skończyć osiemnaście lat już następnego dnia, żeby znów przeżyć takie cudowne chwile jak te. Jest bardzo ciepło, w powietrzu unosi się zapach bzów i kwitnących wiśni, a świerszcze koncertują jak oszalałe. Nawet komary trzymają się z daleka. Brat i siostra przewracają ją na trawę i zaczynają łaskotać. Krzyczy i piszczy wniebogłosy. Przestańcie, przestańcie, moja sukienka! Drżącymi rękami dorośli wznoszą kolejny toast. Tato znów bierze do ręki gitarę i Tatiana słyszy jego głęboki głos, i niesie się wśród wiśni romans Aleksandra Wertyńskiego o Leningradzie:

Niepewna rozmowa przypadkiem przywiodła
Słodkie i niepotrzebne słowa
Ogród Letni, Fontanka i Newa
Dlaczego przybiegłyście tutaj słowa tak ulotne?
Tutaj dobiega hałas cudzoziemskich miast
I obce fale rozbijają się o brzeg.

Rozdział czternasty

W więzieniu w Wołchowie, 1943

Słonko nie żył, ale w sprawie Aleksandra nie zapadły żadne decyzje. Przeniesiono go tylko do Wołchowa, gdzie musiał znosić jeszcze bardziej złośliwych idiotów. Kiedy się dowiedział, że Tatianie udało się wymknąć ze Związku Radzieckiego, stan jego umysłu uległ poważnej zmianie. Wielka ulga mieszała się z poczuciem straszliwej melancholii. Teraz, kiedy zrozumiał, że znikła z jego życia na zawsze, nie wiedział, na co bardziej ma się skarżyć: na człowieka, który go przesłuchiwał, czy na strażnika, który groził mu karabinem. Jednak kiedy przemierzał tam i z powrotem betonową celę, najbardziej nienawidził samego siebie.

Tatiana zniknęła – i to za jego sprawą. Zniknęła, nosząc ich dziecko. W którym jest teraz miesiącu? Czy niebawem urodzi?

W Wołchowie, tak jak w Leningradzie, znajdowały się dwa więzienia – jedno dla pospolitych przestępców, drugie dla więźniów politycznych. Tego rozróżnienia trzymano się skrupulatnie i Aleksander trafił do więzienia dla kryminalistów. Wyglądało na to, że mają tu lepsze cele. Przypomniał sobie kilka dni spędzonych w Kriestach po aresztowaniu w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku, zanim wsadzono go do pociągu jadącego do Władywostoku. Cele były tam małe i śmierdzące. W więzieniu w Wołchowie cele były większe, miały dwie prycze, zlew i toaletę, a także stalowe drzwi z zakratowanym okienkiem, które od czasu do czasu otwierano, by wsunąć do środka jedzenie.

Dostawał chleb i owsiankę, czasami mięso niewiadomego pochodzenia. I jeszcze wodę, czasem herbatę oraz kartki, które mógł wymieniać na

wódkę lub tytoń.

Ale kartki zachowywał. Wódki nie pił, a z tytoniem to była zupełnie inna historia. Czuł nieustanny głód nikotyny. Jego usta, gardło, płuca marzyły o tym, by poczuć smak dymu. Jednak konsekwentnie odmawiał sobie papierosów. Głód nikotyny osłabiał nieco tęsknotę za Tatianą, łagodził ból, który po jej zniknięciu odczuwał w całym ciele. Minęło pięć miesięcy od czasu, gdy został ranny w plecy podczas bitwy o Leningrad; teraz już tylko bolące zakończenia nerwów wokół ogromnej blizny przypominały mu o ranie, która wreszcie się zagoiła.

Składał kupony i nieustannie chodził tam i z powrotem po celi. Pozwolili mu zatrzymać mundur i buty. Nie miał już jednak sulfamidów. Morfinę wstrzyknął w serce Słonki. Zniknął też jego plecak. Od śmierci Słonki nie widział Stiepanowa, nie mógł go więc zapytać, co się stało z plecakiem. Oprócz kilku głupich drobiazgów znajdowała się w nim jedna rzecz, która była dla niego bezcenna – ślubna sukienka Tatiany. Tak jakby mógł na nią patrzeć.

Ale nie ta myśl nie dawała mu spokoju, kiedy chodził po celi. Sześć kroków od jednej ściany do drugiej, dziesięć od drzwi do okna. Przez cały dzień przemierzał celę, a gdy nie mógł już myśleć, liczył kroki. Pewnego popołudnia zrobił ich cztery tysiące pięćset siedemdziesiąt dwa, innego sześć tysięcy dwieście siedem. Pomiędzy wczesnym śniadaniem, wczesnym obiadem i późną kolacją chodził tam i z powrotem, próbując wyrzucić z myśli Tatianę. Nie mógł zajrzeć w przyszłość i nie chciał się oglądać w przeszłość. Nie wiedział, co go czeka za chwilę, co go czeka w nadchodzących latach. Może gdyby dane mu było poznać przyszłość, w tych posępnych dniach w celi wybrałby śmierć. Nie mając jednak takiej możliwości, wybrał życie.

Aleksander stanął przed trybunałem wojskowym. Po miesiącu przemierzania celi tam i z powrotem i zaoszczędzeniu dziewięćdziesięciu kartek na tytoń, stanął przed trzema generałami, dwoma pułkownikami i Stiepanowem. Stał przed nimi w mundurze i zwykłej czapce – czapkę oficerską kazał przekazać swojej żonie.

– Aleksandrze Biełow, znaleźliśmy się tutaj, by postanowić o waszym dalszym losie – powiedział generał Mechlis, szczupły, spięty mężczyzna, który wyglądał jak wyniszczony zimą kruk.

– Jestem gotów – odparł Aleksander. Najwyższy czas. Miał za sobą miesiąc spędzony w jednej celi. Dlaczego miesiąc spędzony z Tatianą w Łazariewie nie mógł płynąć tak wolno?

– Wniesiono przeciwko wam oskarżenie.

– Jestem tego świadomy, towarzyszu generale.

– Oskarżono was, że jesteście Amerykaninem i udając oficera Armii Czerwonej, prowadzicie sabotaż i dywersję w najcięższych chwilach, jakie stały się udziałem naszego kraju. W obliczu niemieckiej inwazji nasz kraj może czekać zagłada. Rozumiecie więc, że nie możemy sobie pozwolić na to, by w naszych szeregach działali obcy szpiedzy.

– Rozumiem. Ale mam argumenty na swoją obronę.

– Słuchamy.

– Wszystkie zarzuty, o których wspomnieliście, towarzyszu generale, to wierutne kłamstwa. Przedstawiono je wam, by mnie oczernić. Przebieg mojej służby w Armii Czerwonej od tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku mówi sam za siebie. Zawsze byłem lojalnym żołnierzem i wypełniałem rozkazy moich zwierzchników. Nigdy nie unikałem bezpośredniej walki. Z dumą służyłem mojej ojczyźnie w wojnie z Finlandią i Niemcami. Podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej brałem udział w czterech próbach przerwania blokady Leningradu. Dwa razy byłem ranny, drugi raz niemal śmiertelnie. Człowiek, który oskarżył mnie o szpiegostwo, nie żyje. Został zastrzelony przez nasze oddziały podczas próby ucieczki ze Związku Radzieckiego. Pozwólcie przypomnieć, że był szeregowcem Armii Czerwonej. Służył na tyłach w oddziałach zaopatrzenia. To jego próba ucieczki powinna zostać uznana za zdradę i dezercję. Gotowi jesteście uwierzyć słowom dezertera, a nie odznaczonego w boju oficera Armii Czerwonej?

– Nie mówcie mi, w co mam wierzyć, majorze Biełow – powiedział generał Mechlis.

– Nigdy bym się nie ośmielił, towarzyszu generale. Zadałem tylko pytanie – Aleksander urwał. Siedzący za stołem mężczyźni naradzali się przez chwilę, podczas gdy on wyglądał przez okno. Za oknami było świeże powietrze. Odetchnął głęboko. Od tak dawna nie wychodził na zewnątrz.

– Majorze Biełow, czy jesteście Aleksandrem Barringtonem, synem Jane i Harolda Barringtonów, którzy zostali straceni za zdradę w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym i trzydziestym siódmym roku?

Na dźwięk tego pytania Aleksander zamrugał jedynie powiekami.

– Nie, towarzyszu generale – powiedział.

– Czy jesteście Aleksandrem Barringtonem, który w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku wyskoczył z pociągu wiozącego go do obozu pracy i został uznany za zmarłego?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek słyszeliście o Aleksandrze Barringtonie?

– Tylko wtedy, gdy stawiano mi zarzuty.

– Czy jesteście świadomi, że wasza żona, Tatiana Mietanowa, również zniknęła i podejrzewa się, że uciekła z kraju z szeregowym Czernienką i doktorem Sayersem?

– Nie. Wiem tylko, że doktor Sayers nigdzie nie uciekał, a szeregowiec Czernienko został zastrzelony. Wiem też, że moja żona zaginęła. Przed swoją śmiercią towarzysz Słonko powiedział mi jednak – Aleksander zakaszlał głośno, by zwrócić większą uwagę na swoje słowa – że moja żona znajduje się w rękach NKWD, a raczej NKGB. Powiedział też, że podpisała zeznanie, w którym potwierdziła, że jestem człowiekiem, którego towarzysz Słonko szukał od tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku.

Generałowie wymienili pełne zaskoczenia spojrzenie.

– Nie mamy waszej żony – powiedział powoli Mechlis. – A towarzysz Słonko nie może się bronić. Czernienko zresztą też.

– Oczywiście. Ale ja mogę.

– Majorze Biełow, jak wytłumaczycie postępowanie waszej żony? Czy nie wydaje się wam dziwne, że uciekła i zostawiła was...

– Wybaczcie, że wam przerwę, towarzyszu generale. Moja żona nigdzie nie uciekała. Na prośbę doktora Sayersa przyjechała z nim do Morozowa. Zrobiła to za pozwoleniem administratora szpitala na Greckim. Pracowała pod jego kierownictwem.

– Sadzę, że nawet z jego pozwoleniem nie wolno jej było wyjeżdżać że Związku Radzieckiego – zauważył Mechlis.

– Nie jestem do końca przekonany, czy to zrobiła. Słyszałem wiele sprzecznych informacji na ten temat.

– Czy kontaktowała się z wami?

– Nie.

– Nie martwi to was?

Mrugnięcie.

– Nie, towarzyszu generale.

– Wasza ciężarna żona zniknęła, nie kontaktowała się z wami, a was to wcale nie martwi?

– Nie, towarzyszu generale.

– Wszyscy członkowie patrolu, którzy sprawdzali dokumenty pielęgniarki towarzyszącej doktorowi, zaprzeczają zdecydowanie, jakoby miała radziecki paszport. Nie mogą sobie co prawda przypomnieć jej nazwiska, ale są pewni, że miała dokumenty wystawione przez amerykański Czerwony Krzyż. Nie wróży to nic dobrego ani wam, ani waszej żonie.

Aleksander chciał zaznaczyć, że dla jego żony to bardzo dobra wróżba, ale nie sądził, by zostało to należycie odebrane.

– To nie moja żona stoi tu przed sądem, prawda? – spytał.

– Stanęłaby na pewno, gdyby tylko tutaj była.

– Ale nie stoi – powtórzył Aleksander. – Pytaliście mnie, czy jestem Aleksandrem Barringtonem, Amerykaninem, i zaprzeczyłem. Nie wiem, co poczynania mojej żony mają wspólnego z wysuniętymi przeciwko mnie zarzutami.

– Gdzie jest wasza żona?

– Nie wiem.

– Od jak dawna jesteście małżeństwem?

– W czerwcu minie rok.

– Mam nadzieję, majorze, że potraficie pilnować powierzonych wam ludzi lepiej niż własnej żony.

Mrugnięcie.

Generałowie patrzyli na Aleksandra. Stiepanow nie spuszczał z niego wzroku ani na chwilę.

– Majorze, pozwólcie, że was o coś spytam – powiedział Mechlis. – Dlaczego ktoś miałby was oskarżać, że jesteście Amerykaninem, jeśli to nie byłaby prawda? Informacje przekazane nam przez szeregowego Czernienkę były zbyt dokładne, by mógł je zmyślić.

– Nie twierdzę, że je zmyślił. Twierdzę tylko, że pomylił mnie z kimś innym.

– Z kim?

– Nie wiem.

– Ale dlaczego miałby wskazać właśnie was, majorze?

– Nie mam pojęcia, towarzyszu generale. W ciągu tych wszystkich lat przeżyliśmy z Dmitrijem Czernienką wiele trudnych chwil. Czasami myślałem, że mi zazdrości. Być może nie mógł pogodzić się z tym, że odniosłem w wojsku większe sukcesy od niego. Może chciał mnie zranić, stanąć mi na drodze. Mógł też darzyć nieodwzajemnionym uczuciem moją żonę. Jestem tego prawie pewny. W ciągu kilku ostatnich lat nasza przyjaźń nie była już taka jak kiedyś.

– Majorze, nadużywacie cierpliwości wysokiego dowództwa 67 Armii.

– Bardzo mi przykro. Ale mam tylko swoje zasługi i swoje dobre imię. Nie chcę, by jakiś tchórz robił z nich pośmiewisko.

– Majorze, wiecie, co się stanie, jeśli powiecie prawdę? Jeśli jesteście Aleksandrem Barringtonem, skontaktujemy się z odpowiednimi władzami w Stanach Zjednoczonych. Kto wie, może uda nam się z nimi dogadać i wyjedziecie do Ameryki.

Aleksander roześmiał się cicho.

– Towarzyszu generale, z całym szacunkiem, jestem oskarżony o zdradę i sabotaż. Jedyny wyjazd, jaki mnie czeka, to podróż na tamten świat.

– Mylicie się, majorze. Jesteśmy przecież rozsądnymi ludźmi.

– Jasne. Gdyby wystarczyło tylko powiedzieć, że jest się obywatelem Stanów Zjednoczonych, Anglii albo Francji, by natychmiast zostać przeniesionym do wybranego kraju, to co by nas wszystkich przed tym powstrzymywało?

– Matka Rosja! – powiedział Mechlis. – Lojalność i przywiązanie do ojczyzny.

– I właśnie to przywiązanie, towarzyszu generale, powstrzymuje mnie przed wyznaniem, że jestem Amerykaninem.

Mechlis zdjął okulary i obrzucił Aleksandra uważnym spojrzeniem.

– Podejdźcie bliżej, majorze Biełow. Chcę się wam dobrze przyjrzeć.

Aleksander zatrzymał się tuż przy krawędzi dużego stołu. Nie musiał się prostować, bo od początku stał prosty jak struna. Bez zmrużenia oka patrzył prosto w twarz Mechlisa. Generał odpowiedział mu równie poważnym spojrzeniem.

– Majorze – zaczął po chwili – zapytam was jeszcze raz, ale nie chcę, byście odpowiadali równie pospiesznie jak do tej pory. Dam wam trzydzieści minut, byście mogli się poważnie zastanowić nad swoją odpowiedzią. Wyprowadzą was na zewnątrz, a potem wrócicie tu i będziecie mogli udzielić odpowiedzi na moje pytania. A brzmią one następująco: Czy jesteście Aleksandrem Barringtonem, synem Jane i Harolda Barringtonów, którzy przyjechali tu ze Stanów Zjednoczonych? Czy w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku zostaliście aresztowani za zbrodnie przeciwko ojczyźnie i czy uciekliście z transportu wiozącego was do obozu we Władywostoku? Czy pod fałszywym nazwiskiem Aleksandra Biełowa wstąpiliście w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku do Armii Czerwonej z zamiarem infiltrowania kadry oficerskiej? Czy podczas wojny z Finlandią w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku próbowaliście uciec przez Karelię, a waszą ucieczkę udaremnił Dmitrij Czernienko? Czy podczas siedmioletniej służby w Armii

Czerwonej byliście podwójnym agentem? Nie, nie odpowiadajcie. Macie trzydzieści minut.

Wyprowadzono go z pokoju przed budynek. Nareszcie znalazł się na świeżym powietrzu. Usiadł na ławce, mając po bokach dwóch strażników. Czuł na twarzy powiewy ciepłego majowego wiatru. Uświadomił sobie, że niedługo skończy dwadzieścia cztery lata. Siedział w blasku słońca pod błękitnym niebem, wdychając delikatny zapach bzów, jaśminów i wody z jeziora.

Wybuch wojny, 1939

Jako żołnierz garnizonu leningradzkiego z kwaterą w koszarach Pułku Pawłowskiego – w których dawniej stacjonowała gwardia carska – Aleksander był odpowiedzialny za patrolowanie ulic, brzegów Newy i umocnień na granicy rosyjsko-fińskiej. W marcu tysiąc dziewięćset osiemnastego roku Włodzimierz Lenin poświęcił połowę Rosji – Karelię, Ukrainę, Polskę, Besarabię, Łotwę, Litwę i Estonię – by zapewnić przyszłość rodzącemu się państwu komunistycznemu. Karelia przypadła Finlandii.

Kiedy w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku Hitler i Stalin podzielili Polskę, Stalin otrzymał od Hitlera gwarancje, że jego „kampania" przeciwko Finlandii nie będzie postrzegana jako atak na Niemcy. W listopadzie tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku Stalin zaatakował Finlandię, by odzyskać Przesmyk Karelski. Bez względu na naciski dowództwa Aleksander uparcie odmawiał nazywania wojny z Finlandią kampanią. Słowo „kampania" oznaczało dla niego dwóch dorosłych mężczyzn podróżujących po kraju, ściskających dłonie wyborców, a potem głosowanie. Kiedy w grę wchodziły czołgi wjeżdżające na terytorium innego państwa, rakiety, karabiny, moździerze i ryzykujący życiem ludzie, kampania stawała się wojną.

Pierwsza bitwa Aleksandra rozegrała się na bagnach przepastnych lasów Karelii. Niestety Komkow nie mylił się co do Dmitrija. W czasie walki Dmitrij okazał się parszywym tchórzem, żałosną kreaturą, pełzającym draniem. Takie słowa wykrzyczał pod jego adresem Komkow, który przywiązał go do drzewa, by nie dopuścić do dezercji. Zastrzeliłby go z radością, lecz Aleksander powstrzymał go w ostatniej chwili i od tamtej pory gorąco tego żałował.

Nawet bez pomocy Dmitrija żołnierze radzieccy pokonali w końcu Finów. Po bitwie Aleksander policzył ciała fińskich żołnierzy. W lesie znajdowało się ich tylko dwudziestu. Teraz wszyscy już nie żyli, ale zwycięstwo kosztowało życie 155 żołnierzy Armii Czerwonej. Na Lisi Nos z Aleksandrem wróciło dwudziestu czterech. Dwudziestu czterech i Dmitrij. Komkow nie wrócił.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym roku Finowie wysyłali do południowej Karelii coraz więcej oddziałów. Odbili pas ziemi szerokości trzydziestu metrów i zdobyli następne dwadzieścia kilometrów, co kosztowało życie tysięcy żołnierzy radzieckich. Pod dowództwem Aleksandra znalazły się trzy plutony złożone z zupełnie obcych żołnierzy, a on sam otrzymał rozkaz wypchnięcia Finów z Przesmyku Karelskiego aż do Wyborga.

Zgodnie z planami Armii Czerwonej Wyborg musiał trafić do rąk radzieckich. Aleksander w pełni się z tym zgadzał, gdyż patrolując granicę właśnie w tym miejscu, znajdzie się zaledwie kilkaset kilometrów od Helsinek. Razem z Dmitrijem. Pomimo wszystko dotrzyma obietnicy złożonej Dmitrijowi. Czuł, że szansa ucieczki przybliża się coraz bardziej.

Podczas ostatnich dni tak zwanej kampanii, w marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku, Aleksander służył pod dowództwem majora Michaiła Stiepanowa, pełnego stoicyzmu oficera o nieprzeniknionym wyrazie oczu. Aleksander dostał moździerz i trzydziestu ludzi, w tym młodego syna majora, Jurija, by oczyścić obszar bagien w pobliżu Wyborga. Trzydzieści karabinów i trzy lekkie moździerze nie wystarczyły, by pokonać dobrze okopaną armię fińską. Pluton Aleksandra nie zdołał spenetrować linii

wroga, podobnie zresztą jak pięć innych, które przedzierały się w głąb lądu od Zatoki Fińskiej.

Kiedy Aleksander wrócił w końcu na Lisi Nos z zaledwie czteroma z trzydziestu ludzi, major Stiepanow spytał go o syna. Aleksander odparł, że nie wie, co się stało z Jurijem. Wiedział tylko, że jego towarzysz broni zginął. Zaproponował, że wróci na bagna sam i odnajdzie Jurija Stiepanowa. Major zgodził się od razu i kazał Aleksandrowi zabrać ze sobą jeszcze jednego człowieka.

Zabrał Dmitrija. Zabrał też dziesięć tysięcy dolarów. Wyruszyli na bagna, mając jedynie pieniądze, karabiny i granaty. Nie mieli za to najmniejszego zamiaru wracać do Związku Radzieckiego.

W lesie znaleźli Jurija Stiepanowa.

– Dima, on żyje! – wykrzyknął Aleksander, odwracając młodego żołnierza, który oddychał z wielkim trudem. Wsunął mu palce do ust i ucisnął język, by chłopak mógł złapać oddech. – On żyje – powtórzył, podnosząc wzrok na Dmitrija.

– Tak. Ale ledwo dycha – Dmitrij rozejrzał się dookoła. – No, szybciej, chodźmy. Nie mamy dużo czasu. Musimy ruszać. To idealny moment. Jest cicho.

Aleksander rozciął mundur Stiepanowa, by sprawdzić, gdzie został trafiony. Zobaczył zalaną krwią pierś. Krew była zakrzepła i brązowa. Nie wiedział, ile Jurij jej stracił. Jednak spoglądając na bladą twarz chłopaka, domyślił się, że sporo.

Mrucząc coś niewyraźnie, Jurij Stiepanow otworzył oczy i podniósł rękę, by dotknąć Aleksandra. Próbował coś powiedzieć, ale nie mógł.

– Aleksandrze! – wykrzyknął Dmitrij. – Chodźmy już.

– Dmitrij! – Aleksander nawet nie podniósł wzroku. – Przestań wrzeszczeć i pozwól mi się przez chwilę zastanowić. Tylko przez chwilę, dobrze?

Klęczał dalej przy boku Stiepanowa, słuchając chrapliwego oddechu chłopca i patrząc na jego poszarzałą twarz. Trzydzieści metrów dalej znajdowała się niestrzeżona przez nikogo granica fińska. Trzydzieści

metrów dalej rozciągały się niskie krzaki rosnące niedaleko wybrzeża zatoki. Trzydzieści metrów dalej był kraj jakże inny od Związku Radzieckiego. A kraj ten leżał nad morzem, które miało zaprowadzić Aleksandra do Sztokholmu, gdzie znajdował się budynek, w którym zamierzał błagać o wolność. A później... Aleksander widział przed oczami białe domy w Barrington, rosnące wśród klonów barwy cynobru. Poczuł w nozdrzach zapach swojego miasta. Odetchnął głęboko, aż poczuł ból w płucach. Ocali siebie, ocali Dmitrija, który pomógł mu spotkać się z ojcem, raz jeszcze będzie mógł oddychać powietrzem rodzinnego Barrington.

Spodziewał się, że przyjdzie mu walczyć, że będzie musiał marznąć, strzelać, cierpieć, płynąć, spać po kolana w błocie, umrzeć, jeśli będzie musiał, zabijać ludzi, którzy staną mu na drodze. Nie spodziewał się tylko tego – rannego syna i czekającego na niego ojca.

Odetchnął głęboko raz jeszcze. Nie poczuł już zapachu Barrington, lecz mdły zapach krzepnącej krwi, metalu i prochu. I słyszał tylko Jurija Stiepanowa walczącego o każdy oddech.

Zostawi tego młodego chłopca na pewną śmierć. Zostawi syna dowódcy? Kupi sobie wolność za cenę jego śmierci. Przeżegnał się. Bóg wystawia mnie na próbę, pomyślał. Chce sprawdzić, jakim jestem człowiekiem.

Aleksander ujął Stiepanowa pod ramiona i kolana, podniósł go z ziemi i przerzucił sobie przez ramię.

– Dima, muszę go zanieść z powrotem.

Dmitrij zbladł.

– Co takiego?

– Słyszałeś.

– Rozum ci, kurwa, odebrało? Nie możesz tam wrócić. Nigdy tam nie wrócimy.

– Ja wracam.

W cichym lesie rozległ się niemy krzyk Dmitrija. Kap, kap, trzask, szelest ptaków, kap, trzask, i niema wściekłość Dmitrija.

– Co ty wygadujesz? – syknął. – Nie wróciliśmy tu po niego. To była tylko przykrywka. Wróciliśmy, żeby iść dalej przed siebie.

– Wiem – odparł Aleksander. – Ale ja nie mogę. A ty?

– Oczywiście! – wykrzyknął Dmitrij. – To wojna, Aleksandrze. Co? Nagle zaczęło ci zależeć na każdym z tysięcy żołnierzy, którym pozwoliłeś zginąć pod swoim dowództwem?

– To nie ja pozwoliłem im zginąć.

– Idziemy naprzód – Dmitrij zacisnął zęby.

– W porządku – odparł Aleksander. – Skoro decydujesz się iść, dam ci połowę pieniędzy. Jakoś dotrzesz do Sztokholmu, a tam będziesz już wiedział, co robić. Bez trudu dotrzesz do Ameryki.

– O czym ty mówisz? Jaki ja? Chciałeś powiedzieć my.

– Nie, Dmitrij. Ja wracam z Jurijem. Ale ty nie musisz wracać ze mną.

– Nigdzie nie pójdę bez ciebie! – niemal wykrzyknął Dmitrij.

– Dobra. To wracajmy, póki on jeszcze żyje.

Dmitrij nie drgnął.

– Jeśli chcesz mi powiedzieć, że wracasz na Lisi Nos, będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobisz jako żołnierz radziecki.

Z przerzuconym przez ramię Stiepanowem Aleksander podszedł do Dmitrija i spytał przez zaciśnięte zęby:

– Czy ty mi grozisz, Dmitrij?

– Tak.

Aleksander cofnął się o krok i spojrzał na Dmitrija z posępną rezygnacją.

– Powiem ci coś. Idź i rób, co chcesz. Donieś na mnie, proszę bardzo. Będę dumny, że ostatnią rzeczą, jaką zrobiłem, było ocalenie życia rannemu żołnierzowi.

– Kurwa mać!

– Będziemy mieli jeszcze jedną szansę. Spójrz tylko, co znaleźliśmy w tych lasach. Na pewno jeszcze tu wrócimy. To nasza pierwsza szansa, ale na pewno nie ostatnia. Wrócimy tutaj i uciekniemy. Jeśli doniesiesz na mnie do NKWD, to sam nigdy nie uciekniesz ze Związku Radzieckiego.

Zgnijesz tutaj. Ja będę już martwy, ale ty będziesz gnił do końca życia – Aleksander urwał. – Zważ na moje słowa, Europa wypowie wojnę Hitlerowi. Będziemy mieli jeszcze jedną szansę, ale tylko wtedy, jeśli ja zostanę przy życiu. No, co teraz zrobisz? Powiedziałeś mi kiedyś, że nie masz dość odwagi, by uciec samemu. Jeśli chcesz stąd zniknąć, to trzymaj gębę na kłódkę, dopóki nie nadarzy się następna okazja, żebym mógł nas stąd wydostać. – Kolejna przerwa. – Nie bądź dupkiem. Pozwól mi zanieść tego chłopaka do ojca.

– Nie!

– No to rób, kurwa, co chcesz – Aleksander skończył swoją przemowę. Nie czekając na Dmitrija, odwrócił się i zaczął iść przed siebie. Za sobą usłyszał ciężkie kroki przyjaciela. Dmitrij był tchórzem i jako tchórz potrafił prawdopodobnie strzelić komuś w plecy. Ale z pewnością nie człowiekowi, który obiecał mu, że któregoś dnia na tych plecach go poniesie.

Wrócili do bazy po paru godzinach wędrówki przez bagna. Kiedy zjawili się w obozie, było już niemal ciemno, lecz Aleksander dostrzegł przy linii sosen Michaiła Stiepanowa. Razem z jednym z enkawudzistów wypatrywał ich wśród drzew.

Na drżących nogach podszedł do Aleksandra i niemal bez tchu spytał:

– Żyje?

– Tak – odparł. – Ale potrzebuje lekarza.

Michaił Stiepanow wziął syna w ramiona i zaniósł do namiotu medycznego, gdzie położył go na wolnym łóżku. Siedział przy nim w milczeniu, gdy Jurijowi robiono transfuzję, podano morfinę, a nawet sulfamidy. Razem z Aleksandrem umył syna. Lekarz zaszył trzy rany w piersi chłopca. Jurij leżał jednak w lesie zbyt długo z odłamkami w piersiach. W rany wdała się infekcja.

Aleksander poszedł coś zjeść i zapalić papierosa, a potem wrócił do namiotu i usiadł obok Stiepanowa. Jurij na chwilę odzyskał przytomność i słabym głosem rozmawiał z ojcem.

– Tato, czy ja wyzdrowieję? – spytał.

– Tak, synu – odparł Stiepanow, trzymając go za rękę.

– Miałem szczęście. Mogło być o wiele gorzej – spojrzał na Aleksandra. – Prawda, poruczniku?

– Tak – odparł Aleksander.

– Mama będzie ze mnie dumna – powiedział Jurij. – Czy będę znów walczył? A może porucznik da mi parę dni urlopu, żebym mógł się z nią zobaczyć?

– Ile tylko będziesz chciał – powiedział Aleksander. Nagle zauważył wyraz bólu na twarzy Stiepanowa. Milczał przez chwilę. – Gdzie jest jego matka? – spytał cicho.

– Nie żyje od 1930 roku – odparł Stiepanow.

– Tato?

– Tak?

– Czy ty jesteś ze mnie dumny?

– Bardzo, synu.

Przez kilka godzin siedzieli przy Juriju pogrążeni we własnych myślach. Słuchali jego ciężkiego oddechu, patrzyli, jak wolno mruga oczami.

A potem oddech przestał już być ciężki, oczy znieruchomiały. Major Stiepanow opuścił głowę i zapłakał. Aleksander, nie mogąc tego znieść, wyszedł z namiotu.

Kiedy zjawił się Stiepanow, stał oparty plecami o ciężarówkę i palił papierosa.

– Bardzo mi przykro, towarzyszu majorze – powiedział.

Stiepanow wyciągnął rękę.

– Jesteście dobrym żołnierzem, poruczniku Biełow – powiedział zduszonym głosem. – Służę w Armii Czerwonej od tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku i mogę wam to z czystym sercem powiedzieć. Jesteście dobrym żołnierzem. Wasza odwaga, odmowa wycofania się i pozostawienia rannych na polu bitwy, skąd to się bierze? Nie mówcie, że wam przykro. Zrobiliście co w waszej mocy i to wystarczy. Dzięki wam mogłem się pożegnać z jedynym synem. Dzięki wam zostanie

pochowany. Będzie mógł spoczywać w pokoju. I ja też znajdę spokój – Stiepanow nie puszczał ręki Aleksandra.

– To nic takiego, towarzyszu majorze – odparł Aleksander, opuszczając głowę.

Wojna z Finlandią skończyła się parę dni później, trzynastego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku.

Armia radziecka nigdy nie odzyskała Wyborga.

Przed generałem Mechlisem, 1943

Postawiono mu pytanie, kim jest. Czas minął. Już wiedział. Kiedy wstawał z ławki, przypomniał sobie jeszcze jedna zwrotkę wiersza Kiplinga *Jeśli*. Usłyszał niemal głos ojca, gdy recytował:

Gdy w jedną stertę swe ordery zrzucisz
Stawiając je w ruletce swoich słów
I przegrasz – gdy dasz radę znów wrócić
I bez szemrania wszystko zaczniesz znów[3]

Wezwali go, a kiedy prowadzono go z powrotem przed trybunał, był niemal radosny.

– Majorze, zastanowiliście się nad odpowiedzią?

– Tak jest, towarzyszu generale.

– I jak ona brzmi?

– Jestem Aleksandrem Biełowem z Krasnodaru, majorem Armii Czerwonej.

– Czy jesteście Amerykaninem o nazwisku Aleksander Barrington?

– Nie.

W pokoju zapadła cisza. Za oknami lśnił słońcem majowy dzień. Aleksander marzył o tym, by znów wyjść na zewnątrz. Przed sobą widział

poważne, zacięte twarze. Jego twarz też przybrała podobny wyraz. Jeden z generałów uderzał ołówkiem o blat stołu. Stiepanow przypatrywał mu się dyskretnie, a kiedy ich oczy spotkały się, skinął lekko głową.

Wreszcie odezwał się generał Mechlis.

– Bałem się, że usłyszymy taką właśnie odpowiedź, majorze. Gdybyście potwierdzili stawiane wam zarzuty, moglibyśmy porozmawiać z amerykańskim Departamentem Stanu. A teraz musimy odpowiedzieć na pytanie, co z wami zrobić. Decyzja co do waszego dalszego losu spoczywa wyłącznie w moich rękach. Kiedy czekaliście na zewnątrz, naradzałem się z towarzyszami. Stoimy przed bardzo trudną decyzją. Nawet jeśli mówicie prawdę, to postawione wam zarzuty spoczywają na waszych ramionach razem z oficerskimi szlifami i będą za wami szły krok w krok przez całą służbę w armii. Plotki, podejrzenia, niedomówienia nie będą miały końca. A to utrudni wam wypełnianie obowiązków oficera. Nam też będzie trudno bronić was przed kolejnymi fałszywymi oskarżeniami, przed ludźmi, którzy będą się bali walczyć pod waszym dowództwem.

– Przyzwyczaiłem się już do trudnych sytuacji, towarzyszu generale.

– Tak, ale nie są nam zupełnie potrzebne – Mechlis podniósł rękę. – I nie przerywajcie mi, majorze. Jeśli jednak kłamiecie, wszystko pozostaje takie samo, z tym wyjątkiem, że my jako przedstawiciele naszego rządu i narodu popełniliśmy straszliwy błąd, a kiedy prawda wyjdzie na jaw, my wyjdziemy na głupców. A wiecie, że prawda ma taką paskudną cechę, że w końcu zawsze wychodzi na jaw. Rozumiecie teraz, że bez względu na to, czy kłamiecie, czy mówicie prawdę, jesteście dla nas spaleni?

– Mogę wtrącić słówko, towarzyszu generale? – przerwał mu Stiepanow. – Toczymy straszliwą wojnę, w której tracimy ludzi szybciej, niż jesteśmy w stanie powoływać ich do wojska, tracimy broń szybciej, niż możemy ją wyprodukować, i tracimy oficerów szybciej, niż możemy ich wyszkolić. Major Biełow jest wyjątkowym żołnierzem. Z pewnością możemy znaleźć dla niego coś, co robiłby z pożytkiem dla Armii Czerwonej? – kiedy nie napotkał sprzeciwu, ciągnął dalej. – Możemy go wysłać do Swierdłowska, żeby pracował tam przy produkcji czołgów i dział. Możemy też wysłać go

do Władywostoku, by wydobywał rudę żelaza, albo na Kołymę lub do Perm-35. W każdym z tych miejsc może pozostać użytecznym członkiem społeczeństwa.

Mechlis prychnął z pogardą.

– Mamy mnóstwo innych ludzi, którzy mogą wydobywać rudę żelaza. I dlaczego mielibyśmy marnować majora Armii Czerwonej przy produkcji dział?

Aleksander niemal niezauważalnie pokręcił głową ze zdumienia. Dobra robota, pułkowniku Stiepanow, pomyślał. Za chwilę będą mnie błagać, żebym pozostał w armii, a jeszcze przed chwilą byli gotowi rozstrzelać mnie na miejscu.

– Biełow nie jest już majorem – ciągnął dalej w imieniu Aleksandra Stiepanow. – Po aresztowaniu pozbawiono go stopnia. Nie widzę żadnych przeszkód, żeby wysłać go na Kołymę.

– To dlaczego nadal zwracamy się do niego majorze? – prychnął Mechlis.

– Bo jest nim nawet wtedy, gdy zerwano mu z ramion dystynkcje. Od siedmiu lat jest oficerem i dowódcą. Dowodził ludźmi w czasie wojny z Finlandią, osłaniał Drogę Życia i razem ze swoimi żołnierzami wziął latem udział w czterech kampaniach nad Newą, próbując przełamać blokadę.

– Przypominano nam o jego zasługach już kilka razy, towarzyszu pułkowniku – powiedział Mechlis, pocierając czoło. – Teraz musimy zadecydować, jak się go pozbyć.

– Proponuję wysłanie do Swierdłowska – powiedział Stiepanow.

– Nie możemy tego zrobić.

– To przywróćmy mu stopień i funkcję.

– Tego też nie możemy zrobić.

Mechlis milczał przez chwilę, zastanawiając się nad najlepszym wyjściem z tej sytuacji. Po chwili westchnął ciężko.

– Majorze Biełow – zaczął – niedaleko Wołchowa, w dolinie pomiędzy jeziorem Ładoga i wzgórzami koło Siniawina ciągnie się linia kolejowa,

którą Niemcy ostrzeliwują kilka razy dziennie ze swoich pozycji na wzgórzach. Wiecie, o czym mówię?

– Jak najbardziej, towarzyszu generale. Moja żona pracowała przy budowie tej kolei po przerwaniu blokady Leningradu.

– Nie wspominajcie o swojej żonie, majorze, to drażliwy punkt. Ta linia jest dla nas niezwykle ważna. Dostarczamy tą drogą żywność i paliwo do Leningradu. Postanowiłem wcielić was do batalionu karnego, którego zadaniem jest odbudowa linii kolejowej na odcinku długości dziesięciu kilometrów pomiędzy Siniawinem i jeziorem Ładoga. Wiecie, czym jest batalion karny?

Aleksander milczał. Wiedział. W armii były tysiące ludzi wysyłanych do szturmowania mostów bez żadnej osłony, do forsowania rzek, budowania linii kolejowych pod ostrzałem wroga, do ruszania do ataku bez wsparcia artylerii, bez czołgów i karabinów dla każdego żołnierza. W batalionach karnych karabin dostawał co drugi. Kiedy walczący obok ciebie żołnierz padał, brałeś jego karabin, chyba że to ty padłeś pierwszy. Bataliony karne były radzieckimi żywymi tarczami, stanowiącymi osłonę przed niemieckim ostrzałem.

– Chcecie coś dodać, majorze? – spytał Mechlis po chwili milczenia. – I jeszcze jedno. Zostaliście oficjalnie pozbawieni stopnia.

– Rozumiem. Zostałem wcielony do batalionu karnego jako zwykły żołnierz, nie dowódca.

– Nie. Będziecie dowodzić powierzonymi wam ludźmi.

– W takim przypadku muszę zachować stopień.

– Nie ma mowy.

– Towarzyszu generale, z całym szacunkiem, nie mogę dowodzić stadem wiewiórek, nie wspominając już o twardych, nieznających strachu żołnierzach batalionu karnego, którzy co dnia zaglądają śmierci w oczy, bez władzy powierzonej mi przez Armię Czerwoną. Jeśli chcecie, bym pozostał dowódcą, musicie uzbroić mnie w odpowiednie do tego narzędzia. W innym przypadku Armia Czerwona nie będzie miała ze mnie żadnego pożytku. Żołnierze nie wypełnią ani jednego mojego rozkazu,

linia kolejowa nie zostanie zbudowana, a ludzie z oddziałów zaopatrzenia będą ginąć jak muchy. Nie możecie mnie prosić, żebym pozostał w armii…

– Ja was nie proszę, ja wam rozkazuję.

– Towarzyszu generale, bez stopnia nie będę już oficerem, a to jedyna rzecz, jaką potrafię robić. Wcielcie mnie do batalionu karnego, ale nie każcie mi nim dowodzić. Będę sierżantem, kapralem, co tylko mi każecie. Ale jeśli chcecie mieć ze mnie pożytek, muszę zachować stopień – Aleksander nie mrugnął nawet okiem, gdy ciągnął dalej. – Jako generał rozumiecie to lepiej niż ktokolwiek inny. Zapomnieliście już o generale Mierieckowie? Siedział w lochach w Moskwie, czekając na egzekucję. Wysokie dowództwo postanowiło, że zamiast zginąć, będzie dowodził frontem w Wołchowie. Awansowano go na generała i oddano mu całą armię, nie tylko dywizję. Jak by sobie poradził z dowodzeniem, gdyby pozostał zwykłym chłopem, którym przecież był? Ilu ludzi zdołałby wysłać na pewną śmierć, gdyby był zwykłym kapralem, a nie generałem? Chcecie wyrzucić Niemców ze wzgórz Siniawina? Zrobię to dla was. Ale muszę zachować stopień.

Mechlis patrzył na Aleksandra, a w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

– Mam już was dość, majorze Biełow. Za godzinę zostaniecie wysłani do Siniawina. Strażnik odprowadzi was do celi. Zabierzecie swoje rzeczy. Zostaniecie zdegradowani, ale pozwalam wam zachować stopień kapitana. To wszystko. Gdzie są wasze medale?

Czując wielką ulgę, Aleksander chciał się uśmiechnąć, ale nie zrobił tego.

– Zabrano mi je przed przesłuchaniem. Nie mam też medalu Bohatera Związku Radzieckiego.

– Wielka szkoda – odparł Mechlis.

– Tak jest, towarzyszu generale. Będę potrzebował nowej bielizny i broni. Przyda mi się też nowy nóż i namiot. Nowy sprzęt, towarzyszu generale. Stary gdzieś zniknął.

– Musicie go lepiej pilnować, majorze Biełow.

Aleksander zasalutował.

– Będę o tym pamiętał. I jeszcze jedno: od teraz jestem kapitanem Biełowem, towarzyszu generale.

---

3 Tłum. Michał Kuźmiński.

Rozdział piętnasty

Spotkanie z Uspieńskim, 1943

Aleksandra przewieziono pod eskortą na tyły frontu, gdzie dostał potrzebny sprzęt i ubranie, po czym wrócił ciężarówką do koszar, w których stacjonował batalion karny. W jego skład wchodziły setki żołnierzy, którzy byli albo przestępcami, albo więźniami politycznymi, którym jakoś udało się przeżyć. Kiedy przyjechał, odpoczywali, palili, grali w karty. Trzech z nich wdało się w ostrą bójkę, którą Aleksander przerwał. Jednym z walczących był Mikołaj Uspieński.

– Och nie, tylko nie wy! – zawołał.

– Co wy tu, do diabła, robicie, żołnierzu? – spytał Aleksander, ściskając mu dłoń. – Macie przecież tylko jedno płuco.

– A co wy tutaj robicie? Byłem przekonany, że nie ma was już wśród żywych – odparł radośnie Uspieński. – Myślałem, że was rozstrzelali. Po przesłuchaniu, któremu mnie przez was poddano, pomyślałem, że z was nic nie zostało.

Aleksander poczęstował Mikołaja papierosem i odciągnął go na bok.

– Jaki tu macie stopień? Nadal jesteście kapralem?

– Nadal jestem porucznikiem – rzucił ze złością Uspieński, po czym dodał już ciszej – ale zdegradowano mnie do stopnia podporucznika.

– Dobrze. Jestem waszym nowym dowódcą. Wybierzcie dwudziestu ludzi i zabierzcie ich do układania torów. I zróbcie dla mnie jeszcze jedno. Przestańcie się bić z waszymi podwładnymi. To obniża wasz autorytet.

– Dzięki za radę.

– Wybierzcie ludzi. Kto wami dowodził przede mną?

– Żartujecie chyba. Nikt. W ciągu dwóch ostatnich tygodni zginęło dwóch kapitanów. Potem zaczęli wysyłać na tory majorów. Dwóch poległo. No i nie ma już nikogo. Do tych idiotów nie dotarło, że skoro Niemcy widzą dokładnie linię kolejową, którą stale ostrzeliwują, to widzą też ludzi, którzy ją naprawiają. Dziś rano straciliśmy pięciu ludzi, zanim zdążyliśmy położyć choć milimetr szyn.

– Zobaczymy, jak nam się powiedzie pod osłoną nocy.

Nie było wcale lepiej. Z Uspieńskim wyruszyło dwudziestu ludzi, wróciło trzynastu, w tym Uspieński. Z tych trzynastu trzech odniosło poważne rany, dwóch powierzchowne, a jeden stracił wzrok.

Ślepy żołnierz uciekł w nocy. Nad jeziorem Ładoga zatrzymało go NKGB i rozstrzelało na miejscu.

Obóz armii pomiędzy Siniawinem i jeziorem Ładoga rozłożono na płaskim, podmokłym terenie. Dla pułkowników i generałów brygady wzniesiono namioty i drewniane baraki. Stacjonowały tutaj dwa bataliony, składające się z sześciu kompanii, osiemnastu plutonów i pięćdziesięciu czterech oddziałów, w sumie 432 żołnierzy. Z braku innych dowódców Aleksandrowi powierzono cały batalion. Teraz mógł wysłać na śmierć 216 ludzi.

Nigdzie nie było widać Stiepanowa. Aleksander nie widział go od czasu przesłuchania przed trybunałem. Musiał wrócić do Morozowa lub garnizonu w Leningradzie. Aleksander miał przynajmniej taką nadzieję.

Spotkanie z Daszą Mietanową, 1941

Jak zwykle w Sadko, Aleksander stał przy barze. Wolał chodzić do klubu oficerskiego; w gronie zwykłych żołnierzy czuł się nieswojo. Dzieląca ich przepaść była już zbyt głęboka.

W ten czerwcowy sobotni wieczór rozmawiał właśnie z Dmitrijem, gdy obok nich stanęły dwie dziewczyny. Obrzucił je przelotnym spojrzeniem. Kiedy spojrzał po raz drugi, dostrzegł, że jedna z nich przygląda mu się

z nieskrywanym zainteresowaniem. Uśmiechnął się uprzejmie. Dmitrij odwrócił głowę, oszacował dziewczyny spojrzeniem, uniósł w górę brwi i odsunął się trochę, by znalazły się dokładnie naprzeciwko nich.

– Możemy wam postawić piwo? – spytał.

– Jasne – odparła wyższa, ciemnowłosa. To ona przyglądała się Aleksandrowi. Dmitrij prowadził ożywioną rozmowę z niższą, mniej atrakcyjną. W barze trudno było rozmawiać. Aleksander spytał brunetkę, czy ma ochotę na spacer. Uśmiechnęła się.

– Owszem.

Wyszli w ciepłą, szarą noc. Było tuż po północy, ale ciemności jeszcze nie zapadły. Dziewczyna najpierw nuciła coś pod nosem, a potem wzięła go za rękę i roześmiała się głośno.

– Będę musiała się domyślić czy powiesz mi, jak masz na imię?

– Aleksander – odparł. Nie spytał o jej imię, bo miał kłopoty z ich zapamiętywaniem.

– Nie zapytasz, jak ja mam na imię?

Uśmiechnął się.

– Na pewno chcesz, żebym je poznał?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Czy chcę, żebyś wiedział, jak mam na imię? To do tego zniżyli się żołnierze? Nie pytacie nawet dziewcząt, jak mają na imię?

– Posłuchaj. – Aleksander poklepał ją lekko. – Nie wiem, do czego zniżyli się inni żołnierze. Wiem tylko, że ja nie mam pamięci do imion.

– Może po dzisiejszej nocy mojego nigdy nie zapomnisz. – Uśmiechnęła się znacząco.

Potrząsając lekko głową, Aleksander pomyślał, że będzie musiała dokonać czegoś naprawdę niezwykłego, by zapamiętał jej imię.

– No, dobra. Jak masz na imię?

– Daria. Ale wszyscy nazywają mnie Dasza.

– Dobrze, Dario-Daszo. Chcesz mnie gdzieś zabrać? Czy ktoś jest w domu?

– Ktoś? Skąd ty się wziąłeś? Oczywiście, że jest. Nie jestem sama nawet na sekundę. W domu są wszyscy: mama, tata, babcia, dziadek, brat. A z siostrą śpię w jednym łóżku. – Uniosła w górę brwi i roześmiała się. – Chyba nawet oficer nie podołałby dwóm siostrom naraz.

– To zależy – odparł Aleksander, obejmując ją ramieniem. – Jak wygląda twoja siostra?

– Na oko dałbyś jej dwanaście lat. A ty możesz mnie gdzieś zabrać?

Aleksander zabrał ją do koszar. Tej nocy przypadała jego kolejka.

Dasza spytała, czy ma się rozebrać.

– Nie chcę, żeby ktoś nas przyłapał.

– To są koszary, a nie Hotel Europejski. Możesz się rozebrać, ale na własne ryzyko.

– A ty się rozbierzesz?

– Mnie już wszyscy widzieli – odparł Aleksander.

Rozebrali się oboje.

Było mu z nią dobrze, jak z wieloma innymi dziewczętami. Miała typowe dla Rosjanek ciało – szerokie biodra, duże piersi – które doprowadzało mężczyzn takich jak Grinkow do szaleństwa. Aleksandrowi spodobał się jej przyjazny, swobodny sposób bycia, czuł się tak, jakby znał ją już od jakiegoś czasu. Poza tym jej reakcja na jego poczynania znacznie wykraczała poza przeciętną.

– Aleksandrze – jęknęła – skąd ty się taki wziąłeś?

– Skąd się wziąłem? – oparł się na łokciu, by spojrzeć na jej twarz.

– Tak. Bardzo podoba mi się to, co robisz.

– Hmmm. Dziękuję.

Mieli dla siebie jeszcze godzinę, nim do koszar wrócił Grinkow z dziewczyną i za nic nie przyjmował do wiadomości, że tego wieczoru nie przypada jego kolejka.

Kiedy się ubrali, Aleksander odprowadził Daszę do wartowni.

– Powiedz mi, proszę, będziesz pamiętał, jak mam na imię, gdy przyjdę w przyszłym tygodniu?

– Jasne… Dasza, tak? – Uśmiechnął się.

Tydzień później zjawiła się znów ze swoją przyjaciółką. Niestety, Dmitrij wyszedł już z inną, a Dasza nie chciała zostawić przyjaciółki samej. Spacerowali więc we trójkę Newskim Prospektem. Kiedy przyjaciółka postanowiła wrócić autobusem do domu, Aleksander zabrał Daszę do koszar. Tej nocy nie przypadała jego kolejka i kwatera była pełna.

– Możesz wybierać – powiedział. – Albo wrócisz do domu, albo wejdziesz do środka i nie będziesz zwracać uwagi na innych żołnierzy.

Dasza spojrzała na niego. Nie potrafił odczytać, co kryje się w jej oczach.

– Dobra, czemu nie? – powiedziała w końcu. – Moi rodzice nie przejmowali się dziećmi, kiedy udawaliśmy, że śpimy. Czy oni śpią?

– Ani o tym myślą – odparł Aleksander.

– Och. To coś nowego.

Aleksander skinął głową.

– Chcesz, żebym odprowadził cię do domu?

– Nie, już dobrze. – Przytuliła się do niego. – W zeszłym tygodniu było mi bardzo dobrze.

– Mnie też – odparł. – Chodźmy do Ogrodów Admiralicji.

Kiedy spotkali się po raz trzeci w sobotni wieczór, znaleźli ustronne miejsce nad brzegiem Kanału Obwodowego, gdzie zacumowano łodzie. Miejsce było odludne, Dasza potrafiła być cicho, a Aleksander nauczył się już dawno, jak nie wydawać żadnego dźwięku. Nie było miejsca, by Dasza mogła się położyć, lecz Aleksander mógł wygodnie usiąść.

– Aleks… mogę tak do ciebie mówić? – spytała.

– Nie.

– Aleks, opowiedz mi coś o sobie. – Uśmiechnęła się. – Jesteś bardzo interesującym mężczyzną.

Wreszcie skończyli i miał nadzieję, że uda mu się szybko wrócić do koszar. Chciał się wyspać. Niedzielny poranek zaczynał się punktualnie o siódmej, bez względu na to, jak długo Aleksander zabawiał się z dziewczętami.

– Dlaczego ty nie opowiesz mi czegoś o sobie?

– A co chcesz wiedzieć?

– Miałaś wielu żołnierzy przede mną?

– Nie. Aleksandrze, na pewno nie chcesz poruszać tego tematu. Bo wtedy ja będę ci musiała zadać pewne pytanie.

– Pytaj.

– Miałeś wiele kobiet przede mną?

Uśmiechnął się.

– Nie.

Roześmiała się. Zawtórował jej.

– Powiem ci coś, Aleks. Od kiedy cię poznałam trzy tygodnie temu, nie mogę przestać o tobie myśleć.

– Naprawdę?

– Naprawdę. I od tamtej pory nie byłam z żadnym innym mężczyzną. – Urwała. – Możesz powiedzieć to samo?

– Oczywiście. Ja też nie byłem z żadnym innym mężczyzną.

Uszczypnęła go lekko.

– Przestań. Masz czas na więcej?

– Nie. – Nie chciał jej powiedzieć, że nie ma już prezerwatyw. – Przyjdź w przyszłym tygodniu. Będę miał więcej czasu.

– No, chodź – powiedziała uwodzicielskim tonem, obejmując go. – Obiecuję, że to nie potrwa długo.

– Nie, Dasza. Za tydzień.

Kiedy wrócił do koszar, spotkał na korytarzu dziewczynę, z którą był w maju. Była sympatyczna, śliczna i pijana, i nie chciała wyjść, dopóki Aleksander nie rozepnie spodni. Rozpiął.

Tydzień płynął powoli. Aleksander stał na warcie, co oznaczało szybkie numerki z dziewczętami, które przyprowadzał dla nich Dmitrij. Kiedy nadeszła sobota, poszedł do Sadko, gdzie przyglądał się przelotnie dziewczynom, nie okazując im specjalnego zainteresowania, ale skoro była sobota wieczór… Spotkał jedną, której nie widział od dawna. Wypił z nią kilka kieliszków wódki, po czym wyszli w alejkę za Sadko, gdzie przycisnął ją do ściany. Kiedy spytała:

– Nie wyjmiesz nawet papierosa? – z zaskoczeniem zauważył, że nadal ma go w ustach. Odesłał dziewczynę do domu, a sam wrócił do Sadko.

Nagle poczuł, że ktoś podchodzi od tyłu i zasłania mu oczy.

– Zgadnij kto? – usłyszał.

Kiedy się odwrócił, zobaczył przed sobą Daszę. Uśmiechnął się. Tym razem przyszła sama.

On był już zmęczony, ale dla Daszy wieczór dopiero się zaczynał. Doszedł więc do wniosku, że powinien jej postawić kilka piw i porozmawiać. Wypalili kilka papierosów, trochę pożartowali, a na koniec Dasza wyciągnęła go z baru.

– Dasza, robi się późno – powiedział. – Muszę jutro wstać o siódmej.

– Wiem – odparła, głaszcząc go po ramieniu. – Zawsze się spieszysz. Zawsze gdzieś pędzisz. Dokąd tak gnasz, Aleks?

Westchnął ciężko i spojrzał na nią z lekkim rozbawieniem.

– Co proponujesz?

– Nie wiem. – Uśmiechnęła się. – Tam gdzie w zeszłym tygodniu?

Próbował sobie przypomnieć. Z jakiegoś powodu cały miniony tydzień zamazał mu się z pamięci. Wiedział, że jeśli nie zdoła sobie przypomnieć, Dasza będzie zła. Starał się więc, ale między obecnym a ostatnim tygodniem… próbował się skoncentrować. Wiele mówiono o zbliżającej się nieuchronnie wojnie.

– Nie pamiętasz? Nad brzegiem kanału?

Nareszcie sobie przypomniał. W zeszłym tygodniu zabrał ją nad kanał.

– Chcesz tam iść jeszcze raz?

– Bardzo.

– No to chodźmy.

Kiedy skończyli, była prawie pierwsza.

– Aleksandrze – powiedziała, siedząc na nim i dysząc ciężko – muszę powiedzieć, że jesteś bardzo wyczerpującym kochankiem… i nie mówię tego ot tak sobie.

– Dziękuję.

– A tobie jest ze mną dobrze?

– Oczywiście.

– Nie lubisz zbyt wiele mówić, prawda?

– A o czym chcesz porozmawiać?

Roześmiała się.

– Uważasz, że robiąc to, mówimy sobie wszystko?

– Mówimy wszystko, co jest do powiedzenia.

– Chcesz się ze mną spotkać za tydzień?

– Jasne.

– Masz wolny dzień? Może wpadłbyś do nas na obiad? Mieszkam tu niedaleko. Na Piątej Radzieckiej. Będziesz mógł poznać moją rodzinę.

– Nie mam zbyt wiele wolnych dni.

– To może w poniedziałek albo we wtorek?

– W tym tygodniu?

– Tak.

– Zobaczę. Nie, poczekaj, muszę... może za tydzień lub dwa.

– Nie możemy się tak dalej spotykać.

– Nie?

– No cóż, może i tak. – Uśmiechnęła się promiennie. – A gdybyśmy gdzieś razem pojechali?

– A gdzie chciałabyś pojechać?

– Sama nie wiem. W jakieś ładne miejsce. Może do Carskiego Sioła albo do Peterhofu?

– Może – rzucił niezobowiązująco, zdejmując ją z siebie. Wstał i przeciągnął się. – Robi się późno, Dasza. Muszę iść.

Wrócił do koszar, gdzie przez kilka minut siedział jeszcze z trzymającym wartę sierżantem Iwanem Pietrenką. Wypili razem wódkę i wypalili papierosa.

– Sądzicie, że te pogłoski są prawdziwe, poruczniku? Myślicie, że będziemy walczyć z Hitlerem?

– To chyba nieuniknione, sierżancie.

– Ale jak to możliwe? To tak jakby Anglia zaczęła wojować z Francją. Niemcy i Związek Radziecki są sojusznikami od blisko dwóch lat.

Podpisaliśmy przecież pakt.

– I jak starzy przyjaciele podzieliliśmy między siebie Polskę. – Aleksander się uśmiechnął. – Ufacie Hitlerowi, Pietrenko?

– Nie wiem. Ale chyba nie będzie na tyle głupi, by na nas napadać.

– Miejmy nadzieję, że się nie mylicie. – Aleksander zgasił papierosa. – Dobranoc.

Marzył tylko o tym, żeby się położyć. Czy prosił o zbyt wiele? Marazow i Grinkow leżeli na pryczach z kobietami, zakrytymi prześcieradłami aż po czubek włosów. Wspinając się na swoją pryczę, Aleksander odwrócił wzrok, po czym przykrył głowę poduszką i zamknął oczy.

– Aleksandrze – usłyszał nagle pełen napięcia kobiecy głos. – Ty draniu.

Wzdychając ciężko, podniósł poduszkę i otworzył oczy. Przed jego pryczą stała dziewczyna, która dopiero co wyskoczyła z łóżka Grinkowa. Aleksander usłyszał zduszony chichot kolegi.

– Co takiego zrobiłem? – spytał znużonym głosem. Poznał od razu jej lekko opuchniętą, bardzo pijaną twarz.

– Nie pamiętasz? W zeszłym tygodniu powiedziałeś mi, żebym tu dzisiaj przyszła. Czekałam na ciebie przez trzy godziny przy tej cholernej bramie! Wreszcie poddałam się, poszłam do Sadko i co tam zobaczyłam? Jak zabawiasz się z dziewczyną, która na pewno nie była mną!

Aleksander nie miał ochoty wstawać, ale czuł, że lada chwila dostanie w twarz, a nie chciał, by stało się to w czasie, gdy leży wyciągnięty na pryczy.

– Bardzo mi przykro – powiedział. Usiadł na pryczy z nogami dyndającymi w powietrzu. Ledwo ją pamiętał. – Nie chciałem cię zdenerwować.

– Nie?! – krzyknęła głośno. Grinkow śmiał się w poduszkę. Marazow ze swoją dziewczyną, bardzo zajęci sobą, w ogóle nie zwracali na nich uwagi. Aleksandra też to wszystko niewiele obchodziło.

Nie mógł sobie nawet przypomnieć jej imienia. Chciał powiedzieć, by sobie poszła, ale bał się jeszcze bardziej pogrążać ją w obecności kolegów. Zeskoczył z pryczy. Gdy tylko wylądował na ziemi, dziewczyna zacisnęła

pięść i zamierzyła się na niego. Chwycił ją za nadgarstek, odepchnął i pokręcił głową.

– Nie jestem w nastroju.

– Wszyscy jesteście tacy sami, prawda? – syknęła dziewczyna. – Nienawidzicie kobiet i gówno was obchodzimy. Jesteście zgrają dziwkarzy i tyle.

– Wcale tak nie jest – odparł Aleksander. – Ja z pewnością nie czuję do kobiet nienawiści. Ale… – Boże, jak ona ma na imię! – Jeśli my jesteśmy dziwkarzami, to kim ty jesteś?

Żachnęła się.

– Posłuchaj… Jestem zmęczony. Czego ode mnie chcesz?

– Odrobiny szacunku, Aleksandrze. Tylko tyle.

Potarł piekące oczy. Cała ta sytuacja powoli robiła się niedorzeczna.

– Posłuchaj, przepraszam…

– Nie pamiętasz nawet mojego imienia, prawda? – przerwała mu. Znów podniosła zaciśniętą pięść. Powstrzymał ją w ostatniej chwili. Nie znosił, gdy ktoś go bił. Poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku.

– Boże, jakże mi żal dziewczyny, która się w tobie zakocha, ty draniu. Bo zniszczysz ją, rozedrzesz na kawałki, świnio bez serca! – wrzasnęła.

Ruszyła korytarzem w stronę schodów. Aleksander westchnął i krzyknął za nią:

– Już pamiętam, masz na imię Elena!

– Pieprz się – rzuciła przez ramię i zniknęła.

Wracając na pryczę, pomyślał, że zabrzmiało to jak prawdziwie żołnierskie pożegnanie. Chciał palić papierosa za papierosem i znaleźć się w niewielkim pokoju, gdzie mógłby choć przez chwilę pobyć sam, ukoić zranioną dumę, pomyśleć o sobie i o tym, jaką drogę przebył, by znaleźć się w tych właśnie koszarach. Jakże były dalekie od Krasnodaru i młodej Łarysy, która przed śmiercią obdarowała go odrobiną swojej słodyczy. I od towarzyszki Swietłany Wisselskiej, przyjaciółki jego matki, która powiedziała mu: „Aleksandrze, masz wiele wyjątkowych darów, nie marnuj ich”. No cóż, pomyślał, lada chwila może się tu zjawić z pistoletem

jedna z dziewcząt, które tak lekko porzucił, i strzelić mu prosto w głowę. Umieszczony na jego nagrobku napis będzie głosił: „Tu spoczywa Aleksander, który nie potrafił zapamiętać imienia żadnej z dziewcząt, z którą się pieprzył".

Czując nienawiść do samego siebie, próbował zasnąć. Była trzecia nad ranem dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku.

Rozdział szesnasty

Linia kolejowa wśród wzgórz wokół Siniawina, 1943

Aleksander wezwał Uspieńskiego do swojego namiotu.

– Poruczniku, co się dzieje z sierżantem Werenkowem?

– Nie wiem, o co wam chodzi, kapitanie.

– Dziś rano przyniósł mi nie tylko swoją rację kawy, lecz także kleik. Na szczęście nie cały.

– Tak jest, kapitanie.

– Poruczniku, dlaczego Werenkow przynosi mi swój kleik? Dlaczego sierżant Tielikow oddaje mi swoje prezerwatywy? Dlaczego miałbym żądać kondomów od mojego sierżanta? Co się tutaj dzieje?

– Jesteście naszym dowódcą, towarzyszu kapitanie.

– Ale nie żądam kleiku. Ani kondomów.

– On tylko chce być miły.

– Dlaczego?

– Nie wiem, towarzyszu kapitanie.

– I tak dowiem się prawdy, poruczniku.

Zaplecze bazy znajdowało się o kilometr od jeziora Ładoga. Co rano Aleksander chodził na brzeg, by się umyć. W pierwszych dniach lata jezioro pachniało jak to, w co je zamieniono – cmentarz tysięcy ludzi.

Pewnego ranka Aleksander wracał znad jeziora i gdy mijał namiot mieszczący stołówkę, usłyszał głos Uspieńskiego. Normalnie szedłby dalej, ale nagle usłyszał swoje nazwisko wypowiedziane konspiracyjnym szeptem. Zwolnił.

Uspieński rozmawiał z sierżantem Werenkowem, młodym mężczyzną z wyrokiem za sprawy polityczne, który nigdy wcześniej nie był w wojsku, i sierżantem Tielikowem, który służył od dziesięciu lat.

– Sierżanci, trzymajcie się z daleka od naszego dowódcy – mówił Uspieński. – Nie rozmawiajcie z nim. Nie patrzcie mu prosto w oczy. Jeśli chcecie go o coś zapytać, zróbcie to przeze mnie. I przekażcie to wszystkim swoim ludziom. Będę tu dla was jak bufor.

Aleksander się uśmiechnął.

– A jest nam potrzebny? – spytał Tielikow, zawsze bardzo ostrożny.

– Wierzcie mi, że tak – odparł Uspieński. – I to bardzo. Kapitan Biełow zachowuje się jak rozsądny człowiek. Jest bardzo rozważny i cierpliwy. Ale jeśli nie będziecie się mieli na baczności, zabije was gołymi rękami.

Werenkow spojrzał na niego podejrzliwie.

– Pieprzysz.

Niezrażony tym komentarzem Uspieński ciągnął nieco ciszej.

– Wiecie, że żołnierzowi zaopatrzenia Dmitrijowi Czernience wyrwał ramię ze stawu? Została tylko krwawa rana. Ale to jeszcze nie było najgorsze. To nie zabiło Czernienki. Ale o mało nie umarł, gdy kapitan wymierzył mu cios prosto w twarz. Tylko jeden cios, Werenkow. Pomyśl.

Aleksander roześmiał się bezgłośnie. Gdybyż to tylko była prawda.

– A kiedy Czernienko pozostał przy życiu, nasz dowódca kazał go rozwalić na granicy z Finlandią. Sam leżał wtedy jeszcze w szpitalu w Morozowie.

– Wstawiasz nam kit, i tyle.

– Mówię wam, że on się niczego nie boi. Nie boi się Niemców, śmierci, nawet NKGB. A teraz słuchajcie uważnie i nie powtarzajcie tego nikomu… – Uspieński zniżył głos do szeptu. – Kiedy siedział w celi w Morozowie, przyszedł do niego śledczy…

– Dlaczego go aresztowano?

– Bo był podwójnym agentem.

– Pieprzysz!

– To prawda.

– Podwójnym agentem? Dla kogo pracował?

– Chyba dla Japońców. Ale to nieważne. Słuchajcie. Śledczy wszedł do celi. Nasz dowódca nie był uzbrojony, nie miał nawet noża, a wiecie, co się stało?

– Zabił śledczego?

– Zabił.

– Jak?

– Tego nikt nie wie.

– Uderzył go?

– Nie było żadnych śladów.

– Udusił?

– Nie, mówię, że nie było żadnych śladów.

– No to jak? Otruł go?

– Nic z tych rzeczy! – wykrzyknął podniecony Uspieński. – I o to właśnie chodzi! Nikt nic nie wie. Zapamiętajcie sobie jedno – nasz dowódca potrafi zabić człowieka w pustej celi. Samą siłą woli. Więc trzymajcie się od niego z daleka. Bo on takich jak wy je na obiad.

– Poruczniku! – Aleksander wszedł do namiotu.

Uspieński, Werenkow i Tielikow zerwali się z miejsc.

– Tak jest!

– Poruczniku, przestańcie terroryzować naszych sierżantów. Nie życzę sobie, żebyście opowiadali o mnie jakieś wierutne kłamstwa. A tak nawiasem mówiąc, nie jestem podwójnym agentem na usługach Japończyków. Zrozumieliśmy się?

Chwila milczenia.

– Tak jest, towarzyszu poruczniku – padła drżąca odpowiedź.

– A teraz wracajcie do swoich obowiązków. Wszyscy.

– Tak jest.

Kiedy wychodzili pospiesznie z namiotu, żaden z nich nie spojrzał nawet w jego stronę. Aleksander z trudem powstrzymywał uśmiech.

Po kilku tygodniach Aleksander zaczął dostrzegać pewien rytm. Wysyłał na tory dwa oddziały, trzy, pluton, dwa plutony, pięćdziesięciu ludzi i nikt nie wracał. Dla tych, którym udało się przeżyć, nie było bandaży, antybiotyków, krwi, morfiny. Niemców osłaniały wzgórza i wysokie drzewa i zza nich mogli spokojnie obserwować zniszczone tory. Mimo to do Leningradu trzeba było dostarczać zapasy, kolej trzeba było odbudowywać i Aleksander nie miał wyboru. Musiał tam wysyłać ludzi. Nie za dnia, bo każda próba naprawienia choćby najmniejszego odcinka spotykała się z natychmiastowym ostrzałem wroga. Był czerwiec i upał nikomu jeszcze nie doskwierał. Każdego popołudnia Aleksander znosił zabitych na pole za topolami, gdzie wrzucano ciała do masowych grobów, których nie przysypywano nawet cienką warstwą ziemi. Doły powstały przy wybuchu min przed kilkoma tygodniami i nie zdążyły się jeszcze wypełnić po brzegi. W powietrzu unosił się zapach świeżej ziemi, wody i śmierci. Zapach wojny.

Powoli przyszedł i minął dwudziesty drugi czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Minęły dwa lata od początku wojny. Dwa lata od początku wszystkiego.

Orbeli i jego skarby, 1941

Obudzono go o czwartej nad ranem. Spał zaledwie godzinę. Niewielką pociechą był fakt, że obudzono wszystkich i kazano wyjść na dziedziniec.

Był dwudziesty drugi czerwca, przesilenie letnie, najdłuższy dzień roku. Niedzielny poranek. Powoli wstawał świt. Pułkownik Michaił Stiepanow zwrócił się do swoich oddziałów.

– Niespełna godzinę temu Hitler zmiótł z powierzchni ziemi naszą flotę wojenną na Krymie. Samoloty i okręty zostały zniszczone, zginęli ludzie. Wojska Hitlera wdarły się na ziemię radziecką. Zaatakowały nas również od strony granicy z Ukrainą i od północy przez Prusy. Minister obrony, towarzysz Mołotow, wygłosi w południe przemówienie. Mamy wojnę.

Przez szeregi zaspanych żołnierzy przebiegł szmer. Aleksander stał w milczeniu. Przemowa Stiepanowa wcale go nie zaskoczyła. W gronie oficerów Armii Czerwonej rozmawiano o wojnie od dawna, a od zimy omawiano przygraniczne umocnienia Hitlera. Jednak pierwszą myślą Aleksandra było: „Wojna! Będę miał kolejną szansę ucieczki".

Słuchając przez cztery godziny planów obrony, trzymał się tylko dzięki kawie i papierosom. Przydzielono go do patrolowania ulic Leningradu, a o szóstej wieczorem miał wrócić, by objąć wartę. O jedenastej rano z radością opuścił koszary.

Idąc przez miasto, dotarł do Newskiego Prospektu, gdzie przerwał szamotaninę pomiędzy kobietą i o wiele od niej potężniejszym mężczyzną. Kobieta uderzała przeciwnika torebką, krzycząc przy tym przeraźliwie. Dopiero po paru minutach Aleksander się zorientował, że mężczyzna próbował wcisnąć się do kolejki.

– Czy on nie wie, że wybuchła wojna? Jak towarzysz myśli, co my tutaj wszyscy robimy? Nie wejdzie przede mnie, o nie. I nie ustąpię, nawet jeśli zjawi się tu cała Armia Czerwona.

– Słyszeliście? – powiedział Aleksander do mężczyzny, unosząc w górę brwi. – Nie wepchniecie się do kolejki.

Przy sklepie spożywczym Wielki Jelisiej znów musiał interweniować, gdyż osiem kobiet pobiło się o kiełbasę, która wypadła jednej z nich z torby. Któraś szybko podniosła kiełbasę z ziemi i za nic nie chciała oddać. W trakcie szamotaniny inna kobieta zniknęła z cudzą mąką. Aleksander zabawiał się w króla Salomona tylko przez chwilę. Wiedział, że wykłócanie się z ośmioma rozsierdzonymi kobietami z pewnością nie należy do jego obowiązków. Ruszył przed siebie, by po chwili znaleźć się w samym środku tłumu walczącego o to, kto ma pierwszy wsiąść do autobusu.

Postanowił jak najszybciej opuścić Newski. To było jeszcze gorsze niż wojna. Na wojnie można było przynajmniej strzelać do wroga. Ruszył w kierunku Świętego Izaaka i pomnika Jeźdźca Miedzianego. Przez kilka chwil przyglądał się pomnikowi, paląc papierosa. Minęło już kilka tygodni od czasu, gdy po raz ostatni był w bibliotece. Teraz, kiedy wybuchła wojna,

bezpieczniej będzie zabrać stamtąd książkę. Biblioteki i muzea bez wątpienia zaczną wywozić cenne zbiory z Leningradu – tak na wszelki wypadek. Paląc papierosa, próbował sobie przypomnieć ulubiony fragment poematu *Jeździec Miedziany*: *I w bladym blasku ukąpany, wysoko wyciągając dłoń, on, Jeździec goni go Miedziany i dźwięcznie w bruk łomoce koń*[4]. Uśmiechnął się na myśl, że pamięta jeszcze słowa, których nie czytał od wielu lat. Zapalił następnego papierosa i ruszył brzegiem, mijając Ogrody Admiralicji, most Pałacowy i Ermitaż. Obok muzeum dostrzegł wysokiego mężczyznę w garniturze, który, przechylony przez murek, tęsknym wzrokiem spoglądał na rzekę. Wyjął papierosa i z powagą skinął Aleksandrowi głową. Aleksander zwolnił.

– Macie ogień? – spytał mężczyzna.

Aleksander zatrzymał się i wyjął zapalniczkę.

– Zostawiłem zapałki w budynku – wyjaśnił szybko mężczyzna. – Dziękuję.

– Bardzo proszę.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

– Josif Abgarowicz Orbeli – przedstawił się, strzepując popiół z posiwiałej, zaniedbanej brody.

– Porucznik Aleksander Biełow. – Uścisnęli sobie dłonie.

– Poruczniku, czy to prawda? Naprawdę mamy wojnę?

– Prawda, obywatelu. Gdzie się o tym dowiedzieliście?

Nie odwracając się, Orbeli machnął w stronę Ermitażu.

– W pracy. Jestem kustoszem muzeum. Powiedzcie mi szczerze, co o tym wszystkim myślicie? Czy Niemcy dotrą do Leningradu?

– Czemu nie mieliby dotrzeć? – odparł Aleksander. – Zagarnęli już Czechosłowację, Austrię, Francję, Belgię, Holandię, Danię, Norwegię, Polskę. Niemal cała Europa jest w rękach Hitlera. Gdzie jeszcze może ruszyć? Raczej nie do Anglii. Boi się wody. Musiał więc zjawić się tutaj. Od początku miał taki plan. I na pewno dotrze do Leningradu. – Chciał dodać, że zrobi to z pomocą Finów, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Kustosz był już wystarczająco zdenerwowany.

– Boże mój – westchnął Orbeli. – Co za koszmar. Co się z nami stanie? Co się stanie z moim Ermitażem? Zbombardują go, tak jak zbombardowali Londyn. Nic nie zostanie z naszego miasta, nic nie zostanie z naszych wież, z naszych cerkwi, zabytków. Nasza sztuka zniknie z powierzchni ziemi – powiedział łamiącym się głosem.

– Katedra Świętego Pawła nadal stoi – powiedział Aleksander, pragnąc go pocieszyć. – Opactwo Westminsterskie też. I Big Ben. Most Londyński. Niemcom nie udało się zniszczyć brytyjskich zabytków. Ale zginęło czterdzieści tysięcy londyńczyków.

– Tak, tak. – Zniecierpliwiony Orbeli machnął ręką. – Na wojnie zawsze giną ludzie. Ale co się stanie z moimi dziełami sztuki?

Aleksander cofnął się o parę kroków.

– No cóż, nie możemy ewakuować soboru Świętego Izaaka ani pomnika Jeźdźca Miedzianego. Ale ewakuujemy naszych ludzi. I będziemy mogli wywieźć wasze dzieła sztuki.

– Ale dokąd? – wykrzyknął piskliwie Orbeli. – Kto się nimi zaopiekuje? Gdzie będą bezpieczne?

– Sztuka będzie się musiała sama o siebie zatroszczyć – odparł Aleksander. – Wywieziemy ją gdziekolwiek. Wszędzie będzie bezpieczniejsza niż w Leningradzie.

– Mój Tamerlan? Renoir? Rembrandt? Fabergé? Moje bezcenne skarby? Jak sobie poradzą beze mnie?

Aleksander dotknął daszka czapki końcami palców.

– Będą bezpieczne poza miastem. A wojna przecież kiedyś się skończy. Do widzenia, obywatelu.

– Do widzenia – mruknął posępnie Orbeli i ruszył w stronę muzeum.

Rozbawiony Aleksander szedł nadal wzdłuż brzegu Newy, mijając Pałac Zimowy i Kanał Obwodowy. W sobotnie popołudnie nad rzeką panował spokój, w przeciwieństwie do centrum Leningradu, gdzie przed sklepami stały długie kolejki, a tłumy ludzi przepychały się i wyzywały. Tutaj nie było nikogo i Aleksandrowi bardzo się to spodobało. Minął Ogród Letni i z karabinem na ramieniu szedł dalej w stronę Pałacu Smolnego.

Zatrzymał się na chwilę na rogu ulicy Sałtykowa-Szczedrina. O kilka przecznic na prawo od rzeki rozciągał się Park Taurydzki. Bardzo lubił spacerować tu latem. Widok zieleni napełniał go spokojem. Lecz na terenach otaczających Smolny mógł znów natrafić na walczący tłum. Którędy iść? Prosto do Smolnego, a potem wokół Parku Taurydzkiego czy też najpierw wzdłuż parku, a potem dopiero skręcić do Pałacu?

Zapalił papierosa i stał przez chwilę na rogu ulicy, spoglądając na zegarek. Miał jeszcze trochę czasu. Czemu miałby się spieszyć? Tłum ludzi będzie się kłębił za pół godziny tak samo jak za piętnaście minut. Był sam, nie mógł przecież być wszędzie. Skręcił w prawo i ruszył przed siebie ulicą Sałtykowa-Szczedrina.

Ulica była pusta, liście drzew szeleściły cicho, poruszane lekkim wiatrem. Pomyślał o Barrington, o otaczających je lasach. Razem z Teddym kładli się na trawie i słuchali szeleszczących drzew. Bardzo lubił ten dźwięk.

Nagle usłyszał cichutki śpiew. Spojrzał w dół ulicy, ale nikogo tam nie było.

Za to po drugiej stronie na ławce siedziała dziewczyna.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył, była masa bardzo jasnych, długich włosów, zakrywająca twarz dziewczyny. Drugą rzeczą, jaka od razu rzuciła mu się w oczy, była jej biała sukienka w czerwone róże. Pod baldachimem z zielonych liści ze złotymi włosami, w białej sukience wyglądała tak świeżo jak letni, przejrzysty poranek. Jadła lody, a pomiędzy kolejnymi liźnięciami podśpiewywała cichutko. Aleksander natychmiast rozpoznał popularną piosenkę *Pewnego dnia spotkamy się znów we Lwowie, mój ukochany i ja*. Jakoś udawało się jej jednocześnie śpiewać, lizać lody, wymachiwać gołymi nogami ze stopami w czerwonych sandałkach i odgarniać włosy z twarzy. Wszystko naraz. Nie zwracała zupełnie uwagi na stojącego po drugiej stronie ulicy Aleksandra, który przyglądał się jej oniemiały. Wyglądała tak, jakby nie obchodziły jej ani wojna, ani świat, ani rzeczy, które w to niedzielne popołudnie gnały mieszkańców Leningradu po całym mieście. W tej niezwykłej chwili liczyła się tylko ona, jej lśniące złotem

włosy, wspaniała sukienka i lody. Znalazła się w świecie, jakiego Aleksander nigdy nie oglądał, na promieniach księżyca płynęła ku wielkiemu oceanowi spokoju. Nie mógł zrobić ani kroku.

I nadal nie mógł zrobić ani kroku, wciąż widział ją tak, jak podczas tego pierwszego spotkania. Tam pozostał aż do dzisiaj, wiedząc, że gdyby poszedł prosto, zamiast skręcić w prawo, jego życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Gdyby ją minął bez słowa. Mógł postąpić bardzo przezornie, nie musiał przecież wcale przechodzić przez ulicę. Mógł się jej chwilę poprzyglądać i ruszyć dalej.

Lecz w tę słoneczną niedzielę Aleksander nie miał o niczym pojęcia, o niczym nie myślał, niczego sobie nie wyobrażał. Zapomniał o Dmitriju, wojnie, Związku Radzieckim i planach ucieczki; zapomniał nawet o Ameryce. Przeszedł na drugą stronę ulicy, by spotkać się z Tatianą Mietanową.

Później, kiedy coś opowiadała, żywo gestykulując, obserwował jej dłonie. Miała smukłe palce z bardzo zadbanymi paznokciami. Kiedy spytał, dlaczego tak o nie dba, odparła, że znała kiedyś dziewczynę z brudnymi paznokciami. Stale wpadała w jakieś tarapaty. Tatiana nigdy o tym nie zapomniała.

– Sądzisz, że wpadała w tarapaty z powodu brudnych paznokci?

– Jestem tego niemal pewna.

Aleksander pragnął poczuć dotyk jej smukłych, zadbanych palców na swoim ciele.

– Gdzie mieszkasz, Taniu?

– Na ulicy Piątej Radzieckiej. Wiesz, gdzie to jest?

Patrolował tę dzielnicę.

– Niedaleko Greckiego Prospektu? Jest tam w pobliżu cerkiew?

– Tak, po drugiej stronie ulicy.

– Raczej trudno to nazwać cerkwią. Teraz mieści się tam archiwum.

Roześmiała się.

Tak. To bardzo radzieckie.

Chwile spędzone z Tatianą w tę niedzielę były tak straszliwie krótkie.

Cały czas spędzony z Tatianą był tak straszliwie krótki, naznaczony wojną, jego rodzicami, fałszywym nazwiskiem, władzą, jaką miał nad nim Dmitrij, Daszą, tą Daszą! Naznaczony obecnością Słonki i Mikołaja Uspieńskiego, otoczony ze wszystkich stron Związkiem Radzieckim. Musiał nauczyć się, jak żyć, jak zapomnieć, nie słyszeć echa tych stu spędzonych z nią minut, które wciąż pobrzmiewało w jego sercu. Jedna wyprawa autobusem, kiedy miał ją tylko dla siebie, kiedy siedział obok niej, kiedy szedł u jej boku przez Pole Marsowe; jedno spojrzenie w przyszłość, jeden skurcz serca. A konsekwencje? Wieczność w Związku Radzieckim.

Gdzie mogli się ukryć? Gdzie mogli zniknąć?

Niedziela minęła równie szybko, jak się pojawiła.

Pole Marsowe, czerwiec, śmierć, życie, białe noce, Dasza, Dmitrij, wszystko to pojawiało się…

I znikało.

Lecz Aleksander nadal tam stał, na tej samej ulicy i w blasku słońca spoglądał na stojącą w cieniu dziewczynę; na przeznaczenie w białej sukience w czerwone róże, liżące lody, nucące coś pod nosem. Była jego i tylko jego przez sto minut, przez jedno mgnienie oka. To wszystko wydarzyło się naprawdę, lecz już przeminęło, zniknęło za mgłą, pozostawiając po sobie tylko pustkę. Przeminęło na zawsze, a on został tu na zawsze. Wciąż stoi na tej ulicy, słuchając bicia rozdartego serca.

Utrata Paszy, 1941

Brat bliźniak Tatiany zaginął. Sprawa początkowo nie wyglądała poważnie, pojechał przecież na letni obóz. Potem jednak nad terenem obozu przeleciały samoloty Luftwaffe, a Armia Czerwona wysłała chłopców, by stanęli naprzeciw nacierających czołgów i Pasza zaginął. Tatiana nie chciała się z tym pogodzić i pojechała go szukać do Ługi, nie bacząc na walki toczące się po drugiej stronie rzeki. Pojechała tam, bo była szalona, a Aleksander pojechał ją odszukać, bo stracił dla niej głowę.

Jeszcze jedna cenna chwila, gdy miał ją tylko dla siebie. Kiedy leżeli w jego namiocie, chcieli być tylko tam, nigdzie więcej i oboje doskonale o tym wiedzieli. Leżeli w namiocie i nie pragnęli znaleźć się nigdzie indziej. Wiedzieli o tym oboje. Pomimo wojsk Hitlera oddalonych o zaledwie sto metrów, pomimo złamanych żeber Tani, złamanej nogi, rozpaczy i pomimo utraty Paszy.

Usłyszał jej urywany płacz.

– Szura, musimy go znaleźć – wyszlochała.

– Och, Taniu.

– Musimy. Nie mogę wrócić do domu bez niego. Nie mogę ich zawieść. Proszę cię. Nie znasz mojej rodziny. Nie znasz mnie.

– Znam. I oni, i ty będziesz się musiała nauczyć żyć z tym, co ci jeszcze zostało.

– Nie mów tak. Ja nie potrafię bez niego żyć.

– Tak mi przykro, Taniu – wyszeptał przez zaciśnięte gardło.

– Nie potrafię. On jest moim bratem, nie rozumiesz? Jeśli gdzieś tam na mnie czeka, a ja się nie zjawię? Kto wyrwie cię z łap wroga, jeśli nie rodzina? No kto? Och, Aleksandrze, a jeśli on zastanawia się, dlaczego trwa to tak długo? Dlaczego wciąż mnie nie ma?

– Dlaczego miałby czekać?

– Bo mnie zna. Wie, że go nie zostawię. Nie mogłabym.

Aleksander nie odpowiadał. Szczęściarz z tego Paszy, że ma po swojej stronie kogoś takiego jak Tatiana.

– Taniu, wszelki ślad po nim zaginął. Dzielą go od ciebie dwa miliony niemieckich żołnierzy. Nie możesz chodzić. Masz złamaną nogę. Zostaw go. Pozwól mu odejść z Bogiem.

A następnego ranka, kiedy pod świstem bomb przedzierał się przez las, cały czas osłaniając Tatianę własnym ciałem, nie mógł już tego dłużej wytrzymać. Nie potrafił się powstrzymać. I nie powstrzymał. Pocałował ją. Mogli przecież zginąć w tym lesie, zaatakowani przez Niemców. Niemal tego zapragnął, gdy przypomniał sobie, co ich czeka – rozpacz, kłamstwa,

Dasza, Dmitrij, wojna. Zapragnął pozostać na zawsze młody, w tej jednej chwili pod płonącymi drzewami.

Ale nie zginął. Sprowadził Tatianę z powrotem do pogrążonej w rozpaczy rodziny.

Paszy nigdy nie odnaleziono. Kilka tygodni później otrzymali wiadomość, że zginął w płonącym pociągu. Ojciec nigdy nie doszedł do siebie i topił swój smutek w coraz większych ilościach alkoholu. Pasza był jego jedynym synem. Aleksander pomyślał z wdzięcznością o wizycie w więzieniu u swojego własnego ojca. On też był jego jedynym synem. Czy pamiętał jeszcze, jak to było, gdy miał ojca i matkę, którzy pochylali się nad nim w nocy, całowali, szeptali czułe słowa?

Nie pamiętał.

Coraz częściej widział w Tatianie szansę, którą zmarnował; chwilę, która dawno przeminęła. Nie mógł przestać jej kochać, lecz wydawała mu się przeznaczona do innego życia, innych czasów, dla innego mężczyzny.

Lecz ona chciała od niego więcej.

On nie mógł jej tego dać. Nie miał przecież nic.

---

4 Tłum. Julian Tuwim.

Rozdział siedemnasty

Boże Narodzenie w Nowym Jorku, 1943

Vikki z dziadkami zaprosiła Tatianę i Anthony'ego, by spędzili z nimi Boże Narodzenie.

Kiedy Tatiana zjawiła się w ich mieszkaniu, zastała tam Edwarda.

– Dlaczego go zaprosiłaś? – spytała szeptem w kuchni.

– On też obchodzi święta, Taniu.

Tatiana siedziała na kanapie obok Edwarda, popijając ajerkoniak. Trzymała na kolanach siedmiomiesięcznego Anthony'ego, który bardzo chciał spróbować tego, co pije mama. Edward powiedział Tatianie, że przed czterema dniami żona wyrzuciła go z domu. Najwyraźniej nie mogła już dłużej znieść jego dziwnych godzin pracy i tego, że poświęcał jej tak mało czasu.

– Poczekaj – powiedziała Tatiana. – Nie spędzałeś z nią dość czasu, więc wyrzuciła cię z domu?

– Zgadza się.

– Ale czy to nie oznacza, że teraz będziesz z nią spędzał jeszcze mniej czasu? – spytała powoli.

Edward wybuchnął śmiechem.

– Chyba za mną nie przepadała, Taniu.

– Dość dziwne jak na żonę – odparła.

Vikki przyniosła im talerz herbatników posmarowanych miodem i wyglądała na bardzo z siebie zadowoloną. Widząc jej przebiegły uśmiech, Tatiana nazwała ją później „wichrzycielką".

W pokoju rozbrzmiewały ciche kolędy, w powietrzu unosił się zapach imbiru, szarlotki, spaghetti z sosem czosnkowym, a bordowy wystrój mieszkania nagle okazał się jak najbardziej na miejscu. Vikki miała na sobie brązową aksamitną sukienkę, która pasowała wręcz idealnie do aksamitnych brązowych włosów i aksamitnych brązowych oczu. Isabella i Travis karmili wszystkich tak, jakby wcale nie było wojny. Rozmowa, którą prowadzili przy stole, była równie lekka jak wino.

Po kolacji Tatiana siedziała w cichej sypialni i karmiąc synka, wsłuchiwała się w radosne odgłosy świąt. Zamknęła oczy i kołysała dziecko w ramionach.

Nie było jednak dla niej pociechy ani podczas Wigilii, ani podczas uroczystej mszy i świątecznego obiadu. Nie zaznała jej też podczas modlitwy ani we śnie, ani przebywając w towarzystwie Vikki, ani siedząc samotnie na wyspie. Kiedy karmiła synka, na jego twarzyczkę popłynęły słone łzy, których nie otarła. W jej łzach, mleku, w jej sercu każdą mijającą minutę odmierzało tylko jedno słowo: Aleksander.

Podczas świąt wyspa Ellis była bardzo posępnym miejscem. Dlaczego więc działała tak kojąco na Tatianę? Bo potrzebowali jej ranni żołnierze. Bo potrzebował jej jeszcze ktoś oprócz synka. Karmiła mężczyzn leżących w białych łóżkach, szeptała, by pamiętali o towarzyszach broni, którzy nie mieli ani wygodnych łóżek, ani nie mogli liczyć na żadną pociechę.

– Nie zaznają pociechy, bo pani się nimi nie opiekuje, siostro Taniu – powiedział po angielsku ranny niemiecki pilot Paul Schmidt.

Latał nad Kanałem Północnym, bombardując statki przewożące żywność i amunicję na Morze Północne. Zestrzelono go, a potem wyłowiono z wody. Po drodze do Stanów Zjednoczonych amputowano mu obie nogi. Teraz dochodził do siebie, by móc wrócić do domu.

– Gdybym miał nogi, Amerykanie zatrudniliby mnie przy produkcji wojennej, prawda? Tak jak resztę naszych chłopaków?

– I tak mogą pana zatrudnić. Może pan przecież doić krowy na siedząco.

Uśmiechnął się szeroko.

– Chciałbym, żeby jakaś miła amerykańska dziewczyna wyszła za mnie za mąż. Wtedy nie musiałbym tam wracać.

Tatiana odpowiedziała mu uśmiechem.

– Musi pan o to poprosić inną pielęgniarkę – powiedziała. – Ja nie jestem Amerykanką.

– Nie robi mi to różnicy – odparł, patrząc na nią z zainteresowaniem.

– Myśli pan, że spodoba się to pańskiej żonie? Ten amerykański ślub?

– Nie musimy jej wcale o tym mówić. – Uśmiechnął się wesoło.

Opowiedziała mu trochę o sobie. Nigdy nie miała problemów z opowiadaniem o swoim dawnym życiu niemieckim i włoskim żołnierzom. Ale w obecności Edwarda i Vikki słowa więzły jej w gardle. Nie mogła im opowiedzieć, jak żyła dzień po dniu wśród śniegów Leningradu i rzek Łazariewa. Pozbawieni ojczyzny, umierający mężczyźni rozumieli ją jak nikt.

– Tak się cieszę, że nie jestem już na froncie wschodnim – powiedział nagle Paul Schmidt.

A ja nie, chciała odpowiedzieć Tatiana. Bo kiedy ja byłam na froncie wschodnim, moje życie miało jakiś sens.

– Nie został pan ranny na wschodzie – powiedziała w końcu. Karmiła go dalej, pochylając głowę nad białym emaliowanym talerzem. Skoncentrowała się na zapachu rosołu z kurczaka, na wykrochmalonym na sztywno białym fartuchu, na wełnianym kocu, lekkim chłodzie panującym na oddziale. Z całych sił próbowała usunąć sprzed oczu obrazy zapamiętane z frontu wschodniego. *Karmi swojego męża… podnosi łyżkę do jego ust… śpi na krześle stojącym przy jego łóżku… wychodząc powoli z pokoju i odwraca się po raz ostatni…*

Nie. NIE.

– Nie ma pani pojęcia, co wyprawiają z nami Rosjanie.

– Mam, Paul – odparła. – W zeszłym roku byłam pielęgniarką w Leningradzie. A trochę wcześniej widziałam, co wy, Niemcy, robiliście z naszymi chłopcami.

Przełykając rosół, Paul pokręcił głową tak gwałtownie, że odrobina zupy polała mu się po brodzie. Tatiana wytarła ją delikatnie i podała mu kolejną łyżkę.

– Rosjanie wygrają tę wojnę – powiedział, zniżając głos. – Wie pani dlaczego?

– Dlaczego?

– Bo mają za nic życie swoich ludzi.

Zamilkli oboje.

– A czy Hitler ceni wasze życie? – spytała Tatiana.

– Bardziej niż Stalin. Hitler stara się nas wszystkich wyleczyć, żeby wysłać z powrotem na front, a Stalin nawet nie zawraca sobie tym głowy. Pozwala swoim ludziom umierać, a potem wysyła do walki trzynasto-, czternastolatków. I oni też giną.

– Niedługo nie będzie już kogo wysyłać – szepnęła Tatiana.

– Zanim do tego dojdzie, Stalin wygra wojnę.

Tatianę wezwano, by zajęła się innymi rannymi, ale po chwili wróciła do Paula. Podzieliła się z nim swoimi ciasteczkami i podała mu herbatę z mlekiem.

– A tak nawiasem mówiąc, zostałem ranny w Rosji – powiedział. – Dokładniej rzecz ujmując, nad Ukrainą. Latałem na bombowcach i zestrzelili mnie. Kiedy spadłem, o mało co nie straciłem żołądka. – Urwał pogrążony we wspomnieniach. – Dosłownie, o mało co nie straciłem żołądka.

– Rozumiem – odparła Tatiana.

– Kiedy wyzdrowiałem, przenieśli mnie nad Kanał Północny, mniej niebezpieczny. Co za ironia, prawda? Mój kapitan powiedział, że nie jestem już taki chojrak jak dawniej. Kiedy zestrzelili mnie nad Ukrainą, wpadłem w ręce radzieckich partyzantów. Ale nie zabili mnie. Zlitowali się nade mną. Nie wiem, dlaczego tak się stało, może dlatego, że było to w czasie Bożego Narodzenia w zeszłym roku.

– Raczej nie – powiedziała łagodnie Tatiana. – Rosjanie nie obchodzą świąt.

Spojrzał na nią uważnie.

– Dlatego pani dziś pracuje? Bo święta nic dla pani nie znaczą?

Pokręciła głową. Chciała się przeżegnać, by zebrać siły, ale nie zrobiła tego. Chciała się rozpłakać, lecz jej oczy pozostały suche. Chciała być silna, nieprzenikniona, chciała być jak skała, jak Aleksander. Nie mogła.

– Jestem tutaj – zaczęła – bo ranni żołnierze cieszą się, gdy nie są sami tak daleko od domu. – Jej głos zadrżał. – Jestem tutaj, bo mam nadzieję, że jeśli zrobię coś dobrego dla pana, jeśli uda mi się pana choć trochę pocieszyć, to może gdzieś indziej, w jakimś innym miejscu, ktoś inny pocieszy… – Z kącika jej oka spłynęła samotna łza.

Paul patrzył na nią zaskoczony.

– Myśli pani, że to właśnie tak działa?

– Nie wiem, jak to działa.

– Czy on jest na froncie wschodnim?

– Nie wiem, gdzie jest – powiedziała. Za nic nie potrafiła opowiedzieć o świadectwie zgonu spoczywającym w czarnym plecaku w jej pokoju.

– Proszę się modlić, żeby tam nie był. Nie przeżyje nawet tygodnia.

– Nie? – Musiała straszliwie zblednąć, bo Paul poklepał ją łagodnie po ręce i powiedział:

– A tam, do diabła, nie przejmujmy się tym, siostro Taniu. Gdziekolwiek on jest, na tym czy na tamtym świecie, wie pani, co jest jego jedyną nadzieją?

– Co? – szepnęła.

– Że pani jest bezpieczna – odparł.

Boże Narodzenie w Nowym Jorku.

Boże Narodzenie w Nowym Jorku podczas wojny. Przed rokiem Tatiana spędzała sylwestra w szpitalu na Greckim razem z doktorem Matthew Sayersem, w otoczeniu radzieckich pielęgniarek. Wypili trochę wódki i podzielili się nią z kilkoma pacjentami, którzy byli na tyle silni, by utrzymać kieliszek w ręce. Tatiana myślała tylko o tym, by pojechać na front i spotkać się z Aleksandrem. Miała wyjechać już za pięć dni.

Aleksander jeszcze o tym nie wiedział, ale ona była gotowa zrobić wszystko, by wydostać siebie i męża ze Związku Radzieckiego. W Leningradzie nie paliły się żadne światła. Wszędzie majaczyły ruiny. W sylwestra Niemcy ostrzeliwali miasto z Pułkowa, w Nowy Rok nadleciały bombowce. Cztery dni później Tatiana wyjechała z Leningradu ciężarówką Czerwonego Krzyża. Czy zobaczę jeszcze Leningrad? – myślała.

Teraz wyglądało na to, że nigdy tam nie wróci.

Miała za to okazję podziwiać Nowy Jork w czasie świąt. Oglądała Małe Włochy skąpane w blasku czerwonych i zielonych światełek, spacerowała po Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy oświetlonej tysiącami białych lampek. Widziała też Emipre State Building z oświetloną na czerwono i zielono iglicą i choinkę w Centrum Rockefellera. Z okazji świąt wieżowce były oświetlone przez godzinę, potem wszystkie światła zgasły.

Szła przez zasypane śniegiem miasto, popychając przed sobą wózek z Anthonym. Otaczał ją zgiełk i tłumy ludzi z siatkami pełnymi zakupów. Ona nie miała żadnych siatek. Nie kupowała żadnych prezentów. Szła przez ośnieżony, podniecony świętami Nowy Jork, myśląc, że Aleksander przeżył to w Bostonie dziesięć razy. Dziesięć razy słuchał w grudniu kolęd, spacerował z pakunkami pod pachą, słyszał dzwoniące bez końca dzwoneczki i oglądał oświetlone choinki. Na pewno widział też tablicę taką jak ta umieszczona nad jedną z kawiarni „JEZUS JEST ZBAWIENIEM".

Żył w otoczeniu tego wszystkiego, rodzice kupowali mu prezenty, a w Boże Narodzenie odwiedzał go Święty Mikołaj. Tatiana weszła do sklepu z zabawkami i kupiła Anthony'emu kolejkę od Świętego Mikołaja. Był jeszcze za mały, żeby się nią bawić, ale przecież szybko do niej dorośnie.

U Bergdorffa na Piątej Alei zobaczyła na wystawie piękne koce. Było jej zimno i myślała o Aleksandrze. Weszła do środka i poprosiła ekspedientkę, by pokazała jej jeden z nich. Koce były z miękkiego kaszmiru i kosztowały – o zgrozo – sto dolarów. Powiedziawszy to, ekspedientka odwróciła się od Tatiany, jakby uznała sprawę za zamkniętą. Przypomniała sobie jednak, że zostawiła na ladzie koc. Odwróciła się więc i wyjęła go z rąk Tatiany.

– Wezmę go – powiedziała Tania, wyjmując pieniądze. – Wezmę trzy. W jakich są kolorach?

Tej nocy na wyspie Ellis matka i syn spali na wąskim łóżku przykryci dwoma kaszmirowymi kocami. Trzeci schowała dla ojca Anthony'ego.

Nowy Jork i Boże Narodzenie. Mieli szynkę, ser, mleko i czekoladki, nawet nieduży stek dla każdego. Roześmiane kobiety krążyły po mieście w poszukiwaniu ostatnich zabawek dla swoich chłopców. A potem zjawili się mężczyźni, którzy na święta wrócili do domu.

Nie wrócił tylko mąż Vikki, bo się z nim rozwiodła.

I nie wrócił mąż Tatiany, bo go straciła.

Na wszystkich drzewach migotały białe lampki. Nawet na Ellis pielęgniarki ubrały choinkę dla niemieckich i włoskich żołnierzy. Nikt jednak nie chciał pracować w święta, nawet za podwójną, nawet za potrójną pensję i tydzień urlopu. Tatiana zgłosiła się do pracy.

Nowy Jork i Boże Narodzenie.

Kiedy szła przez Mulberry Street do mieszkania Vikki, popychając przed sobą wózek z Anthonym, śpiewała cicho *Długą drogę*, piosenkę, którą słyszała w szpitalu w radiu:

Długa droga prowadzi
Do krainy moich snów
Gdzie słychać słowików śpiew
I księżyca świeci blask
Czekać muszę długą noc
Aż spełnią się moje sny
Aż nadejdzie dzień
Gdy długą drogą
Ruszysz ze mną ty

Rozdział osiemnasty

Aleksander i Niemcy, 1943

Żołnierze radzieccy nadal ginęli w Siniawinie, a Niemcy wciąż zajmowali pozycje na wzgórzach.

Aleksander wysyłał swoich tam co dnia i co dnia wszyscy ginęli. Podpułkownik Murawiew, który dowodził zarówno karnymi, jak i regularnymi batalionami, nie miał zamiaru wysłuchiwać Aleksandra.

– To batalion karny – powiedział. – Wiecie, co to oznacza, kapitanie?

– Tak. Ale mam do was jedno pytanie. Nie uczyłem się matematyki od czasu szkoły średniej, ale jeśli będę tracił trzydziestu ludzi dziennie, to jak długo uda mi się utrzymać tych dwustu, których mi powierzono?

– Znam odpowiedź na to pytanie – wykrzyknął Murawiew. – Sześć dni!

– Tak jest. Niecały tydzień. Niemcy nadal mają na wzgórzach trzy tysiące żołnierzy, a my praktycznie żadnych.

– Nie martwcie się. Będziecie mieli dość ludzi do naprawy linii kolejowej. Już my się o to postaramy.

– Czy o to właśnie chodzi? By Niemcy ćwiczyli na naszych ludziach skuteczność?

Murawiew zmrużył oczy.

– Sporo o was słyszałem. Lubicie stwarzać problemy. Ale nie zapominajcie, kapitanie, że dowodzicie batalionem karnym. Nie interesuje mnie bezpieczeństwo waszych ludzi. Macie naprawić tę linię i milczeć.

Aleksander wyszedł, nie salutując Murawiewowi. Musiał wziąć sprawy w swoje ręce. Nie chciał mieć przy sobie kolejnego Stiepanowa, który udzielałby mu rad. Chciał mieć przy sobie trzech ludzi, którzy tak jak

Stiepanow pozwoliliby mu robić to, co uważa za słuszne. Dlaczego los jego żołnierzy miałby obchodzić Murawiewa? Byli przecież odbywającymi karę przestępcami. Ich zbrodnią było posiadanie matek, które grały w zespołach muzycznych korespondujących z muzykami we Francji. I nieważne było to, że grupy te już dawno zostały rozwiązane, a matki nie żyły od wielu lat. Niektórych z nich przyłapano w cerkwiach, jeszcze zanim „Prawda" wydrukowała oświadczenie Stalina, że wierzy w „jakiegoś Boga". Inni bezwiednie uścisnęli dłoń ludziom, którzy mieli zostać aresztowani. Jeszcze inni mieszkali obok ludzi, którzy trafili do więzienia. Jak powiedział Uspieński: „Jestem jednym z nich. Miałem pecha, bo w szpitalu położyli mnie obok was, kapitanie". Aleksander się uśmiechnął. Szli razem do namiotu, który służył za skład broni. Poprosił Uspieńskiego, by mu towarzyszył. Zamierzał załatwić 160-milimetrowy moździerz.

Dzień wcześniej, o świcie, Aleksander ukrył się za krzakami na wzgórzu, które schodziło do linii kolejowej, i patrzył, jak jego ludzie stają się celem dla niemieckich pocisków. Przez lornetkę obserwował miejsce, z którego wystrzelono trzy z nich. Było oddalone o dobre dwa kilometry. Musiał zdobyć ten moździerz. Tylko 160-milimetrowe działo ma taki zasięg.

Oczywiście, w kwaterze komisarza odprawiono go z kwitkiem. Dyżurujący tam sierżant powiedział mu, że batalion karny nie ma prawa używać tego typu broni. Rozkaz wydania moździerza musi pochodzić od dowódcy Aleksandra, którym był Murawiew. A ten, naturalnie, odmówił z szyderczym uśmiechem.

– W ciągu siedmiu dni straciłem stu dziewięćdziesięciu dwóch ludzi. Czy mamy dość skazańców, by naprawić te tory?

– Rozkaz to rozkaz, Biełow! Moździerz będzie potrzebny kompanii, która w przyszłym tygodniu będzie szturmować wzgórza.

– Wasi ludzie będą dźwigać pod górę trzytonowe działo, pułkowniku?

Murawiew wyrzucił go z namiotu.

Aleksander miał już dość. Wezwał do siebie jednego z sierżantów, Miełkowa, który miał najmocniejszą głowę w całym batalionie. Wieczorem

Miełkow upił do nieprzytomności żołnierza stojącego na warcie przy namiocie z amunicją. Zrobił to tak skutecznie, że wartownik nie usłyszał, jak Aleksander z Uspieńskim otworzyli skrzypiące drzwi i wyprowadzili moździerz ze środka. Musieli ciągnąć go w ciemnościach przez dobry kilometr. Tymczasem Miełkow, który potraktował swoje zadanie bardzo poważnie, siedział przy wartowniku i co piętnaście minut wlewał mu do gardła duży kieliszek wódki.

Tuż przed piątą rano siedmiu żołnierzy Aleksandra wyszło na tory w roli przynęty.

Aleksander obserwował przez lornetkę tor pocisku wystrzelonego ze wzgórza. Jego żołnierze uciekli. Aleksander razem z Uspieńskim załadowali pocisk do lufy.

– Pamiętaj, Mikołaj – powiedział Aleksander, wskazując stojące na wzgórzu działo. – Mamy tylko dwa pociski. Dwie szanse, żeby rozwalić tych fryców. Za dwadzieścia minut musimy odprowadzić to cholerne działo, zanim o szóstej zmienią wartę.

– Nie zauważą, że brakuje dwóch największych pocisków?

Aleksander obserwował okryte błękitną mgiełką wzgórze.

– Kiedy rozwalimy tych pieprzonych Niemców, gówno mnie obchodzi, czy ktoś to zauważy. Założę się, że nie. Jak myślisz, kto zajmuje się spisem broni? Ten pijany wartownik? Miełkow dobrze się nim zajął. Zabierze też trzydzieści pistoletów maszynowych dla naszych ludzi.

Uspieński się roześmiał.

– Cicho – rzucił Aleksander. – Bo wszystko spieprzysz. Gotowy? – zapalił lont.

Lont palił się przez dwie sekundy. Potem ziemią wstrząsnęło nagłe szarpnięcie, pocisk ze świstem wyleciał z lufy i wzbił się łukiem w powietrze. Przeleciał półtora kilometra. Aleksander patrzył, jak ląduje wśród drzew i wybucha. W tym czasie do celu zmierzał już drugi. Aleksander nawet nie patrzył, gdzie wylądował. Musiał szybko rozmontować moździerz. Pozostawiając resztę żołnierzy pod dowództwem Uspieńskiego, odciągnął ciężkie działo z powrotem do

magazynu. Za dwie szósta udało mu się zamknąć kłódkę i podrzucić klucze nieprzytomnemu wartownikowi.

– Dobra robota – szepnął do Miełkowa, kiedy szybkim krokiem wracali do swoich namiotów, by znaleźć się w nich przed poranną inspekcją.

– Dziękuję, towarzyszu kapitanie – odparł Miełkow. – Zrobiłem to z przyjemnością.

– To widzę – powiedział z uśmiechem Aleksander. – Żebym was tylko więcej nie przyłapał na takim ostrym piciu. Bo traficie prosto do aresztu.

Wartownik pozostał nieprzytomny jeszcze przez cztery godziny, po czym został karnie odwołany ze służby za poważne uchybienia w obowiązkach.

– Macie szczęście, kapralu, że nic nie zginęło! – wrzeszczał Murawiew.

Ukarał wartownika, wcielając go na tydzień do oddziału Aleksandra.

– Niemcy siedzą cicho od dwóch dni. Macie szczęście, bo inaczej poszlibyście na pewną śmierć – powiedział Aleksander.

Kiedy Niemcy przegrupowywali siły, ludzie Aleksandra spokojnie naprawili tory i do Leningradu dotarło pięć pociągów z żywnością i lekarstwami.

Gdy Niemcy wznowili ostrzał, nie trwało to długo, bo Murawiew wydał w końcu Aleksandrowi moździerz. Po ostrzelaniu niemieckich pozycji i po przeprowadzeniu kilku ataków na wzgórza wokół Siniawina batalion 67 Armii przeprowadził ostatni szturm, pozostawiając żołnierzy Aleksandra w dole pod osłoną artylerii.

Batalion nie wrócił do obozu, ale Niemcy przestali ostrzeliwać linię kolejową.

Jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku dowództwo 67 Armii wydało karnemu batalionowi Aleksandra – skurczonemu teraz do dwóch kompanii, liczących w sumie stu czterdziestu czterech żołnierzy – rozkaz wyruszenia za Newę do Pułkowa, ostatniego przyczółka Niemców w pierścieniu blokady otaczającej Leningrad. Tym razem Aleksander miał do dyspozycji trochę broni – ciężkie karabiny maszynowe, moździerze,

pociski przeciwczołgowe i skrzynkę granatów. Każdy z jego żołnierzy miał lekki karabin maszynowy i mnóstwo amunicji. We wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku 7 batalion Aleksandra razem z dwoma innymi i kompanią zmotoryzowaną ostrzeliwał Niemców pod Pułkowem. Choć mieli nawet wsparcie lotnictwa, nie przyniosło to spodziewanych rezultatów.

Z drzew opadały liście, sierżant Miełkow zginął, zrobiło się zimno, nadeszła kolejna zima, czternasta od czasu przyjazdu Barringtonów z Ameryki, druga od czasu tej, która zabrała całą rodzinę Tani. Aleksander wraz ze swoimi żołnierzami dzień po dniu wspinał się na wzgórze, znacząc drogę ranami i krwią. Przydzielono mu dwustu nowych ludzi. W grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku udało im się zdobyć wschodnie zbocze wzgórza.

Stojąc na szczycie, Aleksander mógł spojrzeć na północ i zobaczyć w oddali migające światła Leningradu. W pogodny dzień widział rysujące się na niebie kominy fabryki Kirowa, w której nadal produkowano broń dla miasta. A jeśli spojrzał przez lornetkę, również mur przed fabryką, przy którym wystawał dzień po dniu, tydzień po tygodniu, z czapką w ręce, czekając, by z bramy wybiegła Tatiana.

Nie musiał wcale wspinać się na wzgórze, by raz jeszcze to wszystko zobaczyć.

Sylwestra tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku Aleksander spędził przy ognisku razem z trzema podporucznikami, trzema porucznikami i trzema sierżantami. Pił wódkę z siedzącym obok Uspieńskim. Wszyscy z optymizmem spoglądali w nowy, tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty rok. Powoli wypierali Niemców z Rosji. Po lecie tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, po Siniawinie, bitwie pod Kurskiem, po wyzwoleniu Kijowa w listopadzie i Krymu przed zaledwie paroma tygodniami, Aleksander wiedział, że tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty rok będzie ostatnim, który Niemcy spędzą na

rosyjskiej ziemi. Misją jego batalionu było nieustanne podążanie na zachód i wypieranie Niemców z kraju – za wszelką cenę.

Tak brzmiało jego noworoczne postanowienie – dążyć na zachód. To była jego jedyna nadzieja.

Wypił jeszcze jeden kieliszek wódki. Któryś z żołnierzy, już mocno pijany, opowiedział kiepski dowcip o Stalinie. Ktoś zawołał żonę. Aleksander był niemal pewny, że to nie on. Przez cały czas próbował być twardy jak stal, nawet jeśli miał za to zapłacić największą cenę. Uspieński stuknął swoim kieliszkiem o jego i opróżnili butelkę do końca.

– Dlaczego nie możemy dostać urlopu jak inni żołnierze? – narzekał Uspieński. Pijany, w rozpiętym mundurze, nagle zupełnie się rozkleił. – Dlaczego nie możemy pojechać do domu choć na jeden dzień, w Nowy Rok?

– Nie wiem, czy zauważyliście, poruczniku, ale mamy wojnę. Jutro odeśpimy kaca, a we wtorek znów ruszymy do walki. W tym miesiącu przerwiemy na dobre blokadę Leningradu. Naziści wyniosą się z naszego miasta i będzie to także wasza zasługa.

– Gówno mnie obchodzą ci pieprzeni naziści. Chcę się zobaczyć z żoną. Wy nie macie dokąd pojechać, dlatego nie chcecie się stąd ruszać.

– Mam dokąd pojechać – powiedział powoli Aleksander.

– Macie rodzinę? – spytał Uspieński, przyglądając mu się uważnie.

– Tak, ale nie tutaj.

Słysząc to, nie wiadomo czemu, Uspieński sposępniał jeszcze bardziej.

– Spójrz na to z jaśniejszej strony, Mikołaju. – Aleksander zwrócił się do niego po imieniu. – Nie jesteśmy otoczeni przez wroga, prawda?

Uspieński milczał.

Aleksander ciągnął.

– W kilka godzin wypiliśmy całą butelkę wódki. Zjedliśmy szynkę, wędzonego śledzia, kiszone ogórki, a nawet kawałek świeżego chleba. Opowiadaliśmy dowcipy, śmialiśmy się, paliliśmy papierosy. Pomyśl, że mogło być o wiele gorzej. – Nie zamierzał się zagłębiać w mroczne korytarze swojej własnej izby tortur.

– Nie wiem jak wy, kapitanie, ale ja mam żonę i dwóch małych synków, których nie widziałem od dziesięciu miesięcy. Ostatni raz spotkałem się z rodziną tuż przed tym, jak mnie postrzelili. Żona myśli, że nie żyję. Wiem, że nie dostaje moich listów, bo nigdy mi nie odpisuje. – Urwał i zadrżał jak trzcina na wietrze.

Aleksander nie odezwał się ani słowem. Miał żonę i dziecko, którego nigdy nie widział. Co się stało z nią, z dzieckiem? Czy zdołali gdzieś dotrzeć? Czy są bezpieczni? Jak mogę dalej żyć, nie wiedząc, czy Tania jest bezpieczna?

Nie mogę.

Nie mogę dalej żyć, nie wiedząc, czy ona jest bezpieczna.

W nocy nie ulękniesz się strachu ani za dnia – lecącej strzały[5].

Uspieński pociągnął łyk wódki prosto ze świeżo otwartej butelki.

– A, do diabła z tym – machnął ręką. – Życie jest kurewsko ciężkie.

Aleksander wziął od niego butelkę i sam pociągnął spory łyk.

– W porównaniu z czym? – spytał i zapalił papierosa. Wciągnął dym w ściśnięte gardło.

– Taniu, upijmy się.

– Po co?

– Zapalmy, upijmy się, będziemy świętować twoje urodziny, nasz ślub i będziemy bardzo niegrzeczni. – Uniósł znacząco brwi.

– Głuptas z ciebie. Moje urodziny były w zeszłym tygodniu. – Uśmiechnęła się. – Już je świętowaliśmy. Zrobiłeś mi lody. Nie pamiętasz?

Chwyta ją mocno i podnosi z zasypanej igłami sosen ziemi.

Ona obejmuje go mocno ramionami.

– No dobrze, wypiję z tobą trochę wódki.

– Nie trochę. Strasznie dużo. Wzniesiemy toast... – Napełnia dwa kieliszki przy ognisku na polanie. Tatiana klęczy na kocu. Klęka obok niej. – Wypijemy za nasze cudowne życie.

Tatiana podnosi kieliszek.

– Dobrze, Aleksandrze. Wypijmy za nasze cudowne życie.

5 Biblia Tysiąclecia, Księga Psalmów, psalm 91.

Rozdział dziewiętnasty

Nowy Jork, czerwiec 1944

Pokój jest sterylnie biały. Wiszące w oknie białe zasłony niemal się nie poruszają. Okno jest zamknięte. Nie ma wiatru. Nie ma przeciągu. Powietrze nie jest przejrzyste.

Siedzę na podłodze w moim sterylnie białym pokoju. Kremowe drzwi są zamknięte. Zamknięte na srebrną zasuwkę. Zardzewiałe zawiasy skrzypią, gdy je otwieram.

Otwieram i zamykam.

Przede mną leży mój czarny plecak, a w tym plecaku on żyje. Jego beżowa czapka, czarno-białe zdjęcie, na którym błyszczą białe zęby i oczy koloru toffi.

Siedzę na szarej podłodze, a na zewnątrz, o niecałą godzinę stąd rozciąga się Bear Mountain. Drzewa na zboczu góry mają barwę sepii i cynobru, w blasku słońca lśnią miedzią. Jak jego miedziane oczy i pieszczone blaskiem słońca usta. Na Sheep Meadow mogę grać w baseball, uderzając piłkę drewnianym kijem. Tak jak on grał, gdy był małym chłopcem…

Skautem.

Nauczył mnie wiązać mocny węzeł.

Potrafię wspiąć się na zielone drzewo.

Potrafię pływać pod srebrnym księżycem.

W głębokiej wodzie pod aksamitnym niebem.

Za oknem tuż za czerwono-biało-niebieską amerykańską flagą, za wielkim mostem i koralowym gotykiem budynków Ellis lśni lazurowa

zatoka, która prowadzi na otwarte morze, na wzburzony, pogrążony w żałobie, jęczący smutno ocean.

Moje kolory biegną od księżyca do słońca, od brązowej ziemi do błękitnego nieba. Oceany dzielą nas, gdy upadamy, gdy opadamy w biel i pustkę mojego dawnego i przyszłego życia. Biel nieba, mgły i lodu. Lód jest spękany i splamiony krwią. Leżysz pod nim. Ja też znalazłam się pod lodem. Siedzę na szarej podłodze, dotykam czarnego płótna, metalu pistoletu, pożółkłych stron twojej książki, zielonych szeleszczących dolarów, z których tak wiele jeszcze zostało.

Dotykam naszego zdjęcia zrobionego tuż po ślubie. Biegniemy do siebie na cyklamenowych skrzydłach prometejskiego ognia.

Na zewnątrz rozlega się płaczliwy dźwięk syreny, piłka uderza o kij, płacze dziecko, szary lód krwawi. Siedzę na podłodze z czarnym plecakiem pełnym naszych nadziei u stóp. Zawsze na podłodze, otoczona czernią mojego smutku.

– Taniu, co się stało? – Vikki stanęła w otwartych drzwiach pokoju Tatiany. Anthony siedział na podłodze wśród rozrzuconych zabawek. Tatiana leżała obok niego.

– Nic.

– Pracujesz dzisiaj?

– Już wstaję.

– Co się z tobą dzieje?

– Nic. – Tatiana wiedziała, że musi przedstawiać niezły widok. Oczy miała tak zapuchnięte, że prawie nic nie widziała.

– Już ósma! Płakałaś? Dzień się jeszcze nie zaczął.

– Muszę się ubrać. Zaraz mam obchód.

– Chcesz pogadać?

– Nie. Nic mi nie jest. Dzisiaj mam urodziny. Skończyłam dwadzieścia lat.

– Wszystkiego najlepszego! Dlaczego nic nie powiedziałaś? Musimy to uczcić! Co się stało? Co takiego strasznego jest w urodzinach?

– Nie mogę uwierzyć, że pobieramy się w moje urodziny!

– Dzięki temu nigdy mnie nie zapomnisz.

– Któż mógłby cię zapomnieć, Aleksandrze? – odpowiada, głaszcząc go czule.

Tatiana nie świętowała. Pracowała cały dzień, a wieczorem bawiła się ze swoim niemal już rocznym synkiem. W nocy otworzyła okno i rozsunęła firanki. W pachnącym solą powietrzu uklękła przy łóżku i chwyciła mocno wiszące na łańcuszku obrączki. Była w Stanach Zjednoczonych już blisko rok. Wieczorem w dzień swoich dwudziestych urodzin, po nakarmieniu Anthony'ego, usiadła na podłodze w pokoju na Ellis i wyjęła wszystko z czarnego plecaka – po raz pierwszy od chwili, gdy opuściła Związek Radziecki. Wyjmowała wszystko po kolei: naładowany niemiecki pistolet, egzemplarz *Jeźdźca Miedzianego*, rozmówki rosyjsko-angielskie, zdjęcie Aleksandra, ich wspólne zdjęcie zrobione po ślubie, jego czapkę oficerską i wszystkie drobiazgi z kieszonek.

Wtedy właśnie znalazła medal Bohatera Związku Radzieckiego, który kiedyś należał do Aleksandra.

Wpatrywała się w zimny kawałek metalu przez pół nocy, nic nie rozumiejąc, a potem wyszła do holu, by obejrzeć go w świetle, sprawdzić, czy przypadkiem się nie pomyliła.

Słońce już wstało, dzień był bardzo ciepły, od powierzchni wody odbijały się słoneczne refleksy, a ona nadal, oniemiała, wpatrywała się w medal. Czy mogła się mylić?

Tak wyraźnie, jak widziała teraz pływające po zatoce żaglówki, widziała ten medal wiszący na oparciu krzesła w wieczór, gdy z doktorem Sayersem u boku odwiedziła go po raz ostatni. Aleksander powiedział: „Wrócę jutro po południu już jako odznaczony podpułkownik", a Tatiana rozpromieniła się i spojrzała na medal wiszący na krześle przy szpitalnym łóżku.

Jakim więc cudem medal trafił do jej plecaka? Nie mogła go przecież zabrać – nie należał do niej.

Co to może znaczyć?, szepnęła do siebie, lecz nadal nic nie pojmowała. Starała się myśleć trzeźwo i logicznie, ale wciąż napotykała twardy mur niezrozumienia.

Doktor Sayers przyniósł jej plecak, kiedy siedziała na podłodze w jego gabinecie. Przed chwilą dowiedziała się, że ciężarówka wioząca Aleksandra wyleciała w powietrze, a potem zatonęła w jeziorze Ładoga. Sayers przyniósł jej plecak, zanim wsiedli do jego ciężarówki i wyjechali do Finlandii.

Wciąż tkwiła na podłodze – rankiem i wieczorem, między pacjentami i zakupami, między Vikki i Edwardem, między Ellis i Anthonym. Na tej podłodze leżał czarny plecak, a w nim medal Bohatera Związku Radzieckiego.

Czy Aleksander dał jej ten medal? Czy mogła o tym zapomnieć?

Kiedy doktor Sayers powiedział jej o Aleksandrze, dał jej należącą do niego czapkę. Czy również medal?

Raczej nie.

A może zrobił to pułkownik Stiepanow?

Nie, też nie.

Wstała z podłogi i zawiesiła medal na szyi razem z łańcuszkiem, na którym nosiła obrączki.

Minął kolejny dzień, i jeszcze jeden, i kolejny.

Niemiecki żołnierz zauważył wiszący na jej szyi medal i spytał łamaną angielszczyzną:

– Skąd pani go ma? To bardzo ważny medal. Przyznają go tylko najdzielniejszym i najbardziej zasłużonym żołnierzom. Skąd pani go wzięła?

Kiedy karmiła synka, kiedy trzymała go w ramionach i patrzyła w jego świeżą buzię, jedna myśl nie dawała jej spokoju. *Gdyby Aleksander miał na sobie ten medal, kiedy zginął, nadal wisiałby na jego szyi.* Wiedziała doskonale, że gdy żołnierz jedzie do dowództwa, by odebrać awans, jedzie tam w pełnym rynsztunku, zabierając wszystkie przyznane mu wcześniej odznaczenia.

Doktor Sayers mógł dać mi jego czapkę, ale na pewno nie zdjąłby medalu z szyi Aleksandra. A nawet gdyby to zrobił, wręczyłby mi go

osobiście. Czyż nie tak? *Proszę, Taniu, to czapka twojego męża, a to jego medal. Zatrzymaj to.*

Nie, medal został przed nią ukryty, schowany w najmniejszej kieszonce plecaka i nie znalazłaby go nigdy, gdyby nie wyjęła wszystkiego ze środka i nie przeszukała po kolei wszystkich kieszonek.

Dlaczego doktor Sayers schował medal?

Dlaczego nie dał go razem z czapką?

Bo bał się, że zacznie go wypytywać.

Czy zaczęłaby coś podejrzewać? Ale co?

Raz jeszcze przebiegała w myślach wydarzenia tamtego dnia, szukając jednej fałszywej nuty. Nic nie przychodziło jej do głowy. Spała, pracowała, karmiła synka, a w samym środku czerwcowej nocy otworzyła nagle oczy i wzięła głęboki oddech.

Już wiedziała. Gdyby dostała ten medal, spojrzałaby na niego zdumiona, zaczęłaby się zastanawiać. Zaczęłaby coś podejrzewać.

Ale doktor Sayers nie mógł o tym wiedzieć.

Wiedziałaby o tym tylko jedna osoba. Mężczyzna o czarnych gęstych włosach i obejmujących ją czule ramionach. On na pewno by wiedział.

Aleksander chciał, by miała jego najwyższe odznaczenie, ale wiedział, że nie może go od razu zobaczyć, bo wzbudzi zbyt wiele pytań i podejrzeń. Kazał więc doktorowi zaczekać. Na skutym lodem jeziorze, w szpitalu, gdziekolwiek, kazał doktorowi zaczekać.

Oznaczało to, że istniał jakiś spisek i doktor Sayers był jego częścią.

Czy śmierć Aleksandra też była częścią planu?

A śmierć Dmitrija?

– Tatiasza – pamiętaj: Orbeli.

To ostatnie słowa, jakie do niej wypowiedział. Pamiętaj: Orbeli. A może pytał, czy o nim pamięta?

Czy też kazał jej pamiętać?

Przez resztę nocy nie zmrużyła oka.

Rozdział dwudziesty

Białoruś, czerwiec 1944

Aleksander wezwał do namiotu Mikołaja Uspieńskiego. Rozbili obóz na zachodzie Litwy i odpoczywając przez dwa dni, czekali na dalsze instrukcje.

– Poruczniku, co się dzieje z sierżantem Werenkowem?

– Nie wiem, o co wam chodzi, kapitanie.

– Dziś rano oświadczył z radością, że czołg został naprawiony.

– Bo został. – Uspieński się rozpromienił.

– To dla mnie wielka niespodzianka, poruczniku.

– Dlaczego?

– Przede wszystkim dlatego, że nie wiedziałem, iż czołg wymaga naprawy.

– Bardzo, towarzyszu kapitanie. Tłoki były zupełnie do niczego. Należało je porządnie wysmarować.

– Bardzo dobrze – odparł Aleksander, kiwając głową – ale teraz docieramy do sedna sprawy.

– Tak?

– Przecież nie mamy żadnego pieprzonego czołgu!

Uspieński uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Ależ tak, towarzyszu kapitanie. Mamy. Proszę ze mną.

Niedaleko obozu, w lesie, Aleksander dostrzegł jasnozielony czołg bojowy z czerwoną gwiazdą i napisem „Za Stalina!" na jednym z boków. Był podobny do czołgów, jakie Tania składała u Kirowa, tylko trochę mniejszy. T-34. Obszedł go dookoła. Zniszczony, ale wciąż nadawał się do

walki. Gąsienice nie były uszkodzone. Spodobał mu się numer wymalowany na dużej wieżyczce: 623. Działo spodobało mu się jeszcze bardziej.

– Sto milimetrów – powiedział z dumą Uspieński.

Aleksander spojrzał na niego.

– I z czego jesteście tak cholernie dumni? Sami go zbudowaliście?

– Nie. Sam go ukradłem.

Aleksander nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Skąd?

– Tam, z jeziora.

– Był pod wodą? Czy amunicja zamokła?

– Nie, pod wodą były tylko gąsienice. Utknął w mule i nie mogli zapalić silnika.

– Jak wam się to udało?

– Też go nie zapaliliśmy. Wziąłem trzydziestu ludzi i wypchnęliśmy go z wody. Potem Werenkow go naprawił i teraz chodzi jak w zegarku.

– Skąd ten czołg się tu wziął?

– A kogo to, do cholery, obchodzi? Może należał do batalionu, który był tu przed nami?

– Przed nami nie było tu żadnego batalionu. Nie wiecie jeszcze, że jesteśmy pierwsi na linii ognia?

– Może wycofywali się z lasu. Nie wiem. Widziałem w jeziorze jakieś ciało. Może to strzelec z tego czołgu.

– Chyba nie był najlepszy – mruknął Aleksander.

– Czyż to nie fantastyczne?

– Tak, wspaniałe. Zaraz nam go zabiorą. Co z amunicją?

– Jest naładowany po brzegi. Chyba dlatego utknął w jeziorze. Może przewozić tylko trzy tysiące pocisków kalibru 7.62, a upchnęli w nim sześć tysięcy.

– Są jakieś stumilimetrowe?

– Tak. – Uspieński uśmiechnął się szeroko. – Trzydzieści. I pięćset sztuk pocisków do moździerzy. Piętnaście rakiet i ciężki karabin maszynowy.

Jesteśmy uzbrojeni po zęby, kapitanie.

– I tak nam go zabiorą.

– Najpierw będą musieli poradzić sobie z wami – zasalutował Uspieński. – Będziecie naszym dowódcą czołgu.

– To miło, gdy porucznik przydziela obowiązki kapitanowi – odparł Aleksander.

Z Uspieńskim w roli kierowcy, Tielikowem jako strzelcem i Werenkowem jako ładowaczem Aleksander mógł chronić swoich ludzi od wiosny do lata tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku podczas walk na trzystukilometrowym odcinku prowadzącym z Białorusi do wschodniej Polski. Walki na Białorusi były najgorsze. Niemcy bronili się zajadle, a Aleksander specjalnie ich za to nie winił. W hełmie na głowie parł przez Białoruś, nie powstrzymywała go utrata ludzi, kobiety ani brak snu. Sunął do przodu, zdzierając gąsienice czołgu, opętany tylko jedną myślą – jak najszybciej znaleźć się w Niemczech.

Pole za polem, las za lasem, bagna, błoto, miny, deszcz. Rozbijali namioty i łapali ryby w rzekach, gotowali je nad ogniskiem w blaszanych miskach i jedli po dwóch z jednej – Uspieński zawsze jadł z Aleksandrem. Potem zapadali w niespokojny sen i ruszali znów na spotkanie niemieckich kul i niemieckich dział. Z Rosji wypierały Niemców trzy radzieckie formacje: Front Ukraiński, rozciągający się najbardziej na południe, oraz Front Centralny i Północny pod dowództwem generała Rokossowskiego, którego częścią był batalion Aleksandra. Żołnierze radzieccy nie zamierzali jedynie wypchnąć Niemców z Rosji. Już na niemieckiej ziemi chcieli ich ukarać za całe zło, jakiego dopuszczali się w ich kraju przez ostatnie dwa i pół roku. Aby tego dokonać, miliony żołnierzy musiały przebrnąć przez Litwę, Łotwę, Białoruś i Polskę. Stalin chciał dotrzeć do Berlina jeszcze jesienią. Aleksander nie sądził, by było to możliwe, ale nawet gdyby jego przewidywania okazały się prawdziwe, nie stałoby się to za sprawą braku zaangażowania z jego strony. Parł nieustannie do przodu przez zaminowane pola, znacząc szlak ciałami podległych mu żołnierzy, którzy pozostawali niepogrzebani na polach, na

których niegdyś rosły ziemniaki. Pozostali przy życiu wyjmowali karabiny z rąk martwych kolegów i szli dalej. W batalionie Aleksandra było kilku inżynierów, którzy potrafili wykrywać i rozbrajać miny. Ginęli jeden po drugim, a Aleksander dostawał nowych. Na koniec wyszkolił wszystkich podległych mu ludzi, jak znaleźć minę i wyciągać zapalnik. Po przejściu przez rozminowane pola docierali do lasu, gdzie czekali na nich Niemcy. Pięć batalionów karnych przedzierało się przez lasy na pierwszej linii; szli przez rzeki, przez bagna, by oczyścić drogę dla regularnych oddziałów. A potem docierali do następnego lasu i oczyszczali kolejne pola.

Na szczęście zima jeszcze nie nadeszła, choć noce były już bardzo zimne i wilgotne. Rzeki nie zamarzły, żołnierze mogli się w nich kąpać, cudem unikając zarażenia tyfusem. Aleksander wiedział doskonale, że tyfus podobnie jak pluton egzekucyjny oznacza natychmiastową śmierć. Armia nie mogła sobie pozwolić na epidemię. Bataliony karne jako pierwsze szły na śmierć i jako pierwsze były zasilane nowymi ludźmi: w kraju nie brakowało więźniów politycznych, którzy mogli umierać za Mateczkę Rosję. Aby wzmocnić upadające morale żołnierzy, Stalin zdecydował się przywrócić Armii Czerwonej godność, wprowadzając nowe mundury. Na mocy jego rozkazu z tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku nawet oficerowie w batalionach karnych nosili mundury dawnej armii carskiej: szare, z czerwonymi pagonami i wyszywanymi złotem epoletami. Dzięki temu śmierć w błocie nabierała nowego, godniejszego wymiaru, a wejście na minę było sprawą honoru. Nawet Uspieński ze swoim jednym płucem oddychał lżej, mając na sobie mundur, w którym mógłby umrzeć za cara.

Żołnierze Aleksandra mieli zupełnie łyse głowy. Z jego rozkazu golili się codziennie, by zapobiec rozprzestrzenianiu się wszy. Nie mieli włosów na głowach, pod pachami, nigdzie. Po całych dniach ciężkich walk wchodzili do rzeki, by się dokładnie ogolić.

Aleksander często nie mógł odróżnić podległych mu ludzi. Niektórzy byli wyżsi od innych, niektórzy mieli znamiona, inni byli bardzo czyści, jeszcze inni mieli jaśniejszą skórę, ale większość była spalona słońcem.

Tylko kilku miało piegi na twarzy. Niektórzy mieli zielone oczy, inni brązowe, a kapral Jermienko miał jedno zielone, a drugie brązowe.

W cywilu różnili się kolorem włosów, teraz odróżniali się jedynie liczbą blizn. Blizn po ranach postrzałowych, po ranach zadanych nożem, po skomplikowanych złamaniach, oparzeniach. Na ramionach, rękach, czasem na nogach. Niewielu miało blizny na piersiach, brzuchach i głowach. Tym z reguły nie udawało się przeżyć.

Aleksander odróżniał porucznika Uspieńskiego po świszczącym oddechu i bliźnie nad prawym płucem; sierżanta Tielikowa po wysokiej sylwetce, a sierżanta Werenkowa po korpulentnym ciele, które kiedyś pokrywały gęste czarne włosy. Teraz całe jego ciało pokryte było czarną, ostrą szczeciną.

Aleksander wolał zresztą nie do końca ich rozróżniać. Dzięki temu łatwiej godził się z ich utratą. Każdego poległego w walce żołnierza natychmiast zastępował następny z ogoloną do gołej skóry głową i ciałem pokrytym bliznami.

Batalion Aleksandra rozpoczął szlak bojowy na północy Rosji, przesuwając się powoli w stronę Łotwy i Litwy. Kiedy dotarli do Białorusi, otrzymał rozkaz udania się pod dowództwo generała Żukowa dowodzącego Frontem Centralnym. Aleksander nie widział jeszcze takiego pogromu Niemców, do jakiego doszło na płaskich, pozbawionych lasów terenach Białorusi. Aby tego dokonać, Armia Czerwona poświęciła życie ponad stu dwudziestu pięciu tysięcy żołnierzy i dwadzieścia pięć dywizji. Batalion Aleksandra parł nieustannie do przodu, łącząc się na koniec z Frontem Ukraińskim dowodzonym przez Koniewa.

W czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, kiedy dotarła do nich wiadomość o lądowaniu sił amerykańskich i brytyjskich w Normandii, żołnierze Aleksandra przeszli sto kilometrów w dziesięć dni, rozbijając cztery niemieckie kompanie po pięciuset żołnierzy każda.

Za nimi jechały ciężarówki z amunicją, zaopatrzeniem i żołnierzami mającymi zastąpić poległych w walce. Nic nie było w stanie zatrzymać Aleksandra. Podobnie jak towarzysz Stalin musiał dotrzeć do Niemiec.

Stalin pragnął zemsty, a Aleksander wiedział, że tam nareszcie czeka go wolność.

Czarny jeździec apokalipsy, 1941

Aleksander miał już wszystkiego dość. Zgłosił się więc na ochotnika, by walczyć z Finami w Karelii i tym samym znaleźć się jak najdalej od rodziny Mietanowych.

Zaproponował Dmitrijowi, by pojechał tam razem z nim, raz jeszcze przywołując wizje medali, awansów, choć wiedział doskonale, że przyjdzie im słyszeć tylko salwy i oglądać poległych żołnierzy.

Dmitrij, dla którego liczyła się tylko chwila obecna, oczywiście odmówił, po czym został szybko wysłany do Tichwina po drugiej stronie jeziora, gdzie toczyły się najostrzejsze walki z przeważającymi siłami wroga.

Aleksandra wysłano razem z tysiącem żołnierzy, by zepchnął Finów z linii, którą dowożono zaopatrzenie do Leningradu. Mijały tygodnie krwawych walk, podczas których metr po metrze wyrywali terytorium z rąk wroga. Jednego dnia, podczas wyjątkowo ostrej wymiany ognia, zginęło trzystu radzieckich żołnierzy. Aleksander, szacując w ciemnościach straty, znalazł się nagle sam, otoczony wyłącznie martwymi żołnierzami obu stron. Na karelskim froncie zapanowała cisza, a żołnierze NKWD ukryci w krzakach znajdowali się o pół kilometra od niego. Łuski pocisków wciąż płonęły, trzeszczały połamane gałęzie, na śniegu ostro odcinały się kałuże krwi, w powietrzu unosiła się woń zmasakrowanych ciał, tu i tam rozlegał się pojedynczy jęk. Aleksander był sam.

W ciszy słyszał bicie własnego serca. Obejrzał się za siebie. Cisza. W rękach trzymał pistolet maszynowy. Zrobił krok do przodu, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden. Szedł wśród martwych Finów tuż przy linii lasu. Za półtorej minuty może mieć na sobie fiński mundur zdarty z martwego oficera, a w ręce trzymać fiński karabin.

Ciemność. Cisza. Serce waliło mu jak oszalałe. Obejrzał się raz jeszcze. Żołnierze NKWD nie ruszali się z miejsca.

Tylko kilka miesięcy z nią. Kilka miesięcy. Na wielkiej tkaninie jego życia spędzone razem tygodnie, kradzione chwile, noc w Ludze, minuty w szpitalu, autobus, biała sukienka, zielone oczy, uśmiech były tylko małymi plamkami koloru. Jeszcze jeden krok przed siebie. Nie może jej pomóc. Ani jej, ani Daszy, ani Dmitrijowi. Leningrad pochłonie ich wszystkich, a jeśli on zostanie, zginie razem z nimi. Jeszcze jeden krok. Będzie leżał martwy na oblodzonych, zasypanych gruzem ulicach Leningradu.

Na płaskim terenie nie widać było ciężarówek, ludzi, dróg, tylko rowy, ciała i Aleksandra, który powoli robił krok za krokiem. Jakież to proste. Teraz był już wśród Finów. No, pochyl się, znajdź wysokiego oficera, zedrzyj z niego mundur, weź karabin, rzuć swój, porzuć życie, którego nienawidzisz, jeszcze tylko jeden krok. Ruszaj, Aleksandrze. Przecież nie możesz jej ocalić. Ruszaj.

Przez kilka minut stał na fińskiej ziemi w otoczeniu zakrwawionych zwłok.

W kraju, którego nienawidził, znajdowało się jednak coś, czego nigdy w życiu nie potrafiłby porzucić.

Nigdy.

Odwrócił się i zaczął powoli iść przed siebie w ciemności, którą od czasu do czasu przerywał tylko blask latarki lub nagle wybuchający płomień… obejrzał się jeszcze raz, by spojrzeć na las i Finlandię.

Gdyby tylko udało mu się uciec z Rosji tej zimnej wrześniowej nocy, nie czułby teraz tak straszliwego ucisku w sercu. Jego serce byłoby puste, to prawda, ale nie tak ciężkie jak teraz.

Stalin postanowił oddać Leningrad Hitlerowi, by walczyć o życie w Moskwie. Hitler z kolei nie zamierzał zmarnować ani jednego pocisku na miasto i wydał rozkaz, by zagłodzić je na śmierć. Po kilku miesiącach

ulice Leningradu zasłane były ciałami leżącymi w śniegu. Z trudem utrzymujący się jeszcze przy życiu mieszkańcy nazywali je „lalkami".

Kiedy zapasy Tatiany i jej rodziny kurczyły się coraz bardziej, aż w końcu nie zostało im już nic, coraz częściej zwracali się z błagalną prośbą do Aleksandra, by przyniósł im cokolwiek. Im więcej od niego chcieli, tym bardziej Tatiana trzymała się z daleka, stojąc przez cały czas przy drzwiach, kiedy ich odwiedzał. Była coraz bardziej wychudzona i mizerna, lecz on kochał ją coraz bardziej. W samym środku wojny, ostrych walk, wśród leżących na ulicach ciał, zimna, wilgoci i głodu, uczucie Aleksandra do Tatiany rosło, jakby było czule podlewaną i pielęgnowaną rośliną.

250 gramów chleba, które wydzielano mieszkańcom, soja i olej lniany, który kradł dla nich Aleksander, nie wystarczały. Lecz trociny i pasza z wytłoków bawełnianych, którą jadł, w pełni zaspokajały głód jego serca.

Tatiana musiała zostać ewakuowana. W ten lub inny sposób, ale po prostu musiała.

Listopad przeszedł w grudzień. Pokryte śniegiem ulice Leningradu nadal pokrywały ciała, których nikt nie miał siły ani usunąć, ani pochować. Wszyscy grabarze już nie żyli. Nie było prądu ani wody. Nie było nafty, by napalić w piecach i upiec chleb. Ale i tak nie było przecież mąki.

„Aleksandrze, powiedz mi, od jak dawna kochasz moją siostrę?"

„Powiedz mi, od jak dawna kochasz moją siostrę?"

„Od jak – dawna – kochasz – moją siostrę?"

Aleksander mógł powiedzieć: „Daszo, gdybyś ujrzała, jak stoję oniemiały na zalanej blaskiem słońca ulicy w pewien majowy dzień i słucham, jak cudowne zjawisko nuci pod nosem *Pewnego dnia spotkamy się znów we Lwowie, mój ukochany i ja,* poznałabyś odpowiedź".

Łazariewo, 1942

Łazariewo – już sama nazwa przywołuje skojarzenia z mitem, legendą, objawieniem. Łazarz, brat Marii i Marty, wskrzeszony przez Jezusa cztery dni po śmierci. Cud ofiarowany ludziom przez Boga, by utwierdzić ich w wierze, tak bardzo rozgniewał Jego wrogów, że zaczęli knuć spisek, by zabić to, co boskie, i to, co śmiertelne.

Łazariewo – niewielka wioska rybacka rozciągająca się na brzegu potężnej Kamy; rzeki, która od dziesięciu milionów lat płynie przez tysiące kilometrów na południe, by wpaść do największego morza na świecie. Wpadają do niego wszystkie rzeki, a mimo to morze nadal nie jest pełne.

Aleksander pojechał do Łazariewa w ciemno.

Nie miał od niej żadnych wiadomości. Ani słowa przez sześć miesięcy. Musiał sobie tylko powiedzieć: Nie wierzę, by mogła przeżyć. Widziałem na własne oczy tysiące silniejszych od niej, zdrowszych, którym się nie udało. Byli chorzy i ona też była chora. Byli wygłodzeni, ona też. Nie mogli się bronić, podobnie jak ona. Byli sami i ona też była zdana tylko na siebie. Była drobna i słaba, nie mogła przeżyć.

Naprawdę nie musiał nic robić, tylko westchnąć ciężko i wzruszyć z rezygnacją ramionami. Mógł na to spojrzeć trzeźwym okiem, potraktować wszystko bardzo racjonalnie i stwierdzić, że tak po prostu musiało być. Jakież to proste!

Lecz Aleksander zdążył się już nauczyć, że w jego życiu nic nie jest proste; nie mógł liczyć na żadne łatwe rozwiązania ani decyzje.

Miał tylko jedno życie. Pojechał więc do Łazariewa, trzymając je mocno w dłoniach.

Znalazł ją nad brzegami Kamy. Tatiana nie tylko odżyła i wyglądała cudownie, lecz emanowała niezwykłym blaskiem. Światło dosłownie odbijało się od jej całej postaci, bez względu na to, w którą stronę się odwróciła.

Pobiegli razem nad brzeg potężnej rzeki. Tatiana nawet się nie odwróciła.

Nigdy się nie dowie, jakie znaczenie miał dla niego – zatwardziałego grzesznika, po wszystkich tych okropnościach, które widział i robił, dar jej

niewinności.

Widział i czuł, że Tatiana jest gotowa oddać się właśnie jemu w namiocie nad Kamą, bo jest jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek pragnęła. Jedynym, jakiego kiedykolwiek kochała.

Zbyt długo o tym marzył. Zbyt długo marzył o tym, by zobaczyć ją nagą, a teraz marzenie stało się rzeczywistością – leżała przed nim piękna, jasna i czekała tylko na niego.

Przytulił ją mocno. Bał się, że sprawi jej ból. Jeszcze nigdy nie był z dziewczyną, która przeżywała to pierwszy raz, nie wiedział, czy ma najpierw coś zrobić. Oddając mu się, ochrzciła go na nowo. Nie było już Aleksandra; mężczyzna, którego znał, umarł i narodził się na nowo w idealnym, cudownym sercu i duszy, które były darem samego Boga.

Pomyślał o niej. Była zupełnie sama na świecie.

Nie miała nikogo poza nim.

Tak jak on.

Przed wstąpieniem do wojska miał jeszcze rodziców. Teraz był zupełnie sam.

Przed przyjazdem do Związku Radzieckiego miał dziadków i ciotkę. Teraz był sam.

Przed przyjazdem do Związku Radzieckiego miał Amerykę. Teraz już nie.

Przez ostatnie pięć lat spotykał się z kobietami, których imion nie pamiętał. Nie pamiętał ich twarzy. Spotykał się z kobietami, dla których on sam nie znaczył nic. Dzięki niemu spędzały jedynie parę miłych chwil w sobotni wieczór. Łączyła go z nimi jedynie cienka nić, która znikała równie szybko, jak gasł jego papieros. W Armii Czerwonej nie było nic trwałego. Nic nie trwało długo w Związku Radzieckim. Nic nie trwało długo dla Aleksandra.

Ostatnie pięć lat życia spędził wśród młodych mężczyzn, którzy mogli za chwilę zginąć, i rzeczywiście ginęli. Ginęli na jego oczach, ginęli, gdy ich osłaniał, umierali, gdy niósł ich na plecach do bazy, ginęli, gdy ich ratował,

stale ginęli. Z nimi też nic nie mogło połączyć go na dłużej. Lepiej od innych wiedział, jak kruche jest życie podczas wojny.

Tatiana przeżyła jednak wielki głód, przebrnęła przez śniegi leżące na brzegach Wołgi i znalazła się w jego namiocie, by pokazać mu, że w jego życiu jest jednak coś stałego, co trwa i będzie trwać na zawsze. W życiu Aleksandra była jedna nić, której nie mogła zerwać ani śmierć, ani rozpacz, ani odległość, czas, wojna, komunizm. Nic jej nie zerwie, szepnęła Tatiana. Dopóki ja żyję na tym świecie, szeptała całym swoim ciałem, dopóki oddycham, ty też będziesz trwał, żołnierzu.

Uwierzył jej.

I w obliczu Boga wziął za żonę.

Aleksander siedział na kocu, opierając się plecami o pień brzozy. Siedziała na nim, całując go tak namiętnie, że z trudem łapał oddech.

– Taniu… – szepnął – …poczekaj.

Spędzali swój trzeci ranek jako mąż i żona. Wstali, umyli się, zjedli śniadanie, a teraz siedzieli objęci pod brzozą.

– Szura, najdroższy, nie mogę uwierzyć, że jesteś moim mężem. Moim mężem. Komu mogę o tym powiedzieć?

– Na przykład mnie.

– Szura, mój mężu do końca życia.

– Mmmm – pieścił dłońmi jej uda.

– Wiesz, co to oznacza? Przysiągłeś przed Bogiem, że do końca życia będziesz się kochał tylko ze mną.

– Zrobię to z radością.

– Czytałam, że w niektórych afrykańskich kulturach mąż daje żonie swoją wątrobę na znak wiecznej miłości – zachichotała.

– Możesz ją sobie wziąć, Taniu, ale nie będziesz miała potem ze mnie żadnego pożytku. Może najpierw powinnaś się ze mną trochę pokochać.

– Szura, poczekaj.

– Nie. Zdejmij sukienkę.

Rozebrała się.

– A teraz usiądź na mnie.

– Ale ty jesteś ubrany.

– Wiem. Usiądź, proszę – patrzył na nią wygłodniałym wzrokiem. Miała piękne ciało. Aleksander oglądał w życiu wiele kobiet. Tania – zgrabna, drobna, o gładkiej kremowej skórze – stanowiła ucieleśnienie wszystkich jego pragnień. Jego młoda żona miała wszystko, co zachwycało go w kobiecym ciele. Szczupłą talię i lekko zaokrąglone biodra, miękkie uda, pełne piersi i stale nabrzmiałe brodawki. Od stóp aż po koniuszki jasnych włosów była miękka i gładka jak aksamit. Aleksander poczuł, że zaczyna brakować mu tchu. Rozłożył szeroko ramiona.

– Chodź do mnie – powiedział.

Usiadła na nim.

– Tak? – spytała.

– Wspaniale – odparł, przesuwając dłońmi po jej lśniącym ciele. Czując pod koniuszkami palców jej aksamitną skórę, jęknął przeciągle. Tatiana uniosła się lekko, by mógł całować jej piersi. Objął ją za biodra i zamknął oczy.

– Taniu, wiesz, że w Etiopii kobieta, która chce być dla męża jeszcze bardziej atrakcyjna, nacina skórę na piersiach i wciera w rozcięcia popiół, by pozostały trwałe blizny?

Sadowiąc się znów na nim wygodnie, Tatiana spojrzała mu prosto w oczy i spytała:

– Podobałoby ci się to?

– Nieszczególnie – uśmiechnął się. – Podoba mi się jednak ofiara, jaką gotowa jest ponieść dla męża.

– Ofiara mówisz? Wiesz, że w tej samej Etiopii kobiety golą się dla męża od szyi w dół?

– Mmmm.

– Co ty na to?

Tulił ją mocno do siebie, przesuwając językiem po jej ustach.

– Może być.

– Szura!

– Co? A wiesz, że w niektórych kulturach afrykańskich kobietom nie wolno się odzywać do męża, dopóki on nie odezwie się pierwszy?

– Tak, a w jeszcze innych mogą flirtować z mężem i jego kuzynem. A jeśli tylko chcą, mogą zapraszać do swojego łóżka obu mężczyzn. I co ty na to? – ciągnęła dalej, nie czekając na jego odpowiedź. – A jeszcze inne okrywają się od stóp do głów… jak to się nazywa…

– Czarną skrzynką – odparł z uśmiechem Aleksander.

– Nie, nie żartuj… Jak to się nazywa?

– Burka.

– Tak! Okrywają się burką. Przez całe życie będę chodzić okryta szczelnie burką, lecz na początku małżeństwa będziesz musiał odsunąć materiał z mojej twarzy, ja ci w tym pomogę, a szefem w małżeństwie będzie ta osoba, której ręka znajdzie się na wierzchu – roześmiała się głośno. – I co ty na to, mężu?

Objął dłońmi jej pośladki. Przez chwilę nie mógł wydusić z siebie ani słowa, gdy całowała go namiętnie, by zakończyć wszelkie spory.

– Po pierwsze – powiedział wreszcie ochrypłym głosem – siostra mojego ojca nie miała dzieci, więc kuzyn odpada. Po drugie, bardzo bym chciał, żebyś chodziła zakryta od stóp do głów, bo nikt nie mógłby cię oglądać. Tylko ja. A co się tyczy trzeciej kwestii, to trudno mi sobie wyobrazić, by taka drobina jak ty mogła być szefem czegokolwiek.

– Masz bardzo ograniczoną wyobraźnię, żołnierzu – odparła dzielnie, nie przestając go całować.

Chciał zdjąć ubranie, ale nie mógł się ruszyć. Tatiana przywarła kolanami do jego piersi, obejmowała go za głowę i całowała namiętnie w usta.

Jęknął cicho.

– Wiesz, co robiliśmy w Barrington? Choć to nie Afryka, nacinaliśmy z kolegami nadgarstki i na znak wiecznej przyjaźni zawieraliśmy braterstwo krwi.

– Jeśli chcesz, możemy to zrobić, ale w Rosji potwierdzeniem małżeństwa jest dziecko – ugryzła go lekko w szyję.

– Coś ci powiem. Pozwól mi tylko wstać, a pokażę ci, co możemy zrobić, by potwierdzić fakt zawarcia małżeństwa – nie tylko nie poruszyła się, ale jeszcze mocniej przycisnęła kolana do jego piersi. – Taniu… – czuł tylko dotyk jej gorących warg i z minuty na minutę słabł coraz bardziej.

– Przed chwilą byłam drobiną – szepnęła – a teraz nie możesz mnie nawet z siebie zrzucić.

Nawet nie próbował. Trzymając ją jedną ręką, zerwał się z ziemi i stanął wyprostowany.

– Ty, moja najdroższa żono – powiedział – jesteś lżejsza niż cały sprzęt, który noszę. Nie wspominając o broni i moździerzu – wolną ręką zaczął rozpinać spodnie.

– Gdzie jest ten twój moździerz? – spytała ochrypłym głosem Tatiana, całując go w szyję.

Czas czas czas.

Zatrzymać zatrzymać zatrzymać.

Zatrzymać czas zatrzymać czas zatrzymać czas.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Sam Gulotta, Waszyngton, lipiec 1944

Tatiana nie mogła zapomnieć o medalu. Nie mogła zapomnieć o Orbelim. Po raz pierwszy zdecydowała się wziąć wolny dzień, zabrała ze sobą Anthony'ego i pojechała na dworzec Pennsylvania. Kupiła bilet na pociąg jadący do Waszyngtonu, gdzie przy Pennsylvania Avenue odnalazła Departament Sprawiedliwości. Przez cztery godziny odsyłano ją z Biura Imigracji do Biura Imigracji i Naturalizacji, potem do biura Interpolu. W końcu trafiła do urzędnika, który powiedział jej, że znalazła się w zupełnie złym budynku i departamencie. Musi udać się do Departamentu Stanu przy C Street. Razem z Anthonym weszła do niewielkiej kawiarenki, gdzie zjedli zupę, a kartki na mięso wymienili na ciepłe kanapki z bekonem. Nadal nie mogła się nadziwić, że w kraju pozostającym w stanie wojny można dostać tak pyszne przetwory z mięsa.

W Departamencie Stanu wędrowała od Biura Spraw Europejskich do Biura do spraw Populacji, Uciekinierów i Migracji. Wreszcie znalazła Wydział Spraw Konsularnych, gdzie u kresu sił i ze zmęczonym dzieckiem powiedziała recepcjonistce, że nie ruszy się z miejsca, dopóki nie spotka się z kimś, kto będzie mógł jej udzielić informacji na temat Amerykanów opuszczających Stany Zjednoczone na zawsze.

Tak poznała Sama Gulottę.

Sam był potężnie zbudowanym mężczyzną po trzydziestce. Z taką posturą i kręconymi brązowymi włosami przypomniał Tatianie bardziej nauczyciela wychowania fizycznego niż zastępcę sekretarza do spraw konsularnych. Niewiele się zresztą pomyliła; powiedział jej potem, że jest

trenerem baseballowej drużyny syna. Temu zajęciu poświęcał popołudnia, wyjeżdżał też z chłopcami na obozy letnie. Bębniąc palcami o zniszczony drewniany blat zarzucony papierami, Sam pochylił się w jej stronę i spytał:

– O co chodzi?

Tatiana odetchnęła głęboko i przytuliła mocniej do piersi marudnego synka.

– Tutaj? – odparła.

– A gdzie? Przy kolacji? Tak, tutaj – uśmiechał się przy tym ciepło. Nie był z natury opryskliwy, ale w to czwartkowe popołudnie na rządowym zegarze powoli dochodziła piąta.

– Panie Gulotta, kiedy przebywałam jeszcze w Związku Radzieckim, poznałam i poślubiłam mężczyznę, który przyjechał do Moskwy jako mały chłopiec. Myślę, że kiedy go poznałam, był nadal obywatelem amerykańskim.

– Naprawdę? – zdziwił się Sam. – A co pani robi w Stanach? I jak się pani teraz nazywa?

– Jane Barrington – odparła Tatiana, wyjmując z torebki kartę stałego pobytu. – Dostałam już to, a niedługo zostanę obywatelką amerykańską. Ale mój mąż… jak mam to panu wyjaśnić? – Raz jeszcze odetchnęła głęboko i zaczęła opowiadać historię Aleksandra. Zakończyła ją na wydanym przez Czerwony Krzyż akcie zgonu i na ucieczce ze Związku Radzieckiego razem z doktorem Sayersem.

Gulotta słuchał w milczeniu.

– Zdradza mi pani zbyt wiele – powiedział w końcu.

– Wiem. Ale potrzebuję pańskiej pomocy. Chcę się dowiedzieć, co się stało z moim mężem – odparła słabym głosem.

– Wie pani, co się z nim stało. Ma pani przecież akt zgonu.

Jak mu wytłumaczyć medal Bohatera Związku Radzieckiego, który znalazła w plecaku? Gulotta nic nie zrozumie. Bo kto mógłby to zrozumieć? Jak wyjaśnić Orbelemu?

– Może on jednak nie zginął?

– W tej sprawie ma pani więcej informacji ode mnie.

Jak wytłumaczyć Amerykaninowi bataliony karne? Spróbowała.

– Proszę wybaczyć, że pani przerywam, ale o czym pani mówi? Jakie bataliony? Jacy oficerowie wyższej rangi? Ma pani akt zgonu. Pani mąż, obojętnie kim był, nie został aresztowany. Utonął. I nie podlega mojej jurysdykcji.

– Może jednak nie utonął? Akt zgonu mógł zostać sfałszowany, a on mógł trafić do aresztu i jest teraz w jednym z tych batalionów.

– Na jakiej podstawie tak pani sądzi?

Tego nie mogła mu wytłumaczyć. Nawet nie próbowała.

– Z powodu nieprzesłyszanych okoliczności…

– Nieprzesłyszanych? – Gulotta nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Ja…

– Chodzi pani o nieprzewidziane?

– Tak. – Tatiana się zarumieniła. – Mój angielski… nadal się uczę…

– Świetnie sobie pani radzi. Proszę mówić dalej.

Siedząca w rogu za ladą gruba kobieta w średnim wieku, mrużąc oczy, patrzyła na Tatianę z pełną zadowolenia dezaprobatą.

– Panie Gulotta – zaczęła Tatiana – czy na pewno jest pan osobą, z którą powinnam rozmawiać? Może mam się zwrócić do kogoś innego?

– Nie wiem, czy jestem właściwą osobą. – Spojrzał na nią zza lady. – Przecież nie wiem, z jakiego powodu pani się tu znalazła. Może nie powinna pani rozmawiać właśnie ze mną, ale mój szef już wyszedł. Proszę mi powiedzieć, czego pani potrzebuje.

– Chcę się dowiedzieć, co się stało z moim mężem.

– Tylko tyle? – spytał z ironią w głosie.

– Tak. Tylko tyle. – W głosie Tatiany nie było śladu ironii.

– Zobaczę, co da się zrobić. Możemy się spotkać w przyszłym tygodniu? Wystarczy?

Zrozumiała, co chce jej powiedzieć.

– Panie Gulotta…

– Proszę mnie uważnie posłuchać. – Mówiąc to splótł dłonie. – Nie wydaje mi się, bym był właściwą osobą. W całym tym departamencie, nie,

w całym rządzie nie znajdzie pani właściwej osoby, która może pani pomóc. Proszę mi powiedzieć raz jeszcze, jak brzmi nazwisko pani męża.

– Aleksander Barrington.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Pracował pan tutaj w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku? Wtedy właśnie wyemigrował razem z rodzicami.

– Nie, wtedy byłem jeszcze na studiach. Ale nie o to chodzi.

– Mówiłam już panu…

– Ach tak, nieprzesłyszane okoliczności.

Tatiana odwróciła się i już miała odejść, gdy poczuła na ramieniu jego dłoń. Wyszedł zza lady.

– Proszę jeszcze nie odchodzić. Wszyscy kończymy już pracę. Dlaczego nie przyszła pani do mnie wcześniej?

– Wyjechałam z Nowego Jorku pociągiem o piątej rano. Mam tylko dwa wolne dni, czwartek i piątek. Aż do tej pory wędrowałam po budynkach departamentów Stanu i Sprawiedliwości. Jest pan pierwszą osobą, która zgodziła się ze mną porozmawiać. W następnej kolejności zamierzałam odwiedzić Biały Dom.

– Nasz prezydent jest chyba dość zajęty. Słyszałem coś o inwazji w Normandii. Podobno toczy się jakaś wojna.

– Wiem – odparła Tatiana. – Byłam pielęgniarką na tej wojnie. I nadal nią jestem. Czy Rosjanie mogą panu pomóc? Są teraz naszymi sojusznikami. Chcemy przecież tylko uzyskać pewne informacje. – Zacisnęła kurczowo dłonie na poręczy wózka. Sam Gulotta nie spuszczał z niej wzroku.

Gotowa była się poddać, ale Sam miał takie dobre oczy. Oczy, które wiele widziały i czuły.

– Proszę sprawdzić jego akta. Musicie przecież mieć akta ludzi, którzy emigrują do Związku Radzieckiego. Ilu ich może być? Proszę koniecznie sprawdzić jego akta. Może coś pan tam znajdzie. Aleksander był jeszcze małym chłopcem, kiedy wyjechał z Ameryki.

Sam jęknął z niedowierzaniem.

– Dobrze. Załóżmy, że sprawdzę jego akta i dowiem się, że jako mały chłopiec wyemigrował z Ameryki. I co z tego? To już pani wie.

– Może będą tam jakieś inne informacje. Związek Radziecki i Stany Zjednoczone wymieniają przecież informacje, prawda? Może zdoła się pan dowiedzieć, co się z nim stało? Co się naprawdę stało.

– Czy mogę uzyskać informacje pewniejsze od aktu zgonu? – mruknął Gulotta, po czym już głośniej dodał: – Załóżmy, że jakimś cudem uda mi się ustalić, iż pani mąż żyje. I co wtedy?

– Wtedy resztę zostawi pan mnie.

Sam westchnął ciężko.

– Proszę tu wrócić jutro rano. O dziesiątej. Spróbuję odnaleźć te akta. Proszę mi przypomnieć, w którym roku wyemigrowali?

– W grudniu tysiąc dziewięćset trzydziestego roku – powiedziała, a na jej twarzy nareszcie pojawił się uśmiech.

Zatrzymała się w niewielkim hotelu przy C Street niedaleko Departamentu Stanu. Wynajęcie pokoju sprawiło jej wielką przyjemność. Żadnych problemów, trudności, zbędnych pytań. Nie musiała też okazywać dokumentów. Wystarczyły trzy dolary i znalazła się w przyjemnym pokoju z łazienką. Jakież to proste. Nikt się jej nawet specjalnie nie przyglądał mimo wyraźnego rosyjskiego akcentu.

Następnego ranka już przed dziewiątą zjawiła się w Wydziale Spraw Konsularnych. Przez godzinę siedziała na ławeczce, trzymając synka na kolanach. Bawiła się jego drobnymi paluszkami i pokazywała mu obrazki w książeczce. Gulotta zjawił się za kwadrans dziesiąta i gestem zaprosił ją do swojego biura.

– Proszę usiąść – powiedział. Na biurku leżała przed nim teczka gruba na dwadzieścia centymetrów. Przez kilka chwil, może minutę, Sam nie odzywał się ani słowem. Nie odrywał wzroku od swoich opartych na teczce dłoni. Wreszcie westchnął ciężko.

– Proszę mi przypomnieć, kim pani jest dla Aleksandra Barringtona.

– Żoną – odparła cicho Tatiana.

– Jane Barrington?

– Tak.

– Jane Barrington to nazwisko jego matki.

– Wiem. Dlatego je przyjęłam – odparła, patrząc podejrzliwie na Sama, który równie podejrzliwie się jej przyglądał. – Przyjęłam jej nazwisko, żeby móc się wydostać ze Związku Radzieckiego. – Próbowała się domyślić, nad czym Sam tak głęboko się zastanawia. – Co pana tak martwi? Że jestem komunistką?

– Jak się pani naprawdę nazywa?

– Tatiana.

– Tatiana i co dalej? Jak brzmiało pani rosyjskie nazwisko?

– Tatiana Mietanowa.

Sam Gulotta przyglądał się jej badawczo. Wydało się jej, że minęły długie godziny. Ręce zaciskał wciąż na opasłej teczce.

– Czy mogę mówić do pani po imieniu?

– Oczywiście.

– Wydostałaś się ze Związku Radzieckiego jako pielęgniarka Czerwonego Krzyża?

– Tak.

– No, no. Miałaś sporo szczęścia.

– Tak. – Spuściła wzrok.

– W Związku Radzieckim nie ma już Czerwonego Krzyża. *Verboten*. Zakazany. Kilka miesięcy temu amerykański Departament Stanu złożył oficjalną ofertę pomocy w radzieckich szpitalach i obozach dla jeńców wojennych, lecz minister spraw zagranicznych Mołotow osobiście odmówił. To niesamowite, że udało ci się uciec. – Spojrzał na nią, zdziwiony tym, czego udało się jej dokonać. Tatiana znów miała ochotę spuścić wzrok. – Opowiem ci coś o Aleksandrze i jego rodzicach. Wyjechali ze Stanów w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku. Harold i Jane Barrington byli zagorzałymi komunistami. Poprosili o azyl polityczny w Związku Radzieckim, mimo że nasze władze wielokrotnie próbowały ich od tego odwieść. Harold Barrington prowadził tu działalność, którą można uznać za wywrotową, ale nadal był obywatelem amerykańskim i naszym

obowiązkiem było go chronić. Wiesz, ile razy był aresztowany? Trzydzieści dwa. A zgodnie z naszymi informacjami trzykrotnie aresztowano z nim syna. Dwa razy mały Aleksander spędził letnie wakacje w izbie dla młodych przestępców, bo jego rodzice siedzieli w więzieniu i woleli, żeby syn spędzał wakacje w więzieniu niż u krewnych…

– U jakich krewnych? – przerwała mu Tatiana.

– Harold miał siostrę, Esther Barrington.

Aleksander tylko raz, przelotnie wspomniał o siostrze ojca. Niski, gardłowy głos Gulotty denerwował Tatianę. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że wymawia słowa bardzo ostrożnie, jakby chciał ukryć kryjącą się za nimi straszną prawdę.

– Czy może mi pan powiedzieć, co to wszystko oznacza? – spytała w końcu. – Co chce mi pan dać do zrozumienia?

– Proszę pozwolić mi skończyć. To prawda, Aleksander nie zrezygnował z obywatelstwa amerykańskiego, ale zrobili to jego rodzice. W tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku oddali paszporty, mimo że pracownicy naszej ambasady w Moskwie próbowali im to wielokrotnie wyperswadować. W tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku matka Aleksandra zjawiła się w ambasadzie z prośbą, by udzielono azylu jej synowi.

– Wiem. Ta wyprawa do ambasady kosztowała ją życie. Niedługo potem zginął także jej mąż. Aleksander też by zginął, gdyby nie udało mu się uciec w drodze do więzienia.

– To prawda – odparł Gulotta. – Musisz jednak wiedzieć, że Aleksander nie podlegał już naszej jurysdykcji. Kiedy uciekł, był już obywatelem radzieckim.

– Ale nie chciał nim być. Wstąpił tylko do wojska.

– Na ochotnika?

– Na ochotnika zapisał się do szkoły oficerskiej. Ale w wieku szesnastu lat wszyscy chłopcy w Związku Radzieckim muszą się zarejestrować w wojskowej komisji rekrutacyjnej. On też to zrobił.

Sam się zamyślił.

– Kiedy wstąpił do wojska, został automatycznie obywatelem radzieckim?

– Tak.

– W tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku władze radzieckie zwróciły się do nas z prośbą o pomoc w odnalezieniu Aleksandra Barringtona. Poinformowano nas, że to przestępca i uciekinier, i gdyby przypadkiem zwrócił się do nas, nie mamy prawa udzielać mu żadnej pomocy. Gdyby rzeczywiście trafił do nas, w myśl obowiązującej nas umowy międzynarodowej musielibyśmy go wydać w ręce władz radzieckich. – Gulotta urwał na chwilę. – Mieliśmy natychmiast zawiadomić władze radzieckie, gdyby Aleksander Barrington szukał u nas azylu, bo jest obywatelem radzieckim, a na dodatek przestępcą politycznym, który właśnie wymknął się z rąk sprawiedliwości.

Tatiana wstała.

– On należy do nich – powiedział Sam. – Nie do nas. Nie możemy ci pomóc.

– Dziękuję, że poświęcił mi pan czas – odparła drżącym głosem, zaciskając dłonie na rączce wózka Anthony'ego. – Przepraszam, że zawracałam panu głowę.

Gulotta podniósł się z krzesła.

– Nasze stosunki ze Związkiem Radzieckim ustabilizowały się, bo walczymy po tej samej stronie. Ale trudno mówić o wzajemnym zaufaniu. Co się stanie, gdy wojna wreszcie się skończy?

– Nie wiem – odparła. – Co się stanie?

– Poczekaj – powiedział Gulotta, wychodząc zza biurka i stając przed Tatianą.

– Muszę już iść – odparła. – Muszę zdążyć na pociąg.

– Poczekaj – powtórzył, wyciągając rękę. – Usiądź jeszcze na chwilę.

– Nie chcę już siadać.

– Posłuchaj – powiedział, dając jej znak, by jednak usiadła. – Jest coś jeszcze... – Usiadł obok niej. Anthony chwycił go za nogę. Sam spojrzał na malca i uśmiechnął się. – Czy wyszłaś ponownie za mąż?

– Ależ skąd – odparła słabym głosem.

Gulotta spojrzał na chłopca.

– To jego dziecko – wyjaśniła Tatiana.

– Nikomu o tym nie opowiadaj – powiedział Gulotta po chwili milczenia. – Nikomu nie opowiadaj o Aleksandrze Barringtonie. Nie chodź do Departamentu Sprawiedliwości, nie szukaj informacji w biurach w Nowym Jorku i Bostonie. Nie szukaj jego krewnych.

– Dlaczego?

– Ani dzisiaj, ani jutro, ani w przyszłym roku. Nie ufaj nikomu. Pamiętaj, że piekło wybrukowano dobrymi chęciami. Nie chcesz chyba, żeby ktokolwiek zasięgał informacji o Aleksandrze w jego imieniu albo też powodowany źle pojętym współczuciem. Jeśli skontaktuję się z Rosjanami, szukając informacji o Aleksandrze Barringtonie, na pewno nie spojrzą na mnie łaskawym okiem. Jeśli zacznę wypytywać ich, gdzie może się podziewać Aleksander Biełow, który tak naprawdę nazywa się Aleksander Barrington, to mogę tylko naprowadzić władze radzieckie na jego ślad.

– Rozumiem to wszystko lepiej, niż pan sądzi – odparła Tatiana, spuszczając wzrok na siedzącego w wózku synka.

– Masz kartę stałego pobytu?

Skinęła głową.

– Zdobądź jak najszybciej obywatelstwo amerykańskie. Twój synek jest obywatelem amerykańskim czy…

– Jest Amerykaninem.

– To dobrze. Bardzo dobrze – odchrząknął. – Bo jest coś jeszcze…

Tatiana milczała.

– W aktach znalazłem też informację, że w marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku władze radzieckie skontaktowały się z Departamentem Stanu w sprawie obywatelki Tatiany Mietanowej, poszukiwanej za szpiegostwo, dezercję i zdradę. Rosjanie podejrzewają, że udało się jej zbiec na Zachód. Przysłali nam telegram z zapytaniem, czy Tatiana Mietanowa nie prosiła przypadkiem o azyl w Stanach Zjednoczonych i nie szukała informacji o swoim mężu, Aleksandrze

Biełowie, podejrzanym o to, że jest Amerykaninem, Aleksandrem Barringtonem. Tatiana Mietanowa nie zrezygnowała z obywatelstwa radzieckiego. W zeszłym roku wysłaliśmy odpowiedź, że kobieta o takim nazwisku nie próbowała się z nami kontaktować. Poprosili, byśmy natychmiast dali im znać, gdyby do takiej próby doszło. Dano nam również do zrozumienia, że nie powinniśmy udzielać jej statusu uchodźcy.

Milczeli oboje przez długą chwilę.

– Czy Tatiana Mietanowa próbowała zasięgać informacji w sprawie Aleksandra Barringtona? – spytał wreszcie Sam.

– Nie – szepnęła.

– Tak też myślałem. Nie będę więc musiał umieszczać w tych aktach żadnej nowej notatki.

– Nie – powtórzyła cicho. Poczuła na plecach dłoń Sama. Poklepał ją lekko, próbując dodać otuchy.

– Jeśli zostawisz mi swój adres, napiszę, gdy tylko czegoś się dowiem. Ale rozumiesz...

– Rozumiem wszystko – szepnęła.

– Może ta przeklęta wojna wreszcie się skończy, a sprawy w Związku Radzieckim też przybiorą inny obrót. Jeśli dojdzie do ocieplenia stosunków, może uda nam się zdobyć jakieś informacje. Po wojnie może być łatwiej.

– Po której? – spytała Tatiana, nie podnosząc oczu. – Może to ja do pana napiszę. Nie będzie pan musiał zapisywać mojego adresu. Zawsze można mnie znaleźć w szpitalu na wyspie Ellis. Bo tak naprawdę to nie mam jeszcze adresu. Nie mieszkam... – Urwała. Czuła bolesny ucisk w gardle i choć bardzo chciała wyciągnąć do Sama rękę, nie mogła tego zrobić.

– Gdybym tylko mógł, na pewno bym ci pomógł – powiedział. – Nie jestem wrogiem – dodał cicho.

– Nie – odparła, wychodząc z biura. – Ale właśnie się okazało, że ja nim jestem.

Tatiana wzięła dwa tygodnie urlopu, tłumacząc, że bardzo potrzebuje wakacji. Próbowała przekonać Vikki, by pojechała razem z nią, lecz Vikki była zajęta flirtowaniem z dwoma stażystami i niewidomym muzykiem i nie miała czasu.

– Nie zamierzam wybierać się z tobą w jakąś podróż-niespodziankę. Wiesz już może, dokąd pojedziesz?

– Anthony chce zobaczyć Wielki Kanion.

– Anthony ma dopiero rok! I na pewno chce, żeby jego mama znalazła sobie wreszcie mieszkanie i nowego męża, niekoniecznie w tej kolejności.

– Nie. W grę wchodzi tylko Wielki Kanion.

– Obiecałaś mi, że poszukamy razem mieszkania.

– Wybierz się z nami, to może po powrocie zaczniemy szukać mieszkania.

– Kłamiesz.

Tatiana się roześmiała.

– Vikki, na Ellis jest mi bardzo dobrze, zrozum to.

– I na tym polega cały kłopot. Tobie wcale nie jest tu dobrze. Jesteś sama jak palec, mieszkasz z dzieckiem w maleńkim pokoju, korzystasz ze wspólnej łazienki. Na miłość boską, jesteś przecież w Ameryce! Wynajmij sobie mieszkanie. Dla nas, Amerykanów, to zupełnie normalna rzecz.

– Ty nie masz mieszkania.

– O Boże święty! Ja mam dom.

– Ja też.

– Bronisz się przed tym celowo. Bo masz wygodną wymówkę, żeby się z nikim nie wiązać.

– Nie potrzebuję żadnych wymówek.

– Kiedy zaczniesz być znów młoda? Myślisz, że gdyby on żył, byłby ci wierny? Uwierz mi, na pewno by nie czekał. Możesz być pewna, że pieprzyłby się jak szalony, przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Vikki, jak możesz mówić coś, o czym tak naprawdę nie masz pojęcia?

– Bo znam mężczyzn. Wszyscy są tacy sami. Tylko nie zacznij mi opowiadać, że twój jest inny. To przecież żołnierz. A oni są gorsi od

muzyków.

– Od muzyków?

– Nieważne.

– Koniec z tym gadaniem. Mam pacjentów. Muszę pojechać do Czerwonego Krzyża. Mówiłam ci już, że zgłosiłam się do pracy na pół etatu w Amerykańskim Czerwonym Krzyżu? Potrzebują tam ludzi. Może się zgłosisz?

– Zważ moje słowa. Pieprzyłby się jak szalony. Tak jak ty powinnaś.

– Taniu? – słyszy za sobą jego szept. Jest tak ciemno, że nic nie widzi; ma wrażenie, że to sen. – Tatiu? Śpisz?

– Teraz już nie – odpowiada, odwracając się do niego. Czuje jego oddech, mieszaninę wódki, papierosów, herbaty i proszku do czyszczenia zębów; czuje też zapach mydła i zapach jego, Aleksandra. Unosi dłoń, by dotknąć jego ust. – Szura, co się dzieje, kochany? Nie możesz spać? Nigdy nie miałeś z tym kłopotu.

– Słyszysz, co się dzieje na zewnątrz? Szaleje burza. Jutro rano, jeśli pogoda się poprawi, wstaniemy wcześnie i pójdziemy na ryby.

– Dobrze. Tylko mnie obudź, żołnierzu.

Odnajduje w ciemności jej czoło i przyciska do niego usta. Ona przytula się mocniej do jego piersi i zamyka oczy. A może miała je zamknięte przez cały czas?

– Mamy za sobą dobry dzień, prawda, Tatiu?

– Oczywiście, kochanie. Każdy dzień jest idealny. To przecież nasz miesiąc miodowy. – Uśmiecha się w ciemności.

Przytula ją mocno do siebie.

– Taniu, wybaczysz mi, jeśli zginę?

– Tak.

– A jeśli trafię do więzienia?

– Też.

– Wybaczysz...

– Wybaczę ci wszystko.

Leżą w ciemnościach, mocno objęci.

– To idealny dzień – szepcze on. – Ale na koniec zawsze pojawia się ból.

– Nie – odpowiada Tania, obejmując go mocno ramionami. – To nie jest ból. To miłość, Szura.

Rozdział dwudziesty drugi

Majdanek, lipiec 1944

Pod koniec lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku Aleksander wraz ze swoimi ludźmi wkroczył na Majdanek, wyzwolony przez Rosjan przed zaledwie trzema dniami. Obóz leżał na płaskim, porośniętym brązowo-zieloną trawą terenie, a przysadziste, zielone baraki wyglądały niemal przyjaźnie. Aleksander natychmiast poczuł unoszący się w powietrzu zapach palonych ciał, lecz nie wspomniał o tym ani słowem. Cisza zapadająca powoli wśród jego żołnierzy powiedziała mu jednak, że oni też to poczuli.

– Dlaczego kazali nam tu przyjść? – spytał Tielikow. Podszedł do Aleksandra i razem z nim przez płot z drutów kolczastych spoglądał na Lublin. Miasto rozciągało się w dole łagodnego zbocza.

– Chcieli nam to pokazać, zanim zaczniemy przedzierać się dalej – odparł Aleksander. – Żebyśmy nie czuli litości w stosunku do Niemców.

Uspieński zapytał, czy mieszkańcy Lublina czuli to, co on. Aleksander wyjaśnił, że prawdopodobnie czuli to każdego dnia od miesięcy.

Obóz był niewielki i wydawał się niemal pogodny – jakby po odejściu ludzi zostały tu jedynie duchy…

I popiół…

I kości…

I niebieskie smugi cyklonu B na betonowych ścianach.

Kości udowe i obojczyki…

Wizjery w stalowych drzwiach.

„Łaźnia” stojąca z jednej strony obozu.

Piece z jednym wysokim kominem z drugiej.

Łącząca je droga.

Dzielące je baraki.

Dom komendanta.

Baraki SS.

I nic więcej.

Żołnierze szli przez obóz w milczeniu. Po chwili pochylili głowy, a gdy znaleźli się już po drugiej stronie, zdjęli czapki.

– Trudno udawać, że był to tylko obóz pracy, co? – powiedział Uspieński do Aleksandra.

– Tak.

Ich uwagę przykuło jednak coś innego. Za piecami wznosiły się całe góry białego popiołu, wysokie na dwa piętra. Popiół rozsypywano potem na ziemi, a na nim rosły ogromne kapusty. Aleksander, jego porucznik, sierżanci, kaprale i szeregowcy wpatrywali się w milczeniu w ogromne główki kapusty. Ktoś nagle powiedział, że jeszcze w życiu nie widział tak wielkich i gdyby zabrali jedną ze sobą, mogliby ugotować wieczorem kolację dla osiemdziesięciu ludzi. Aleksander nie pozwolił im nawet dotknąć kapusty. Jednak gdy znaleźli się w długim, drewnianym magazynie pełnym butów wszelkich rozmiarów i fasonów, pozwolił im zabrać po parze. Wiedział, że w Armii Czerwonej o buty nie jest łatwo, a już na pewno nie jest o nie łatwo w batalionach karnych. Buty piętrzyły się od podłogi do sufitu, ściśnięte za metalową siatką.

– Jak myślicie, ile ich tu jest? – spytał Uspieński.

– A co ja jestem, matematyk? – rzucił Aleksander. – Chyba setki tysięcy.

Opuścili obóz w milczeniu. Nie zatrzymali się nawet przy drucie kolczastym, żeby spojrzeć na wieże kościołów rozciągającego się przed nimi Lublina.

– Jak myślicie, kapitanie, kogo tam zabijali? Polaków?

– Hmmm. Tak, na pewno. Ale przede wszystkim polskich Żydów – odparł Aleksander. – Ale dowództwo wam o tym nie powie. Nie chcą, żeby armia radziecka złagodniała.

– Jak długo to trwało? – dopytywał się Uspieński.

– Majdanek zaczął działać osiem miesięcy temu. Dwieście czterdzieści dni. Trochę mniej, niż potrzeba, by kobieta wydała na świat nowe życie. A im udało się wykończyć półtora miliona ludzi.

Nikt nie odzywał się ani słowem, dopóki nie znaleźli się dobry kilometr od obozu.

– Miejsce takie jak to jest dla mnie kolejnym dowodem, że komuniści mieli rację – powiedział Uspieński. – Boga nie ma.

– To mi nie wyglądało na dzieło Boga, poruczniku – odparł Aleksander.

– Jak Bóg mógł pozwolić na coś takiego?! – wykrzyknął Uspieński.

– Tak samo, jak pozwala na wybuch wulkanu i zbiorowy gwałt. Przemoc to straszna rzecz.

– Boga nie ma – powtórzył z uporem w głosie Uspieński. – Majdanek, komuniści i nauka udowodnili nam, że Boga nie ma.

– Nie mogę się wypowiadać w imieniu komunistów. Majdanek pokazał nam tylko nieludzkie i okrutne oblicze człowieka. To dowód na to, co człowiek potrafi czasem zrobić z otrzymaną od Boga wolną wolą. Gdyby Bóg stworzył tylko dobrych ludzi, trudno byłoby nazwać ten dar wolną wolą, prawda? A tak dla porządku chciałbym też zauważyć, że zadaniem nauki nie jest wcale pokazanie nam, czy gdzieś daleko we wszechświecie kryje się Bóg.

– Ależ tak. Czym innym miałaby się zajmować?

– Badaniami.

– Słucham?

– Na przykład takimi: dnia tego i tego spałem tyle i tyle godzin, a po przebudzeniu czułem się tak i tak. Zjadłem tyle a tyle jedzenia i pracowałem tyle a tyle godzin. Kiedy skończyłem czterdzieści lat, na mojej twarzy zaczęły się pojawiać zmarszczki. Nauka pokazuje nam, że to objaw starzenia się. Jakim cudem nauka, która mierzy, miesza i obserwuje, może nam powiedzieć, co kryje się za snem? – Aleksander się roześmiał. – Uspieński, nauka może zmierzyć długość naszego snu, ale czy może nam

powiedzieć, o czym śniliśmy? Potrafi zaobserwować nasze reakcje, stwierdzi, że śmialiśmy się, wykrzywialiśmy lub płakaliśmy, ale czy potrafi powiedzieć, co kryje się w naszej głowie?

– Dlaczego miałaby to robić?

– Potrafi się zajmować tylko tym, co widać, co można dotknąć. Nie potrafi wskoczyć do mojej głowy ani do waszej. Jak więc może stwierdzić, czy Bóg istnieje, czy nie? Nie potrafi przecież nawet powiedzieć mi, o czym myślicie, a czytam w was teraz jak w otwartej książce.

– Czyżby? Zaskoczę was, kapitanie. Zastanawiam się teraz…

– Gdzie jest najbliższy burdel?

– Skąd wiedzieliście?

– Mówiłem, że jesteście dla mnie jak otwarta książka, poruczniku.

Jechali dalej przed siebie.

– Kapitanie, a o czym wy myślicie? – spytał po chwili Uspieński.

– Staram się wcale nie myśleć, poruczniku.

– A kiedy wam to nie wychodzi?

– Myślę o Red Sox z Bostonu – odparł Aleksander. – Zastanawiam się, czy w tym roku czeka ich dobry sezon.

– O kim?

– Nieważne.

– Boże święty.

– No proszę, znowu go wzywacie. A myślałem, że on nie istnieje?

– A ja myślałem, że próbujecie nie myśleć.

Aleksander wybuchnął śmiechem.

– Udowodnię wam niezbicie, że nauka nie potrafi jednoznacznie przekreślić istnienia Boga. – Odwrócił się i spojrzał na kolumnę żołnierzy maszerującą ociężale za czołgiem. – Spójrzcie, o tam, na kaprala Walerego Jermienkę. Armia posiada o nim następujące informacje: ma osiemnaście lat, nigdy nie mieszkał bez matki. Z rodzinnego gospodarstwa trafił prosto do Stalingradu, gdzie walczył i w grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku poddał się Niemcom. Kiedy miesiąc później poddali się Niemcy, został „uwolniony” i wysłany w górę Wołgi do obozu

pracy. Moje pytanie brzmi: jak trafił tutaj? Co sprawiło, że ten młody mężczyzna ciągnący z nami przez wschodnią Polskę trafił do batalionu karnego z mętami, których nie chcieli nawet na Syberii? Tak właśnie brzmi moje pytanie: Jak się tutaj znalazł?

Uspieński przyjrzał się uważnie Jermience, a potem Aleksandrowi.

– Chcecie mi udowodnić, że Bóg istnieje, bo jakiś drań o nazwisku Jermienko trafił do waszego batalionu?

– Tak.

– I zrozumiem, dlaczego tak się stało?

– Nie. Ale jeśli porozmawiacie z nim przez dwie minuty, zrozumiecie, że wszechświat nie stworzył się sam, lecz jest dziełem Boga.

– Mamy aż tyle czasu?

– A co, wybieracie się gdzieś?

Tuż przed Lublinem trafili na gęsto zaminowane pole. Poruszali się powoli, głównemu saperowi udało się rozbroić wszystkie miny z wyjątkiem ostatniej. Pochowali go w pozostawionym przez minę leju.

– No dobra – powiedział Aleksander. – Kto chce zostać następnym głównym saperem?

Nikt się nie odezwał.

– Albo jeden z was zgłosi się na ochotnika, albo sam wyznaczę ochotnika. Co wybieracie?

Stojący z tyłu szeregowiec podniósł powoli rękę. Był tak drobny, że można go było bez trudu wziąć za kobietę. Drżąc na całym ciele, szeregowiec Estewicz wystąpił do przodu i zapytał:

– Nie natrafimy szybko na następne pole minowe, towarzyszu kapitanie?

– Wejdziemy do miasta, które Niemcy okupowali przez cztery lata. Zanim je opuścili, zaminowali je, by godnie nas w nim powitać. Jeśli chcecie się dziś przespać, to będziecie musieli najpierw rozminować dla nas jakąś kwaterę.

Słuchając przemowy Aleksandra, Estewicz trząsł się jak osika.

– Opowiecie mi zakończenie waszej fascynującej teorii? – spytał Uspieński, gdy znów ruszyli. – Aż drżę z oczekiwania.

– Drżyjcie dalej, poruczniku. Skończę opowieść wieczorem, jeśli dotrzemy żywi do Lublina.

Estewicz poradził sobie doskonale. W niewielkim domu znalazł pięć min. Osiemdziesięciu mężczyzn przygotowało sobie posłania, a kiedy usiedli przy ognisku, Aleksander powiedział:

– Uspieński, zastanawialiście się kiedyś, o ilu rzeczach nie macie pojęcia?

Porucznik się roześmiał.

– Początek bardzo mi się podoba.

– Pomyślcie, ile rzeczy w życiu was zaskakuje i mówicie wtedy: „A skąd niby miałem to wiedzieć?"

– Nigdy tak nie mówię – zaprotestował Uspieński. – Już raczej: „A skąd, kurwa, miałem to wiedzieć?"

– Nie macie nawet pojęcia, jakim cudem nic nieznaczący kapral z pierwszej brygady trafił pod moje dowództwo, kiedy powinien znajdować się zupełnie w innym miejscu, a jednak z uporem maniaka zapewniacie mnie, że Bóg nie istnieje.

Uspieński zastanowił się przez chwilę.

– Zaczynam nienawidzić tego Jermienki. Chyba go zaminuję.

– Wezwijmy go tutaj.

– Och, nie.

– Zanim go zawołam, muszę wam przypomnieć, że przez ostatnie cztery godziny przeprowadzaliście na jego osobie naukowe doświadczenie. Obserwowaliście go bardzo uważnie. Patrzyliście, jak maszeruje, jak nosi karabin, jak trzyma głowę. Czy wysuwa się przed szereg? Czy wykazuje oznaki zmęczenia? A może jest głodny? Czy tęskni za matką? Czy był już kiedyś z kobietą? – Aleksander uśmiechnął się. – Na ile z tych pytań możecie odpowiedzieć?

– Na sporą część – zaperzył się Uspieński. – Jest głodny. Tak, jest zmęczony. Tak, bardzo chce znaleźć się w jakimś innym miejscu. Tęskni za

matką. Był już z kobietą. W Mińsku wydał na to połowę żołdu.

– A skąd to wszystko wiecie?

– Bo dotyczy to również mnie – odparł Uspieński.

– W porządku. Znacie więc odpowiedź na te pytania, bo znacie samego siebie?

– Co takiego?

– Znacie odpowiedź, bo zajrzeliście w głąb siebie i choć maszerujecie, trzymacie karabin gotowy do strzału i nie wysuwacie się przed towarzyszy, to przecież jesteście zmęczeni, głodni i marzycie o tym, żeby się przespać z kobietą?

– Tak.

– Chcecie więc powiedzieć, że za tym, co widzicie, kryje się coś więcej, a mówicie to dlatego, bo wiecie, że to coś kryje się także w was. Coś w was sprawia, że mówicie jedno, a robicie drugie, że maszerujecie, a mimo to czujecie tęsknotę, że szukacie towarzystwa dziwek, mimo że kochacie żonę, że strzelacie do niewinnego Niemca, a nie chcecie zranić szczura, który przemyka między minami.

– Nie ma niewinnych Niemców.

– To coś każe wam kłamać i odczuwać potem wyrzuty sumienia, zdradzać żonę, a potem walczyć z poczuciem winy. To coś, co każe wam okradać wieśniaków, choć wiecie, że postępujecie źle, tkwi również w Jermience i żadna nauka nie potrafi tego zmierzyć. Porozmawiajmy z nim, a udowodnię wam, jak dalecy byliście od poznania prawdy.

Aleksander wysłał Uspieńskiego po Jermienkę. Kiedy stanęli przed nim, poczęstował ich papierosem i kieliszkiem wódki i dorzucił drewna do ogniska. Jermienko początkowo zachowywał się z dużą rezerwą, lecz po wódce nieco się rozluźnił. Był bardzo młody i nieśmiały. Nie patrzył Uspieńskiemu w oczy, nerwowo przestępował z nogi na nogę, a na wszystkie pytania odpowiadał albo: „Tak jest", albo: „Nie". Opowiedział o mieszkającej w Charkowie matce, o siostrze, która zmarła na szkarlatynę na początku wojny, o życiu na wsi. Kiedy zapytali go o Niemców, wzruszył tylko ramionami i odparł, że nie czyta gazet ani nie słucha wiadomości.

Nie wiedział, co się dookoła dzieje, wykonywał tylko rozkazy. Opowiedział dowcip o Niemcach, wypił jeszcze jeden kieliszek wódki i nieśmiało poprosił o jeszcze jednego papierosa. Kiedy powiedział, że jest zmęczony, Aleksander odesłał go, żeby się położył.

Gdy zostali sami, Uspieński uniósł w górę brwi.

– No dobra – powiedział. – To zwyczajny żołnierz jak Tielikow, jak saper, który dziś zginął, jak ja.

Aleksander skręcał papierosy.

– Nie chce nic wiedzieć o Niemcach, strzela do nich, kiedy mu każecie. Jest dobrym żołnierzem, jakiego każdy chciałby mieć w swoim batalionie. Ma trochę doświadczenia, słucha rozkazów, nie narzeka. I tyle.

– Obserwowaliście go uważnie, rozmawialiście z nim. Piliście nawet razem wódkę. Ośmieliliśmy go trochę, żartowaliśmy, wiemy już o nim co nieco i nauka wyciągnęła odpowiednie wnioski, zgadza się?

– Tak.

– Obserwowaliście go tak samo, jak naukowcy obserwowali ziemię, księżyc, słońce i gwiazdy. Tak samo jak teleskop pomógł im odkryć Drogę Mleczną i dziewięć planet, mikroskop Flemingowi penicylinę, a Listerowi kwas karboksylowy, tak? Obserwowaliśmy Jermienkę przez teleskop, kiedy maszerował, i przez mikroskop, kiedy z nami rozmawiał. Obserwowaliśmy go tak, jak naukowcy obserwują wszechświat – w jedyny sposób, w jaki go mogą obserwować. Może obserwowaliśmy go krócej, ale wykorzystaliśmy zasady nauki stosowane przez naukowców. Tak poznają atomy, elektrony, komórki. Może powinniśmy się dowiedzieć, jaką Jermienko ma grupę krwi? A może go zmierzyć? Sprawdzić, ile pompek potrafi zrobić? Jak myślicie, pomogłoby to nam zrozumieć, co kryje się w człowieku, który maszeruje obok nas?

– Tak. Sądzę, że tak – odparł Uspieński.

Aleksander zapalił papierosa. Poczęstował też Uspieńskiego.

– Posłuchajcie, poruczniku. Walery Jermienko ma dopiero szesnaście lat. Kiedy miał dwanaście, zabił swojego ojca. Postanowił sam wymierzyć sprawiedliwość, bo ojciec codziennie bił matkę. Jermienko miał tego po

prostu dość. Zatłukł go na śmierć kijem. Wiecie, jak trudno jest zatłuc dorosłego mężczyznę, zwłaszcza gdy jest się jeszcze małym chłopcem? Uciekł przed karą, wstępując do wojska. Skłamał, że ma czternaście lat, i przyjęli go. Podczas szkolenia stale popadał w konflikt z sierżantem. Na koniec zaskoczył go w lesie, gdy ten wracał ze stołówki i złamał mu kark za to, że upokorzył go na strzelnicy. W Stalingradzie zasłużył się, zabijając ponad trzystu Niemców gołymi rękami i nożem – dowódcy bali się wydać mu broń. Budynek, który opanował, od samego początku oblężenia pozostawał w rękach radzieckich. Na koniec Rosjanie wydali go Niemcom, bo nie chcieli mieć z nim do czynienia. Kiedy Niemcy się poddali, Armia Czerwona dostała Jermienkę z powrotem. Wysłali go do gułagu, gdzie rozciął nożem brzuch strażnikowi, zabrał mu mundur i broń i wyszedł z obozu. Przeszedł piechotą tysiąc kilometrów i dotarł nad jezioro Ładoga. Wiecie, dokąd się wybierał? Do Murmańska. Chciał się dostać na jeden ze statków Lend-Lease. Okazuje się więc, że czytał gazety, bo właśnie z nich dowiedział się o amerykańskim planie Lend-Lease: co przysyłają, co produkują i ile statków wpływa do portów. Złapali go w Wołchowie i generał Mechlis, nie wiedząc, co z nim począć, oddał go mnie. Chciał się go raz na zawsze pozbyć.

Uspieński nie zaciągnął się ani razu zapalonym papierosem.

– Poruczniku – powiedział Aleksander – nie marnujcie moich cennych papierosów. Palcie albo dajcie go mnie.

Uspieński rzucił papierosa na ziemię.

– Wciskacie mi kit – powiedział, nie spuszczając wzroku z Aleksandra.

– Bo zawsze to robię?

– Kłamiecie.

– Znów ta moja paskudna natura. – Aleksander się uśmiechnął.

– Chciałbym to dobrze zrozumieć…

– W Jermience kryje się osoba, którą zna tylko on sam. Tylko Jermienko wie, co dzieje się w jego duszy. Tylko wy wiecie, dlaczego, kiedy maszerujemy, zawsze wysuwacie się parę kroków przede mnie, choć to ja jestem dowódcą i tylko ja wiem, dlaczego wam na to pozwalam. O to mi

właśnie chodzi. Za nic nieznaczącą fasadą kryje się dusza Jermienki, wasza, moja i wszystkich ludzi. A jeśli spojrzy na nas naukowiec, nigdy się nie dowie, co dzieje się tam w środku. Tak samo jak nigdy się nie dowie, co kryje się za bezmiarem wszechświata.

Uspieński się zamyślił.

– Dlaczego ten drań Jermienko jest w stosunku do was tak bardzo lojalny, kapitanie?

– Bo Mierieckow kazał mi go rozstrzelać, a ja tego nie zrobiłem. Teraz jest mój aż do śmierci.

– I dzięki temu pieprzonemu Jermience jesteście przekonani, że Bóg jednak istnieje? – spytał Uspieński.

– Nie. Wiem, bo widziałem Go na własne oczy – odparł Aleksander.

KSIĘGA II

MOST DO WOLNOŚCI

Nie jest za późno, moi przyjaciele,
By świata jeszcze innego poszukać.
Odwiążcie cumy, chwyćcie wiosła w ręce,
W rozkołysane bruzdy bijcie nimi,
Bo jest moją wolą aż za skraj Zachodu,
Aż tam, gdzie gwiazdy się kąpią, żeglować,
Póki nie umrę.[6]

---

6 Alfred Tennyson *Ulisses*, przeł. Zygmunt Kubiak.

Rozdział dwudziesty trzeci

Most do wolności, czerwiec 1944

W Lublinie żołnierze Aleksandra nareszcie odpoczęli i spodobało im się tam tak bardzo, że postanowili zostać na dłużej. Lublin, w przeciwieństwie do spalonych i splądrowanych wiosek na Białorusi, pozostał niemal nietknięty. Z wyjątkiem kilku zbombardowanych i spalonych domów miasto było czyste i zadbane. W niedzielę na otoczonych żółtymi budynkami placach odbywały się nawet targi, na których sprzedawano mnóstwo rzeczy. Owoce, szynkę, ser i śmietanę! A nawet kapustę, od której żołnierze trzymali się jednak z daleka. Na Białorusi widzieli zaledwie garstkę żywych zwierząt hodowlanych; tutaj sprzedawano za złotówki przyprawione i wędzone prosiaki. A świeże mleko, sery i masło stanowiły dowód na to, że w okolicy jest dość krów, które można doić. Na targu można też było kupić jajka i kurczęta.

– Jeśli tak właśnie wygląda niemiecka okupacja, to jestem gotów natychmiast zamienić Stalina na Hitlera – szepnął Uspieński. – W mojej wiosce żona nie może nawet wyrwać cebuli z pola, bo zaraz przyjeżdżają z kołchozu, żeby wszystko zabrać. A uprawia tylko cebulę.

– Powinniście ją namówić na uprawę ziemniaków – odparł Aleksander. – Spójrzcie tylko na te.

Na kramach sprzedawano też zegarki, sukienki dla kobiet i noże. Aleksander próbował kupić trzy, ale nikt nie chciał brać rubli. Polacy nienawidzili Niemców, ale Rosjan też nie darzyli szczególną sympatią. Byli gotowi nawiązać współpracę z każdym, żeby tylko pozbyć się Niemców, ale nie byli zadowoleni, że tym każdym są właśnie Rosjanie. Przecież w tysiąc

dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku napadli na ich kraj razem z Niemcami, a teraz nie palili się, żeby oddać zagarnięte ziemie. Polacy traktowali ich więc bardzo podejrzliwie. Żołnierze nie mogli nic kupić, chyba że oferowali towar na wymianę. Nikt nie chciał od nich przyjmować bezwartościowych rubli. Najwyższy czas, żeby Moskwa przestała drukować pozbawione wartości banknoty. Aleksandrowi udało się wreszcie przekonać jakąś staruszkę, żeby za dwieście rubli sprzedała mu trzy noże i parę okularów dla sierżanta Werenkowa.

Po kolacji złożonej z szynki, jajek, ziemniaków i cebuli, suto zakrapianej wódką, Uspieński podszedł do Aleksandra i szepnął mu, że udało im się znaleźć „namiot z dziwkami". Spytał, czy ma ochotę wybrać się razem z nimi.

Aleksander odmówił.

– No, kapitanie. Po tym, co oglądaliśmy na Majdanku, przyda się odrobina kontaktu z prawdziwym życiem. Chodźcie z nami. Pieprzenie dobrze wam zrobi.

– Nie.

– A co będziecie robić tu sami?

– Spać. Za kilka dni umacniamy przyczółki na Wiśle. Potrzebujemy sporo sił.

– Nigdy nie słyszałem o Wiśle.

– Odpieprzcie się.

– Chyba nie do końca was rozumiem. Z powodu jakiejś tam rzeki, którą mamy forsować w bliżej nieokreślonej przyszłości, odmawiacie sobie dziś radochy?

– Nie, ale chcę spać, bo tego najbardziej potrzebuję.

– Z całym szacunkiem, kapitanie, trwam wiernie przy waszym boku przez cały okrągły dzień i wiem doskonale, czego potrzebujecie. Chodźcie ze mną. Te dziewczyny bez problemu przyjmą nasze pieniądze.

– Rano na targu nie mogliście kupić nawet cholernego zegarka. Dlaczego teraz sądzicie, że uda wam się kupić całą kobietę? Splunie tylko

na wasze ruble i tyle. – Aleksander czyścił przed namiotem noże, które kupił na targu.

– Chodźcie z nami.

– Nie. Idźcie sami. Po powrocie opowiecie mi, jak było.

– Kapitanie, jesteście dla mnie jak brat, ale nie będę się z wami niczym dzielił. No, zbierajcie się. Słyszałem, że czeka tam na nas pięć uroczych Polek. Za trzydzieści złotych obsłużą nas wszystkich.

Aleksander się roześmiał.

– Nie macie przecież trzydziestu złotych!

– Ja nie, ale wy tak. Macie sześćdziesiąt. No, chodźcie.

– Nie. Może jutro. Dziś jestem zmęczony.

Kiedy zostawał sam, nie potrafił sobie znaleźć miejsca. W ogniu walki, gdy dowodził czołgiem albo czekał, by ruszyć do ataku lub zabijać, potrafił zmusić serce, żeby zapomniało.

Zmoczył ręcznik w wiadrze z wodą i położył się na prowizorycznym łóżku. Przykrył twarz ręcznikiem. Spokojnie. Zimna woda ciekła po szyi, policzkach, głowie. Zamknął oczy. Spokojnie, spokojnie.

– Szura, połóż się tutaj na kocu.

Aleksander z radością spełnia jej życzenie. Jest ciepłe, słoneczne popołudnie. Rąbał drewno, a ona czytała książkę. Teraz ma ochotę popływać. Dni są o wiele lepsze od nocy. Wciąż należą do teraźniejszości. Noce przynoszą tylko kolejny dzień. Jeszcze jeden dzień mniej.

– Zmęczyłeś się przy tym rąbaniu?

– Nie.

– Może jednak jesteś troszkę zmęczony?

Nie wie, jaką odpowiedź ona pragnie usłyszeć.

– Mmmm... tak. Jestem troszkę zmęczony.

Z radosnym uśmiechem Tatiana opada na niego i przyciska mu ramiona nad głową.

– To dobrze.

Jej zapach otacza go potężną falą i przenika aż do wnętrza. Aleksander walczy z impulsem, by pocałować ją w obojczyk.

– No dobrze, co teraz? – pyta.

– Teraz musisz spróbować się uwolnić.

– Jak szybko? – pyta, zrzucając ją na koc i zrywając się na równe nogi.

Potrząsa gwałtownie głową.

– Nie byłam jeszcze gotowa. Wracaj na koc. – Z całych sił próbuje powstrzymać uśmiech. Bez skutku.

Aleksander posłusznie kładzie się na kocu.

Tatiana raz jeszcze przytrzymuje mu ramiona nad głową, ale nie jest w stanie objąć drobnymi palcami jego nadgarstków. Jej zapach osłabia Aleksandra. Podnieca go udawana walka, jaką Tania z nim prowadzi, podniecają go próby mocowania się z nim, szalone wybryki w wodzie – ta nieśmiała, pełna ukrytego erotyzmu kobieta-dziecko jest dla niego nieustannym afrodyzjakiem.

– Jesteś już gotowa? – pyta, patrząc na jej pełną determinacji twarz, by jak najlepiej go przytrzymać. Czuje mocniejszy ucisk na nadgarstkach. – Bardzo dobrze – mówi. – Co jeszcze szykujesz?

– Nie przeszkadzaj, myślę.

Aleksander zamyka oczy.

Tatiana ściska mu żebra nogami.

– Gotowa? – pyta Aleksander.

Tatiana bierze głęboki oddech.

– Gotowa.

Jeszcze zanim skończyła mówić, Aleksander zrzuca ją na koc. Tym razem jednak nie wstaje.

– Co robię nie tak? – pyta Tatiana płaczliwym głosem, siadając na kocu. – Dlaczego nie mogę cię utrzymać?

Aleksander kładzie ją delikatnie obok siebie.

– Może dlatego, że masz tylko metr pięćdziesiąt wzrostu i ważysz czterdzieści pięć kilo, a ja mam metr dziewięćdziesiąt i ważę dziewięćdziesiąt? – Kładzie dużą, porośniętą ciemnymi włoskami dłoń na jej alabastrowym gardle.

– Nie – protestuje ostro Tatiana, odsuwając się od niego. – Po pierwsze mam metr pięćdziesiąt siedem, a po drugie zgodnie z wszelkimi prawami fizyki, jeśli przyłożę odpowiedni ciężar we właściwym miejscu, powinnam cię unieruchomić.

Aleksander ze wszystkich sił usiłuje zachować powagę.

– No dobrze, teraz ja spróbuję. – Siada na niej okrakiem i przyciska jej dłonie nad głową. Uśmiecha się lekko. – Czy wolno mi cię pocałować?

– Pod żadnym pozorem – oświadcza Tatiana stanowczo.

– Hmmm. – Spogląda jej prosto w twarz. Tak bardzo chce ją pocałować. Pochyla głowę...

– Szura, to nie należy do gry.

– Nic mnie to nie obchodzi – mówi, całując ją namiętnie. – Francuski pocałunek jest tu jak najbardziej na miejscu. Poza tym tworzę zasady gry na gorąco.

– Tak jak w pokerze, co?

– Nie zaczynaj znowu z tym pokerem.

Tatiana powstrzymuje śmiech.

– Gotowy?

– Tak.

Szarpie się, ale nic z tego nie wychodzi. Nie może się nawet poruszyć. Aleksander ściska jej żebra kolanami. Tatiana usiłuje kopnąć go w plecy. Kręci głową, próbując unieść się choć odrobinę i uwolnić dłonie.

– Czekaj – dyszy ciężko. – Teraz już mi się uda.

– Wiesz co? Będę cię trzymał za nadgarstki tylko jedną ręką. Może tak będzie łatwiej.

– Gotowy?

Wybucha śmiechem.

– Tak, maleńka. – Próbuje spojrzeć jej prosto w oczy, lecz ona odwraca głowę. Wie, że jeśli ich spojrzenia się spotkają, koniec z zabawą. Tatiana zna zbyt dobrze ten wyraz jego oczu. Kiedy tylko go dostrzega, jęczy cicho, choć nadal z nim walczy.

Ale nie może nawet uwolnić dłoni. Wolną ręką Aleksander zaczyna pieścić jej uda pod sukienką.

– Tego nie wolno! – dyszy, nie przestając walczyć.

– Nie? – Aleksander poczyna sobie coraz śmielej.

– Nie, nie pozwalam.

– Niech ci będzie, drobino – mówi Aleksander, całując ją w usta, piegi, oczy. – Pokaż mi, co tam masz.

Tatiana odwraca gwałtownie głowę.

– Chyba już wiem, co robię nie tak. Spróbujmy jeszcze raz.

Aleksander zaciska mocniej dłoń na jej nadgarstkach.

– Zaczynaj.

Z ust Tatiany wydobywa się niemal niesłyszalny jęk. Nie uchodzi jednak uwagi Aleksandra.

– Musisz mnie puścić – szepcze Tatiana.

– Myślałem, że już wszystko wiesz.

– Tak. Ale musisz mnie puścić i położyć się na kocu.

Aleksander niechętnie spełnia jej życzenie.

Tatiana klęka między jego nogami. Nie przytrzymuje mu rąk, za to delikatnie zsuwa spodnie i podnosząc sukienkę, siada na nim okrakiem.

– No, proszę... – mruczy cicho, przytrzymując go za nadgarstki i przysuwając usta do jego twarzy. – Próbuj, żołnierzu.

Aleksander znieruchomiał. Za to ona zaczyna się powoli poruszać. W górę i w dół.

– Próbuj – mruczy raz jeszcze. – Co mówiłeś? Pokaż mi, co tam masz. No, próbuj się teraz uwolnić.

Aleksander jęczy cicho. Tania całuje go w usta.

– Mężu... – mówi cichym, melodyjnym głosem, poruszając się rytmicznie. – Mówiłeś...

– Nic nie mówiłem.

– No to teraz mi powiedz, kto jest górą?

Aleksander zamyka oczy. Tatiana oddaje mu się cała, po raz kolejny przypominając, że to ona jest źródłem jego siły. Oszołomiony jej bliskością, ciepłem i czułością, bierze z niej wszystko, jakby była niezbędnym do życia eliksirem.

Kiedy jest już po wszystkim, Tatiana nadal nie puszcza jego nadgarstków. Aleksander leży nieruchomo, tylko serce wali mu jak oszalałe.

– Wiedziałam, że coś robię nie tak – mówi Tatiana, uśmiechając się od ucha do ucha. – Ale byłam pewna, że znajdę sposób, żeby cię pokonać.

– Trzeba mnie było zapytać. Zdradziłbym ci go z radością.

– Dlaczego miałabym pytać? Chciałam odkryć go sama.

– Świetnie ci poszło, Tatiasza – mruczy Aleksander. – Dopiero teraz na to wpadłaś?

W środku nocy leżącego wciąż pod wilgotnym ręcznikiem Aleksandra obudził radosny szept pijanego Uspieńskiego, który potrząsał go za ramię. Wziął go za rękę i wsunął w nią coś miękkiego i ciepłego. Dopiero po chwili Aleksander się zorientował, że obejmuje dłonią dużą pierś, przyczepioną do lekko pijanej kobiety, która klęczała przy jego łóżku i szeptała coś po polsku.

– Obudź się, żołnierzu. Zaraz trafisz do raju.

– Poruczniku! – rzucił ostro Aleksander. – Jutro rano będą was za to łamać kołem.

– Jutro będziecie się do mnie modlić jak do boga. Wszystko jest już zapłacone. Bawcie się dobrze. – Uspieński opuścił klapę namiotu i zniknął.

Aleksander usiadł na łóżku i zapalił lampę naftową. Zobaczył przed sobą młodą, ładną, lekko zarumienioną od alkoholu twarz dziewczyny. Przez chwilę przyglądali się sobie; on – ze znużeniem, ona – bardzo przyjaźnie.

– Mówię po rosyjsku – powiedziała. – Źle zrobiłam, przychodząc tutaj?

– Tak – odparł Aleksander. – Dlatego będzie lepiej, jeśli już pójdziesz.

– Ale wasz przyjaciel...

– Nie jest moim przyjacielem. To mój największy wróg. Sprowadził cię tutaj, żeby cię otruć. Musisz zniknąć jak najszybciej.

Pomógł jej usiąść. Spod rozpiętej sukienki wylewały się pełne piersi. Aleksander był tylko w kalesonach. Patrzył, jak dziewczyna obrzuca go uważnym spojrzeniem.

– Kapitanie – powiedziała – ale to chyba nie wy jesteście trucizną? Zupełnie na nią nie wyglądacie. – Dotknęła go delikatnie. – Nie, zdecydowanie nie. – Zawiesiła głos, a po chwili szepnęła. – Spocznijcie, żołnierzu.

Odsuwając się od niej lekko, tylko lekko, Aleksander zaczął wciągać spodnie. Widząc to, zaczęła go delikatnie głaskać. Westchnął i łagodnym – a może niechętnym? – ruchem odsunął jej dłoń.

– Jak masz na imię?

– Jak tylko zechcesz. Zostawiłeś w domu ukochaną? Na pewno. I bardzo za nią tęsknisz. Widziałam już wielu takich mężczyzn jak ty.

– Nie wątpię.

– Wszyscy byli zadowoleni. Będzie ci ze mną dobrze. Zobaczysz. No, chodź. Czy to najgorsze, co może ci się przydarzyć?

– Tak – odparł Aleksander. – To najgorsze, co może mi się przydarzyć.

Na wyciągniętej dłoni trzymała prezerwatywę.

– No, nie ma się czego bać.

– Nie boję się.

– To chodź.

Zapiął pas.

– Idziemy. Odprowadzę cię.

– Masz czekoladę? – spytała nagle z uśmiechem. – Obciągnę ci za kawałek czekolady.

Aleksander zawahał się, nie spuszczając wzroku z jej pełnych piersi.

– Tak się składa, że mam trochę czekolady – powiedział. Czuł pulsowanie w całym ciele, a serce waliło mu jak szalone. – Możesz wziąć całą. I nie musisz mi obciągać.

Oczy dziewczyny zabłysły.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Sięgnął do torby i podał jej zawiniętą w folię czekoladę.

Wsunęła szybko do ust wszystkie kawałki. Aleksander uniósł brwi.

– Czekolada jest lepsza ode mnie.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

– Naprawdę mnie odprowadzisz? – spytała. – Na ulicach nie jest bezpiecznie dla takiej dziewczyny jak ja.

Aleksander wziął pistolet.

– Jasne. Idziemy.

Szli przez ciche o tej porze ulice Lublina. Gdzieś w oddali rozległ się nagle głośny śmiech mężczyzny, brzęk rozbitego szkła. Usłyszeli odgłosy

bójki. Dziewczyna ujęła go pod ramię. Była wysoka. Dotyk miękkiego kobiecego ciała przyniósł ze sobą całą falę słodko-gorzkich wspomnień.

Poczuł ucisk w dole brzucha, każda cząsteczka jego ciała była napięta do granic możliwości. Przycisnął mocniej jej ramię i kiedy szli dalej, zamknął na moment oczy. Wyobrażał sobie spełnienie i ulgę. Otworzył oczy, zadrżał lekko i westchnął.

– Ruszacie nad Wisłę, prawda? Do Puław? – spytała nagle dziewczyna.

Nie odpowiedział.

– Na pewno. Dziwisz się, skąd o tym wiem? Dwie dywizje radzieckie, pancerna i piechota, w sumie jakiś tysiąc żołnierzy, szły niedawno w tamtym kierunku. Nikt nie wrócił.

– Bo nie mają wracać.

– Źle mnie zrozumiałeś. Oni już nigdzie nie pójdą. Wszyscy zostali w rzece. Wszyscy, co do jednego.

Aleksander spojrzał na nią zamyślony.

– Oni nic mnie nie obchodzą, podobnie jak Niemcy. Ale ty to co innego. Potraktowałeś mnie z szacunkiem, więc wskażę ci lepszą drogę – powiedziała.

Aleksander słuchał uważnie.

– Posuwacie się zbyt daleko na północ. I zmierzacie prosto na Niemców. Są ich setki tysięcy. Czekają tylko, żebyście przekroczyli Wisłę. Zabiją was wszystkich, i ciebie też. Pamiętaj, na Białorusi szło wam jak z płatka, bo Białoruś gówno ich obchodziła.

Aleksander chciał wyprowadzić ją z błędu co do tego „płatka", ale postanowił milczeć.

– Wisła to ostatnia duża rzeka przed Odrą, na granicy Niemiec i Polski. Odra płynie prawie pod Berlin. Nigdy nie przedostaniecie się przez Wisłę na północy, bez względu na to, ile będziecie mieli czołgów i samolotów.

– Nie mam żadnych samolotów – wyjaśnił Aleksander. – I tylko jeden czołg.

– Musicie ruszyć jakieś pięćdziesiąt kilometrów na południe i przejść przez rzekę w najwęższym punkcie. Jest tam most, choć na pewno go

zaminowali…

– Skąd o tym wiesz?

Uśmiechnęła się.

– Po pierwsze, mieszkałam kiedyś niedaleko, w Tarłowie. A po drugie, miesiąc temu te parszywe fryce gadały o wszystkim, jakbym nie rozumiała ani słowa po niemiecku. Mają nas wszystkich za idiotów. Jestem pewna, że ten nieduży, biało-niebieski most jest zaminowany. Nie wchodźcie na niego. Rzeka jest tam płytka. Możecie się przeprawić przez most pontonowy, ale na pewno wszyscy umiecie pływać. Czołg też się przedostanie. Lasu nie bronią zbyt mocno; jest gęsty i górzysty. Nie twierdzę, że nie bronią go wcale. Można się tam natknąć przede wszystkim na partyzantów. Jeśli zdołacie przekroczyć rzekę, znajdziecie się w lesie. Przynajmniej będziecie mieli jakąś szansę. Ale jeśli zechcecie przekroczyć Wisłę w Puławach, zginiecie wszyscy. – Urwała. – No, już jesteśmy na miejscu. – Wskazała na mały dom, w którym paliły się wszystkie światła. Uśmiechnęła się. – Po tym można zawsze poznać przybytek grzechu. Przez całą noc palą się tam światła.

Odpowiedział jej uśmiechem.

– Dziękuję – powiedziała. – Cieszę się, że nie musiałam dziś już więcej pracować. Jestem wykończona. – Położyła mu dłoń na piersi. – Choć nie miałabym nic przeciwko temu, żeby popracować z tobą.

Aleksander poprawił jej sukienkę.

– To ja ci dziękuję. Jak masz na imię?

Uśmiechnęła się.

– Wiera. Po rosyjsku to znaczy wiara, prawda? A ty?

– Aleksander. Ten biało-niebieski most koło Tarłowa… ma jakąś nazwę?

Wiera pocałowała go delikatnie w usta.

– To most do Świętego Krzyża. Most do wolności.

Następnego ranka Aleksander wysłał pięciu żołnierzy na zwiad do Puław. Nie wrócili. Natychmiast wysłał następnych pięciu do Kazimierza Dolnego. Ale i oni nie wrócili.

Był początek sierpnia i z Warszawy dochodziły przygnębiające wiadomości. Mimo pogłosek o wypchnięciu okupanta z miasta i na zachód od Wisły, Niemcy pozostali na swoich pozycjach. Ginęły tysiące żołnierzy radzieckich, a Polacy zwiedzeni fałszywymi obietnicami o radzieckiej pomocy wzniecili powstanie przeciwko Niemcom, którzy bezlitośnie niszczyli miasto i masakrowali mieszkańców.

Aleksander czekał jeszcze parę dni, lecz nie otrzymawszy żadnych dobrych wiadomości, zabrał Uspieńskiego i razem przeszli przez las. Ukryli się w krzakach nad Wisłą i obserwowali sitowie na drugim brzegu. Przed nimi nie było nikogo. Za to za nimi czaiło się dwóch żołnierzy NKGB. Oficerom batalionów karnych nie wolno było samotnie włóczyć się po Polsce, nawet jeśli wyruszali na zwiad. Żołnierze NKGB zawsze szli za nimi jak cień. Ich zadaniem nie była jednak walka z Niemcami, lecz pilnowanie więźniów gułagu. W ciągu minionego roku Aleksander nie tracił ich z oczu ani na jeden dzień.

– Nienawidzę tych drani – mruknął Uspieński.

– A ja o nich nie myślę ani przez chwilę. – Aleksander zacisnął zęby.

– Źle robicie. Życzą wam przecież jak najgorzej.

– Nie biorę tego do siebie.

– A powinniście.

Zapalili papierosy. Ranek był ciepły i pogodny. Rzeka natychmiast przypomniała Aleksandrowi… Zaciągnął się mocniej, potem zapalił następnego papierosa i jeszcze jednego. Wyłącznie po to, by zatruć mózg nikotyną.

– Uspieński, potrzebuję waszej rady.

– To dla mnie zaszczyt, towarzyszu kapitanie.

– Otrzymałem rozkaz, by jutro o wschodzie słońca sforsować przyczółek w Kazimierzu Dolnym.

– Wygląda na to, że jest tam dość spokojnie.

– Rzeczywiście. Ale gdybym powiedział wam… – zaciągnął się głęboko – że jutro rano zginiecie?

– Kapitanie, ta groźba wisi nade mną od trzech lat.

– A gdybym wam powiedział, że możemy ruszyć w górę rzeki, gdzie Niemcy nie bronią się tak zażarcie i dzięki temu może zdołamy pozostać przy życiu? Nie wiem na jak długo i nie wiem, czy koniec końców warto, ale z pewnością tego ranka wichry przeznaczenia wieją nam prosto w twarz i szepczą: możecie zginąć lub przeżyć.

– Kapitanie, czy mogę spytać, o czym wy, do cholery, mówicie?

– Mówię o ścieżce waszego życia, Uspieński. Znaleźliście się na rozstajach. Obie drogi zbytnio się od siebie nie różnią, tyle tylko, że jedna jest zdecydowanie krótsza.

– Dlaczego sądzicie, że w górze rzeki pójdzie nam łatwiej?

Aleksander wzruszył ramionami. Nie chciał mu opowiadać o dziewczynie noszącej imię Wiera.

– Wiem, że panujący w Kazimierzu Dolnym spokój to tylko pozory.

– Kapitanie, wy też macie swojego dowódcę, prawda? Słyszałem dziś rano, jak generał Koniew mówił wam wyraźnie, że macie zająć Kazimierz Dolny.

– Tak. – Aleksander kiwnął głową. – Wysyła nas na śmierć. Rzeka jest tam bardzo głęboka i szeroka, a most nie ma żadnej osłony. Założę się, że Niemcy nawet go nie zaminowali. Wystrzelają nas po prostu jak kaczki.

Uspieński wycofał się do lasu.

– Chyba nie mamy wyboru, towarzyszu kapitanie. Nie jesteście generałem Koniewem. Musicie iść, dokąd on wam każe. A on musi iść tam, gdzie każe towarzysz Stalin.

Aleksander się zamyślił.

– Spójrzcie tylko na ten most i wodę. Pływają tam ciała tysiąca radzieckich żołnierzy. – Zawiesił głos. – A jutro będą tam pływać nasze.

– Nie widzę ich – odparł Uspieński, mrużąc oczy. – Ktoś musiał jednak przejść – dodał mniej pewnym głosem.

Aleksander potrząsnął głową.

– Nie. Wszyscy zginęli. Tak jak my zginiemy. Jutro. – Uśmiechnął się. – Przyjrzyjcie się dokładnie Wiśle, poruczniku. Jutro o świcie stanie się

waszym grobem. Cieszcie się ostatnim dniem na poczciwej ziemi. Bóg postarał się, by był naprawdę piękny.

Uspieński zachichotał.

– Dobrze, że sprowadziłem wam tę dziewczynę.

Aleksander wstał.

– Zawiadomię generała Koniewa o zmianie planów – powiedział, kiedy wracali do Lublina. – Ale będę potrzebował waszego pełnego wsparcia.

– Będę trwał przy was aż do dnia waszej śmierci, towarzyszu kapitanie. Nie muszę chyba dodawać, że żałuję każdego dnia.

Aleksandrowi udało się przekonać Koniewa, by pozwolił im ruszyć pięćdziesiąt kilometrów na południe. Nie było to aż tak trudne, jak myślał. Koniew wiedział doskonale, co dzieje się z żołnierzami w Kazimierzu Dolnym, a główne siły Frontu Ukraińskiego nie dotarły jeszcze nad Wisłę. Poza tym nie miał nic przeciwko wypróbowaniu nowego manewru.

Kiedy batalion Aleksandra wyruszał w stronę lasu, Uspieński zaczął narzekać. Jęczał przez cały czas, gdy składali namiot Aleksandra i zbierali sprzęt. Narzekał, kiedy wsiedli do czołgu, i zobaczył, że Aleksander zdecydował się iść piechotą.

Szedł wąską ścieżką, która prowadziła przez pola do lasu ciągnącego się wzdłuż Wisły przez pięćdziesiąt kilometrów. W pewnej chwili odwrócił się i spojrzał za siebie. Krok w krok za nimi maszerował oddział uzbrojonych po zęby żołnierzy NKGB.

Trzy razy zatrzymywali się i rozbijali obóz. Łowili ryby w rzece, jedli zabrane jeszcze z Lublina ziemniaki i marchew i raczyli się opowieściami o gorących polskich dziewczynach. Śpiewali piosenki, golili się starannie i zachowywali się zupełnie jak skauci, a nie banda skazańców idących na śmierć. Aleksander śpiewał głośniej od swoich ludzi i był w znacznie lepszym od nich humorze.

Za to Uspieński nie przestawał narzekać. Pewnego popołudnia zeskoczył z czołgu i przez chwilę szedł obok Aleksandra.

– Możecie tu zostać tylko pod warunkiem, że nie będziecie jęczeć – ostrzegł go Aleksander.

– Wolno mi chyba korzystać z moich żołnierskich przywilejów – odparł ponuro Uspieński.

– Owszem, ale czemu robicie to aż tak często? – Aleksander myślał o czekającej ich przeprawie i słuchał go tylko jednym uchem. – Ruszajcie się szybciej, marudo o jednym płucu.

– Kapitanie, ta dziewczyna w Lublinie… Dlaczego nie skorzystaliście z jej usług?

Aleksander nie odpowiadał.

– Wiecie, że i tak musiałem za nią zapłacić? Mogliście przynajmniej ją przelecieć. Tak z czystej uprzejmości.

– Następnym razem wezmę to pod uwagę.

– Postarajcie się. – Uspieński pochylił się w stronę Aleksandra. – Kapitanie, co się z wami dzieje? Nie widzieliście jej? Nie widzieliście jej cycuszków? Reszta była równie urocza.

– Tak?

– Nie podobała…

– Nie była w moim typie.

– A jakie są w waszym typie? Chyba nie macie mi za złe, że o to pytam. W kantynie były wszystkie…

– Podobają mi się te, które w kantynach nie bywają.

– Boże święty, mamy wojnę.

– Mam więc o czym myśleć, poruczniku.

– Chcecie, żebym wam opowiedział o tej dziewczynie? – Uspieński chrząknął znacząco.

– Bardzo proszę, poruczniku. – Aleksander się uśmiechnął. – Tylko nie pomińcie żadnych szczegółów. To rozkaz.

Uspieński opowiadał przez pięć minut. Kiedy skończył, Aleksander milczał przez chwilę.

– Tylko na tyle was stać? – spytał w końcu.

– Opowiadanie trwało dłużej niż pieprzenie! – wykrzyknął Uspieński. – A poza tym, co ja jestem? Cyceron?

– Nie potraficie nawet rozerwać słuchacza. Seks z pewnością nie jest tak nudny, a może zdążyłem już wszystko zapomnieć?

– Naprawdę?

– Raczej nie.

– No to wy mi coś opowiedzcie.

Aleksander potrząsnął głową.

– Historie, które mógłbym wam opowiedzieć, dawno już wyleciały mi z pamięci. A te, które pamiętam, nie są dla was. – Poczuł na sobie badawcze spojrzenie Uspieńskiego. – Co jest? – Przyspieszył kroku. – Ruszać się! – krzyknął do swoich żołnierzy. – Zamierzacie tu zginąć? Szybciej! Mamy przed sobą jeszcze dwadzieścia kilometrów! Nie ociągać się! – Spojrzał na Uspieńskiego. – Co jest? – warknął.

– Kapitanie, kogo tam zostawiliście?

– Nie chodzi o to, kogo ja zostawiłem – odparł. Jeszcze bardziej przyspieszył kroku i mocniej ścisnął trzymany w rękach karabin. – Lecz kto zostawił mnie.

Dotarli do mostu trzeciego dnia o zmroku. Aleksander natychmiast wysłał jednego z żołnierzy, by odnalazł dywizję Frontu Ukraińskiego i przesłał depeszę do dowództwa.

Następnego dnia obudził się przed świtem. Usiadł nad brzegiem rzeki, która w tym miejscu miała jakieś sześćdziesiąt metrów szerokości, i patrzył na stary, drewniany, niegdyś biały most. Most do Świętego Krzyża, szepnął. W ten wczesny niedzielny poranek na moście nie było nikogo, lecz na drugim brzegu rzeki, w oddali, widać było wieże kościoła, a za nimi rosnące gęsto dęby świętokrzyskich lasów.

Początkowo zamierzał poczekać na dywizję Frontu Ukraińskiego, lecz teraz zmienił zdanie. Musiał sforsować rzekę jako pierwszy.

W tak spokojny i jasny poranek trudno było uwierzyć, że następnego dnia ziemia i woda zaczerwieni się od krwi jego ludzi. Może po drugiej

stronie nie ma wcale Niemców, pomyślał. Może uda nam się bezpiecznie przedostać na drugi brzeg, a potem ukryć w lasach. Amerykanie weszli do Europy przed dwoma miesiącami. Niedługo dojdą do Niemiec. Muszę tylko jakimś cudem przeżyć, a potem oddać się w ich ręce...

W jakąś inną niedzielę na jednym z tych mostów siadywał być może malarz i uwieczniał na swoich płótnach rodziny pływające łódkami, kobiety w białych kapeluszach, wiosłujących pracowicie mężczyzn, dziewczynki w białych sukienkach. Może na jednym z jego obrazów kobieta ma na głowie niebieski kapelusz. A dziecko jest malutkie. Kobieta trzyma je w ramionach i uśmiecha się. Mężczyzna odpowiada jej uśmiechem i wiosłuje nieco szybciej, zostawiając za sobą smugę migoczącej w słońcu wody.

Tego ranka Aleksander pragnął gorąco, by wróciły czasy dzieciństwa. Czuł się tak, jakby miał osiemdziesiąt lat. Kiedy ostatni raz podbiegał do kogoś z uśmiechem na ustach? Albo biegł po coś, nie trzymając w rękach karabinu? Kiedy ostatni raz przeszedł spokojnym krokiem na drugą stronę ulicy?

Nie chciał odpowiadać na te pytania, zanim nie przejdzie przez most do Świętego Krzyża.

OTWORZYĆ OGIEŃ! OTWORZYĆ OGIEŃ!

Następnego dnia ginęli jeden po drugim w wodach rzeki pod niesłabnącym ostrzałem Niemców. Pierwsza ruszyła piechota, lecz potrzebowała natychmiastowej pomocy.

Czołg utknął na mulistym dnie i pogrążył się w wodzie aż po gąsienice. Werenkow załadował stumilimetrowe działo i wystrzelił. Eksplozja i przeraźliwe krzyki oznaczały, że nie spudłował. Załadował ponownie, lecz nie miał już czasu, by strzelić.

Czołg stanowił doskonały cel. Aleksander wiedział, że zaraz wyleci w powietrze. Nie chciał tracić ani czołgu, ani amunicji, lecz zdecydowanie bardziej potrzebował swoich ludzi.

– Skakać! – krzyknął do załogi. – Szybko! Nadlatuje!

Wyskoczyli, a raczej zostali wyrzuceni w powietrze, kiedy pocisk trafił w wieżyczkę czołgu. Bolejąc nad jego utratą, Aleksander zaczął przedzierać się przez wodę, trzymając karabin wysoko nad głową. Krótkimi seriami ostrzeliwał przyczółek na drugim brzegu rzeki. Uspieński osłaniał go od tylu. Aleksander słyszał, jak krzyczy do niego: COFNĄĆ SIĘ! NA BOK! STAĆ! KRYĆ SIĘ! KRYĆ SIĘ! i ciągnie go w dół, przeklinając pod nosem. Odpychał go mocno, ignorował ostrzeżenia i parł ostro do przodu. Tielikow i Werenkow płynęli ciasno objęci. Jedynie Aleksander był dość wysoki, by iść w sięgającej mu po szyję wodzie. Mógł też celnie strzelać, czego nie mogli robić jego płynący przez nurt ludzie.

Przedzierali się przez rzekę pod niesłabnącym ostrzałem z karabinów maszynowych. Nie miał pojęcia, gdzie zostały ukryte. Czuł się tak, jakby każdy pocisk spadał prosto na jego hełm. Jego ludzie unosili się na wodzie, wielu z nich rozerwały pociski.

Woda w Wiśle powoli robiła się coraz bardziej czerwona. Aleksander musiał przedostać się na drugi brzeg. Kiedy już znajdą się na suchym lądzie, wszystko będzie możliwe. I to ma być lepsze niż Kazimierz Dolny, lepsze niż Puławy? – pomyślał. Niemcy słabo się tutaj bronią?

Uspieński jak zwykle wrzeszczał wniebogłosy. Jednak tym razem nie zwracał się do Aleksandra.

– Patrzcie, jak krzyczą, banda tchórzy! Z kim my walczymy? Z mężczyznami czy z babami?

Aleksander zauważył, że jeden z jego żołnierzy kurczowo trzyma się trupa. Jermienko.

– Kapralu! – krzyknął. – Gdzie wasz towarzysz?

Jermienko uniósł ciało.

– Tutaj, kapitanie!

Aleksander zauważył, że Jermienko walczy z całych sił, by utrzymać się na wodzie. Szybko podpłynął do niego.

– Co się, kurwa, z wami dzieje?! – wrzasnął. – Puśćcie go i płyńcie!

– Nie umiem pływać, kapitanie!

Aleksander ściągnął Uspieńskiego, Tielikowa i Werenkowa, by pomogli przeprawić się Jermience. Znajdowali się dziesięć metrów od brzegu, gdy z krzaków wyskoczyło trzech Niemców. Aleksander nie zastanawiał się ani przez sekundę. Powalił ich wszystkich serią z pistoletu.

Za nimi wyskoczyło trzech następnych. I jeszcze trzech. Aleksander strzelał jak opętany. Do rzeki wskoczyło czterech Niemców i ruszyło prosto na niego. Jermienko wyrwał się przed niego i skosił ich jedną serią. Uspieński, Tielikow i Werenkow stanęli murem przed Aleksandrem.

– Cofnijcie się, kapitanie! – krzyknął Uspieński. Strzelił znad ramienia i chybił.

Aleksander podniósł pepeszę nad głowę Uspieńskiego, strzelił i nie chybił.

– Jeśli chybicie, strzelajcie jeszcze raz, poruczniku! – wrzasnął.

W wodzie było już pięciu Niemców. Znajdowali się o parę metrów od Aleksandra. Nie przestając strzelać, próbował zbliżyć się do piaszczystego brzegu. Jego ludzie walczyli z Niemcami, wymierzając im ciosy kolbami karabinów i bagnetami. Starali się przesuwać do brzegu, ale bez powodzenia. Stojąc w wodzie po pas, stanowili idealny cel, a Niemców było coraz więcej.

Podczas walki trzy zmysły Aleksandra były wyjątkowo zaostrzone. Dostrzegał niebezpieczeństwo jak sowa nocą, czuł krew jak hiena i słyszał najdrobniejsze nawet hałasy jak wilk. Nic nie odwracało jego uwagi, nigdy nie wpadał w panikę, zawsze bezbłędny widział, czuł i słyszał wszystko. Nie czuł za to smaku własnej krwi i nie odczuwał bólu.

Nagle zauważył blask z lewej strony i uchylił się w ostatnim ułamku sekundy. Pocisk minął go o pół metra. Rozwścieczony niemiecki żołnierz zamierzył się na niego bagnetem. Celował w szyję, lecz Aleksander był dla niego za wysoki. Bagnet rozciął mu lewe ramię. Aleksander wymierzył Niemcowi cios kolbą karabinu prosto w głowę. Gdy ten znalazł się pod wodą, do Aleksandra doskoczyło pięciu następnych. Zakrwawioną ręką chwycił nóż, drugą bagnet. Zabił ich wszystkich, a Uspieński zabrał im

broń. Teraz z karabinem w każdej ręce, niczym wielka ściana ognia, posuwali się w stronę brzegu. Nic nie mogło ich zatrzymać.

Niemcy nie wyskakiwali już z krzaków, umilkły karabiny. Nagle zapadła cisza. Słychać było tylko ciężkie oddechy pozostałych przy życiu żołnierzy, jęki umierających i bulgotanie rzeki, która przyjmowała ciała poległych w swoje odmęty.

Żołnierze Aleksandra wyszli na piaszczysty brzeg. On sam chciał zapalić, ale papierosy zamokły w czasie przeprawy. Patrzył, jak żołnierze NKGB ostrożnie wchodzą do rzeki, trzymając broń wysoko nad głowami.

– Pieprzeni tchórze! – szepnął Uspieński do Aleksandra, który siedział na piasku pomiędzy nim i Jermienką.

Aleksander nie zareagował, ale kiedy żołnierze NKGB wyszli na brzeg, wstał i nie salutując, powiedział:

– Powinniście przejść przez niezaminowany most. Tak przecież robią cywile, którymi bez wątpienia jesteście.

Mężczyzna, który przeprawił się na drugi brzeg bez jednego zadraśnięcia, spojrzał lodowato na Aleksandra.

– Zwracajcie się do mnie jak należy.

– Powinniście przejść przez ten pieprzony most, towarzyszu – rzucił Aleksander, zalany krwią. W ręce nadal trzymał pepeszę.

– Jestem porucznikiem Armii Czerwonej! – krzyknął mężczyzna. – Porucznik Sienniew. Opuśćcie broń, żołnierzu.

– A ja jestem kapitanem! – krzyknął Aleksander, podnosząc pistolet. – Kapitan Biełow. – Jeśli usłyszy jeszcze jedno słowo, na pewno sprawdzi, ile naboi mu zostało.

Mężczyzna cofnął się i przeklinając pod nosem, kazał swoim ludziom skierować się w stronę lasu.

Żołnierze Aleksandra, którym udało się ujść z życiem, pozostali na plaży. On sam chciał oszacować straty swojego batalionu (bał się, że teraz ma do dyspozycji już tylko pluton), lecz podszedł do niego ukraiński sanitariusz, Kremler, by go opatrzyć. Przemył rozerwane ramię kwasem

karbolowym i posypał ranę sulfamidami, żeby ją dodatkowo zdezynfekować.

– Jest głęboka – powiedział tylko.

– Macie nici?

– Małą szpulkę. Mamy wielu rannych.

– Załóżcie mi trzy szwy. Tylko żeby się trzymało.

Kremler zaszył mu ramię, opatrzył rozbitą głowę, dał mu kieliszek wódki i zrobił w brzuch zastrzyk z morfiny. Po chwili przed Aleksandrem stanął Uspieński.

– Kapitanie, mogę słówko?

Aleksander siedział na piasku i palił papierosa. Po morfinie bardzo chciało mu się spać. Spojrzał na Uspieńskiego.

– Najpierw ja. Ilu ludzi poległo?

– Wszyscy. Zostało nam trzydziestu dwóch szeregowych, trzech kaprali, dwóch sierżantów, jeden porucznik, czyli ja, i jeden kapitan, czyli wy.

– Jermienko?

– Żyje.

– Werenkow?

– Trafili go w szyję i brzuch, zgubił te pieprzone okulary, ale żyje.

– Tielikow?

– Ma złamaną stopę.

– Jakim cudem udało mu się złamać stopę?

– Potknął się – wyjaśnił Uspieński bez uśmiechu.

– Co jest? Z wami wszystko w porządku?

– Tak. Ale od dwóch godzin z czaszki wycieka mi mózg.

– A mieliście go w ogóle, poruczniku?

Uspieński kucnął przed Aleksandrem.

– Kapitanie, nie należę do osób, które potrafią odgadnąć zamiary dowódcy, ale muszę przyznać, że to, co się tutaj wydarzyło, do czego tu dopuściliście, to było pieprzone szaleństwo.

– Macie rację, poruczniku.

– Towarzyszu kapitanie...

– Poruczniku! – Aleksander wstał. Z zabandażowanej rany nadal ciekła krew. – Nie mieliśmy innego wyjścia. – Zawiesił głos. – I udało nam się sforsować rzekę, prawda?

– Nie o to chodzi, kapitanie. 29 dywizja zmotoryzowana Koniewa jest dzień za nami. Mogliśmy poczekać. A mimo to weszliśmy do wody, pod ogniem nieprzyjaciela. Nie czekaliśmy, nie przeprowadziliśmy rozpoznania, nie próbowaliśmy ich najpierw ostrzelać, tylko weszliśmy do tej kurewskiej wody. A co ważniejsze – wy też to zrobiliście. Wy! Jedyna osoba, która może nas uchronić przed natychmiastową śmiercią! Poprowadziliście nas prosto na Niemców i straciliście niemal wszystkich ludzi. A teraz siedzicie na ziemi, sami ledwo żywi i udajecie, że nie macie pojęcia, dlaczego wpadam w szał!

Aleksander przycisnął dłonią bandaż.

– Możecie się wściekać, ile chcecie, poruczniku, ale nie róbcie tego w mojej obecności. Nie zamierzałem czekać na wojska Koniewa. Dotrą tutaj dopiero za parę dni i nie moglibyśmy wtedy liczyć na element zaskoczenia. Niemcy zdążyliby ściągnąć posiłki, a generał i tak posłałby nas jako pierwszych. Z tą tylko różnicą, że Niemcy byliby lepiej przygotowani do obrony. Musieliśmy ruszyć od razu. Teraz możemy się przegrupować, ale jesteśmy już w lesie. I oczyściliśmy drogę dla armii. Podziękują nam za to na pewno w ten swój pozbawiony cienia wdzięczności sposób. – Uśmiechnął się. – Zapewniam was, że jesteśmy pierwszymi radzieckimi żołnierzami, którym udało się sforsować Wisłę.

Uspieński patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Nie poszło nam aż tak źle. Wspaniale też nie. Już wcześniej traciliśmy ludzi, poruczniku. Zapomnieliście, co w kwietniu wydarzyło się w Mińsku? Straciliśmy trzydziestu ludzi przy rozminowywaniu jednego pieprzonego pola, a nie przy przekraczaniu najważniejszej rzeki w Polsce.

– Kapitanie, posłaliście nas na ich działa praktycznie bez broni.

– Kazałem wam trzymać karabin wysoko nad głową.

– Zostało nam czterdziestu ludzi!

– Wliczacie w to dwudziestu żołnierzy NKGB?

– Czterdziestu ludzi i dwudziestu tchórzy!

– Tak, ale udało się nam odepchnąć Niemców od brzegu. Wycofali się do lasu. Kiedy ruszymy za nimi, będziemy już mieli wsparcie.

Uspieński pokręcił głową.

– Nie możemy walczyć w lesie. Ja nie będę tam walczył. To zupełnie inna wojna. Nic nie widać.

– Rzeczywiście. Przykro mi, że nie mogę wam stworzyć lepszych warunków.

– Straciliśmy czołg. A tylko on mógł was osłonić.

– Mnie?

– Boże święty! – wybuchnął Uspieński. – Zachowujecie się tak, jakbyście byli nieśmiertelni, ale...

– Nie podnoście na mnie głosu – rzucił Aleksander lodowatym tonem. – Rozumiecie, Uspieński? Gówno mnie obchodzi, na co wam pozwalam, ale na to na pewno nie. Wyraziłem się dość jasno?

– Tak jest – odparł cicho Uspieński. – Ale i tak nie jesteście nieśmiertelni, kapitanie. Wasi ludzie też nie, ale oni akurat mało mnie obchodzą. Was nie można zastąpić. A ja mam was ochraniać. Jak możecie angażować się w bezpośrednią walkę w wodzie, kiedy macie trzymać się na tyłach? Za kogo się uważacie, kapitanie? Myślicie, że jesteście inni? Dopiero gdy zobaczyłem waszą krew, przekonałem się, że jesteście zwykłym człowiekiem, tak jak my.

– To nie moja krew – odparł Aleksander.

– Co takiego?

Aleksander pokręcił tylko głową.

– Co się z nami stanie w lesie?

– Ruszymy w Góry Świętokrzyskie. Pewnie skończy się nam amunicja, bo Niemcy są o wiele lepiej uzbrojeni od nas. Koniew każe nam walczyć aż do śmierci. Na tym polega służba w batalionach karnych.

Uspieński patrzył na niego tępym wzrokiem.

– I przywiodły was tutaj wichry przeznaczenia, które wiały wam prosto w plecy?

– Tak. Bo wiecie, poruczniku, Armia Czerwona przeoczyła jedną rzecz.
– Jaką, kapitanie?
– Ja nie mam najmniejszego zamiaru umierać – powiedział Aleksander.

Rozdział dwudziesty czwarty

Barrington, sierpień 1944

– Dokąd jedziemy? – spytała Vikki. – I po co? Nie mam wcale ochoty jechać pociągiem aż do Massachusetts. O co chodzi z tymi wyprawami? Dopiero wróciłaś z Arizony. Mało ci? Leje jak z cebra, jest paskudnie, a wczoraj miałam podwójną zmianę. W poniedziałek też mam podwójną. Nie możemy zostać w domu? Babcia przygotuje lasagne. A ja muszę zrobić manikiur, wyprasować sukienkę i uporać się z włosami. Słyszałaś, że kobiety golą sobie teraz nogi i włosy pod pachami? To najnowsza moda. Też chciałam spróbować. Powiedzieli mi o tym w salonie piękności. Tak nawiasem mówiąc, obiecałaś, że wybierzesz się tam ze mną. Dlaczego musimy gdzieś jechać? Nie możemy zostać w domu? Marzę o ciepłej kąpieli.

– Nie. Musimy jechać – odparła Tatiana, popychając wózek z Anthonym.

– A dlaczego ja muszę jechać z tobą?

– Bo nie chcę jechać sama. Nie mówię zbyt dobrze po angielsku. A ty jesteś moją przyjaciółką.

Vikki westchnęła ciężko.

Wzdychała tak przez całą trwającą pięć godzin podróż do Bostonu.

– Vikki, liczyłam. Wzdychałaś raz na pół kilometra. Przejechałyśmy trzysta osiemdziesiąt cztery kilometry. To daje siedemset sześćdziesiąt osiem westchnień.

– To wcale nie było wzdychanie – odparła z rozdrażnieniem Vikki. – Ja tylko oddychałam.

– Bardzo ciężko. – Tatiana zatęskniła nagle za bratem. Pasza pojechałby z nią na pewno i trwał wiernie przy jej boku bez słowa. Za to jej siostra narzekałaby bez przerwy, zupełnie jak Vikki. – Powinnam była poprosić Edwarda – mruknęła, przykrywając Anthony'ego. W Bostonie też padał deszcz.

– Dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Przestań, dobrze? Wolę nie wiedzieć, że kiedy proszę cię o przysługę, potrafisz tylko zrzędzić.

Vikki przestała wzdychać.

Z Bostonu do Barrington pojechały taksówką, bo nie jeździły tam lokalne pociągi.

– Będzie was to kosztowało dwadzieścia dolarów – oświadczył taksówkarz.

Vikki żachnęła się, po czym jęknęła głośno, gdy Tatiana uszczypnęła ją w udo.

– W porządku – powiedziała Tatiana do taksówkarza.

– Dwadzieścia dolarów? Oszalałaś? – Wsiadły do taksówki. Tatiana trzymała Anthony'ego na kolanach. – To połowa mojej tygodniowej pensji. Ile ci płacą?

– Jeszcze mniej. Ale jak inaczej miałyśmy się tam dostać?

– Nie wiem. Autobusem?

– Przystanek jest za daleko.

– Ale za powrót będziemy musiały zapłacić następne dwadzieścia dolarów.

– Tak.

– Możesz mi wyjaśnić, co my tutaj robimy?

– Zamierzamy odwiedzić jedną z krewnych Anthony'ego. – Wiedziała, że nie powinna tego robić, Sam gorąco ją od tego odwodził, ale nie potrafiła się powstrzymać. Z jakiegoś powodu czuła, że wszystko będzie w porządku. Poza tym podejrzewała, że niebawem będzie musiała poprosić ją o przysługę.

– Masz krewnych w Stanach?

– Ja nie. Ale on tak. Musisz mnie wspierać. Jeśli będę potrzebowała pomocy, uszczypnę cię w ramię. O tak.

– Auuu!

– Dobra. Dopóki tego nie zrobię, stój grzecznie, uśmiechaj się i nic nie mów.

Godzinę później znalazły się w Barrington.

– Dokąd? – spytał taksówkarz.

– Może być tutaj. – Tatiana wskazała duży biały budynek przy Main Street. Zapłaciła i wysiadły. Barrington było przytulnym miasteczkiem z białymi domami o ciemnych okiennicach. Wzdłuż czystych ulic rosły wysokie dęby, nad którymi wznosiły się białe wieże. Przy Main Street znajdował się sklep z artykułami żelaznymi, kawiarenka i sklep z antykami. Na ulicy kręciło się kilka kobiet. Jednak żadna z nich nie popychała przed sobą wózka. Anthony był jedynym maluchem w zasięgu wzroku.

– Wydałaś dwutygodniową pensję, żeby tu przyjechać? – spytała Vikki, przeciągając szczotką po zmierzwionych włosach.

– Wiesz, ile pieniędzy wydałam, żeby przyjechać tu z Anglii? Pięćset dolarów. Sądzisz, że było warto?

– Oczywiście. Ale żeby zaraz przyjeżdżać tutaj?

– Popchaj trochę wózek, dobrze?

– Poczekaj, jestem zajęta. – Vikki nadal szczotkowała włosy.

Tatiana rzuciła jej zagniewane spojrzenie.

– Już dobrze, dobrze.

– Spytajmy, gdzie jest Maple Street.

W kiosku z gazetami dowiedziały się, że Maple Street jest kilka przecznic dalej. Ruszyły w tamtą stronę w padającym deszczu.

– Poczekaj, coś właśnie przyszło mi do głowy – powiedziała nagle Vikki. – To miasteczko nazywa się Barrington, tak jak ty. Czy to zbieg okoliczności?

– Dopiero teraz przyszło ci to do głowy? Zatrzymaj się. Jesteśmy na miejscu. – Stanęły przed dużym białym domem, zbudowanym w stylu

kolonialnym. Na podwórku rosły wysokie klony. Podeszły do drzwi, jednak nie nacisnęły dzwonka.

– Co my tutaj robimy?

Tatiana nie potrafiła zebrać się na odwagę.

– Chyba powinnyśmy stąd pójść.

– Żartujesz chyba? Przejechałyśmy taki kawał drogi i teraz mamy sobie pójść? – Vikki nacisnęła guzik. Tatiana zostawiła wózek przy schodach i trzymała teraz Anthony'ego w ramionach.

Drzwi otworzyła surowa, elegancko ubrana starsza kobieta.

– Tak? – spytała ostro. – Zbieracie pieniądze? Poczekajcie, zaraz pójdę po portmonetkę.

– Nie – odparła szybko Tatiana. – Przyjechałyśmy... przyjechałam, żeby porozmawiać z Esther Barrington.

– To ja jestem Esther Barrington. Z kim mam przyjemność?

– Ja... – Tatiana się zawahała. Podniosła wyżej synka. – To jest Anthony Aleksander Barrington. Syn Aleksandra.

Esther upuściła trzymane w ręce klucze.

– Kim pani jest?

– Jestem żoną Aleksandra.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem.

Na twarz Esther wypłynął ognisty rumieniec.

– Wcale mnie to nie dziwi. Pomyśleć tylko, że ma pani dość tupetu, żeby przyjeżdżać tutaj, do mojego domu! Za kogo się pani uważa?

– Jestem żoną Aleksandra...

– Nie obchodzi mnie, kim pani jest! Proszę mi nie podtykać pod twarz swojego syna, jakby nagle miało mnie to wszystko obchodzić. Bardzo mi pani żal... – Surowy głos zupełnie nie pasował do bólu, jaki malował się na twarzy kobiety. – Naprawdę bardzo mi pani żal, ale nie chcę mieć z panią nic wspólnego.

Tatiana cofnęła się o krok.

– Przepraszam – powiedziała. – Ma pani rację. Chciałam tylko...

– Wiem, czego pani chce. Przywiozła tu pani swojego bękarta! Po co? Czy to coś zmieni?

– A co ma zmienić? – spytała Vikki.

Esther nie odpowiedziała na jej pytanie.

– Czy wie pani – ciągnęła dalej podniesionym głosem – co pani teść powiedział, kiedy przed czternastu laty po raz ostatni wychodził z mojego domu? Powiedział: „Zostaw mojego syna w spokoju, ty cipo". Tak! Miałam zostawić w spokoju Aleksandra, mojego rodzonego bratanka. Chciałam im pomóc, powiedziałam, że zaopiekuję się chłopcem, kiedy on z żoną będzie marnował sobie życie w Związku Radzieckim, ale on nie chciał mieć nic wspólnego ani ze mną, ani z moją rodziną. Nie napisał do mnie ani słowa, nawet nie przysłał depeszy. – Dyszała ciężko. – Co ten drań teraz robi?

– Nie żyje – odparła słabym głosem Tatiana.

Esther nie była w stanie wydusić ani słowa. Zacisnęła tylko palce na gałce od drzwi i cofnęła się o krok.

– No i dobrze – powiedziała po chwili. – Jak pani śmie tutaj przychodzić... jest pani przecież dla mnie zupełnie obcą osobą... i wmawiać mi, że powinien mnie obchodzić los pani syna.

Drżącą ręką Esther zatrzasnęła z hukiem drzwi, zostawiając oniemiałe dziewczęta na werandzie.

– Hmmm – mruknęła Vikki. – Tego się spodziewałaś?

Powstrzymując łzy, Tatiana odwróciła się na pięcie i podeszła do schodów.

– Myślałam, że będzie lepiej.

Czego się spodziewała? Nie miała pojęcia, co zaszło między Haroldem Barringtonem i jego siostrą przed wyjazdem z Ameryki, ale z reakcji Esther wywnioskowała jedno – ciotka Aleksandra nie miała żadnych wiadomości ze Związku Radzieckiego. Nie wiedziała nic o bracie, szwagierce i Aleksandrze. A przecież ona przyjechała tu tylko po to, by sprawdzić, czy Esther przypadkiem nie udało się zdobyć jakichś informacji. Najwyraźniej jednak tak nie było. Możliwość odnalezienia dalekiej rodziny, stworzenia

jej namiastki dla synka, nie miała dla niej teraz żadnego znaczenia. Teraz liczyło się tylko jedno – musiała poznać prawdę o Aleksandrze.

Położyła Anthony'ego w wózku i ruszyły ścieżką w stronę ulicy.

– Czternaście lat – powiedziała Vikki. – Można by pomyśleć, że to dość czasu, by zapomnieć. Niektórzy ludzie są strasznie pamiętliwi.

– Zwłaszcza jeśli kieruje nimi nienawiść – odparła Tatiana.

Szły wolno ulicą.

– Jakie to było słowo? – spytała nagle Tatiana. – Jak nazwał ją ojciec Aleksandra?

– Nieważne. Damy nie używają takich słów. Nasza Esther ma chyba w sobie coś z żołnierza. Nauczę cię kiedyś brzydkich słów.

– Ale i ja je znam – zaprotestowała Tatiana. – Tylko tego nie – dodała cicho.

– A skąd możesz je znać? Nie ma ich przecież w słownikach ani w rozmówkach. – Vikki szturchnęła ją lekko. – A przynajmniej nie w tych, które oglądałam.

– Miałam kiedyś bardzo dobrego nauczyciela – szepnęła Tatiana.

Szły Main Street, kiedy nagle tuż obok nich gwałtownie zahamował samochód. Wyskoczyła z niego Esther, rozczochrana, z podpuchniętymi oczami, pod którymi widniały czarne smugi tuszu. Stanęła przed Tatianą.

– Przepraszam – powiedziała. – To był dla mnie prawdziwy szok. Od czasu wyjazdu mojego brata z Ameryki nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości. Nie wiedziałam, co się z nimi stało. Nikt z Departamentu Stanu nie chciał nam nic powiedzieć.

Zabrała dziewczęta z powrotem do domu. Tam nakarmiła je kanapkami z szynką i zupą, zaparzyła dzbanek kawy i położyła Anthony'ego na łóżku w sypialni na górze. By nie spadł, otoczyła go poduszkami ze wszystkich stron.

Trudno było uwierzyć, że Esther przez ponad dziesięć lat chowała urazę do brata. Zalewała się łzami, kiedy Tatiana opowiedziała jej o Haroldzie, Jane i Aleksandrze.

Nalegała, by dziewczęta zostały u niej do niedzieli, na co przystały z radością. Młodsza o rok od Harolda, miała teraz sześćdziesiąt jeden lat i była jedynym żyjącym członkiem rodziny Barringtonów. Jej mąż zmarł przed pięcioma laty i mieszkała teraz z Rosą, gospodynią, która pracowała u niej od czterdziestu lat.

– Czy tutaj mieszkał Aleksander? – Tatiana nie spuszczała wzroku z Esther w obawie, że może zobaczyć coś, co do niego należało.

Esther pokręciła głową.

– Jego dom znajduje się około dwóch kilometrów stąd. Nie rozmawiam z ludźmi, którzy tam teraz mieszkają. To banda snobów, ale jeśli chcesz, możemy koło niego przejechać.

– Czy za domem jest las?

– Już nie – odparła Esther. – Zbudowano tam domy. Ale las był naprawdę piękny. Aleksander przyjaźnił się z...

– Teddym? A może chodzi o Belindę?

– Czy jest coś takiego, czego o nim nie wiesz?

– Tak – odparła Tatiana. – Nie wiem, gdzie jest teraz.

– Teddy zginął w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku podczas bitwy o Midway. A Belinda została pielęgniarką i jest teraz w Afryce Północnej albo we Włoszech. Biedny Aleksander. Biedny Teddy. Biedny Harold. – Esther pokręciła głową. – Głupi Harold. Zniszczył całą rodzinę i tego chłopca... cudownego, wspaniałego chłopca. Masz może jego zdjęcie?

Tatiana pokręciła głową.

– Nic się nie zmienił. Esther, nie miałaś od niego żadnych wiadomości?

– Nie.

– I nic o nim nie słyszałaś?

– Ani słowa. Dlaczego pytasz? Przecież nie zawiadomiliby mnie, nawet gdyby zginął.

Tatiana wzruszyła ramionami.

– Musimy się już zbierać.

Esther zerwała się z krzesła.

– Poczekaj. Mam coś dla ciebie.

Przyniosła mały płócienny woreczek, ściągnięty sznurkiem. W środku Tatiana znalazła trzy splecione razem rzemyki, trzy zardzewiałe gwoździe, kawałek drewna, dwie połamane muszelki i zdjęcie małego Aleksandra. Miał na nim może osiem lat i stał na plaży obok przysadzistego chłopca (Teddy?). Uśmiech Aleksandra rozświetlał całą twarz.

– Spójrz tylko tutaj. To zdjęcie malutkiego Aleksandra.

Ciemnowłosy, uśmiechnięty, niespełna dwuletni Aleksander wyglądał na nim zupełnie jak jego syn. Kiedy Tatiana sięgnęła po zdjęcie, ręka drżała jej tak mocno, że nie mogła go ująć. Widząc to, Vikki odwróciła wzrok. Esther, która też to zauważyła, szybko schowała zdjęcie do woreczka i poklepała Tatianę po ramieniu.

– Naprawdę musimy już iść – szepnęła Tatiana.

Kiedy usiadły w pociągu, Vikki bez słowa zaczęła wyglądać przez okno.

– Co się stało, Vik?

– Nic – odparła. – Myślałam właśnie, że kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, to z wyjątkiem tej blizny na policzku, wydałaś mi się najmniej skomplikowaną osobą pod słońcem.

Tatiana położyła dłoń na kolanie przyjaciółki.

– Nie jestem wcale skomplikowana – powiedziała. – Muszę się tylko dowiedzieć, co się stało z moim mężem.

– Powiedziałaś mnie i Edwardowi, że on nie żyje.

– A jeśli się pospieszyłam? – odparła Tatiana, spoglądając na migający za oknem krajobraz Massachusetts.

Szukałeś mnie? – spytała go pewnego dnia, a on odparł: Przez całe życie.

Tatiana nie odezwała się już ani słowem. Siedziała z zamkniętymi oczami aż do chwili, gdy pociąg wjechał na nowojorski Grand Central Station.

Rozdział dwudziesty piąty

W Górach Świętokrzyskich, październik 1944

Głęboko w lasach porastających Góry Świętokrzyskie, sto kilometrów i sześć tygodni po sforsowaniu Wisły, Aleksander i jego ludzie od trzech godzin znajdowali się pod ostrzałem wroga.

Żyli w lesie i w lesie spali. Kiedy tylko milkły karabiny, rozbijali namioty, a gdy pociski nadal świstały im nad głowami, otulali się szczelnie w płaszcze. Palili ogniska, lecz w lesie nie mogli znaleźć dość jedzenia. Zające czmychały na najmniejszy odgłos zbliżających się żołnierzy. W nielicznych strumieniach było niewiele ryb, ale gdy napotykali na swojej drodze jeden z nich, mogli się przynajmniej umyć. Sezon na jagody już się skończył, a grzybów mieli po dziurki w nosie. Poza tym żołnierze często po nich chorowali i Aleksander w końcu zakazał ich zbierania. Na nierównym terenie kable telefoniczne często się rwały i nie mogli liczyć na regularne zaopatrzenie ze strony armii. Aleksander robił mydło ze smalcu i popiołu. Jego żołnierze nie dbali jednak o czystość i nie przeszkadzały im wszy. Wiedzieli doskonale o tym, że niosą one groźbę zakażenia tyfusem, ale niewiele ich to obchodziło. Chcieli jeść smalec i nie zależało im na mydle. Ich twarze i ciała całymi tygodniami pokrywała warstwa prochu, błota i zakrzepłej krwi. Wszyscy mieli przemoczone buty, które jakoś nigdy nie chciały wyschnąć.

Byli w lesie sami i starali się przedostać na drugą stronę góry, lecz Niemcy zajęli pozycje na jej szczycie, podobnie jak w Siniawinie i Pułkowie, i wystarczała im zaledwie garstka ludzi, by odpierać ataki batalionu Aleksandra.

Ale przynajmniej do tej pory stale posuwali się do przodu. Bardzo wolno, ale do przodu. Pewnego dnia musieli się jednak zatrzymać u stóp góry i choć dwa razy dostarczano im posiłki i amunicję, musieli uznać wyższość niemieckiej obrony. A teraz od ośmiu dni nie otrzymali żadnego wsparcia. W przerwach pomiędzy ostrzałem, który trwał od świtu aż do zmierzchu, w lesie odbijały się echem głosy niemieckich żołnierzy. Nie tylko nad nimi, ale także z obu stron. Aleksander zaczął podejrzewać, że to nie jest linia niemieckiej obrony, ale okrążenie. Nie posunęli się do przodu ani o jeden metr, a zaczął już zapadać zmierzch.

Musiał przerwać ten impas albo ten las stanie się świadkiem jego śmierci. A widział już śmierć Werenkowa. Biedak nie mógł dostrzec wroga, strzelał na ślepo i nie zorientował się, kiedy należy się szybko wycofać. Udało mu się dotrzeć aż do tego lasu, ale tu los przestał się do niego uśmiechać. Aleksander razem z Uspieńskim pochowali go w dziurze wyrwanej przez granat, który go zabił, i zatknęli jego hełm na wbitym w ziemię patyku.

– Kto to jest, do cholery? – spytał nagle Aleksander, gdy na chwilę zapadła cisza. – Przysięgam na Boga, że słyszałem, jak ktoś mówi po rosyjsku. Czyżbym miał halucynacje? Słyszeliście to, Uspieński?

– Słyszałem tylko warkot maschinegewehra 43. – Był to niemiecki karabin maszynowy.

– Tak, zgoda, ale posłuchajcie uważnie. Muszą teraz załadować kolejny pas, a ktoś wykrzykuje komendy po rosyjsku. Przysięgam na Boga, że to rosyjski.

Uspieński spojrzał ze współczuciem na Aleksandra.

– Tęsknicie za Rosją, kapitanie?

– Co wy, kurwa? Mówię wam, że to rosyjski.

– Sądzicie, że strzelamy do Rosjan?

– Nie wiem. Czy to nie śmieszne? Jakim cudem mieliby się tam znaleźć?

– Hmmm. Słyszeliście o własowcach?

– Własowcach?

– To radzieccy jeńcy wojenni lub partyzanci, którzy przeszli na stronę wroga.

– Tak, słyszałem o nich – rzucił Aleksander. Nie chciał wdawać się w dyskusje z Uspieńskim, kiedy próbował ocalić swoich ludzi. Porucznikowi nigdy się do niczego nie spieszyło. Teraz siedział za drzewem, ładował pepeszę i układał pociski do moździerza Aleksandra w równym rzędzie. Zachowywał się tak, jakby wokół niego nie szalała wojna.

Aleksander słyszał oczywiście o własowcach. Byli grupą żołnierzy radzieckich, którzy walczyli pod dowództwem generała Andrieja Własowa jeszcze podczas partyzanckiej wojny z Niemcami. Kiedy trafili do niewoli niemieckiej, przeszli na stronę wroga i walczyli przeciwko swoim towarzyszom z Armii Czerwonej, rzekomo o wolną Rosję. Po zorganizowaniu antystalinowskiej Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej, której Hitler nie zamierzał popierać, Własow sam trafił do niemieckiej niewoli, lecz wielu Rosjan nadal walczyło w dowodzonych przez Niemców brygadach.

– To nie mogą być własowcy – powiedział z przekonaniem w głosie Uspieński.

– Generała Własowa już z nimi nie ma, ale oni nadal walczą po stronie Niemców. Miał przecież ponad sto tysięcy żołnierzy. A część z nich trafiła do tego lasu.

Na chwilę znów zapadła cisza i nagle bardzo wyraźnie usłyszeli rzucaną po rosyjsku komendę: „Ładować, ładować".

Aleksander spojrzał na Uspieńskiego, uniósł w górę brwi i powiedział:

– Nie cierpię mieć racji.

– I co teraz? Nie mamy już amunicji.

– Nieprawda – odparł niemal radośnie Aleksander. – Zostały mi jeszcze cztery magazynki i pół bębna. A niebawem nadciągną posiłki. – Kłamał. Podejrzewał, że kabel telefoniczny znów się zerwał, a jedyny żołnierz, który potrafił go naprawić, nie żył.

– Jest ich tam co najmniej trzydziestu.

– To lepiej, żebym nie pudłował.

– Skłamaliście o tych posiłkach. Już je dostaliśmy. Dwa tygodnie temu Koniew przysłał wam trzystu uzbrojonych ludzi. Ale wszyscy zginęli.

– Przestańcie się wymądrzać, poruczniku. Każcie ludziom przygotować się do otwarcia ognia.

Dziesięć minut później Aleksander nie miał już ani jednego naboju. Jego ludzie też przestali strzelać.

– Jak daleko jest niemiecka granica? – spytał Uspieński.

– Dzieli nas od niej jakieś sto tysięcy niemieckich żołnierzy, poruczniku.

Uspieński westchnął ciężko.

– I co teraz?

– Wyjmijcie nóż. Niedługo czeka nas walka wręcz.

– Chyba wam całkiem odbiło – mruknął Uspieński cicho, żeby nikt nie mógł go usłyszeć.

– A macie jakieś inne propozycje?

– Gdybym miał, nie byłbym porucznikiem. Byłbym kapitanem, a wy wykonywalibyście moje rozkazy. – Uspieński zawiesił głos. – Czy wykonywaliście kiedyś rozkazy, kapitanie?

Aleksander się roześmiał.

– Nie wiem, czy zauważyliście, poruczniku, ale ja też mam swoich dowódców.

– No to gdzie oni są? Muszą wam kazać się wycofać.

– Nie możemy się wycofać. Wiecie doskonale. Za nami czai się dwudziestu żołnierzy NKGB, którzy już o to zadbają. Rozstrzelają nas na miejscu.

Aleksander zamilkł.

Siedzieli na porośniętej mchem ziemi, opierając się plecami o drzewo.

– Powiedzieliście, że rozstrzelają nas, jeśli zechcemy się wycofać?

– Natychmiast. – Aleksander nie patrzył na Uspieńskiego.

– Powiedzieliście, że nas rozstrzelają?

– Co sugerujecie, poruczniku? – Aleksander spojrzał uważnie na Uspieńskiego.

– Nic, towarzyszu kapitanie. Ale mówiąc to, zakładacie, że mają czym to zrobić.

Aleksander milczał.

– Przyprowadźcie do mnie kaprala Jermienkę – powiedział po chwili.

Kilka minut później Uspieński wrócił z Jermienką, który wycierał płynącą z ramienia krew.

– Kapralu, ile macie jeszcze amunicji?

– Trzy magazynki po osiem naboi, trzy granaty i kilka pocisków do moździerza.

– Bardzo dobrze. Powiem wam, jak wygląda sytuacja. Zaczyna nam brakować amunicji, a w lesie jest co najmniej tuzin Niemców.

– Chyba więcej, towarzyszu kapitanie. I oni mają amunicję.

– Kapralu, czy potraficie strzelać bardzo celnie? Czy wystarczy wam naboi na tych dwunastu żołnierzy?

– Nie, towarzyszu kapitanie. Nie mam snajperskiego karabinu.

– Co więc proponujecie?

– Mnie o to pytacie?

– Was, kapralu.

Jermienko zamilkł, a kiedy poprawiał hełm, na jego twarzy pojawił się wyraz powagi. Stał na baczność, z ramienia wciąż płynęła mu krew. Aleksander polecił, by Uspieński przyniósł apteczkę. Jermienko nadal się zastanawiał. Aleksander kazał mu przykucnąć i obejrzał jego ramię. Było to tylko niegroźne draśnięcie, ale rana mocno krwawiła.

– Powiedzcie mi, co o tym wszystkim myślicie, kapralu. – Aleksander przycisnął opatrunek do jego ramienia.

– Może powinniśmy poprosić… żołnierzy, którzy trzymają się na tyłach – zaczął cicho Jermienko – żeby nam oddali trochę amunicji. – Kiwnął głową w stronę lasu.

– Chyba macie rację. A jeśli odmówią?

– Powinniśmy tak ich poprosić, żeby nie mogli odmówić.

Aleksander poklepał Jermienkę po plecach.

– Wiem, że mają dużo pistoletów maszynowych – ciągnął dalej kapral, zniżając głos jeszcze bardziej. – Co najmniej cztery karabiny maszynowe, granaty i pociski do moździerzy. Mają też wodę i jedzenie.

Aleksander i Uspieński wymienili spojrzenia.

– Macie oczywiście rację, kapralu – powiedział Aleksander, bandażując mu ramię. – Ale nie wiem, czy zechcą się z nami podzielić. Dacie sobie radę?

– Tak jest, towarzyszu kapitanie. Ktoś musi tylko odwrócić ich uwagę.

Aleksander wstał.

– Ja to zrobię.

– Kapitanie! – wykrzyknął Uspieński. – Nie. Wyślijcie mnie.

– Możecie iść z nami. Ale cokolwiek zrobicie, nie mówcie im, że macie tylko jedno płuco, poruczniku. – Aleksander podał Jermience drewnianą pałkę, którą sam zrobił. Do zaokrąglonego końca przytwierdził ostre odłamki pocisków. Na drugim końcu przymocował uchwyt, który splótł z kory, by łatwiej było wziąć zamach. Jermienko wziął pałkę, wręczył Uspieńskiemu pasy nabojów do swojego pistoletu, Aleksander załadował nowy magazynek do pepeszy i razem ruszyli w milczeniu przez las w stronę obozu NKGB. Niebawem Aleksander zobaczył przed sobą grupkę mężczyzn siedzących wokół ogniska. Rozmawiali z ożywieniem i śmiali się.

– Uspieński – powiedział – zostańcie tutaj. Najpierw sam z nimi porozmawiam. Poproszę ich o pomoc. Czekajcie tu na mnie. Jeśli zacznę iść w waszą stronę i zarzucę broń na ramię, będzie to oznaczało, że udało mi się z nimi dogadać. Jeśli zrobię krok do przodu z bronią w rękach, będzie to znak, że ruszamy do ataku. Zrozumiano?

– Tak jest – odparł Jermienko, a Uspieński westchnął tylko i nie powiedział ani słowa. Zdecydowanie zbyt poważnie traktował swoje zadanie ochraniania Aleksandra.

– Poruczniku! Zrozumiano?

– Tak jest.

Aleksander ruszył przed siebie, zostawiając ich ukrytych w krzakach dziesięć kroków za sobą. Podszedł do siedzących na małej polanie żołnierzy, którzy nawet nie podnieśli głów, by na niego spojrzeć.

– Towarzysze – powiedział, zbliżając się do ognia – potrzebujemy waszej pomocy. Nie mamy już amunicji, nie dotarły do nas posiłki i nie mogę się z nikim skontaktować przez telefon polowy. Z dwóch batalionów zostało mi dwudziestu ludzi i nie mam żadnego wsparcia. Potrzebujemy waszych pocisków, opatrunków i wody dla rannych. Chciałbym też skorzystać z waszego telefonu, żeby zadzwonić do dowództwa.

Popatrzyli na niego w milczeniu, a potem wybuchnęli śmiechem.

– Przestańcie pieprzyć głupoty, dobra?

– Otrzymałem rozkazy, żeby sforsować ten las.

– To najwyraźniej ich nie wykonaliście, kapitanie – powiedział porucznik Sienniew, spoglądając spod oka na Aleksandra.

– Ależ tak, poruczniku – odparł Aleksander. – Krew moich ludzi jest na to najlepszym dowodem. Teraz jednak potrzebujemy waszej broni.

– Odpieprzcie się – odparł Sienniew.

– Proszę tylko, byście pomogli towarzyszom broni. Chyba nadal walczymy po tej samej stronie?

– Powiedziałem, odpieprzcie się.

Aleksander westchnął. Trzymając broń w rękach, powoli odwrócił się tyłem do enkawudzistów. Kątem oka zobaczył, jak rzucona przez Jermienkę pałka przecina powietrze i wbija się w głowę Sienniewa. Jermienko musiał stać bardzo blisko i słyszeć całą rozmowę, inaczej nie byłby w stanie zareagować tak szybko. Aleksander odwrócił się na pięcie, wymierzył pepeszę i strzelał raz po razie. Nie chciał marnować nabojów i strzelać seriami. Nie zmarnował ani jednego na Sienniewa, który leżał na ziemi z zakrwawioną głową. Strzelił sześć razy, Jermienko pięć i było po wszystkim. Enkawudziści nawet nie zdążyli chwycić broni do ręki.

Uspieński i Jermienko zabrali ich amunicję i zapasy, a Aleksander ułożył ciała zabitych na stos. Kiedy odeszli na bezpieczną odległość, rzucił na stos granat i osłonił oczy. Przez chwilę patrzyli na wybuchające płomienie.

– Może trzeba ich pożegnać po żołniersku – powiedział Uspieński, salutując. – Żegnajcie i pieprzcie się!

Jermienko się roześmiał.

Kiedy wracali na swoje pozycje, Aleksander poklepał młodego kaprala po plecach.

– Dobra robota – powiedział, częstując go papierosem.

– Dziękuję, towarzyszu kapitanie. – Jermienko odchrząknął. – Proszę o pozwolenie odnalezienia dowódcy tej bandy. Jeśli zgarniemy ich dowódcę, cała obrona padnie.

– Tak myślicie?

– Tak. Są bardzo rozproszeni. Nie walczą jak wyszkolona armia, lecz jak partyzanci.

– Jesteśmy w lesie, kapralu – odparł Aleksander. – Raczej nie znajdziecie tu okopów.

– Ale nawet w lesie potrzebny jest rozsądny plan. A jakoś go nie widać. Są dobrze uzbrojeni i strzelają do nas, jakby ich wcale nie obchodziło, jak długo wytrzymają. Bronią tego lasu, jakby mieli za sobą niewyczerpane wsparcie.

– Co się zmieni, jeśli przyprowadzicie do mnie dowódcę?

– Bez niego się wycofają.

– To prawda, ale my nadal będziemy tkwić w tym lesie.

– Możemy się posuwać w poprzek, na południe. Na pewno natkniemy się na Front Południowo-Ukraiński.

– I na pewno powitają nas z radością. Kapralu, miałem rozkaz sforsować ten las.

– Sforsujemy go. Ale w poprzek. Tkwimy tu już od dwóch tygodni. Straciliśmy niemal wszystko, nie mamy posiłków i nie możemy wypchnąć stąd Niemców. Towarzyszu kapitanie, proszę mi pozwolić przynieść głowę ich dowódcy. Zobaczycie, że się wycofają. Niemcy nie potrafią walczyć bez dowódcy. Będziemy mogli posuwać się dalej w poprzek lasu.

Uspieński szturchnął lekko Aleksandra.

– Dlaczego nie powiecie im, że to Rosjanie? – szepnął.

– Myślicie, że dla nich ma to jakieś znaczenie? – odszepnął Aleksander.

Przez zdobyty telefon połączył się z kapitanem Groninem z 28 regularnego batalionu, który znajdował się o cztery kilometry na południe od jego pozycji. Nie wspomniał ani słowem o zabiciu enkawudzistów, za to poprosił o jak najszybsze wsparcie. Okazało się, że Niemcom udało się wcisnąć pomiędzy oddziały radzieckie i aby dostarczyć Aleksandrowi wsparcie, Gronin musiałby się przez nich przedrzeć. Choć w głosie Gronina słychać było wyczerpanie, udało mu się zebrać dość sił, by krzyknąć: „Czy wy sobie, kurwa, żarty stroicie? Za kogo się uważacie? Zapomnijcie o wsparciu! Macie walczyć, dopóki nie dotrze do was reszta armii!", i z hukiem rzucił słuchawkę.

Aleksander odłożył swoją delikatnie i podniósł wzrok. Jermienko i Uspieński wpatrywali się w niego w milczeniu.

– Co powiedział, kapitanie? – spytał Uspieński.

– Wsparcie dotrze tutaj za kilka dni. Do tej pory musimy się jakoś trzymać – Aleksander pociągnął łyk wody i jęknął – nawet woda, którą miało NKGB, smakowała lepiej. – Dobra, Jermienko. Sprowadźcie mi ich dowódcę. Ale weźcie ze sobą jeszcze jednego człowieka.

– Towarzyszu kapitanie…

– Nie. Macie go zabrać. Kogoś dobrego, kto potrafi trzymać język za zębami. Musi to być ktoś, komu możecie zaufać.

– No to chciałbym wziąć jego. – Jermienko wskazał na Uspieńskiego.

– Odbiło wam do reszty? Jestem porucznikiem…

– Poruczniku! – krzyknął Aleksander. Zapalił papierosa, przebiegł wzrokiem po twarzach obu żołnierzy i uśmiechnął się. – Nie możecie zabrać porucznika, kapralu. On jest mój. Weźcie kogoś innego. – Zawiesił głos. – Weźcie kogoś lepszego. Może Smirnowa.

– Dziękuję za zaufanie, towarzyszu kapitanie – powiedział Uspieński.

– Nie ma sprawy, poruczniku.

Po godzinie do obozu wrócił sam Smirnow.

– Gdzie jest kapral Jermienko? – spytał Aleksander.

– Nie udało mu się – odparł Smirnow.

Aleksander milczał przez chwilę.

– Nie odpowiedzieliście na moje pytanie, kapralu. Pytałem was, gdzie on jest.

– Powiedziałem, że nie żyje.

– A ja pytałem, gdzie jest. I będę was o to pytał, dopóki nie usłyszę odpowiedzi. Gdzie on jest?

Zaskoczony i udręczony Smirnow nie spuszczał wzroku z Aleksandra.

– Nie rozumiem…

– Gdzie jest martwy kapral?

– Tam, gdzie zginął. Wszedł na minę.

Aleksander się wyprostował. Stał oparty plecami o drzewo.

– Zostawiliście swojego towarzysza, który osłaniał waszą dupę, martwego na terytorium wroga?

– Tak jest, towarzyszu kapitanie. – Smirnow się zająknął. – Musiałem się stamtąd wydostać… wrócić tutaj.

– Kapralu, nie jesteście warci munduru, który włożyli wam na grzbiet. Nie jesteście warci broni, którą wam dali do obrony ojczyzny. Zostawić żołnierza na terytorium wroga…

– On już nie żył – powiedział wyraźnie podenerwowany Smirnow.

– I wy też niedługo zginiecie! – krzyknął Aleksander. – Kto przeniesie wasze ciało na stronę radziecką? Wasz towarzysz nie żyje, więc na pewno nie on. – Machnął ręką w stronę zdumionego żołnierza. – Zabierajcie się stąd.

Kiedy Smirnow odwrócił się na pięcie, zatrzymał go.

– Najpierw jednak powiecie mi, czy odkryliście coś, co może się nam przydać. A może poszliście na terytorium wroga tylko po to, żeby zostawić tam martwego żołnierza?

– Nie, towarzyszu kapitanie. – Smirnow nie patrzył na Aleksandra.

– Co, nie?

– Towarzyszu kapitanie, odkryłem, że dowódca nie jest Niemcem, ale Rosjaninem. Choć myślę, że w oddziale jest też paru Niemców. Słyszałem,

jak rozmawiali po niemiecku. Ale dowódca jest na pewno Rosjaninem. Krzyczy do żołnierzy po niemiecku, ale do swojego porucznika mówi po rosyjsku. Zostało im jeszcze z pięćdziesięciu ludzi.

– Pięćdziesięciu!

– Hmmm. Bez niego nie zrobią ani kroku. – Smirnow zawiesił głos. – Wiem, bo udało się nam podejść bardzo blisko. Wtedy właśnie odkryliśmy, że teren wokół jego namiotu jest zaminowany. Ale znam bezpieczne przejście. Jedna mina już przecież wybuchła. Na pewno uda mi się wrzucić granat do namiotu dowódcy. Rozerwie go na strzępy, a jego ludzie natychmiast się poddadzą.

– Jesteście pewni, że to Rosjanin? – spytał Aleksander.

– Tak.

Smirnow odszedł. Minęło pół godziny, a on nadal nie wracał. Po godzinie też go nie było. Po upływie półtorej godziny, kiedy w lesie zrobiło się już zupełnie ciemno, Aleksander doszedł do wniosku, że Smirnow też zginął. Ten głupi, zarozumiały drań na pewno zwrócił na siebie uwagę Niemców i teraz leży martwy, czekając, żebym go przytaszczył z powrotem.

– Idę tam, poruczniku – powiedział do Uspieńskiego. – Jeśli coś mi się stanie, przejmiecie dowództwo.

– Towarzyszu kapitanie, nie możecie tam iść.

– Idę i nie wrócę, dopóki nie zginę albo ja, albo ich dowódca. Pieprzony Smirnow! Zostawił biednego Jermienkę w lesie. – Aleksander zaklął pod nosem. – Ale teraz przynajmniej jest ich dwóch. Szkoda, że nie mam tego cholernego czołgu.

– Mieliście go. Gdybyście się nie upierali i nie forsowali rzeki bez wsparcia, mielibyście go nadal.

– Milczeć – warknął Aleksander. Wziął pepeszę, wsunął za pasek pistolet i pięć granatów, poprawił hełm.

– Idę z wami – powiedział Uspieński, podnosząc się z ziemi.

– No, już się rozpędzajcie. Usłyszą wasze rzężenie w pieprzonym Krakowie. Zostańcie tutaj i wyhodujcie sobie nowe płuco. Wracam za

godzinę.

– Tylko wróćcie na pewno, towarzyszu kapitanie.

Aleksander skradał się w lesie niczym syberyjski tygrys. Trzymając w zębach malutką latarkę, zaglądał pod krzaki, szukając ciała, zdeptanej trawy, czegokolwiek. W ręce trzymał nóż.

Po chwili natknął się na Smirnowa, który wszedł na minę. Metr od niego leżał Jermienko. Trzymanym w ręce pistoletem zrobił nad nimi znak krzyża.

Zgasił latarkę i w odległości mniej więcej pięciu metrów odnalazł namiot dowódcy. Wokół niego leżały miny. W pośpiechu nawet nie zakopali ich w ziemi. Gdybyż tylko jego ludzie nie spieszyli się tak bardzo!

Nagle dostrzegł promień latarki i przed namiotem zamajaczył cień. Mężczyzna odchrząknął i spytał:

– Kapitanie? Śpicie?

Aleksander usłyszał odpowiedź najpierw po niemiecku, potem po rosyjsku. Kapitan prosił mężczyznę po rosyjsku, by przyniósł mu coś do picia. Zabronił mu też odchodzić choćby na metr od namiotu.

– Miny zabiły już dwóch. Ale przyjdzie ich więcej, Borow. Mam tu dobrą kryjówkę, ale nie możemy ryzykować.

Dobra jest, pomyślał Aleksander. Wsunął nóż między zęby i wyjął zza pasa granat. Wiedział, że musi działać bardzo cicho i ostrożnie. Nie może chybić.

Żołnierz wyszedł z namiotu i zanim opuścił klapę, zasalutował. Aleksander już miał wyjąć zawleczkę.

– Zaraz wracam, kapitanie Mietanow… – powiedział adiutant.

Aleksander bezszelestnie osunął się na ziemię. Opuścił granat. Adiutant zniknął.

Czy powiedział Mietanow?

Udręczony umysł płata mu figle, to jasne. Drżącymi rękami podniósł granat. Ale już nie mógł go rzucić. Był tak blisko. Bez trudu mógł zabić dowódcę i jego adiutanta. Co teraz?

Jeśli zdawało mu się, że słyszał nazwisko Mietanow, tym gorzej dla niego. Tym gorzej dla jego nieostrożnego, stale targanego niepokojem serca. Gdyby udało mu się zapomnieć, gdyby mniej użalał się nad sobą, nie leżałby teraz trzy kroki od namiotu niemieckiego dowódcy i nie wyobrażał sobie, że słyszał nazwisko Mietanow.

Ostrożnie zbliżył się do namiotu. Podejrzewał, że kapitan nie pozwolił, by minę umieszczono tak blisko. Miał rację. Wyciągnął rękę i dotknął płótna namiotu. W środku paliła się nieduża latarka. Aleksander usłyszał szelest papieru. Ale nie słyszał swojego oddechu. I nie dlatego, że starał się zachować ciszę. Dlatego, że przestał w ogóle oddychać.

Poruszając się bezszelestnie, odwiązał jedną z lin mocujących namiot do stelaża. Podczołgał się i odwiązał drugą. Potem trzecią i czwartą. Odetchnął głęboko, wyjął broń – choć nie mógł jej odbezpieczyć, bo mężczyzna w namiocie na pewno by to usłyszał – chwycił mocniej nóż, policzył do trzech i skoczył na namiot. Uwięziony pod płótnem mężczyzna nie mógł się nawet poruszyć pod ciężarem Aleksandra, który przyłożył mu do skroni lufę odbezpieczonego pistoletu.

– Nie ruszaj się – szepnął po rosyjsku. – Ani drgnij.

Kolanami przycisnął mu ręce do ziemi. Jedną ręką sięgnął pod płótno i odszukał broń i nóż dowódcy. Leżały obok złamanego łóżka. Czując, że mężczyzna poruszył się lekko, Aleksander powtórzył:

– Nie ruszaj się! Rozumiesz, czy mam mówić po niemiecku?

Nie ufając mu ani za grosz, wymierzył cios prosto w głowę. Mężczyzna stracił przytomność. Aleksander odsunął płótno i zaświecił mu latarką prosto w twarz. Był młody, niegdyś ciemne włosy miał ogolone tuż przy skórze. Przez jego twarz, od oka aż do szczęki, biegła głęboka blizna. Głowę i szyję pokrywała warstwa zakrzepłej krwi. Na ciele widniały ledwo zagojone rany. Chudy i blady mógł być równie dobrze Rosjaninem i Niemcem. Na jego twarzy Aleksander nie znalazł żadnej odpowiedzi. Wyciągnął go z namiotu, zarzucił sobie na plecy i zanim adiutant zdążył wrócić z wodą, zszedł zboczem i wrócił do swoich ludzi.

Na jego widok Uspieński niemal się przewrócił, a jedyne płuco odmówiło mu posłuszeństwa. Czekał w napięciu przed namiotem. Był zaniepokojony i wyraźnie przestraszony. Widząc Aleksandra z mężczyzną na plecach, zerwał się z miejsca, ale zanim zdążył powiedzieć choć słowo, Aleksander gestem ręki nakazał mu milczenie.

– Przynieście mi sznurek.

Razem z Uspieńskim przywiązał mężczyznę do drzewa za namiotem.

Resztę ciągnącej się w nieskończoność nocy udręczony Aleksander spędził, siedząc przed związanym oficerem. Wreszcie mężczyzna otworzył oczy i spojrzał na niego ze złością. Aleksander pochylił się w jego stronę i rozwiązał chustkę, którą zakneblował mu usta.

– Ty draniu – warknął mężczyzna po rosyjsku. – Mogłeś mnie po prostu zastrzelić. Ale nie, przez ciebie opuściłem moich ludzi w czasie bitwy.

Aleksander milczał.

– Na co, kurwa, tak patrzysz?! – krzyknął dowódca. – Zastanawiasz się, jak chciałbym umrzeć? Może być powoli. I boleśnie. Gówno mnie to obchodzi.

Aleksander otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz wcześniej przyłożył mężczyźnie do ust termos z gorąca kawą i pozwolił mu pociągnąć kilka łyków.

– Jak się nazywasz? – spytał.

– Kołonczak.

– Jak brzmi twoje prawdziwe nazwisko?

– To jest moje prawdziwe nazwisko.

– Naprawdę?

– Nazywam się Andriej Kołonczak.

Aleksander wycelował w niego z pepeszy.

– Zrozum – zaczął – że jeśli jest to twoje prawdziwe nazwisko, to będę musiał cię zastrzelić, żeby twoi ludzie nie zrobili z ciebie ani bohatera, ani męczennika.

Mężczyzna się roześmiał.

– Co ty sobie wyobrażasz? Że boję się śmierci? Strzelajcie, towarzyszu. Jestem gotów.

– Czy ludzie, których zostawiłeś, też są gotowi na śmierć?

– Oczywiście. Wszyscy jesteśmy gotowi umrzeć. – Siedział oparty o pień dębu i patrzył Aleksandrowi prosto w oczy.

– Kim jesteś? Powiedz mi.

– Mam powiedzieć tobie? A kim ty, kurwa, jesteś? Co, może moim towarzyszem broni? Nic ci nie powiem. Lepiej zabij mnie od razu, bo za chwilę zacznę krzyczeć i moi ludzie zaatakują. Zginą, ale ty stracisz te żałosne resztki oddziału, które ci zostały. Nic ze mnie nie wyciągniesz.

– Siedzisz na tyłach mojego obozu, półtora kilometra od swoich ludzi. Możesz krzyczeć, ile dusza zapragnie. Nikt cię nie usłyszy. Pytam jeszcze raz: jak się nazywasz?

– Andriej Kołonczak, już ci mówiłem.

– To połączenie nazwisk Aleksandra Kołczaka, przywódcy Białej Armii z czasów wojny domowej, i kobiety partyzanta, Kołłontaj?

– Zgadza się.

– Dlaczego więc twój adiutant mówił do ciebie kapitanie Mietanow?

Mężczyzna zamrugał oczami. Na ułamek sekundy odwrócił wzrok, lecz to Aleksandrowi wystarczyło. Skulił się pod tym odwróconym spojrzeniem, jakby ktoś wymierzył mu cios prosto w pierś. Nie potrafił nawet spojrzeć mu w oczy, gdy spytał:

– Kapitan Paweł Mietanow?

Pod drzewem zapadła cisza. Patrząc na swoją broń, na swoje ręce, na mech, kamienie, na swoje buty, Aleksander wziął krótki, bolesny oddech i spytał:

– ...Pasza Mietanow?

Kiedy podniósł wzrok, mężczyzna patrzył na niego zaskoczony, na jego twarzy malował się wyraz twarzy człowieka, który nagle usłyszał ojczysty język w Chinach albo gdzieś na krańcu świata zobaczył znajomą twarz. Przez ułamek sekundy był jednocześnie młodym, roześmianym chłopcem i żołnierzem, który przywiązany do pnia drzewa czeka na śmierć.

– Nic nie rozumiem – powiedział słabym głosem. – Kim ty jesteś?

– Ja…

Aleksander chciał coś powiedzieć, ale głos mu się załamał; nie mógł wydusić ani słowa więcej. Ja… ja… krzyczę w głuche niebo. Ale niebo wcale nie jest głuche. Wystarczy spojrzeć na człowieka, który siedzi przede mną. Aleksander patrzył na niego z mieszaniną smutku, zaskoczenia i niedowierzania.

– Nazywam się Aleksander Biełow – powiedział wreszcie. – W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku ożeniłem się z Tatianą Mietanową… – Wypowiadając jej nazwisko czuł niemal fizyczny ból, wiedział jednak doskonale, że przywiązanego do drzewa mężczyznę musiało to zaboleć jeszcze bardziej. Skulił się, jęknął, potrząsał pochyloną głową.

– Nie, przestań. To nie może być prawda. Weź broń. Zastrzel mnie.

Aleksander odłożył pepeszę i podszedł do drzewa.

– Pasza, Boże święty, co ty sobie, do cholery, myślałeś? Co ty wyprawiasz?

– Daj sobie ze mną spokój – powiedział mężczyzna. – Ożeniłeś się z Tanią? Wszystko więc z nią dobrze?

– Nie ma jej – odparł Aleksander.

– Nie żyje? – jęknął Pasza.

– Nie sądzę. – Aleksander zniżył głos. – Wyjechała ze Związku Radzieckiego.

– Nic nie rozumiem. Dokąd?

– Pasza…

– Mamy dużo czasu. Tego nam nie brakuje. Powiedz mi.

– Uciekła sama przez Finlandię. Była w ciąży – szeptał Aleksander. – Nie mam pojęcia, czy jej się udało, czy jest bezpieczna, czy jest wolna. Nic nie wiem. Mnie zaaresztowali i zrobili dowódcą tego batalionu karnego.

– A co z… moją… – zapytał Pasza drżącym głosem – …rodziną?

Aleksander pokręcił głową.

– Czy komuś udało się przeżyć?

– Nie.

Na dźwięk tego słowa Pasza skulił się jeszcze bardziej.

– Moja matka?

– Matka, ojciec, wszyscy dziadkowie, Dasza, Marina, jej rodzice. Leningrad pochłonął ich wszystkich. Została tylko Tania. A ona zniknęła.

Przez kilka strasznych chwil Pasza milczał, a potem wybuchnął płaczem.

Aleksander pochylił głowę tak bardzo, że niemal dotykał brodą piersi. Nie chciał nic widzieć; nie chciał nic słyszeć.

– Dlaczego? – spytał załamany Pasza. – Mogłeś mnie zabić i nigdy bym się o tym nie dowiedział. Myślałem, że ich ewakuowano, że są bezpieczni. Myślałem, że są w Mołotowie. Jedyną pociechą była dla mnie myśl, że nadal żyją. Dlaczego mnie oszczędziłeś? Nie widzisz, że nie chcę tego? Czy przeszedłbym na drugą stronę, gdybym choć przez moment myślał, że moje życie jest cokolwiek warte? Kto cię prosił, żebyś się tu zjawił i mnie uratował?

– Nikt – odparł Aleksander. – Ja też o to nie prosiłem. Miałem już wrzucić granat do namiotu. Ty byś zginął, a do jutra rana po twoich ludziach nie zostałby nawet ślad. Ale usłyszałem, że ktoś zwraca się do ciebie, używając prawdziwego nazwiska. Dlaczego musiałem to usłyszeć? Zapytaj sam siebie. – Zawiesił głos. – Czy mogę cię rozwiązać?

– Tak. A ja wyrwę ci serce z piersi gołymi rękami.

– Jakbym je, kurwa, miał – odparł Aleksander. Podniósł się z ziemi i szorstkim ruchem zakneblował Paszę.

Wraz z porankiem nadszedł gniew. Patrząc na Paszę, który zdruzgotany siedział przy drzewie, nadal nic nie rozumiał. Jakże chciał mieć dość czasu, by spokojnie się nad wszystkim zastanowić. Na domiar złego zaczął padać deszcz. Przyszli w Góry Świętokrzyskie, by umrzeć, ale przedtem jeszcze zmokną jak psy.

Aleksander zaproponował Paszy coś do jedzenia. Odmówił. Papierosa? Też nie.

– A co powiesz na kulkę?

Nawet na niego nie spojrzał.

Tego ranka w obozie wroga panowała cisza. Aleksander nie był tym zaskoczony; wiedział, że nie dziwi to również Paszy. Ich dowódca zniknął.

– Co się z tobą, kurwa, dzieje? – spytał Aleksander, wyjmując knebel z ust Paszy.

– Dlaczego musiałeś mi powiedzieć o mojej rodzinie?

– Pytałeś.

– Mogłeś skłamać. Mogłeś powiedzieć, że wszystko u nich w porządku.

– Chciałbyś tego?

– Tak. Tysiąc razy tak. Niewielka pociecha dla umierającego w deszczu człowieka. Tak, bardzo bym chciał.

Aleksander otarł mu zalaną strugami deszczu twarz.

Potem przegrupował swoich ludzi i zajęli pozycje wśród drzew. Po porannym papierosie otworzyli niewielki ogień, który pozostał bez odpowiedzi. W lesie odgłosy wojny rozlegały się zbyt blisko. Baldachim z liści, gęste krzaki, niosące się we mgle echo zmieniały zupełnie obraz sytuacji. Pola były o wiele lepsze; lepsze były miny i czołgi. W lesie było najgorzej.

Zostało mu tylko dziewiętnastu ludzi. Dziewiętnastu ludzi i zakładnik, którego śmierci pragnęły obie strony.

Przestali strzelać. Aleksander usiadł w milczeniu obok Paszy. Próbował raz jeszcze połączyć się z Groninem, ale niewiele słyszał. Jego ludziom znów zaczynało brakować amunicji.

W pewnej chwili podszedł do niego Uspieński i szepnął, że muszą zabić dowódcę, by ruszyć do przodu. Aleksander odparł, że jeszcze poczekają.

Deszcz nie przestawał padać.

Po paru godzinach Pasza skinieniem głowy dał znak Aleksandrowi, by do niego podszedł.

– Możesz mi dać papierosa? – spytał, gdy Aleksander wyjął mu knebel z ust.

Zaciągnął się głęboko.

– Jak ją poznałeś? – spytał.

– To było zrządzenie losu. W pierwszy dzień wojny patrolowałem ulice, a ona siedziała na ławce i jadła lody.

– Cała Tania. Kiwa głową, a potem robi, co chce. A tato powiedział wyraźnie: Idź i zdobądź jedzenie. – Spojrzał na Aleksandra. – Tego dnia widziałem ją po raz ostatni. Moją rodzinę też.

– Wiem. I co mam z tobą zrobić, Pasza? – spytał z bólem serca. – Jesteś bratem mojej żony.

Pasza wzruszył ramionami.

– To już twój problem. Opowiem ci o moich ludziach. Jest ich pięćdziesięciu, w tym pięciu poruczników i pięciu sierżantów. Jak myślisz, co zrobią beze mnie? Nigdy się nie poddadzą. Będą się wycofywać, aż połączą się ze zmotoryzowanymi dywizjami Wehrmachtu, które osłaniają zbocza gór od zachodu. Wiesz, ile ludzi czeka tam na ciebie? Pół miliona. Jak daleko zajdziesz ze swoimi dziewiętnastoma żołnierzami? Wiem, co to są bataliony karne. Nikt nie przyśle ci posiłków, jeśli sam będzie ich potrzebował. Co zamierzasz?

– Mój porucznik uważa, że powinniśmy cię zabić.

– Ma rację. Jestem dowódcą ostatniego oddziału armii generała Własowa. Kiedy zginę, będzie po nas.

– Skąd wiesz? – spytał Aleksander. – Słyszałem, że własowcy szaleją w Rumunii, gwałcąc tamtejsze kobiety.

– A co to ma wspólnego ze mną? Ja jestem w Polsce.

– Co się z tobą działo? Twoja rodzina nie miała żadnych wiadomości.

– Nie wspominaj mi o mojej rodzinie – powiedział Pasza podniesionym głosem. – Już dość mi powiedziałeś.

– Kiedy zniknąłeś, twoi rodzice byli załamani.

– Mama zawsze podchodziła do wszystkiego bardzo emocjonalnie. – Pasza zaczął płakać. – Myślałem, że tak będzie lepiej. Jeśli nie będą wiedzieć. W sumie i tak wychodzi na jedno. Wszystkich nas czeka powolna śmierć.

Aleksander nie wiedział, czy tak rzeczywiście było lepiej.

– Tania pojechała cię szukać do obozu w Dochotinie.

– Głupia – powiedział czule, pociągając nosem.

Aleksander przysunął się do niego nieco bliżej.

– Obóz był pusty, a ona pojechała potem do Ługi, kilka dni przed zajęciem miasta przez Niemców. Chciała cię szukać aż w Nowogrodzie. Powiedziano jej, że tam właśnie przewieziono uczestników obozu w Dohotinie.

– Wysłano nas… – Pasza pokręcił głową i roześmiał się smutno. – Bóg opiekuje się Tanią w naprawdę niezwykły sposób. Zawsze tak było. Gdyby pojechała do Nowogrodu, na pewno by zginęła, a mnie tam wcale nie było. Przejechałem tylko obok jeziora Ilmen pociągiem, który Niemcy wysadzili w powietrze.

– Jeziora Ilmen?

Nie mogli spojrzeć sobie w oczy.

– Opowiadała ci o jeziorze?

– Tak – odparł Aleksander.

Pasza się uśmiechnął.

– Spędziliśmy tam dzieciństwo. Tania była królową jeziora Ilmen. Szukała mnie? Z tej mojej siostry zawsze był niezły numer. Jeśli ktokolwiek mógł mnie znaleźć, to tylko ona.

– Tak. Ale teraz to ja cię znalazłem.

– Na dodatek w pieprzonej Polsce! Nigdy nie dotarłem do Nowogrodu. Niemcy wysadzili w powietrze nasz pociąg, a złożone na wysoki stos ciała podpalili. Przeżyłem tylko ja i mój przyjaciel Wołodia. Udało nam się wyczołgać spod stosu trupów. Próbowaliśmy odnaleźć nasze oddziały, ale Niemcy zajęli całą okolicę. Jeszcze na obozie Wołodia złamał nogę. Nie mogliśmy iść zbyt szybko i po paru godzinach nas złapali. Wołodię zastrzelili na miejscu, nie był im potrzebny. – Pokręcił głową. – Cieszę się, że jego matka nigdy się o tym nie dowiedziała. Znałeś jego matkę? Ninę Iglenko?

– Tak. Wyciągała od Tani jedzenie dla dwóch synów, którzy z nią zostali.

– Co się z nimi stało?

– Leningrad zabił ich wszystkich. – Aleksander pochylił głowę. Jeszcze trochę, a dotknąłby czołem błota, w którym siedział.

Chciał porozmawiać z Paszą o własowcach, ale w jaki sposób określić słowami coś, co jeszcze nigdy nie miało miejsca w historii? Milion żołnierzy odwróciło się od swoich i przeszło na stronę wroga, by na ojczystej ziemi walczyć przeciwko rodakom. Szpiedzy, podwójni agenci, zdrajcy, to wszystko już było. Ale milion żołnierzy?

– Pasza, co wtedy myślałeś? – Tylko na tyle się zdobył.

– Co myślałem? O czym? Nie słyszałeś, co się stało na Ukrainie, jak Stalin zostawił tam swoich ludzi na pastwę Niemców?

– Tak, słyszałem – powiedział znużonym głosem Aleksander. – Walczę w Armii Czerwonej od tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku. Słyszałem o wszystkim. Wiem wszystko. Znam każdy dekret, każde prawo, każdy rozkaz.

– Wiesz więc, że nasz wielki wódz uznał dostanie się do niewoli za zbrodnię przeciwko ojczyźnie?

– Oczywiście. A rodzina jeńca nie dostaje racji chleba.

– Tak jest. Wiesz też na pewno, że rodzony syn Stalina trafił do niemieckiej niewoli.

– Tak.

– A kiedy Stalin dowiedział się o tym, wiesz, co zrobił?

– Wieść głosi, że wyrzekł się własnego syna.

– Wieść się nie myli. Słyszałem od esesmanów, że chłopak trafił do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen i tam został stracony.

– Tak.

– Rodzony syn! Jaką więc ja mogę mieć nadzieję?

– Nikt z nas jej nie ma – powiedział Aleksander. – Ale Stalin nie wie, kim jesteśmy. To może nam pomóc. Może nas ocalić.

– Wie, kim ja jestem.

Aleksander się obawiał, że Stalin może też wiedzieć, kim on jest. Szpieg obcego państwa w szeregach oficerów Armii Czerwonej. Spojrzał Paszy prosto w oczy.

– Mimo wszystko trudno to porównać z walką po stronie wroga przeciwko rodakom. W armii uznaje się to chyba za zdradę stanu. Jak myślisz, co oni z tobą zrobią, gdy cię złapią?

Pasza chciał machnąć ręką, lecz przywiązany do drzewa pokręcił się tylko niespokojnie.

– To samo, co zrobiliby, gdybym wrócił jako jeniec wojenny – powiedział wreszcie. – Nie siedź tak i nie osądzaj mnie. Nie znasz mnie. Nie wiesz, przez co przeszedłem.

– Opowiedz mi. – Aleksander przysunął się bliżej. Siedzieli teraz razem oparci o pień grubego dębu w zaskakująco cichym lesie.

– Niemcy wsadzili mnie do obozu w Mińsku. Spędziłem tam pierwszą zimę tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego i czterdziestego drugiego roku. W obozie było sześćdziesiąt tysięcy jeńców. Nie mogli nas wykarmić, zresztą wcale się do tego nie palili. Nie mieli dla nas ubrań ani lekarstw. A nasi przywódcy zadbali o to, by nie docierała do nas pomoc z Czerwonego Krzyża. Nie mogliśmy też dostawać żadnych paczek z domu, koców, nic. Kiedy Hitler zaproponował Stalinowi wymianę jeńców, Stalin odpowiedział, że nie ma pojęcia, o co mu chodzi, gdyż jest pewny, że żaden radziecki żołnierz nie wykazał się tak wielkim brakiem patriotyzmu, by oddać się w ręce Niemców. Dodał też, że nie interesuje go jednostronna pomoc dla Niemców, którzy mieliby otrzymywać paczki. Hitler odparł: „W porządku, nie ma sprawy". W obozie było nas sześćdziesiąt tysięcy, a pod koniec zimy zostało jedenaście. To o wiele wygodniejsza liczba, nie sądzisz?

Aleksander skinął głową bez słowa.

– Wiosną udało mi się uciec i rzekami dotarłem na Ukrainę, gdzie znów wpadłem w ręce Niemców. Tym razem jednak nie wsadzili mnie do obozu jenieckiego, ale do obozu pracy. Myślałem, że jeńców nie wolno zmuszać do pracy, ale okazało się, że w przypadku radzieckich jeńców i uchodźców nie obowiązują żadne prawa. W obozie było pełno ukraińskich Żydów, potem zauważyłem, że masowo znikają. Nie wydawało mi się prawdopodobne, że wszyscy uciekali, by dołączyć do partyzantów.

Poznałem prawdę, gdy latem tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku kazali nam kopać wielkie doły, a potem zasypywać ziemią tysiące ciał. Wiedziałem, że długo tam nie pociągnę. Nie sądziłem, by Niemcy darzyli Rosjan szczególną sympatią. Najbardziej nienawidzili Żydów, ale Rosjanie byli następni w kolejce, zwłaszcza żołnierze Armii Czerwonej. Nie chcieli nas tylko zabić, ale zniszczyć, pobić, zagłodzić na śmierć. Złamać najpierw nasze ciała, potem ducha, a na koniec spalić. Latem tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku znów uciekłem. Plątałem się po okolicy w nadziei, że uda mi się przedrzeć do Grecji. Wtedy właśnie wpadłem w ręce oddziału, który walczył dla Woronowa. On z kolei podlegał Andriejowi Własowowi z Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej. Wiedziałem, co mnie czeka, więc przyłączyłem się do nich.

– Och, Pasza.

– Daj spokój.

Aleksander wstał.

– Jak myślisz, moja siostra wolałaby, żebym zginął z rąk Hitlera czy towarzysza Stalina? Poszedłem za Własowem, człowiekiem, który obiecał mi życie. Stalin wydał na mnie wyrok. Hitler też. Hitler, który traktuje lepiej psy niż radzieckich jeńców wojennych.

– Hitler kocha psy. Woli je od dzieci.

– Hitler, Stalin, oni obaj mnie przekreślili. W mojej obronie stanął tylko generał Własow. I byłem gotów oddać za niego życie.

Aleksander z trzaskiem wsunął magazynek do pepeszy.

– No to gdzie teraz jest ten twój generał? Myślał, że pomaga nazistom, ale faszystów, komunistów i Amerykanów łączy jedna rzecz. Wszyscy nienawidzą zdrajców. – Aleksander wyjął z buta nóż i pochylił się nad Paszą, który uchylił się nagłym ruchem. Aleksander spojrzał na niego zdumiony, wzruszył ramionami i przeciął krępujące go więzy. – Andriej Własow został schwytany przez Niemców, odsiedział jakiś czas w więzieniu i został przekazany władzom radzieckim. Walczysz dla człowieka, który od dawna nie liczy się w tej wojnie. Dni jego chwały to już odległa przeszłość.

Pasza wstał i przeciągnął się z bolesnym jękiem. Bolało go całe ciało.

– Dni mojej chwały to też odległa przeszłość – powiedział.

Patrzyli na siebie w milczeniu. W porównaniu z Aleksandrem Pasza był drobny i niski. Przypominał mu Gieorgija Wasiljewicza Mietanowa, ojca Tatiany.

– Niezła z nas para – powiedział Pasza. – Ja jestem dowódcą resztek ostatniego oddziału armii Własowa. Mój batalion trafił na pierwszą linię obrony, bo Niemcy chcą, żeby wybili nas nasi rodacy. A ciebie wysłano, żebyś mnie zabił; ciebie – dowódcę batalionu karnego, bandy skazańców, którzy nie potrafią walczyć, nie potrafią strzelać i nie mają amunicji. – Uśmiechnął się. – Co powiesz mojej siostrze, kiedy spotkasz się z nią w niebie? Że w ogniu walki zabiłeś jej brata?

– Pasza – zaczął Aleksander, dając mu gestem ręki znak, by poszedł za nim – jestem niemal pewny, że nie znalazłem się na tej ziemi po to, by cię zabić. A teraz chodź. Musimy skończyć z tym szaleństwem. Powiesz swoim ludziom, żeby złożyli broń.

– Nie słyszałeś, co ci mówiłem? Moi ludzie nigdy nie poddadzą się NKGB. A poza tym wiesz, co cię czeka, jeśli ruszysz do przodu?

– Tak. Niemcy zostaną pobici. Może nie przez nas na tym zasranym wzgórzu, ale wszędzie indziej. Słyszałeś o drugim froncie? O Pattonie? Nad Odrą, w pobliżu Berlina, natkniemy się na Amerykanów. Gdyby Hitler miał choć odrobinę rozsądku, poddałby się i uchronił Niemcy przed drugim upokorzeniem w tym stuleciu. Może po drodze udałoby mu się ocalić parę milionów ludzi.

– Czy Hitler wygląda na człowieka, który podpisałby bezwarunkową kapitulację? Albo troszczyłby się o jedno życie? Co dla niego znaczy parę milionów istnień? Jeśli pójdzie na dno, pociągnie za sobą cały świat.

– Z pewnością ma taki zamiar – zgodził się Aleksander. Już miał gwizdnąć na Uspieńskiego, kiedy Pasza powstrzymał go gestem ręki.

– Poczekaj. Zastanówmy się przez chwilę, dobra?

Usiedli na zwalonym pniu i zapalili papierosy.

– Nieźle się wkopałeś, nie zabijając mnie na miejscu.

– Masz rację. – Aleksander zaciągnął się dymem. – Teraz musimy znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. Albo nie zostanie nam już ani jeden żołnierz, którym będziemy mogli dowodzić.

– I zostaniemy sami w lesie? – spytał po chwili milczenia Pasza.

Aleksander spojrzał na niego badawczo. Co on chce przez to powiedzieć?

Pasza pochylił się w jego stronę.

– Każę moim ludziom złożyć broń, jeśli obiecasz, że nie oddasz ich w ręce NKGB.

Aleksander zaśmiał się krótko.

– A co, według ciebie, mam z nimi zrobić?

– Włącz nas do swojego oddziału. Mamy broń, amunicję, granaty, moździerze, karabinki automatyczne.

– I tak miałem wam odebrać broń, Pasza. To właśnie robią pokonani – oddają swoją broń. Ale twoi ludzie? Czy będą teraz walczyć po drugiej stronie?

– Zrobią wszystko, co im każę.

– Ale jak mogą to zrobić?

– A co proponujesz? Rozproszyć się?

– Rozproszyć się? Rozwiązać oddział? Wiesz, jak się to nazywa? Dezercja.

Pasza milczał.

– Aleksandrze, zrozum, nie ma dla was żadnej nadziei. Za tym wzgórzem czeka pięćset tysięcy żołnierzy.

– Zgoda, ale z drugiej strony nadciąga trzynaście milionów, żeby ich zabić.

– A co z tobą i ze mną?

– Potrzebuję waszej broni.

– Będziesz ją miał. I masz dziewiętnastu żołnierzy. Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz?

Aleksander zniżył głos do szeptu.

– Nie przejmuj się tym, co sobie wyobrażam. Ja tylko…

– Co?

– Pasza, muszę się dostać do Niemiec. I dlatego muszę przeżyć.

– Dlaczego?

Bo Amerykanie zbliżają się do Berlina. Bo wyzwolą Niemcy, wyzwolą obozy jenieckie i w końcu wyzwolą mnie. Aleksander nie wspomniał jednak o tym ani słowem.

– Matko Najświętsza – powiedział Pasza – ty zupełnie oszalałeś.

– Tak.

Pasza patrzył na Aleksandra przez długą chwilę. Stał w deszczu, a papieros dopalał się powoli między jego poranionymi palcami.

– Aleksandrze, czy ty nic nie wiesz o Niemcach? Naprawdę nic nie wiesz? Jak możesz być tak naiwny?

– Nie jestem wcale naiwny. Wiem wszystko, ale nadal mam nadzieję. Teraz bardziej niż kiedykolwiek. – Spojrzał na Paszę. – Jak myślisz, dlaczego cię tu znalazłem?

– Żebyś mógł dręczyć umierającego człowieka.

– Nie, Pasza. Pomogę ci. Musimy tylko się stąd wydostać. Ty i ja. Masz opatrunki?

– Tak, mnóstwo bandaży, sulfamidów, morfinę, nawet trochę penicyliny.

– Boże, bardzo się nam przydadzą. A jedzenie?

– Mamy wszystko w puszkach. Nawet mleko i jajka w proszku. Sardynki. Szynkę. Chleb.

– Chleb w puszkach? – Aleksander nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– A czym wy się żywiliście?

– Ciałami moich ludzi – odparł Aleksander. – Czy większość twoich ludzi to Rosjanie?

– Tak. Ale mam też dziesięciu Niemców. Co z nimi zrobimy? Oni na pewno nie przejdą na waszą stronę i nie będą walczyć przeciwko swoim.

– Jasne. To nie do przyjęcia, prawda?

Pasza odwrócił wzrok.

– Weźmiemy ich do niewoli – powiedział Aleksander.

– Myślałem, że bataliony karne nie biorą jeńców?

– Tutaj, w lesie, to ja ustalam prawa – odparł Aleksander. – Zwłaszcza kiedy wszyscy mnie opuścili. Pomożesz nam czy nie?

Pasza zaciągnął się po raz ostatni, zgasił papierosa i zupełnie niepotrzebnie, zdaniem Aleksandra, wytarł mokrą twarz.

– Pomogę. Ale twojemu porucznikowi to się nie spodoba. Chce mnie zabić.

– Zostaw go mnie – mruknął Aleksander.

Z Uspieńskim nie poszło mu łatwo.

– Oszaleliście? – szepnął zapalczywie do Aleksandra, kiedy ten przedstawił mu plan wcielenia do oddziału ludzi Paszy.

– Macie lepszy pomysł?

– Mówiliście, że Gronin nadciąga już z posiłkami.

– Skłamałem. Sprowadźcie tu naszych ludzi.

– Zabijmy dowódcę, a potem czekajmy spokojnie w lesie, aż dotrze do nas broń i posiłki.

– Nie zabiję dowódcy i nie będę na nic czekał. Oni nie nadciągną.

– Kapitanie, nie działacie zgodnie z prawem. Nie możemy wziąć Niemców do niewoli. Musimy zabić ich dowódcę.

– Poruczniku, sprowadźcie tu ludzi i skończcie z tymi bzdurami.

– Kapitanie...

– Poruczniku! Już!

Uspieński z wyrazem podejrzliwości na twarzy spojrzał na Paszę, który stał u boku Aleksandra. Patrzyli na siebie przez kilka sekund.

– Kapitanie, rozwiązaliście go? – spytał cicho Uspieński.

– Zajmijcie się swoimi sprawami, a mnie zostawcie moje. Ruszać!

Aleksander, Uspieński i Tielikow mieli czternastu szeregowych i dwóch kaprali. Razem z batalionem Paszy będą mieli do dyspozycji sześćdziesięciu ludzi i dziesięciu niemieckich jeńców. Aleksander skinął na Paszę.

– Moi ludzie muszą wiedzieć, że to ja do nich mówię – powiedział Pasza.

– Dobra – odparł Aleksander. – Stanę przy tobie, a ty będziesz do nich krzyczał.

Uspieński zastąpił Aleksandrowi drogę.

– Z całym szacunkiem, towarzyszu kapitanie, ale nie pójdziecie na linię ognia.

– Pójdę, poruczniku – odparł Aleksander, odsuwając Uspieńskiego kolbą karabinu.

– Kapitanie. – Uspieński nie dawał za wygraną. – Graliście kiedyś w szachy? Wiecie, że często podczas gry poświęca się własną królową, by zdobyć królową przeciwnika? Jego ludzie zabiją was obu.

Aleksander skinął głową.

– Macie rację, ale ja nie jestem królową. Będą musieli wymyślić coś lepszego.

– Zabiją was i wygrają. Niech ten drań idzie sam. Jeśli o mnie chodzi, może łapać kule w zęby. Ale jeśli coś się wam stanie, nie mamy nikogo innego.

– Mylicie się, poruczniku. Jesteście wy. Teraz słuchajcie. Dostaliśmy wyraźny rozkaz, by sforsować ten las – zniżył głos. – I wreszcie udało mi się dojść dlaczego. To przez nich, własowców. Stalin chce, żeby jego radzieckie męty, czyli my, zabiły jego radzieckie męty, czyli ich. – Pasza stał w pobliżu i Aleksander nie chciał, by słyszał jego słowa. Odciągnął więc Uspieńskiego na bok. – Mamy tylko jeden rozkaz: przeć do przodu i tylko jedno zadanie: ratować naszych ludzi. Już prawie po nas. Darowalibyście Mietanowowi życie, żeby ratować naszych ludzi, prawda?

– Nie – odparł Mikołaj. – Sam zastrzelę tego sukinsyna.

– Mikołaju – powiedział cicho Aleksander – jeśli go dotkniesz, zginiesz. Na wypadek, gdyby nagle ogarnął cię szał patriotyzmu, chcę, byś wiedział, że w grę wchodzi twoje własne życie. Jeśli coś mu się stanie, cokolwiek, będę za to winił ciebie.

– Towarzyszu kapitanie…

– Zrozumieliście?

– Nie. Dlaczego on was tak obchodzi, przecież to śmieć…

– Jest bratem mojej żony – powiedział Aleksander.

Przez twarz Uspieńskiego przemknął trudny do określenia wyraz. Aleksander nie potrafił go odczytać. Może błysk zrozumienia? Trwało to jednak tylko ułamek sekundy.

– Nie wiedziałem – powiedział w końcu Uspieński.

– Bo niby skąd?

Aleksander i Pasza wyruszyli, by wypełnić swoją misję. Było późne popołudnie. W lesie panowała cisza przerywana jedynie szelestem kropli spadających z gałęzi. Niepokojąca, niewytłumaczalna cisza. Nagle jedna z płonących gałęzi złamała się i spadła na ziemię. Zmoczona listopadowym deszczem paliła się z trudem. Pasza Mietanow stanął dziesięć metrów od Aleksandra.

– Tu dowódca Kołonczak! – krzyknął. – Słyszycie mnie? Sprowadźcie natychmiast porucznika Borowa.

Z głębi lasu nie padła żadna odpowiedź.

– Nie strzelać! I sprowadźcie tu Borowa! – krzyknął raz jeszcze.

Rozległ się pojedynczy strzał. Kula minęła Paszę o włos. Aleksander zamknął oczy. „To szaleństwo, pomyślał. Nie pozwolę go rozstrzelać na moich oczach". Zawołał Paszę i posłał po kaprala, który osłaniałby Mietanowa, kiedy kolejny raz będzie wołał swojego porucznika. Jednak zza drzew nie padł już ani jeden strzał. Niebawem usłyszeli głos wołanie:

– Dowódca Kołonczak?

– Tak, Borow, to ja.

– Jak brzmi hasło?

Pasza spojrzał na Aleksandra.

– Wiedziałbyś, gdyby cię spytali?

– Nie.

– Nie domyśliłbyś się?

– Skończ już te gierki. Tu chodzi o życie twoich ludzi.

– Nie. Chodzi o życie twoich ludzi.

– Podaj mu hasło, Pasza.

– Królowa jeziora Ilmen! – krzyknął Pasza, wymachując białą chusteczką.

Po chwili milczenia Aleksander powiedział z wyraźnym bólem w głosie:

– No cóż, twojej siostrze pewnie by się spodobało, że jej imię wykrzykuje się w ogniu bitwy.

Borow wyszedł zza szarych drzew oddalonych zaledwie o trzydzieści metrów – tak mała odległość dzieliła dwa walczące bataliony. Po godzinie z pewnością doszłoby do walki wręcz. Aleksander wiele razy walczył w lesie, na wzgórzach, w błocie, na bagnach, strzelając do zjaw, cieni, spadających gałęzi. Pochylił głowę. Cieszył się, że przynajmniej na razie go to ominie. Usłyszał, jak Pasza rozmawia z Borowem, w którego głosie dźwięczało niedowierzanie i niechęć.

– Proszę o pozwolenie, by się nie poddawać.

– Odmawiam – odparł Pasza. – Widzisz inne wyjście?

– Umrzeć z honorem – powiedział Borow.

Aleksander zrobił parę kroków naprzód.

– Każ swoim ludziom złożyć broń i wyjść zza drzew.

– Kapitanie! – przerwał mu Pasza. – Sam się tym zajmę. – Odwrócił się do Borowa. – Niemcy zostaną naszymi jeńcami.

Borow się roześmiał.

– Poddajemy ich? Na pewno im się to spodoba.

– Zrobią, co im każemy.

– A co z resztą?

– Będziemy walczyć po stronie Armii Czerwonej.

Borow cofnął się o krok z wyrazem niedowierzania na twarzy.

– Kapitanie, co się dzieje? To niemożliwe.

– Zostałem wzięty do niewoli, Borow. I dlatego nie masz wyboru. W grę wchodzi moje życie.

Borow opuścił głowę, jakby naprawdę nie miał wyboru.

Jakiś czas potem Pasza wyjaśnił Aleksandrowi:

– Borow zawsze będzie wobec mnie lojalny. Jest dla mnie tym, czym Uspieński dla ciebie.

– Uspieński jest dla mnie niczym – odparł Aleksander.

– Żartujesz oczywiście.

Wracali do radzieckiego obozu. Przed nimi szli żołnierze Paszy i Niemcy ze związanymi rękami.

– Aleksandrze, ufasz mu?

– Komu?

– Uspieńskiemu.

– Tak jak każdemu.

– Co to znaczy?

– Do czego zmierzasz?

Pasza zakaszlał.

– Ufasz mu w sprawach osobistych?

– W tych sprawach nikomu nie ufam. – Aleksander patrzył prosto przed siebie.

– To dobrze. – Pasza zawiesił głos. – Nie wiem, czy można mu ufać.

– Udowodnił, że jest wobec mnie lojalny. Ale mimo wszystko mu nie ufam.

– To dobrze – powiedział Pasza.

Aleksander miał rację w wielu sprawach. Radzieckie posiłki nie nadeszły. Dla Paszy i jego radzieckich żołnierzy nie było też radzieckich mundurów. Choć Aleksander stracił ponad czterdziestu ludzi, grzebał ich w mokrych i zakrwawionych eleganckich mundurach. Teraz miał czterdziestu dwóch ludzi w niemieckich mundurach, ostrzyżonych na niemiecką modę. Kazał im się natychmiast ogolić do gołej skóry, ale mundurów na wymianę nie mieli.

Pasza też miał rację w wielu sprawach. Niemieckie posiłki przegrupowały się u stóp góry w nadziei, że natkną się na ludzi Paszy. Zamiast tego natknęli się na batalion Aleksandra. Choć posiadali znacznie więcej amunicji, Aleksander miał przewagę, bo po raz pierwszy w swojej wojskowej karierze znalazł się na szczycie wzgórza. Odparł więc z trudem atak niemieckiego oddziału artylerii, potem bez trudu atak piechoty, a jego

ludzie zaczęli schodzić z góry, tracąc przy tym zaledwie pięciu żołnierzy. Aleksander oświadczył, że od tej pory, jeśli będzie walczył, to tylko ze szczytu wzgórza.

Pasza postraszył go, że za pierwszym razem Niemcy wysłali do walki tylko niewielki oddział, następnym razem będzie tu tysiąc, a potem dziesięć tysięcy żołnierzy.

Pasza miał rację w wielu sprawach.

Po drugiej stronie Gór Świętokrzyskich las był jeszcze gęściejszy, a walka jeszcze ostrzejsza. Następny dzień przyniósł ze sobą cięższą artylerię, cięższy ostrzał z karabinów maszynowych, więcej granatów, pocisków, mniej deszczu, więcej ognia.

Aleksander znów stracił pięciu ludzi. Następnego dnia Niemców było jeszcze więcej i batalion został zredukowany do trzech oddziałów. Nie pomagały ani bandaże, ani sulfamidy. Żołnierze Aleksandra nie mieli czasu, by budować linie obrony, kopać rowy. Początkowo osłaniały ich drzewa, lecz one szybko padały pod ostrzałem z moździerzy i granatów. Padali też ludzie. Żaden z pozostałych przy życiu nie potrafił pozszywać poszarpanych przez odłamki kończyn.

Po czterech dniach zostały już tylko dwa oddziały. Dwudziestu ludzi. Aleksander, Pasza, Uspieński, Borow i szesnastu szeregowych.

Jednego z żołnierzy Aleksandra coś ukąsiło w lesie. Następnego dnia leżał martwy. Zostało dziewiętnastu. Wrócili do punktu wyjścia. Ale teraz mieli przynajmniej ośmiu związanych jeńców, których mogli wymienić za swoje życie.

Niemiecka armia nie nacierała. I nie wycofywała się. Nie trwała też w bezruchu. Wyglądało na to, że jej jedynym celem jest wybicie batalionu Aleksandra do ostatniego żołnierza.

Udało im się jakoś przetrzymać piąty dzień. Ale potem nie został im już ani jeden pocisk, a magazynki karabinów były niemal puste. Borow zginął. Kiedy Pasza grzebał go w błocie pod mokrymi liśćmi, płakał.

Potem zginął sierżant Tielikow. Podczas jego pospiesznego pogrzebu płakał Uspieński.

Skończyły się bandaże. I jedzenie. Zbierali w liściach deszczówkę i przelewali ją do manierek. Skończyła się morfina i lekarstwa.

– Co teraz? – spytał Pasza.

– Zabrakło mi pomysłów – odparł Aleksander.

Jedynym wyjściem było wycofanie się.

– Nie możemy się wycofać – powiedział Aleksander do Uspieńskiego, który rozważał taką możliwość.

– Tak jest, poruczniku – poparł go Pasza. – Wiecie, że karą za to jest śmierć.

– Pieprz się – warknął Uspieński. – Śmiercią to chciałbym ukarać ciebie.

Aleksander i Pasza wymienili spojrzenia.

– A nie zastanawiałeś się przypadkiem, dlaczego wolałem Niemców od śmierci?

– Nie – rzucił ostro Uspieński. – Wolałeś Niemców od swoich, ty zasrańcu.

– Spójrzcie tylko, jak wasi dowódcy traktują swoją armię! – wykrzyknął Pasza. – Rzucili was tutaj bez żadnego wsparcia, posłali na pewną śmierć. A żeby was jeszcze bardziej pogrążyć, posypać solą wasze krwawiące rany, ogłosili, że poddanie się stanowi zbrodnię przeciwko ojczyźnie! Słyszeliście kiedykolwiek o czymś takim? W jakiej armii, gdzie i kiedy? No, powiedzcie. – Prychnął z pogardą. – I jeszcze pytacie dlaczego.

– Pasza, za bardzo bierzesz to wszystko do siebie – powiedział Aleksander. – Myślisz, że kogoś obchodzi twoja śmierć?

Spojrzeli na siebie w milczeniu. Aleksander siedział na zwalonym drzewie, otulony przemoczonym płaszczem, i nożem strugał patyk. Siedzący na drugim pniu Uspieński zawołał, żeby dał sobie spokój z tym bezsensownym dłubaniem. Aleksander odparł, że tym patykiem złapie rybę, zje ją sam, a jemu pozwoli spokojnie umrzeć z głodu. Pasza powiedział ze smutkiem, że dla nich zawsze łapał ryby Borow, był jego najlepszym przyjacielem, a od trzech lat prawą ręką. Uspieński krzyknął ze

złością, że jeśli chodzi o niego, to może się z żalu zapłakać na śmierć. Aleksander natychmiast uciszył ich obu. Zapadła noc.

Aleksander i Tatiana bawią się w chowanego. Aleksander stoi cichutko w lesie, nasłuchując. Ale nie słyszy nic z wyjątkiem buczenia pszczół i bzyczenia much. Całe roje owadów, ale ani śladu Tatiany. Spogląda w górę, też nic. Powoli zaczyna iść przed siebie. „Taniu! – woła. – Gdzie jesteś, malutka? Gdzie jesteś? Lepiej dobrze się schowaj, bo czuję, że niedługo cię dopadnę". Ma nadzieję, że to ją rozśmieszy. Milknie i znów zaczyna nasłuchiwać. Cisza. Czasami, kiedy jest blisko niego, słyszy, jak odbezpiecza pistolet, który jej dał. Ale dzisiaj wokół panuje idealna cisza.

„Taniu!" Idzie przez las, odwracając się co parę sekund, oglądając się za siebie. Zabawa kończy się, kiedy Tatiana staje za nim, wbijając mu kolbę pistoletu w plecy. „Tatiu, zapomniałem powiedzieć ci coś bardzo ważnego. Słyszysz mnie?"

Cisza. Aleksander się uśmiecha.

Nagle na jego głowie ląduje kępka mchu. Znów to zrobiła. Ale gdzie się schowała? Aleksander natychmiast podnosi wzrok. Nie, tam nie. Rozgląda się dookoła. Nigdzie jej nie ma. W czasie zabawy Tatiana często zakłada jego maskujący podkoszulek i staje się niemal niewidzialna. Aleksander wybucha śmiechem. „Tatiasza, przestań rzucać we mnie mchem, bo kiedy cię znajdę..." Słyszy nagle szelest i podnosi wzrok. Z góry leje się na niego strumień wody, całe wiaderko. Jest przemoczony do suchej nitki. Klnie pod nosem. Wiaderko zwisa z gałęzi, ale Tatiany nigdzie nie widać. Lina, na której wisiało wiaderko, opada nagle za kłodę drewna z prawej strony Aleksandra. „No dobra, koniec zabawy. Tylko poczekaj – mówi, zdejmując mokry podkoszulek. – Teraz wpadłaś na dobre". Rusza w stronę kłody i nagle słyszy świst. Po chwili cały pokryty jest białym proszkiem. Mąka. Oblepia mokre włosy i twarz. Jak długo to planowała? Jak udało się jej zwabić go do lasu, najpierw prosto pod wiaderko, a potem w pobliże mącznej bomby? Nie mogąc wyjść z podziwu, że trafił na tak godnego przeciwnika, mówi: „Dobra, Taniu, teraz to już naprawdę koniec. Jeśli sądziłaś, że wcześniej czekało cię najgorsze, to poczekaj tylko..." Rusza ponownie w stronę kłody, lecz nagle słyszy tuż za sobą lekkie kroki. Nie odwracając się, sięga za siebie ręką i łapie ją. A raczej kolbę pistoletu. Tatiana piszczy, puszcza broń, pozostawiając ją w jego ręce, i puszcza się

pędem przez las. Aleksander biegnie za nią. Tę część lasu nad rzeką porastają niskie krzaki, pokrzywy i mech. Nie przypomina w niczym sosnowych zagajników ciągnących się od Mołotowa do Łazariewa ani okolic ich polany. Wśród nisko opadających gałęzi i powalonych drzew Aleksander nie może biec zbyt szybko. Tatiana nie ma takich kłopotów. Przeskakuje nad kłodami, zgrabnie przemyka pod gałęziami, ucieka zygzakami, cały czas piszcząc. Udaje się jej nawet złapać garść mchu i rzucić za siebie.

Aleksander ma już dość tej zabawy. „Uważaj z tyłu! – krzyczy i omija ją pędem z boku. Nie zważając na krzaki tarasujące mu drogę, przeskakuje przez trzy kłody i ciężko dysząc, staje przed Tatianą. W dłoni nadal trzyma pistolet. Cały pokryty jest lepką masą wody i mąki. Tatiana krzyczy i chce uciec, lecz Aleksander już na nią skacze, przytłaczając ją swoim ciężarem. Leżą na pokrytej mchem ziemi. „Dokąd się wybierasz? – dyszy, kiedy ona próbuje się wyrwać. – Co ty wyprawiasz, bystra dziewczyno? Jesteś zdecydowanie zbyt przebiegła". Pociera pokryty mąką policzek o jej czystą twarz.

– Przestań! – dyszy Tatiana. – Pobrudzisz mnie.

– Zrobię coś zdecydowanie gorszego.

Tania walczy dzielnie, próbuje się uwolnić, łaskocząc go pod żebrami. Na próżno. Aleksander chwyta jej dłonie i przyciska do mchu za jej głową.

– Nie masz pojęcia, w co się wpakowałaś, ty rzucająca mchem nazistko. Jak długo to wszystko planowałaś, co?

– Pięć sekund. – Tatiana się śmieje. – Jesteś taki naiwny. – Nadal próbuje się uwolnić spod jego ciężaru.

On jednak trzyma mocno. Po chwili uwalnia jedną rękę i podciąga jej podkoszulek aż pod brodę, obnażając brzuch, żebra i piersi. – Przestaniesz wreszcie ze mną walczyć? Poddajesz się?

– Nigdy! – krzyczy Tania. – Lepiej umrzeć, stojąc...

Aleksander przytula pokrytą lekkim zarostem twarz do jej żeber i zaczyna ją łaskotać. Tatiana dusi się ze śmiechu.

– Przestań! – krzyczy. – Przestań mnie torturować. Wtrąć mnie do całuśnego więzienia.

– Za dobrze by ci było. Zasługujesz na znacznie gorsza karę. Poddajesz się? – pyta raz jeszcze.

– Nigdy!

Znów zaczyna ją łaskotać. Wie, że musi być ostrożny. Pewnego razu, gdy łaskotał zbyt długo, zemdlała. Teraz śmieje się jak szalona, kopiąc nogami powietrze. Przytrzymuje je kolanem i zaczyna ją powoli lizać po brzuchu.

– Poddajesz się? – dyszy.

– Nigdy! – piszczy Tatiana, a Aleksander unosi się lekko na łokciu i obejmuje jej sutek wargami. Pieści go, dopóki jej pisk nie przechodzi w głuchy jęk.

– Zapytam cię raz jeszcze. Poddajesz się?

Tatiana jęczy.

– Nie – zawiesza głos. – Lepiej mnie zabij, żołnierzu... I użyj całej broni, jaką masz.

Aleksander kocha się z nią na wilgotnym mchu, a kiedy czuje, jak przez jej ciało przebiega dreszcz spełnienia, pyta:

– I co teraz, więźniu?

– Kapitanie – mówi cichutko Tatiana – proszę o więcej.

Aleksander wybucha śmiechem, po czym spełnia jej życzenie.

– Poddajesz się?

– Proszę, więcej...

Raz jeszcze daje jej to, czego pragnie.

– Puść mnie – szepcze Tatiana. – Chcę cię dotknąć.

– Poddajesz się?

– Tak. Tak!

Puszcza ją, a ona go dotyka.

Ale to już koniec gry. Twarz, piersi i brzuch Tatiany pokrywa warstwa zmieszanej z wodą mąki. Mąki, mchu i Aleksandra.

– Wstań – szepcze on.

– Nie mogę. Nie mogę się ruszyć.

Niesie ją nad brzeg Kamy. Wchodzą do chłodnej wody, by się umyć.

– Na ile sposobów można cię zabić? – mruczy Aleksander, przyciągając ją do siebie i całując.

– Tylko na jeden – odpowiada Tatiana, ocierając wilgotną twarz o jego mokrą szyję.

W zimnych lasach Polski Aleksander, Pasza, Uspieński i jedyny pozostały przy życiu kapral, Danko, ukryli się w krzakach. Przemoczeni, zakrwawieni, bez amunicji. I otoczeni przez Niemców.

Aleksander i Pasza siedzieli, czekając na śmierć. Niemcy oblali naftą i podpalili drzewa.

– Aleksandrze...

– Wiem, Pasza. – Opierali się plecami o grube pnie dębów. Siedzieli kilka metrów od siebie. Aleksander czuł na twarzy żar ognia.

– Jesteśmy osaczeni.

– Tak.

– Nie mamy amunicji.

– Tak. – Aleksander rzeźbił coś w kawałku drewna.

– To już koniec, prawda? Stąd nie ma wyjścia.

– Tylko tak ci się wydaje. Jest. Tylko nie zdążyliśmy jeszcze go odszukać.

– Zanim zdążymy, będziemy martwi.

– No to musimy się pospieszyć. – Spojrzał na Paszę. Musi jakoś wydostać z tego lasu brata Tatiany. Musi go dla niej ocalić, choć od czasu do czasu w najczarniejszych chwilach przychodziła mu do głowy myśl, że dla Paszy nie ma już ratunku.

– Nie możemy się poddać.

– Nie?

– Nie. Myślisz, że Niemcy potraktują nas łagodnie? Zabiliśmy ich żołnierzy.

– Jest wojna, zrozumieją to. I mów ciszej, Pasza. – Aleksander nie chciał, by Uspieński usłyszał ich rozmowę, a on zawsze słyszał wszystko.

Pasza zniżył głos.

– Wiesz doskonale, że ja nie mogę się wycofać.

– Wiem.

Zamilkli. Aleksander, by zająć czymś ręce, wrócił do rzeźbienia grotu z kawałka gałęzi. Pasza, zajęty czyszczeniem pistoletu, prychnął nagle.

– Co jest? – spytał Aleksander.

– Nic takiego. Pomyślałem, że to wielka ironia losu dokończyć żywota właśnie tutaj.

– Dlaczego?

– Mój ojciec był tutaj dawno temu. Jeszcze przed wojną. Pojechał w interesach do Polski! Byliśmy pod wrażeniem. Przywiózł nam niesamowite prezenty. Krawat od niego nosiłem tak długo, aż się doszczętnie podarł. Dasza uważała, że nie ma na świecie nic lepszego od polskich czekoladek, a Tania z ręką w gipsie nie zdejmowała z siebie sukienki z Polski.

Aleksander przestał nagle rzeźbić patyk.

– Jakiej sukienki?

– Już nie pamiętam. Chyba była biała. Tania była za chuda i za młoda na taką sukienkę, ale nosiła ją dumna jak paw.

– Czy… – Aleksandrowi zabrakło nagle tchu. – Czy ta sukienka była w kwiatki?

– Tak. W czerwone róże.

Aleksander jęknął głucho.

– Gdzie twój ojciec kupił tę sukienkę?

– W miasteczku niedaleko Świętego Krzyża. Tak, Tania nazywała ją swoją sukienką ze Świętego Krzyża. Nosiła ją w każdą niedzielę.

Aleksander zamknął oczy i zacisnął dłonie.

– Jak myślisz, co zrobiłaby moja siostra? – mruknął Pasza.

Aleksander zamrugał oczami, próbując wyrzucić z myśli obraz Tatiany w kwiecistej sukience, jak siedząc na ławce, jadła lody, szła boso przez Pole Marsowe, stała na stopniach cerkwi w Mołotowie w jego ramionach jako świeżo poślubiona żona.

– Czy ona by się wycofała? – spytał Pasza.

– Nie. Na pewno nie. – Poczuł bolesny ucisk w piersiach. Bez względu na to, jak bardzo by tego pragnęła. Bez względu na to, jak bardzo on by

pragnął, żeby to zrobiła.

Podniósł z ziemi pepeszę i podszedł do Paszy. Zanim Uspieński zdążył podnieść się z kłody, na której siedział, szepnął:

– Pasza! Twoja ciężarna siostra uciekła z tej cholernej Rosji zupełnie sama. Miała broń, ale nawet z niej nie skorzystała. Bez jednego strzału, z dzieckiem w brzuchu, przedostała się przez bagna prosto do Helsinek. Jeśli zdołała przedostać się aż do Finlandii, to muszę wierzyć, że dotarła dalej. Muszę w to wierzyć. Znalazłem ciebie. Nie wierzę, że nie miało to żadnego znaczenia. Mamy teraz czterech dobrych ludzi, ośmiu, jeśli wliczyć Niemców. A oni są naszymi jeńcami. Mamy noże, bagnety, zapałki, możemy sami zrobić broń i w przeciwieństwie do Tani na pewno z niej skorzystamy. Nie siedźmy tutaj, przekonani, że to już koniec. Spróbujmy pokazać, że jesteśmy od niej silniejsi. Nie będzie to łatwe, ale musimy spróbować. Dobrze?

Stał nieruchomo, oparty o drzewo. Twarz i włosy pokrywała mu gruba warstwa błota. Przeżegnał się i pocałował hełm.

– Musimy się przedostać przez płonący las na drugą stronę, Pasza. Bliżej Niemców. Po prostu musimy.

– To szaleństwo, ale próbujmy.

Z przekonaniem do tego pomysłu jeńców i Uspieńskiego poszło już dużo gorzej.

– Czego się boicie? – spytał Aleksander Uspieńskiego. – Macie tylko jedno płuco. W takiej sytuacji to akurat przewaga.

– Może i nie będę wdychał tyle dymu co wy, ale na pewno spalę się żywcem.

Wreszcie Aleksander przekonał wszystkich. Kazał im przykryć głowy.

– Jesteś gotowy? – spytał Pasza, zarzucając na ramię pusty karabin.

– Tak – odparł Aleksander. – Uważaj, Pasza. Musisz przeżyć za wszelką cenę. Zakryj usta.

– Nie mogę biec z zakrytymi ustami. Wszystko będzie dobrze. Pamiętaj, że te przeklęte fryce już raz podpaliły mój pociąg. Wiem, jak radzić sobie

z ogniem. Ruszamy. Będę oddychał w czapkę. Obiecaj tylko, że mnie tu nie zostawisz.

– Nie zostawię – zapewnił go Aleksander, zarzucając na ramię pusty moździerz. Zakrył usta mokrą, zakrwawioną szmatą.

Ruszyli prosto w ogień.

Aleksander oddychał przez wilgotną szmatę. Uspieński wstrzymywał oddech tak długo, jak tylko mógł, a potem zasłonił twarz wilgotnym płaszczem. Tylko Pasza biegł bez żadnej osłony. Odważny, pomyślał Aleksander. Odważny i głupi. Jakimś cudem udało im się przedrzeć przez płomienie. Tym razem mokre mundury okazały się prawdziwym zbawieniem; nie chciały się palić, podobnie jak ich ogolone na łyso głowy. Jeden z jeńców nie miał tyle szczęścia: spadła na niego płonąca gałąź i stracił przytomność. Inny z Niemców natychmiast przerzucił go sobie przez plecy i biegł dalej.

Kiedy przedarli się przez płonące drzewa, Aleksander spojrzał na Paszę i przekonał się, że więcej w nim było głupoty niż odwagi. Był śmiertelnie blady. Zwolnił, a potem stanął. Nadal otaczały ich kłęby dymu.

Aleksander się zatrzymał.

– Co się dzieje? – spytał, zdejmując z twarzy szmatę. Natychmiast zaczął kaszleć.

– Nie wiem – wychrypiał Pasza, trzymając się za gardło.

– Otwórz usta.

Niewiele to pomogło. Opadł nagle na ziemię i zaczął rzęzić jak człowiek, który zadławił się kawałkiem jedzenia.

Aleksander nakrył mu twarz swoją szmatą. To też niewiele pomogło, a teraz on zaczął się dusić. Płonące drzewa okazały się o wiele mniej groźne niż gęsty dym. Uspieński ciągnął go za ramię. Niemcy wyprzedzili ich już o kilkanaście kroków, prowadzeni przez Dankę i jego karabin. Ale Aleksander nie mógł przedrzeć się przez krzaki, nie mógł zostawić Paszy. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

Musiał coś zrobić, i to szybko. Pasza się dusił, rozpaczliwie chwytał powietrze. Aleksander chwycił go mocno, przerzucił sobie przez ramię,

zakrył twarz szmatą i ruszył przed siebie. Uspieński pobiegł za nim.

Ile czasu niósł Paszę? Trzydzieści sekund? Minutę? Nie wiedział. Sądząc po odgłosach wydobywających się z gardła Paszy, trwało to zdecydowanie za długo. Niebawem będzie za późno. Kiedy powietrze nieco się rozrzedziło, Aleksander zawołał Uspieńskiego.

– Gdzie jest sanitariusz? – wydyszał.

– Nie żyje. Zapomnieliście? Zabraliśmy przecież jego hełm.

– Nie miał pomocnika?

– Zginął siedem dni temu.

Aleksander ostrożnym ruchem zsunął Paszę z pleców i usiadł na ziemi, trzymając go w ramionach.

– Co z nim? – spytał Uspieński.

– Nie wiem. Nie trafili go, nic też nie połknął. – Na wszelki wypadek wyprostował szyję Paszy i sprawdził, czy coś nie tkwi mu w ustach. Sięgając głębiej, starał się wyczuć ujście tchawicy. Bez skutku. Gardło Paszy było opuchnięte i zablokowane. Aleksander uklęknął, zacisnął mu nos i zaczął robić sztuczne oddychanie. Nadal nic. Raz jeszcze poszukał wejścia do tchawicy. Jego palce natrafiły jednak tylko na rosnąca opuchliznę. Był przerażony.

– Co się, do cholery, dzieje? – mruknął. – Co z nim?

– Już to kiedyś widziałem – odparł Uspieński. – W Siniawinie. Kilku żołnierzy udusiło się tam w kłębach dymu. Ich gardła spuchły i stały się niedrożne. Kiedy opuchlizna ustąpiła, było za późno. – Odetchnął głęboko przez wilgotną szmatę. – Już po nim. Nie jest w stanie oddychać. Nic nie możecie dla niego zrobić.

Aleksander mógł przysiąc, że w głosie Uspieńskiego zabrzmiała satysfakcja. Nie miał czasu, by zareagować. Położył Paszę na wznak i wsunął pod szyję zwinięty wilgotny ręcznik. Przeszukał szybko zawartość plecaka i znalazł pióro. Na szczęście było złamane. Jakimś cudem atrament nie wyciekł jednak ze środka. Dzięki Bogu za radziecką solidność. Rozkręcił je szybko, odłożył na bok pustą obsadkę i wyjął nóż.

– Co chcecie zrobić, kapitanie? – spytał Uspieński, wskazując nóż. – Rozetniecie mu gardło?

– Tak – odparł Aleksander. – A teraz zamknijcie się i siedźcie cicho.

Uspieński uklęknął przy nim.

– Tylko żartowałem.

– Poświećcie na jego gardło. Tylko spokojnie. Trzymajcie obsadkę i sznurek. Kiedy wam powiem, podacie mi obsadkę. Zrozumieliście?

Byli gotowi. Aleksander odetchnął głęboko. Wiedział, że nie ma ani chwili do stracenia. Spojrzał na swoje palce. Nie zauważył drżenia.

Odnalazł na szyi Paszy jabłko Adama, po czym zsunął palce nieco niżej. Wiedział, że w tym miejscu wejście do tchawicy osłania tylko płat skóry. Jeśli będzie bardzo ostrożny, zdoła ją lekko naciąć i wsunąć obsadkę do gardła Paszy. Dzięki temu będzie mógł oddychać. Ale musi to być niewielkie nacięcie. Nigdy wcześniej nie robił czegoś takiego. Nie miał tak delikatnych dłoni jak Tatiana.

– Jedziemy – szepnął. Wstrzymał oddech i przysunął nóż do gardła Paszy. Sądząc po drgającym promieniu latarki, dłonie Uspieńskiego drżały jak szalone.

– Kurwa mać, poruczniku, uspokójcie się.

– Robiliście to już kiedyś, kapitanie?

– Nie. Ale widziałem, jak robią to inni.

– Udało im się?

– Nie bardzo. – Widział dwa razy, jak podobny zabieg przeprowadzali sanitariusze, ale żołnierze nie przeżyli. Jednemu rozcięto tchawicę za dużym nożem. Drugi po zabiegu nie otworzył oczu. Oddychał, ale nie otworzył oczu.

Bardzo powoli Aleksander naciął dwa centymetry skóry na szyi Paszy. Poczuł opór, popłynęła krew. Nie widział już, jak mocno tnie. Potrzebował skalpela, a miał do dyspozycji tylko wojskowy nóż, którym się golił i zabijał. Naciął odrobinę głębiej, po czym wziął nóż w zęby i lekko rozsunął skórę palcami, odsłaniając warstwę błony nad tchawicą. Naciął lekko błonę tuż pod jabłkiem Adama i nagle usłyszał, jak Pasza wciąga ze świstem

powietrze. Przez chwilę nie zdejmował palców z błony, pozwalając, by płuca Paszy napełniły się tlenem. Nie było to tak skuteczne, jak oddychanie przez usta lub nos, ale na razie musiało wystarczyć.

– Pióro, poruczniku.

Aleksander wsunął plastikową obsadkę do nacięcia, starając się, by nie uszkodzić przy tym ściany tchawicy.

Teraz sam odetchnął głęboko.

– Dobrze nam poszło, Pasza – powiedział. – Uspieński, sznurek. – Przywiązał jeden koniec do obsadki, a drugi owinął wokół szyi Paszy, by pióro nie wysunęło się z nacięcia.

– Kiedy ustąpi opuchlizna? – spytał.

– A skąd niby mam wiedzieć? – odparł Uspieński. – Żołnierze, których widziałem, umarli, zanim zdążyła ustąpić, więc nie mam pojęcia, ile to trwa.

Aleksander trzymał w ramionach Paszę, który oddychał chrapliwie przez brudną plastikową obsadkę. Patrząc na jego zabłoconą twarz, Aleksander pomyślał, że wojna, która ogarnęła cały świat, dla nich stała się teraz oczekiwaniem na śmierć, choć na razie Pasza czerpał życiodajny tlen przez obsadkę złamanego radzieckiego pióra.

Grinkow, Marazow, Werenkow, który zgubił okulary, Tielikow, Jermienko, Dasza, a teraz on. W jednej chwili był żywy, a zaraz potem leżał na lodzie pokrywającym Ładogę, wykrwawiając się na śmierć w przemoczonym na wylot mundurze.

Ale przez jedną krótką chwilę był kochany. Przez jedną, jedyną chwilę, przez ułamek sekundy ktoś kochał go tak bardzo.

– Pasza, słyszysz mnie? – szepnął. – Zamrugaj, jeśli mnie słyszysz.

Pasza zamrugał.

Aleksander zacisnął mocno usta. Nagle przypomniał sobie wiersz, *Fantazja dżentelmena poległego w zimną noc*[7].

Niegdyś w finezji smyczków poznałem ekstazę
W błysku złotych obcasów na twardym chodniku

Teraz wiem
Że ciepło jest materią poezji
Boże, zsuń na mnie stary koc nieba utkany z gwiazd
Bym nim otulony mógł leżeć bez końca.

---

7 Thomas Ernest Hulme, *The Embankment*.

Rozdział dwudziesty szósty

Nowy Jork, październik 1944

Edward Ludlow wszedł przez podwójne drzwi prowadzące do szpitala na wyspie Ellis. Chwycił Tatianę za rękę i wyciągnął ją na korytarz.

– Tatiano, czy to, co widziałem, to prawda?

– Nie wiem. A co widziałeś?

Edward aż pobladł z niepokoju.

– No co?

– To prawda? Oglądałem listę pielęgniarek Czerwonego Krzyża, które mają wyjechać do Europy i zauważyłem tam nazwisko Jane Barrington. Powiedz mi, że chodzi o inną Jane, że to tylko zbieg okoliczności.

Tatiana milczała.

– Nie. Proszę. Nie.

– Edwardzie…

Wziął ją za rękę.

– Rozmawiałaś z kimś o tej sprawie?

– Nie.

– Co ci chodzi po głowie? Amerykanie są już w Europie. Hitler obrywa na obu frontach. Wojna niedługo się skończy. Nie masz po co tam jechać.

– Jeńcy w obozach rozpaczliwie potrzebują lekarstw, jedzenia i opieki.

– Przecież mają opiekę. Jest tam dużo pielęgniarek.

– To dlaczego armia szuka ochotniczek?

– Zgoda, innych ochotniczek. Ale nie ciebie.

Tatiana milczała, a Edward nie dawał za wygraną.

– Co, na Boga – zaczął drżącym głosem – zamierzasz zrobić z Anthonym?

– Chciałam go zostawić u jego cioci-babci w Massachusetts, ale chyba nie będzie miała dość sił, by stale za nim biegać. – Dostrzegła cień w oczach Edwarda. Wysunęła dłoń z jego uścisku. – Esther powiedziała, że mogę go u niej zostawić. Rosa, jej gospodyni, pomoże się nim opiekować, ale to chyba nie najlepszy pomysł.

– Chyba?

Nie zareagowała na ukryty w jego głosie sarkazm.

– Pomyślałam, że zostawię go u Isabelli…

– Isabelli? U zupełnie obcej osoby!

– Nie jest zupełnie obca. Zaproponowała…

– Taniu, ona nie wie tego, co ja wiem. Nie wie nawet tego, co ty wiesz. A ja wiem o rzeczach, o których nawet ty nie wiesz. Powiedz mi prawdę, jedziesz tam, bo chcesz szukać męża?

Tatiana nie odpowiedziała.

– Och, Tatiano – szepnął Edward, kręcąc głową. – Tatiano, powiedziałaś mi, że on nie żyje.

– Edwardzie, czym się tak bardzo martwisz?

Przesunął dłonią po czole i odsunął się od niej o krok.

– Taniu – zaczął drżącym głosem – jesienią Heinrich Himmler przejął kontrolę na niemieckimi obozami dla jeńców wojennych. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było wydanie zakazu przesyłania paczek i listów jeńcom amerykańskim i przeprowadzania inspekcji w obozach przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Himmler zapewnił nas, że żołnierzy alianccy są traktowani dobrze; wszyscy, z wyjątkiem jeńców radzieckich. Teraz Czerwony Krzyż nie posiada zezwolenia nawet na przeprowadzanie inspekcji w obozach, gdzie przetrzymywani są jeńcy niemieccy. To tylko dowód na to, jak bardzo są zdesperowani. Wiedzą, że lada chwila przegrają wojnę, więc nie obchodzi ich los własnych żołnierzy. Dwa lata temu, w zeszłym roku, jeszcze im na tym zależało, a teraz już nie. Jestem pewny, że zakaz w stosunku do Czerwonego Krzyża zostanie w końcu zniesiony,

ale nawet jeśli tak się stanie, czy wiesz, ile tam jest obozów? Setki. I mnóstwo obozów włoskich, francuskich, angielskich, amerykańskich. A ilu więźniów tam przetrzymują? Setki tysięcy to bardzo ostrożna liczba.

– Himmler zmieni zdanie. Zrobili już przecież coś takiego w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku, a potem szybko odwołali zakaz, gdy okazało się, że ich jeńcy też będą źle traktowani.

– Tak, ale wtedy myśleli jeszcze, że wygrają wojnę! Od czasu lądowania w Normandii wiedzą, że ich dni są policzone. Teraz jeńcy nic ich nie obchodzą. A wiesz, skąd o tym wiem? Bo od tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku ani razu nie zwrócili się z prośbą do Czerwonego Krzyża o przeprowadzenie inspekcji w obozach tutaj, w Stanach Zjednoczonych.

– A po co mieliby to robić? Wiedzą, że Amerykanie dobrze traktują jeńców niemieckich.

– Wcale nie, po prostu wiedzą, że przegrali wojnę.

– Himmler zmieni zdanie. – Tatiana nie dawała za wygraną. – Czerwony Krzyż przeprowadzi inspekcje obozów.

– Setki tysięcy jeńców w setkach obozów. Tydzień na jeden obóz, to daje dwieście tygodni, nie wliczając czasu na podróż. Cztery lata. Zastanawiałaś się nad tym?

Nie odpowiedziała. Nie wybiegała w przyszłość aż tak daleko.

– Tatiano, proszę cię, nie jedź.

Edward za bardzo brał to wszystko do serca. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– A co z twoim synem?

– Isabella dobrze się nim zajmie.

– Na zawsze? Czy zajmie się nim również wtedy, gdy jego matka umrze z odniesionych ran albo powalona ciężką chorobą?

– Edwardzie, nie jadę do Europy, żeby umrzeć.

– Nie? Nic na to nie poradzisz. W Niemczech zaraz zaczną się toczyć walki. Polska jest w rękach radzieckich. A jeśli Rosjanie cię szukają? Co się stanie, gdy pojedziesz do Polski i władze radzieckie wpadną na twój trop?

Jane Barrington, Tatiana Mietanowa. Jak myślisz, co z tobą zrobią? Jeśli pojedziesz do Niemiec, Polski, Jugosławii, Czechosłowacji, na Węgry, umrzesz. Na pewno tu nie wrócisz.

To nieprawda, chciała krzyknąć. Ale wiedziała, że Rosjanie jej szukają. Była świadoma ogromnego ryzyka. A Aleksander? Był jak drobinka piasku. Wiedziała, że jej plan jest zły. Aleksander miał Ługę, znał przynajmniej miejsce, do którego mógł jechać. I miał Mołotow – konkretne miejsce jej ewakuacji; miał Łazariewo. A ona miała jego akt zgonu. Trzymając go w ręce, chciała odwiedzać po kolei wszystkie obozy jenieckie i szukać go, a jeśliby go tam nie było, dotrzeć do Leningradu, odszukać pułkownika Stiepanowa i spytać go o Aleksandra. Jeśli on nie będzie nic wiedział, spyta generałów Woroszyłowa i Mechlisa, a jeśli to nic nie da, pojedzie do Moskwy i spyta samego Stalina.

– Taniu, proszę, nie jedź tam.

Zamrugała powiekami.

– Co to jest Orbeli?

– Orbeli? Już mnie o to pytałaś. Skąd mam wiedzieć? Nie mam pojęcia. A co Orbeli ma z tym wszystkim wspólnego?

– Kiedy ostatni raz go widziałam, powiedział do mnie: „Pamiętaj Orbeli". Może Orbeli to jakieś miejsce w Europie, gdzie mam się z nim spotkać.

– Zanim zostawisz swoje dziecko i pojedziesz na front, powinnaś przynajmniej sprawdzić, co to takiego.

– Próbowałam. Ale nikt nie wie.

– Och, Taniu, najwyraźniej to nic ważnego.

Niepokój Edwarda udzielił się Tatianie. Jak mu to wszystko wytłumaczyć?

– Mój syn będzie miał dobrą opiekę – powiedziała słabo.

– Bez ojca i bez matki?

– Isabella to wspaniała kobieta.

– Isabella to zupełnie obca, sześćdziesięcioletnia osoba! Nie jest jego matką. Co się stanie z Anthonym, kiedy ona umrze?

– Vikki się nim zajmie.

Edward roześmiał się głucho.

– Vikki nie potrafi starannie zawiązać wstążki przy bluzce. Nie potrafi nigdzie zdążyć na czas, jest zupełnie beztroska. Vikki nie dba o twojego syna, o ciebie, nawet o dziadków. Obchodzi ją tylko ona sama. Modlę się, by nigdy nie miała dzieci. Teraz też nie bardzo ci pomaga w opiece nad Anthonym. Dlaczego sądzisz, że będzie inaczej, kiedy zniknie jedyna emocjonalna więź, jaka ją z nim łączy, czyli ty? – Edward odetchnął głęboko. – Wiesz, gdzie go wyślą, kiedy zostanie sierotą? Do domu dziecka. Zanim wyruszysz do Europy, żeby tam zginąć, może powinnaś odwiedzić jeden z nich, by się przekonać, gdzie trafi twój półtoraroczny synek.

Tatiana zbladła.

– Chyba nie do końca to przemyślałaś. Na pewno nie. Bo gdyby tak było, nigdy byś się nie zdecydowała na ten wyjazd. A wiesz, dlaczego mam taką pewność?

– Dlaczego? – spytała słabym głosem.

– Bo widziałem, co robisz dla ludzi, którzy zjawiają się na wyspie – odparł Edward.

Milczała.

– On już stracił ojca – ciągnął dalej Edward. – Nie pozwól, by stracił również matkę. Jesteś jedyną osobą na tym świecie, która łączy go z przeszłością i przyszłością. Kiedy cię straci, do końca życia będzie się błąkał. Taki spadek chcesz zostawić swojemu synkowi?

Tatiana milczała. Nagle poczuła dreszcze. Edward ścisnął jej dłonie.

– Taniu – powiedział – nie dla Vikki, nie dla mnie, nie dla weteranów ani imigrantów na Ellis, ale dla swojego syna – nie jedź.

Tatiana nie wiedziała, co robić. Jednak cień wątpliwości rósł i wisiał nad nią jak wielka chmura. Zadzwoniła do Sama Gulotty, który powiedział jej, że nie ma żadnych wiadomości o Aleksandrze. Potwierdził też, że w niemieckich obozach jenieckich i koncentracyjnych panują straszliwe warunki, a los przetrzymywanych tam żołnierzy radzieckich jest tragiczny.

Im dłużej się nad tym wszystkim zastanawiała, tym bardziej szalony wydawał się jej plan wyjazdu do Europy. Rosło też poczucie winy w stosunku do syna.

Wypytywała wszystkich o Orbeli. Pytała niemieckich i włoskich żołnierzy, pielęgniarki, uchodźców. Pojechała też do biblioteki publicznej w Nowym Jorku, lecz nawet tam, w gąszczu encyklopedii, słowników, mikrofilmów, magazynów, atlasów, map nie znalazła najmniejszej wzmianki.

Coraz mniej też o tym myślała. Bezsensowność poszukiwań sprawiła, że słowo, które uważała za magiczne, powoli traciło na znaczeniu. Nie był to las ani wioska, nazwa fortecy czy nazwisko generała. Może Aleksander rzucił ją tylko jak żart lub anegdotę, która szybko miała popaść w zapomnienie w zderzeniu ze znacznie ważniejszymi sprawami. Zaraz potem zginął na zamarzniętym jeziorze i powinna była szybko o tym zapomnieć. Nie zrobiła tego, bo wydarzenia, które nastąpiły, nadały luźno rzuconej uwadze znaczenie przesłania.

Ale medal? Medal? Medal Bohatera Związku Radzieckiego? Jakim cudem trafił do jej plecaka?

W końcu także i na to znalazła wytłumaczenie. Kiedy doktor Sayers opowiadał jej o Aleksandrze, zapomniał może wspomnieć, że zdjął mu z szyi medal, bo nie chciał, by zatonął w jeziorze razem z nim. Na pewno zamierzał jej później powiedzieć, że wsunął go do małej kieszonki w plecaku, ale umarł i już nie zdążył.

Nie pojechała.

Rozdział dwudziesty siódmy

Polska, listopad 1944

Aleksander spał oparty o pień drzewa, trzymając na kolanach głowę Paszy. O świcie opuchlizna ustąpiła. Pasza zasłonił palcem otwór w obsadce i kilka razy odetchnął chrapliwie przez usta. Widząc to, Aleksander zakleił otwór plastrem. Nie chciał wyjąć obsadki z gardła Paszy w obawie, że jeśli będzie jej jeszcze potrzebował, nie zdoła po raz drugi przeprowadzić podobnego zabiegu. Pasza położył palec wskazujący na otworze obsadki.

– Zaklej to – wychrypiał. – Nie potrafię z tym mówić.

Aleksander patrzył przez kilka chwil, jak Pasza z trudem usiłuje głębiej odetchnąć.

– Posłuchaj, Aleksandrze – powiedział w końcu słabym głosem. – Mam pewien pomysł. Zanieś mnie na plecach na linię obrony. Nadal mam na sobie niemiecki mundur, prawda?

– Tak.

– I on cię ocali. Jeśli chcesz ocalić także jego – wskazał na Uspieńskiego – każ mu nieść jednego z rannych Niemców. Chyba wszyscy nie zginęli?

– Nie, jeden stracił tylko przytomność.

– Świetnie. – Chrapliwy oddech. – Poddaj się Niemcom, przynosząc im rannych żołnierzy.

– Trzej mogą iść o własnych siłach.

– To dobrze. Ale musisz do końca pozostać dowódcą. Nie pozwól Niemcom mówić za ciebie. Kiedy dotrzesz do linii obrony, powiedz: *Schießen Sie nicht*. Nie strzelać.

– Tylko tyle? – spytał Aleksander. – Dlaczego nie powiedzieliśmy tego w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku? A nawet w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym? – uśmiechnął się. Pasza odetchnął ciężko.

– Co wy tam knujecie? – spytał Uspieński, który usiłował podsłuchać całą rozmowę. – Chyba nie chcecie się poddać, co?

Aleksander nie odpowiedział.

– Kapitanie, wiecie doskonale, że nie możemy się poddać.

– Wycofać też nie.

– Nie wycofamy się. Zostaniemy tutaj. Poczekamy, aż nadejdą posiłki.

Pasza i Aleksander spojrzeli na siebie.

– Poddajemy się, Uspieński. Mam rannego, który potrzebuje natychmiastowej opieki.

– Ja tego nie zrobię. Zastrzelą nas na miejscu – powiedział Uspieński – a potem nasza armia wyprze się nas i tyle.

– Kto mówi, że wrócimy do naszej armii? – spytał Pasza, próbując wstać z pomocą Aleksandra.

– Wam łatwo mówić. Stoicie na granicy śmierci, nie macie nic do stracenia, ale my mamy w kraju rodziny.

– Ja nie mam – odparł Aleksander. – No cóż, Uspieński ma rację.

Porucznik uśmiechnął się z satysfakcją.

– Zostań tutaj, Mikołaju – dodał Aleksander. – I poczekaj spokojnie na Armię Czerwoną.

Z twarzy Uspieńskiego zniknął uśmiech.

– Kapitanie! Przecież macie rodzinę. Mówiliście, że macie żonę. A on – pogardliwym gestem wskazał na Paszę – ma siostrę.

Milczeli.

– Ona was nic nie obchodzi? Przez was wyślą ją na Wyspę Bolszewików w Archangielsku, a stamtąd nikt nie wracał.

Pasza spojrzał na Aleksandra, ignorując zupełnie Uspieńskiego.

– Gotowy? – spytał.

Aleksander skinął na Niemców. Jeden z nich był w malignie. Rana na głowie, choć niegroźna, spowodowała dużą utratę krwi.

Uspieński z trudem oddychał. Charczał prawie jak Pasza.

– To tak ma wyglądać koniec? Wy, kapitan Biełow, przejechaliście tysiąc pięćset kilometrów, walczyliście z całymi dywizjami i pułkami, przeszliście przez pola minowe i obozy koncentracyjne, przez rzeki i góry, żeby na koniec poddać się Niemcom?! – krzyczał zapalczywie, nie mogąc złapać tchu.

– Tak – odparł Aleksander drżącym głosem. – To już koniec. Idziecie z nami albo zostajecie tutaj.

– Zostaję.

Aleksander zasalutował.

– To wszystko przez niego – rzucił ze złością Uspieński. – Zanim się pojawił, byliście człowiekiem honoru. Skoro on zaprzedał duszę diabłu i przeżył, to i wy możecie, co?

Aleksander patrzył na Uspieńskiego.

– Dlaczego bierzecie to wszystko tak bardzo do siebie, poruczniku? Co to ma wspólnego z wami?

– Widocznie z jakiegoś powodu ma – powiedział Pasza.

– Ach, pieprz się. Nie mówię do ciebie. Oddychaj przez tę rurkę i zamknij się. Gdyby nie on, gniłbyś już spokojnie w lesie!

– Uspieński! – Aleksander przywołał go do porządku. – Zapominacie się. Dowódca Mietanow jest od was wyższy stopniem.

– Nie obchodzi mnie jego diabelski stopień. No, ruszajcie, kapitanie, na co czekacie? Idźcie! Zostawcie swoich ludzi.

– Mnie nie zostawi – powiedział cicho kapral Danko. – Idę z nim.

Uspieński otworzył szeroko oczy.

– Zostawiacie więc tylko mnie?

– Na to wygląda. – Pasza się uśmiechnął.

Aleksander stanął między nimi w ostatniej chwili. Odważny, lecz głupi Pasza nie mógł walczyć nawet z mającym tylko jedno płuco Uspieńskim. Potrzebował wszystkich sił, by oddychać.

– Co się z wami dzieje? – spytał Aleksander, odsuwając Paszę na bok. – Pasza…

– Nie ufam mu, Aleksandrze. Nie ufam mu za grosz.

– I kto to mówi – rzucił zapalczywie Uspieński.

– Od pierwszej chwili coś mi się w nim nie podoba – powiedział Pasza. Odetchnął chrapliwie i zamilkł.

Aleksander odciągnął Paszę na bok.

– On jest w porządku – szepnął. – Przez cały czas był przy mnie. Tak jak Borow przy tobie.

– Był przy tobie – powtórzył Pasza.

– Tak. Zabierzmy go i znikajmy stąd, zanim narobimy tyle hałasu, że Niemcy zaczną się szykować do następnej bitwy.

Pasza nie odpowiadał. Aleksander odchylił mu głowę i poprawił plaster na szyi.

– Musisz przestać mówić. Zaniosę cię do lekarza, który to zaszyje. Ale na razie się zamknij. Ja się wszystkim zajmę.

Wrócił do Uspieńskiego.

– Mikołaju, możesz nie zwracać uwagi na jego stopień, ale mnie musisz słuchać. Nie mogę cię zostawić samego w lesie. Równie dobrze mógłbym cię zastrzelić. Masz złożyć broń i poddać się razem z nami. To rozkaz. – Zniżył głos. – To dla twojego dobra.

– Niech będzie. Idę. Ale nie zgadzam się z tym.

– Nie zgadzałeś się na całą tę wojnę. Wymień choć jedną rzecz, którą zrobiłeś z własnej woli.

Uspieński nie odpowiedział.

– Pasza uważa, że nie ma dla was miejsca nawet wśród najgorszych drani, poruczniku.

– Ale wy mnie broniliście.

– Zgadza się. A teraz chodźcie.

Złożyli broń na ziemi.

Idąc między dwoma kulejącymi Niemcami, Aleksander niósł na plecach Paszę, Uspieński Niemca rannego w głowę, a Danko nieprzytomnego. Szli

między powalonymi drzewami, rowami, krzakami i wyrwami po pociskach. Aleksander zbliżył się powoli do niemieckiej linii obrony, która ciągnęła się przez blisko pół kilometra. Wiedział, że nie zdoła ich przekonać, by nie strzelali, bez względu na to, ile razy powtórzy *Schießen Sie nicht*. Postanowił nieco zboczyć.

Zatrzymał go dobiegający z lasu krzyk.

– *Halt! Bleiben Sie stehen. Kommen Sie nicht naheres!*

Aleksander dojrzał wśród drzew dwóch strażników z karabinami maszynowymi.

– *Schießen Sie nicht, schießen Sie nicht!* – krzyknął.

– Powiedz, że masz ze sobą rannych Niemców – szepnął mu Pasza do ucha. – *Wir haben verwundetes Deutsch mit uns.*

– *Wir haben…* – zaczął Aleksander.

– *Verwundetes…*

– *Verwundetes Deutsch mit uns*.

Wśród Niemców zapadła cisza. Najwyraźniej się naradzali.

Aleksander uniósł w górę zakrwawioną, niegdyś białą szmatę.

– *Wir übergeben!* Poddajemy się.

– Bardzo dobrze – powiedział Pasza. – Nauczyli was, jak to powiedzieć, tylko zabronili to robić.

– Nauczyłem się w Polsce – odparł Aleksander, nadal wymachując szmatą. – *Verwundetes Deutsch!* – zawołał raz jeszcze. – *Wir übergeben!*

Niemcy wzięli całą czwórkę do niewoli. Paszę i rannych Niemców odesłali do namiotu lekarza, który opatrzył gardło Paszy i podał mu antybiotyk. Zaraz potem przesłuchali Aleksandra. Wypytywali go, dlaczego wziął Niemców do niewoli, skoro było to wbrew rozkazom. Przesłuchali też własnych żołnierzy, od których się dowiedzieli, że Pasza, traktowany jak Niemiec, wcale nim nie jest. Szybko zdjęli z niego niemiecki mundur i dali zwykłe ubranie, a kiedy doszedł nieco do siebie, jego, Aleksandra i Uspieńskiego przewieźli do oflagu w Katowicach. Kapral Danko trafił do stalagu w innym mieście.

Aleksander wiedział, że Niemcy darowali im życie tylko dlatego, że przyszedł do nich, niosąc nie broń, lecz rannych żołnierzy. Dla nich Rosjanie byli gorsi od świń, bo zostawiali na polach bitwy własnych rannych. Aleksander, Uspieński i Danko uszli z życiem, bo zachowali się jak ludzie.

Pasza powiedział Aleksandrowi, że Niemcy mają dwa rodzaje obozów jenieckich i wyglądało na to, że miał rację. Obóz, do którego trafili, podzielono na dwie części: jedną dla żołnierzy alianckich, drugą – dla radzieckich. W części alianckiej jeńców traktowano zgodnie z umowami. Wszędzie rozwieszono z dumą tekst konwencji genewskiej z tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku dotyczącej traktowania jeńców wojennych. W obozie radzieckim, oddzielonej drutem kolczastym, jeńców traktowano zgodnie z zasadami ustalonymi przez Stalina. Pozbawieni opieki medycznej otrzymywali wyłącznie chleb i wodę. Byli przesłuchiwani, bici, torturowani. Tych, którym udało się przeżyć, zmuszano do kopania grobów dla swoich towarzyszy.

Aleksander nie dbał o to, jak go traktują. Nareszcie znalazł się blisko Niemiec, kilka kilometrów od Odry, i był razem z Paszą. Czekał cierpliwie, by w obozie zjawiły się pielęgniarki Czerwonego Krzyża, ale z bólem serca pojął, że czeka na darmo. Żołnierze chorowali i umierali nawet po stronie alianckiej. Czerwony Krzyż nie otaczał opieką nawet Francuzów i Anglików. Nikt nie potrafił mu udzielić odpowiedzi, dlaczego tak się dzieje, ani major, który go przesłuchiwał, ani strażnicy, którzy pilnowali jego baraku. Pasza doszedł do wniosku, że coś musiało skłonić Niemców do wprowadzenia zakazu inspekcji obozów przez Czerwony Krzyż.

– Tak, przegrywają wojnę – powiedział Uspieński. – W takiej sytuacji nikt już nie zwraca uwagi na przepisy.

– Nie mówiłem do ciebie! – rzucił ostro Pasza.

– Uspokójcie się! – wykrzyknął Aleksander.

– Poruczniku – zwrócił się Pasza do Uspieńskiego – dlaczego nie możecie nas zostawić samych choć na chwilę? Dlaczego zawsze pętacie się

przy nas?

– A co macie do ukrycia, Mietanow? – odparł Uspieński. – Skąd ta nagła potrzeba samotności?

Aleksander odszedł na bok. Obaj zaraz za nim ruszyli.

– Chyba powinniśmy spróbować uciec – powiedział Pasza, wzdychając z rezygnacją na widok Uspieńskiego, który natychmiast stanął obok. – Po co mamy tu tkwić?

Aleksander prychnął cicho.

– Nie ma reflektorów ani wież strażniczych. Chyba trudno to uznać za ucieczkę. – Wskazał na szeroką na pięć metrów dziurę w ogrodzeniu z drutu kolczastego. – Raczej za opuszczenie terenu.

Początkowo nie chciał uciekać, bo wciąż miał nadzieję na przyjazd przedstawicieli Czerwonego Krzyża. Jednak kiedy mijały tygodnie, warunki w obozie pogarszały się z dnia na dzień, a Czerwonego Krzyża nadal nie było, doszedł do wniosku, że nie mają wyboru. Tymczasem załatano dziurę w ogrodzeniu. Wycięli więc następną obcęgami, jakie znaleźli w szopie, i uciekli. Cztery godziny później zostali schwytani przez dwóch strażników i przywiezieni z powrotem do obozu.

– Chyba oszaleliście – powiedział na ich widok komendant obozu, obertleutnant Kiplinger. – Dokąd się wybieraliście? Tam nic nie ma, tylko obozy. Tym razem wam odpuszczę, ale nie róbcie tego więcej. – Poczęstował Aleksandra papierosem.

– Gdzie jest Czerwony Krzyż, komendancie?

– A co was to obchodzi? Tak jakby mieli po was przyjechać. Dla jeńców radzieckich nie ma żadnych paczek, kapitanie.

– Wiem. Chciałem tylko wiedzieć, dlaczego się tu nie zjawiają, to wszystko.

– Wprowadzono nowe zarządzenie zakazujące przeprowadzania inspekcji w obozach.

Aleksander przez cały czas dbał o higienę, golił się starannie, zaoferował nawet swoje usługi komendantowi. Wbrew zarządzeniom konwencji genewskiej komendant wręczył Aleksandrowi piłę, gwoździe i młotek

i wysłał go do pracy przy budowie baraków dla napływających stale więźniów. Uspieński początkowo mu pomagał, ale praca w zimnym, wilgotnym powietrzu była dla niego za ciężka.

Pasza zgłosił się do pracy w kuchni, gdzie udawało mu się kraść jedzenie dla siebie i Aleksandra, którym niechętnie dzielił się również z Uspieńskim.

Był koniec listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Powoli mijał grudzień, obozy wypełniały się coraz bardziej. Aleksander nie nadążał z budowaniem nowych baraków. Obozy przeznaczono dla tysiąca jeńców. Teraz znajdowało się w nich dziesięć tysięcy.

– Poruczniku Uspieński – powiedział Aleksander – czyż to nie ironia, że jest tu tylu jeńców radzieckich, choć prawo zakazuje im się poddawać? Nie mogę tego pojąć. Możecie mi wytłumaczyć?

– To najwyraźniej tacy sami renegaci jak wy, kapitanie.

W obozie brakowało wody i jedzenia. Jeńcy chodzili brudni, mnożyły się choroby. Zerwano drut kolczasty dzielący obozy. Niemcy nie wiedzieli, co począć z pięcioma tysiącami jeńców radzieckich. A oprócz nich byli jeszcze przecież Rumuni, Bułgarzy, Turcy i Polacy.

Nigdzie nie było jednak widać Żydów.

– Gdzie się podziali Żydzi? – spytał łamaną angielszczyzną jeden z Francuzów. Aleksander wyjaśnił mu po rosyjsku, że wszyscy trafili na Majdanek. Francuz i Anglik nic jednak nie zrozumieli i cofnęli się o parę kroków. W pobliżu stał Uspieński, więc Aleksander nie chciał rozmawiać po angielsku, by nie budzić jego podejrzeń.

– Kapitanie, skąd wiecie, że w obozie nie ma Żydów? – spytał, kiedy wracali do baraków.

– Pamiętacie, jak po przyjeździe tutaj wysłali nas do łaźni i na odwszenie?

– Tak. Nie chcieli nas przesłuchiwać oblepionych błotem. To normalna procedura.

– To prawda. A przy okazji, kiedy byliście nadzy, upewnili się, że nie jesteście Żydem. Gdyby było inaczej, gwarantuję wam, że już by was tu nie

było.

W obozie pojawiły się pogłoski o ciężkich stratach Amerykanów w lesie Hurtgen w pobliżu Ardenów w Belgii i o morderczych walkach. Nikt jednak nie mówił o zbliżającej się kapitulacji Niemiec.

Każdego ranka Aleksander budował baraki i nadzorował innych więźniów, a popołudniami naprawiał otaczający obóz drut kolczasty, okna, czyścił niezaładowaną broń, jednym słowem robił wszystko, byle tylko zająć ręce. Dzięki temu karmiono go trochę lepiej. Ale to nie wystarczało. Pasza przypomniał mu o obozie w Mińsku, gdzie Niemcy, nie wiedząc, co począć z jeńcami, zostawiali ich na pewną śmierć.

– Ale nie mogą przecież zagłodzić wszystkich jeńców alianckich.

– Czyżby? A co, będziemy ich ścigać aż do piekła, żeby ich za to ukarać? Nie, jeszcze raz spróbujemy uciec.

– Cały czas naprawiasz ten zasrany drut. Stale się rozwala. Nie powinniśmy mieć problemów.

– Tak, ale teraz pilnuje mnie strażnik.

– Zabijmy go i wiejmy.

– Jutro jest katolickie Boże Narodzenie. Nie możemy go zabić w święto.

– Odkąd to jesteś taki religijny? – spytał Pasza.

– Och, kapitan i Bóg mają długą wspólną historię – powiedział Uspieński i razem z Paszą wybuchnęli śmiechem. Choć śmiali się z niego, Aleksander pomyślał, że to o wiele lepsze niż nieustanne, pełne wrogości przytyki, których nie szczędzili sobie przez cały dzień.

Na Boże Narodzenie dostali dodatkowy przydział węgla, by ogrzać baraki, i trochę wódki. Razem z nimi w baraku było dwudziestu oficerów. Pili, grali w karty i w szachy, a potem, już nieźle pijani, śpiewali rubaszne piosenki. Rankiem wszyscy byli nieprzytomni.

Dzień po świętach wartownik zachorował i nie musieli go zabijać. Zasnął na służbie. Uciekli więc, ale zimą ciężko było dotrzeć gdziekolwiek. W pobliżu przejeżdżały jedynie wojskowe pociągi. Wskoczyli do jednego z nich, ale na następnej stacji złapał ich policjant, któremu nie spodobały się zbyt luźne kradzione mundury. Kiedy wrócili do Katowic, strażnik

zmarł na zapalenie płuc, zanim zdążyli go rozstrzelać za rażące uchybienia podczas służby. Raz jeszcze stanęli przed komendantem Kiplingerem.

– Kapitanie Biełow, widzieliście, że w moim obozie nie przestrzegamy szczególnej dyscypliny. Nie obchodzi mnie, co robicie. Chcecie pracować, to daję wam pracę. Chcecie więcej jedzenia, to jeśli tylko jest, dostajecie. Pozwalam wam chodzić po całym obozie, nie pilnuję was, dopóki pozostajecie na jego terenie. Wydaje mi się, że to jest w porządku. Ale najwyraźniej jesteście innego zdania, a ci dwaj chodzą za wami jak owce za przywódcą stada. Powiedziałem wam, że jeśli jeszcze raz spróbujecie uciec, będziecie tu skończeni. Nie uwierzyliście mi? Nie chcę mieć z wami więcej kłopotów. Nie wiecie, że karą za utratę powierzonych nam jeńców jest śmierć?

– Dokąd jedziemy?

– Do miejsca, z którego nie ma ucieczki – powiedział z satysfakcją Kiplinger. – Do twierdzy Colditz.

Rozdział dwudziesty ósmy

Nowy Jork, styczeń 1945

W Nowy Rok Tatiana wybrała się z Anthonym na samotny spacer po mieście, a potem spotkała się z Vikki, by pojeździć na łyżwach w Central Parku. Pojechały autobusem i wysiadły na rogu Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy i Szóstej Alei. Tatiana wysłała Vikki z Anthonym do parku, mówiąc, że ma jeszcze coś do załatwienia.

Weszła do budki telefonicznej w pobliżu hotelu Plaza. Przez chwilę szukała drobnych w kieszeni. Szybko je przeliczyła, choć wiedziała, ile ma. Wreszcie wykręciła numer.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Sam – powiedziała. – Dzwonię nie w porę?

– Wszystkiego dobrego, Tatiano. Dzwonisz w samą porę, bo musiałem przyjść dziś do biura, żeby nadgonić parę spraw.

Czekała, wstrzymując oddech.

– Niestety, nie mam dla ciebie żadnych wiadomości.

– Żadnych?

– Nie.

– Nie skontaktowali się z tobą...

– Nie.

– Nawet w mojej sprawie?

– Nie. Prawdopodobnie są zajęci ważniejszymi, na przykład dzieleniem Europy.

Tatiana odetchnęła głęboko.

– To głupie, że tak stale dzwonię. Masz przeze mnie same kłopoty.

– Nie. Skądże. Zadzwoń znów za miesiąc.

– Na pewno zadzwonię. Jesteś dla mnie za dobry, Sam. Dziękuję. – Odwiesiła słuchawkę i odczekała kilka sekund z głową przyciśniętą do zimnego automatu.

Tatiana zgodziła się w końcu wynająć razem z Vikki mieszkanie, choć zrobiła to bardzo niechętnie. Przeprowadziły się w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Tatiana znalazła mieszkanie z trzema sypialniami i dwiema łazienkami na szóstym piętrze przy Church Street. Budynek położony był niedaleko Bowling Green i Battery Park. Okna saloniku wychodziły na nowojorski port i Statuę Wolności, a ze schodów przeciwpożarowych widziała nawet wyspę Ellis.

Czynsz wynosił pięćdziesiąt dolarów miesięcznie i choć Vikki powtarzała, że nie przywykła pracować po to, by płacić czynsz, zamiast kupować sobie nowe ciuszki, w nowym miejscu było im bardzo dobrze. Tatiana była szczęśliwa, bo wreszcie mogła ustawić książki, a jej synek miał swój pokój. Ona zresztą też miała pokój tylko dla siebie. Ale tylko w teorii. Spała w pokoju Anthony'ego, na podłodze obok jego łóżeczka. Powiedziała, że kiedy przestanie karmić, będzie spać u siebie. Przestała, kiedy Anthony skończył półtora roku. Ale nadal spała na podłodze.

Chleb. Mąka, mleko, masło, sól, jajka, drożdże. Chleb.

Vikki próbowała się dowiedzieć, dlaczego co wieczór o jedenastej muszą ręcznie rozczyniać ciasto.

– Żebym rano nie musiała chodzić do sklepu po gorący chleb dla rodziny – wyjaśniła w końcu Tatiana.

Vikki już o nic nie pytała, ale każdego ranka, gdy jadła ciepłe rogaliki, bułeczki lub chrupiący chleb i popijała go kawą, oblizywała usta i mówiła:

– Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj.

– Amen – odpowiedziała Tatiana.

– Samen – powtórzył Anthony.

– Kto nauczył cię piec taki wspaniały chleb, Taniu?

– Moja siostra. To ona nauczyła mnie gotować.

– Musiała być świetną kucharką.

– Była świetną nauczycielką, nauczyła mnie wiązać buty, pływać i odczytywać godziny na zegarku.

– Jak umarła?

– Nie miała… dość chleba powszedniego.

Za mało robię, myślała, wpatrując się w sufit. Mam za dużo minut i sekund do wypełnienia. Choćby dzisiaj. Wstałam o szóstej, nakarmiłam i ubrałam Anthony'ego, zanim przyszła po niego Isabella. Dzięki Bogu, że go stąd odbiera. Byłam na Ellis od ósmej do czwartej, potem do szóstej w Czerwonym Krzyżu pobierałam krew i przygotowywałam zestawy pierwszej pomocy, które wysyłają do Europy. Odebrałam Anthony'ego od Isabelli, wzięłam go do parku, zrobiłam zakupy, ugotowałam obiad, pobawiłam się z synkiem, wykąpałam go, położyłam spać, słuchałam radia i Vikki, przygotowałam ciasto na chleb. Teraz jest już po pierwszej, Anthony i Vikki smacznie śpią, a ja wpatruję się w sufit, bo nie mam już nic do zrobienia. A muszę coś robić, by paść w końcu ze zmęczenia i nie mieć siły nawet na koszmary. Moje amerykańskie życie musi mnie wyczerpać do cna, żebym nie musiała oglądać jego twarzy.

Obejmuje ją dłońmi w pasie. Na twarzy lśnią kropelki wody, uśmiecha się szeroko. Liczy: raz, dwa, trzy, wrzuca ją z całych sił do Kamy i natychmiast wskakuje za nią. Ona nurkuje głęboko i odpływa. On ją ściga, grożąc najgorszymi torturami, jeśli ją złapie. Ona zwalnia, by mógł spełnić groźby.

Choć jej serce wciąż wyrywało się na wschód, piekła chleb, kupowała na kartki siedem rodzajów bekonu, patelnie i garnki, ręczniki i pościel. Tak bardzo lubiła sklepy, stoiska z owocami, sklepy z mięsem, supermarkety, delikatesy na rogu. Lecz choć jej ciało dzielnie parło do przodu, duch nadal tkwił głęboko w przeszłości. To Aleksander znalazł ją w Łazariewie, tak bardzo samotną, i sprawił, że znów ożyła. On stworzył ją na nowo.

A ona nie mogła go odnaleźć. Nawet nie próbowała. A jeśli nawet, to jej próba była żałosna. Nie powiedziała: „Nie spocznę, dopóki cię nie znajdę, Szura", lecz: „Przykro mi, Szura, ale nie mogłam znaleźć opiekunki do dziecka". Po raz pierwszy w życiu zaczęła nienawidzić samej siebie. Nawet w czasach, gdy ukrywali się przed Daszą, nie czuła do siebie tak wielkiej pogardy.

Choć Vikki prosiła ją o to wiele razy, nie chciała iść w sobotni wieczór na tańce do klubu Ricardo's w Greenwich Village. Nie kupiła sobie nowej sukienki, nowych butów.

– Musisz iść ze mną do Elks Rendezvous w Harlemie – powiedziała pewnego dnia Vikki. – To niesamowite miejsce. Świetnie grają, bywa tam mnóstwo lekarzy.

– Nie ma nic gorszego od kobiety, która próbuje sobie znaleźć nowego kochanka – powiedziała Tatiana, cytując fragment z książki, którą właśnie przeczytała. – Czytałaś *Niespokojny grób* Cyrila Connolly'ego? Gorąco polecam.

– Daj sobie spokój z tym czytaniem. Masz ochotę zobaczyć Bette Davis i Lesliego Howarda w filmie *W niewoli uczuć*? Grają go teraz w Apollo.

– Może innym razem.

– Nie ma innego razu! W ten piątek idziemy wieczorem do salonu piękności. Już tam o tobie opowiadałam, bardzo chcą cię poznać. Zrobisz sobie manikiur, potem pójdziemy coś zjeść za grosze na Mott Street. Koniecznie musisz spróbować chińskiej kuchni, jest fantastyczna. A na koniec Elks Rendezvous.

– Pojedziemy aż do Harlemu?

– Tam najlepiej tańczą jitterbuga.

– Tak to teraz nazywasz?

– Coś ty, zaczynasz świńtuszyć? – Vikki spojrzała na nią z uśmiechem. – No, co ty na to?

– Może innym razem, dobrze?

– Taniu – odezwała się Vikki pewnego wieczoru, kiedy skuliły się razem na kanapie, by trochę poczytać – już wiem, co z tobą jest nie tak. Oprócz

tego, że przez cały czas pieczesz chleb i wcinasz bekon.

– Co jest ze mną nie tak?

– Smutas z ciebie. Musisz się nauczyć przeklinać jak marynarz, chodzić dumnym krokiem, jakby cały świat należał do ciebie, musisz pójść do salonu piękności, lecz przede wszystkim potrzebny ci jest mężczyzna.

– Dobra. Gdzie go znajdziemy?

– Nie chodzi mi wcale o miłość.

– Jasne, że nie.

– Chodzi mi o rewelacyjną, zwalającą z nóg zabawę. Jesteś zbyt spięta. Stale się czymś martwisz. Harujesz jak wół, zadręczasz się, jesteś idealną matką. Ellis, Czerwony Krzyż, Anthony, to stanowczo za dużo.

– Wcale się nie martwię – broniła się Tatiana.

– Taniu, jesteś w Ameryce! Wiem, że jest wojna, ale przecież nie toczy się tutaj. A ty zawsze chciałaś przyjechać do Stanów.

– Tak – przytaknęła Tatiana. Ale nie sama.

– Czy nie jest tu lepiej niż w tym twoim Związku Radzieckim?

Siedzą w dwóch łódkach i ścigają się po jeziorze Ilmen, kto pierwszy dopłynie na środek. To prawie kilometr. Tatiana, bez uśmiechu, wiosłuje równo i metodycznie. Pasza się wścieka, że nie może dogonić siostry. A na brzegu ich siostra i kuzynka Marina podskakują wesoło, dopingując Tatianę. Stojący za nimi dorośli wymachują rękami, dopingując Paszę. Jest lato, w powietrzu unosi się zapach świeżej wody.

Ale już ich tam nie ma. Nad jeziorem, w Ładze, w Leningradzie, Łazariewie. A mimo to nigdy jej nie opuszczają.

I on jej nigdy nie opuszcza.

Tatiana wypiła łyk herbaty i zamrugała powiekami, próbując odpędzić obrazy z dawnego życia.

– Opowiedz mi o swojej pierwszej miłości – poprosiła.

– Miał na imię Tommy. Był wokalistą w zespole. Boże, ależ on był uroczy. Blondyn, niewysoki i...

– Ale ty jesteś wysoka.

– Wiem. Całowałam go i pieściłam, jakby był moim małym synkiem. Było idealnie. Miał siedemnaście lat i był taki utalentowany. Uciekałam z domu, żeby oglądać jego występy w klubie w Bowery. Porażał mnie.

– I co się z wami stało? – Tatiana wpatrywała się w filiżankę.

– Odkryłam, czym zajmują się muzycy, kiedy już skończą grać.

– Myślałam, że chodziłaś tam, by być z nim.

– Ale musiałam wracać do domu. Mówił, że wpadnie do mnie później. A potem odkryłam, że między końcem występu a tym „później" zaliczał w pokoiku na tyłach baru kilka panienek. Zaliczał je, a potem o piątej rano wchodził schodami pożarowymi do mojej sypialni i był ze mną.

– Och, nie.

– Ryczałam przez trzy tygodnie. A potem poznałam Jude'a.

– Kto to jest Jude?

– Mój drugi chłopak.

Tatiana się roześmiała.

Vikki oparła dłoń na jej plecach i pogłaskała ją po włosach.

– Taniu – powiedziała cicho. – Uwierz mi, w życiu przychodzi druga miłość. I trzecia. A jeśli masz szczęście, to nawet czwarta i piąta.

– Dobrze wiedzieć. – Tatiana zamknęła oczy i mocniej ścisnęła filiżankę.

– Przecież żałobę nosi się tylko przez rok. I wiesz co? Jude był o wiele lepszy od Tommy'ego. I ja czułam do niego coś więcej. Był lepszy… – Vikki zawiesiła głos. – Był lepszym człowiekiem. We wszystkim.

Tatiana skinęła głową.

– Taniu, zapomniałaś już, jak to jest, gdy masz przy sobie cudownego mężczyznę.

– Gdybym tylko mogła zapomnieć.

Vikki przytuliła ją mocno.

– Och, Taniu. Obiecuję ci, że kiedyś o nim zapomnisz. Już ja się o to postaram.

Dawno, dawno temu młode dziewczęta spotykały się z młodymi chłopcami, gdy na granatowym niebie lśnił księżyc w pełni, wszyscy

śpiewali i tańczyli przy ognisku, było wino i tańce, grała muzyka i rozbrzmiewał głośny śmiech. Kiedy jedna para oczu napotkała drugą, dziewczyna zaczęła szybciej oddychać, a chłopiec podszedł bliżej. Nagle ona podniosła wzrok, on spojrzał w dół i...

Dawno temu była pierwsza miłość.

Poznała ją Vikki. Edward. Isabella i Travis.

Pierwsza miłość, pierwszy pocałunek, pierwsze wszystko.

Kiedy wszyscy byli jeszcze tacy młodzi.

A potem się postarzeli.

Czas przeminął wraz z fazami księżyca, ucichła muzyka, dziewczyna zdjęła sukienkę z tafty, zgasło ognisko i przestali się śmiać. Aż kiedyś przed dziewczyną stanął inny mężczyzna i uśmiechnął się. Ona podniosła na niego wzrok, a on spojrzał na nią czule.

To nie była pierwsza miłość.

Nie był to pierwszy pocałunek.

Ale mimo wszystko była to miłość.

A pocałunek smakował słodko.

I serce nadal biło bardzo mocno.

Dziewczyna ruszyła przed siebie. Chciała żyć i być szczęśliwa. Pragnęła znów kochać. Nie chciała siedzieć samotnie przy oknie i spoglądać na przepastne morze. Nie chciała pamiętać. Pragnęła zapomnieć tego pierwszego mężczyznę. I tylko zapamiętać to pierwsze uczucie.

Zapamiętać je i obdarować nim innego mężczyznę. I znów się śmiać, bo jej serce było zbyt pełne miłości i zbyt radosne, by nie kochać już nigdy więcej. Bo jej serce musiało czuć i chciało wzbić się w obłoki.

Bo życie było takie długie.

Dziewczyna przestała się smucić, uśmiechnęła się, założyła inną sukienkę i stanęła przed innym mężczyzną. Znów śpiewała, żartowała, przecież nie umarła, nadal chodziła po świecie i nadal była tą samą osobą. Osobą, która od czasu do czasu musiała się śmiać, nawet jeśli wiedziała, że w ciągu tych wszystkich lat, które ma przed sobą, już nigdy nie będzie kochać tak, jak kochała, kiedy jej serce miało siedemnaście lat.

Aby chronić samą siebie uważała, by nie zrobić kroku, który by ją zabolał, osłaniała krwawiącą połowę swego serca przed wzrokiem innych. Wraz z upływem czasu stała się prawdziwym ekspertem w ukrywaniu przed światem swojej ułomności. Skulona pod ciężarem krzyża, powtarzała sobie, że każdy ma swój krzyż, który musi dźwigać.

Na szczęście miała synka, swojego małego mężczyznę, i nie była sama. Miała miłość, miała życie. A wczoraj, kiedy była jeszcze młoda, dostała od życia więcej, niż mogła sobie wyobrazić w najśmielszych marzeniach.

Pewnego dnia wstanie z kanapy, odejdzie od parapetu, zejdzie ze schodów pożarowych, odłoży w kąt czarny plecak, zdejmie z szyi obrączki na łańcuszku. Pewnego dnia, gdy zagra muzyka, nie poczuje, jak tańczą ze sobą walca w blasku księżyca w noc po ślubie w cerkwi.

Och, jak tańczyliśmy w tę noc, gdy rzekliśmy sobie tak...

Pewnego dnia. Ale dziś wraz z każdym oddechem przeszłości, z każdym mrugnięciem oka, Aleksander przenikał w nią coraz mocniej, aż to, co dane było im przeżyć, zasłoniło zupełnie obraz przyszłości, jaka mogła ją jeszcze czekać.

Myślała tylko o tym, jak on ją kochał, czego od niej oczekiwał, czego pragnął. I co ona mu dawała. Czy to wystarczy?

Pamięć – ten diabeł, ten okrutny wróg spokoju.

Nie potrafiła zapomnieć. A co gorsza, rany krwawiły coraz mocniej. Czuła się tak, jakby jego usta, dłonie, serce, wszelkie sprawy, które w Łazariewie wydawały się tak normalne, nabierały szczególnego wymiaru. Zupełnie tak, jakby zaczynały żyć nowym życiem.

Łowili ryby, spali, myli się. Chodziła szyć z innymi kobietami. Teraz nienawidziła siebie za to, biczowała się w duchu, że była zdolna robić cokolwiek innego. Jak mogła próbować wieść z nim w Łazariewie normalne życie, wiedząc nawet wtedy, że czas i oni sami stopnieją jak płatki śniegu? Czy gdyby on wiedział, co ich czeka, szedłby obok niej tak spokojnie? Gdyby wiedział, jak drogo przyjdzie im zapłacić za chwile uniesień, za minutę radości?

Jak on uwielbiał ją dotykać. A ona siedziała cichutko, z lekko rozsuniętymi nogami, by zawsze mógł to zrobić. I robił. Zawsze. Tak, powiedział, tego właśnie pragnie żołnierz na urlopie. A zawsze nie wystarczało. Dotykał ją palcami, gdy siedziała spokojnie na ławce, i ustami, gdy siedziała już mniej spokojnie. Dla niego liczyło się tylko teraz, nie było żadnego później.

Doprowadzę cię do szaleństwa, krzyczała jej pamięć, gdy Tatiana siedziała zimą przy oknie i wdychała słony zapach wieczności. Na zewnątrz wszystko będzie wyglądać normalnie. Będziesz chodzić i uśmiechać się jak normalna kobieta, lecz w środku będziesz się wić z bólu i płonąć na stosie. Nigdy cię nie uwolnię. Już nigdy nie będziesz wolna.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Colditz, styczeń 1945

Informacje o Colditz okazały się prawdziwe. Stamtąd nie było ucieczki. I nie było też pracy. Jeńcy mogli tylko spać, grać w karty i dwa razy dziennie chodzić na spacery. Wstawali o siódmej na apel i co wieczór gasili światło o dziesiątej, dostawali trzy posiłki i odbywali dwa godzinne spacery.

Colditz był zamkiem obronnym z piętnastego wieku wzniesionym w północnej Saksonii, na stromej górze nad rzeką Mulde, w trójkącie pomiędzy trzema dużymi miastami: Lipskiem, Dreznem i Chemnitz.

Od południa otaczały go fosy, a od wschodu, zachodu i północy strome ściany skalne i przepaście. Tam, gdzie kończyła się góra, zaczynał się zamek.

Mieszczącym się w zamku obozem kierowała grupa doskonale zorganizowanych Niemców, którzy swoją pracę traktowali bardzo poważnie i żadne próby przekupstwa nie wchodziły w grę. Aleksander dowiedział się o tym od pięciu radzieckich oficerów, którzy od pewnego czasu zajmowali niewielką, zimną celę z czterema pryczami.

W Colditz znajdował się wydzielony oddział dla chorych i kaplica, pomieszczenie do odwszania jeńców, dwie kantyny, kino, a nawet dentysta. Strażnicy niemieccy mieszkali na miejscu, a komendant miał część zamku tylko dla siebie.

Do Colditz przywożono jeńców, którzy notorycznie uciekali z innych obozów w Niemczech. Tutaj strażnicy z karabinami maszynowymi stali co piętnaście metrów na dole, na specjalnie zbudowanych pomostach i na

okrągłych wieżach, obserwując więźniów przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nocą zamek oświetlały reflektory. Do środka można się było dostać tylko przez przerzucony nad fosą most, który prowadził do niemieckiego garnizonu i kwatery komendanta.

Na każdego ze stu pięćdziesięciu więźniów przypadało dwóch strażników, a przynajmniej takie można było odnieść wrażenie. Aleksander przez trzydzieści jeden dni stycznia obserwował ich bardzo uważnie, kiedy spacerowali po dużym wewnętrznym dziedzińcu wyłożonym kamieniami. Przypominało mu to koszary Pułku Pawłowskiego w Leningradzie. Ciekawe, co się stało z pułkownikiem Stiepanowem.

Przez trzydzieści jeden dni obserwował strażników w kantynie, pod prysznicami, na dziedzińcu. Dwa razy w tygodniu – tylko w nagrodę za dobre zachowanie – jeńcy, w dwunastoosobowych grupach, mogli przez godzinę spacerować po zewnętrznym tarasie od strony zachodniej. Była to niewielka wyłożona kamieniami przestrzeń, pod którą rozciągał się zamknięty ogród. Tam jednak nigdy jeńców nie wpuszczano. Aleksander zawsze wychodził na dwa spacery po tarasie i obserwował żołnierzy, którzy go pilnowali. Przez okno celi patrzył nawet, jak zmieniają się na warcie. Spał na pryczy tuż przy wychodzącym na zachód oknie, na trzecim piętrze nad oddziałem dla chorych. Cieszył się, że może patrzeć na zachód. Pod oknem rozciągał się długi i wąski taras, a jeszcze niżej długi i wąski ogród.

Rzeczywiście, z Colditz trudno było uciec.

Jak poradziła sobie Tania? Jak zdołała dotrzeć do Finlandii po śmierci Dmitrija i ze śmiertelnie rannym Sayersem? Nie miał pojęcia, ale jedną rzecz wiedział na pewno – jakimś cudem znalazła się w Finlandii. Stąd też musi być jakieś wyjście. Tylko on na razie nie mógł go znaleźć.

Pasza i Uspieński nie byli aż tak wielkimi optymistami. Spacerowali razem z nim, ale nie interesowało ich obserwowanie strażników. Aleksander chciał porozmawiać na dziedzińcu z jeńcami brytyjskimi, ale nie miał ochoty tłumaczyć się przed Paszą i Uspieńskim ze swojej nienagannej angielszczyzny. Nigdzie nie było widać Amerykanów.

W twierdzy przetrzymywano jedynie oficerów brytyjskich i francuskich, jednego Polaka i pięciu Rosjan, z którymi dzielili celę.

Jedynym Polakiem wśród oficerów był generał Bór-Komorowski, z którym Aleksander nawiązał rozmowę w kantynie. W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku Komorowski stanął na czele polskiego ruchu oporu. Kiedy wpadł w ręce hitlerowców, natychmiast przewieziono go do Colditz, by zapobiec ewentualnym ucieczkom. Choć generał chętnie opowiadał o wcześniejszych próbach ucieczki z twierdzy i dał nawet Aleksandrowi dokładne plany okolicy, ostrzegł go, by zapomniał o możliwości wydostania się z Colditz. Nawet ci, którym się to udało, zostali schwytani po paru dniach.

– To najlepszy dowód na to, w co zawsze wierzyłem, a co sprawdza się zwłaszcza w Colditz – powiedział Komorowski. – Nawet jeśli zaplanujesz wszystko w najdrobniejszych szczegółach, z żadnej trudnej sytuacji nie można wybrnąć bez Bożej pomocy.

A Tani udało się uciec ze Związku Radzieckiego, chciał powiedzieć Aleksander. W tym moja największa nadzieja.

Leżąc w nocy na pryczy, myślał o jej ramionach. Zastanawiał się, czy zdoła ją odnaleźć. Jeśli nadal na niego czeka, to gdzie może teraz być? W Helsinkach? Sztokholmie? Londynie? Ameryce? A jeśli tam, to gdzie? W Bostonie? Nowym Jorku? Może w jakimś ciepłym miejscu? San Francisco? Mieście Aniołów? Kiedy wyjeżdżała z Rosji z doktorem Sayersem, miał ją zabrać do Nowego Jorku. Doktor zginął, ale może ona postanowiła zrealizować plan do końca. Tam zacznie swoje poszukiwania.

Nienawidził tych wędrówek po bezdrożach wyobraźni, ale lubił się zastanawiać, jak będzie wyglądać, gdy go wreszcie zobaczy, jak będzie drżeć na całym ciele, jak będą smakować jej łzy, jak do niego podejdzie, może podbiegnie.

A ich dziecko? Ile teraz ma? Półtora roku. Chłopiec czy dziewczyna? Jeśli to dziewczynka, może jest blondynką jak jej matka. Jeśli chłopiec, to może odziedziczył ciemne włosy po swoim ogolonym teraz do gołej skóry ojcu. Moje dziecko. Jak to jest, gdy trzyma się w ramionach swoje dziecko?

Drżał w ciemnościach, gdy wyobrażał sobie jej dłonie na swoim ciele i swoje na jej.

Kiedy go opuściła, odczuwał dręczący ból przez cały wietrzny marzec, wilgotny kwiecień i ciepły czerwiec. Czerwiec był najgorszy. Ból i tęsknota były tak wielkie, że wydawało mu się, iż nie przeżyje bez niej kolejnego dnia, kolejnej minuty.

A potem minął rok, i jeszcze jeden. Ból powoli ustępował, lecz pozostała tęsknota. Przed nią nie było ucieczki.

Czasami myślał o dziewczynie spotkanej w Polsce, o Wierze, która chciała mu dać wszystko, a której on dał czekoladę. Czy gdyby teraz Wiera stanęła przed nim, okazałby się równie silny?

W Colditz nie było ucieczki przed dręczącymi myślami, przed strachem, przed palącą tęsknotą i pragnieniem. Ani przed świadomością, że minęło już wiele miesięcy. Jak długo nawet najwierniejsza żona może czekać na zmarłego męża? Nawet jego Tatiana, najjaśniejsza z gwiazd. Jak długo będzie czekać, zanim zacznie nowe życie?

Nie, dość tego.

Proszę. Koniec z myślami. Koniec z pragnieniem. Koniec z miłością.

Proszę. Koniec ze wszystkim.

Jak długo będzie czekać, zanim znów rozpuści włosy, wyjdzie z pracy i zobaczy przed sobą inną twarz, na której widok uśmiechnie się radośnie?

Odwrócił twarz do okna. Musi się wydostać z Colditz. Za wszelką cenę.

– Towarzysze, spójrzcie tylko tutaj – powiedział do Paszy i Uspieńskiego, kiedy spacerowali po tarasie pewnego zimnego lutowego popołudnia. – Chcę, żebyście coś zobaczyli. – Nie ruszając się z miejsca, wskazał dwóch strażników po obu stronach prostokątnego tarasu o wymiarach siedem na dwadzieścia metrów.

Poprowadził ich potem powoli do kamiennego murku i zapalając papierosa, wychylił się niedbałym ruchem, by spojrzeć w dół. Pasza i Uspieński poszli w jego ślady.

– Na co patrzymy? – spytał Pasza.

W ogrodzie poniżej, dwa razy szerszym od tarasu, po obu stronach stali strażnicy z karabinami maszynowymi, jeden w budce, drugi na wzniesionym pomoście.

– No i co? – powiedział Uspieński. – Czterech strażników. Przez całą dobę. A ogród znajduje się kilka metrów w dole. Idziemy. – Odwrócił się.

Aleksander chwycił go za ramię.

– Zostańcie. I słuchajcie.

– Och, nie – jęknął Uspieński.

Pasza pochylił się do przodu.

– Pozwólcie mu odejść, kapitanie – powiedział. – Nie jest nam wcale potrzebny. Idź do piekła, Uspieński, i szczęśliwej drogi.

Został.

– W ogrodzie w ciągu dnia jest dwóch strażników i dwóch tutaj, na tarasie. W nocy ci tutaj nie pełnią służby, włączają reflektory. Zastępuje ich jeden dodatkowy strażnik w ogrodzie, co daje w sumie trzech. Trzeci strażnik pilnuje ogrodzenia z drutu kolczastego przy wysokiej na pięćdziesiąt stóp… – Aleksander zakaszlał – …szesnaście metrów przepaści, która prowadzi do stóp góry i wolności. – Zawiesił głos. – O północy mają miejsce dwa wydarzenia. Jedno to zmiana warty. Drugie to włączenie reflektorów oświetlających taras i zamek. Obserwowałem to w nocy z okna. Strażnicy schodzą z posterunków i zmieniają ich nowi.

– Wiemy doskonale, jak wygląda zmiana warty, kapitanie – powiedział Uspieński. – Co proponujecie?

Aleksander odwrócił się w stronę zamku. Nadal niedbale palił papierosa.

– Kiedy strażnicy będą się zmieniać, a nie zdążą jeszcze włączyć reflektorów, wyskoczymy przez nasze okno z długą liną, przebiegniemy przez taras, zeskoczymy do ogrodu, podbiegniemy do drutu, przetniemy go, a potem spuścimy się po linach w przepaść i uciekniemy.

– A co z liną? – spytał po chwili milczenia Uspieński. – Jaka musi być długa?

– Dziewięćdziesiąt metrów.

– Mamy ją odebrać w kantynie? A może poprosimy strażników?

– Zrobimy ją z pościeli.

– Będziemy potrzebować dużo pościeli.

– Pasza zaprzyjaźnił się z Anną z pralni. – Aleksander się uśmiechnął. – Zdobędzie dla nas parę dodatkowych prześcieradeł, prawda?

– Poczekaj chwilę – zaprotestował Pasza. – Musimy wyskoczyć z okna, z wysokości dziewięciu metrów nad betonowym...

– Tak.

Pasza postukał stopą w taras.

– To beton, Aleksandrze!

– Będziemy trzymać się liny i spuszczać przy ścianie.

– A potem spuścimy się trzynaście metrów w dół do ogrodu, przebiegniemy czternaście metrów, przetniemy drut i spuścimy się po linie następne szesnaście metrów?

– Tak. Ale drugą linę możemy przywiązać już w ciemności. Tamtej ściany nie oświetlają reflektorami.

– Zgoda, ale do tego czasu strażnicy zajmą już swoje miejsca.

– My będziemy wtedy po drugiej stronie drutu i ukryjemy się wśród drzew.

– Ach tak! – wykrzyknął Pasza. – A co z długą białą liną, która będzie zwisać z naszego okna? Nie sądzisz chyba, że strażnicy nie zauważą jej w jakże dyskretnym świetle reflektorów?

– Jeden z naszych towarzyszy będzie nas musiał osłaniać, a potem wciągnie linę. Na przykład Konstanty.

– A dlaczego niby miałby to robić?

– Bo nie ma nic lepszego do roboty. A ty dasz mu swoje papierosy. I przedstawisz go Annie z pralni. – Aleksander się uśmiechnął. – A jeśli nasz plan wypali, ucieknie następnej nocy. Drut będzie już przecież przecięty.

– Towarzyszu Mietanow – zaczął Uspieński – jak zwykle zapomnieliście zapytać kapitana o jedną rzecz. Co z czasem? Ile mamy czasu, zanim nowy strażnik zajmie swoją pozycję i włączą reflektory?

– Sześćdziesiąt sekund.

Uspieński otworzył usta i roześmiał się. Pasza natychmiast mu zawtórował.

– Kapitanie, jak zawsze trzymają się was żarty. Co za dowcip i poczucie humoru.

Aleksander palił w milczeniu. Pasza patrzył na niego z otwartymi ustami.

– Chyba nie mówisz tego wszystkiego poważnie?

– Jak najbardziej.

– Towarzyszu, znów nas nabrał – powiedział Uspieński do Paszy. – Z naszego kapitana to straszny kawalarz.

– Co innego proponujecie? – spytał spokojnie Aleksander. – Kopać tunel przez dwa lata? Nie mamy tyle czasu. Nie wiem, czy mamy sześć miesięcy. Jeńcy brytyjscy są przekonani, że do lata będzie już po wojnie.

– Skąd wiecie? – spytał podejrzliwie Uspieński.

– Znam parę angielskich słów, poruczniku – rzucił ostro Aleksander. – W przeciwieństwie do was chodziłem do szkoły.

– Kapitanie, uwielbiam wasze poczucie humoru, naprawdę. Ale dlaczego mamy kopać tunel? Albo spuszczać się z okna po prześcieradłach? Dlaczego nie poczekamy sześć miesięcy na zakończenie wojny?

– I co wtedy?

– Wtedy… – Uspieński się zająknął. – Nie wiem, co wtedy, ale pozwólcie, że zapytam, co teraz? Dlaczego chcecie się rzucić z tej skały? Dokąd chcecie iść?

Pasza i Aleksander patrzyli na niego bez słowa.

– Nigdzie się stąd nie ruszam – oświadczył Uspieński.

– Poruczniku – powiedział Pasza – czy w całym waszym zasranym życiu zgodziliście się na cokolwiek? Wiecie, jaki napis umieszczą na waszym grobie? „Mikołaj Uspieński. Zawsze odmawiał".

– Straszni z was dowcipnisie – powiedział, odchodząc Uspieński. – Ubawiłem się po pachy. Aż mnie brzuch rozbolał ze śmiechu. Ha, ha.

Aleksander i Pasza znów spojrzeli w dół na ogród. Pasza spytał, jak zdołają przeciąć drut.

– Mam obcęgi jeszcze z Katowic – powiedział z uśmiechem Aleksander. – Generał Komorowski dał mi swoje wojskowe mapy. Musimy tylko dotrzeć do granicy ze Szwajcarią.

– Ile to kilometrów?

– Dużo. Kilkaset. – Ale i tak mniej niż z Leningradu do Helsinek, chciał dodać. A już na pewno mniej niż ze Sztokholmu do Stanów Zjednoczonych, dokąd wybierali się razem z Tanią.

– Drogo zapłacimy, jeśli się nam nie uda.

– Och, Pasza, czy masz inne wyjście? Nawet jeśli przez chwilę pomyślałeś, że ja mam, a uwierz mi, że tak nie jest, to co ci daje pozostanie w Colditz?

– Nie chciałem wcale powiedzieć, że nie idę z tobą. – Pasza wzruszył ramionami. – Chciałem tylko…

Aleksander poklepał go po plecach.

– Zgoda, ryzyko jest spore. Ale pomyśl o nagrodzie.

Pasza spojrzał na okno celi na trzecim piętrze, potem na taras i ogród w dole.

– Jak, na Boga, mamy to zrobić w sześćdziesiąt sekund?

– Będziemy się musieli pospieszyć.

Planowali ucieczkę przez kolejne dwa tygodnie do połowy lutego. Zdobyli lekarstwa, jedzenie w puszkach i kompas. Ukradli z pralni prześcieradła, nocami pocięli je i powiązali w liny, po czym ukryli w rozciętym materacu. Pomagając im, Uspieński stale utrzymywał, że nie zamierza uciekać, ale wszyscy w celi wiedzieli, że to nieprawda. Najtrudniejsze okazało się zdobycie cywilnych ubrań, ale za pomocą słodkich słówek Pasza namówił w końcu Annę, by ukradła je dla nich z pralni dla wyższych niemieckich oficerów. Broń odebrano im już dawno, ale Aleksander nadal miał swój plecak, a w nim tytanową łopatkę do kopania okopów, obcęgi, puste pióro i trochę pieniędzy. W nocy przed ucieczką Anna ukradła dla nich nawet niemieckie dokumenty.

– Co nam po nich – burknął Uspieński. – Przecież nie mówimy po niemiecku.

– Ja trochę mówię – odparł Pasza – a skoro będziemy mieli na sobie niemieckie ubrania, powinniśmy mieć także niemieckie papiery.

– A co obiecaliście tej młodej, naiwnej dziewczynie za to, że ryzykowała dla was życie? – spytał szyderczym tonem Uspieński.

– Moje serce. – Pasza się uśmiechnął. – I wierność aż po grób.

– Hmmm. Dla takiej dziewczyny jak ona to na pewno duża sprawa.

Wreszcie nadeszła noc zaplanowanej ucieczki. Wszystko było gotowe.

O jedenastej Uspieński chrapał w najlepsze. Poprosił, żeby obudzili go dziesięć minut przed wyznaczoną godziną. Aleksander doszedł do wniosku, że dobrze robi, odpoczywając, ale on sam nie mógł zmrużyć oka przez dwie noce.

Siedzieli razem z Paszą na podłodze przy zamkniętym oknie, sprawdzając, czy przywiązana do osadzonej w betonie pryczy lina trzyma się dostatecznie mocno. Mieli nadzieję, że tak.

– Myślisz, że Konstanty jest dość silny, by utrzymać linę? Wcale na to nie wygląda – szepnął Pasza.

– Poradzi sobie. – Aleksander zapalił papierosa.

Pasza poszedł w jego ślady.

– Uda się nam, Aleksandrze? Jak myślisz?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, co zaplanował dla nas Bóg.

– Znów ten twój Bóg. Jesteś gotowy na wszystko?

– Na wszystko – powiedział Aleksander po chwili milczenia – z wyjątkiem porażki.

– Aleksandrze?

– Tak?

– Myślisz czasem o swoim dziecku?

– A jak sądzisz?

Pasza zamilkł.

– Co chcesz wiedzieć? Czy myślę, że ona nadal o mnie pamięta? A może już zapomniała i ułożyła sobie życie na nowo? Pogodziła się z moją

śmiercią? – Aleksander wzruszył ramionami. – Myślę o tym przez cały czas. Tak naprawdę żyję tylko w moim sercu. Co innego mogę zrobić? Muszę zacząć iść w jej stronę.

Pasza milczał.

Aleksander słuchał jego przyspieszonego oddechu.

– A jeśli jest teraz szczęśliwa?

– Mam nadzieję, że tak.

– Chodzi mi o to....

– Przestań – przerwał mu Aleksander.

– W głębi duszy Tania jest bardzo radosna. Lojalna, wierna, nigdy nie daje za wygraną, ale jak dziecko potrafi się cieszyć z najdrobniejszych rzeczy. Wiesz, że niektórych ludzi pociąga nieszczęście i lubią się nad sobą użalać?

– Tak. – Aleksander zaciągnął się głęboko dymem.

– Tania do nich nie należy.

– Wiem.

– A jeśli wyszła ponownie za mąż i jest szczęśliwa?

– Ja też będę szczęśliwy.

– Ale co wtedy?

– Nic. Zasalutujemy jej, ty zostaniesz, ja zniknę.

– Nie ryzykujesz życia tylko po to, żeby zniknąć, Aleksandrze.

– Nie.

Jestem łososiem, urodzonym w słodkiej wodzie. Żyję w słonej, płynę 3200 kilometrów w górę strumienia, by wrócić do domu, by się rozmnożyć i umrzeć. Nie mam wyboru.

– A jeśli o tobie zapomniała?

– Nie.

– No, może nie zapomniała, ale jeśli nie czuje do ciebie tego, co kiedyś? Może kocha swojego nowego męża. Ma dzieci. Spojrzy na ciebie z przerażeniem.

– Och Pasza, ty i ta twoja pokręcona rosyjska dusza. Zamknij się, do cholery.

– Kiedy miałem piętnaście lat, kochałem się w pewnej dziewczynie. Spędziliśmy ze sobą cudowny miesiąc, a kiedy po roku wróciłem do Ługi z nadzieją, że będziemy kontynuować nasz romans, wiesz, co się stało? Nawet mnie nie poznała. Żałosne, prawda?

– Bardzo. – Roześmieli się. – Najwyraźniej robiłeś coś nie tak, skoro tak szybko o tobie zapomniała.

– Teraz ty się zamknij.

Aleksander nie miał wątpliwości – bez względu na to, jak się potoczyło jej życie, Tatiana z pewnością o nim nie zapomniała. Nadal słyszał, jak płacze w jego snach. Od czasu do czasu śniła mu się nie w Łazariewie, ale w nowym miejscu, z nową twarzą. Słyszał, że do niego mówi, błaga go. Ale nawet w nowym miejscu i z nową twarzą nadal czuł jej świeży oddech; czuł, jak napełnia go swoim życiem.

– Myślisz, że ucieszy się na mój widok? – spytał Pasza.

– Będzie wstrząśnięta jak cholera.

– Aleksandrze – szepnął Pasza – a jeśli nigdy jej nie znajdziemy?

– Uspokój się, zrobisz ze mnie nałogowego palacza – odparł Aleksander, zapalając kolejnego papierosa. – Nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania. Ona wie, że jeśli tylko będę mógł, nigdy nie przestanę jej szukać.

– A co zrobimy z Uspieńskim? Nie możemy go tutaj zostawić? Po prostu zapomnimy go obudzić.

– Zaraz zauważy, że nas nie ma.

– I co?

– Zaalarmuje straże i wyśle ich naszym tropem.

– Zrobiłby to na pewno, prawda? Jest w nim coś takiego… Chyba nienawiść, nie sądzisz?

– Daj sobie z tym spokój – odparł Aleksander. – To typowo rosyjska cecha.

– Ale w Uspieńskim jest do kwadratu – mruknął Pasza.

Aleksander zerwał się z podłogi i potrząsnął za ramię Uspieńskiego. Zbliżała się północ.

Następnie otworzył okno. Lał deszcz i niewiele widzieli. Pomyślał, że pogoda działa na ich korzyść. W strugach deszczu strażnicy będą niechętnie spoglądać w górę.

Obwiązali się końcami liny w pasie, zwinęli resztę i umocowali rzeczy na plecach. Aleksander wsunął obcęgi do buta. Stali i czekali na sygnał Konstantego. Strażnicy pełniący wartę na tarasie już zeszli. Konstanty pomacha do nich, kiedy znikną strażnicy z ogrodu. Aleksander wyskoczy pierwszy, potem Pasza, a na końcu Uspieński.

Kilka minut po północy Konstanty wreszcie machnął i cofnął się w głąb celi. Aleksander wyskoczył przez małe okno. Lina miała cztery metry zapasu. Odbił się mocno – zbyt mocno – od mokrej, kamiennej ściany i zaczął powoli rozwijać linę, zsuwając się po ścianie na ziemię. Po chwili Pasza i Uspieński znaleźli się za nim, ale poruszali się znacznie wolniej. Aleksander przebiegł taras i przeskoczył przez murek, w pośpiechu rozwijając linę. Cholera, była za krótka, zatrzymał się dwa metry nad ziemią. Puścił linę, opadł na mokrą, lodowatą trawę, skulił się, zerwał na równe nogi i pobiegł do drutu, wyciągając z buta obcęgi. Za nim biegł Pasza, a kilka kroków za nimi, ciężko dysząc, Uspieński. Kiedy obaj dotarli do drutu, był już rozcięty. Przecisnęli się przez dziurę i ukryli w drzewach nad przepaścią. W zamku zapalono reflektory. Tej nocy strażnik wyraźnie się nie spieszył. Wiał porywisty wiatr i nadal lało jak z cebra. Aleksander spojrzał na oświetlony zamek, by sprawdzić, czy Konstanty wciągnął linę, ale w strugach deszczu niewiele widział. Strażnicy nadal nie obejmowali swoich posterunków. Aleksander zyskał kilkanaście sekund i mógł spokojnie przywiązać koniec piętnastometrowej liny do gałęzi trzystuletniego dębu. Tym razem Pasza i Uspieński zsuwali się jako pierwsi. Kiedy w ogrodzie zjawili się strażnicy, obaj byli już parę metrów niżej. Aleksander ruszył za nimi. Zsuwali się powoli po wilgotnej ścianie, wisząc nad przepaścią. Na szczęście było ciemno, bo Uspieński zawołał:

– Kapitanie, czy wspominałem wam, że mam lęk wysokości?!

– Nie i nie pora teraz na to.

– Myślałem, że jak najlepsza.

– Jest ciemno jak cholera. I wcale nie jest wysoko. Ruszajcie się szybciej!

Aleksander był przemoczony na wylot. Niemieckie płaszcze szyto z grubego materiału, ale nie były nieprzemakalne.

Minutę później zeskoczyli na ziemię. Aleksander przeciął drut otaczający Colditz u stóp góry. Byli wolni.

Teraz marzył tylko o tym, by wreszcie przestało lać. Uciekać nocą w takim deszczu?

– Wszystko w porządku? – spytał. – Świetnie nam poszło.

– U mnie tak – odparł, dysząc, Uspieński.

– U mnie też – powiedział Pasza. – Ale kiedy zeskakiwałem na ziemię, skaleczyłem się w nogę.

Aleksander wyjął latarkę. Pasza miał rozdarte na udzie spodnie, ale rana nie krwawiła zbyt mocno.

– To przez ten drut. Na szczęście to tylko draśnięcie. Ruszamy.

Biegli przez cały dzień i noc. Nie, w nocy chyba spali, ale śniło im się, że biegną, a kiedy otwierali oczy, byli wykończeni. Aleksander biegł powoli, Pasza jeszcze wolniej, a Uspieński ledwo się ruszał. Biegli przez pola, rzeki, lasy. Minął dzień, potem następny. Ile kilometrów udało im się przebiec? Może trzydzieści. Trzech dorosłych mężczyzn, jeden bez płuca i trzydzieści kilometrów. Nie zdołali nawet dotrzeć do położonego na południowy-zachód Chemnitz. W okolicy nie przejeżdżały żadne pociągi, a oni starali się unikać uczęszczanych dróg. Jak uda im się w tym tempie dotrzeć nad Jezioro Bodeńskie na granicy ze Szwajcarią?

Na trzeci dzień Pasza zwolnił jeszcze bardziej. Podczas krótkich odpoczynków nie odzywał się ani słowem, a wieczorem nie chciał nic jeść. Aleksander zauważył to, bo gdy powiedział:

– Pasza, zjedz kawałek ryby – usłyszał w odpowiedzi:

– Nie jestem głodny.

Uspieński natychmiast zażartował, że nie ma sprawy, on zje wszystko. Aleksander bez chwili namysłu podał mu rybę, ale nie spuszczał wzroku z Paszy. Spojrzał na jego udo. Rana była mocno czerwona i sączył się z niej

żółtawy płyn. Aleksander polał ją rozcieńczoną jodyną, posypał sulfamidami i zabandażował. Pasza powiedział, że jest mu bardzo zimno. Aleksander dotknął jego czoła. Było ciepłe.

Zrobili z prześcieradeł prowizoryczny namiot. Wsunęli się do środka i próbowali wzajemnie się ogrzewać. W środku nocy Aleksander obudził się i poczuł, że jest mokry od potu. Pomyślał, że w namiocie coś się pali i zerwał się na równe nogi. Ale to nie był ogień, lecz rozpalony Pasza.

– Co się z tobą dzieje? – szepnął.

– Nie czuję się najlepiej – odparł ledwo słyszalnym szeptem Pasza.

Zapadła cisza. Aleksander zmoczył kawałek prześcieradła i zrobił Paszy okład. Trochę pomogło. Szmata jednak szybko wyschła, a nie mieli więcej wody. Pasza był nadal rozpalony. Aleksander wyszedł na lodowaty deszcz, by złapać trochę wody.

– Nie czuję się dobrze – szeptał Pasza. O świcie jego wargi były popękane i sączyła się z nich krew. Aleksander rozwinął bandaż na udzie. Rana wyglądała tak samo jak wieczorem z tą różnicą, że teraz była zielonkawa. Zdezynfekował ją, posypał proszkiem, a potem rozpuścił resztę w deszczówce i kazał Paszy wypić. Pasza wypił, zwymiotował, a Aleksander krzyczał i przeklinał.

– Przemokłem, Aleksandrze – szepnął Pasza. – I zmarzłem.

Deszcz powoli zamieniał się w śnieg. Aleksander owinął Paszę w swój płaszcz.

Kiedy przestało padać, Aleksander rozpalił ogień i wysuszył ubranie Paszy. Podał mu papierosa i łyk whisky. Drżąc na całym ciele, Pasza wypił alkohol.

– Co teraz zrobimy? – spytał Uspieński.

– Dlaczego musicie tyle gadać? – warknął Aleksander.

Postanowili ruszyć dalej.

Pasza próbował, ze wszystkich sił usiłował stawiać kroki, ale drżące nogi co chwilę odmawiały mu posłuszeństwa.

– Muszę trochę odpocząć – szepnął. – Nic mi nie będzie.

Usiadł na ziemi. Aleksander postawił go na nogi, próbował podtrzymywać, w końcu przerzucił sobie przez plecy.

– Kapitanie…

– Jeszcze jedno słowo, Uspieński, a zabiję was gołymi rękami…

– Zrozumiałem.

Szli przez cały ranek. Aleksander niósł Paszę na plecach, poił go deszczówką, ocierał mu czoło i niósł dalej przez całe szare popołudnie. Potem położył go na ziemi, wlał mu do gardła odrobinę whisky, wsunął do ust kawałek chleba i znów zarzucił sobie na plecy.

Gdzieś na drodze w południowo-wschodniej Saksonii Aleksander poczuł, że Pasza robi się coraz cięższy. Pomyślał, że tak mu się wydaje, bo jest już zmęczony. Dzień powoli się kończył. Rozbili obóz i usiedli przy ognisku. Aleksander poszedł łowić ryby w stawie pod lasem. Złapał okonia i ugotował go w deszczówce. Zmusił Paszę, by wypił trochę wywaru z ryby wymieszanego z sulfamidami, a potem razem z Uspieńskim zjadł rybę razem z głową.

Uspieński zasnął. Aleksander palił papierosa, przytrzymując zimny okład na rozpalonym czole Paszy. Kiedy poczuł, że Pasza jest zupełnie zimny, przykrył go dwoma płaszczami. Po chwili ściągnął z Uspieńskiego trzeci.

Żaden z nich nie odzywał się już ani słowem.

Następnego ranka, z oczami spuchniętymi od gorączki, Pasza potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć: Zostawcie mnie. Aleksander pokręcił głową, podniósł Paszę i zarzucił sobie na plecy. Lutowego dnia w środkowych Niemczech nie rozjaśniał ani jeden promień słońca. Nad głowami mieli ciężkie, stalowe niebo. Aleksander wiedział, że nie mogą się nigdzie zatrzymać i poprosić o pomoc – nie mówili przecież po niemiecku. Wiedział też, że policję w całej Saksonii powiadomiono o ucieczce trzech mężczyzn i teraz szukają ich, przebranych za Niemców, lecz niemówiących ani słowa po niemiecku.

Z chorym Paszą nie mogli uciec daleko. Musiał dojść do siebie. Znaleźli niewielką szopę i przykryci sianem przeczekali w niej zimny ranek. Ale

Aleksander nie mógł dłużej słuchać jego chrapliwego oddechu i patrzeć na rozpaloną twarz. Wstał.

– Musimy iść.

– Mogę zamienić z wami słówko? – spytał Uspieński.

– Nie.

– Przed szopą.

– Powiedziałem, nie.

Uspieński spojrzał na Paszę, który leżał z zamkniętymi oczami. Wyglądał, jakby stracił przytomność.

– Kapitanie, z nim jest coraz gorzej.

– Świetnie, doktorze Uspieński, dziękuję. To wszystko.

– Co teraz zrobimy?

– Będziemy szli dalej. Musimy tylko znaleźć konwój Czerwonego Krzyża.

– W Colditz i Katowicach nie było żadnych pracowników Czerwonego Krzyża. Dlaczego sądzicie, że znajdą się właśnie tutaj?

– Może Czerwony Krzyż, może Amerykanie.

– Czy dotarli tak daleko?

– Uspieński, podobnie jak wy, przez cztery miesiące siedziałem w niewoli. Skąd mam, kurwa, wiedzieć, jak daleko dotarli Amerykanie? Wydaje mi się, że tak, są gdzieś niedaleko. Nie słyszeliście samolotów lecących na Drezno?

– Kapitanie...

– Ani słowa więcej, poruczniku. Idziemy.

– Dokąd? On potrzebuje pomocy.

– Dlatego musimy ją znaleźć. Sama nie przyjdzie do tej szopy.

Podniósł bezwładnego Paszę i zarzucił sobie na plecy. Prawie nie widział drogi przed sobą. Cały wysiłek koncentrował na stawianiu kroku za krokiem. Co godzinę zatrzymywał się, dawał Paszy pić, robił mu zimny okład, okrywał go mocniej płaszczami, po czym ruszał dalej.

– Kapitanie! – zawołał nagle Uspieński. – Kapitanie.

– Co? – Nie rozglądał się na boki, nawet gdyby mógł. Szedł dalej przed siebie. Uspieński zastąpił mu drogę.

– Co jest, poruczniku?

Uspieński położył mu dłoń na ramieniu.

– Kapitanie, bardzo mi przykro. On nie żyje.

Aleksander odsunął go na bok.

– Zejdźcie mi z drogi.

– On nie żyje, kapitanie. To już koniec.

– Uspieński! – Aleksander odetchnął głęboko i zniżył głos. – Żyje. Jest tylko nieprzytomny. Za parę godzin zapadnie zmrok. Nie marnujmy czasu, stojąc na środku drogi.

– On nie żyje – powtórzył szeptem Uspieński. – Sprawdźcie sami.

– Nie. On nie może umrzeć. To niemożliwe. Zostawcie mnie w spokoju. Chodźcie ze mną albo idźcie dalej sami, ale zostawcie mnie w spokoju.

Ruszył przed siebie z bezwładnym Paszą na plecach. Szedł przez pół godziny, godzinę, po czym zwolnił, zatrzymał się przy samotnym drzewie i ostrożnie położył Paszę na ziemi. Nie był już rozpalony i nie walczył o każdy oddech. Był kredowoblady, zimny i miał otwarte oczy.

– Pasza, nie – szepnął. – Nie – położył mu dłoń na czole i przesuwając ją w dół, zamknął oczy. Przez kilka chwil stał nad nim, po czym osunął się na ziemię. Owinął Paszę w płaszcz i mocno przytulił. Osłaniając go przed zimnem, siedział na ziemi z zamkniętymi oczami.

Resztę nocy przesiedział na pustej drodze oparty o drzewo. Nie ruszał się, nie otwierał oczu, nie odzywał ani słowem. Przez cały czas trzymał w ramionach brata Tatiany.

Jeśli Uspieński coś do niego mówił, nie słyszał. Jeśli zasnął, nawet tego nie poczuł. Nie czuł też zimna, twardej ziemi ani chropowatej kory drzewa, o które się opierał.

Kiedy nadszedł ranek i nad Saksonią wstał szary świt, Aleksander otworzył oczy. Uspieński owinięty płaszczem spał na boku obok niego. Ciało Paszy zesztywniało.

Tatiana, wygłodzona, chora, bliska śmierci uszyła dla siostry worek i zaciągnęła jej ciało na sankach, by pochować Daszę pod lodem. Klęcząc nad przeręblą, wypowiedziała też słowa modlitwy: Niech moja siostra Dasza spoczywa w pokoju i daj jej Panie tyle chleba powszedniego w niebie, ile tylko zdoła zjeść.

Skoro Tatiana miała dość sił, by to zrobić, ja też mogę.

Podniósł się z ziemi, przetarł twarz whisky, przepłukał usta, a potem tytanową łopatką usiłował rozkopać zamarzniętą ziemię. Uspieński obudził się i zaczął mu pomagać. Przez trzy godziny udało im się wykopać dziurę głęboką na metr. Nie była dość głęboka, ale musiała wystarczyć. Aleksander przykrył twarz Paszy płaszczem, by nie spadała na nią ziemia. Z dwóch małych gałązek i kawałka sznurka zrobił krzyż i położył go na piersi Paszy. Potem razem z Uspieńskim podniósł ciało i złożył je w ziemi. Z zaciśniętymi mocno zębami, powoli zasypał grób. Na grubej gałęzi wyrył napis PASZA MIETANOW oraz datę 25.02.1945. Przyczepił ją do innej gałęzi i wbił ten prowizoryczny krzyż w ziemię.

Razem z Uspieńskim stanęli nad świeżą mogiłą. Aleksander zasalutował.

– Pan jest moim pasterzem – szepnął do siebie. – Nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie[8]... – urwał. Osunął się na ziemię pod drzewem i zapalił papierosa.

Uspieński spytał, czy ruszą zaraz w drogę.

– Nie – odparł Aleksander. – Chcę tutaj chwilę posiedzieć.

Minęło kilka godzin.

Uspieński ponowił pytanie.

– Poruczniku – zaczął Aleksander głosem tak przybitym, że sam z trudem go rozpoznał – nie zostawię go tutaj.

– Kapitanie! – wykrzyknął Uspieński. – A co z tymi wichrami przeznaczenia, które wiały wam w plecy?

– Musiałeś mnie źle zrozumieć, Mikołaju – odparł Aleksander, nie podnosząc wzroku. – Powiedziałem, że wieją obok mnie.

Następnego ranka na tym samym miejscu znalazła ich niemiecka policja. Opancerzoną ciężarówką przewieziono ich z powrotem do Colditz.

Aleksander został brutalnie pobity przez niemieckich strażników. Wtrącono go potem do karceru, gdzie siedział tak długo, że stracił poczucie czasu.

Wraz z Paszą umarła także nadzieja. Nic nie miało już sensu w świecie, w którym odnalazł Paszę Mietanowa tylko po to, by go stracić.

Uwolnij mnie, proszę cię, Tatiano, uwolnij mnie, wybacz mi, zapomnij o mnie, pozwól zapomnieć o sobie. Czy mogę choć przez minutę nie myśleć o tobie, nie oglądać w myślach twojej twarzy, nie czuć twego żaru i miłości?

Podróż, którą w myślach regularnie odbywał przez ocean, dobiegła końca. Razem z nią na zawsze odeszło ciepło. Poczuł, jak ogarnia go fala lodowatego zimna, mrozi mu serce, rozpacz zaciska szpony na jego tętnicach i nerwach, aż na dobre opuściła go nadzieja i myśl o Tatianie. Nareszcie.

Ale nie do końca.

---

8 Biblia Tysiąclecia, Księga Psalmów, p 23, s. 587.

Rozdział trzydziesty

Nowy Jork, kwiecień 1945

W kwietniu Amerykanie i Rosjanie weszli do Niemiec, a w pierwszym tygodniu maja Niemcy podpisali akt bezwarunkowej kapitulacji. Wojna w Europie dobiegła końca. Na Pacyfiku Amerykanie nadal toczyli walkę, ponosząc ciężkie straty, choć atakowali Japończyków z każdego przylądka i wyspy.

Powoli nadszedł i minął dzień dwudziesty trzeci czerwca. Tatiana skończyła dwadzieścia jeden lat. Jak długo można kogoś opłakiwać, zanim czas nareszcie stępi ból? Jak długo musi się poruszać wskazówka zegara, jak długo muszą płynąć dni, noce i miesiące, zanim głaz smutku, który uciska serce, wreszcie zacznie się kruszyć i stanie się niewielkim kamykiem? Za każdym razem, gdy słyszy, jak ktoś wypowiada jego imię, gdy patrzy na jego syna, zaczyna brakować jej tchu. Kiedy nadchodzi Boże Narodzenie, jej urodziny, jego urodziny, trzynastego marca, czuje, że nie może oddychać. Lata powoli mijają, ale gardło nadal ściska rozpacz. Wszystko, co stanowi część życia: szczęście, sympatia dla innych, radość, uśmiech dla dziecka, jedzenie na talerzu, stojąca na stole szklanka z sokiem, każda modlitwa, każde klaśnięcie w dłonie, wszystko naznaczone jest rozpaczą.

Latem tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku Vikki zgodziła się pojechać z Tatianą i Anthonym pociągiem do Arizony. Tatiana chciała zrobić sobie krótkie wakacje, by uczcić otrzymanie obywatelstwa amerykańskiego.

Po drodze powiedziała, że muszą się na chwilę zatrzymać w Waszyngtonie.

Tym razem nie weszła do budynku Departamentu Stanu, lecz siedziała cierpliwie na ławce na C Street. Vikki paliła papierosa, a Anthony bawił się na trawie.

– To ma być ta chwila? – spytała w końcu Vikki. – Mamy tylko dwa tygodnie urlopu.

Tatiana obserwowała wychodzących na lunch pracowników departamentu.

Patrzyła na Sama, który przeszedł powoli obok ich ławki, ale nawet na niego nie skinęła. Sam przeszedł jeszcze parę metrów, zwolnił i zatrzymał się. Odwrócił się i patrzył na nią przez kilka sekund, po czym zawrócił.

– Dzień dobry – powiedziała Tatiana, podnosząc wzrok. – Nie chciałam zawracać ci głowy.

Uśmiechnął się i usiadł obok niej.

– Wcale nie zawracasz. Miło cię znów zobaczyć. Ale nie mam dla ciebie żadnych wiadomości.

– Żadnych?

– Nie. W Europie panuje straszliwy bałagan – zawiesił głos. – Mówiłem ci, pamiętam, że kiedy sytuacja trochę się uspokoi, będę mógł zasięgnąć jakichś informacji… ale myliłem się. Nic się nie uspokoiło. Jest jeszcze gorzej. Amerykanie, Francuzi, Brytyjczycy, Rosjanie, wszyscy są w Niemczech, a co gorsza, w Berlinie. Jedno dyplomatyczne *faux pas* i za tydzień rozpęta się trzecia wojna światowa.

– Wiem – wstała. – Dziękuję.

– Jesteś już obywatelką amerykańską?

– Tak. Właśnie dostałam dokumenty.

– Może byś coś zjadła? Mam przerwę na lunch, możemy kupić kanapki.

– Z przyjemnością, ale może innym razem. Przyjechałam tu z przyjaciółką i synkiem. Ale coś ci przewiozłam. Zrobiłam je dziś rano. – Podała mu torebkę z pierożkami z mięsem. – Mówiłeś, że je lubisz…

– Bardzo. Wielkie dzięki. – Wziął od niej torebkę. – No to mam już lunch.

Tatiana spojrzała na Vikki, która bawiła się z Anthonym, a teraz podeszła do nich.

– Sam, to moja przyjaciółka, Vikki Sabatella.

Uścisnęli sobie dłonie.

Kiedy Sam zniknął im z oczu, Vikki mocno uszczypnęła Tatianę.

– Taniu, ty przebiegła lisico! Ty ladacznico! Przez cały czas knułaś to za moimi plecami!

– Nic nie knułam – odparła spokojnie Tatiana.

– Czyżby? On jest żonaty?

– Był. – Urwała, zastanawiając się, czy opowiedzieć Vikki o Samie. – Jego żona zginęła trzy lata temu w katastrofie samolotowej. Wiozła pomoc medyczną dla naszych żołnierzy na Okinawie. Teraz on wychowuje samotnie dwóch synów.

– Tatiano!

– Vikki, nie mam czasu, żeby ci to wszystko tłumaczyć.

– Masz całe dwa tygodnie. A na świecie jest trzynaście milionów naszych żołnierzy, którzy po zakończeniu wojny będą wracać do domu przez port w Nowym Jorku.

– Ach tak? W Stanach Zjednoczonych nie ma innego portu?

– Nie. A teraz powiedz mi, dlaczego musiałaś jechać aż do Waszyngtonu, by szukać mężczyzny, kiedy w naszym pięknym Nowym Jorku już niebawem pojawi się trzynaście milionów facetów?

– Nie zamierzam z tobą o tym rozmawiać.

Po pięciu dniach spędzonych w Wielkim Kanionie Tatiana wynajęła samochód i ruszyła na południe przez Arizonę, kierując się w stronę Tucson. Vikki, typowa mieszkanka miasta, nie umiała prowadzić.

Przejechały przez Phoenix.

– Zakurzona dziura – podsumowała Vikki.

Pewnego upalnego wieczoru siedziały na kocu rozłożonym na masce wynajętego samochodu i oglądały zachód słońca. Pustynia Sonora, pokryta białymi *saguaros*, rozciągała się przez setki kilometrów południowo-wschodniej Arizony. Na tej największej pustyni w Ameryce Północnej, obejmującej większość terytorium Arizony, rośnie 298 gatunków kaktusów. W pobliżu wznosi się pasmo gór Maricopa. Błękitne niebo odcina się ostro od czerwonawej ziemi. Czasem słychać zająca ścigającego pozostającą wcześniej w absolutnym bezruchu jaszczurkę; poza tym na pustyni panuje absolutna cisza.

Dziewczęta siedziały na masce, opierając się o przednią szybę. Anthony bawił się na ziemi, jak każdy dwulatek zainteresowany wyłącznie tym, jak się najbardziej ubrudzić i złapać węża, niekoniecznie w tej kolejności.

– Anthony – powiedziała Vikki, ocierając pot z czoła. – Wstawaj natychmiast. Nie wiesz, że węże połykają swoje ofiary w całości?

– Już dobrze, Vikki – zaprotestowała Tatiana. – Wystarczy.

– W całości, Anthony – powtórzyła Vikki.

– Ja już duży. I chcę małego węża. – Jak na dwulatka Anthony miał zdumiewająco bogaty zasób słów.

– Nie jesteś wcale duży. Jesteś jeszcze małym chłopcem.

– Vikki.

– Co?

Tatiana nie odpowiedziała, spojrzała tylko groźnie na przyjaciółkę.

– Dlaczego to robisz? Wypowiadasz tylko moje imię, a ja mam od razu wiedzieć, o co ci chodzi. Co jest?

– Wiesz doskonale.

– Nie, nie przestanę. Nie boisz się o niego?

– Nie – odparła Tatiana. – Anthony, znajdziesz wąż, powiesz mnie. Zabierzemy go do Nowy Jork i ugotujemy.

– To będzie bardzo miła odmiana po bekonie. Na twoje następne urodziny. – Vikki pociągnęła spory łyk wody. – W prezencie kupię ci książkę, jak być dobrą matką, książkę kucharską i podręcznik gramatyki. Bo chyba zaczynasz się cofać.

– Cofać?

– Nie ma sprawy. Ale tak poważnie, Taniu, jadasz orzeszki firmy Planter?

– Co?

– Orzeszki firmy Planter.

– Nie, nie lubię orzeszków.

– Jaki napis znajduje się na reklamie na Times Square? Mijałyśmy ją parę dni temu.

– Nie wiem. Chyba: „Orzeszki Planter: torebka dziennie doda ci energii".

– No właśnie. Bardzo dobrze. Gdybyś ty układała ten slogan, brzmiałby następująco: „Orzeszki Planter: torebka w dzień: doda tobie energia". Widzisz różnicę?

– Nie – odparła z powagą Tatiana.

– O Boże.

Tatiana odwróciła się, by ukryć uśmiech. Wyjęła z torby butelkę coca-coli i podała ją Vikki.

– Napij się coca-coli. Napój, który orzeźwia.

– Bardzo dobrze! – Vikki się uśmiechnęła.

Anthony nie znalazł węża, ale poszukiwania mocno go wyczerpały. Wspiął się na kolana Tatiany z rączkami oblepionymi brudem i mocno się do niej przytulił.

Podała mu butelkę z wodą.

– Piękny, prawda? – powiedziała Tatiana, nie patrząc na Vikki.

– Twój synek? Tak. Ale pustynia jak pustynia, nic ciekawego. Choć mimo wszystko to miła odmiana. Tyle że nie chciałabym tu mieszkać. Nic tu nie rośnie, tylko kaktusy.

– Wiosną kwitnie mnóstwo dzikich kwiatów. Musi być wtedy naprawdę pięknie.

– Wiosną w Nowym Jorku też jest pięknie.

Tatiana milczała jakiś czas.

– Pustynia jest naprawdę niesamowita – odezwała się w końcu.

– Jest w porządku. Widziałaś kiedyś step?

– Tak. Ale to zupełnie coś innego. Na stepie jest zimno i szaro. Zgoda, teraz jest tu ponad trzydzieści stopni, ale w grudniu, w okolicy świąt, będzie dwadzieścia. Słońce wysoko na niebie. Nie będzie wcale ciemno i ponuro. W grudniu będę mogła chodzić tylko w bluzce z długimi rękawami.

– Co noszą zimą w Arizonie? – pyta Dasza Aleksandra.

– Koszule z długimi rękawami.

– No, teraz już wiem, że to bajki. Opowiedz je Tatianie. Ja jestem za stara.

– Taniu, ty mi wierzysz, prawda?

– Tak.

– Chciałabyś mieszkać w Arizonie, krainie wiecznej wiosny?

– Tak, Aleksandrze.

– Ale teraz można się tu upiec – powiedziała Vikki. – Ruszajmy, zanim zamienimy się w jajecznicę.

Tatiana wzdrygnęła się lekko, by odpędzić wspomnienia.

– Tak tylko sobie mówię. Pustynia w niczym nie przypomina stepu. Podoba mi się tutaj.

– Ależ to zupełne pustkowie.

– Wiem. To fantastyczne. Ani żywego ducha.

– I to uważasz za fantastyczne?

– W pewnym sensie… tak.

– Trudno sobie wyobrazić, by ktoś chciał kupić tu ziemię i zamieszkać na stałe.

Tatiana odchrząknęła.

– A gdyby zrobiła to twoja przyjaciółka?

– Która?

– Ja.

– Chcesz tu zamieszkać? – Vikki urwała i odwróciła głowę. – A może chcesz tu kupić ziemię? – spytała z niedowierzaniem.

– Spróbuj sobie wyobrazić, że kupiłam kawałek porośniętej kaktusami ziemi na skraju pustyni Sonora.

– Nie, to przekracza moje możliwości.

Tatiana milczała.

– Kupiłaś?

Skinęła głową.

– Ten kawałek?

– Tak.

– Kiedy?

– W zeszłym roku. Kiedy przyjechałam tu z Anthonym.

– Wiedziałam, że powinnam była z tobą jechać! Dlaczego? I za co?

– Spodobało mi się tutaj. – Spojrzała na pustynię rozciągającą się aż do stóp gór. – Nigdy nie miałam nic własnego. Kupiłam ją za pieniądze, które przywiozłam ze sobą ze Związku Radzieckiego. Za pieniądze Aleksandra.

– Boże święty, ale dlaczego akurat ten kawałek? – Vikki spojrzała na nią zdumiona. – Założę się, że kupiłaś go bardzo tanio.

– Bardzo.

Ziemia kosztowała tylko cztery istnienia. Harolda. Jane. Aleksandra. I Tatiany.

Przytuliła mocniej Anthony'ego.

– Hmmm. Szykujesz więcej takich niespodzianek? – spytała Vikki, przypatrując się jej uważnie. – Czy to już koniec?

– Koniec. – Tatiana się uśmiechnęła. W milczeniu podziwiała rozciągającą się przed nimi pustynię, góry Maricopa, zachód słońca, potężne kaktusy i dziewięćdziesiąt siedem akrów Stanów Zjednoczonych, które nabyła za cztery tysiące osiemset pięćdziesiąt dolarów.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Oswobodzenie Colditz, kwiecień 1945

Amerykanie wyzwolili Colditz w kwietniu po trzech dniach walk. Przynajmniej takie chodziły pogłoski, bo choć Alekander słyszał wystrzały, to na dziedzińcu zobaczył tylko garstkę Amerykanów. Udało mu się do nich podejść i poprosić o papierosa. Kiedy pochylał się nad podsuniętym przez jednego z szeregowców ogniem, powiedział po angielsku, że jest Amerykaninem. Nazywa się Aleksander Barrington i jeśli uda się to potwierdzić, może ktoś będzie mógł mu pomóc. Amerykański żołnierz roześmiał się tylko i odparł:

– Tak, a ja jestem królem angielskim.

Kiedy Aleksander otworzył usta, by odpowiedzieć, zjawił się Uspieński i też poprosił o papierosa.

Aleksander pomyślał, że będzie miał jeszcze jedną okazję, by z nimi porozmawiać, ale okazało się, że był w błędzie. Następnego ranka w Colditz zjawili się radzieccy oficjele: generał, dwóch pułkowników, zastępca ministra spraw zagranicznych i setka żołnierzy, by zabrać ze sobą siedmiu radzieckich oficerów. Mieli dołączyć do „swoich braci i razem z nimi rozpocząć zwycięski marsz na pokonane Niemcy".

Wsadzono ich do pociągu. Cały pociąg tylko dla siedmiu żołnierzy? – zastanawiał się Aleksander, ale okazało się, że w pociągu jest pełno Rosjan. Nie wszyscy byli żołnierzami. Część z nich pracowała w Niemczech, część mieszkała w Polsce. W pociągu były ich tysiące. Jeden z nich, robotnik budowlany, mieszkał z żoną i trójką dzieci w Bawarii, gdy przyszli po niego. Historie innych były podobne.

– Ja też miałem rodzinę. Matkę, dwie siostry i trzy bratanice. Mieszkaliśmy razem po śmierci brata.

– Gdzie oni teraz są? – pytał Aleksander.

– Zostawiliśmy ich – odparł mężczyzna.

– Dlaczego nie zabraliście rodziny ze sobą? – spytał Uspieński skuty razem z Aleksandrem.

Mężczyzna nie odpowiedział.

Pociąg jechał powoli przez środkowe Niemcy. Większość znaków zniszczono, trudno więc było określić, gdzie są. Przebyli setki kilometrów. Aleksander zauważył mały znak z napisem: Göttinger 9. Gdzie znajduje się Göttinger?

Pociąg zatrzymał się i kazano wszystkim wysiąść. Po dwóch godzinach marszu stanęli przed miejscem, które wyglądało jak opuszczony obóz jeniecki. Oddziały NKGB – Aleksander wiedział już, że nie są to żołnierze Armii Czerwonej, bo ci, jak więźniowie, byli wszyscy skuci ze sobą – przejęły teren, by uczynić z niego obóz przejściowy.

– Przejściowy, ale dokąd? – dopytywał się Uspieński. Nikt nie udzielił mu odpowiedzi.

Niebawem zmieniono nazwę obozu na „identyfikacyjny".

Spędzili tam dwa ostatnie tygodnie kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, otoczeni drutem kolczastym. Obserwowali, jak żołnierze w pośpiechu wznoszą podstawy dla reflektorów i wieże strażnicze. Potem dowiedzieli się, że wojna dobiegła końca, a Hitler nie żyje. Dzień po kapitulacji Niemiec zaminowano pola rozciągające się za drutem kolczastym. Aleksander i Uspieński zyskali pewność, gdy kilku Rosjan, w tym znany im robotnik budowlany, postanowiło uciec z obozu. Zginęli rozerwani na strzępy.

– Czy oni wiedzą coś, czego my nie wiemy? – spytał podejrzliwym tonem Uspieński, kiedy wraz z innymi więźniami patrzyli, jak ciała uciekinierów wrzucano do masowego grobu.

– Tu chodzi o coś więcej – odparł Aleksander. – Dlaczego decydują się uciekać przez zaminowane pole, zamiast pozostać w stosunkowo

bezpiecznym obozie?

– Nie chcą wracać do domu – powiedział jeden z mężczyzn.

– Zgoda, ale dlaczego? – dopytywał się Uspieński.

Aleksander zapalił papierosa i nie odezwał się ani słowem.

Zastanawiał się, dlaczego w obozie panuje wojskowa dyscyplina, mimo że przebywa tam tylu cywilów. Budzono ich na apel, podsłuchiwano rozmowy, obowiązywała godzina policyjna, baraki nieustannie przeszukiwano i przydzielano przymusowe prace. Wszystko to było bardzo dziwne i niepokojące.

Kilka dni później do przetrzymywanych w obozie mężczyzn przemówił Iwan Skotonow, wiceminister spraw zagranicznych, przysłany prosto z Moskwy. Nie wolno im było stać w rozproszeniu; ustawiono ich w rzędach. W wietrzny majowy dzień słowa ubranego w garnitur Skotonowa dobiegały do nich z trudem.

– Towarzysze! – wykrzykiwał. – Dumni synowie Rosji! Pomogliście pokonać największego w historii naszego kraju wroga. Wasz kraj jest z was dumny! Wasza ojczyzna was kocha! I potrzebuje was przy odbudowie. Musicie pomóc odbudować potęgę kraju, który ocalił dla nas nasz wielki przywódca i nauczyciel, towarzysz Stalin. Ojczyzna was wzywa. Wrócicie tam z nami i zostaniecie powitani jak bohaterowie.

Aleksander pomyślał o robotniku budowlanym z Bawarii, który zostawił tu żonę i dzieci i postanowił przedrzeć się przez pole minowe, by do nich wrócić.

– A jeśli my nie chcemy wracać? – rozległ się nagle głos w tłumie.

– Tak, żyliśmy spokojnie w Innsbrucku, dlaczego musieliśmy stamtąd wyjeżdżać?

– Bo jesteście obywatelami radzieckimi! – odkrzyknął przyjaźnie Skotonow. – Wasze miejsce jest w ojczyźnie, nie w Innsbrucku.

– Ja pochodzę z Polski! – krzyknął inny mężczyzna. – Ze Lwowa. Dlaczego muszę wracać?

– Ta część Polski od wieków budziła spory, a teraz stała się częścią naszej ojczyzny!

Wieczorem po przemówieniu Skotonowa dwudziestu czterech mężczyzn próbowało uciec z obozu. Jednemu udało się nawet przedrzeć przez pole minowe, ale zaraz powaliła go kula strażnika.

– Został ranny, ale żyje – zapewniał Skotonow następnego ranka niespokojny tłum.

Ale nikt go już więcej nie widział.

W obozie były trzy grupy mężczyzn: uciekinierzy z krajów okupowanych przez Niemców takich jak Polska, Rumunia, Czechosłowacja i Ukraina, robotnicy wywiezieni przez Niemców do przymusowej pracy i żołnierze Armii Czerwonej, tacy jak Aleksander i Uspieński.

Wszystkie trzy grupy rozdzielono pod koniec maja, umieszczono ich w osobnych barakach i osobno karmiono. Potem z obozu powoli zaczęli znikać uchodźcy, a po nich przymusowi robotnicy.

– Zawsze nocą, zauważyliście? – spytał Aleksander. – Budzimy się, a ich już nie ma. Żałuję, że o trzeciej nad ranem śpię bardzo głęboko. Moglibyśmy z pewnością zauważyć wiele ciekawych rzeczy.

Podczas codziennego spaceru na dziedzińcu podszedł do niego jeden z robotników przymusowych i poprosił o papierosa.

– Słyszeliście? – spytał. – Zeszłej nocy zniknęło pięciu ludzi, z którymi byłem przez ostatnie cztery lata. Może coś słyszeliście? Wyprowadzono ich z baraku i skazano, tutaj na dziedzińcu.

– Skazano za co? – spytał Uspieński.

– Za zdradę ojczyzny. Za pracę na rzecz wroga.

– Może powinni byli wyjaśnić, że zostali do niej zmuszeni.

– Próbowali. Ale zaraz usłyszeli, że skoro nie chcieli pracować dla Niemców, to dlaczego nie uciekli?

– Może my spróbujemy – powiedział Uspieński. – Co, kapitanie?

Polak, który stał za nimi, roześmiał się.

– Stąd nie ma ucieczki – powiedział. – Bo niby dokąd? – Aleksander i Uspieński odwrócili się. Wokół nich zgromadziła się już spora grupka

mężczyzn. Polak uścisnął im dłonie. – Lech Markiewicz. Miło mi was poznać. Stąd nie ma ucieczki. Wiecie, kto oddał mnie w ręce Rosjan w Cherbourgu, we Francji?

Czekali.

– Anglicy.

– A kto wydał mojego przyjaciela, Wasię, w ręce Rosjan w Brukseli? Francuzi.

Wasia skinął głową.

– A kto wydał Stiepana w Ravensburgu w Bawarii, dziesięć kilometrów od granicy ze Szwajcarią? Amerykanie. Tak, to prawda. Alianci z radością oddają nas Rosjanom. Całe miliony. W obozie przejściowym w Lubece, na północ od Hamburga, w którym byłem wcześniej, znaleźli się uciekinierzy z Danii i Norwegii. Nie byli to wcale żołnierze jak wy ani robotnicy przymusowi jak ja, lecz uchodźcy, którzy w czasie wojny potracili domy i chcieli zacząć nowe życie w Kopenhadze. Wszyscy trafili w ręce Rosjan. Nie wspominajcie więc o ucieczce. Jest już za późno. Nie ma dokąd pójść. Niedawno cała Europa należała do Hitlera. Teraz połowa należy do Związku Radzieckiego.

Roześmiał się i odszedł, biorąc pod ramię Stiepana i Wasię.

Tej nocy Lech Markiewicz, z zawodu elektryk, poradził sobie z prądem płynącym w ogrodzeniu z drutu kolczastego i uciekł. Następnego ranka nie było go w obozie. Nikt nie wiedział, co się z nim stało.

Co noc do obozu przybywały konwoje po kolejne grupy więźniów. Mężczyźni znikali całymi setkami. Za dnia obóz traktowano jako stację przejściową, z której mieli wyruszyć do miejsca przeznaczenia. Pozostałych w obozie mężczyzn źle karmiono, raz w tygodniu pozwalano im na kąpiel, regularnie ich golono i odwszano. Z każdym dniem w obozie zjawiali się nowi Rosjanie, a starzy znikali.

Pod koniec lipca Aleksandra, Uspieńskiego i ich towarzyszy z baraku obudzono w środku nocy. Kazano im się spakować i wyprowadzono na tyły obozu. Czekały na nich trzy ciężarówki. Wszystkich ustawiono w pary

i skuto. Aleksander znów miał za towarzysza Uspieńskiego. Kiedy ruszyli, domyślił się, że ich przeznaczeniem jest stacja kolejowa. Nie mylił się.

Rozdział trzydziesty drugi

Nowy Jork, sierpień 1945

Pewnej słonecznej niedzieli Tatiana, Anthony i Vikki spacerowali późnym rankiem po Lower East Side. Jak wszyscy wokół nich, rozmawiały o kapitulacji Japonii, do której doszło przed tygodniem, po zrzuceniu bomby atomowej na Nagasaki. Vikki była zdania, że zrzucenie drugiej bomby było niepotrzebne. Tatiana zauważyła, że Japończycy nie poddali się po Hiroszimie.

– Nie daliśmy im dość czasu. Tylko trzy dni. Dlaczego twoim zdaniem zabijali nas przez ostatnie trzy miesiące, choć wiedzieli doskonale, że nigdy nie wygrają tej wojny?

– Nie wiem. A dlaczego robili to Niemcy? Już w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku wiedzieli, że przegrają.

– Hitler był szaleńcem.

– A Hirohito nie? – Nagle Tatianę zatrzymał, nie, obległ, tłum ludzi. Tak naprawdę była to sześcioosobowa rodzina: mąż, żona i czwórka nastoletnich dzieci. Najpierw chwycili Tatianę za ręce, potem za ramiona, a na koniec znikła zupełnie w ich uścisku.

– Taniu? Taniu? Jesteś tam? – wołała Vikki.

Gładząc Tatianę po włosach, kobieta szeptała coś po ukraińsku. Mężczyzna otarł oczy wierzchem dłoni i podał Anthony'emu loda i lizaka. Malec przyjął je z zachwyconym uśmiechem dwulatka, po czym natychmiast upuścił na ziemię.

– Kim są ci ludzie? – spytała Vikki.

– Mama zna dużo ludzi – wyjaśnił Anthony, ciągnąc Tatianę za spódnicę.

– To prawda. Nie zna tylko żadnych mężczyzn – mruknęła Vikki.

– Loda, mamo. Ja chcę loda.

Członkowie rodziny mówili do Tatiany po ukraińsku, a ona odpowiadała im po rosyjsku. Wreszcie wszyscy pocałowali ją w rękę i ruszyli dalej.

– Tatiano!

– Co?

– Tylko znów nie zaczynaj! Wyjaśnisz nam, co tu przed chwilą zaszło?

– Anthony nie potrzebuje żadnych wyjaśnień, prawda, kochanie?

– Nie, mamo. Ja chcę loda.

Tatiana kupiła synkowi następnego loda i lizaka, spojrzała na Vikki i wzruszyła ramionami.

– No co tak patrzysz? Słowianie do wszystkiego podchodzą bardzo emocjonalnie.

– Ale oni klęczeli przed tobą! A sądząc po ich gestach, byli gotowi złożyć ci w ofierze swojego pierworodnego syna.

Tatiana wybuchnęła śmiechem.

– To naprawdę nic takiego. Kilka miesięcy temu przypłynęli do Nowego Jorku. Kiedy Niemcy weszli na Ukrainę, mężczyzna wysłał żonę i dzieci do Turcji. Sam przez dwa lata siedział w obozie jenieckim. Potem udało mu się uciec, przedostał się do Turcji i przez rok szukał ich w Ankarze. Znalazł ich wreszcie w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku. Miesiąc temu przypłynęli do Nowego Jorku, bez papierów, ale za to w doskonałym zdrowiu. Mamy jednak za dużo uchodźców. Mężczyzna mógł zostać nawet bez papierów, bo sporo umie. Potrafi murować, malować ściany. Ale jego żona nie umie ani szyć, ani robić na drutach, nie mówi też po angielsku. Mieszkała przez trzy lata w Turcji, gdzie żebrała na ulicach, by jakoś zarobić na życie. – Tatiana pokręciła głową. – Szkoda, że nie mówią choć trochę po angielsku. Byłoby znacznie łatwiej. Co mogłam zrobić? Mieli ich odesłać. – Pochyliła się, poprawiła czapeczkę Anthony'emu i wytarła mu

poplamioną lodami waniliowymi brodę. – Wiesz, jak zareagowali, gdy powiedziałam, że mąż może zostać, ale reszta musi wracać. Wracać dokąd? – zapytali. Na Ukrainę? Przecież uciekliśmy stamtąd! Wsadzą nas natychmiast do obozu i nigdy już nie wyjdziemy. Pięć kobiet, wiesz, co z nami zrobią w obozie? Cóż mogłam począć, Vikki? Znalazłam matce pracę sprzątaczki w sklepie. Córki opiekują się trójką dzieci właściciela sklepu. Zostali na Ellis, dopóki nie przekonałam człowieka z INS, żeby wydał im tymczasowe wizy. – Tatiana wzruszyła ramionami. – Na Ellis panuje teraz szaleństwo. Chcą wszystkich odsyłać. Dzisiaj na przykład chcieli odesłać mężczyznę na Litwę, choć nic mu nie było, miał tylko drobną infekcję prawego ucha! Wsadzili go do poczekalni i zamierzali po prostu odesłać. Bo miał zaczerwienione ucho! – Aż zarumieniła się z oburzenia. – Zastałam go w pokoju zalanego łzami. Powiedział, że żona czeka na niego w Stanach od dwóch lat. Oboje byli krawcami. Zbadałam więc jego ucho…

– Poczekaj chwilę, jakiego człowieka z INS? – spytała Vikki. – Nie chodzi ci chyba o tego sępa, tę żmiję Vittoria Vassmana?

– Tak, o niego. To bardzo miły człowiek.

Vikki się roześmiała.

– Nie pozwala własnej matce zostawiać samochodu w jego garażu, a ty dostałaś od niego tymczasowe wizy? A co takiego dla niego zrobiłaś?

– Pierożki dla chorej matki, a dla niego *blinczyki*. Powiedziałam mu też, że świetnie sobie radzi z taką trudną pracą.

– Przespałaś się z nim?

– Jesteś niemożliwa – westchnęła Tatiana.

– Edwardzie, słyszałeś, co Tatiana wyprawia na Ellis?

– Tak, wiem o wszystkim.

Jedli razem lunch w stołówce na Ellis. Teraz pracowało tam mnóstwo pielęgniarek i lekarzy, bo Ellis znów stała się portem dla uchodźców. Wśród pielęgniarek nie było już na szczęście Brendy, która zrezygnowała

z pracy w czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, kiedy jej mąż wrócił z Pacyfiku. Nikt nie wiedział nawet, że ma męża.

Vikki opowiedziała Edwardowi, co wydarzyło się na Lower East Side.

Edward skinął głową i spojrzał czule na Tatianę. W istocie spojrzał na nią w sposób, który zmusił ją, by odwróciła wzrok, a Vikki szeroko otworzyła oczy.

– Vik – powiedział. – Wszyscy na wyspie znają Tatianę. Dlaczego nie pozwalają jej wchodzić na pokład statków przywożących uchodźców? Bo ona przepuszcza wszystkich. Jej sława sięga już za Atlantyk. Och, żeby tak trafić do kolejki Tatiany, wzdychają, żeby to ona nas badała.

– Rozumiem uchodźców. Ale jak udaje się jej zmusić Vassmana, żeby wydawał im wizy?

– Hipnotyzuje go każdego ranka. A jeśli to nie działa, wsypuje mu coś do kawy.

– Chcesz przez to powiedzieć, że ona spotyka się z nim każdego ranka?

– Skończcie już z tym, dobrze? – powiedziała Tatiana. – Przestańcie.

Edward nie dawał jednak za wygraną.

– Parę dni temu, w sobotę po południu, szukały jej tu trzy kobiety. Przypłynęły specjalnie promem.

– Tak jak twoja żona szukała ciebie? – spytała z uśmiechem Tatiana.

– Nie, nie całkiem tak – odparł Edward. – Moja już niebawem była żona nigdy nie oddałaby za mnie życia, a ci ludzie na pewno by to dla ciebie zrobili.

– Nie wiem, o czym mówisz – zaprotestowała Tatiana. – Przynoszą mi tylko jabłka.

– Jabłka, koszulę, cztery książki. – Uśmiechnął się. – Ale nie było cię tutaj. Powiedziałem, że mogę im podać twój adres…

– Edwardzie! – wykrzyknęły zgodnie dziewczęta.

Roześmiał się.

– Nie chciałybyście mieć jabłek z dostawą do domu?

– Nie – odparła Tatiana.

W kiosku z gazetami mężczyzna, który sprzedał Tatianie i Vikki „Tribune", spojrzał uważnie na Tatianę.

– Pani jest siostrą Tatianą, prawda?

– Czy ktoś o to pytał? – spytała natychmiast mocno zaniepokojona.

Kioskarz się uśmiechnął.

– Nazywają panią Aniołem z Ellis. Proszę wziąć gazetę za darmo. Dzięki pani mam stu nowych klientów.

– Już zaczynam wszystko rozumieć – powiedziała Vikki, gdy ruszyły dalej ulicą. – Boże święty, ty wcale nie robisz tego dla nich.

– Czego?

– Robisz to dla siebie. Spytałaś tego mężczyznę: „Czy ktoś o to pytał?", jakbyś czekała na osobę, która pragnie poznać siostrę Tatianę.

– Znów się pomyliłaś. Jak można mylić się tyle razy jednego dnia?

– Na kogo czekasz?

– To przyzwyczajenie jeszcze ze starych czasów – wyjaśniła Tatiana. – Jeśli ktoś cię szuka, to zły znak.

– Chrzanisz. Na kogo czekasz?

– Na nikogo.

– Kiedy ty znajdujesz na to wszystko czas? Masz dziecko. Dwie prace. I mieszkamy razem. Kiedy masz czas na sekretne życie?

– Jakie tam sekretne życie? Nic takiego nie robię. Od czasu do czasu pytam administratora, czy przypadkiem nie szukają portiera. Czy to takie trudne?

– Nie wiem. Ja nie pytam. Po co ty miałabyś to robić?

– Bo to mnie nic nie kosztuje – odparła Tatiana. – A dzięki temu Diego z Rumunii znalazł pracę.

– Niezły z ciebie numer – powiedziała Vikki, otwierając drzwi. Objęła Tatianę ramieniem. – Czy to spadek, który chcesz pozostawić Ameryce?

– To nie jest spadek – odparła Tatiana, wchodząc do środka. – To podziękowanie.

Wieczorami Vikki często wychodziła z domu, na tańce i do kina, na kolacje, umawiała się z przyjaciółmi w barach. Kiedy wracała do domu późno w nocy, zwykle była wstawiona i chciała pogadać. Tatiana, która rzadko spała o tej porze, chętnie jej słuchała. Ale pewnego wieczoru leżała już w łóżku i spała, co jednak nie odstraszyło Vikki, która zrzuciła sukienkę i wsunęła się do łóżka obok niej. Przykryła twarz dłońmi i ciężko westchnęła.

– Co jest? – spytała Tatiana.

– Nie śpisz?

– Już nie.

Vikki zdjęła dłonie z twarzy. Wyglądała na mocno wstawioną.

– Och Taniu, Taniu. Nie mogłam złapać taksówki. Szłam pieszo w szpilkach aż z Astor Place. Nie czuję nóg.

Tatiana usłyszała, że przyjaciółka płacze. Alkohol budził w niej wszystkie typowe dla Włochów emocje. Tatiana wyciągnęła rękę i pogłaskała ją po włosach.

– Co się stało, Gelsomino?

– Czego ja szukam, Taniu? Czego? Dziś wieczór umówiłam się z takim idiotą. Nie, z dupkiem. Toddem. Tym z zeszłego tygodnia.

– Mówiłam ci, żebyś się trzymała od niego z daleka.

– Na początku był taki miły.

– Masz na myśli zeszły tydzień?

– Tak. Ale w tym tygodniu był już nie do wytrzymania. Zaczął mnie obmacywać przed Ricardo's. Złapał mnie tak mocno. Na szczęście przejeżdżał jakiś samochód. Chciał wrócić ze mną do domu i nie przyjmował do wiadomości, że to niemożliwe.

– A niby dlaczego miałby przyjąć? Na pierwszej randce zgodziłaś się od razu.

– Och, Tatiano. Chciałam poznać miłego mężczyznę, który mnie pokocha. Czy to coś złego?

Czy Dasza wychodziła co piątek i sobotę po pracy i związała się ze swoim szefem, żonatym dentystą, bo też chciała spotkać kogoś, kto ją pokocha? A potem

poznała w Sadko sympatycznego, wysokiego oficera Armii Czerwonej („Taniu, poczekaj, aż go poznasz. W życiu nie widziałaś tak przystojnego mężczyzny!”).

– Nie.

– Chciałabym, żeby Harry do mnie wrócił. Był taki słodki.

Był alkoholikiem, ale Tatiana nie powiedziała ani słowa.

– Chciałabym odzyskać Jude’a albo Marka, a nawet mojego byłego męża. Zanim skończyła się wojna, było o wiele lepiej. Teraz wszyscy wracają do domu, pragną się z nami spotykać, owszem, ale nie mają pojęcia, jak nas traktować. Chcą, żebyśmy się zachowywały jak ich kumple z wojska.

– A czy my wiemy, jak ich traktować?

– Chcę odzyskać moje kochające serce – wyszlochała Vikki. – Wiesz, czego się boję? Że skończę jak moja matka. Stracę korzenie. Nie chce być taka jak ona. Mówią, że wszystkie kończymy tak jak nasze matki. Uwierzysz? – Zanim Tatiana zdążyła odpowiedzieć, Vikki mówiła dalej. – Moja matka porzuciła mnie, opuściła Nowy Jork, wyjechała za granicę, podróżowała, chyba kogoś kochała, ale skończyła w Montecito. Nawet nie wiem, gdzie to jest, a matka trafiła tam do wariatkowa.

– Bardzo mi przykro. Żal mi jej.

– Wiesz, o czym czasami myślę? – szepnęła Vikki, pociągając nosem. – Że chciałabym odzyskać matkę. Czy to nie śmieszne?

– Nie – odparła Tatiana. – Ja też chciałabym odzyskać moją.

– Miałaś dobrą matkę?

– Nie wiem. Była moją matką, to wszystko.

– A siostra?

– Miałam bardzo dobrą siostrę – szepnęła Tatiana. – Kiedy byłam mała, nosiła mnie na barana i przez całe życie ochraniała przed złymi chłopakami. Chciałabym, żeby wszyscy wrócili. Moja siostra, brat. – Zamknęła oczy. *Pasza i Tania huśtają się na linie nad rzeką Ługą, raz, dwa, trzy. Z pluskiem wpadają do wody. Pasza i Tania pędzą razem nad brzeg i wskakują do rzeki, nurkują i ochlapują się wodą.*

– Nie pragniesz miłości? Bo ja tak. Chciałabym mieć ładny mały domek na przedmieściach, samochód, dwoje dzieci. To, co mają moi dziadkowie.

Przez czterdzieści trzy lata mieli siebie.

– Vikki, ty wcale tego nie pragniesz. Nie chcesz mieć dzieci. To nie dla ciebie. Ty masz serce włóczęgi.

Vikki spojrzała na Tatianę, mrużąc oczy. Tusz rozmazał się jej zupełnie, tworząc czarne kręgi na policzkach.

– Ale to mogłabym mieć.

Nie zdejmując ręki z włosów Vikki, Tatiana pokręciła głową.

– A co ty możesz o tym wiedzieć? W ogóle nie wychodzisz z tego mieszkania.

– A dokąd miałabym wychodzić? Jestem przecież w domu.

– Czyżby? – spytała Vikki. – Ty nie masz serca włóczęgi?

– Chciałabym je mieć.

Vikki przysunęła się bliżej i objęła ją ramionami. Tatiana zamknęła oczy i leżała przytulona do Vikki, tak jak kiedyś, dawno temu, tuliła się do Daszy w mieszkaniu przy Piątej Radzieckiej.

– Taniu, jak mogłaś nie oddać się nikomu przez cały ten czas?

Tatiana milczała.

– Byłaś z jakimś innym mężczyzna oprócz męża?

Tatiana się odsunęła. To było zdecydowanie ponad jej siły.

– Nie – odparła w końcu cicho. – Zakochałam się, mając szesnaście lat. Nigdy nie kochałam nikogo innego. I nigdy z nikim innym nie byłam.

– Och, Taniu. Babcia miała rację. Powiedziała: „Ta dziewczyna nadal tęskni za swoim Travisem".

Tatiana nie odpowiadała. Vikki przytuliła ją mocniej.

– Ale masz jego syna. Czy to nie pociecha?

– Tak, kiedy nie myślę o jego ojcu.

– I nie chcesz znów kogoś pokochać? Nie marzysz o szczęściu? Małżeństwie? Boże święty, Taniu... – Vikki zawiesiła głos. – Masz tyle do ofiarowania. – Przytuliła ją jeszcze mocniej. – Edward dostał już rozwód. Dlaczego nie umówisz się z nim na kolację? Dlaczego zawsze ograniczasz się tylko do lunchu?

– Edward zasługuje na kogoś lepszego ode mnie.

– On tak nie uważa. Ja zresztą też nie.

Tatiana roześmiała się lekko i pogładziła przyjaciółkę po ramieniu.

– To musi jeszcze trochę potrwać – szepnęła. – Ale jak sama mówiłaś, kiedyś zapomnę.

Minęło parę godzin, a one nadal nie spały. Vikki zdążyła trochę wytrzeźwieć, napiła się wody. Leżała w łóżku i paliła papierosa.

– Obiecaj mi, proszę, że umówisz się z nim na kolację. Co złego jest w jednej kolacji?

– Czemu tak ci na tym zależy?

Vikki się roześmiała.

– Zależy mi – odparła – bo wiem, że on tego pragnie. I uważam, że jesteście dla siebie stworzeni.

– Stworzeni? Zapomnij. Mówiłaś tylko o kolacji.

– Tak, o cudownej kolacji we dwoje.

– Z cudownej kolacji we dwoje może sporo wyniknąć. Nawet domek na przedmieściach.

– A co w tym złego?

– Idę spać. Ty rób, co chcesz.

Nie mogła powiedzieć Vikki o paskudnych myślach, jakie ją nawiedzały. Ani też o pięknych. Nie mogła powiedzieć o niebie i smutku.

Jak cudownie było leżeć obok drugiej osoby. Nie być już dłużej samą. Jak cudownie było słyszeć obok siebie oddech, czuć bijące serce, ciemne włosy na ramieniu. Jak cudownie było czuć.

– Nie martw się, Aleksandrze. – Wowa miał tylko tyle do powiedzenia. – Kiedy wyjedziesz, zaopiekujemy się Tanią.

Po powrocie do domu Tatiana siada bezradnie na krześle. Na jej twarzy wyraźnie maluje się niepokój.

– Chciałbym cię zapytać... – zaczyna pełnym sarkazmu głosem Aleksander.

– Szura, kochanie....

– Nie przerywaj mi. – Aleksander podnosi głos. Chodzi tam i z powrotem po pokoju jak uwięzione zwierzę. – Powiedz mi tylko, ile czasu upłynie, zanim

pozwolisz Wowie zaopiekować się sobą? A może temu grajkowi, Własikowi, może zapytasz, na czym jeszcze potrafi grać? Zapytaj go, czy świadczy usługi w domu. A może chcesz, żebym ja to zrobił?

Patrzy na niego przerażona. Nie odpowiada. Nie jest na niego zła. Jakże mogłaby być, skoro doskonale wie, że on ją uwielbia, wie, że on pragnie tylko móc kochać ją trochę mniej.

– Odpowiedz mi, do cholery! – krzyczy, robiąc krok w jej stronę.

Tatiana siedzi nieruchomo na krześle z rękoma splecionymi na piersiach.

– Błagam cię...

– Możesz mnie błagać, ile chcesz – rzuca ostro Aleksander. – Mam osobiście porozmawiać z Własikiem? Czy też ty zwrócisz się do niego słowami, których cię nauczyłem, kiedy za mną zatęsknisz? – Patrzy na nią płonącym wzrokiem. Chwyta ją za ramię i ściąga z krzesła.

– Puść mnie. – Tatiana się wyrywa. Cofając się, staje między dużym stołem a kamiennym piecem. Po chwili próbuje minąć Aleksandra i przejść na środek pokoju, ale on nadal zastępuje jej drogę, spychając do kąta.

– Jeszcze nie skończyliśmy, Taniu – mówi.

– Szura!

– Nie podnoś na mnie głosu!

– Szura! Przestań! – krzyczy i raz jeszcze próbuje go wyminąć, ale on nie wypuszcza jej z kąta, tym razem popychając rękami. – Powiedziałam, przestań! Robisz zamieszanie z niczego.

– To ty tak uważasz.

– Oszalałeś? – Wpada na niego całym ciałem. – Zejdź mi z drogi.

– Zmuś mnie.

– Szura! – Za wszelką cenę próbuje powstrzymać łzy. Drży na całym ciele. – Przestań, proszę cię. – Mimo wysiłków dolna warga Tatiany zaczyna drżeć. Aleksander uderza głową w ścianę nad jej ramieniem, po czym się cofa.

– Myślisz, że będę mniej przeżywać twój wyjazd, jeśli będziesz się tak zachowywał? I dzięki temu pożegnam cię z ulgą? I że przez to będzie mi łatwiej? Że będzie mniej bolało?

– Na to wygląda.

Tatiana patrzy na niego, w jej oczach pojawia się błysk zrozumienia.

– Już wiem. Tu wcale nie chodzi o mnie. Ani trochę. – Z jej ust wydobywa się zduszony jęk. – Tu chodzi o ciebie. Myślisz, że jeśli wyobrazisz sobie, jak zabawiam się z każdym głupkiem z wioski, przestaniesz mnie kochać? Myślisz – jeśli Tania mnie zdradzi, to o wiele łatwiej będzie mi ją opuścić, porzucić, umrzeć?

– Taniu, milcz.

– Nie! – krzyczy. – Tego właśnie chcesz, prawda? Wyobrażasz sobie najgorsze i nagle nie jestem już twoją żoną, ale jakąś zdzirą bez serca, a ty jesteś wolny. Co za idealne rozwiązanie. Jestem zdzirą, która po twoim wyjeździe natychmiast znajduje sobie nowego faceta. – Jest tak zdenerwowana, że zaciska pięści.

– Taniu, powiedziałem ci, żebyś zamilkła!

– Nie! – krzyczy, wskakując na piec. Dzięki temu będzie trochę wyższa, poczuje się pewniej. – Tego właśnie chcesz. Musisz sobie to wyobrazić, żeby się mnie nareszcie pozbyć. – Po jej twarzy płyną łzy. – Gówno mnie obchodzi, czego potrzebujesz i pragniesz – rzuca ze złością. – Możesz mieć wszystko, ale nie będę udawać dziwki, żebyś mógł wyjechać z lekkim sercem.

– Przestań, słyszysz?

– Bo co? Jeśli chcesz, żebym zamilkła, to mnie zmuś, bo nie zamierzam tego robić.

– Pewnie! – Aleksander kopie ze złością czajnik, który przelatuje przez pokój.

– Świetnie! – krzyczy Tatiana. – Chcesz się bić? No, to ja ci pokażę!

Aleksander zaciska zęby i doskakuje do niej.

– Nie wiesz, co mówisz. – Ściąga ją z pieca. Zrywa z niej sukienkę i razem padają na podłogę. Przyciska ją całym ciałem, ściąga z niej bieliznę i gwałtownie w nią wchodzi.

Tatiana zamyka oczy.

Początkowo zamierza z nim walczyć, ale nie potrafi odepchnąć jego udręczonego ciała.

– Żołnierzu... – udaje się jej wydusić. – Nie możesz mnie wziąć, nie możesz mnie zostawić...

– Mogę cię wziąć – szepcze Aleksander.

Nagle odrywa się od niej z bolesnym jękiem i wychodzi przed dom. Tatiana leży skulona na podłodze, ciężko dysząc.

Aleksander siedzi na ławce i pali papierosa. Drżą mu dłonie. Tatiana staje przed nim, owinięta w białe prześcieradło.

– Jutro – mówi drżącym, ledwo słyszalnym głosem – jest nasz ostatni dzień w Łazariewie. – Nie potrafią spojrzeć sobie w oczy. – Proszę, nie róbmy tego.

– Dobrze.

Tatiana puszcza prześcieradło i zbliża się do jego kolan.

– Uważaj – mówi cicho Aleksander, wskazując na papierosa.

– Już za późno – odpowiada Tatiana. – Nasz koniec jest bliski. Co mnie obchodzi jakiś papieros?

Przez długi czas Aleksander tuli ją mocno w ciemnościach. Leżą w łóżku nieruchomo, bez słowa, niemal nie oddychając.

– Nie mogę cię zabrać ze sobą – mówi w końcu Aleksander. – To zbyt niebezpieczne. Nie mogę ryzykować...

– Ciii. – Tatiana całuje go w pierś. – Wiem. Szura, jestem tylko twoja. Może dziś nie jesteś tym zachwycony, może chciałbyś, żeby było inaczej, ale ja pozostanę twoja na zawsze. Nic tego nie zmieni. Ani twój gniew, ani pięści, nawet twoja śmierć.

Aleksander gwałtownie wciąga powietrze.

– Kochany. – Tatiana zaczyna płakać. – Oboje jesteśmy sierotami. Mamy tylko siebie. Wiem, że straciłeś wszystkich, których kochałeś, ale mnie na pewno nie stracisz. Przysięgam na moją obrączkę, na pierścionek, który złamałeś, na moje serce, które teraz łamiesz, i na twoje życie, przysięgam ci, że zawsze będę twoją wierną żoną.

– Taniu – szepcze Aleksander – obiecaj, że nie zapomnisz o mnie, kiedy umrę.

– Nie umrzesz, żołnierzu. Nie umrzesz. Musisz żyć! Żyj, oddychaj, trzymaj się mocno życia. Obiecaj, że przeżyjesz dla mnie, a ja ci obiecuję, że kiedy zginiesz, będę na ciebie czekać. – Szlocha bezradnie. – Nawet jeśli zginiesz, Aleksandrze, ja będę zawsze na ciebie czekać.

Życie przejawiało się w drobiazgach. W młodym marynarzu, każdego ranka stojącym przy trapie promu, którym płynęła do pracy, i z uśmiechem

mówił „dzień dobry". Proponował jej kawę i papierosa, po czym siedział obok niej przez trwającą trzydzieści minut podróż. W Benjaminie, który grał na drugiej bazie i pewnego dnia, próbując złapać wychodzącą na aut piłkę, wpadł na nią i razem przewrócili się na trawę. Leżał na niej przez długą chwilę. Zbyt długą jak dla Edwarda, który podszedł do nich i powiedział: „Dobra, wystarczy, to mecz softballu, a nie Ricardo's". W Vikki, co rano przed wyjściem do pracy malującą Tatianie usta szminką, którą ona po wyjściu za próg pracowicie ścierała.

Ale pewnego ranka nie starła. A pewnego piątkowego wieczoru dała się namówić na wypad do Ricardo's.

Kolejnym przejawem życia był młody makler w eleganckim garniturze, który siedział obok Tatiany i Vikki w kawiarni na rogu Church i Wall Street i zaśmiewał się z ich rozmowy.

Był nim też ojciec rodziny, której Tatiana pomogła zdobyć wizy. W przejawie wdzięczności zjawił się pewnego dnia na Ellis i poprosił, by wyszła za jego najstarszego syna, który był murarzem i mógł jej zapewnić wygodne życie. Przywiózł syna ze sobą, by Tatiana mogła osobiście ocenić kandydata do swojej ręki. Był wysokim, silnym, uśmiechniętym osiemnastolatkiem i patrzył na nią rozanielonym wzrokiem. Wypiła z nim kawę w stołówce na Ellis. Powiedziała, że jest zaszczycona tą propozycją, ale nie może za niego wyjść.

Przejawem życia był też lunch, który jadła z Edwardem dwa razy w tygodniu, pracujący na budowie robotnicy i uśmiechnięty sprzedawca hot-dogów.

Tatiana spędzała całe dnie na statkach, badając uchodźców. Sprowadzała ich na prom, który przewoził ich na Ellis. Czasem nie opuszczała wyspy, badając uchodźców w salach szpitala. Popołudniami jeździła do szpitala uniwersyteckiego, gdzie chodziła między łóżkami, patrząc uważnie na twarze pacjentów. Gdyby on tutaj przypłynął, znalazłby się w jednym z tych dwóch miejsc – na Ellis albo w szpitalu. Wojna skończyła się przed czterema miesiącami. Do domu wróciło milion żołnierzy, z czego trzysta tysięcy przypłynęło do Nowego Jorku. Ile razy

mogła pytać rannych, gdzie walczyli? Gdzie stacjonowali? W Europie? Czy spotkali w obozach jenieckich radzieckich oficerów? Czy któryś z nich nie mówił przypadkiem po angielsku? Wchodziła na pokład każdego statku wpływającego do Nowego Jorku, patrzyła w twarze tysięcy uchodźców z Europy. Ile razy mogła słuchać opowieści amerykańskich żołnierzy o okropnościach, jakich byli świadkami w Niemczech? Ile razy mogła słuchać o tym, co się działo z radzieckimi jeńcami w niemieckich obozach? O setkach tysięcy, o milionach zabitych? Ani plazma, ani penicylina nie mogły uratować radzieckich żołnierzy głodzonych przez Niemców. Ile razy mogła tego wszystkiego słuchać?

Wieczorami odbierała Anthony'ego od Isabelli, jadły u niej z Vikki kolację, rozmawiały o książkach, filmach i najnowszych trendach w modzie. Wracały do domu i kładły Anthony'ego spać, a same siadały na kanapie i czytały lub rozmawiały. A potem przychodził następny dzień.

I następny tydzień.

I jeszcze jeden.

Co miesiąc razem z Anthonym odwiedzała Esther i Rosę. Nie miały żadnych wiadomości.

Co miesiąc dzwoniła do Sama Gulotty, który nie miał żadnych wiadomości.

W Nowym Jorku wznoszono nowe budynki w tempie siedmiokrotnie szybszym niż w innych miastach. W Europie odbudowa szła pełną parą. Uchodźcy przybywający na Ellis przestali być uchodźcami i znów stali się imigrantami. Ze szpitala uniwersyteckiego zniknęli weterani, z wyjątkiem najciężej rannych. Co tydzień Tatiana sprawdzała zawartość skrzynki pocztowej. Ale nikt do niej nie pisał. Czekała na niego wbrew podszeptom zdrowego rozsądku, tańczyła w sobotnie wieczory, w piątkowe chodziła do kina, gotowała i grała w softball w Central Parku, czytała książki po angielsku, wychodziła z Vikki i opiekowała się czule synkiem. Jednak przez cały ten czas spoglądała bacznie w twarz każdego mężczyzny, którego napotykała na swej drodze, w nadziei, że wreszcie ujrzy jego. Gdyby tylko mógł do niej wrócić, na pewno by to zrobił. Nie wrócił.

Gdyby tylko mógł uciec, na pewno by to zrobił. Ale nie uciekł. Gdyby żył, na pewno dostałaby od niego jakąś wiadomość.

Nie dostała.

– Dopiero zaczynasz życie, Tatiano – mówi Aleksander. – Upłynie trzysta milionów lat, a ty nadal będziesz żyła.

– Tak – szepcze Tatiana. – Ale nie z tobą.

Rozdział trzydziesty trzeci

Ojczyzna, 1945

Pociąg zatrzymał się raz, drugi, trzeci. Podczas podróży zatrzymywał się w sumie piętnaście razy. Dokąd jechali? Aleksander powiedział Uspieńskiemu, że dowiedzą się, gdy nadejdzie ich kolej. Ale nadal nic nie wiedzieli. Dwa razy zmieniali pociągi, zawsze w środku nocy. Aleksandrowi zdawało się, że to zły sen, gdy słyszał, jak krępujące go łańcuchy uderzają o szyny i metalowe stopnie. Marzył tylko o tym, by położyć się na drewnianej pryczy i zamknąć oczy.

Pociąg wciąż jechał na wschód. Wagon trząsł niemiłosiernie, wioząc mężczyzn powracających z wojny do ojczyzny. Aleksander i Mikołaj jedli z jednej miski cienki kleik, który rozlewał się przy każdym szarpnięciu pociągu.

Jechali przez równiny, lasy, przekroczyli Łabę.

Aleksander zakrył twarz ramieniem. Kama była skuta lodem. W ciemnościach widział uśmiechniętą, pokrytą piegami twarz.

Pociąg pędził przez góry, mijał wysokie sosny, mech i kamienne jaskinie.

Mijały dni i noce, księżyc zmieniał fazy, a oni nadal nie dotarli do miejsca przeznaczenia.

Na śniadanie i obiad jedli wodnisty kleik.

Nocą w wagonie było bardzo zimno. Przed nimi rozciągała się nizina północnych Niemiec.

Aleksander spał.

Śnił o niej.

Tatiana budzi się z krzykiem, siada na łóżku i gwałtownie coś odpycha. Aleksander, zaspany, siada za nią.

– Taniu, Taniu – szepcze, chwytając ją za ramię.

Ze zdumiewającą siłą Tatiana wyrywa się i na oślep, przerażona i wściekła, zaciśniętą pięścią wymierza mu cios prosto w twarz. Zaskoczony Aleksander nie ma czasu, by się uchylić. Z rozbitego nosa bucha krew. Już nie jest zaspany. Zaniepokojony chwyta ją za ramiona, tym razem mocniej, i mówi głośno:

– Taniu!

Cieknąca z nosa krew zalewa mu usta, brodę i pierś. Jest środek nocy i w bladym świetle księżyca widzi przed sobą zarys jej postaci. Widzi, jak ciężko dyszy, widzi spadające na pościel czarne krople.

Tania wreszcie dochodzi do siebie, oddycha ciężko i zaczyna drżeć na całym ciele. Aleksander stwierdza w duchu, że lepiej będzie, jeśli ją puści.

– Och, Szura, nie uwierzysz, co mi się śniło. – Odwraca się do niego. – Boże święty, co ci się stało?

Aleksander siedzi, trzymając się za nos.

Tatiana szybko zeskakuje z łóżka, biegnie po ręcznik, wraca na swoje miejsce i opierając się o ścianę, przyciąga Aleksandra do siebie.

– Chodź tutaj, szybko. – Kładzie jego głowę na kolanach i przyciska ręcznik do rozbitego nosa.

– Szwietnie – mówi Aleksander – ale nie moke ottychacz. – Wstaje na chwilę, wypluwa krew i kładzie się z powrotem na jej kolanach, przesuwając ręcznik bardziej na nos.

– Tak mi przykro, kochanie – szepcze Tania. – Naprawdę nie chciałam... ale nie wiesz, co mi się śniło.

– Pszyłapałasz mie z inno kobieto – mówi Aleksander.

– Gorzej. Żyłeś, ale leżałeś nieruchomo przede mną. Karmili mnie twoim ciałem, kawałek po kawałku. Oni...

– Kto to był?

– Nie widziałam ich twarzy. Wykręcili mi ręce do tyłu, a jeden z nich wycinał kawałki z twojego boku i wsuwał mi je do ust.

– Jadłaś mnie żywcem? – pyta zaskoczony.

Tatiana wciąga ze świstem powietrze.

Aleksander unosi brwi.

– Brakowało kawałka twojego ciała. – Dotyka go poniżej żebra – O, tutaj.

– Skąd wiesz, że byłem żywy?

– Poruszałeś oczami, mrugałeś, błagałeś mnie, żebym ci pomogła. – Zamyka oczy. – O Boże...

– Chciałaś mi pomóc i wymierzyłaś cios oprawcom?

Tatiana kiwa głową i patrzy na niego oczami pełnymi łez.

– Co ja zrobiłam? – szepcze.

– Chyba złamałaś mi nos – odpowiada Aleksander obojętnie.

Tania zaczyna płakać.

– Żartuję przecież. – Przyciąga ją do siebie. – Żartuję, Taniu. To tylko krew. Zaraz przestanie lecieć.

Patrzy na jej ściągniętą bólem twarz. Widać na niej jeszcze resztki sennego koszmaru.

– Nic mi nie jest – mówi. – Taniu, naprawdę. – Odwraca twarz w jej stronę i całuje ją w pierś. Przytula policzek do jej ciała, a ona jedną ręką ściska mu nos, a drugą gładzi po włosach.

– Byłeś żywy – szepcze – i karmili mnie twoim ciałem. Rozumiesz?

– Doskonale. Najlepszy dowód, że krwawię.

Tania całuje go w głowę. Krew przestaje płynąć.

– Pójdę się umyć. Jutro zmienimy pościel.

– Poczekaj... nie chodź. Przyniosę coś do umycia. Możesz zejść z łóżka? Mamy w domu wodę. Chcesz, żebym ci pomogła? Podaj mi rękę.

– Taniu – mówi Aleksander, zeskakując z łóżka – mam tylko rozbity nos. Nie umieram.

– Nie, ale jutro będziesz cały siny. – Moczy ręcznik w wodzie i delikatnie zmywa krew z jego twarzy. – Jestem niebezpieczna – mruczy. – Popatrz tylko, co z tobą zrobiłam.

– Hmmm... jeszcze nigdy tak się nie zachowywałaś. Wpadłaś w szał. Widziałem to nieraz na wojnie, gdy żołnierze nabierali nagle siły dziesięciu ludzi. Nie mogłem cię utrzymać i nieźle mi przyłożyłaś.

– Widzę. Bardzo mi przykro. No, już jesteś czysty. Pamiętaj, Szura, nigdy nie wolno ci mieć takich koszmarów, dobrze?

– Że leżysz przede mną, a ja cię żywcem pożeram? – pyta z uśmiechem. – To rzeczywiście byłoby straszne.

– Nie wolno ci, rozumiesz? No, wskakuj na łóżko. Pomóc ci?

– Chyba sobie poradzę.

Tania wychodzi z domu i wraca po chwili z ręcznikiem zmoczonym w zimnej wodzie Kamy.

– Połóż to na twarzy. Może nie spuchniesz.

Aleksander leży na wznak z twarzą przykrytą ręcznikiem.

– Nie mogę tak spać – mówi zduszonym głosem.

– A kto mówi o spaniu? – Słyszy jej głos, Tania klęka między jego kolanami. Spod ręcznika dobiega przeciągły jęk. – Jak mogę ci to wynagrodzić? – słyszy jej pytanie.

– Jakoś nic nie przychodzi mi do głowy...

– Nie?

Mruczy cicho, głaszcząc go delikatnie palcami. Czuje jej gorący oddech na skórze. Bierze go w usta, a on czuje, jak przykryta zimnym ręcznikiem twarz zaczyna płonąć.

Pociąg się zatrzymał. Kiedy wysiedli, ustawiono ich w kolumny przed małą, zniszczoną przez naloty stacją. Aleksander wsunął buty. Na pewno nie należały do niego, były za małe. Stali w ciemnościach, które od czasu do czasu rozświetlał blask jedynego reflektora. Strażnik rozerwał kopertę, wyjął z niej kartkę papieru i bezbarwnym głosem odczytał, że siedemdziesięciu stojących przed nim mężczyzn zostało oskarżonych o zbrodnie przeciwko państwu.

– Och, nie – szepnął Uspieński.

Aleksander stał z obojętnym wyrazem twarzy. Chciał tylko wrócić na drewnianą pryczę. Nic go już nie dziwiło.

– Nie martw się, Mikołaju.

– Cisza! – wrzasnął strażnik. – Zdrada, współpraca z wrogiem, praca na rzecz wroga w obozach, gotowanie dla wroga, budowanie, czyszczenie broni. Prawo jasno określa zdradę. Wszyscy zostaliście zatrzymani na mocy artykułu 58 i skazani na co najmniej piętnaście lat przymusowej pracy w obozach Strefy II. Na koniec wylądujecie na Kołymie. Karę odbywacie w chwili, gdy zaczniecie wrzucać węgiel do palenisk w pociągach, które was tam przewiozą. Węgiel leży przy torach. Łopaty też. Następnym przystankiem będzie obóz pracy we wschodnich Niemczech. Do roboty.

– Och nie, tylko nie Kołyma – powiedział Uspieński. – To musi być jakaś pomyłka.

– Jeszcze nie skończyłem! – wrzasnął strażnik. – Biełow, Uspieński, wystąpić!

Zrobili kilka kroków do przodu, ciągnąc za sobą łańcuchy.

– Wy dwaj nie tylko wpadliście w ręce wroga, co automatycznie karane jest wyrokiem piętnastu lat pracy w obozie, ale oskarżono was również o szpiegostwo i sabotaż podczas wojny. Kapitanie Biełow, zostaniecie pozbawieni stopnia, podobnie jak wy, poruczniku Uspieński. Kapitanie Biełow, wyrok przedłużono wam do dwudziestu pięciu lat. Poruczniku Uspieński, wyrok przedłużono wam do dwudziestu pięciu lat.

Aleksander stał i słuchał spokojnie, jakby te słowa w ogóle go nie dotyczyły.

– Jak to? – powiedział Uspieński. – To jakaś pomyłka. Mnie na pewno nie skazali na dwadzieścia pięć lat, porozmawiajcie z generałem…

– Otrzymałem wyraźne rozkazy. Widzicie? – Strażnik pomachał kartką.

Uspieński pokręcił głową.

– Nie, nic nie rozumiecie, to na pewno jakaś pomyłka. Obiecano mi oficjalnie… – Spojrzał na Aleksandra, który patrzył na niego lekko rozbawiony.

Kiedy ładowali węgiel, Uspieński nie odzywał się już ani słowem, lecz gdy znaleźli się z powrotem w wagonie, aż kipiał z wściekłości. Aleksander nic nie rozumiał.

– Czy nadejdzie kiedyś taki dzień, kiedy wreszcie będę wolny?

– Tak, za dwadzieścia pięć lat.

– Kiedy się od was uwolnię – warknął Uspieński, próbując się od niego odwrócić. – Kiedy nie będę z wami skuty, nie będę leżał na tej samej pryczy i jadł z wami z jednej miski.

– Skąd ten pesymizm? Słyszałem, że obozy na Kołymie są koedukacyjne. Może znajdziecie tam sobie sympatyczną żonkę.

Usiedli obok siebie na pryczy. Aleksander natychmiast się położył i zamknął oczy. Uspieński narzekał, że jest mu niewygodnie, nie ma dość miejsca obok potężnego Aleksandra. Pociąg szarpnął nagle i Uspieński spadł z pryczy.

– Co się z wami dzieje? – spytał Aleksander, wyciągając rękę, by pomóc mu wstać. Uspieński zignorował jego gest.

– Niepotrzebnie was słuchałem. Trzeba się było nie poddawać. Byłbym teraz wolny.

– Uspieński, czy wy nie widzicie, co się dzieje? Uchodźcy, robotnicy przymusowi, ludzie, którzy mieszkali w Polsce, Rumunii, w Bawarii! Z Włoch, Francji, Danii, Norwegii. Wszystkich odsyłają z powrotem, wszyscy dostali taki sam wyrok. Dlaczego sądzicie, że z wami byłoby inaczej?

Uspieński nie odpowiadał.

– Dwadzieścia pięć lat! Wy też tyle dostaliście. Nic was to nie obchodzi?

– Nie, Mikołaju. – Aleksander westchnął. – Już nie. Mam dwadzieścia sześć lat. Skazywali mnie na Syberię od czasu, gdy skończyłem siedemnaście. – Gdyby trafił do obozu we Władywostoku, niedługo byłby wolny.

– No właśnie. Wy, wy. Jezu, to wszystko przez was. Od tego przeklętego dnia, gdy położyli mnie obok was w Morozowie, moje życie to wy. Dlaczego mam dostać dwadzieścia pięć lat tylko dlatego, że jakaś cholerna pielęgniarka położyła mnie obok was? – Szarpnął się i zadźwięczały krępujące go łańcuchy. Inni więźniowie, którzy próbowali zasnąć, krzyknęli:

– Zamknij się, kurwa!

– Ta cholerna pielęgniarka – powiedział cicho Aleksander – była moją żoną. Widzisz więc, mój drogi Mikołaju, że niezbadane są wyroki losu.

Uspieński milczał przez długą chwilę.

– Nie wiedziałem – mruknął w końcu. – Jasne. Siostra Mietanowa. Stąd znam to nazwisko. Nie wiedziałem, dlaczego nazwisko Paszy brzmiało tak znajomo. – Zawiesił głos. – Gdzie ona teraz jest?

– Nie wiem.

– Nie pisze do was?

– Wiecie, że nie dostaję żadnych listów. I żadnych nie piszę. Mam plastikowe pióro, które jest do niczego.

– Ale przecież była w szpitalu, a potem nagle znikła. Wróciła do rodziny?

– Nie, wszyscy zginęli.

– A wasza rodzina?

– Nie mam nikogo.

– No to gdzie ona jest?

– Co to, przesłuchanie?

Uspieński zamilkł.

– Mikołaju?

Nie odpowiadał.

Aleksander zamknął oczy.

– Obiecali mi – szepnął Uspieński. – Przysięgli mi, przysięgli, że nic mi się nie stanie.

– Kto? – Aleksander nie otwierał oczu.

Uspieński nie odpowiadał.

– Kto? – powtórzył Aleksander, otwierając oczy, usiadł na pryczy. Uspieński cofnął się, ale tylko o kilkanaście centymetrów, bo nadal był skuty z Aleksandrem.

– Nikt – mruknął, a potem patrząc spod oka na Aleksandra, wzruszył ramionami. – To stara śpiewka – powiedział, starając się, by zabrzmiało to obojętnie. – Przyszli do mnie w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku, tuż po naszym aresztowaniu, i powiedzieli, że mam dwa wyjścia.

Mogą mnie rozstrzelać za zbrodnie popełnione w myśl artykułu 58. To było pierwsze wyjście. Zastanowiłem się przez chwilę i spytałem o drugie. Powiedzieli mi – ciągnął obojętnym głosem człowieka, któremu już na niczym nie zależy – że jesteście niebezpiecznym przestępcą, ale nadal was potrzebują. Podejrzewali was o straszliwe zbrodnie przeciwko państwu, lecz żyjemy przecież w społeczeństwie, które przestrzega konstytucji i praw obywateli, dlatego postanowili zostawić was przy życiu tak długo, dopóki sami się nie powiesicie.

Dlatego Uspieński nie odstępował go ani na krok.

– A ty miałeś być moim stryczkiem? – spytał Aleksander, zaciskając dłonie na łańcuchu u nóg.

Uspieński nie odpowiadał.

– Och, Mikołaju – westchnął ciężko Aleksander.

– Poczekajcie…

– Nie chcę już nic słyszeć.

– Ale musicie…

– Nie! – krzyknął Aleksander i rzucił się na Uspieńskiego. Chwycił go mocno za szyję i walił głową o ścianę wagonu. – Ani słowa więcej.

– Posłuchajcie mnie – wydyszał Uspieński, który nawet nie próbował się uwolnić.

Aleksander raz jeszcze uderzył jego głową o ścianę wagonu.

– Cicho tam – rzucił ktoś bez przekonania. Nikt nie chciał się mieszać. Jeden martwy więzień oznaczał dodatkowy kawałek chleba dla kogoś innego.

Uspieński się dusił. Z nosa ciekła mu krew. Nie wyrywał się.

Aleksander wziął zamach i wymierzył mu cios prosto w twarz. Uspieński spadł na podłogę. Aleksander kopnął go końcem ciasnego buta.

– Byłem z tobą przez ostatnie dwa lata nieustannie – powiedział głosem, który przeraził nawet jego. Bo znów wpadł w szał i o mało nie zabił człowieka. Jego gniew nie przypominał jednak furii, jaka ogarnęła go podczas przesłuchania Słonki. Tym razem wściekał się również na siebie, że się aż tak odsłonił. W głębi serca czuł też przeszywający ból, że zdradził

go człowiek tak bardzo mu bliski. Aleksander poczuł, że słabnie, i opadł na pryczę. Nadal jednak był skuty z Uspieńskim.

Przez kilka minut Uspieński nie odzywał się ani słowem. Próbował wspiąć się na pryczę i otrzeć twarz.

– Nie chciałem umierać – powiedział wreszcie zduszonym głosem. – Wtedy. Powiedzieli mi, że jeśli będę ich informował, czy pomogliście żonie uciec albo czy jesteście Amerykaninem, jak podejrzewają, to mnie uwolnią. Odzyskam wolność i wrócę do żony i dzieci.

– Całkiem nieźle – odparł Aleksander.

– Nie chciałem umierać! – wykrzyknął Uspieński. – Wy na pewno to rozumiecie! Co miesiąc musiałem dostarczać im raporty o wszystkim, co mówicie i robicie. Bardzo zainteresowała ich nasza dyskusja o Bogu. Raz w miesiącu wzywano mnie do dowództwa NKGB i przesłuchiwano. Czy coś wzbudziło moje podejrzenia? Czy coś powiedzieliście? Czy używaliście niezrozumiałych albo obcych słów? Za to wszystko moja żona dostawała dodatkową miesięczną rację jedzenia. Dostawała też trochę więcej pieniędzy z mojego żołdu. A ja kilka dodatkowych rubli…

– Sprzedałeś mnie za kilka srebrników, Mikołaju? Sprzedałeś mnie, żeby mieć pieniądze na dziwki?

– Nigdy mi nie ufaliście.

– Ufałem – odparł Aleksander, zaciskając pięści. – Nie mówiłem ci tylko wszystkiego. Ale byłem przekonany, że zasługujesz na moje zaufanie. Broniłem cię przed moim szwagrem. – Teraz już wszystko rozumiał. – Pasza podejrzewał cię od samego początku i próbował mi to powiedzieć. – Potrafił wyczuć ludzi, podobnie jak Tatiana. Aleksander jęknął głośno. Już dawno powiedziałby Uspieńskiemu o wszystkim, ale nie chciał obciążać go informacjami, które mogłyby go kosztować życie.

– Powiedziałem im wszystko, co o was wiedziałem. Powiedziałem, że w Colditz rozmawialiście z Amerykanami po angielsku i z Anglikami w Katowicach. Powiedziałem im, że chcieliście się poddać. Wszystko. Dlaczego skazali mnie na dwadzieścia pięć lat?

– Może sam do tego dojdziesz.

– Nie mam pojęcia!

– Dlatego! – wrzasnął Aleksander. – Sprzedałeś duszę za złudną obietnicę wolności. Nie dziwi cię, że teraz nie masz ani jednej, ani drugiej? Myślisz, że oni pamiętają o swoich obietnicach? Myślisz, że obchodzi ich twoje życie, bo przekazałeś im jakieś bezwartościowe informacje? Nie znaleźli mojej żony. I nigdy nie znajdą. Dziwię się, że dali ci tylko dwadzieścia pięć lat. – Zniżył głos. – Z reguły skazują na wieczność.

– Za bardzo bierzecie wszystko do siebie! Jadę do pieprzonego więzienia, a wy...

– Mikołaju, jestem z tobą skuty od dwóch miesięcy – powiedział Aleksander. – Skuty! Przez blisko trzy lata na froncie jedliśmy z jednego hełmu, piliśmy z jednej butelki...

– Byłem lojalny w stosunku do państwa – powiedział cicho Uspieński. – Chciałem, żeby tak było. Chciałem, żeby mnie chronili.

– Dlaczego teraz mi o tym powiedziałeś? Dlaczego?

– Czemu nie? – szepnął.

– Boże, czy ja się kiedykolwiek czegoś nauczę! Nie odzywajcie się do mnie ani słowem, Uspieński. Nigdy! Jeśli się odezwiecie, nie odpowiem wam. A jeśli będziecie nalegać, znam sposoby, żeby was uciszyć.

– To uciszcie. – Spuścił głowę.

Aleksander kopnął łańcuch w jego stronę i odsunął się, jak mógł najdalej.

– Śmierć jest dla was zbyt dobra – powiedział i odwrócił się do ściany.

Nadal nie wiedzieli, dokąd jadą. Było lato, a przez niewielką szczelinę do środka wagonu wpadało aromatyczne powietrze. Aleksander zamknął oczy i potarł czubek nosa. Przypomniał sobie wilgotny ręcznik i usta Tatiany. Kiedy tak jechali, wspomnienie stawało się coraz bardziej wyraźne. Niemal czuł płynącą po twarzy krew i dłonie Tatiany tulące jego głowę do piersi. Żyłeś, a oni karmili mnie twoim ciałem, Szura, powiedziała. Musiał stłumić jęk.

Rozdział trzydziesty czwarty

Jeb, listopad 1945

Tatiana zgodziła się pójść z Edwardem na kolację. Vikki miała się zająć Anthonym. Tatiana założyła niebieską spódnicę i beżowy wełniany sweter, lecz wbrew namowom Vikki nie rozpuściła włosów. Jak zwykle splotła je w ciasny warkocz i nie umalowała się. Założyła płaszcz i szalik, i usiadła na kanapie. Trzymając na kolanach Anthony'ego, przeglądała razem z nim książeczkę.

– Czym się denerwujesz? – spytała Vikki, sprzątając porozrzucane gazety. – Przecież stale chodzisz z nim na lunch i rozmawiacie. Teraz zmieni się tylko nazwa posiłku.

– I pora dnia.

– Zgoda.

Tatiana nie odezwała się już, udając, że jest bardzo zajęta książeczką.

Edward przyszedł ubrany w garnitur. Vikki natychmiast powiedziała, że prezentuje się bardzo elegancko, a Tania przytaknęła. Edward był dość wysoki, przystojny i opanowany. Prezentował się doskonale zarówno w garniturze, jak i w lekarskim fartuchu. Miał poważne, dobre oczy. W jego obecności czuła się bezpiecznie, a jednocześnie bardzo nieswojo.

Zabrał ją do restauracji Sardi's przy Czterdziestej Czwartej Ulicy. Tatiana zamówiła koktajl z krewetek i stek, a na deser tort czekoladowy i kawę.

Początkowo przy stoliku panowało niezręczne milczenie, ale potem Tatiana się rozkręciła. Wypytywała Edwarda o medycynę, o operacje, o rannych, umierających i chorych, pytała go, w jakich szpitalach pracował,

dlaczego postanowił zostać lekarzem i czy bycie lekarzem nadal dla niego coś znaczy. Pytała go, jakie miejsca w Ameryce odwiedzał i które najbardziej mu się podobało. Patrzyła mu prosto w oczy i śmiała się w odpowiednich momentach.

Nagle, pod koniec kolacji, kiedy ze stolika zniknął talerzyk po zjedzonym torcie, a rachunek jeszcze się nie pojawił, przechylając lekko głowę na bok, zobaczyła nagle siebie siedzącą przy stole z Edwardem. Stół był jednak większy, oni dużo starsi, a razem z nimi siedziały ich dorosłe dzieci, same córki.

Zerwała się z krzesła i spytała kelnera o godzinę.

– Dziesiąta? O mój Boże, ależ zrobiło się późno. Muszę wracać do Anthony'ego. To był uroczy wieczór, bardzo ci dziękuję.

Edward spojrzał na nią lekko zaskoczony i odwiózł ją do domu taksówką.

Przez całą drogę wyglądała przez okno. Kiedy mijali Dwudziestą Trzecią Ulicę, Edward spytał nagle:

– Jak ty to znosisz? Straszny ze mnie nudziarz, przez cały czas mówiłem tylko o sobie.

– Wcale się nie nudziłam – zaprotestowała. – To było fascynujące. Wiesz, że bardzo lubię słuchać.

– Może następnym razem porozmawiamy o tobie.

– To dopiero będzie nuda. Nie ma o czym mówić.

– Spędziłaś już w Ameryce sporo czasu. Co ci się tu najbardziej podoba?

– Ludzie – odparła bez zastanowienia.

Roześmiał się.

– Ale przecież spotykasz tylko imigrantów!

Skinęła głową.

– To prawdziwi Amerykanie. Znaleźli się w Nowym Jorku z właściwych powodów. To wspaniałe miasto.

– A co ci się jeszcze podoba? Co najbardziej?

– Pyszny bekon – odparła. – Lubię też chyba wygodę. Wszystko, co Amerykanie robią, produkują, tworzą, ma ułatwiać życie. Bardzo mi się to

podoba. Muzyka jest przyjemna, koce nie gryzą. Mleko można kupić tuż za rogiem. Chleb też. Buty są wygodne. Krzesła miękkie. Dobrze się tu żyje – wyjrzała przez okno, gdy mijali Czternastą Ulicę. – Na tyle rzeczy nie zwracacie wcale uwagi.

Taksówka zatrzymała się przed jej domem.

– No cóż… – zaczęła.

– Taniu – szepnął czule Edward.

Pochyliła się i cmoknęła go w policzek.

– Bardzo ci dziękuję za uroczy wieczór – powiedziała i szybko wysiadła.

– Do zobaczenia w poniedziałek! – zawołał za nią, ale ona znikła już w drzwiach otwartych pospiesznie, lecz z wielkim szacunkiem przez Diega z Rumunii.

Taniu, Taniu.

Słyszę, jak mnie woła.

Odwracam się, a on tam stoi, żywy i woła mnie po imieniu.

Taniu, Taniu.

Odwracam się, muszę się odwrócić i widzę go, w mundurze polowym, z karabinem przerzuconym przez ramię, biegnie w moją stronę, nie mogąc złapać tchu.

Nadal taki młody.

Dlaczego słyszę go tak wyraźnie?

Dlaczego jego głos rozbrzmiewa echem w mojej głowie?

W mojej piersi.

W moich ramionach i palcach, w moim ledwo bijącym sercu, w zimnym oddechu?

Dlaczego on krzyczy tak głośno?

Nocą zapada cisza.

Ale w ciągu dnia, wśród tłumu…

Chodzę, zawsze bardzo wolno, siedzę, zawsze w bezruchu, i słyszę, jak woła mnie po imieniu.

Taniu, Taniu…

Dlaczego to słyszę?
Czy nie kazał mi słuchać nocą gwiezdnych wiatrów?
To będę ja, szepnął, będę cię przyzywał.
Do Łazariewa.
Dlaczego więc wzywa mnie teraz?
Jestem tutaj, Szura! Przestań mnie wołać.
Nigdzie nie pojadę.
Taniu, Taniu...

Pewnego zimnego sobotniego popołudnia Tatiana, Vikki i Anthony jak zwykle spacerowali po targu przy Drugiej Alei. Vikki coś tam paplała, Tatiana słuchała jej jednym uchem i trzymała Anthony'ego za ramiona. Chciał dziś sam popychać swój wózek – prosto w kostki przechodniów. Vikki niosła ich zakupy, nie przestając narzekać, że to niesprawiedliwe.

– Powiedz mi, proszę, dlaczego nie chcesz się już umówić z Edwardem?

– Nie o to chodzi – odparła Tatiana łagodnie. – Powiedziałam mu, że potrzebuję jeszcze trochę czasu. Nadal jadamy razem lunch.

– Lunch to lunch, a nie kolacja. On wie, że go odpychasz.

– Wcale nie odpycham, tylko chcę trochę zwolnić.

Vikki zdążyła już zmienić temat.

– Taniu, wiem, że chcesz mieć dziś na kolację bekon i chleb, ale może zrobiłabyś coś innego. Stale jemy chleb i mięso. Co powiesz na spaghetti i klopsiki?

– A z czego robi się spaghetti?

– Skąd mam wiedzieć? Rośnie w Portugalii, jak oliwki, a babcia kupuje je w specjalnym sklepie.

– Nie. Spaghetti robi się z mąki.

– I co z tego?

– A klopsiki robi się z mięsa.

– No to co?

Tatiana nie odpowiedziała. Kilka metrów przed sobą zobaczyła nagle wysoką męską sylwetkę. Chwyciła mocniej rączkę Anthony'ego i wspięła

się na palce, by lepiej widzieć. Na Drugiej Alei panował spory ruch, zrobiła więc trzy kroki w prawo, a potem próbowała przyspieszyć.

– I co?

– Chodź trochę szybciej, dobrze? Przepraszam – powiedziała do idących przed nią ludzi. – Proszę mnie przepuścić.

– Dokąd się tak spieszysz? Taniu! Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– Jakie?

– I co? Tak właśnie brzmiało. I co?

– Spaghetti i klopsiki to też chleb i mięso. Przepraszam. – Ciągnęła za sobą Anthony'ego, który z trudem nadążał za nią na krótkich nóżkach. – Pospiesz się, synku. – Nie patrzyła jednak ani na niego, ani na Vikki, ani na idących przed nimi ludzi. Nikt nie lubi, gdy kopie go w kostki agresywna Rosjanka, nawet w rosyjskiej dzielnicy. Zwłaszcza w rosyjskiej dzielnicy. Tatiana usłyszała więc sporo przykrych słów w ojczystym języku.

– Pospiesz się, Vikki.

Wzięła Anthony'ego na ręce i popchnęła wózek w stronę objuczonej Vikki.

– Muszę lecieć… – powiedziała i ruszyła biegiem ulicą. Nie mogła się już powstrzymać. Biegła wzdłuż krawężnika, próbując dogonić dwóch idących kilkanaście metrów przed nią mężczyzn. Ciężko dysząc, złapała ich na światłach i zanim powiedziała cokolwiek – nie mogła nawet wydusić z siebie słowa – położyła wolną rękę na ramieniu jednego z nich. Aleksander? – próbowała powiedzieć, ale nie mogła.

Mężczyzna był bardzo wysoki i potężnie zbudowany. Trzymała rękę na jego ramieniu na tyle długo, że zdążył się odwrócić i zobaczyć, jak Tatiana patrzy na niego rozszerzonymi oczami. Uśmiechnął się. Tatiana oblała się rumieńcem, cofnęła rękę i odwróciła wzrok, ale było już za późno.

– Tak, kochanie? – spytał mężczyzna. – Co mogę dla ciebie zrobić?

Cofnęła się o krok. Zmieszana zaczęła coś mamrotać po rosyjsku. Potem przeszła na łamaną angielszczyznę, której nawet ona sama nie rozumiała.

– Przepraszać… myślę pan gdzie indziej kto inny…

– Dla ciebie będę, kim tylko zechcesz. Kim chcesz, żebym był, kochanie?

Vikki zdążyła ich już dogonić. Stanęła obok nich z wózkiem, obładowana zakupami i bardzo zła.

– Taniu! Co ty sobie… – Dostrzegła dwóch mężczyzn i urwała. Uśmiechnęła się.

Wysoki mężczyzna przedstawił się jako Jeb. Jego przyjaciel miał na imię Vincent.

Jeb miał ciemne włosy, ale jego twarz nie była tą, której szukała. Była twarzą Jeba. Nie była z pewnością twarzą jej męża. Mimo to, w sobotnie popołudnie, gdy stała blisko niego i patrzyła w jego śmiejące się przyjaźnie oczy, poczuła ukłucie pragnienia. Cień pożądania.

– Taniu, czy ty zawsze musisz popadać w skrajności? – spytała ją Vikki, gdy odchodziły parę minut później. – Przez całe lata zupełnie ignorujesz mężczyzn, a potem przewracasz staruszki na chodniku, by dogonić jednego z nich. Co cię opętało?

Następnego dnia Jeb zadzwonił.

– Oszalałaś? – spytała Vikki. – Dałaś mu nasz numer? Nawet nie wiesz, co to za jeden.

– Wiem. To marynarz. Był w Japonii.

– Nic nie rozumiem. Nie znasz go. Od dwóch lat próbuję namówić się, żebyś wyszła gdzieś z Edwardem…

– Vikki, nie chcę, żeby Edward mnie pocieszał. On zasługuje na coś więcej.

– Edward na pewno tak nie uważa. Chcesz, żeby robił to Jeb?

– Nie wiem.

– On mi się nie podoba. Nie podobał mi się sposób, w jaki na ciebie patrzył. Nie mogę uwierzyć, że z wszystkich mężczyzn musiałaś wybrać akurat takiego, który mi się nie podoba.

– Jeszcze go polubisz.

Ale nie polubiła. Tatiana za bardzo wstydziła się swojej fascynacji Jebem, by się z nim umawiać, ale zaprosiła go na kolację.

– I co mu podasz? Jajka na bekonie? Kanapki z bekonem, sałatą i pomidorem? A może kapustę faszerowaną bekonem?

– Faszerowana kapusta brzmi nieźle. Faszerowana kapusta i chleb.

Jeb przyszedł i zjadł z nimi kolację. Vikki ani na chwilę nie poszła do swojego pokoju, a Anthony przez cały czas kręcił się pod nogami. Wreszcie Jeb wyszedł.

– Nie spodobało mi się, jak patrzył na ciebie wtedy na ulicy, a teraz podoba mi się jeszcze mniej – oświadczyła Vikki. – Nie uważasz, że jest zbyt protekcjonalny?

– Co takiego?

– Stale ci przerywał, nie zauważyłaś? Zawsze z uśmiechem na twarzy, drań. I nie mów mi, że nie zauważyłaś, jak ignorował twojego synka.

– Jak mógł go ignorować? Dzięki tobie Anthony cały wieczór siedział pod stołem!

– Nie sądzisz, że Anthony zasługuje na lepszego mężczyznę niż Jeb?

– Zgoda, ale nikogo lepszego nie ma w pobliżu. Co mam zrobić?

– Edward jest o wiele lepszy od Jeba.

– Dlaczego więc sama się koło niego nie zakręcisz? Jest wolny.

– Nie myśl, że nie próbowałam! Ale on nie jest mną wcale zainteresowany.

Vikki nie myliła się co do Jeba. Był zaborczy i protekcjonalny. Ale Tatiana nie mogła nic na to poradzić – chciała poczuć, jak miażdży ją swoimi silnymi ramionami.

Myślała o Aleksandrze; wyobrażała sobie Aleksandra, a przy okazji stworzyła dla siebie piekło godne największego masochisty. W jej wyobrażeniach samiec modliszki podpełzał do samicy, wiedząc doskonale, że kiedy z nim skończy, odgryzie mu głowę i pożre go. A mimo to pełznie do niej z zamkniętymi oczami, zbliża się do bramy życia i śmierci, dziękując Bogu, że jeszcze żyje.

– *Taniu, wybaczysz mi, jeśli zginę?*

– *Wybaczę ci wszystko.*

Kilka tygodni przed świętami Bożego Narodzenia, kiedy Tatiana przyszła odebrać Anthony'ego, Isabella posadziła ją w fotelu, zaparzyła

filiżankę herbaty i spytała:

– Co się dzieje, Taniu?

– Nic.

Isabella przyjrzała się jej uważnie.

Tatiana spuściła wzrok na swoje dłonie.

– Żałuję, że tak trudno jest pokładać wiarę.

– Wiarę w co?

– W życie. We mnie. W robienie tego, co powinnam robić. – Nie chcę go zapomnieć, chciała powiedzieć.

– Kochanie, przecież robisz to, co powinnaś – powiedziała Isabella. – Rób to, co wszystkie kobiety, które straciły mężów. Musisz zacząć nowe życie.

– A jeśli on nie zginął? – szepnęła Tatiana. – Muszę mieć jakiś dowód, żeby znów zacząć wierzyć.

– Ale wtedy trudno mówić o wierze, kochanie – odparła Isabella. – Jeśli będziesz mieć dowód.

Tatiana nie odpowiedziała.

– Musisz zacisnąć zęby i żyć dalej, tak jak robiłaś to do tej pory.

– Kochana Isabello, wiesz, że jestem mistrzynią w zaciskaniu zębów. Ale z każdym dniem jest coraz trudniej, nienawidzę każdego dnia, który mnie od niego oddala.

– Kiedy otacza cię ciemność, najbardziej potrzebujesz wiary. – Isabella spojrzała na nią w zamyśleniu. – Kochanie, musisz uczciwie przyznać, że teraz jest znacznie lepiej niż na początku. Kiedy przyjechałaś do Nowego Jorku, byłaś taka smutna. Nie jest lepiej?

– Jest, Isabello. – Przynajmniej na zewnątrz wszystko układało się jak należy. Ale w środku tkwił ten przeklęty medal. I przeklęty Orbeli.

– Czy czułabyś się lepiej, gdybyś miała więcej dowodów? Nie tylko akt zgonu?

Tatiana nie odpowiadała. Co mogła powiedzieć?

– Módl się, żeby nie żył, kochanie. Módl się, żeby spoczywał w pokoju, żeby nie męczył się już dłużej. Nic go nie boli. Jest wolny. Jest twoim

aniołem stróżem i opiekuje się tobą.

– Isabello, nie mów mi, że on nie żyje, bo jeśli w to uwierzę, będzie mi tak bardzo trudno żyć ze świadomością, że tylko jedna kula dzieli mnie od spotkania z nim.

– A kto by cię przyjął, gdybyś umarła i zostawiła syna?

– Dlaczego miałby nie przyjąć? On umarł i zostawił syna samego.

– Jeśli będzie ci łatwiej, to musisz wierzyć, że żyje.

– Jeśli żyje, to jak mogę tak dalej żyć? – Tatiana wydała z siebie rozdzierający krzyk tak wielkiego bólu, że Isabella odsunęła się od niej ze swoim krzesłem.

– Och, Taniu – szepnęła. – Chcę ci pomóc. Jak mogę to zrobić?

Tatiana wstała.

– Nie możesz mi pomóc. – Zawołała Anthony'ego i wzięła torbę z podłogi. – Musi być miło widzieć wszystko tak wyraźnie. Ale niby dlaczego nie? Nadal masz swojego Travisa. Łatwo ci wierzyć. Masz dowód tuż przy sobie.

– Ty też go masz, proszę – powiedziała Isabella, wskazując na Anthony'ego, który wybiegł z pokoju prosto w ramiona Tatiany. – Mamo, chcę na obiad loooody.

– Dobrze, synku – odparła.

Kiedy wyszli na ulicę, kupiła mu lody.

– Mamo, Timothy ma tatusia, Ricky ma tatusia i Sean też ma tatusia?

– O co chcesz spytać, kochanie? – Szli razem do przedszkola w pobliżu Battery Park. Był to drugi tydzień Anthony'ego. Tatiana chciała go poznać z większą grupą rówieśników. Doszła bowiem do wniosku, że zbyt dużo czasu spędza w towarzystwie dorosłych. I w towarzystwie Isabelli. Marszczył czoło w bardzo dorosły sposób; nie podobało się jej to. Mówił już płynnie, całymi zdaniami, ale był zbyt poważny jak na dwuipółlatka. Uznała, że pobyt w przedszkolu dobrze mu zrobi.

A teraz to.

– Dlaczego ja nie mam tatusia?

– Masz, synku. Tylko go tutaj nie ma. Tak jak tatusia Mickeya, Bobby'ego i Phila. Ich tatusiów też nie ma w domu i opiekują się nimi mamusie. Masz szczęście, synku. Masz przecież mamusię, Vikki i Isabellę...

– Mamo, a kiedy tatuś wróci? Tatuś Ricky'ego wrócił. Codziennie rano odprowadza go do przedszkola.

Tatiana patrzyła przed siebie.

– Ricky chciał dostać tatusia pod choinkę. Może ja też to zrobię.

– Może – szepnęła.

– Wojna już się skończyła – powiedział Anthony. – Dlaczego on nie wraca? – Nie pozwolił, by pocałowała go przy drzwiach ani weszła z nim do środka. Wyprostował ramiona i marszcząc brwi, wszedł sam, ściskając w rączce torebkę z drugim śniadaniem.

Cztery etapy smutku. Pierwszy to szok. Potem przyszło zaprzeczenie. To trwało aż do dzisiejszego ranka. Dziś ruszamy do następnego etapu. Gniew. Kiedy nadejdzie pogodzenie się?

Zapomnij o tym. Zgódź się na ulgę. Kiedy nareszcie poczuje ulgę?

Była na niego taka zła. Wiedział doskonale, że nie chce tego życia bez niego. Wiedział, że ono nic dla niej nie znaczy. Czy sądził, że będzie jej lepiej w Ameryce wśród powojennych wynalazków, odbiorników radiowych i mamienia telewizji niż w gułagu?

Chwileczkę. A co z Anthonym? On przecież nie jest duchem. To chłopiec z krwi i kości, który i tak przyszedłby na świat. Co by się z nim stało?

Spojrzała na wody portu. Jak długo mogłabym płynąć jak ostatnia ryba w oceanie? Płynęłabym coraz wolniej, aż w końcu musiałabym się zatrzymać, a może on czekałby na mnie po drugiej stronie życia z wyciągniętymi ramionami i spytał: „Dlaczego tak długo, Taniu? Nie mogłem się już doczekać".

Odsunęła się od relingu. Nie. Tam, po drugiej stronie, on stoi, potrząsa głową i mówi: „Taniu, spójrz tylko na Anthony'ego, na naszego cudownego synka. Szczęściara z ciebie, możesz go przytulić. Wiesz, jak o tym marzę?

Gdziekolwiek jestem, myślę tylko o tym, jak cudownie byłoby przytulić mojego synka".

Cofnęła się w siebie i zamknęła w przestrzeni, którą zajmowała jako Tatiana Mietanowa. Zatrzasnęła drzwi i usiadła na podłodze obok czarnego plecaka. W tym pokoju nie ma Anthony'ego, nie ma Isabelli, Vikki, Edwarda i Jeba. Są tylko we dwoje, Tania i Szura, nurkują w Kamie i próbują złapać okonia gołymi rękami. Aleksander zawsze wygrywa. Jest szybki i widzi daleko.

Są tylko we dwoje, a ona uczy go robić ciasto na bliny. On nie dba o bliny, bo patrzy tylko na nią. „Szura, ile razy mam ci to tłumaczyć?" Aleksander mruczy: „Według moich obliczeń, robisz to dopiero trzeci raz. Co ja mogę poradzić na to, że wyglądasz tak ślicznie, kiedy gotujesz?"

„Szura..." Ale jest już za późno. Ciasto idzie w kąt.

Tatiana zatrzaskuje drzwi do tego pokoju. Nienawidzi go. Żałuje, że nie spaliła go w Sztokholmie. Wszystko inne poszło z dymem, dlaczego on ocalał?

Anthony potrzebował matki. Nie mógł zostać sierotą ani tutaj w Ameryce, ani tam w Związku Radzieckim. Matka nie mogła go porzucić. Słodkiego chłopczyka z lepkimi rączkami, z buzią umazaną czekoladą i ciemnymi włosami. Tatiana wzdrygała się za każdym razem, kiedy na niego patrzyła, kiedy dotykała jego ciemnych włosów.

– Szura, chodź, umyję ci włosy – mówi, siedząc na ziemi na polanie.

– Taniu, są czyste. Myliśmy je przecież dziś rano.

– Proszę. Chodźmy popływać. Umyję je, dobrze?

– No, dobrze. Ale tylko, jeśli ja będę mógł umyć...

– Zrobisz, co zechcesz. Tylko chodź ze mną.

Wzdrygała się za każdym razem, gdy patrzyła na swojego syna.

Tej nocy wyszła na schody pożarowe, bez płaszcza i czapki, i siedziała nieruchomo, wdychając zimne, słone powietrze. Pachniało tak pięknie. Ale czemu miałoby być inaczej, przecież to Nowy Jork, drugie najpiękniejsze miasto na świecie.

Nowy Jork, pulsujący życiem co dnia, jakby rzeczywiście był sercem planety. Nocą nie obowiązywało już zaciemnienie, wszystkie budynki były jasno oświetlone, jakby bez przerwy wybuchały niezliczone fajerwerki. Na ulicach było tłoczno, wszędzie coś budowano, remontowano, zakładano nowe instalacje, nowe linie telefoniczne. Codziennie o siódmej rano rozlegał się stukot młotków, warkot wiertarek, a towarzyszyły mu syreny, klaksony i szum przejeżdżających żółtych taksówek. W sklepach było pełno towarów, w kawiarniach mnóstwo pączków, w księgarniach książek, co wieczór z każdego baru i z każdej kawiarni płynęła muzyka, a na każdym kroku można się było natknąć na zakochanych. Pod drzewami, na trawie, na ławkach. W Central Parku, gdzie spędzała każdy weekend, nie było ani centymetra wolnego miejsca, a po jeziorze pływało chyba sto łódek.

A potem zapadała noc.

Na maleńkiej wyspie na oceanie, z ramionami wyciągniętymi do Boga, stała Statua Wolności, a na schodach pożarowych siedziała Tatiana. W Nowy Rok, Boże Narodzenie, dwudziestego trzeciego czerwca, trzynastego marca siedziała o trzeciej nad ranem, słuchając dobiegającego przez ocean oddechu jednego tylko mężczyzny.

Ogień powoli dogasa. Aleksander wreszcie znieruchomiał. Nie tylko znieruchomiał, ale zasnął. Nie zsunął się z niej jednak, tylko mocno przytulony zasnął jak kamień. Nie próbuje go nawet ruszyć. Jest taki ciężki, co za radość. Leży na niej, tak blisko. Czuje jego zapach i całuje wilgotne włosy, szorstki policzek. Pieści jego ramiona. Kochać tak bardzo jego umięśnione ramiona to dla niej grzech.

– Szura – szepcze. – Słyszysz mnie, żołnierzu?

Sama nie śpi, tuląc go do siebie przez długi czas. Słucha padającego na zewnątrz deszczu, wiejącego wiatru. W domku jest ciepło, ciemno, przyjemnie. Słucha jego równego oddechu. Kiedy śpi, jest nadal szczęśliwy. Nie dręczą go złe sny ani smutek. Kiedy śpi, jest spokojny. Żyje.

Tatiana wiedziała, że najtrudniej jest żyć dalej. Każdego ranka zaprowadzała synka do przedszkola, po czym szła do pracy na Ellis i leczyła imigrantów. Czasami kupowała po drodze brzoskwinie, niekiedy wiał

wiatr. Usiłowała usłyszeć, co ma jej do powiedzenia, próbowała zrozumieć, co chce jej powiedzieć Bóg Aleksandra, ale nigdy się jej to nie udawało.

Nie opłakiwała swojego życia. Miała wszystko, czego potrzebowała.

Wtedy, na początku, wcale nie było łatwiej, dlaczego więc teraz pogrążała się w tak straszliwej rozpaczy? Na pozór działo się tyle rzeczy… W środku powoli zaczynała się godzić… jakby…

Mogła zamknąć oczy i wyobrazić sobie życie…

Bez niego.

Wyobrazić sobie, że o nim zapomina.

Wojna się skończyła.

Skończyła się Rosja.

Skończył się Leningrad.

Tatiana i Aleksander też należeli już do przeszłości.

Kiedyś to wszystko żyło w niej, ale teraz miała słowa, które potrafiły stępić zmysły. Angielskie słowa, nowe nazwisko, przykrywały przeszłość jak ciepły koc; teraz wiodła nowe życie w niesamowitej, niepoprawnej, pulsującej Ameryce. Nowe życie w cudownym, nowym kraju. Bóg próbował jej wszystko ułatwić, ze wszystkich sił starał się, by zapomniała. Daję ci to wszystko, powiedział. Daję ci wolność i słońce co dnia, ciepło i wygodę. Wakacje spędzane na Sheep Meadow i Coney Island, Vikki za oddaną przyjaciółkę do końca życia, Anthony'ego i Edwarda, gdybyś chciała jeszcze kogoś pokochać. Daję ci młodość i urodę, jeśli zapragniesz, by ktoś jeszcze cię pokochał. Daje ci tętniący życiem Nowy Jork. Pory roku i Boże Narodzenie. Baseball, tańce, brukowane ulice i lodówki, samochód i ziemię w Arizonie. Daję ci to wszystko. Proszę tylko, żebyś o nim zapomniała i przyjęła mój dar.

Tatiana przyjęła go ze spuszczoną głową.

Minął tydzień wypełniony pracą i ludźmi, w których oczach widziała, ile dla nich znaczy. Tydzień pełen Edwarda, w którego oczach widziała, ile znaczy dla niego, i pełen cudownej, niemożliwej Vikki. Chodziły razem do kina, do teatru na Broadwayu i na kursy pielęgniarstwa na uniwersytecie. Tatiana zakładała szpilki i ładną sukienkę i szła do Ricardo's. Tam dopiero

uświadamiała sobie, że udało się jej przeżyć kolejny tydzień tak, jak miała go przeżyć, a Aleksander… powoli odchodził w dal.

Gwiezdny pył opadał. Lecz każdego ranka, płynąc promem na Ellis, Tatiana widziała tylko jedną rzecz.

Nie drugą, trzecią czy kolejną miłość. Nie muzyków, Ricardo's, Vikki czy Jeba. Codziennie widziała wśród fal oczy Aleksandra, a w nich odbicie tego, czym dla niego była. Każdy dzień zapominania, budowania nowego życia zaczynał się od oczu Aleksandra.

Ameryka, Nowy Jork, Arizona, koniec wojny, odbudowa, tańce, buty na szpilkach, pomalowane usta – czym była…

Dla niego.

Co by miała, gdyby znaczyła dla niego mniej? Nic. Związek Radziecki i tyle. Ulicę Piątą Radziecką, dwa nieduże pokoje, paszport, może daczę, gdzie wyjeżdżałaby latem na wakacje z dzieckiem.

Każdy dzień zapominania był dniem pogłębiających się wyrzutów sumienia. Jak mogłaś o mnie zapomnieć, mówił do niej w myślach Aleksander, kiedy to ja dałem ci to wszystko? Jak mogłaś mnie tak szybko zapomnieć, kiedy zapłaciłem za to własnym życiem?

Szybko?

Sama miała już siebie dość.

Szybko, szybko, zapomnij go, żebyś mogła się oddać Jebowi. Zapomnij, Taniu, żebyś mogła się oddać trzeciemu, czwartemu i piątemu mężczyźnie. Aleksander nie żyje, hej ho!

Miesiące, miesiące, miesiące, miesiące.

Aleksander, Aleksander, Aleksander.

Taniu, Taniu…

To ty, wiem, wzywa mnie bezlitosny jeździec, wzywa mnie do…

Łazariewa…

Żyliśmy tam w uniesieniu i ekstazie, jakbyśmy już wtedy wiedzieli, że musi to nam wystarczyć do końca życia.

Czy widzisz nasze łóżko z rozrzuconą pościelą, lampę naftową? Czajnik, w którym gotowałam wodę, stół, który dla mnie zrobiłeś? Widzisz papierosy, które dla ciebie skręcałam, ubrania, które dla ciebie prałam? Moje dłonie na swoim ciele, moje usta i ucho przyciśnięte do twojej piersi, by słuchać bicia serca? Powiedz mi, czy widzisz to wszystko przed sobą, wokół siebie i w sobie?

Niech Bóg cię zachowa, jeśli żyjesz, mój nieugięty Aleksandrze.

A jeśli jesteś moim aniołem stróżem, nie zjawiaj się tu, nie chodź za mną, nie przylatuj, kiedy jest ciemno i zimno. Mieszkam na pustyni, obserwuję wiatr i dzikie kwiaty kwitnące na wiosnę.

Nie przychodź tutaj.

Lepiej poleć ze mną do miejsca, które lubię odwiedzać, leć za mną przez oceany, morza i rzeki, weź mnie za rękę i pozwól się prowadzić przez sosnowe szyszki i mech do Kamy, gdzie zmoczymy stopy w blasku słońca wyglądającego zza surowych szczytów Uralu. A ono obieca nam, że wstanie kolejny dzień, jeden dzień mniej; wstanie, by przeminąć. Chodź ze mną nad rzekę, popłyniemy na drugi brzeg, zmagając się z prądem. Płyniesz, bojąc się, że poniesie mnie aż do Morza Kaspijskiego. Płyń szybciej, szybciej, krzyczę, a ty uśmiechasz się i płyniesz, nie spuszczając ze mnie wzroku. Zawsze jesteś przede mną, odwracasz rozjaśnioną twarz. Leć tam ze mną, spędzimy jeszcze jeden poranek, rozpalimy jeszcze jedno ognisko, wypalisz kolejnego papierosa, jeszcze raz popływamy, jeszcze jeden uśmiech, jeszcze jeden *alskär* do wieczności, którą nazywamy Łazariewo, mój Aleksandrze.

Rozdział trzydziesty piąty

Oranienburg, Niemcy, 1945

Aleksander nie wiedział, jaki to miesiąc, kiedy pociąg wreszcie stanął i kazano im wysiąść.

Już dawno uwolnił się od Uspieńskiego. Teraz skuto go z sympatycznym blondynem, porucznikiem Maksymem Misnojem, który niewiele mówił i dużo spał. Uspieński, ze złamaną szczęką, jechał w innym wagonie.

W pociągu Maksym Misnoj opowiedział Aleksandrowi swoją historię. Kiedy Niemcy napadli na Rosję w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku, zgłosił się na ochotnika na front. Jednak dopiero w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku dostał pistolet. Cztery razy trafiał do niemieckiej niewoli i trzy razy z niej uciekał. Z Buchenwaldu uwolnili go Amerykanie, lecz jako lojalny żołnierz Armii Czerwonej pojechał nad Łabę, by przyłączyć się do bitwy o Berlin. Za odwagę w walce odznaczono go Orderem Czerwonej Gwiazdy. W Berlinie został aresztowany i skazany na piętnaście lat za zdradę. Był zbyt miłym człowiekiem, by wpadać z tego powodu w złość.

Po opuszczeniu pociągu maszerowali dwójkami dwa kilometry przez las. Doszli do drogi wijącej się wśród wysokich drzew, która doprowadziła do białej, bogato zdobionej bramy. Minęli duży, żółty budynek z zegarem na dachu. Po obu jego stronach stali strażnicy z karabinami maszynowymi.

– Buchenwald? – spytał Aleksander Misnoja.

– Nie.

– Auschwitz?

– Nie, nie.

Żelazne litery nad bramą układały się w napis *Arbeit macht frei*.

– Co to znaczy? – spytał idący za nimi mężczyzna.

– Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie[9] – odparł Aleksander.

– Nie – powiedział Misnoj. – To znaczy: Praca was uwolni.

– To właśnie miałem na myśli.

Misnoj się roześmiał.

– To na pewno Obóz Klasy Pierwszej. Dla więźniów politycznych. Najpewniej Sachsenhausen. W Buchenwaldzie nie było takiego napisu. Tam trzymano groźniejszych przestępców.

– Takich jak wy?

– Tak, takich jak ja. – Misnoj się uśmiechnął. – W Buchenwaldzie napis głosił: *Jedem das Seine*. Każdemu co mu się należy.

– Niemcy są tak cholernie inspirujący – powiedział Aleksander.

Nowy komendant obozu potwierdził, że znajdują się w Sachsenhausen. Był to odrażający grubas o nazwisku Brestow, który mówiąc, straszliwie pluł. Obóz Sachsenhausen wzniesiono w tym samym czasie co Buchenwald. Był to obóz pracy, który spełniał też funkcje obozu zagłady, głównie dla homoseksualistów pracujących w cegielni tuż za murami, Żydów i Rosjan. Niemal wszyscy oficerowie radzieccy, którzy przekroczyli jego bramy, zostali tam pochowani. Rosjanie nadali mu nazwę Obóz Specjalny Numer 7, co zakładało oczywiście, że istnieje sześć innych.

Kiedy prowadzono ich przez teren obozu, Aleksander zauważył, że większość więźniów idących z baraków do stołówki lub pralni nie ma na twarzy typowego dla Rosjan wyrazu winy. Wszyscy byli dumni, jak na prawdziwych Aryjczyków przystało.

Okazało się, że miał rację. Większość więźniów w obozie stanowili Niemcy. Rosjan zabrano do specjalnie wydzielonej części, znajdującej się nieco dalej poza murami głównego obozu. Sachsenhausen zbudowano w kształcie trójkąta równoramiennego, lecz podczas wojny Niemcy zorientowali się, że w czterdziestu barakach stojących w obrębie obozu nie

ma miejsca dla jeńców alianckich. Zbudowali więc dwadzieścia dodatkowych baraków w rogu po prawej stronie, najdalej od bramy wjazdowej. Naziści nazwali tę część Obozem Klasy II i trzymali tam aliantów.

Po wojnie Obóz Specjalny Numer 7 podzielono na dwie strefy: Strefa I w głównym obozie służyła jako obóz przejściowy dla niemieckich cywilów i żołnierzy wziętych do niewoli podczas radzieckiego marszu na Niemcy, Strefa II w dodatkowych barakach była przeznaczona dla niemieckich oficerów uwolnionych przez aliantów, lecz schwytanych ponownie i osądzonych za zbrodnie przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Trafiali tam również Rosjanie.

Choć przetrzymywano ich w tej samej części co Niemców, dla Rosjan przeznaczono sześć czy siedem baraków, jedli oni o innych porach i o innej porze mieli apel. Aleksander zastanawiał się jednak, ile czasu upłynie, zanim z powodu wielkiej ciasnoty więźniowie zostaną wymieszani i wszyscy będą traktowani jak wrogowie Związku Radzieckiego.

Pierwszym rozkazem, jaki po przybyciu do obozu otrzymał Aleksander i jego towarzysze, było wzniesienie płotu wokół kawałka terenu położonego obok ich baraków. Miał to być cmentarz dla tych, którzy umierali w Obozie Specjalnym Numer 7. Aleksander doszedł do wniosku, że NKGB wykazało się wielką zapobiegliwością, przygotowując cmentarz zawczasu. Zastanawiał się, gdzie Niemcy grzebali więźniów, którzy zmarli w obozie, choćby syna Stalina.

Kiedy szli przez obóz, pokazano im wgłębienie w murze tuż obok podwórza przemysłowego. W zagłębieniu znajdowało się wybetonowane miejsce do przeprowadzania egzekucji, a obok niego krematorium. Strażnik powiedział im, że tutaj niemieckie świnie pozbywały się radzieckich jeńców, strzelając im w tył głowy przez dziurę w murze.

– Mogę was zapewnić, że żaden jeniec aliancki nigdy nie oglądał tego miejsca – dodał.

– Ciekawe dlaczego? – spytał Aleksander, potrząsając z niedowierzaniem głową.

Zarobił za to cios kolbą karabinu i dzień w obozowym więzieniu.

Aleksander zaczął pracować na podwórzu, dużym ogrodzonym terenie, gdzie Rosjanie wychodzili na spacer i rąbali drewno przywożone z lasów otaczających Oranienburg. Niebawem zgłosił się na ochotnika do rąbania drzew w lasach. Każdego ranka piętnaście po siódmej, tuż po apelu, wychodził z obozu pod strażą i wracał za piętnaście piąta. Pracował bez przerwy, ale za to karmiono go lepiej i mógł przebywać na świeżym powietrzu, pozostawiony własnym myślom. Podobało mu się to, dopóki z końcem września nie nadeszły chłody. W październiku znienawidził tę pracę. Marzył, by znaleźć się w jednym z ciepłych baraków, gdzie robiono garnki i zamki. Przebywanie w zamknięciu nie było idealnym wyjściem, ale przynajmniej było tam ciepło. On stale tkwił w lesie, rozpadające się buty związał kawałkiem sznurka. Rękawice, które mu przydzielono, miały dziury na palcach. Ale przynajmniej mógł się ruszać. Dziesięciu strażników pilnujących dwudziestu więźniów miało na sobie ciepłe ubranie, ale przez całe dziesięć godzin stali w miejscu, przestępując z jednej zmarzniętej nogi na drugą. Niewielka pociecha, pomyślał Aleksander.

Kiedy spadła temperatura, cmentarz zaczął się zapełniać. Aleksandra przydzielono do kopania grobów. W radzieckich obozach Niemcy padali jak muchy. Udało im się przeżyć sześć lat straszliwej wojny, ale w Obozie Specjalnym Numer 7 nie mieli szans. A przywożono ich coraz więcej i zaczynało brakować miejsca. W barakach próbowano stłoczyć coraz więcej więźniów. Prycze stawiano coraz ciaśniej.

Działalnością Obozu Specjalnego Numer 7, znanego niegdyś jako Sachsenhausen, nie kierowała wojskowa administracja w Berlinie. Zarząd obozu spoczywał w rękach Głównego Zarządu Poprawczych Obozów Pracy, czyli GUŁAG.

Dla Aleksandra i pięciu tysięcy Rosjan przebywanie w radzieckim obozie było równoznaczne z zapadnięciem na śmiertelną chorobę, z której nikt nie mógł ich wyleczyć. Nigdy wcześniej nie czuli czegoś podobnego. Wielu z nich miało za sobą pobyt w obozach jenieckich, nieobce im były

zakazy, ograniczenia w poruszaniu się i bezczynność. Jednak nawet podczas najgorszych zim spędzanych w niemieckich obozach wiedzieli, że nie znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Wtedy byli nadal żołnierzami. I mieli nadzieję – na zwycięstwo, ucieczkę, wyzwolenie. Teraz natomiast odnieśli już zwycięstwo, wyzwolenie oznaczało oddanie ich w ręce Rosjan, a z Sachsenhausen nie było ucieczki. Obóz znajdował się przecież w okupowanych przez Rosjan Niemczech. Więzienie i wyrok oznaczały dla nich koniec nadziei, koniec wiary, koniec wszystkiego.

Dzień po dniu, powoli, strumień wspomnień słabł.

Podczas wojny wyobrażał sobie ją całą – jej śmiech, dowcipy, gotowanie. Tak samo w Katowicach i Colditz, choć bardzo tego nie chciał.

Tutaj, w Sachsenhausen, chciał wyobrażać sobie ją całą, ale nie mógł.

Tutaj i na nią padł cień gułagu.

Pieści ją dłońmi. Czuje, jak drży na cały ciele. Chwyta ją za nogi i porusza się na niej, w niej. Przez cały czas ona jęczy bezradnie i drży, szepcząc od czasu do czasu:

– Och, Szura.

Aleksander rozsypuje się na kawałki z podniecenia i przerażenia. Podniecenie jest w niej. Przerażenie w jego rękach, gdy chwyta mocniej jej drżące ciało i wysuwa się z niej na chwilę. Ona niemal krzyczy z rozczarowania, lecz on jej nie słucha. Teraz należy tylko do niego i zrobi z nią, co chce. A wie, czego chce. Musi przytulić ją jeszcze mocniej, poczuć, jak rozpływa się w jego rękach i otacza go gorącą falą. Kiedy jest tak bezradna i tak bardzo go potrzebuje, silniej czuje, że jest mężczyzną. Lecz czasami, kiedy tuli ją tak mocno, pragnie tylko, by Łazariewo nie znikło. Nie może jej tego dać – a ona tego właśnie pragnie najbardziej. On też. Daje jej więc, co może.

– Dobrze ci, maleńka? – szepcze.

– Och, Szura – słyszy jej szept. Wciąż ma zamknięte oczy. Obejmuje go ramionami za szyję.

– To jeszcze nie koniec. Boże, ty drżysz.

– Szura, nie mogę... nie mogę... och, to jest to...

– Tak, najdroższa, tak. To jest to.

Zamyka oczy i słyszy jej krzyk.

Nie przestaje.

Jeszcze jeden krzyk.

Teraz jestem mężczyzną, teraz, kiedy ciało mojej ukochanej drży w moich rękach, nareszcie stałem się mężczyzną.

Znowu krzyk.

– Boże, kocham cię, Taniu – szepcze w jej włosy, nie otwierając oczu.

Sam też ma ochotę krzyczeć.

Czuje, jak jej ciało się odpręża. Leży spokojnie, gładząc go po włosach.

– Dobrze? – pyta.

– Jestem wykończona – odpowiada.

A on jeszcze nawet nie zaczął.

Teraz wyobrażał sobie tylko to. Nic innego. Nie było polany, księżyca i rzeki. Ani łóżka, koców, trawy, ognia. Nie było łaskotania, zabaw, gry wstępnej. Końca ani początku. Była tylko leżąca pod nim Tania. Tulił ją do siebie. Zawsze obejmowała go mocno rękami za szyję, opasywała nogami. I nigdy nie milczała.

Bo także i na nią padł cień gułagu, gdzie nie było mężczyzn.

Nie jesteśmy mężczyznami. Nie żyjemy i nie zachowujemy się jak mężczyźni. Nie polujemy, by zdobyć jedzenie – może tylko wtedy, gdy strażnicy nie patrzą – nie chronimy kobiet, które nas kochają, nie budujemy domów dla naszych dzieci, nie korzystamy z narzędzi, które dał nam Bóg. Nie używamy niczego, ani siły, ani mózgu, ani penisa.

Wojna określała nas wszystkich. Podczas wojny zawsze wiedziałeś, kim jesteś. Byłeś majorem. Kapitanem. Podporucznikiem, porucznikiem. Byłeś wojownikiem. Nosiłeś broń, jeździłeś czołgiem, prowadziłeś swoich ludzi do bitwy, wykonywałeś rozkazy. Wszyscy odgrywali wyznaczoną rolę. Nie zawsze był czas na sen, nie zawsze byłeś suchy, wiele razy byłeś głodny, a od czasu do czasu obrywałeś. Ale nawet tego można się było spodziewać.

Tutaj nikomu nic z siebie nie dajemy. Przestaliśmy być ludźmi, a co gorsza przestaliśmy być mężczyznami. Nawet nie walczymy jak na wojnie. Wtedy byliśmy wszyscy zwierzętami, ale przynajmniej samcami. Parliśmy

do przodu. Wbijaliśmy się w linie przeciwnika. Penetrowaliśmy jego obronę. Przełamywaliśmy ją. Walczyliśmy jak mężczyźni.

Teraz pracują nad nami, by zwrócić nas społeczeństwu jako eunuchów. Pozbawionych męskości odeślą nas do niewiernych żon, do miast, w których nie możemy mieszkać, do życia, którego nie możemy znieść. Nie została w nas już ani odrobina męskości, byśmy mogli zaoferować ją naszym żonom, dzieciom.

Mamy tylko swoją przeszłość, której nienawidzimy. Przeszłość, w której byliśmy mężczyznami, zachowywaliśmy się jak mężczyźni, pracowaliśmy i walczyliśmy jak mężczyźni.

I kochaliśmy jak mężczyźni.

Gdyby tylko...

Jeszcze dziewięć tysięcy takich dni.

Do chwili...

Gdy wrócimy do świata, który ocaliliśmy przed Hitlerem.

Po pewnym czasie nie widział już jej piersi, twarzy, nie słyszał głosu. Wszystko znikło.

Pozostał tylko on prowadzący ją na szczyt rozkoszy.

Ale wkrótce i to odeszło w niepamięć.

Wziął ostry zamach, spojrzał na drzewo i opuścił siekierę. Z każdym ciosem rozbijał na kawałki swoje życie.

Czy tak mało mu na nim zależało, by tak szybko z wszystkiego rezygnować? Ile razy los prowadził go do Finlandii? Zawsze musiał zająć się czymś innym. Syn Stiepanowa – tego dnia naprawdę nie mógł postąpić inaczej.

Albo w czasie blokady, gdy wypierał Finów na północ Karelii? Miał automatyczną broń przeciwko pięciu enkawudzistom uzbrojonym w jednostrzałowe karabiny. Po paru sekundach byliby martwi. A on wolny.

Nie, musiał poczekać, aż Dmitrij go zniszczy, zniszczy Tatianę.

Machał siekierą, zdumiony swoim własnym postępowaniem.

Przecież mógł uciec, zapomnieć o niej. Ona też by o nim zapomniała. Przeżyłaby wojnę, zamieszkała w Leningradzie, wyszła za mąż i miała dwa pokoje dla siebie, męża i jego matki. Miałaby jedno dziecko. Nigdy by się nie dowiedziała, że mogło być inaczej. Ale on wiedział. Teraz oboje już wiedzieli. Teraz żyją z dala od siebie, z tą tylko różnicą, że ona chodzi w szpilkach i maluje usta. Wracający z wojny żołnierze zalecają się do niej, a ona mówi: „Och, miałam kiedyś męża, ale on nie żyje, chodź, zatańcz ze mną, spójrz na moje szpilki i cudne jasne włosy, chodź, chcę w tańcu zapomnieć o wojnie, ja żyję, żyję, on zginął, było mi smutno, to prawda, ale wojna już się skończyła, znów mogę oddychać, a teraz tańczę".

Kolejny cios siekierą.

Wdycham zimne powietrze, wdycham lód, który mrozi mi płuca, a zionę ogniem.

Nie uciekłem, bo byłem aroganckim draniem. Myślałem, że mi się uda. Myślałem, że jestem nieśmiertelny. Śmierć nigdy mnie nie dopadnie. Byłem od niej silniejszy i mądrzejszy. Silniejszy i mądrzejszy niż Związek Radziecki. Skoczyłem trzydzieści metrów w dół do Wołgi, uciekałem przez pół kraju, nie złamały mnie Kriesty, nie złamał Władywostok ani tyfus.

Złamała mnie Tatiana.

Kiedy mnie stąd wypuszczą, będę miał pięćdziesiąt jeden lat.

Po chwilach spędzonych z nią czuł się taki stary.

Aleksander zbyt długo przebywał w lesie. Zbyt długo był sam ze swoimi myślami. Cisza panująca w lesie była lodowato przerażająca. Rozejrzał się. Nagle usłyszał jakiś hałas. Co to? Wstrzymał oddech. Czy znów to usłyszy?

Tak. Gdzieś niedaleko rozległ się cichy śmiech. Ustawił drewniany blok i uniósł siekierę. Zamarł w bezruchu.

Znów ten znajomy dźwięk, tak znajomy, że poczuł ucisk w sercu. Tatiana, szepnął.

Podchodzi do niego, jest bardzo blada. Ma na sobie kostium kąpielowy w kropki. Długie włosy powiewają na wietrze. Podchodzi i siada na drewnianym bloku. Nie

może dalej rąbać, więc zapala papierosa i patrzy na nią w milczeniu. Nie wie, co powiedzieć.

– Aleksandrze. – Ona odzywa się pierwsza. – Ty żyjesz. I strasznie się postarzałeś. Co się z tobą stało?

– Jak wyglądam?

– Jakbyś miał prawie pięćdziesiąt lat.

– Bo mam pięćdziesiąt lat.

Tatiana się uśmiecha.

– Ty masz pięćdziesiąt, a ja siedemnaście. – Śmieje się melodyjnie. – Ależ to życie jest niesprawiedliwe. La-la-la.

– Taniu, pamiętasz Łazariewo? Nasze lato w czterdziestym drugim?

– Jakie lato? Jaki czterdziesty drugi? Przecież umarłam w czterdziestym pierwszym. Już zawsze będę mieć siedemnaście lat. Pamiętasz Daszę? Dasza! Chodź tutaj! Zobacz, kogo znalazłam.

– Taniu, co to znaczy? Przecież ty nie umarłaś. Spójrz tylko na siebie. Poczekaj, nie wołaj Daszy.

– Dasza, no chodź! Oczywiście, że umarłam. Myślisz, że przeżyłyśmy z siostrą Leningrad? Nie. Nie mogłyśmy. Pewnego ranka nie byłam już w stanie przynieść wody. Ani iść po chleb. Położyłyśmy się razem na łóżku i było nam bardzo dobrze. Nie mogłyśmy się ruszać. Przykryłam nas kocem. Ogień zgasł. Skończył się chleb. I już nie wstałyśmy.

– Nie, poczekaj.

Tania się uśmiecha. Widzi białe zęby, piegi, jasne włosy, piersi, wszystko.

– Dlaczego rąbiesz drewno, Aleksandrze?

– Taniu... a co ze mną? Dlaczego ci nie pomogłem?

– Nie pomogłeś w czym?

– Dlaczego nie przynosiłem ci jedzenia, nie wywiozłem z Leningradu?

– O co ci chodzi? Nie widziałyśmy cię od września. Dokąd pojechałeś? Powiedziałeś, że ożenisz się z Daszą, a potem zniknąłeś. Myślała, że uciekłeś od niej.

– Od niej? – pyta przerażony Aleksander. – A co z tobą?

– Co ze mną? – pyta wesoło.

– Z naszą rozmową u Świętego Izaaka? Co z Ługą?

– O czym ty mówisz? Jaki Święty Izaak? Jaka Ługa? Dasza, gdzie jesteś? Nie uwierzysz, kogo spotkałam!

– Taniu, dlaczego zachowujesz się tak, jakbyś mnie nie znała? Dlaczego udajesz? Łamiesz mi serce. Przestań, proszę. Powiedz mi coś, co mnie pocieszy.

Tatiana przestaje podskakiwać, nieruchomieją warkocze. Patrzy na niego zdumiona.

– Aleks, co ty...

– Jak mnie nazwałaś?

– Aleks...

– Nigdy tak do mnie nie mówiłaś.

– Co ty? Zawsze tak cię nazywaliśmy.

Aleksander rozpaczliwie próbuje się obudzić. Nie może już dalej śnić. Oszaleje. Ale przecież nie śpi. Leży przed nim siekiera. Tatiana podskakuje na jednej nodze.

– Taniu, a co z Ługą?

– W Łudze była nasza dacza. Myśleliśmy, że wrócimy tam po wojnie, ale się nie udało.

– Skąd mnie znasz? – pyta. – Skąd wiesz, kim jestem?

– O co ci chodzi? – W lesie rozbrzmiewa perlisty śmiech. – Jesteś chłopakiem mojej siostry.

– Jak się poznaliśmy?

– Przedstawiła nas sobie. Opowiadała o tobie całymi tygodniami. Wreszcie przyszedłeś na obiad.

– Kiedy?

– Nie wiem. Gdzieś w lipcu.

– A co z czerwcem? Dwudziestego drugiego czerwca? Przecież poznałaś mnie w czerwcu. Wybuchła wojna i spotkaliśmy się na przystanku, pamiętasz?

– Dwudziestego drugiego czerwca? Skądże.

– Nie jadłaś lodów na ławce?

– Tak...

– Czy jakiś żołnierz... ja... nie patrzył na ciebie po drugiej stronie ulicy?

– Nie było żadnego żołnierza – odpowiada Tatiana zdecydowanym tonem. – Ulica była pusta. Jadłam lody, potem wsiadłam do autobusu i pojechałam na Newski Prospekt. Kupiłam trochę kawioru. Nie wystarczyło na długo. Nie pomógł nam przetrwać zimy.

– Gdzie ja wtedy byłem?! – krzyczy Aleksander.

– Nie wiem – odpowiada wesoło Tatiana, wciąż podskakując. – Nikogo nie widziałam.

Pobladły patrzy na jej twarz. Nie widać na niej ani cienia uczucia, tylko lekkie rozbawienie.

– Dlaczego nie pomogłem twojej siostrze podczas blokady?

– Nie wiem, czy to prawda, Aleksandrze – mówi, zniżając głos do pełnego podniecenia szeptu – ale Dmitrij powiedział nam, że uciekłeś! Uciekłeś do Ameryki, zupełnie sam! Czy to prawda? Zostawiłeś nas i uciekłeś? – Śmieje się. – Ameryka jest taka rozkoszna! Daszo, chodź tu szybko. – Odwraca się do Aleksandra. – Rozmawiałyśmy o tym z Daszą przez całą zimę. Nawet kiedy leżałyśmy w łóżku w ten ostatni ranek, mówiłyśmy: Uwierzysz? Aleksandrowi musi być teraz ciepło i na pewno nie jest głodny. Czy w czasie wojny w Ameryce działało ogrzewanie? Mieliście biały chleb?

Aleksander już dawno opadł na kolana. Klęczy teraz w śniegu.

– Taniu... – mówi rozpaczliwym tonem, podnosząc na nią wzrok. – Tatiu...

– Jak mnie nazwałeś?

– Tatiaszo, moja żono, Taniu, matko mojego dziecka, nie pamiętasz naszego Łazariewa?

– Czego? – Marszczy brwi. – Aleksandrze, zachowujesz się bardzo dziwnie. O czym ty mówisz? Nie jestem twoją żoną. Nie byłam niczyją żoną. – Śmieje się i wzrusza ramionami. – Dziecko? Wiesz doskonale, że nigdy nie miałam chłopaka. – Jej oczy błyszczą. – Musiałam żyć życiem mojej cudownej siostry. Daszo, no chodź, zobacz, kogo znalazłam. Opowiedz mi coś jeszcze o tym twoim Aleksandrze. Jaki on był? – Biegnie, podskakując. Nie odwraca się. Niebawem w lesie cichnie echo jej śmiechu.

Aleksander upuścił siekierę, wstał i zaczął iść przed siebie.

Złapali go w lesie i sprowadzili z powrotem do obozu. Po dwóch tygodniach spędzonych w obozowym więzieniu otworzył zamki w kajdanach szpilką, którą nosił w bucie. Skuli go ponownie i zabrali buty. Otworzył zamek słomką, znalazł ją na betonowej podłodze izolatki. Pobili go i powiesili za nogi na dwadzieścia cztery godziny. Próbując się unieść, zwichnął obie kostki.

Po tym wszystkim zostawili go w więzieniu na kupce słomy, z rękami skutymi nad głową. Trzy razy dziennie wsuwali mu do ust kawałek chleba.

Pewnego dnia Aleksander odwrócił głowę. Nie chciał jeść. Ale przyjął wodę.

Następnego dnia znów nie chciał jeść.

Przestali przynosić mu chleb.

Pewnej nocy otworzył oczy. Było mu zimno i chciało mu się pić. Był brudny i bolało go całe ciało. Nie mógł się poruszyć. Próbował przyciągnąć trochę słomy, żeby się okryć, ale bez skutku. Odwrócił głowę w lewo i wpatrywał się w ścianę. Po chwili odwrócił się w prawo i gwałtownie zamrugał powiekami.

Przy ścianie siedział w kucki Harold Barrington. Ubrany w jasne spodnie i białą koszulę, miał gładko zaczesane włosy. Wyglądał młodo, o wiele młodziej od Aleksandra. Milczał przez długą chwilę. Aleksander nie mrugał, bał się, że jeśli to zrobi, ojciec zniknie.

– Tato? – szepnął.

– Aleksandrze, co się z tobą dzieje?

– Nie wiem. Chyba już wszystko skończone.

– Nasz nowy kraj odwrócił się od ciebie.

– Tak.

– Zdradził cię, wciągając w tę idiotyczną wojnę. Zrobił to raz jeszcze, gdy nie pozwolił, by w obozie jenieckim traktowano cię jak człowieka, a teraz robi to po raz trzeci, karząc cię za to, że go uratowałeś.

– Tak. A moi przyjaciele albo zginęli, albo gdzieś przepadli.

– Zapomnij o nich. Ożeniłeś się?

– Tak.

– Gdzie jest twoja żona?

– Nie wiem. – Aleksander zawiesił głos. – Nie widziałem jej od dawna.

– Czeka na ciebie?

– Chyba już nie. Ma nowe życie.

– A ty? Czy masz swoje życie?

– Tak. Żyję życiem, jakie sobie zgotowałem.

W ciemnościach Harold milczał przez chwilę.

– Nie, synu – powiedział. – Żyjesz życiem, jakie ja ci zgotowałem.

Aleksander bał się zamrugać.

– Myślałem, że daleko zajdziesz, Aleksandrze. Razem z matką byliśmy tego pewni.

– Wiem, tato. Przez jakiś czas było mi tam nawet dobrze.

– Planowałem dla ciebie zupełnie inne życie.

– Ja też.

Harold stanął nad Aleksandrem.

– Gdzie jest mój syn? – szepnął. – Gdzie jest mój chłopiec? Gdzie jest Aleksander Barrington? Chcę go odzyskać. Chcę go zanieść do łóżka, tak jak robiłem, gdy był malutki.

– Jestem tutaj – powiedział Aleksander.

– Poproś o chleb – powiedział Harold łamiącym się głosem. – Proszę cię. Nie bądź taki dumny.

Aleksander nie odpowiedział.

Harold pochylił się nad nim i szepnął:

– „Jeżeli umiesz zmusić każde ścięgno, by ci służyło nawet, gdy rwie ból lub «stój» rzec, gdy nic nie ma za potęgą, która pozwala wyrzec słowo «Stój!»”[10]

Aleksander zamrugał. Harold zniknął.

---

9 Napis nad bramą piekieł z I części Boskiej komedii Dantego Alighieri.

10 Rudyard Kipling, *Jeśli*, przeł. Michał Kuźmiński.

Rozdział trzydziesty szósty

Nowy Jork, grudzień 1945

Tatiana kładła Anthony'ego spać, gdy spytał nagle:

– Mamo, czy Jeb będzie moim tatą?

– Raczej nie, kotku.

– A Edward?

– Może. Lubisz go?

– Tak. Jest dla mnie miły.

– Edward jest bardzo dobrym człowiekiem, kochanie.

– Mamo, opowiedz mi jakąś historię.

Uklękła przy łóżeczku, składając ręce jak do modlitwy.

– Chcesz usłyszeć o tym, jak Puchatek i Prosiaczek znaleźli wielki garnek miodu i Puchatek utył tak straszliwie, że musiał przejść na dietę...

– Nie. Opowiedz mi jakąś straśną.

– Nie znam żadnych strasznych historii.

– Straśną – prosił Anthony zdecydowanie.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Dobrze, opowiem ci o Danae, kobiecie zamkniętej w skrzyni.

– Kobieta w skrzyni?

– Tak. Przedstawiający ją obraz, namalowany przez wielkiego mistrza Rembrandta, wisiał w muzeum w mieście, w którym się urodziłam, w Leningradzie. Ale kiedy wybuchła wojna, wszystkie obrazy z muzeum wywieziono i nie wiem, czy Danae jest teraz bezpieczna.

– Opowiedz mi o kobiecie w skrzyni, mamo.

Tatiana wzięła głęboki oddech.

– Dawno, dawno temu żył wielki tchórz o imieniu Akrizjos. Miał córkę, której dał na imię Danae.

– Była młoda?

– Tak.

– Była piękną księżniczką? – zachichotał Anthony.

– Tak. – Tatiana zawiesiła głos. – Ale na dworze Akrizjosa żył wieszcz…

– Kto to jest wieszcz?

– Osoba, która przepowiada przyszłość. I ten wieszcz ostrzegł Akrizjosa, że zabije go syn jego córki. Akrizjos okropnie się wystraszył…

– Nie chciał umierać?

– Zgadza się. Zamknął więc Danae w spiżowej wieży, żeby nikt nie mógł się do niej dostać i by nie mogła urodzić dziecka.

Anthony się uśmiechnął.

– Ale ktoś się przedostał?

– Tak. Zeus. – Tatiana zacisnęła dłonie. – Zeus zamienił się w złoty deszcz i tak przedostał się do komnaty Danae. Kochał ją i dał jej syna. Wiesz, jak go nazwali? Perseusz.

– Perseusz – powtórzył Anthony.

Tatiana skinęła głową.

– Kiedy Akrizjos się dowiedział, że jego córka urodziła syna, przestraszył się tak okropnie, że nie wiedział, co robić. Nie odważył się zabić chłopca, ale nie mógł też zostawić go przy życiu. Zamknął go więc razem z Danae w skrzyni i wrzucił do wzburzonego morza.

Anthony chłonął każde jej słowo.

– Płynęli tak bez jedzenia, zupełnie sami. Danae bardzo się bała, ale Perseusz nie. – Tatiana się uśmiechnęła. – W swoim małym serduszku wiedział, że jego ojciec nie pozwoli, by stało mu się coś złego. Ani Danae. – Zawiesiła głos. – I miał rację. Zeus poprosił Posejdona, boga mórz, by uciszył fale, żeby mogli spokojnie dopłynąć do brzegów jednej z greckich wysp.

Anthony uśmiechnął się radośnie.

– Wiedziałem, że nic im się nie stanie. – Odetchnął głęboko. – Czy potem żyli długo i szczęśliwie?

– Tak.

– A co się stało z Perseuszem?

– Kiedy będziesz trochę starszy, opowiem ci, co szykował dla niego los.

– Będziesz moim… wieszczem?

– Tak.

– Ale on nie umarł?

– Och, nie. Wyrósł na wspaniałego młodzieńca. Mieszkańcy wyspy wiedzieli, że pochodzi z królewskiego rodu, że jest synem nie tylko króla, ale i boga. Był bardzo silny, uprawiał różne dyscypliny sportu, zawsze był lepszy od innych zawodników, ale myślał tylko o wielkich czynach, dzięki którym mógłby udowodnić, że jest prawdziwym bohaterem.

Anthony patrzył na nią rozszerzonymi oczami.

– I został bohaterem?

– Tak, synku. Wielkim. Kiedy troszkę urośniesz, opowiem ci, co zrobił z Meduzą i z morskim potworem. Ale teraz śpij już słodko. Niech ci się śni lunapark, wata na patyku i zabawa w chowanego, dobrze?

– Mamo, poczekaj… czy wieszcz miał rację? Czy Perseusz zabił… tego człowieka?

– Tak. Zabił Akrizjosa. Ale przypadkiem. Wcale tego nie chciał.

– Dobrze więc zrobił, że ich wysłał na morze.

– Chyba tak. Ale na niewiele się to zdało, prawda?

– Nie. To wcale nie była straśna historia. Może następny raz opowiesz mi o morskim potworze?

– Zobaczymy. Kocham cię. – Zamknęła za sobą drzwi pokoju.

Vikki wyszła na cały wieczór, na kolejne świąteczne przyjęcie w szpitalu. Zapraszała Tatianę, ale ta nie miała ochoty tam iść. Siedziała przy kuchennym stole z filiżanką herbaty i rozłożonym „New York Timesem”, słuchając nadawanej przez radio relacji z procesu w Norymberdze. Nagle rozległ się dzwonek do drzwi.

Jeb. W białym mundurze, wysoki, postawny i...

– Co ty tu robisz? – spytała zaskoczona. Nie spodziewała się go.

– Przyszedłem się z tobą zobaczyć – powiedział. Odepchnął ją i wszedł do środka.

– Wejdź – mruknęła i zamknęła drzwi. – Jest trochę późno.

– Trochę późno na co?

Tatiana weszła do kuchni.

– Napijesz się herbaty?

– Może piwa? Masz piwo?

– Nie. Tylko herbatę.

Zaparzyła świeżą filiżankę i usiadła spięta na kanapie obok niego. Jeb wypił łyk i odstawił filiżankę.

– Nie ma tej Vikki?

– Wyszła na chwilę.

– O jedenastej w nocy?

– Zaraz wróci.

– Hmmm. – Jeb nie spuszczał z niej wzroku. – Wiesz, właśnie przyszło mi do głowy, że nie mieliśmy okazji choć chwilę pobyć sam na sam. – Pogładził ją po udzie.

– Naprawdę? – Nie odsunęła się.

– Tak. Dlaczego nie chcesz przyjść do mnie?

– Przecież mieszkasz z Vincentem.

– A co to ma wspólnego z nami?

– Też nie jesteś sam.

– Tak, a tutaj zawsze się kręci Vikki – powiedział z wyrzutem. – I Anthony.

– Anthony nie ma dokąd pójść – odparła powoli Tatiana.

– Hmmm. Teraz śpi?

– Tak, bardzo niespokojnie.

– Hmmm. – Popchnął ją na kanapę. Poczuła jego usta na swoich.

– Poczekaj – powiedziała, kręcąc głową. – Nie mogę oddychać. – Chciała go odepchnąć, ale nie ruszał się z miejsca.

– Hej… pachniesz tak ślicznie… i jesteśmy sami.

– Odsuń się, proszę.

– Och, Taniu, kochanie, nie wiesz, z kim masz do czynienia.

– Ty też nie wiesz, z kim masz do czynienia – rzuciła, siłą odpychając jego twarz od swojej. Zsunęła się na podłogę. – Jeb, przepraszam – powiedziała, ciężko dysząc. – Jestem zmęczona. Jutro muszę wstać bardzo wcześnie. Możesz już iść?

– Iść? – spytał poirytowanym głosem. – Nigdzie nie pójdę. Nie pójdę, dopóki… – Zawiesił głos. – Jak myślisz, po co tu przyszedłem?

– Nie wiem i nie zamierzam zgadywać. Chyba po to, żeby ze mną walczyć. A ja nie jestem w nastroju.

– Wcale nie będę z tobą walczył. – Wstał z kanapy i podszedł do niej. – Też nie jestem w nastroju.

– Ja nie jestem w nastroju do niczego. – Patrzyła na jego mundur, wysoką sylwetkę i czarne włosy pełnym odrazy wzrokiem. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Czy zdołał ją przejrzeć aż tak bardzo?

– Taniu, czuję, że bawisz się ze mną – rzucił, siadając na kanapie.

– Wcale nie. Musimy się tylko lepiej poznać, to wszystko.

– Przecież znamy się już doskonale. A prawdę mówiąc, mam ochotę poznać cię jeszcze lepiej.

Tatiana spojrzała na niego lodowato. Siedział z rozłożonymi nogami, opierając ramiona na kanapie.

– W pokoju obok śpi moje dziecko. Co ty sobie wyobrażasz? Podnosisz głos i zachowujesz się bardzo dziwnie. – Ruszyła w stronę drzwi.

Zerwał się z kanapy i chwycił ją za ramię.

– Nie wyjdę stąd.

– Wyjdziesz, Jeb – powiedziała zdecydowanym tonem. – Jeśli chcesz mnie jeszcze kiedykolwiek zobaczyć, to wyjdziesz stąd natychmiast.

– To groźba? – Chwycił ją za sweter. – A co mi zrobisz? – parsknął śmiechem. – Wykopiesz mnie? Powstrzymasz?

– Tak i tak.

Przyciągnął ją do siebie.

– Widzę, jak na mnie patrzysz – szepnął. – Myślisz, że tego nie widać, ale mylisz się. Wiem, że ty też tego pragniesz.

– Przestań. – Spróbowała uwolnić się z jego uścisku. Poczuła nagłe ukłucie smutku. Było jej żal samej siebie.

Roześmiał się i przytrzymał ją jeszcze mocniej. Uszczypnęła go mocno w nadgarstek.

– Opanuj się.

– Au! – wykrzyknął. – Chcesz grać ostro? Tego właśnie pragniesz? – Rzucił ją na kanapę.

– Nie rozumiesz? – wydyszała. – Niczego od ciebie nie chcę. Popełniłam straszliwy błąd.

– Za późno, maleńka. Nie będę się już obchodził z tobą jak ze śmierdzącym jajkiem.

Była uwięziona pod jego ciężarem i miała tak dość samej siebie, że nie wiedziała, co robić. Kochał mnie Aleksander, pomyślała. Nie mogę tak żyć. Udając, że go całuje, ugryzła go mocno w wargę. Wrzasnął z bólu, a ona szybko go odepchnęła i zerwała się z kanapy. Skoczył za nią i zanim zdołała się uchylić, uderzył ją prosto w twarz. Upadła na podłogę, lekko zamroczona, lecz natychmiast się poderwała, bo usłyszała jakiś szmer przy drzwiach sypialni. Anthony stał tuż przy ścianie.

– Nie rób krzywdy mojej mamie – powiedział drżącym głosem.

Tatiana podczołgała się do niego.

Jeb zaklął i wytarł krew z rozciętej wargi.

Tatiana wepchnęła synka z powrotem do sypialni.

– Zostań tutaj – szepnęła – i nie wychodź, choćby nie wiem, co się działo. Słyszysz?

Weszła szybko do garderoby i znalazła swój czarny plecak schowany głęboko w rogu.

Anthony stał jak wmurowany, przygryzając dolną wargę.

– Słyszałeś? Nie wolno ci stamtąd wychodzić.

Skinął głową.

Zamknęła drzwi za sobą. Z nosa ciekła jej krew i czuła, że oko zaczyna puchnąć.

Spojrzała na Jeba, jakby widziała go pierwszy raz w życiu. Jak mogła się tak pomylić? Myślała, że on zastąpi jej choć część Aleksandra, tę, której pragnęła najbardziej, że poczuje się przez to lepiej, nareszcie zazna spokoju. I co narobiła?

Oddychając ciężko, wymierzyła niemiecki pistolet P-38 w rozbawionego Jeba.

– Wynoś się z mojego mieszkania – powiedziała.

Spojrzał zaskoczony na broń i parsknął śmiechem.

– A skąd wyciągnęłaś tę zabawkę?

– Dał mi ją mój mąż i ojciec mojego syna, żebym mogła się bronić przed kanibalami. Mój mąż był majorem Armii Czerwonej i wiedział, jak tego używać. Nie muszę chyba dodawać, że mnie też nauczył. A teraz się wynoś.

Stojąc w lekkim rozkroku, trzymała pistolet w obu dłoniach.

– A jest przynajmniej naładowany? – spytał z pogardą Jeb.

Tatiana odciągnęła kurek, przesunęła lufę lekko na lewo, odetchnęła głęboko i wypaliła. Jeb zachwiał się i upadł na podłogę. Kula wyrwała dziurę w tynku i utknęła w zewnętrznej ścianie. Rozległ się wielki huk, ale Anthony nie wyszedł z sypialni. Z mieszkania na dole dobiegły podniesione głosy, nakazujące ciszę.

Tatiana podeszła do Jeba i uderzyła go mocno w twarz lufą pistoletu.

– Tak. Jest naładowany – powiedziała. – A teraz wynoś się stąd, do cholery.

– Odbiło ci?! – wrzasnął, zasłaniając się rękami.

Odsunęła się o krok i wymierzyła ponownie.

– Jeszcze tego pożałujesz! I to bardzo. Możesz być pewna, że już tu nie wrócę. – Wstał z podłogi. Nadal mierzyła do niego z pistoletu.

– Mam nadzieję, że jakoś sobie z tym poradzę. Wynocha.

Kiedy wyszedł, zaryglowała drzwi i zapięła łańcuch. Umyła twarz i ręce. Poszła do sypialni. Anthony siedział skulony w rogu pokoju. Zaniosła go

z powrotem do łóżka, otuliła kołdrą, lecz nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Poklepała go tylko po plecach i wyszła.

Drżąc z zimna, usiadła na schodach pożarowych. Sześć pięter poniżej zawyła syrena karetki pędzącej Church Street.

To już koniec, pomyślała. Koniec. Czuję to. Nie mogę już dalej. Położę się na jego sankach, zamknę oczy, a on pociągnie mnie do mieszkania przy Piątej Radzieckiej. Jednak kiedy tam dotrzemy, nie poczuję dotyku jego dłoni na policzku.

Spuściła wzrok na swoje kolana i na pistolet. Wciąż było w nim osiem naboi. To potrwa tylko sekundę, pomyślała. Nie, nawet nie tyle. Jedna tysięczna sekundy i wszystko się skończy. Jakie to proste.

Zamknęła oczy. Co za ulga. Nie będzie musiała już więcej się budzić. Nie będzie musiała myśleć o nim, leżącym na lodzie.

Co za ulga.

Nie będzie się już więcej dusić.

Ani kochać.

Ani cierpieć, pragnąć. Tak jakbym miała prawo wyłącznie do smutku. Jakby był nie tylko moim celem, nieodłącznym towarzyszem, ale i racją bytu. Pieszczę ten smutek, jak kiedyś pieściłam Aleksandra; dopóki towarzyszy mi smutek, on jest również przy mnie; jeśli udaję, że żyję, mogę być blisko niego. Hołubię ten smutek już blisko trzy lata, czołgam się przez życie w rozpaczy. Zostaw mnie już w spokoju. Chcę spojrzeć nawet na smutek z pasją i żarem.

Myśleliśmy, że jestem silna. Myśleliśmy, że mi się uda. Myśleliśmy, że uda mi się z tym żyć.

Ale byliśmy w błędzie.

Nie daję sobie rady.

Choć tak bardzo tego pragnę. Tak bardzo.

Co za ulga. Nie musiałabym już żyć za nas oboje. Co za radość. Spojrzała na trzymany w dłoniach pistolet.

Pogrążona w rozpaczy, usłyszała nagle głos synka.

– Mamo?

Stał w piżamie przy otwartym oknie. Z drżącymi ustami patrzył, jak jego matka trzyma w rękach pistolet.

– Anthony – powiedziała – wracaj do swojego pokoju.

– Nie. Chcę, żebyś ty mnie położyła.

– Wracaj do łóżka. Zaraz do ciebie przyjdę.

– Nie. Chodź ze mną teraz. – Zaczął płakać.

Raz jeszcze spojrzała na pistolet. Położyła go na metalowym stopniu schodów i weszła do pokoju.

Położyła Anthony'ego do łóżka i przykryła.

– Vikki zaraz wróci – szepnęła.

– Nie. Nie chcę Vikki. Chcę ciebie. Połóż się obok mnie.

– Anthony...

– Mamo, połóż się.

Tatiana wyciągnęła się na łóżku syna, próbując nie urazić się w podbite oko. Objęła Anthony'ego.

– Zostań tutaj – powiedział. – Zaśnij ze mną, mamo.

Leżeli w milczeniu.

– Synku, od teraz wszystko będzie już dobrze – powiedziała po chwili . – Obiecuję ci. To obietnica twojego taty, nie moja. Wszystko będzie dobrze.

– Czy mój tato naprawdę był majorem Armii Czerwonej? – spytał cicho Anthony.

– Tak.

– On by nie chybił.

– Ciii.

Tatiana myślała o czekającym ją następnym dniu.

Znów będzie żyć w strachu, a co gorsza, żyć w szponach śmierci. Ale i kochać. Kochać dzięki niemu. Odwagi, Tatiano. Odwagi, maleńka. Odwagi, moja żono. Wstań, wstań dla mnie i żyj dalej. Opiekuj się naszym synem, a ja będę opiekował się tobą.

Aleksander, jej anioł stróż. Jej najdroższy Aleksander unosi się nad nią, pogrążoną w smutku, i szepcze: *Taniu, pamiętasz, co powiedziałaś swojej siostrze, gdy umierała na lodzie, na Drodze Życia, kiedy upadła na śnieg i nie*

mogła zrobić ani kroku dalej? Powiedziałaś jej: Wstawaj, Dasza. Aleksander próbuje uratować ci życie. Pokaż mu, że ono coś znaczy. Wstań i podejdź do ciężarówki.

Ja teraz mówię ci to samo. Pokaż mi, że twoje życie coś znaczy. Wstań i podejdź do ciężarówki, Taniu.

Leżała przy Anthonym, dopóki nie zasnął. Było już bardzo późno, ale Vikki jeszcze nie wróciła. Tatiana wstała wreszcie z łóżka i poszła schować pistolet do plecaka. Nie zajrzała do środka. Zdjęła tylko obrączki, które nosiła na szyi, pocałowała je szybko i wsunęła do plecaka. Razem z jego czapką, *Jeźdźcem Miedzianym* i zdjęciem zrobionym, gdy odznaczali go za odwagę po uratowaniu Jurija Stiepanowa. Razem z medalem za uratowanie doktora Matthew Sayersa, medalem Bohatera Związku Radzieckiego. Obrączki, medale, zdjęcia, książka, pieniądze, czapka. Ich ślubne zdjęcie.

Wszystko zamknięte w środku. Aleksander też.

I Tatiana.

Rozdział trzydziesty siódmy

Nowy Jork, styczeń 1946

Nowy Rok. Tatiana, z podpuchniętym okiem, we wszystkich barwach tęczy, jak zwykle poszła z Vikki i Anthonym na łyżwy do Central Parku.

Kiedy wracali do domu Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicą, Vikki spojrzała nagle badawczo na Tatianę.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Vikki nie odpowiadała.

– No, co się stało?

– Minęłyśmy już trzy budki telefoniczne.

– I co z tego?

– Nie poprosisz mnie, żebym zajęła się na chwilę Anthonym, bo musisz koniecznie zadzwonić?

Tatiana patrzyła prosto przed siebie.

– Nie – odparła. – Myślisz, że Edward będzie jeszcze chciał umówić się ze mną?

– Będzie w siódmym niebie. – Vikki się rozpromieniła.

Jedli razem lunch w szpitalu uniwersyteckim. Zamówili zupę i kanapki z tuńczykiem. Tatiana bardzo polubiła tuńczyka z majonezem, sałatą i pomidorami. Przed przyjazdem do Ameryki nigdy go nie jadła. Ani sałaty.

– Taniu, podbiłaś sobie oko? – spytał Edward.

Był przecież lekarzem. Musi o tym pamiętać.

– Potknęłam się i upadłam. To nic takiego. Wiesz co? – rzuciła wesołym tonem. Sięgnęła przez stół i położyła dłoń na jego ręce. – *Mildred Pierce* to

podobno arcydzieło. Chcesz zobaczyć?

– Jasne. Kiedy?

– Może w piątek wieczorem? Wpadnij po pracy. Zrobię coś na kolację, a potem pójdziemy.

Edward patrzył na nią zdumiony.

– Chcesz, żebym wpadł do ciebie wieczorem? – spytał powoli.

– Tak. Bardzo proszę.

Spojrzał na jej dłoń, a potem na nią.

– Stało się coś strasznego? Dowiedziałaś się, że masz przed sobą tylko pięć dni życia?

– Nie – odparła. – Dowiedziałam się, że mam przed sobą siedemdziesiąt lat.

Następnego dnia siedziała w gabinecie na Ellis, wypełniając dokumenty dla jednego z uchodźców z Polski, kiedy do środka weszła inna pielęgniarka.

– Ktoś chce się z tobą zobaczyć – szepnęła.

Tatiana nie podniosła wzroku znad formularza.

– Kto?

– Nigdy go tu nie widziałam. Powiedział, że jest z Departamentu Stanu.

Poderwała się.

Na korytarzu czekał na nią Sam Gulotta.

– Witaj, Tatiano – powiedział. – Jak się miewasz? Miło spędziłaś Nowy Rok?

– Świetnie, dziękuję, a ty? – odparła i nie mogła już wydusić ani słowa. Miała nadzieję, że Sam nie zauważył, jak sięga ręką za siebie, by oprzeć się o ścianę.

– Czekałem na twój telefon.

Wzruszyła delikatnie ramionami. Bała się, że zauważy, jak się trzęsie.

– Nie chciałam już zawracać ci głowy. Przez te wszystkie lata byłeś taki cierpliwy...

Sam rozejrzał się po korytarzu.

– Możemy gdzieś spokojnie porozmawiać?

Wyszli na zewnątrz i usiedli na ławce przy huśtawkach, na których niegdyś bawił się Anthony.

– Miałem nadzieję, że do mnie zadzwonisz – powiedział.

– Co się stało? – spytała. – Nadal mnie szukają?

Pokręcił głową. Tatiana zacisnęła palce na krawędzi ławki tak mocno, aż pobielały. Była zadowolona, że jest zimno, bo mogła udawać, że to z zimna ma dreszcze.

– Co się stało? – szepnęła. – Masz dla mnie jakieś wiadomości? Nie żyje?

– Tak, mam coś. Ktoś o niego pytał. Jak zwykle, prośba o informację trafiła do złego departamentu, czyli Spraw Ogólnych, który przesłał ją do Wydziału do spraw Ludności, Uchodźców i Migracji. Tam uznali, że to nie leży w ich gestii i przesłali ją do Departamentu Sprawiedliwości, do Wydziału Imigracji. – Pokręcił głową. – Ktoś powinien raz na zawsze wytłumaczyć im różnicę pomiędzy emigracją a imigracją…

– Sam… – Tylko tyle zdołała wydusić.

– Ach, tak. Chciałem ci tylko pokazać, jak straszliwa biurokracja panuje w naszym rządzie. Czas odmierzają w erach geologicznych. Już mówię, o co chodzi: sprawa jest bardzo krótka. Amerykański żołnierz, starszy szeregowy Paul Markey z 273 Dywizji Piechoty w zeszłym roku w lecie skontaktował się z Departamentem Stanu. Pytał, czy posiadają jakieś informacje na temat Amerykanina o nazwisku Aleksander Barrington.

Tatiana się zachwiała. Milczała przez długą chwilę.

– Taniu?

– Tak? – spytała nieswoim głosem. – Sam, kto to jest szeregowy Markey?

– Starszy szeregowy Paul Markey z Des Moines w stanie Iowa. Dwadzieścia jeden lat, trzy lata w wojsku. W zeszłym tygodniu dzwoniłem do niego do domu. Rozmawiałem z jego matką. – Sam spuścił głowę. – W zeszłym roku wrócił z Europy i został zwolniony ze służby. Chyba właśnie wtedy skontaktował się z departamentem. Niestety, w jego sprawie nie mam dobrych wiadomości. W październiku odebrał sobie życie.

Tatiana wciągnęła ze świstem powietrze. Zamrugała.

– Sam, bardzo mi go żal, ale… kim on jest? Gdzie był?

– Niewiele o nim wiem, poza tym, że zadzwonił z prośbą o udzielenie informacji.

– Z kim rozmawiał?

– Z Lindą Clark.

– Może powinniśmy się z nią skontaktować?

– Już to zrobiłem. To ona przekazała mi notatkę z tej rozmowy.

Tatiana wstrzymała oddech.

– Paul Markey powiedział jej, że kiedy jego pułk wszedł do Colditz, twierdzy, w której w czasie wojny mieścił się oflag… to znaczy, kiedy Amerykanie wyzwolili Colditz szesnastego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, wśród setek alianckich oficerów znajdowało się też kilku oficerów radzieckich. Jeden z nich podszedł do Markeya i zaskakująco dobrą angielszczyzną powiedział, że jest Amerykaninem i nazywa się Aleksander Barrington. Spytał, czy Markey mógłby to sprawdzić i jakoś mu pomóc.

Tatiana zaczęła płakać. Ramionami wstrząsał szloch, a spod dłoni, którymi zakryła twarz, płynęły łzy. Sam poklepał ją lekko po plecach.

Uspokoiła się po kilku minutach.

– Wiedziałam, że mnie okłamał. Po prostu wiedziałam – szepnęła. – Czułam to. Nie miałam żadnego dowodu, ale wiedziałam.

– A świadectwo zgonu?

– Kazał je sfałszować – jęknęła. – Wszystko po to, żebym wyjechała ze Związku Radzieckiego.

– Jakim cudem trafił do Colditz? Aż z Leningradu?

– Mówiłam ci. Wcielili go do batalionu karnego. Kiedy armia radziecka zaczęła wypierać Niemców z Rosji, ruszył razem z nią. No i trafił do obozu jenieckiego w Colditz.

– Chcesz usłyszeć, co jeszcze powiedział Markey?

– Tak. Co się stało z uwolnionymi jeńcami?

– Wszyscy z wyjątkiem Rosjan wrócili do domu. Markey powiedział Lindzie Clark, że rano, następnego dnia po wyzwoleniu, siedemnastego kwietnia, do Colditz przyjechał rosyjski konwój i zabrał garstkę rosyjskich oficerów, także i tego mężczyznę.

– Dokąd?

– Nie wiedział. Wyjaśnił Lindzie, że latem wrócił do Stanów i postanowił zapytać o niego z czystej ciekawości. W październiku zadzwoniono do niego do Iowa z Wydziału Spraw Konsularnych z informacją, że Aleksander Barrington rzeczywiście urodził się w Stanach Zjednoczonych, ale od 1930 roku mieszka w Związku Radzieckim. Trzy dni później Markey popełnił samobójstwo. Wiem to od jego matki.

Tatiana milczała, próbując się opanować.

– Co to za wyzwolenie? – spytała wreszcie. – Amerykanie wyzwalają Colditz, ale nie wyzwalają Rosjan? Dlaczego on był tam jeszcze dzień później?

Sam nie odpowiadał.

Tatiana podniosła wzrok i wytarła twarz.

– Sam?

– Słucham?

– Myślałam, że zadałam ci pytanie retoryczne, ale sądząc po twoim ciężkim milczeniu, podejrzewam, że istnieje na nie odpowiedź.

Nadal milczał.

– Sam!

– Dlaczego to robisz? Sam i Sam! – westchnął ciężko. – Słyszałem to i owo, nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć, ale po Departamencie Stanu krążyły pogłoski, nie mówiąc już o głosach dobiegających z Departamentu Obrony, że Amerykanie otrzymali wyraźny rozkaz, by zatrzymać radzieckich oficerów i uchodźców do czasu, aż zgłosi się po nich Armia Czerwona.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Skąd pochodził ten rozkaz?

– Od wyższych rangą.

– Jak bardzo wyższych?

Sam nie odpowiadał przez kilka sekund.

– Od najwyższych – powiedział wreszcie.

Kiedy Tatiana wróciła tego wieczoru do domu, powiedziała:

– Vikki, musimy się wybrać na małą wycieczkę.

Przyjaciółka opadła na kanapę.

– Nie, Boże święty, tylko nie to. Proszę. Za każdym razem, kiedy używasz słowa mała, okazuje się, że ruszamy w niemożliwie daleką podróż. Dokąd tym razem?

– Do Iowa. Biedny Edward. Obawiam się, że będę musiała odwołać spotkanie.

– Iowa? Nie! Stanowczo odmawiam. Jedź sama. Ja na pewno nigdzie z tobą nie pojadę. Anthony też. Odmawiamy. Słyszysz?

– Popatrz tylko, jak tutaj ładnie – powiedziała Vikki do Anthony'ego, wyglądając przez okno pociągu. – Tyle pól. Jak myślisz, co na nich rośnie?

– Pszenica – odpowiedział chłopczyk. – I kukurydza.

Vikki spojrzała ukradkiem na Tatianę, która udawała, że lektura pochłania ją bez reszty.

– Anthony, skąd to wiesz?

– Mama tak je nazywa. Pola pszenicy i kukurydzy.

– Ach, tak.

Tatiana się uśmiechnęła.

Des Moines wyrastało pośród pól. W styczniu było tam przeraźliwie zimno. Vikki zupełnie się tego nie spodziewała.

– Dlaczego sądziłam, że tu jest ciepło? Stale opowiadają o wielkich suszach. Skąd bierze się susza przy takim mrozie?

– Vikki, w zimie nie zdarza się susza – odparła Tatiana, zapinając płaszcz. – Chodź, weźmiemy taksówkę.

– Ty i te twoje taksówki. Czy ta osoba nas oczekuje?

– Napisałam do niej.

– Odpisała?

– Raczej nie.

– Raczej nie? A co to w ogóle znaczy? Odpisała czy nie?

– Wiem, że zamierzała to zrobić, ale przyjechałyśmy do niej tak szybko, że nie zdążyła.

– Rozumiem. Nachodzimy więc bez zaproszenia kobietę, która niedawno straciła syna?

Niewielka farma należąca do Markeyów leżała na obrzeżach Des Moines. Stojący obok niej silos był przysypany śniegiem. Wyglądało na to, że nie używano go od dawna. Drzwi otworzyła drobna, blada kobieta.

– Tatiana? – spytała z uśmiechem. – Wejdź. Czekałam na ciebie. Jestem Mary Markey. To twój synek? Anthony, chodź ze mną. – Wyciągnęła rękę. – Właśnie upiekłam babeczki kukurydziane. Pomożesz mi je podać? Powiedz, lubisz babeczki?

Vikki i Tatiana weszły za nimi do kuchni.

– Jak ty to robisz? – szepnęła Vikki.

– Co?

– Stajesz na progu domu obcych ludzi, a oni natychmiast zapraszają cię do środka, jakby znali cię całe życie?

Kuchnia była stara, lecz panował w niej wzorowy porządek. Usiadły przy dużym drewnianym stole. Kiedy wypiły kawę i zjadły babeczki, Vikki zabrała Anthony'ego przed dom, by pobawić się z nim na śniegu. Mary otuliła dłońmi kubek z kawą.

– Chcę ci pomóc, Tatiano. Kiedy dostałam twój list, próbowałam sobie przypomnieć wszystko, co opowiadał mi syn. Nie widziałam go od trzech lat, a kiedy wrócił, zamknął się zupełnie w sobie. Nie chciał spotykać się ze starymi przyjaciółmi, kontaktować ze światem. Dziewczyna, z którą chodził w szkole średniej, wyszła za innego. Ile można czekać, kiedy jest się młodym? Paul siedział więc w domu albo jeździł furgonetką do baru. Wspominał od czasu do czasu, że chciałby znów uruchomić farmę, ale po

śmierci ojca wydawało się to mało prawdopodobne. – Urwała. Tatiana czekała cierpliwie. – Wydawał się tak daleki. A potem się zastrzelił. Długo nie mogłam dojść do siebie, więc sporo z tego, co mi powiedział, wyleciało mi z głowy.

– Rozumiem. Ale każda najmniejsza informacja może okazać się bardzo pomocna.

– Wiem, że Paul odebrał ten telefon parę dni przed śmiercią. Nic mi nie powiedział, przez resztę popołudnia siedział bezczynnie przy stole. Nie chciał jeść kolacji. Potem pojechał do baru, a kiedy wrócił późno w nocy, znów siedział tutaj albo na werandzie z tyłu domu. Pytałam go, uwierz mi, pytałam go parę razy, co się dzieje. Wreszcie powiedział: „Mamo, wyzwoliliśmy twierdzę i był tam człowiek, który powiedział, że jest Amerykaninem, a ja mu nie uwierzyłem. Rzuciłem jakąś dowcipną uwagę. Potem już go nie widziałem… następnego dnia po swoich jeńców przyjechali ludzie z Armii Czerwonej. Zapamiętałem jednak, że ten człowiek mówił doskonale po angielsku. Kiedy wróciłem do Stanów, zadzwoniłem do Waszyngtonu, tak dla spokoju sumienia". Pamiętam, że mówił z trudem. „Pamiętasz ten telefon dziś po południu? Dzwonił ktoś z Departamentu Stanu. Ten mężczyzna był kiedyś Amerykaninem. Amerykaninem, który jakimś trafem tam utknął". Próbowałam go pocieszyć, powiedzieć, że na pewno wrócił już do swojego kraju. Paul machnął tylko ręką ze zniecierpliwieniem. „Mamo, nic nie rozumiesz? Otrzymaliśmy rozkaz, żeby trzymać wszystkich oficerów radzieckich na oku, dopóki nie odbierze ich armia radziecka". „No i co z tego? – spytałam. Dlaczego armia musi ich odbierać? Dlaczego nie wrócą sami, całą grupą, tak jak Anglicy? Nasze armie nikogo nie odbierały". „Ale ten mężczyzna nie był Rosjaninem". Nic nie rozumiałam. Uspokajałam go, że nic nie mógł zrobić. Odparł na to: „Wcale nie czuję się przez to lepiej, mamo". Siedział załamany. „Synu, powiedziałam, co Związek Radziecki ma wspólnego z tobą? To nie ty odsyłałeś tych ludzi z powrotem". Oparł głowę o blat stołu i powiedział: „Ale mogłem coś zrobić dla tego jednego człowieka".

Tatiana wstała i podeszła do Mary. Objęła ją ramionami.

– Zrobił, Mary, uwierz mi, że zrobił.

Mary skinęła głową.

– Tak mi przykro, że straciłaś syna.

– Jakoś się pozbieram. Moja córka mieszka niedaleko. Od czasu śmierci męża w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku byłam sama. Nic mi nie będzie. – Podniosła wzrok na Tatianę. – Myślisz, że ten mężczyzna był twoim mężem?

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

W drodze powrotnej Tatiana wyglądała przez okno, obserwując śnieg pokrywający pola. Anthony spał. Vikki też śpi, pomyślała, ale przyjaciółka uchyliła nagle powieki i spytała:

– Co teraz?

Tatiana nie odpowiedziała.

– Co teraz? – powtórzyła Vikki.

– Nie znam wszystkich odpowiedzi, Vik. Nie wiem, co teraz.

Jednak świat znów zaczął powoli nabierać sensu. Aleksander nie leżał już pod lodem.

Gdzieś tam daleko nadal żył. W największym kraju na świecie, zajmującym ponad jedną szóstą powierzchni wszystkich lądów ziemi. Połowę jego terytorium pokrywała tundra i wieczna zmarzlina, jedną czwartą step, jedną ósmą lasy iglaste, część pustynia, część grunty rolne. Kraj ten miał na swojej powierzchni największe jezioro na świecie, leżał nad największym morzem, miał najdłuższą na świecie granicę i przeprowadzał największy na świecie eksperyment z socjalizmem. Tam gdzieś był Aleksander.

Wszystkie wąskie ścieżki, którymi podążała pełna wiary, doprowadziły ją do żywego Aleksandra.

I co teraz?

Po powrocie do domu natychmiast zadzwoniła do Sama, lecz on nie zdołał się dowiedzieć, co stało się z radzieckimi jeńcami z Colditz.

Dowództwo radzieckie nabrało wody w usta, stosunki były napięte, a choć Sam skontaktował się z dwoma innymi szeregowcami, którzy byli razem z Markeyem w Colditz, nie słyszeli żadnego radzieckiego oficera mówiącego płynną angielszczyzną, a Markey nic im o nim nie opowiadał.

– Skontaktuj się z radzieckim Ministerstwem Obrony i spytaj, co się stało z radzieckimi oficerami przetrzymywanymi w Colditz.

– O co mam ich spytać? Czy ukryli gdzieś Aleksandra Barringtona?

– Chyba żartujesz. Wiesz, że nie możesz podać im prawdziwego nazwiska.

– Ach tak, racja. Nie wolno mi nawet o niego pytać. Sam, zadzwoń do naszego Departamentu Obrony.

– Masz na myśli jakąś konkretną osobę?

– Tak, zadzwoń do kogoś, kto coś wie. Zapytaj, co się stało z Rosjanami z Colditz. A jeśli nie wiedzą, zapytaj o radzieckich oficerów w Niemczech.

– Taniu, wiesz doskonale, co się z nimi stało!

– Chcę wiedzieć, dokąd ich zabrano. I nie musisz na mnie krzyczeć.

– Nawet jeśli zdołam zdobyć jakieś informacje, co z nimi zrobisz?

– Dlaczego zawsze musisz się martwić o mnie? Rób swoje i tyle.

Nie odwołała kolacji z Edwardem.

Kilka dni później raz jeszcze zadzwoniła do Sama. Powiedział jej, że generał broni z armii Pattona wspominał, iż przed rokiem Rosjanie zbierali wszystkich obywateli radzieckich i trzymali ich w obozach przejściowych, by potem przewieźć ich do Związku Radzieckiego.

– Ilu ich było?

– O tym generał nie wspominał. Bał się nawet zgadywać.

– A ty?

– Wiem jeszcze mniej od niego.

– Gdzie znajdują się te obozy przejściowe?

– W całych Niemczech.

Tatiana się zamyśliła.

– Taniu, on już na pewno jest w Związku Radzieckim. Nasi żołnierze byli w Colditz dziesięć miesięcy temu. Jednak gdziekolwiek by był, Rosjanie nie oddadzą nam swoich ludzi, nawet jeśli ich pięknie o to poprosimy. Mamy wielu żołnierzy, którzy zaginęli w akcji po stronie radzieckiej. A oni nie chcą nam udzielić żadnych informacji.

– Aleksander zaginął w akcji.

– Nie! Rosjanie wiedzą dokładnie, gdzie jest! – Sam ciągnął dalej już ciszej. – Taniu, wiesz, ilu ludzi umiera w radzieckich obozach jenieckich? Tysiące.

– Wiem – odparła spokojnie. – Ale nadal mam w domu akt zgonu, w który tak bardzo wierzyłeś. Powiedziałeś mi, że Aleksander na pewno zginął na tym jeziorze.

– Teraz jest jeszcze gorzej.

– Gorzej? Musimy się tylko dowiedzieć, gdzie jest.

– W Związku Radzieckim.

– To znajdź go w Związku Radzieckim, Sam. Jest obywatelem amerykańskim. Jesteś za niego odpowiedzialny.

– Tatiano! Ile razy mam ci to powtarzać? Aleksander stracił obywatelstwo w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku.

– Nie stracił. Sam, muszę już kończyć. Mam pacjentów. Zadzwonię do ciebie jutro.

– Jestem tego pewny.

Rozdział trzydziesty ósmy

Proces norymberski, luty 1946

– Chodźmy gdzieś – powiedziała Vikki błagalnym tonem. – Po co tego słuchasz? Chodźmy do kina, kawiarni albo na spacer. – Walnęła pięścią w blat kuchennego stołu. – Mam już tego dość. Słuchasz tego od miesięcy. Nigdy nie kupimy sobie telewizora. Mówię ci to tak na wszelki wypadek.

Tatiana siedziała przyklejona do radia, słuchając relacji z procesu w Norymberdze.

– Nie słucham tego po to, żeby czymś się zająć. – Tatiana podkręciła radio. – To fascynujące.

– Czy ja jestem zafascynowana? Wojna się skończyła, oni wszyscy są winni, powieszą ich i tyle. Kiedy to się wreszcie skończy? Ciągnie się całymi miesiącami. Skazano już wszystkich generałów. Zostały same pionki. Mam już tego po dziurki w nosie.

– Nie możesz wyjść na spacer? – spytała Tatiana, nie odwracając się od radia. – Idź i wróć za dwie godziny.

– Będzie ci przykro, gdy wyniosę się stąd na zawsze.

– Owszem. Ale nie będzie mi przykro, jeśli wyjdziesz tylko na dwie godziny.

Z ciężkim westchnieniem Vikki usiadła obok niej na krześle.

– Nie. Też chcę posłuchać.

– Mówią o moim Leningradzie.

...W planach faszystowskich zbrodniarzy zniszczenie radzieckich miast zajmowało szczególnie ważne miejsce. Wyjątkowe znaczenie przypisano

zniszczeniu Moskwy i Leningradu.

Zachłyśnięci pierwszymi sukcesami militarnymi hitlerowcy opracowali szalone plany zniszczenia największych ośrodków kulturalnych i przemysłowych, drogich sercom wszystkich Rosjan. W tym celu stworzyli Sonderkommanda. Posunęli się nawet do tego, by zawczasu rozpropagować swoją „decyzję".

Warto zauważyć w tym miejscu, że polecenia takie jak „zrównać z ziemią" i „zmieść z powierzchni ziemi" były niezwykle często stosowane przez hitlerowskich spiskowców. Były to nie tylko groźby, lecz również czyny.

Przedstawię teraz dwa dokumenty, które odsłonią zamiary hitlerowskich zbrodniarzy.

Pierwszym z nich jest tajny dekret dowództwa marynarki z dnia dwudziestego drugiego września tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku. Nosi tytuł: *Przyszłość miasta Petersburg*. W dekrecie tym napisano: „Führer postanowił zmieść miasto Petersburg z powierzchni ziemi". Planowano wprowadzić ścisłą blokadę miasta, postanowiono ostrzeliwać je z dział wszelkiego kalibru i bombardować z powietrza, by w efekcie zrównać z ziemią. Każda prośba o przyjęcie kapitulacji miała zostać bezwzględnie odrzucona.

Drugi dokument to tajny dekret Najwyższego Dowództwa Sił Zbrojnych wydany siódmego października tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku podpisany przez oskarżonego Jodla. Przeczytam kilka fragmentów, prosząc jednocześnie o ich zaprotokołowanie:

„...Führer po raz kolejny powtórzył, że kapitulacja Leningradu lub Moskwy nie wchodzi w grę, nawet jeśli wróg zwróci się z taką prośbą..."

I dalej w ostatnim akapicie na tej samej stronie:

„...Dlatego też żaden niemiecki żołnierz nie wejdzie do żadnego ze wspomnianych miast. Siłą naszego ostrzału musimy zmusić wszystkich, którzy będą próbowali opuścić miasto, do odwrotu. Nie wolno nam narażać życia naszych żołnierzy, by ocalić rosyjskie miasta, ani pozwolić, by ciężar wyżywienia ich mieszkańców przejęła na siebie Rzesza".

Hitlerowscy spiskowcy zaczęli wprowadzać w życie swe kryminalne zamiary dotyczące zniszczenia Leningradu z bezprecedensową w historii zawziętością.

Cytuję:

„W wyniku barbarzyńskich działań faszystowskich najeźdźców w samym Leningradzie i na jego przedmieściach 8961 domów mieszkalnych i przylegających do nich budynków – przybudówek, łaźni i tym podobnych – o całkowitej objętości 5 192 427 metrów sześciennych uległo całkowitemu zniszczeniu, a 5869 budynków o objętości 14 308 288 metrów sześciennych zostało częściowo zniszczonych. Całkowitemu zniszczeniu uległo 20 627 mieszkań o objętości 25 492 780 metrów sześciennych, a 8788 budynków o objętości 10 081 035 metrów sześciennych zostało częściowo zniszczonych. Całkowitemu zniszczeniu uległo 295 budynków o dużej wartości kulturalnej, o całkowitej objętości 844 162 metrów sześciennych, a 1629 budynków o objętości całkowitej 4 798 644 metrów sześciennych zostało częściowo zniszczonych. Sześć budynków związanych z kultem religijnym zniszczono całkowicie, a 66 tego typu budynków częściowo. Hitlerowcy zburzyli i zniszczyli budynki różnego typu o wartości ponad 718 000 000 rubli, poza tym wyposażenie fabryk, maszyny rolnicze i urządzenia o łącznej wartości ponad 1 043 000 000 rubli”.

W dalszej części dokument potwierdza, że hitlerowcy metodycznie i zgodnie z planem bombardowali i ostrzeliwali przez cała dobę ulice, budynki mieszkalne, teatry, muzea, szpitale, przedszkola, szpitale wojskowe, szkoły, instytuty i tramwaje oraz zniszczyli większość najcenniejszych pomników kultury i sztuki. Tysiące bomb i pocisków spadło na historyczne budynki Leningradu, na mosty, ogrody i parki. Do ostrzeliwania Leningradu załogi dział otrzymały specjalne pociski, które dostarczano im w nieograniczonej ilości… Wszystkie załogi wiedziały, że celem ostrzału miasta jest zrównanie go z ziemią i całkowite wybicie mieszkańców.

– Wiedziałaś o tym, kiedy tam byłaś? – spytała Vikki.

– Ja to przeżyłam.

GENERAŁ RAGIŃSKI: Panie przewodniczący, aby w pełni przedstawić dowody związane z tematem mojego raportu, proszę o pozwolenie przesłuchania świadka Josifa Abgarowicza Orbelego…

Tatiana upuściła trzymaną w ręce filiżankę. Spadła na wykładaną płytkami podłogę i rozbiła się z hukiem. Na podłogę opadła też Tatiana i zaczęła zbierać skorupy, wydając z siebie krzyk rozpaczy tak wielkiej, że Vikki zerwała się z krzesła, cofnęła się i spytała zduszonym głosem:

– Co się z tobą dzieje?

Tatiana zbyła ją machnięciem ręki. Trzymała przy ustach kawałek rozbitej filiżanki, wpatrzona w radio, informacja odbijała się echem w jej głowie. Na drodze dochodzi do katastrofy, ale w radiu nadal gra muzyka, choć przecież nikt nie powinien jej już słyszeć, mózg nie powinien już rejestrować dobiegających sygnałów…

…który złoży zeznania związane ze zniszczeniem pomników kultury i sztuki w Leningradzie.

P: Nazwisko świadka?

O: Josif Abgarowicz Orbeli.

P: Jakie stanowisko świadek zajmował?

O: Byłem dyrektorem Państwowego Muzeum Sztuki w Ermitażu…

Tatiana jęknęła z bólu.

– Co się stało? – spytała zaniepokojona Vikki.

– Ciii…

P: Czy w czasie blokady przebywał pan w Leningradzie?

O: Tak.

P: Czy wiedział pan o systematycznym niszczeniu pomników kultury i sztuki w tym mieście?

O: Tak.

P: Czy może nam pan opowiedzieć o tym swoimi słowami?

O: Byłem naocznym świadkiem podejmowanych przez wroga działań, które miały na celu zniszczenie Ermitażu. Przez wiele miesięcy budynki znajdowały się pod systematycznym ostrzałem z dział i z powietrza. Na Ermitaż spadły dwie bomby i trzydzieści pocisków artyleryjskich. Pociski znacznie uszkodziły budynek, a bomby zniszczyły kanalizację i system doprowadzający wodę do Ermitażu. Pociski artyleryjskie uszkodziły sam budynek i otaczający go teren.

P: W jakiej części miasta wznosiły się te budynki – południowej, północnej, południowo-zachodniej czy południowo-wschodniej?

O: Pałac Zimowy i Ermitaż znajdują się w samym centrum miasta, nad brzegami Newy.

P: Czy w pobliżu Ermitażu i Pałacu Zimowego ulokowano jakieś zakłady przemysłowe, a zwłaszcza zakłady produkujące broń?

O: W okolicy Ermitażu nie ma żadnych obiektów wojskowych. Jeśli miał pan na myśli budynek Generalnego Dowództwa, to znajduje się on po drugiej stronie placu Pałacowego i ostrzeliwano go znacznie słabiej niż Pałac Zimowy. Na budynek dowództwa, o ile mi wiadomo, spadły tylko dwa pociski.

P: Czy w pobliżu wspomnianych przez pana budynków znajdowały się może baterie dział?

O: Na całym placu otaczającym Pałac Zimowy i Ermitaż nie było ani jednego działa, bo od samego początku działań wojennych starano się uchronić budynki przed dodatkowymi wibracjami, które mogłyby uszkodzić bezcenne zbiory.

P: Czy w czasie oblężenia w fabrykach nadal produkowano broń?

O: Nie rozumiem pytania. Jakie fabryki ma pan na myśli... fabryki w Leningradzie?

P: Tak. Czy fabryki w mieście produkowały broń w czasie oblężenia miasta?

O: Na terenie Ermitażu, Pałacu Zimowego i w najbliższej okolicy nie było żadnych obiektów wojskowych. Nigdy ich tam nie było, nie wzniesiono ich również w czasie blokady. Wiem jednak, że w Leningradzie produkowano amunicję, którą potem skutecznie wykorzystywano.

P: Pałac Zimowy leży nad Newą. Jak daleko od Pałacu jest najbliższy most na tej rzece?

O: Najbliższy most, Pałacowy, znajduje się jakieś pięćdziesiąt metrów od pałacu. Jak już wspominałem, w czasie ostrzału miasta spadł na niego tylko jeden pocisk. Dlatego jestem pewny, że celem niemieckiego ostrzału był przede wszystkim Pałac Zimowy. Trudno przyjąć do wiadomości fakt, że chodziło o ostrzał mostu, skoro na niego spadł tylko jeden pocisk, a aż trzydzieści na pobliski budynek.

P: Świadek wyciąga niepotrzebne wnioski. Czy posiada pan stosowną wiedzę, która pozwala panu utrzymywać, że celem ostrzału był pałac, a nie sąsiadujący z nim most?

O: Nigdy nie miałem nic wspólnego z artylerią, ale jeśli celem niemieckiego ostrzału był tylko most, to jak mogli trafić w niego tylko raz, a w położony dalej pałac aż trzydzieści razy? W tej materii mogę twierdzić, że tak, posiadam stosowną wiedzę.

(poruszenie na sali)

P: I ostatnie pytanie. Czy przebywał pan w Leningradzie przez cały okres oblężenia miasta?

O: Byłem w Leningradzie od pierwszego dnia wojny aż do trzydziestego pierwszego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Wróciłem do miasta, kiedy oddziały niemieckie zostały wyparte z przedmieść Leningradu.

GENERAŁ RAGIŃSKI: Nie mam więcej pytań.

PRZEWODNICZĄCY: Świadek jest wolny.

Tatiana spojrzała na Vikki, podniosła się z trudem z podłogi i usiadła przy stole, opierając głowę na blacie. Zamknęła oczy. Poczuła na plecach dłoń Vikki.

– Nic mi nie jest – szepnęła. – Daj mi tylko minutkę.

Aleksander, do samego końca.

Orbeli stoi na ulicy i żegna się ze swoimi skarbami. Tatianę bardzo poruszył wyraz jego twarzy. Nie mogła go zapomnieć.

Patrzył na skrzynie z tak wielką rozpaczą, jakby żegnał się ze swoją pierwszą miłością.

– Kto to jest? – pyta Tatiana.

– Kustosz Ermitażu.

– Dlaczego tak patrzy na te skrzynie?

– Kryją w sobie największą miłość jego życia. Nie wie, czy jeszcze kiedyś je zobaczy.

Tatiana nie spuszcza wzroku z mężczyzny.

– Powinien mieć więcej wiary, nie sądzisz?

– Masz rację, Taniu. Powinien. Kiedy skończy się wojna, znów zobaczy swoje skarby.

– Patrzy na nie tak, że po zakończeniu wojny z pewnością przytaszczy je tutaj własnymi rękami – mruczy Tatiana.

Tatiasza – pamiętaj: Orbeli.

W oczach Aleksandra dostrzegła spojrzenie Orbelego, gdy wybiegała z jego sali w Morozowie. Odwróciła się na ułamek sekundy, kochanie, śpij dobrze, opowiesz mi o tym innym razem. Szura, opowiedz mi o Orbelim, kiedy się znów zobaczymy, o tym, jak wybiegłam przez drzwi, jak odwróciłam się po raz ostatni, spojrzałam na ciebie z uśmiechem i zobaczyłam w twoich oczach Josifa Abgarowicza Orbelego. Nigdy nie mogła rozszyfrować wyrazu oczu Aleksandra w ten ostatni wieczór. Teraz już wiedziała.

Codziennie staję po raz ostatni przy twoim łóżku. Salutuję ci i mówię: Do zobaczenia, majorze. Śpij dobrze. A ty odpowiadasz: Do zobaczenia, Taniu.

Odchodzę. Wołasz mnie jeszcze, odwracam się, patrzę na ciebie, leżysz tak szczęśliwy i pełen nadziei.

Mówisz do mnie swoim najdzielniejszym głosem, głębokim i pewnym: Tatiasza, pamiętaj: Orbeli.

Na ułamek sekundy marszczę brwi, lecz nie zastanawiam się ani przez chwilę. Jestem bardzo zajęta, ty patrzysz na mnie tak spokojnie, a doktor Sayers woła mnie z drugiej sali. Nie spuszczając z ciebie wzroku, mówię: Szura, kochanie, muszę pędzić, powiesz mi o tym jutro. Teraz już wiem, że nie mogłeś powiedzieć ani słowa więcej, że wyczerpałeś wszystkie siły. Kiwasz tylko głową w milczeniu, a ja przeciskam się między łóżkami, dochodzę do drzwi, odwracam się po raz ostatni i zatrzymuję.

W tym miejscu pozostanę na zawsze.

Orbeli.

W lutową noc, w absolutnej ciszy Tatiana siedziała na schodach pożarowych. Owinięta w kaszmirowy koc Aleksandra wciągała zapach oceanu i patrzyła na migające w dole światła Manhattanu.

Znajdziesz sposób, by żyć beze mnie. Znajdziesz sposób, by żyć za nas oboje, powiedział jej kiedyś Aleksander.

Teraz już była pewna tego, czego od dawna się bała, co od dawna podejrzewała: Aleksander wręczył jej swoje życie w darze i powiedział: Proszę, to dla ciebie. Nie mogę ocalić siebie, mogę ocalić tylko ciebie. Musisz wyjechać i zbudować nowe życie, jakie planowaliśmy dla nas obojga. Bądź silna, bądź szczęśliwa, kochaj nasze dziecko. Pewnego dnia znów nauczysz się kochać, uśmiechać się, zapomnisz o mnie, nauczysz się trzymać za rękę innego mężczyznę, całować go, musisz znów wyjść za mąż. Musisz mieć więcej dzieci. I żyć swoim życiem – dla mnie, dla siebie. Żyć za nas oboje. Wszystko w jednym słowie: Orbeli.

W czasie wojny wszystko było jasne i wyraźne: różnica między dobrem i złem, niebezpieczeństwo, rozgrzeszenie, niedostatek.

Widzę go tak jasno i wyraźnie, nawet teraz, w czasie pokoju.

Och, ileż fragmentów życia przysłania jego obraz.

Ile tradycji: Boże Narodzenie, Święto Dziękczynienia, Wielkanoc, Święto Pracy, Dzień Kolumba, Święto Niepodległości i urodziny, urodziny, każde, nawet moje, przeklęte, pełne cierpienia, cudowne. Święta, jedzenie, słońce, ciepło. Od świtu aż do nocy wypełniam moje życie życiem.

Wszystkimi rzeczami, których dla mnie pragnął.

Moje fundamenty ukryte są głęboko pod budynkiem, wysokim, z tysiącem okien. Fundamenty ukryte są pod drzewami i krzewami, bratkami jesienią, tulipanami wiosną. Moje serce też jest głęboko ukryte. Czasami przesuwam ręką po piersi i czuję bolesny skurcz w miejscu, gdzie spotykają się nerwy. Przesyłają niewielki impuls do mojego mózgu, drżenie nieco dłuższe niż oddech, długi oddech. Wciągam powietrze, wypuszczam je. Oddycham:

Aleksander.

Wybacz mi, że porzuciłam cię na pastwę psów wojny, że tak szybko uwierzyłam w twoją śmierć. Sporo czasu upłynęło, zanim cię pokochałam, a tak szybko porzuciłam.

Gdzie on jest? Gdzie jest wspaniały jeździec, moja złota obrączka na łańcuszku, mój czarny plecak i mój najpiękniejszy dzień?

Siedząc nad zatoką, marzyła, by jej życie zaczęło się lub skończyło. Ale nie była bliska ani początku, ani końca.

Zawisła w próżni.

Jak długo potrwa ten etap? Czy w ogóle było coś poza kolejnymi etapami? Kiedy zajmowała się po prostu życiem?

Przed znalezieniem medalu Bohatera Związku Radzieckiego? Nie.

Po znalezieniu medalu Bohatera Związku Radzieckiego? Nie.

Po Paulu Markeyu? Nie.

I nawet nie po Orbelim.

Jej dusza toczyła nieustanną walkę.

Chciała usłyszeć od niego choćby jedno słowo? Usłyszała: Orbeli.

Próbuję cię wysłać tam, gdzie będziesz bezpieczna. Nie rozpaczaj, mówił, i miej wiarę.

Ale dlaczego teraz? I co ma teraz zrobić? Coś musi, ale co?

Bez względu na to, co zrobi, dokąd pojedzie, oznaczać to będzie rozstanie z synkiem. Czy to nie głupota? Szaleństwo? Obłęd?

Wyjechać i zostawić syna? Co powiedziałby Aleksander, gdyby dowiedział się, że zostawiła Anthony'ego i wyjechała szukać go w ogarniętym grozą świecie?

Siedziała nieruchomo, wciągając zapach wody, nieba, próbowała odnaleźć gwiazdozbiór Perseusza, księżyc w pełni. Było już jednak bardzo późno i księżyc skrył się za chmurami.

Jej synek potrzebował matki.

Czy potrzebował jej bardziej niż Aleksander żony?

Czy miała jakiś wybór?

Czy musi wybierać między mężem i synem?

Czy ma porzucić jednego dla drugiego?

Powinna rozważyć możliwość, że jeśli wyjedzie, może już nigdy nie wrócić. Czy taki los pragnęła zgotować swojemu dziecku?

Musi tylko zostać tutaj i żyć dalej swoim życiem.

Ale Tatiany tutaj nie ma. Tatiana została z Aleksandrem. Obejmowała go na jeziorze Ładoga, gdzie leżała z nim każdej nocy. Tuliła mocno, gdy wykrwawiał się na pokrywający jezioro lód. Mogła go wtedy zostawić, oddać Bogu, który go bez wątpienia wzywał.

Ale nie zrobiła tego.

A ponieważ nie zrobiła, znalazła się w Ameryce i spędza resztę życia, siedząc na schodach. W tej właśnie chwili, w ułamku sekundy poczuła, że bez względu na to, jaką podejmie decyzję, jej życie zmieni się nieodwracalnie.

Może ruszyć jasną, wyraźnie wytyczoną ścieżką albo wkroczy na drogę mroczną, pełną wątpliwości.

Zostać znaczy przyjąć dobro.

Wyjechać znaczy rzucić się w nieznane.

Jeśli zostanie, ofiara Aleksandra nie okaże się daremna.

Jeśli wyjedzie, spojrzy śmierci prosto w twarz.

Ale jak zgodzić się na życie bez niego?

Czy wyobraża sobie życie bez niego? Może nie teraz, ale za dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt lat? Czy może sobie wyobrazić, że ma siedemdziesiąt lat i żyje bez niego? Że wyszła za Edwarda, urodziła mu dzieci, siedzi z nim przy długim stole?

Jeździec Miedziany będzie ją ścigał aż do grobu. Czuła to. Aż po wieczność będzie słyszeć stukot miedzianych kopyt, w każdej godzinie smutku, w każdej minucie słabości, w ciemności, w całej Ameryce będzie go słyszeć tuż za sobą, tak jak ścigał ją nieustannie przez ostatnie tysiąc sto dni, przez tysiąc sto nocy, doprowadzając do szaleństwa. Jak długo zdoła tak żyć?

Orbeli – czy to nie dowód, że gdziekolwiek Aleksander się znajduje, wzywa ją w najczarniejszej godzinie swojego życia?

A jeśli żyje, a ona nie spróbuje go odnaleźć, nie odpowie na jego wezwanie, odwróci się od niego na zawsze?

Jakim człowiekiem się okaże?

Może zdoła jednak zamknąć to ciemne okno i nie słuchać już więcej jego wołania, przekonać samą siebie, że Aleksander jej wybaczy, że zrozumie, dlaczego tak postąpiła.

Słyszała w głowie echo swoich własnych słów, swoich własnych myśli.

Patrzy na nie tak, że po zakończeniu wojny przytaszczy je tutaj własnymi rękami, mówi.

Wróć, by odnaleźć swojego żołnierza, myśli w autobusie, w dzień, w który się poznali.

Zadaj sobie trzy pytania, Tatiano, a będziesz wiedziała, kim jesteś.

Na co masz nadzieję?

W co wierzysz?

I najważniejsze: co kochasz?

Wróciła do pokoju, zamknęła okno i położyła się obok synka.

– Vikki, muszę z tobą porozmawiać – powiedziała rano, gdy przed wyjściem do pracy stały w kuchni, jadły rogaliki i popijały je kawą.

– Nie możesz poczekać do wieczora? Już jesteśmy spóźnione. Anthony musi iść do przedszkola.

Tatiana ujęła ją za rękę. Do warg Vikki przykleiły się okruchy rogalika. Wyglądała uroczo, kiedy stała przy kuchennym blacie i patrzyła czule na Tatianę. Tatiana objęła ją mocno.

– Tak bardzo cię kocham – powiedziała. – A teraz usiądź. Muszę z tobą porozmawiać.

Vikki usiadła.

– Wiesz, że przez te trzy lata, które przepracowałam na Ellis i dla Czerwonego Krzyża, odwiedzałam wszystkie szpitale dla weteranów i sprawdzałam wszystkie statki z uchodźcami wpływające do Nowego Jorku. Wiesz, że co miesiąc dzwonię do Waszyngtonu do Sama Gulotty i że skontaktowałam się z Esther. A robiłam to wszystko tylko z jednego powodu.

– Z jakiego? – spytała niewyraźnie Vikki, żując kawałek rogalika.

– Żeby dowiedzieć się, co stało się z Aleksandrem.

– Ach, tak.

– Niczego się jednak nie dowiedziałam.

Vikki poklepała ją po dłoni.

– Czas, żebym zrobiła coś więcej.

– Więcej niż wyjazd do Iowa? – Vikki się uśmiechnęła.

– Potrzebuję teraz twojej pomocy.

– Och, nie. – Vikki przewróciła oczami. – Dokąd teraz jedziemy?

– Bardzo bym chciała, żebyś mogła pojechać ze mną – powiedziała Tatiana. – Ale musisz mi pomóc w inny sposób.

– Jaki? I dokąd się wybierasz?

– Jadę odnaleźć Aleksandra.

Z ust Vikki wypadł niewielki kawałek rogalika.

– Gdzie chcesz go szukać? – spytała zdumiona.

– Zacznę w Niemczech. Potem pojadę do Polski, a jeszcze później do Związku Radzieckiego.

– Dokąd?!

– Posłuchaj…

Vikki najpierw uderzyła w blat stołu pięściami, potem kilka razy czołem.

– Przestań! – krzyknęła Tatiana.

– No, nie, teraz już przeszłaś samą siebie. Massachusetts to był niezły pomysł, Iowa jeszcze lepszy, nie wspominam już o Arizonie. Ale teraz już przesadziłaś.

– Daj mi skończyć.

– Co ty wygadujesz? – Vikki wreszcie przełknęła resztkę rogalika i raz jeszcze walnęła pięścią w stół. – Wiem, że żartujesz. Nikt nie jeździ do Niemiec.

– Czerwony Krzyż jeździ. I ja też pojadę.

– Czerwony Krzyż nie jeździ!

– Jeździ. Pojadę razem z nim.

– Nie możesz tam jechać! Anthony i ja nie możemy pojechać z tobą, jeśli wybierasz się z Czerwonym Krzyżem na okupowane terytoria!

– Wiem. I wcale nie chcę, żebyście jechali razem ze mną. Chcę, żeby Anthony został tutaj, bo tu jest bezpieczny.

Vikki patrzyła na nią z otwartymi ustami.

– Chcę, żeby został tutaj z tobą. – Ujęła dłonie Vikki. – Z tobą. Bo kochasz mojego synka i on kocha ciebie, bo będziesz się nim opiekować jak własnym dzieckiem, zajmiesz się nim dla mnie i dla jego ojca.

– Taniu – szepnęła ochryple Vikki. – Zupełnie oszalałaś. Nie możesz tam jechać.

Tatiana ścisnęła dłoń przyjaciółki.

– Vik, posłuchaj. Kiedy myślałam, że zginął, ja też byłam martwa. Paul Markey i Josif Orbeli sprawili, że wróciłam do życia. Mój mąż mnie potrzebuje. Woła mnie. Uwierz mi. Paul Markey widział go żywego w kwietniu zeszłego roku w Saksonii w Niemczech, choć podobno zginął na jeziorze Ładoga w Leningradzie, oddalonym o tysiąc kilometrów. Edward przekonał mnie, żebym nie jechała do Europy w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku. Powiedział, że nie mam żadnych informacji. I miał rację. Ale teraz mam. I pojadę. Musisz tylko zaopiekować

się moim synem. Dziadkowie ci pomogą. – Tatiana zawiesiła głos. – Bez względu na to, co się wydarzy.

Vikki potrząsnęła bezradnie głową.

– Nie mogę żyć tutaj w luksusie i zostawić go, by zgnił gdzieś w Związku Radzieckim. Rozumiesz, że to niemożliwe, prawda?

Vikki nie przestawała potrząsać głową.

– On mnie potrzebuje. Jaką bym była żoną, gdybym mu nie pomogła? Na Ellis pomagałam zupełnie obcym ludziom. Jaka żona nie pomoże własnemu mężowi?

– Rozsądna – szepnęła Vikki.

– Nie, niedobra.

Jeszcze tego samego dnia pojechała pociągiem do Waszyngtonu.

Sam Gulotta wyprosił trzy osoby ze swojego gabinetu i zamknął drzwi.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziała.

– Tatiano, nie chcę już tego słuchać. Myślisz, że nic nie rozumiem? Nic nie wiem? Czemu pomagałem ci przez te wszystkie lata? Myślisz, że gdybym tylko mógł odzyskać moją Carol, nie zrobiłbym tego? Na pewno. Poświęciłbym wszystko, żeby tylko wróciła. Dlatego postanowiłem ci pomóc. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy. Ale nie mogę zrobić już nic więcej.

– Możesz – odparła spokojnie. – Musisz wystawić mi paszport dla Aleksandra.

– Jakim cudem?! – wrzasnął Sam. – Na jakiej podstawie?

– Jest obywatelem amerykańskim i żeby tu wrócić, musi mieć paszport.

– Skąd wrócić? Ile razy mam ci powtarzać…

– Ani razu. Twój Departament Stanu twierdzi, że Aleksander nie stracił obywatelstwa.

– To absurd.

– Ależ skąd. W Kodeksie federalnym, w części dotyczącej podwójnego obywatelstwa napisano, co następuje. – Wyjęła z torebki kartkę papieru. – Cytuję: „Zgodnie z prawem obywatel amerykański musi zwrócić się

z prośbą o udzielenie mu obcego obywatelstwa *dobrowolnie*". – Celowo podkreśliła ostatnie słowo. Na wypadek, gdyby Sam nie zrozumiał, powtórzyła je. – Dobrowolnie.

Siedziała z wyrazem triumfu na twarzy.

– Dlaczego patrzysz na mnie jak kot, który zjadł kanarka?

– Powtarzam po raz trzeci: dobrowolnie.

– Słyszałem za pierwszym.

– Zacytuję raz jeszcze. – Znów spojrzała na kartkę. – „Musi zwrócić się z prośbą o udzielenie mu obcego obywatelstwa z wolnej woli i z zamiarem zrzeczenia się obywatelstwa amerykańskiego".

Sam potarł oczy.

– Rzeczywiście, w kodeksie mógł się pojawić taki zapis. Ale co z tego wynika?

– Szesnastoletni chłopcy w Związku Radzieckim mają obowiązek zarejestrować się w komisji wojskowej! – Na wypadek, gdyby Sam jej nie zrozumiał, powtórzyła: – Obowiązek.

– Na miłość boską, co to jest, przedszkole? Zrozumiałem za pierwszym razem.

– Dobrowolnie. Obowiązkowo. Czy nie widzisz, że te słowa znaczą coś zupełnie innego?

– Widzę, ale dziękuję, że objaśniasz mi znaczenie angielskich słów.

– O to mi właśnie chodzi. Aleksander nie zrezygnował z własnej woli z obywatelstwa amerykańskiego i nie zrzekł się go dobrowolnie. W wieku szesnastu lat został *zmuszony* do wstąpienia do Armii Czerwonej. To był jego obowiązek.

– Powiedziałaś mi, że kiedy miał osiemnaście lat, wstąpił do szkoły oficerskiej. To już wygląda na dobrowolną decyzję.

– Zgoda, ale najpierw skończył szesnaście. Już wtedy musiał wstąpić do wojska i kazano mu wierzyć, że nie ma do Ameryki żadnych praw. – Zawiesiła głos. – A ma. Dlatego musisz mu pomóc.

Sam nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

– Czy wiesz o nim coś, czego ja nie wiem?

– Nie. Szkoda, że w tej sprawie nie możesz mi pomóc. Ale wiem, że cokolwiek się wydarzy, będzie potrzebował paszportu.

– Paszportu? Taniu! On jest w rękach Rosjan! Rozumiesz? Dlaczego nie możesz pogodzić się z tym, że jest już stracony, teraz jeszcze bardziej niż kiedyś. Bez wątpienia wpadł w tryby radzieckiej machiny, która wysyłała miliony radzieckich chłopców do walki z Niemcami.

Milczała. Nie mogła jednak powstrzymać drżenia dolnej wargi.

– I nie mogę wydać paszportu bez zdjęcia. Bez czarno-białego zdjęcia twarzy, zgodnie z przepisami bez nakrycia głowy. Podejrzewam, że nie masz takiego?

– Nie mam.

– No to nie mogę ci pomóc.

Wstała.

– Aleksander jest obywatelem amerykańskim i znalazł się za żelazną kurtyną. Potrzebuje twojej pomocy.

Sam też się podniósł.

– Rosjanie nie udzielają nam żadnych informacji w sprawie zaginionych w akcji Amerykanów. Myślisz, że udzielą nam informacji o człowieku, na którego polują od dziesięciu lat?

– Tak czy owak, na pewno jej udzielą. Muszę już iść. Zatelegrafuję do ciebie, gdy będę potrzebowała pomocy.

– Nie wątpię.

KSIĘGA III

ALEKSANDER

Ona nadchodzi, moje życie, moje przeznaczenie
Czerwona róża krzyczy: „Jest blisko, jest blisko”;
A biała róża szlocha: „Spóźnia się”;
Ostróżka nasłuchuje: „Już jest, już jest”;
A lilia szepce: „Czekam”.

Alfred Tennyson

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Wschodnie Niemcy, marzec 1946

Tatiana pojechała do Niemiec w ciemno.

Znalazła się w grupie z niewysoką pielęgniarką o imieniu Penny – jeszcze niższą od niej! – i z lekarzem, który niedawno ukończył staż, Martinem Flanaganem. Penny była dowcipną, tryskającą humorem dziewczyną. Martin, średniego wzrostu, średniej wagi i ze średnim brzuszkiem pod eleganckimi koszulami, był dla odmiany śmiertelnie poważny. Zaczynał powoli tracić i tak rzadkie włosy, co Tatiana uznała za jeden z powodów, dla których nie miał ani krzty poczucia humoru. Uważała jednak, że jest w porządku aż do dnia, kiedy zwrócił jej uwagę, że wkłada za dużo gazików do pakietów pierwszej pomocy.

– Czy może być za dużo opatrunków? – spytała.

– Tak. Udzielono nam wyraźnych instrukcji, że w pakietach ma być tylko jeden gazik, a pani wkłada dwa.

– I co z tego wynika?

– To wbrew instrukcjom, siostro Barrington.

Wyjęła powoli drugi gazik, lecz kiedy tylko lekarz się odwrócił, dorzuciła jeszcze trzy. Zauważyła to Penny i siłą stłumiła śmiech.

– Nie drażnij się z nim. Jest niezwykle pedantyczny, gdy w grę wchodzą przepisy.

– Najwyraźniej nie ma innych zmartwień.

Co by pomyślał, gdyby wiedział, że Tatiana ufarbowała włosy i nałożyła mocny makijaż? Jak by zareagował, gdyby zaczęła się zwracać do niego po imieniu? Dowiedziała się już następnego ranka, gdy spytała:

– Jesteś gotowy do drogi, Martin?

Zakaszlał i odparł:

– Proszę się do mnie zwracać: doktorze Flanagan, siostro.

Nie skomentował za to włosów i makijażu. Ufarbowała włosy rano, gdy pożegnała się z Anthonym. Nie chciała, by zobaczył matkę zupełnie odmienioną, więc jak zwykle odprowadziła go do przedszkola, uściskała na pożegnanie i powiedziała najspokojniejszym głosem, na jaki mogła się zdobyć:

– Anthony, pamiętasz, o czym rozmawialiśmy? Muszę wyjechać z Czerwonym Krzyżem, ale wrócę jak najszybciej i potem pojedziemy na wakacje w jakieś wesołe miejsce, dobrze?

– Dobrze, mamo.

– Gdzie chciałbyś pojechać?

– Na Florydę.

– Świetnie. Na pewno tam pojedziemy.

Nie odpowiedział, tylko wciąż obejmował ją za szyję.

– Z Vikki będzie ci dobrze. Wiesz, jak bardzo lubi się tobą opiekować. Codziennie będzie ci kupować pączki i lody.

– Tak, mamo.

Patrzyła, jak wchodzi do sali, z plecakiem przerzuconym przez ramię, i rzuciła się biegiem w jego stronę.

– Anthony, Anthony!

Odwrócił się.

– Uściskaj mamę jeszcze raz.

Vikki wzięła sobie wolny dzień, żeby pomóc jej ufarbować włosy i odprowadzić na statek. Tatiana zmieniła kolor włosów i nałożyła mocny makijaż, aby uniknąć przypadkowego rozpoznania. Ufarbowanie długich, jasnych włosów zajęło im trzy godziny.

– Pamiętaj, pierwszy raz jest najgorszy. Potem musisz już tylko farbować odrosty co pięć, sześć tygodni. Ale może do tego czasu zdążysz już wrócić?

– Nie wiem. – Nie sądziła, by tak się stało. – Lepiej daj mi farbę na kilka takich poprawek.

– Ile?

– Nie wiem. Może dwanaście.

Vikki pokryła jej rzęsy grubą warstwą mascary, na powiekach zrobiła kreski czarnym tuszem, nałożyła fluid, żeby ukryć piegi, i odrobinę różu.

– Nie mogę uwierzyć, że przechodzisz przez to codziennie.

– A ja nie mogę uwierzyć, że trzeba było aż takiej samobójczej wyprawy, byś dała się namówić na makijaż.

– Wcale nie jest samobójcza. Jak ja się z tym wszystkim uporam bez ciebie? Ostrożnie z tą szminką! – Gruba warstwa na ustach sprawiała, że stawały się zbyt pełne i od razu rzucały się w oczy, a tego przecież chciała uniknąć. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Nie mogła poznać samej siebie. – No, i co o tym myślisz?

Vikki pochyliła się i pocałowała ją w kącik ust.

– Jesteś nie do poznania.

Jednak Martin – doktor Flanagan – nie powiedział na temat jej wyglądu ani słowa, gdy spotkali się w porcie, choć chrząknął znacząco i odwrócił wzrok. Za to Penny oniemiała.

– Miałaś najpiękniejsze na świecie jasne włosy i ufarbowałaś je na czarno? – spytała z niedowierzaniem. Sama miała niezbyt imponujące, brązowe kosmyki.

– Ludzie nie traktowali mnie poważnie – odparła Tatiana. – Może teraz to się zmieni.

– Doktorze Flanagan, czy traktuje pan Tatianę poważnie?

– Bardzo – odparł.

Dziewczęta z trudem powstrzymały się, by nie wybuchnąć śmiechem.

Vikki, która pojechała z Tatianą do portu, nie wypuszczała jej z objęć przez długą chwilę.

– Wróć, proszę – szepnęła.

Tatiana nie odpowiedziała.

Martin i Penny patrzyli na nie w zdumieniu.

– Włosi są tacy uczuciowi – powiedziała Tatiana, wchodząc po trapie na statek. Odwróciła się i pomachała Vikki.

Na podróż założyła białe spodnie, tunikę i chustkę z czerwonym krzyżem. Przed wyjazdem poszła do sklepu ze sprzętem wojskowym i kupiła największy plecak, jaki mieli w ofercie, z wieloma zapinanymi na zamek kieszeniami i wodoodpornym kocem, który mógł służyć również jako peleryna i prowizoryczny namiot. Spakowała dodatkowy uniform, kilka drobiazgów (dwie szczoteczki do zębów), bieliznę i dwa komplety cywilnych ubrań w oliwkowym kolorze – jeden dla siebie, drugi dla wysokiego mężczyzny. Spakowała też trzeci kaszmirowy koc, który kupiła podczas pierwszych świąt Bożego Narodzenia spędzonych w Nowym Jorku. Wsunęła do plecaka niemiecki pistolet P-38, który Aleksander dał jej w czasie oblężenia Leningradu. Podręczną apteczkę wypełniła po brzegi gazą i plastrami, penicyliną i strzykawkami z morfiną. Do innej kieszeni plecaka schowała pistolet typu Colt i przerażająco drogi – kosztował aż dwieście dolarów – colt python, najlepszy rewolwer na świecie, który strzelał nie tyle nabojami, co małymi bombami. Kupiła też setkę mieszczących osiem naboi magazynków do pistoletu, sto naboi do rewolweru, trzy taśmy dziewięciomilimetrowych naboi do P-38 i dwa wojskowe noże. Wszystko w „słynnym na cały świat" sklepie Franka Lavy.

– Jeśli chce pani mieć najlepszą broń – powiedział obsługujący ją osobiście Frank – powinna pani kupić pythona. Na całym świecie nie znajdzie pani nic lepszego.

Uniósł w górę krzaczaste brwi tylko raz, gdy poprosiła o sto magazynków.

– To osiemset naboi.

– Tak. I jeszcze naboje do rewolweru. Wystarczy? A może powinnam wziąć więcej?

– To zależy, do czego pani chce strzelać.

– Hmmm – odparła wymijająco. – Proszę dać mi jeszcze pięćdziesiąt naboi do pythona.

Wzięła też ze sobą papierosy.

Kiedy się spakowała, nie mogła podnieść plecaka z podłogi. Musiała pożyczyć mniejszy od Vikki i do niego schować broń. Rzeczy osobiste niosła na plecach, a torbę z bronią w ręce. Torba była straszliwie ciężka, Tatiana zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie przesadziła.

Ze swojego czarnego plecaka wyjęła obrączki, nadal wiszące na sznureczku, który nosiła w Morozowie, i zawiesiła je na szyi.

Kiedy Edward się dowiedział, że zrezygnowała z pracy w Wydziale Zdrowia Publicznego, nie chciał z nią rozmawiać. Poszła się z nim pożegnać na Ellis, lecz spojrzał na nią ponuro.

– Nie mam ci nic do powiedzenia – rzucił.

– Wiem. I bardzo mi przykro. Ale Edwardzie, czy mogę postąpić inaczej?

– Nie jedź.

Pokręciła głową.

– On żyje.

– Żył. Blisko rok temu.

– Żyje! Co mam zrobić? Zostawić go tam?

– To szaleństwo. Zostawiasz syna?

– Edwardzie. – Ujęła go za rękę i spojrzała prosto w oczy. Rozumiała. – Bardzo mi przykro. My prawie... Ale nie jestem wolna. Nie jestem wdową. Jestem mężatką, a mój mąż może gdzieś tam żyje. Muszę przynajmniej spróbować go odnaleźć.

Płynęli statkiem linii Cunard White Star. Podróż do Hamburga trwała dwanaście dni. Statek wypełniony był po brzegi setką tysięcy pakietów medycznych i paczkami żywnościowymi dla jeńców. Dokerzy ładowali je przez pół dnia na duże ciężarówki, którymi miały zostać przewiezione do szpitala Czerwonego Krzyża w Hamburgu, a stamtąd dżipami do obozów.

Białe dżipy miały być samowystarczalne. Mieściła się w nich żywność i wyposażenie przeznaczone na cztery tygodnie dla trzyosobowej załogi – lekarza i dwóch pielęgniarek. Lekarz miał udzielać pomocy chorym i rannym, jeśli zajdzie taka potrzeba, a zajdzie z pewnością: uchodźcy

w obozach dla dipisów, które odwiedzali, cierpieli na wszystkie znane medycynie choroby: grzybicę, infekcje oka, egzemy, ukąszenia, wszawicę, byli poparzeni, mieli otwarte rany, otarcia, biegunkę, byli głodni i odwodnieni.

Jednym z takich białych dżipów Tatiana, Penny i Martin jeździli po obozach rozrzuconych po całych północnych Niemczech, Belgii i Holandii. Mieli dość jedzenia dla siebie, lecz z pewnością nie było go dość dla uchodźców. Kilka razy dziennie Martin musiał się zatrzymywać, by mogli udzielić pomocy idącym z wielkim trudem lub po prostu leżącym przy drodze ludziom. W całej zachodniej Europie aż roiło się od bezdomnych, a przeznaczone dla nich obozy wyrastały dosłownie wszędzie.

Nigdzie jednak nie było widać uchodźców ze Związku Radzieckiego. A choć wszędzie kręciło się mnóstwo żołnierzy, Francuzów, Włochów, Marokańczyków i Anglików, nie spotkali żołnierzy radzieckich.

W siedemnastu obozach, wśród tysięcy twarzy Tatiana nie znalazła ani jednego Rosjanina, który walczył w okolicach Leningradu, a już na pewno takiego, który by słyszał o Aleksandrze Biełowie.

Tysiące twarzy, tysiące wyciągniętych rąk, tysiące zrozpaczonych ludzi, chorych i oblepionych brudem.

Nie było go tam. Wiedziała, czuła to. Nie było. Codziennie, coraz bardziej zrozpaczona, chodziła od jednego obozu do drugiego, bez Penny i Martina. Obozy były położone w niewielkiej odległości od siebie – około dziesięciu kilometrów – i nie chciała towarzystwa. Męczyła ją ich paplanina. Pragnęła sama ruszyć tam, gdzie mogłaby wyczuć jego obecność i nareszcie go znaleźć. Z ciężkim sercem musiała jednak przyznać, że nie ma pojęcia, gdzie on może być.

Trzymała się na uboczu, marząc o zachodzie słońca w Nowym Jorku, o twarzy synka, który już trzy miesiące był sam, bez matki. Marzyła o świeżym chlebie, o dobrej kawie, o ciepłym kaszmirowym kocu i kanapie, na której czytała książkę, siedząc obok Vikki, z Anthonym śpiącym w pokoju obok. Włosy rosły jej tak szybko, że nie nadążała z farbowaniem,

bo trudno było znaleźć łazienkę z lustrem, gdzie mogłaby to w spokoju zrobić. Postanowiła nie zdejmować chustki.

Trzy miesiące. Od marca jeździła dżipem, rozdawała paczki, bandażowała rany, udzielała pierwszej pomocy i codziennie, gdy opatrywała kolejnego rannego, gdy grzebała zmarłych, schylała głowę w modlitwie. Proszę, niech on tutaj będzie. Następne baraki, następny lazaret, baza wojskowa. Bądź tutaj, bardzo proszę.

A jednak…

Pozostał w niej cień nadziei.

I cień wiary.

Każdego ranka budziła się z nowym zapasem sił i zaczynała poszukiwania na nowo.

Znalazła jeszcze jeden pistolet P-38 przy Ukraińcu, który umarł na jej rękach. Zabrała też jego plecak, w którym znalazła osiem granatów i pięć magazynków po osiem naboi każdy. Swój łup ukryła w dżipie obok torby z bronią w schowku pod podłogą. Trzymali tam składane nosze i śmieci, a teraz także spory arsenał.

Kiedy Tatiana uświadomiła sobie, że nie znajdzie tu Aleksandra, szybko straciła zainteresowanie tą częścią Europy i zasugerowała, by pojechali w inne miejsce.

– Uważa pani, że dipisi nie potrzebują naszej pomocy? – spytał Martin. Znajdowali się w Antwerpii.

– Wiem, że bardzo jej potrzebują. Ale jest tylu innych. Może pojedziemy do amerykańskiej bazy wojskowej i porozmawiamy z dowódcą, Charlesem Mossem. – W biurze Czerwonego Krzyża wręczono im listę nazwisk i mapkę wszystkich amerykańskich baz wojskowych oraz obozów dipisów w całej Europie.

– Gdzie najbardziej nas potrzebują, pułkowniku? – spytała dowódcę bazy.

– Na pewno w Berlinie, ale nie radziłbym tam jechać.

– Dlaczego?

– Nie pojedziemy do Berlina – oświadczył zdecydowanym tonem Martin.

– Rosjanie zgarnęli wszystkich Niemców i wtrącili do obozów – powiedział Moss. – Słyszałem, że w porównaniu z warunkami tam panującymi, obozy dla dipisów przypominają kurorty na Riwierze. Rosjanie nie wyrazili zgody na dostarczanie paczek. Szkoda, bo pomoc bardzo by się tam przydała.

– Gdzie trzymają Niemców? – spytała Tatiana.

– Jak na ironię, w zbudowanych przez nich obozach koncentracyjnych.

– Dlaczego nie radzi pan tam jechać?

– Bo Berlin przypomina bombę zegarową. W mieście jest trzy miliony ludzi, których nie ma czym karmić.

Tatiana coś o tym wiedziała.

– Miasto potrzebuje trzy i pół miliona kilogramów jedzenia dziennie – ciągnął dalej Moss – a w Berlinie można wyprodukować zaledwie dwa procent tej ilości.

O tym wiedziała jeszcze lepiej.

– Nie działa kanalizacja, nie ma wody, łóżek w szpitalach i lekarzy. Szaleją dyzenteria, tyfus i infekcje oka. Na gwałt potrzeba wody, opieki medycznej, zboża, mięsa, tłuszczu, cukru, ziemniaków.

– Nawet w zachodnich sektorach? – spytała Tatiana.

– Tam jest trochę lepiej. Ale żeby dostać się do obozów we wschodnich Niemczech, musielibyście wjechać do sektora radzieckiego. Stanowczo odradzam.

– Czy Rosjanie są przyjaźnie nastawieni?

– Tak – odparł. – Jak Hunowie.

– I co pan o tym sądzi, doktorze Flanagan? – spytała Tatiana po wyjeździe z Antwerpii. – Może powinniśmy pojechać do Berlina?

W Berlinie są Rosjanie.

Martin pokręcił głową.

– Nie mieliśmy tego w planie. Nasz misja została jasno określona: Niderlandy i północne Niemcy.

– Tak, ale w Berlinie potrzebują nas najbardziej. Słyszał pan, co mówił pułkownik. Mamy mnóstwo zapasów.

– I tak nie wystarczy – odparł Martin.

– Ale we wschodnich Niemczech nie mają nic.

– Tania ma rację, Martinie – wtrąciła się do rozmowy Penny. – Jedźmy do Berlina.

Lekarz prychnął cicho.

– Pozwala jej pan mówić do siebie po imieniu? – spytała zdziwiona Tatiana.

– Nie pozwalam, ale i tak to robi.

– Jeździmy razem po Europie od tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku – wyjaśniła Penny. – Kiedy zaczynaliśmy, był jeszcze stażystą. Jeśli każe mi zwracać się do siebie „doktorze Flanagan", to do mnie będzie musiał mówić „panno Davenport".

Tatiana parsknęła śmiechem.

– Ale przecież nazywasz się Woester.

– Zawsze podobało mi się nazwisko Davenport.

Siedzieli wszyscy z przodu, ściśnięci w szoferce dżipa.

– Zobaczmy te obozy, doktorze – powiedziała Tatiana. – Nie czuje pan, że jesteśmy tam potrzebni? Jest pan przecież lekarzem.

– Lekarze są potrzebni wszędzie – odparł Martin. – Dlaczego mamy jechać aż do Berlina? Utkniemy tam na dobre.

A jednak pojechali do Berlina, zatrzymując się po drodze w Hamburgu, by uzupełnić zapasy.

Martin protestował, gdy po brzegi wypełniały dżipa pakietami pierwszej pomocy i paczkami z żywnością. Tłumaczył, że zgodnie z przepisami samochody mogą być załadowane tylko do wysokości półtora metra. Tatiana i Penny nie zwracały jednak uwagi na jego protesty i zapchały dżipa aż po sufit. W efekcie Tatiana nie mogła się dostać do skrytki pod podłogą. Doszła jednak do wniosku, że kiedy broń będzie jej potrzebna, zdążą już rozdać większość zapasów.

Z pomocą zgromadzonej broni Tatiana mogła sama przypuścić atak na miasto. Schowała w samochodzie nawet skrzynkę wódki, którą kupiła w Hamburgu za własne pieniądze.

– A to po co? Nie potrzebujemy wódki!

– Przekona się pan, że bez niej nic nie zdziałamy.

– Nie pozwalam przewozić wódki moim dżipem!

– Na pewno pan nie pożałuje.

– Picie to paskudny nałóg. Jako lekarz nie popieram tego rodzaju zachowania.

– Ma pan rację. Proszę nie popierać. – Tatiana zatrzasnęła drzwi dżipa, jakby tym samym zamykała całą sprawę.

Penny stłumiła śmiech.

– Siostro Woester, pani mi nie pomaga. Siostro Barrington, słyszała pani? Nie powinniśmy zabierać alkoholu.

– Doktorze, był pan kiedyś na terytorium radzieckim?

– Nie.

– Tak też myślałam. Dlatego powinien mi pan zaufać. Tylko ten raz, dobrze? Wódka na pewno nam się przyda.

Martin odwrócił się do Penny.

– Co o tym sądzisz?

– Tatiana jest przełożoną pielęgniarek na wyspie Ellis, delegowaną tam przez nowojorski Wydział Zdrowia Publicznego – odparła Penny. – Jeśli uważa, że powinniśmy zabrać wódkę, to na pewno powinniśmy to zrobić.

Tatiana nie chciała wyprowadzać jej z błędu i wyjaśniać, że nie jest, ale była przełożoną pielęgniarek.

Jechali przez okupowane przez aliantów zachodnie Niemcy i tam, w obozach dipisów, Tatiana ocierała się o setki rozpaczliwie samotnych i tęskniących za domem żołnierzy. Niemal każdy z nich, gdy pochylała się nad nim, dotykał jej i szeptał coś po francusku, włosku, niemiecku albo angielsku, który dźwięczał jej w uszach jak najpiękniejsza muzyka. Szeptali, że jest urocza, śliczna, pytali, czy też jest samotna, czy jest mężatką, czy ma ochotę… Tatiana, która nie przestawała gładzić ich po

rozpalonych głowach, odpowiadała niezmiennie: „Szukam tu męża, nie mogę, nie jestem dla ciebie".

Penny była jednak wolna, nie szukała męża i z chęcią spełniała prośby żołnierzy. Czego ona szukała? Całe szczęście, że w tym kipiącym od męskich pragnień i pożądliwych spojrzeń miejscu nie znalazła się Vikki. Na pewno by pomyślała, że bogowie nareszcie odpowiedzieli na jej modlitwy. Penny, znacznie mniej atrakcyjna od Vikki – i może na tym polegał cały problem – nie potrafiła oprzeć się czułym słówkom i błaganiom żołnierzy. Co tydzień musiała brać zastrzyki z penicyliny, by ustrzec się przed chorobami, od których nazw Tatianie robiło się słabo.

Czy mogła, nawet tak pełna nadziei, miłości i wiary w Aleksandra, nie zadać sobie pytania, czy on – uwięziony w jednym z setek obozów – nie dotykał w tym momencie pielęgniarki, która gotowa była spełnić jego błagalne prośby? Czy nie mówił do niej: „Co jest? Czego się boisz? Nie proszę przecież o wiele, wróć, kiedy się ściemni, dobrze"? Aleksander, który gotowy był rzucić się na nią w zatłoczonym szpitalu w Morozowie kilka dni przed jej wyjazdem ze Związku Radzieckiego; Aleksander, który nocą nie myślał o niczym innym, nie mówił o niczym innym. Czy był jednym z tych mężczyzn, którzy leżeli na pryczach, modląc się, by przyszła ich zbadać gotowa na wszystko pielęgniarka?

Tatiana nie była aż tak naiwna, by nie dopuszczać do siebie takich myśli.

A przecież... ona nie była podobna do Penny.

Może więc Aleksander też nie przypominał tych mężczyzn.

Spotkała przecież kilku, którzy zostawili swoje żony i dziewczyny albo zostali przez nie porzuceni i leżeli spokojnie na pryczach, nie prosząc o nic.

Było ich jednak tak niewielu...

Na niektórych oddziałach i w niektórych obozach, na przykład w Bremie, sytuacja była tak napięta, że pielęgniarkom wolno było wchodzić tylko pod strażą lub w towarzystwie pracującego dla Czerwonego Krzyża mężczyzny. Problem polegał na tym, że uzbrojonym strażnikom często płacono za odwracanie wzroku w odpowiednim momencie, a na

pracownikach Czerwonego Krzyża nie można było do końca polegać. Bo kogo mógłby powstrzymać Martin Flanagan?

Tatiana zaczęła nosić przy sobie pistolet, który wsuwała za pasek na plecach, bo często czuła, że nie jest do końca bezpieczna.

Aby dostać się do Berlina, musieli przejechać kilka ustawionych przez Rosjan punktów kontrolnych. Zatrzymywali się co parę kilometrów, a Tatiana przeżywała prawdziwe katusze. Dla niej posterunki były pułapkami, a za każdym razem, kiedy wartownik oglądał jej amerykański paszport, serce waliło jak oszalałe. Co się stanie, jeśli któregoś z nich zaalarmuje nazwisko Jane Barrington?

– Dlaczego każe pani mówić do siebie Taniu, jeśli nazywa się Jane Barrington? – spytał Martin, gdy ruszali po kolejnej kontroli. – A raczej, dlaczego nazywa się pani Jane Barrington, skoro ma pani na imię Tania?

– Martin! Nie bądź durniem! – wykrzyknęła Penny. – Nic nie wiesz? Tania uciekła ze Związku Radzieckiego. Chciała przyjąć amerykańskie nazwisko. Prawda?

– Mniej więcej.

– To po co wraca pani na okupowane przez Rosjan tereny?

– Dobre pytanie, Martinie – powiedziała Penny. – Dlaczego, Taniu?

– Jadę tam, gdzie jestem najbardziej potrzebna – odparła powoli Tatiana – a nie tam, gdzie jest wygodnie.

Na jednym z punktów kontrolnych Rosjanie chcieli przeszukać dżipa, ale ponieważ był wyładowany po sam dach, otworzyli tylko drzwi i zaraz je zamknęli; nie przeszukali też ich osobistych bagaży. Martin dostałby chyba zawału, gdyby zobaczył, ile morfiny spakowała Tatiana do swojej podręcznej apteczki.

– No to gdzie jest ten Berlin? – spytała w końcu.

– Już jesteś w Berlinie – odparła Penny.

Tatiana popatrzyła na długie rzędy domów.

– To nie jest Berlin.

– Ależ tak. Czego się spodziewałaś?

– Dużych budynków. Reichstagu. Bramy Brandenburskiej.

– Wie pani, co to są bomby zapalające? – spytał wyniośle Martin. – Nie ma już Reichstagu. Ani dużych budynków.

Jechali dalej w stronę centrum miasta.

– Ale Brama Brandenburska nadal stoi – pokazała Tatiana.

Martin zamilkł.

Berlin.

Powojenny Berlin.

Tatiana nie wiedziała, czego ma się spodziewać, ale mając za sobą życie w bombardowanym nieustannie Leningradzie, przygotowała się na najgorsze. Mimo to była zaskoczona rozmiarem zniszczeń. Berlin nie był już miastem, lecz ruiną o biblijnych proporcjach. Większość budynków w centrum miasta leżała w gruzach, a ich dawni mieszkańcy żyli w cieniach ruin. Dzieci bawiły się wśród zwałów betonu, a na rozciągniętych między stalowymi słupami sznurach suszyło się pranie. Berlińczycy mieszkali w namiotach przy swoich dawnych domach, palili ogniska w dziurach w ziemi i jedli, co im wpadło w ręce. Tak wyglądał sektor amerykański.

Park Tiergarten, niegdyś duma miasta, był teraz ulubionym miejscem bezdomnych mieszkańców, nurty Szprewy zaśmiecał popiół, odłamki szkła i inne paskudztwa – pozostałości po bombardowaniach, które zrównały z ziemią trzy czwarte powierzchni centrum miasta.

Penny miała rację. Berlin nie był ściśnięty jak Nowy Jork na małej wyspie, nie przypominał też Leningradu, małego kleksa na mapie, przytulonego do zatoki. Rozrastał się we wszystkich kierunkach, a zrujnowane budynki ciągnęły się całymi kilometrami.

Nic dziwnego, że tak trudno opanować poszczególne sektory, pomyślała Tatiana. Do każdego można wejść na co najmniej sto sposobów. Ciekawe, jak Rosjanom udaje się powstrzymać Niemców przed ucieczką do amerykańskich, angielskich i francuskich stref okupacyjnych.

– Mówiłem już, wszyscy Niemcy są w więzieniu – wyjaśnił Martin.

– Wszyscy?

– Reszta nie żyje.

Spotkali się z amerykańskim gubernatorem wojskowym Berlina, starszym generałem broni, Markiem Bishopem, pochodzącym z Washington Heights na Manhattanie. Bishop nakarmił ich i z ciekawością wysłuchał wieści z domu. Pozwolił też Tatianie wysłać telegram do Vikki i Anthony'ego („ZDROWA I BEZPIECZNA. TĘSKNIĘ. KOCHAM WAS".) i do Sama Gulotty („JESTEM W BERLINIE. JAKIEŚ WIEŚCI? POMOC?") i załatwił im spanie w schronisku. Budynek był mocno zniszczony, ale dało się w nim mieszkać. Wewnętrzne ściany były częściowo zburzone, w oknach brak szyb, ale spało w nim sporo członków personelu medycznego i wojskowego. Tatiana i Penny spały w jednym pokoju. W chłodny czerwcowy wieczór przez wybite okna dobiegał z ulicy nieustanny hałas. Tatiana spała niespokojnie z dłonią na pistolecie.

Aleksandrze, patronie złamanych serc! Aleksandrze, patronie niewinnych, niepokonanych, niewidzialnych, niesubordynowanych. Aleksandrze, żołnierzu, władco mojej duszy – dobry Boże, zaprowadź mnie do niego, do mojego żołnierza z czołgów i okopów, z dymu i smutku, do Aleksandra, mojej radości i tęsknoty, mojego królestwa i mojej pustki. Gdziekolwiek jest, pozwól mi go znaleźć, objąć ramionami, przytulić, pocałować, przesunąć włosami po najdroższej twarzy. Szukam cię wszędzie, błagam, Aleksandrze, władco mojego serca, pozwól mi się znaleźć.

Następnego ranka w biurze Bishopa czekał na nią telegram od Sama. „JESTEŚ SZALONA. JOHN RAVENSTOCK KONSULAT. POMOŻE".

Zatelegrafowała też Vikki: „WRACAJ DO DOMU. NIE MAMY CHLEBA".

Mark Bishop pragnął gorąco, by przedstawiciele Czerwonego Krzyża dotarli do radzieckiej strefy okupacyjnej. Zawiózł ich więc osobiście przez Bramę Barndenburską na spotkanie z generałem broni, głównodowodzącym wojsk okupacyjnych.

– Generał nie mówi po angielsku. Któreś z was mówi po rosyjsku, czy mam załatwić tłumacza?

– Ona mówi po rosyjsku – odparł natychmiast Martin, wskazując Tatianę.

Będzie musiała z nim poważnie porozmawiać.

– Taniu, nie masz nic przeciwko temu, prawda? – spytała Penny.

– Nie. Postaram się – odparła Tatiana i odciągnęła Penny na bok. – Nie mów do mnie „Taniu", dobrze? – szepnęła. – Jesteśmy na terytorium radzieckim. Nie używaj mojego rosyjskiego imienia. Zwracaj się do mnie „siostro Barrington".

– Nie pomyślałam, przepraszam. – Penny się uśmiechnęła. – Całe to kochanie rzuciło mi się chyba na mózg.

– Wzięłaś dziś zastrzyk penicyliny? Wczoraj zapomniałaś.

– Wzięłam. Już mi lepiej. Bogu niech będą dzięki za penicylinę.

Tatiana uśmiechnęła się blado, lekko się przy tym wzdrygając.

Budynki przy bulwarze Unter den Linden w dzielnicy Mitte przekazane na kwatery dla armii radzieckiej były tak zrujnowane jak schronisko, w którym spędzili noc. Tatiana była zdumiona nie tyle ogromem zniszczeń, ile brakiem jakichkolwiek prac przy odbudowie miasta. Przecież od zakończenia wojny minął już rok. W Nowym Jorku, który nie był przecież bombardowany, nowe budynki wznoszono z szybkością błyskawicy, jakby miasto już przygotowywało się na nadejście nowego stulecia. Wschodnia część Berlina była zrujnowana, pusta i smutna.

– Generale, dlaczego tu jest tak cicho? Dlaczego nie odbudowujecie Berlina?

– Robimy to. Ale powoli.

– Nie widać.

– Siostro Barrington, nie potrafię wytłumaczyć pani tragedii Berlina w pięć minut, a tyle mamy do spotkania z generałem. Rosjanie nie chcą płacić za odbudowę. Chcą, żeby Niemcy zapłacili za zniszczenia ich kraju.

– I mają rację – odparła Tatiana. – Berlin jest niemieckim miastem. Niech sami płacą.

– Ale Rosjanie chcą najpierw odbudować Związek Radziecki. To jest dla nich najważniejsze.

– Bo powinno być.

– Dla wschodniego Berlina nie ma więc ani grosza. Nie mówiąc już o specjalistach. Wszystkich inżynierów i fundusze wysyłają do Związku Radzieckiego.

– Dlaczego nie pomogą alianci z Zachodu?

– Gdyby to było takie proste. Ostatnią rzeczą, jakiej pragną Rosjanie, jest nasza pomoc w okupowanym przez nich sektorze. Nienawidzą nas i naszej obecności w mieście. Chcieliby się nas pozbyć. Wyrzucą nas stąd siłą, zobaczy pani. Niczego nie chcą od nas przyjąć. Zobaczy pani, jak trudno będzie przekonać tego ich generała, żeby się zgodził na inspekcję obozów, choć chcemy to zrobić z czysto humanitarnych pobudek.

– Nie chcą, żebyśmy zobaczyli, jak traktują Niemców – powiedziała Tatiana.

– Może. Ale przede wszystkim chcą, żebyśmy się stąd wynieśli. Muszę przyznać, że niezbyt się cieszę na to spotkanie.

Na piętro budynku prowadziły marmurowe schody. Obite i popękane, ale mimo wszystko marmurowe. Generał czekał na nich w swojej kwaterze.

Weszli do środka. Generał odwrócił się i uśmiechnął. Tatiana wciągnęła ze świstem powietrze.

Przed nią stał Michaił Stiepanow.

Penny i Martin spojrzeli na nią zdumieni. Schowała się za Martinem, by się opanować. Czy Stiepanow rozpozna ją z czarnymi włosami i mocnym makijażem? Gubernator przedstawił ich i powiedział: „Siostro Barrington, proszę tłumaczyć naszą rozmowę".

Nie mogła się już dłużej chować. Wyszła zza pleców Martina. Nie uśmiechnęła się. Stiepanow też się nie uśmiechał, stał nieruchomo, niemal nie mrugając powiekami. Jedynym znakiem, że dostrzegł jej obecność, była ręka zaciskająca się mocno na krawędzi biurka.

– Dzień dobry, towarzyszu generale – odezwała się po rosyjsku.

– Witam, siostro Barrington.

Kiedy tłumaczyła słowa gubernatora, drżały jej wargi. Czerwony Krzyż zwraca się z propozycją dostarczenia pomocy medycznej tysiącom

Niemców przetrzymywanych przez Rosjan w obozach we wschodnich Niemczech. Czy generał zezwoli na udzielenie im pomocy?

– Potrzebują jej bardzo. – Stiepanow stał wyprostowany, ale bardzo się postarzał. I wyglądał na zmęczonego. Jego oczy miały wyraz człowieka, który widział za dużo i nie potrafi się z tym pogodzić. – Obawiam się, że nadzór nad obozami pozostawia wiele do życzenia. Niemcy trafili do niewoli, by pomagać w odbudowie Związku Radzieckiego, ale większość z nich nie ma ochoty pracować.

– Proszę pozwolić, byśmy udzielili im pomocy – powiedziała Tatiana.

Stiepanow poprosił, by usiedli. Tatiana z ulgą opadła na krzesło. Dzięki Bogu, że nie musi już stać.

– Niestety, mamy poważny problem – ciągnął Stiepanow – i nie wiem, czy wasze paczki pomogą go rozwiązać. W Berlinie i w okolicy rośnie nienawiść w stosunku do jeńców niemieckich, borykamy się z brakiem dyscypliny niezbędnej do nadzorowania obozów, nasi strażnicy nie zostali specjalnie przeszkoleni, nie mają doświadczenia. Wszystko to razem jest pożywką dla całego szeregu wykroczeń, ucieczek i przemocy. Koszty polityczne są bardzo wysokie. Wielu niemieckich robotników odmawia pracy. Uciekają do zachodnich sektorów. To problem, który musimy rozwiązać w najbliższej przyszłości i obawiam się, że Czerwony Krzyż może tylko zaognić i tak trudną sytuację.

– Generał ma absolutną rację – powiedział Martin, gdy Tatiana przetłumaczyła słowa Stiepanowa. – Nic tu po nas. Nie wiedzieliśmy, w co się pakujemy.

Tatiana nie przetłumaczyła tego na rosyjski. Powiedziała tylko:

– Międzynarodowy Czerwony Krzyż jest organizacją neutralną. Nie opowiada się po żadnej ze stron.

– Zrobilibyście to, gdybyście zobaczyli te obozy. – Stiepanow pokręcił głową. – Próbowałem jakoś rozwiązać problem dzielenia żywności, poprawy warunków sanitarnych i wprowadzania siłą przepisów. Cztery miesiące temu wydałem rozkaz poprawy nieludzkich warunków życia w obozach, ale przeszedł bez echa. Kontyngent odpowiedzialny za obozy

rosyjskie nie chce karać nadużyć w swoich własnych szeregach, co prowadzi do dalszych przejawów wrogości.

– Rosyjskie? – spytała Tatiana. – Chodzi wam oczywiście o niemieckie?

Stiepanow zamrugał powiekami.

– Rosjanie też tam są, siostro Barrington – powiedział, patrząc jej prosto w oczy. – A przynajmniej byli cztery miesiące temu.

Tatiana zaczęła drżeć.

– Który kontyngent jest odpowiedzialny za te obozy? Może ja… może powinniśmy z nimi porozmawiać.

– Musiałaby siostra pojechać do Moskwy i porozmawiać z samym towarzyszem Berią. – Uśmiechnął się ponuro. – Stanowczo jednak odradzam. Mówią, że samo wypicie kawy z Berią może być ostatnią rzeczą, jaką robi się w życiu.

Tatiana wcisnęła drżące dłonie między kolana. Nie mogła ufać swemu ciału. A więc w obozach koncentracyjnych w Niemczech rządzi NKWD!

– Co on powiedział, Ta… siostro Barrington? – spytała Penny. – Zapomniałaś przetłumaczyć.

– Już podjęliśmy decyzję – powiedział Martin. – Marnujemy tylko czas i środki.

Tatiana odwróciła się do niego.

– Mamy mnóstwo środków, doktorze Flanagan. Mamy za sobą całe Stany Zjednoczone. Generał powiedział, że więźniowie w obozach bardzo potrzebują naszej pomocy. Mamy wrócić teraz, kiedy dowiedzieliśmy się, że potrzebują jej bardziej, niż początkowo sądziliśmy?

– Siostra Barrington ma rację, doktorze – powiedziała Penny, próbując zachować powagę.

– Chodzi o to, by pomagać tym, którzy mogą się uratować – oświadczył Martin.

– Wie pan co? Najpierw im pomożemy, a oni już sami zadecydują, czy mogą się uratować. – Odwróciła się do Stiepanowa. – Towarzyszu generale, jak tu trafiliście? – spytała cicho.

– O co pani go pyta? – zaniepokoił się Bishop.

– Przenieśli mnie tutaj po upadku Berlina – odparł Stiepanow. – Za dobrze radziłem sobie w Leningradzie. Ale dostałem nauczkę. Pomyśleli, że tutaj pójdzie mi równie dobrze. Ale to nie Leningrad. Tam nie ma takich problemów. Brakuje jedzenia, ubrań i mieszkań, ale dochodzą jeszcze problemy wynikające ze zderzenia różnych kultur, kłopoty z ludźmi, z wymiarem sprawiedliwości, wypłatą odszkodowań i wymierzeniem kary. To bagno zaczyna mnie wciągać. – Zawiesił głos. – Chyba nie zabawię tu zbyt długo.

Tatiana wzięła go za rękę. Gubernator, Martin i Penny patrzyli na nią zdumieni.

– Gdzie jest ten, który oddał wam syna? – szepnęła.

Stiepanow pokręcił głową, nie spuszczając wzroku z jej dłoni.

– Gdzie on jest?

Podniósł wzrok.

– Sachsenhausen. Obóz Specjalny Numer 7.

Tatiana uścisnęła dłoń Stiepanowa.

– Dziękuję, towarzyszu generale.

– Co on mówił o Sachsenhausen? – dopytywał się Martin. – Zapomniała pani przetłumaczyć. Może trzeba jednak ściągnąć tłumacza.

– Powiedział, gdzie najbardziej jestem potrzebna – odparła Tatiana, z trudem podnosząc się z krzesła. Bała się, że nogi odmówią jej posłuszeństwa. W ustach miała sucho. – Będziemy wdzięczni, towarzyszu generale, jeśli powiecie nam, jak dojechać do obozu. Może dacie nam mapę, tak na wszelki wypadek. Czy moglibyście wysłać do nich telegram i poinformować o naszym przybyciu? My za to prześlemy wiadomość do Hamburga z prośbą, by przysłali do Berlina więcej konwojów z pomocą. Obiecuję, że dostarczymy do obozów dość jedzenia i lekarstw. Nie naprawimy całego zła, ale przynajmniej postaramy się pomóc.

Wszyscy uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie. Tatiana nie spuszczała wzroku ze Stiepanowa. Skinął głową.

– Proszę tam jechać jak najszybciej – powiedział. – Rosjanie są w tragicznym położeniu. Od kilku miesięcy przewożą ich do obozów na

Kołymie. Może już być za późno.

Kiedy wychodzili, Tatiana odwróciła się raz jeszcze, by spojrzeć na Stiepanowa. Stał sztywno wyprostowany przy biurku.

– Nie jest tu pani bezpieczna – powiedział. – Znajduje się pani na liście największych wrogów klasowych. Ja też nie jestem bezpieczny. A najmniej bezpieczny jest on.

– Co on powiedział? – dopytywał się Martin, gdy wyszli.

– Nic.

– Gubernatorze, to nie do przyjęcia. – Odwrócił się do Bishopa. – Siostra Barrington ukrywa przed nami jakieś ważne informacje.

– Doktorze Flanagan, widać, że nie mówi pan w żadnym obcym języku – odparł Bishop. – Tłumaczy się przecież tylko najważniejsze rzeczy.

– A to zrobiłam z pewnością – mruknęła Tatiana.

Kiedy wyszli przed budynek, musiała usiąść na kupce gruzu, która leżała obok uroczej niegdyś fontanny. Bishop przysiadł obok niej.

– Gdy wychodziliśmy, powiedział do pani słowo *wrag*. Wiem, że znaczy to wróg. O co mu chodziło?

Musiała odetchnąć kilka razy, by jej głos zabrzmiał spokojnie.

– Powiedział, że armia radziecka traktuje nas, Amerykanów, jak wrogów. Nic nie możemy na to poradzić. Nie chciałam o tym wspominać. Doktor… – skinęła głową w stronę Martina – …i tak ma już sporego pietra.

Gubernator się uśmiechnął.

– Rozumiem. – Poklepał ją po ramieniu i obdarzył ciepłym, pełnym aprobaty spojrzeniem. – O pani na pewno nie można tego powiedzieć.

– Gubernatorze – powiedział Martin – czy uważa pan, że powinniśmy pojechać do Sachsenhausen?

– Raczej nie można tego uniknąć, doktorze. Po to przecież tu przyjechaliście. Wasza pielęgniarka zdołała przekonać generała, by wpuścił nas do obozów. Jak pani tego dokonała, siostro? To wielki przełom dla Czerwonego Krzyża. Natychmiast zatelegrafuję do Hamburga. Powiem im, żeby przysłali czterdzieści tysięcy paczek.

– Taniu, chwileczkę – odezwała się Penny. – Chciałabym, żebyś wytłumaczyła, jak ci się udało wziąć radzieckiego generała za rękę, przekonać go, żeby wpuścił nas do obozów, a on nie kazał cię aresztować?

– Jestem przecież pielęgniarką – odparła Tatiana. – Dotykam ich wszystkich.

– Nie powinna pani bratać się aż tak bardzo z Rosjanami – powiedział Martin z naganą w głosie. – Proszę pamiętać, że jesteśmy neutralni.

– Neutralność nie oznacza obojętności – odparła. – Nie pociąga za sobą braku pomocy i współczucia. Neutralność oznacza, że nie opowiadamy się po żadnej ze stron.

– Nie w życiu zawodowym – powiedział gubernator. – Ale, siostro Barrington, Rosjanie to barbarzyńcy. Czy wie pani, że po kapitulacji Niemiec odcięli Berlin od świata na osiem tygodni? Zamknęli go przed naszymi armiami. Na osiem tygodni! Nikt nie mógł się dostać do miasta. Jak pani myśli, co tu robili?

– Nawet nie chcę zgadywać.

– Gwałcili młode kobiety jak pani. Zabijali młodych mężczyzn jak doktor Flanagan. Plądrowali wszystkie stojące jeszcze budynki. Potem je podpalali. Przez osiem tygodni.

– A widział pan, co Niemcy robili w Rosji?

– Ach, tak – wtrącił się Martin. – Myślałem, że nie opowiadamy się po żadnej ze stron, siostro Barrington.

– Ani nie bierzemy wroga za rękę – dodała Penny.

– On nie był wrogiem – powiedziała Tatiana. Musiała się odwrócić, by nie widzieli, że płacze.

Rozdział czterdziesty

Sachsenhausen, czerwiec 1946

Martin chciał wyruszyć następnego dnia. Tatiana zaprotestowała. Pojadą natychmiast. Wsiądą do dżipa i ruszą w drogę. Natychmiast. Martin wynalazł tysiące powodów, dla których powinni czekać do następnego dnia. Telegram Stiepanowa na pewno nie dotarł jeszcze do obozu. Poczekają na resztę dżipów Czerwonego Krzyża i wyruszą jak prawdziwy konwój, tak jak wjechali do Buchenwaldu tuż po zakończeniu wojny. Lepiej, gdyby mieli większe wsparcie. Mogą najpierw odwiedzić szpitale w Berlinie, by sprawdzić, czy tam nie potrzebna jest pomoc. Albo zjeść lunch. Gubernator wojskowy zaprosił ich przecież na lunch i miał przedstawić generałom z marynarki amerykańskiej stacjonującym w Berlinie. Tatiana słuchała go, robiąc kanapki i znosząc ich rzeczy do dżipa. Wzięła kluczyki od Martina, otworzyła drzwi samochodu i wskazała na kierownicę.

– Proszę mi o tym wszystkim powiedzieć, ale po drodze. Mam poprowadzić, czy pan to zrobi?

– Siostro, pani mnie w ogóle nie słuchała!

– Bardzo uważnie. Powiedział pan, że jest głodny. Mam dla pana kanapki. Powiedział pan, że chce poznać generała. Pozna pan komendanta największego obozu koncentracyjnego w Niemczech. I to już za godzinę, jeśli się pospieszymy i nie zgubimy po drodze.

Obóz Sachsenhausen znajdował się około czterdziestu kilometrów na północ od Berlina.

– Trzeba zadzwonić do Czerwonego Krzyża w Hamburgu.

– Zrobi to za nas gubernator Bishop. Wszystkim się zajmie. Musimy tylko jechać. Natychmiast.

Wsiedli do dżipa.

– Od czego mamy zacząć? – spytał wyraźnie pogodzony z losem Martin. – W Sachsenhausen jest blisko sto podobozów. Może powinniśmy zacząć w którymś z nich. Proszę pokazać mi mapę. Są niewielkie, szybko się z nimi uporamy.

– Zależy, co tam znajdziemy – odparła Tatiana. – Nie, ruszamy prosto do Sachsenhausen. – Nie pokazała Martinowi mapy.

– Hmmm, nie sądzę. W ulotce informacyjnej napisano, że w Sachsenhausen przebywa dwanaście tysięcy więźniów. Nie mamy dość paczek.

– Zdobędziemy więcej.

– A nie możemy poczekać?

– Jak długo musi pan czekać, żeby udzielić potrzebującym pomocy, doktorze? Mam nadzieję, że niezbyt długo.

– Czekali na nas przez wiele miesięcy, to mogą chyba poczekać jeszcze parę dni?

– Nie sądzę.

Jewgienij Brestow, komendant obozu, był zaskoczony, gdy zobaczył ich przy bramie obozu.

– Przyjechaliście tutaj, żeby przeprowadzić inspekcję? – spytał Tatianę po rosyjsku. Nie poprosił, by pokazała mu dokumenty. Wystarczył mu jej uniform. Był tęgim, niedomytym, niechlujnie ubranym mężczyzną, który najwyraźniej za dużo pił.

– Przyjechaliśmy zająć się chorymi. Czy dowódca wojskowy Berlina nie skontaktowal się z wami? – Tylko Tatiana mogła się z nim porozumieć.

– Gdzie nauczyła się pani mówić po rosyjsku? – spytał.

– Na uniwersytecie w Ameryce – odparła. – Niestety, nie mówię najlepiej.

– Skądże, świetnie sobie pani radzi.

Brestow poszedł z nimi do biura, gdzie czekał na niego telegram od Stiepanowa z dopiskiem „Pilne".

– Skoro pilne to pilne – powiedział Brestow. – Dlaczego nikt mi tego nie przyniósł! – wrzasnął. – Nie rozumiem, po co ten pośpiech. Wszystko jest w porządku. Stosujemy się do nowych przepisów. Jeśli chcecie znać moje zdanie, to jest ich stanowczo za dużo. Przepisów. Najpierw każą nam robić niemożliwe rzeczy, a potem narzekają.

– Oczywiście. To musi być trudne.

Pokiwał ochoczo głową.

– Bardzo. Strażnicy nie mają żadnego doświadczenia. Jak mają sobie radzić z tymi zabójcami? Wiecie, że nad bramą do obozu umieścili napis: „Praca was uwolni", czy coś w tym stylu. Można by pomyśleć, że fryce chętnie się do niej zabiorą.

– Może nie wierzą, że naprawdę ich uwolni.

– A mogłaby. Omawiamy z nimi warunki. Na pewno ich nie uwolni, jeśli będą dalej się stawiać.

– Kto wykonuje prace?

Brestow zamikł.

– Och, wiecie... – zaczął i natychmiast zmienił temat. – Pozwólcie, że przedstawię wam mojego kierownika, porucznika Iwana Karolicza. Nadzoruje funkcjonowanie obozu.

– Gdzie możemy bezpiecznie postawić dżipa?

– Bezpiecznie? Nigdzie. Postawcie go przed moim domem i dobrze zamknijcie.

Tatiana spojrzała na zacienioną drogę, która prowadziła do oddalonego o kilkadziesiąt metrów od bramy domu komendanta.

– Możemy postawić go w obrębie obozu? Inaczej będzie nam ciężko przenieść tysiące paczek. Macie tutaj dwanaście tysięcy więźniów, tak?

– Mniej więcej.

– Mniej czy więcej?

– Więcej.

– O ile?

– Cztery tysiące.

– Szesnaście tysięcy! – wykrzyknęła, po czym dodała już spokojniej. – Myślałam, że obóz może pomieścić tylko dwanaście tysięcy. Zbudowaliście nowe baraki?

– Nie. Stłoczyliśmy ich w sześćdziesięciu. Nie możemy budować nowych. Całe pozyskiwane w Niemczech drewno wysyłamy do odbudowy naszych miast w Związku Radzieckim.

– Rozumiem. Możemy zostawić dżipa za bramą?

– No, dobrze. A co tam macie?

– Pomoc medyczną dla chorych. Szynkę w puszkach. Mleko w proszku. Kosze jabłek. Wełniane koce.

– Chorzy dojdą do siebie. Już teraz za dużo jedzą. Jest lato, więc nie potrzebujemy koców. Macie tam coś do picia? – zakaszlał. – Oprócz mleka w proszku.

– Oczywiście, komendancie – odparła Tatiana. Spojrzała na Martina, ujęła Brestowa pod ramię i poprowadziła na tył dżipa. – Mam to, czego pan potrzebuje – sięgnęła do środka i wyjęła butelkę wódki. Brestow szybko ją od niej uwolnił.

Zażenowany Martin przejechał przez bramę obozu i zaparkował dżipa po prawej stronie.

– Obóz wygląda jak baza wojskowa – powiedział cicho do Tatiany. – Świetnie go zaprojektowali.

– Hmmm – odparła. – Założę się, że kiedy kierowali nim Niemcy, panował tu większy porządek.

Nie myliła się. Ze ścian budynków odpadał tynk, trawy nikt od dawna nie ścinał, walały się na niej deski z roztrzaskanych framug okiennych. Żelazo pokrywała rdza. Wszystko było zaniedbane, brudne, bardzo radzieckie.

– Wiedzieliście – zaczął Brestow – i proszę to przetłumaczyć swoim towarzyszom, że ten obóz był wzorcowy? Tutaj szkolono esesmanów.

– Niemcy wiedzieli, jak budować obozy – odparła Tatiana.

– I gówno z tego dla nich wynikło, przepraszam za słownictwo – powiedział Brestow. – Teraz wszyscy gniją w tym swoim wzorcowym obozie.

Tatiana spojrzała na niego z powagą, co wywołało u komendanta atak kaszlu.

– Gdzie jest wasz kierownik?

Brestow przedstawił im Karolicza i zostawił ich samych, by się rozejrzeli. Karolicz był wysokim, schludnym mężczyzną, który lubił jeść. Choć jeszcze młody, wyglądał na człowieka, który pochłania za dużo tłuszczu. Podając mu rękę na powitanie, Tatiana popatrzyła na jego bardzo czyste, zadbane dłonie. Nie miała pojęcia, jak człowiek o tak wypielęgnowanych dłoniach kieruje obozem, pełnym brudnych, nękanych chorobami więźniów. Poprosiła, by ją oprowadził.

Obóz był ogromny i choć powoli popadał w ruinę, zachowano oryginalny kształt. Był najszerszy przy bramie i zwężał się ku końcowi, co pozwalało bez trudu strzelać do więźniów z bramy aż po oddalony o kilkadziesiąt metrów kraniec. Baraki, ustawione w trzech półkolach za bramą, mieściły większość niemieckich cywilów i żołnierzy.

Egzekucje odbywały się w środku pierwszego półkola, prawdopodobnie tuż po porannym apelu.

– Gdzie trzymacie oficerów? – spytała Tatiana, gdy podchodzili do lazaretu.

– Ach, ci... – Karolicz zawiesił głos. – Trzymamy ich w byłych barakach aliantów.

– Gdzie one są?

– Na tyłach obozu.

– Poruczniku, czy dbacie o niemieckich oficerów tak dobrze, że nie potrzebują naszej pomocy?

– Raczej nie.

– No to chodźmy ich zobaczyć.

Karolicz zakaszlał.

– Tam może też być paru Rosjan.

– Nie przeszkadza mi to.

– Ale nie możecie wchodzić do tych baraków.

– Dlaczego? Im też pomożemy. Poruczniku, chyba mnie nie zrozumieliście. Przyjechaliśmy tutaj, żeby nakarmić waszych więźniów. Mamy im rozdać paczki. Przyjechał z nami lekarz, żeby pomóc chorym. Może więc wreszcie zaczniemy? Proszę zaprowadzić doktora Flanagana i siostrę Davenport do lazaretu i pozwolić im robić swoje, a my przejdziemy razem do baraków. Zacznijmy od baraków oficerskich, dobrze?

Karolicz patrzył na nią zdumiony.

– Komendant powiedział mi, że chcielibyście coś zjeść. Kazałem kucharzom przygotować coś specjalnego. Może po popołudniu trochę odpoczniecie? Komendant przygotował dla was ładne pokoje.

– Bardzo dziękuję. Zjemy i odpoczniemy, gdy skończymy pracę, poruczniku. No, bierzmy się do roboty.

– Poradzi sobie siostra bez lekarza?

– Na pewno. Chyba że chcecie przeprowadzić operację mózgu, ale w takim wypadku nie pomoże wam nawet nasz lekarz.

– Nie, nie.

Tatiana była zbyt spięta, by się uśmiechnąć.

– Potrafię udzielić chorym i rannym wszelkiej pomocy – ciągnęła dalej. – Potrafię zszywać rany, przemywać je i bandażować. Potrafię podawać krew i morfinę, leczyć wszystkie choroby zakaźne, przygotowywać lekarstwa, stawiać diagnozę, pozbywać się wszy, obniżać gorączkę, golić głowy. – Poklepała swoją torbę. – Mam tutaj prawie wszystko, czego potrzebuję. Kiedy skończą mi się lekarstwa, mam jeszcze sporo w dżipie.

Karolicz mruknął pod nosem, że więźniowie nie potrzebują ani krwi, ani morfiny, bo są tutaj tylko przejściowo.

– Nikt nie umarł w waszych obozach?

– Umierają, siostro. Jasne, że umierają. Ale dla tych niewiele może siostra zrobić, prawda?

Tatiana nie odpowiedziała, wracając w myślach do wszystkich tych, których próbowała ocalić i nie mogła.

– Taniu – szepnął Martin. – Komendant wspominał coś o obiedzie, prawda?

– Tak, tak – odparła, zarzucając torbę na ramię. – Ale powiedziałam, że już jedliśmy. – Spojrzała na niego wymownie. – Bo jedliśmy, prawda, doktorze?

Nie odpowiedział.

– Tak też myślałam. Razem z Penny pójdzie pan teraz do lazaretu. Ja zacznę od baraków oficerów i zobaczę, co tam można zrobić.

Ponieważ Tatiana była jedynym łącznikiem pomiędzy różnymi kulturami, narodami i językami, to ona przejęła kontrolę. Martin i Penny poszli do lazaretu.

Tatiana wróciła z Karoliczem do dżipa i otworzyła tylne drzwi. Próbując się opanować, patrzyła na paczki, pakiety pierwszej pomocy i na jabłka. Na kilka chwil odwróciła się od Karolicza, bo bardzo się bała. Nie chciała, by dostrzegł w jej oczach strach. Pragnąc zyskać nieco na czasie, spytała:

– Macie adiutanta? Chyba przyda nam się ktoś do pomocy. I może jakiś wózek. Do przewiezienia lekarstw i jabłek.

– Ja je zaniosę – odparł Karolicz.

Już opanowana, odwróciła się do niego.

– A kto będzie niósł broń, poruczniku?

Przez chwilę stali w milczeniu. Tatiana chciała, by zrozumiał, co chciała mu przez to powiedzieć.

Zarumienił się.

– Nikt nie zrobi tu wam krzywdy, siostro.

– Poruczniku, ani przez moment nie wątpiłam, że w innym życiu byli porządnymi ludźmi, ale przez trzy spędzone tutaj miesiące sporo widziałam. Przez trzy lata opiekowałam się też niemieckimi jeńcami w Ameryce. Nie mam żadnych złudzeń. Poza tym sądzę, że pielęgniarka nie powinna dobrowolnie rezygnować z ochrony.

– Ma siostra absolutną rację. – Nie patrzył już na nią. Poprosił, by chwilę poczekała, i przyprowadził swojego adiutanta. Razem załadowali ogromny kosz jabłek i trzydzieści pakietów na rozchybotany wózek i ruszyli w stronę oficerskich baraków.

Sierżant czekał na zewnątrz z pakietami. Tatiana, jedną ręką ciągnąc za sobą kosz z jabłkami, a drugą trzymając Karolicza pod ramię, przeszła przez dwa baraki. Nie chciała tego robić, ale nagle uświadomiła sobie, że jeśli zobaczy Aleksandra na jednej z tych paskudnych, zatłoczonych prycz, nie zdoła się opanować. Spoglądała więc w twarze mężczyzn leżących po dwóch na jednej pryczy, podawała im jabłka i szła dalej. Czasami, jeśli spali, dotykała ich, czasami odrzucała przykrywające ich koce. Słuchała, co mówią, słuchała brzmienia ich głosu. Szybko zabrakło jej jabłek. Ale ani razu nie otworzyła apteczki.

– I co siostra o tym myśli? – spytał Karolicz, gdy wyszli na zewnątrz.

– Co myślę? To straszne – powiedziała, wciągając głęboko świeże powietrze. – Ale przynajmniej w tych dwóch barakach wszyscy żyją.

– Nie zatrzymała się siostra jednak, by któregoś z nich zbadać.

– Poruczniku – powiedziała – przedstawię wam pełny raport, kiedy przejdziemy przez wszystkie baraki. Zapiszę, do których więźniów należy wrócić i którzy wymagają natychmiastowej pomocy doktora Flanagana. Ale mam swoje metody. Po samym zapachu potrafię powiedzieć, kto jest na co chory, kto czego potrzebuje, kto żyje, a kto umiera. Potrafię to stwierdzić po ciepłocie ich ciała i kolorze skóry. Pomaga mi też ich głos. Jeśli, jak ci tutaj, krzyczą coś do mnie po niemiecku, wyciągają do mnie ręce, to wiem, że nie jest źle. Kiedy się nie ruszają albo, co gorsza, śledzą mnie wzrokiem w milczeniu, wtedy zaczynam się martwić. W tych dwóch barakach wszyscy żyją. Niech wasz sierżant rozda wszystkim pakiety medyczne. Idziemy dalej.

Przeszli przez następne dwa baraki. Tutaj było już gorzej. Tatiana przykryła dwóch leżących na pryczy mężczyzn i powiedziała Karoliczowi, że trzeba ich pochować. Pięciu miało bardzo wysoką gorączkę. Siedemnastu otwarte rany. Zatrzymała się, by je opatrzyć. Szybko zabrakło

jej bandaży i musiała wrócić do dżipa. W drodze powrotnej zajrzała do lazaretu i poprosiła Penny i Martina, by poszli razem z nią.

– Jest gorzej, niż myślałam.

– Ale nie tak źle jak tutaj. Więźniowie umierają na dyzenterię – odparł doktor Flanagan.

– W barakach też. Proszę sprawdzić.

– A tyfus?

– Jak dotąd, nie zauważyłam, ale kilku więźniów ma bardzo wysoką gorączkę. Przeszłam jednak tylko przez cztery baraki.

– Cztery! A ile jest ich w sumie?

– Sześćdziesiąt.

– Och, siostro.

– Doktorze, musimy działać szybko. W każdym baraku ścisnęli sto trzydzieści cztery prycze, co daje dwustu sześćdziesięciu ośmiu więźniów. Czego się pan spodziewał?

– Nie damy sobie rady.

– A gdzie pański duch walki?

Mężczyźni z jednego baraku byli na dziedzińcu. Z innego poszli się kąpać.

Po przejściu baraku numer jedenaście Martin otarł twarz i powiedział:

– Proszę powiedzieć temu Karoliczowi, czy jak się tam nazywa, że każdy zdrowy mężczyzna w tym baraku umrze na dyfteryt, jeśli natychmiast nie trafi do lazaretu.

W baraku numer trzynaście Tatiana bandażowała ramię jednego z Niemców, gdy nagle rzucił się w dół z pryczy i spadł prosto na nią. Początkowo myślała, że to wypadek, lecz on natychmiast zaczął się o nią ocierać, przyciskając mocno do podłogi. Karolicz próbował go odciągnąć, lecz mężczyzna ani drgnął, a żaden z więźniów nie chciał mu pomóc. Karolicz musiał uderzyć mężczyznę mocno w głowę kolbą pepeszy i nie przestawał go bić, dopóki ten nie stracił przytomności.

Pomógł Tatianie wstać.

– Przepraszam. Zajmiemy się nim.

Tatiana otrzepała się i wzięła swoją torbę.

– Nic się nie stało. Chodźmy dalej. – Nie skończyła bandażować napastnika.

Była ósma wieczorem, gdy skończyli inspekcję baraku numer piętnaście. Karolicz oświadczył, że muszą skończyć pracę. Martin i Penny gorąco go poparli. Tatiana chciała iść dalej. W dwóch ostatnich barakach usłyszała mówiących po rosyjsku więźniów. Zajęła się nimi wyjątkowo troskliwie, rozdała pakiety i jabłka. Z kilkoma zamieniła parę słów. Nigdzie jednak nie było widać Aleksandra.

Wreszcie Karolicz, Martin i Penny oświadczyli stanowczo, że muszą już kończyć i wrócą do baraków wcześnie rano następnego dnia. Nie mogła pracować bez nich. Sama chodzić po barakach. Niechętnie wróciła więc do domu komendanta. Wyszorowali się porządnie, a Penny zrobiła sobie kolejny zastrzyk z penicyliny. Na kolacji spotkali się z Karoliczem i Brestowem.

– I co sądzi wasz doktor, siostro? – spytał Brestow. – Jak sobie radzą?

– Fatalnie – odparła Tatiana, nie zawracając sobie głowy tłumaczeniem. Martin i Penny zajęli się jedzeniem, zapominając o Bożym świecie. – Macie tu poważny problem. Więźniowie są przede wszystkim potwornie brudni. Czy w obozie działają prysznice? Pralnia?

– Oczywiście – rzucił gniewnie Brestow.

– Ale nie pracują na okrągło, choć powinny. Gdybyście zadbali o czystość więźniów, połowy chorób udałoby się uniknąć. Środki dezynfekujące w toaletach też by nie zaszkodziły.

– Przecież oni wstają, chodzą, więc nie mogą być aż tak bardzo chorzy. Spacerują po dziedzińcu, jedzą trzy razy dziennie.

– A co im dajecie?

– To nie jest uzdrowisko, siostro. Jedzą to, co zwykle dają w więzieniu.

Tatiana spojrzała na stek stojący przed Brestowem.

– Kleik na śniadanie, zupę na obiad i ziemniaki na kolację? – spytała.

– I chleb – dodał Brestow. – Czasami dostają też rosół.

– Są brudni, niedożywieni, prycze stoją zbyt blisko siebie, te baraki to wylęgarnia chorób. A jeśli sądzicie, że nie ma to nic wspólnego z wami, to proszę pamiętać, że pilnują ich wasi ludzie, którzy też zachorują. Dyfteryt jest chorobą zakaźną, podobnie jak tyfus…

– Chwileczkę, nie mamy tu przecież tyfusu!

– Jeszcze nie – odparła spokojnie. – Ale więźniowie mają wszy, długie, brudne włosy. A kiedy zachorują na tyfus, wasi ludzie nadal będą musieli ich pilnować.

Przez chwilę Brestow nie odpowiadał, trzymając na uniesionym widelcu kawałek steku.

– Ale przynajmniej nie zżera ich syfilis – powiedział w końcu ze śmiechem.

Tatiana wstała od stołu.

– Mylicie się, komendancie. Znaleźliśmy czterdziestu czterech mężczyzn chorych na syfilis, a u siedemnastu choroba jest już bardzo zaawansowana.

– To niemożliwe.

– A jednak. Tak przy okazji, wasi rodacy, Rosjanie, są w dużo gorszym stanie niż Niemcy, jeśli to w ogóle możliwe. Dziękuję bardzo za miły wieczór. Do zobaczenia rano.

– Nie chcemy, żeby byli zbyt zdrowi, siostro! – zawołał za nią Brestow, pociągając duży łyk wódki. – Zdrowi ludzie nie są zbyt… chętni do współpracy, prawda?

Wyszła z pokoju.

Następnego ranka obudziła się o piątej. Wszyscy jeszcze spali. Musiała czekać na resztę aż do szóstej.

Wstali i ubrali się bardzo wolno, zjedli śniadanie – jeszcze wolniej – i wreszcie zaczęli inspekcję pozostałych pięciu baraków oficerskich.

– Dobrze się siostra czuje? – spytał z uprzejmym uśmiechem Karolicz. Miał wykrochmalony kołnierz munduru, gładko zaczesane włosy. Z wyrazu jego twarzy trudno było jednak cokolwiek wyczytać. – Wczorajszy dzień wyraźnie wami wstrząsnął.

– Odrobinę. Ale nic mi nie jest.

– Wsadziliśmy go do więzienia.

– Kogo? Ach, jego. Proszę się nie przejmować.

– Czy coś takiego często się zdarza?

– Nie.

Pokiwał głową.

– Bardzo dobrze mówi siostra po rosyjsku.

– Dziękuję. Jesteście bardzo uprzejmi.

Rozdali pakiety, jabłka, opatrzyli rany i kazali przenieść chorych na choroby zakaźne do lazaretu. Tatiana przeszła między łóżkami. Tutaj też go nie było.

– Jestem zaskoczony stanem więźniów rosyjskich – powiedział Martin, gdy wyszli na chwilę na świeże powietrze. Padał deszcz, stanęli więc pod niewielkim daszkiem.

– Dlaczego? – spytała Tatiana.

– Nie wiem. Można by pomyśleć, że będą ich traktować lepiej niż Niemców.

– A niby dlaczego? Nie istnieje przecież niebezpieczeństwo, że Rosjan będzie oglądać międzynarodowa komisja. Wszystkich oficerów wyślą do Związku Radzieckiego do obozów pracy. Jak pan myśli, co ich tam czeka? – zadrżała. – Tutaj przynajmniej jest ciepło.

W baraku numer dziewiętnaście, kiedy opatrywała wyjątkowo paskudną ranę, nagle usłyszała za sobą głos i śmiech, który zabrzmiał dziwnie znajomo. Odwróciła się i spojrzała prosto w twarz sierżanta Uspieńskiego ze szpitala w Morozowie. Natychmiast odwróciła wzrok i znów skoncentrowała się na swoim pacjencie, lecz serce waliło jej jak oszalałe. Czekała, że zaraz do niej zawoła:

– Siostro Mietanowa, co was tutaj sprowadza?!

Nie zawołał. Ale gdy skończyła i wstała, by wyjść, odezwał się do niej po rosyjsku:

– Siostro, siostro, proszę koniecznie tutaj spojrzeć.

Odwróciła się powoli. Uspieński uśmiechał się szeroko.

– Dzieje się ze mną coś bardzo niedobrego i wiem, że tylko siostra sobie z tym poradzi. Proszę tu podejść.

Makijaż i ciemne włosy zrobiły swoje. Nie poznał jej. Wzięła torbę i wstała.

– Wyglądacie na absolutnie zdrowego.

– Ale nie dotknęła siostra mojego czoła. Ani nie sprawdziła tętna. Nie mówiąc już o żołądku...

– Mam spore doświadczenie. Na oko widać, że nic wam nie dolega.

Roześmiał się wesoło.

– Wyglądacie mi tak znajomo? – spytał. – Świetnie mówicie po rosyjsku. Jak się nazywacie?

Kazała Penny dać mu pakiet i paczkę żywnościową, po czym szybko wyszła z baraku. Ile czasu upłynie, zanim Uspieński przypomni sobie, skąd ją zna?

Jak najwolniej przeszła przez ostatni barak. Zatrzymywała się przy każdej pryczy, nawet rozmawiała z niektórymi więźniami. Jeśli Uspieński jest tutaj, czy znaczy to, że jest także Aleksander? Nie znalazła go jednak w baraku numer dwadzieścia. Dwustu sześćdziesięciu ośmiu więźniów i żaden z nich nie był Aleksandrem. Dwadzieścia baraków, pięć tysięcy mężczyzn, a żaden z nich nie był Aleksandrem. Musiała przejść jeszcze przez resztę obozu, ale nie miała już zbyt wielkich nadziei. Na pewno trzymaliby go z resztą Rosjan, a nie z niemieckimi cywilami. Karolicz powiedział jej przecież, że wszyscy Rosjanie są razem. Władze obozu nie chciały mieszać niemieckich i rosyjskich więźniów. W przeszłości najostrzejsze konflikty wybuchały prawie z niczego.

Kiedy wyszli na zewnątrz, zostawiła ich na chwilę i podeszła do niskiego ogrodzenia z drutu kolczastego, które oddzielało baraki od cmentarza. Był czerwiec, padał deszcz. Siąpił od rana. Stała w przemoczonej tunice i spodniach, ciemne włosy wymykały się spod chustki. Owinęła się ramionami i stojąc bez ruchu, wpatrywała się w niewielkie, pozbawione krzyży kopczyki.

Po chwili podszedł do niej Karolicz.

– Dobrze się siostra czuje? – spytał.

Odwróciła się z bolesnym westchnieniem.

– Poruczniku, gdzie pochowano więźniów, którzy umarli wczoraj w barakach?

– Jeszcze ich nie pochowano.

– To gdzie ich zabrano?

– Do piwnicy baraku, w którym mieści się kostnica.

Nie wiedziała, jakim cudem zdołała wypowiedzieć następne słowa.

– Czy mogłabym ją zobaczyć?

Karolicz parsknął śmiechem.

– Jasne. Chce się siostra przekonać, czy dobrze traktujemy trupy?

Martin i Penny wrócili do lazaretu, a Tatiana poszła z Karoliczem. Kostnica była niewielkim, wyłożonym płytkami bunkrem, w którym stały kamienne stoły.

– Gdzie jest piwnica?

– Zsuwamy ciała tędy – wyjaśnił Karolicz.

Na tyłach pomieszczenia Tatiana zobaczyła długą, metalową rynnę prowadzącą w ciemność. Stała przy niej nieruchomo przez parę chwil.

– Jak… – zaczęła drżącym głosem – jak ściągacie tu ciała?

– Rzadko to robimy. Pomieszczenie połączone jest z piecami w krematorium. – Uśmiechnął się. – Niemcy pomyśleli o wszystkim.

Stała i wpatrywała się w ciemność. Po chwili odwróciła się i wyszła na zewnątrz.

– Proszę mi dać parę minut, dobrze, poruczniku? Posiedzę chwilę na ławce. – Spróbowała się uśmiechnąć. – Będzie wam łatwiej, gdy pozbędziecie się Rosjan, prawda? Zwolni się miejsce.

– Tak – machnął ręką. – Ale przywiozą następnych. To się chyba nigdy nie skończy. Ławka jest mokra.

Mimo wszystko usiadła.

– Chce siostra zostać sama?

– Proszę. Tylko na parę minut.

Tatiana czuła płonący w żołądku ogień. Miała wrażenie, że powoli spala jej wnętrzności. Czy kiedykolwiek poczuje się lepiej? Przecież nie może wiecznie czuć się tak stara.

Czy w wieczności pozostanie na zawsze młoda?

Będzie nosić białą sukienkę w czerwone róże i rozpuszczone jasne włosy?

Będzie spacerować nocą po Ogrodzie Letnim w cieniu rzeźb wychodzących jej na spotkanie, a potem zacznie biec, z uśmiechem na ustach i rozwianymi włosami.

W wieczności zamierza stale biegać.

Pomyślała o Leningradzie, o białych nocach, majestatycznej Newie, o mostach i pomniku Jeźdźca Miedzianego, o soborze Świętego Izaaka z jego arkadami, balustradami, kopułą, pod którą kiedyś, dawno temu, siedzieli razem, i spoglądając w najczarniejszą noc, czekali, by pochłonęła ich wojna. I zrobiła to.

Nie mogła w to wszystko uwierzyć.

Coś się w niej kończyło, czuła to.

Czy padało przez cały czas, a ona nawet tego nie zauważyła? Chciała tylko położyć się na mokrej ławce.

Położyła się.

– Siostro Barrington?

Otworzyła oczy. Karolicz pomógł jej wstać.

– Jeśli źle się siostra czuje, z przyjemnością odprowadzę do domu. Może siostra odpocząć. Kiedy indziej zajmiemy się resztą baraków i więzieniem. Nie ma pośpiechu.

Wstała.

– Nie – powiedziała. – Chodźmy do więzienia. Czy jest bardzo duże?

– Ma trzy skrzydła. Dwa są teraz zamknięte, ale w tym, które działa, są więźniowie. – Splunął na ziemię. – Stale łamią przepisy. Nie wypełniają rozkazów, nie przychodzą na apel, mamy tam nawet jednego, który

próbował uciec siedemnaście razy. A można by pomyśleć, że czegoś się w końcu nauczy.

Do więzienia prowadziło tylko jedno wejście. Siedział przy nim strażnik z karabinem opartym o ścianę. Grał sam ze sobą w karty.

– Jak się dzisiaj sprawy mają, kapralu?

– Spokojnie – odparł strażnik, salutując. Uśmiechnął się do Tatiany. Nie odpowiedziała mu uśmiechem.

Więzienne cele znajdowały się po obu stronach długiego korytarza. Podłogę wysypano trocinami. Przeszli przez pierwszych pięć cel.

– Ilu jest więźniów? – spytała Tatiana.

– Około trzydziestu – odparł Karolicz.

Więzień w szóstej celi zemdlał i Tatiana podsunęła mu pod nos sole trzeźwiące. Karolicz wyszedł, by otworzyć celę numer siedem. Więzień w szóstce odzyskał przytomność. Tatiana dała mu wody i wyszła na korytarz.

Usłyszała dobiegający z celi numer siedem szyderczy głos Karolicza.

– Jak się dziś miewa mój ulubiony więzień?

– Odpieprz się – padła odpowiedź.

Na dźwięk tego głosu pod Tatianą ugięły się kolana.

Weszła do długiej, wąskiej celi. Na słomie pod niewielkim oknem, sześć metrów od niej, leżał Aleksander.

Zapadła cisza. Tatiana przestała oddychać, miała wrażenie, że serce przestało bić. Stała i patrzyła na wychudzonego, brodatego mężczyznę w kajdanach, ubranego w ciemne spodnie i zakrwawioną koszulę. Upuściła torbę i podniosła dłoń do ust, by stłumić szloch.

– Wiem, wiem – powiedział Karolicz. – Ale to najgorszy przypadek, siostro. Nie wiemy już, co z nim robić.

Kiedy otworzyły się drzwi celi i do środka wpadł promień światła, Aleksander spał. A raczej zdawało mu się, że śpi. Miał zamknięte oczy i śnił. Od dwóch dni nic nie jadł. Nie mógł znieść, że kładą mu jedzenie na podłodze, jakby był psem. Ale niebawem znów zacznie jeść.

Był wściekły na siebie. Ostatni raz prawie mu się udało. Sanitariusz, który dostarczał do lazaretu lekarstwa i opatrunki, miał na sobie cywilne ubranie. Bez trudu poruszał się po terenie obozu, a wychodząc, machał do strażników, którzy natychmiast otwierali bramę. Czy można chcieć czegoś więcej? Aleksander spędził w lazarecie trzy tygodnie z powodu połamanych żeber. Ogłuszył sanitariusza, zabrał mu ubranie, wsadził nieprzytomnego do szafy i podszedł do bramy. Pomachał do strażników. Otworzyli bramę, nawet na niego nie patrząc.

Pomachał im na pożegnanie i ruszył przed siebie.

Dlaczego właśnie w tej chwili z budynku po lewej stronie musiał wyjść Karolicz? Dostrzegł plecy Aleksandra i natychmiast zawołał strażników.

Teraz, trzy dni później, zakrwawiony i wycieńczony, śnił o pływaniu, słońcu i chłodnej wodzie. I że jest czysty, nie chce mu się pić. Śnił o lecie. W celi było tak ciemno. Śnił, że udało mu się odnaleźć choć cień ładu w chaosie świata, który go otaczał. Śnił o...

Przez zakratowane okienko w drzwiach celi usłyszał nagle głosy. Drzwi się otworzyły. Mrużąc oczy, dostrzegł wchodzącego do środka Karolicza. Ten Karolicz! Jak on uwielbiał się nad nim znęcać. Wymienili zwyczajowe grzeczności, a potem w drzwiach celi zamajaczył cień pielęgniarki. Przez chwilę, przez ułamek sekundy, w otępieniu, w jakim się znajdował, ta postać przypomniała mu... Ale nie widział dokładnie, poza tym, czy nie dość o niej śnił? Jej obraz stale mu towarzyszył.

Kiedy jednak usłyszał głos... włosy były inne, ale głos bez wątpienia należał do niej, tylko do niej i słyszał go tak wyraźnie. Próbował spojrzeć w jej twarz, próbował usiąść, odsunąć się od ściany, ale nie mógł się nawet poruszyć. Pielęgniarka zrobiła krok do przodu. Boże, wyglądała zupełnie jak Tatiana! Pokręcił głową, przekonany, że znów majaczy, że znów opadają go wizje Tatiany w kostiumie kąpielowym w kropki, które nie opuszczały go ani za dnia, ani w nocy. Uniósł ręce na tyle, na ile pozwalały mu kajdany, w błagalnym geście: pomóż mi choć ten jeden raz, nie dręcz mnie już dłużej.

Pokręcił głową i zamrugał oczami. Zamrugał jeszcze raz. Tylko ją sobie wyobrażam, pomyślał. Wyobrażam ją sobie od tak dawna, widzę ją, słyszę jej głos. To zjawa, jak mój ojciec i matka. Przymknę oczy i ona też zniknie – jak zawsze. Zamrugał raz i drugi. Nadal przed nim stała.

Patrzyli na siebie w milczeniu, a w ich oczach odbijały się minuty i godziny, miesiące i lata, rzeki i oceany. W ich oczach odbijał się ból i rozdzierający żal.

Ostrze smutku opadło na ich zmartwiałe z bólu twarze.

Tatiana potknęła się na progu i o mało nie upadła. Osunęła się na kolana i zrobiła coś, czego – jak myślała – już nigdy w tym życiu nie zrobi.

Dotknęła Aleksandra.

Jego twarz i włosy pokrywała zakrzepła krew, był skuty. Spojrzał na nią bez słowa.

– Siostro, on próbował uciec siedemnaście razy. Nie wszystkich tak traktujemy, ale to beznadziejny przypadek.

– Poruczniku Karolicz – powiedziała ochrypłym głosem. Usłyszała, jak Aleksander wciąga ze świstem powietrze. – Poruczniku – powtórzyła już ciszej, drżąc na całym ciele. Bała się, że Karolicz nie tylko to zauważy, ale poważnie się zaniepokoi. Na szczęście nic takiego się nie stało. W celi było ciemno, z korytarza wpadał tylko promień światła. – Chyba zostawiłam apteczkę w celi numer sześć. Moglibyście mi ją przynieść?

Kiedy Karolicz odwrócił się, szepnęła ledwo słyszalnie:

– Szura.

Aleksander jęknął.

Dotknęła jego drżącego ramienia, przysunęła się bliżej i kiedy Karolicz wrócił do celi, szybko położyła obie ręce na twarzy Aleksandra.

– Co z nim? – spytał. – Proszę, wasza torba. Macie tu sporo tubek z pastą do zębów. Po co wam tyle pasty?

– To nie pasta – odparła, z wielkim wysiłkiem zdejmując dłonie z twarzy Aleksandra. – To morfina. – Czy może mówić spokojnie, siedząc tak blisko niego, nie mogąc go dotknąć? Nie, poradzi sobie. – Co mu się stało? –

spytała, kładąc ręce na piersi Aleksandra. Pod palcami czuła, jak wali mu serce. Po policzkach płynęły jej łzy. – Ma ranę głowy, której nie opatrzono. Potrzebuję wody, mydła i brzytwy. Umyję go i zabandażuję. Ale najpierw dam mu pić. Możecie mi podać butelkę?

Aleksander leżał bez ruchu przy ścianie, nie spuszczając wzroku z Tatiany, która przysunęła mu butelkę do ust. Odchylił głowę i zaczął pić. Palce Tatiany zadrżały i upuściła butelkę. Porucznik natychmiast to zauważył. Zauważył też Aleksander. Szybko podniosła butelkę i Aleksander wypił wodę do końca.

– Dobrze się siostra czuje? – spytał Karolicz. – Nie wydaje się siostra stworzona do takiej pracy. Wygląda na osobę dość… delikatną.

Nie zareagowała.

– Poruczniku, proszę mi przynieść duże wiadro najlepiej ciepłej wody, mydło, szampon i jeden pakiet z dżipa.

– Dobrze, ale proszę wyjść z celi. Nie może siostra zostać tu sama z więźniem. Pamięta siostra, co się wczoraj stało. Nie jest tu siostra bezpieczna.

– Jest przecież skuty. Nic mi nie będzie. Proszę się pospieszyć. Mamy jeszcze mnóstwo pracy. – Cały czas trzymała dłoń na piersi Aleksandra.

Kiedy Karolicz zniknął w korytarzu, Tatiana przytuliła czoło do głowy Aleksandra.

– Boże, to niemożliwe – szepnęła po rosyjsku. – To nie możesz być ty. Umarłam, a ty czekałeś na mnie po drugiej stronie życia.

– Czekałem na ciebie po drugiej stronie życia – odparł Aleksander. Pochylona nad nim czuła, jak drży. Leżał z zamkniętymi oczami.

Trwali tak, nie mówiąc już więcej ani słowa.

Tatiana jęknęła cicho. Nie potrafiła znaleźć ani jednego słowa, po tych wszystkich latach, gdy wygrażała okrutnemu losowi, kiedy ogarniał ją smutek tak wielki, że sama się w nim gubiła. Teraz przytuliła twarz do zakrwawionej, posiniaczonej głowy Aleksandra i nie potrafiła odnaleźć ani jednego słowa, które mogłaby mu powiedzieć. Z jej gardła wydobywał się tylko cichy, pełen rozpaczy jęk.

– Nie – powiedział Aleksnader. – Nie rób tego.

Klęcząc przy nim, szepnęła wreszcie:

– Och, Szura… – zakryła twarz drżącymi dłońmi i rozpłakała się.

– Taniu, uspokój się, proszę.

Skulona wpół, odetchnęła głęboko kilka razy i próbując się uspokoić, ukryła twarz w jego zakrwawionej koszuli.

– Taniu, co się z tobą działo? – spytał ochryple.

– Wszystko w porządku. – Ujęła jego skute łańcuchami ręce. Ścisnął jej palce. Jego poranione sine dłonie nadal były mocne.

– A co z… – urwał… – Co z dzieckiem?

– Mamy syna.

– Syna – szepnął Aleksander. – Jak mu dałaś na imię?

– Anthony Aleksander. Anthony.

Oczy Aleksandra wypełniły się łzami. Odwrócił głowę.

Tatiana patrzyła na niego, to otwierając, to zamykając usta.

– To naprawdę ty? – szepnęła. – Powiedz mi, zanim się zupełnie rozsypię, powiedz, że to ty.

– Zanim się rozsypiesz? – Skinął głową. – To naprawdę ja.

Jeszcze nigdy nie był tak chudy, nawet w czasach blokady Leningradu. Tatiana pogładziła go po brodzie.

– Aleksandrze… – szepnęła. *Słońce. Nieogolony policzek. Piana. Trzyma lusterko między piersiami…* Przesunęła palcami po jego wargach. Pocałował ich koniuszki.

– Tatiana… – szepnął. Wpijał się wzrokiem w jej twarz. – Taniu. To naprawdę ty.

– Co się z tobą stało? Aresztowali cię, prawda?

– Tak.

– Niech zgadnę. Wiedziałeś, że cię aresztują… – Urwała. – Nie wiem jak, ale dowiedziałeś się, że cię aresztują. Upozorowałeś własną śmierć, żebym wyjechała ze Związku Radzieckiego. Sayers ci pomógł.

– Tak. Ale nie upozorowałem swojej śmierci. Byłem przekonany, że zginę. Nie chciałem, żebyś tam została i na to patrzyła. Wiedziałem, że

beze mnie nie wyjedziesz.

Mówili szybko. Karolicz mógł wrócić w każdej chwili.

– Stiepanow ci pomógł? – spytała.

– Tak.

– Jest teraz w Berlinie.

– Wiem. Był tu kilka miesięcy temu.

– Jak ci się udało przekonać Sayersa....? Nie, nie chcę wiedzieć. – Nie mogła siedzieć blisko niego i nie mogła się odsunąć. Czuła, że brak jej tchu. – Myślisz, że tego właśnie pragnęłam? Zostawić cię tam?

Pokręcił głową.

– Wiedziałem, że nie.

– Nigdy bym nie wyjechała.

– Wiedziałem. – Zawiesił głos. – Zbyt dobrze wiedziałem.

Cofnęła dłonie i spuściła wzrok.

– Ty i to twoje niemożliwe ego – powiedziała. – Leningrad, Morozowo, Łazariewo. Zawsze myślałeś, że wiesz wszystko najlepiej.

– Czyżby?

– Jak to? – spytała, na moment zbita z tropu. – Powiedziałam ci, że będę na ciebie czekać. I czekałabym.

– Tak jak powiedziałaś, że nigdy nie wyjedziesz z Łazariewa? I tak żyłabyś tam beze mnie. Skazali mnie na dwadzieścia pięć lat ciężkich robót.

Wzdrygnęła się.

– Taniu, dlaczego na mnie nie patrzysz? – spytał niepewnie. – Dlaczego spuszczasz wzrok?

– Bo się boję – odparła. – Tak bardzo się boję.

– Ja też. Proszę, spójrz na mnie. Chcę, żebyś na mnie patrzyła.

Podniosła wzrok. Po jej policzkach płynęły łzy. Zamilkli. Skuliła się, przytłoczona ciężarem serca.

– Dziękuję – szepnęła. – Dziękuję, że przeżyłeś, żołnierzu.

– Drobiazg – odszepnął Aleksander.

Na korytarzu rozległ się szczęk otwieranych i zamykanych drzwi. Tatiana odsunęła się i szybko wytarła twarz. Pod oczami miała czarne kręgi z tuszu. Aleksander zamknął oczy.

Do celi wszedł Karolicz z wiadrem i bandażami.

– Zacznijmy, poruczniku, ale najpierw musicie go rozkuć. Ma otarte nadgarstki i kostki. Opatrzę je i zabandażuję albo wda się paskudna infekcja. Jeśli już się nie wdała.

Karolicz wyjął klucz i zdjął z ramienia karabin.

– Nie wie siostra, z kim ma do czynienia. Na waszym miejscu wcale bym mu nie współczuł.

– Współczuję wszystkim tym nieszczęśnikom – odparła.

– Ten sam jest sobie winien.

Tatiana zauważyła, że w obecności Aleksandra Karolicz zmienił się zupełnie. Z zaciętą twarzą otworzył kajdany i cicho opuścił łańcuchy na słomę.

– Dlaczego używacie żelaznych kajdan? Nie macie skórzanych? Zrobią swoje, a więzień nie cierpiałby tak bardzo.

Karolicz się roześmiał.

– Siostro, chyba nie słuchała pani uważnie. My nie używamy żelaznych kajdan, to Niemcy ich używali. Zostawili je nam w spadku. A poza tym ten tutaj przegryzłby skórę w trzy godziny.

Westchnęła ciężko.

– Kiedy skończymy, możemy przynajmniej zmienić słomę.

Karolicz wzruszył ramionami i usiadł przy ścianie na czystej słomie. Wyciągnął wygodnie nogi i położył karabin na kolanach.

– Jeden fałszywy ruch, Biełow, i wiesz, co się stanie?

Aleksander nie odpowiedział.

Tatiana uklękła.

– Umyję was, dobrze? – powiedziała.

– Dobrze.

– Proszę odchylić głowę. Będzie mi łatwiej umyć włosy.

Aleksander posłusznie odchylił głowę.

– Co mu się stało, poruczniku? – spytała, wsuwając rękę pod głowę Aleksandra. Jego twarz znalazła się tuż przy jej piersiach, kiedy ręcznikiem zmywała z włosów zakrzepłą krew. Były długie, tak jak broda. – Ogolę go i obetnę włosy. Wiecie, że więźniowie muszą mieć krótkie i czyste włosy. Nie tylko ten, wszyscy.

– Dlaczego siostra tak na niego patrzy? – spytał nagle Karolicz.

– Jak? – spytała cicho.

– Nie wiem.

– Jestem zmęczona. Chyba macie rację. Trochę tego za dużo jak na mnie.

– Proszę go zostawić. Wróćmy do domu. Zjemy jakiś przyzwoity obiad. – Uśmiechnął się. – Wczoraj nawet nie spróbowała siostra wina. A jest bardzo dobre.

– Nie. Najpierw skończę. – Odsunęła włosy i delikatnie przemyła ranę na głowie Aleksandra. Skóra była rozcięta głęboko nad uchem, a krew spłynęła na szyję i koszulę. Jak długo tak leżał? Miał wychudzoną twarz, podbite oczy i siniaki na brodzie. Czy go bili? W ciemnościach widziała tylko ciemne plamy krwi, białą koszulę, czarne włosy i ciemne oczy. Od dawna się nie golił i nie mył. Nikt go od dawna nie dotykał. Teraz leżał w jej ramionach z zamkniętymi oczami, prawie nie oddychając, nieruchomo. Wreszcie zaznał ukojenia. Był tylko jej. Czuła też, że się boi. Tak bardzo chciała się pochylić, pocieszyć go. Nie, musi się opanować. Przygryzła wargę tak mocno, że kropla krwi spadła na twarz Aleksandra.

– Siostro, wy krwawicie.

Aleksander zamrugał oczami i spojrzał na Tatianę.

– To nic. – Szybko oblizała wargi i zamoczyła ręcznik w chłodnej już wodzie. – Proszę mi powiedzieć, co się z nim stało. – Podniosła rękę, by wsunąć pod chustkę niesforne pasma włosów.

– Z nim? – Karolicz zachichotał. – Jest z nami od sierpnia. Początkowo zachowywał się jak należy, ciężko pracował, a my potrafiliśmy to docenić. Żałowaliśmy, że nie mamy więcej takich więźniów. Niestety, od listopada próbował uciekać za każdym razem, gdy wypuszczaliśmy go z więzienia

i przenosiliśmy do baraków. Myśli chyba, że jest w hotelu. Może wchodzić i wychodzić, kiedy tylko zechce. Po siedemnastu próbach powinien się już czegoś nauczyć, ale nic z tego.

– Pieprz się – warknął Aleksander.

– No, no. Zachowujcie się przy damie jak należy. Ale teraz to już nieważne. – Karolicz zniżył głos. – Nie zostanie tutaj.

– Nie? – Tatiana przemywała nadgarstki Aleksandra. Wsunęła mu w dłoń dwie szpilki, które wyjęła z włosów, i mocno zacisnęła na nich jego palce.

Karolicz pokręcił głową.

– Nie, jutro razem z tysiącem innych więźniów pojedzie na Kołymę. – Roześmiał się i szturchnął Aleksandra między żebra kolbą karabinu. – Spróbuj stamtąd uciec.

– Proszę nie prowokować więźnia – powiedziała Tatiana i zaczęła golić długą brodę Aleksandra. – Dlaczego nie ma na sobie więziennego ubrania?

– Ukradł ubranie sanitariuszowi z lazaretu. Kiedy go złapaliśmy, wrzuciliśmy go tutaj tak jak stał. Najwyraźniej bardzo mu się tu podoba. Zawsze chce wracać.

– Dlaczego jest cały zakrwawiony i siny? Został pobity?

– Siostro, chyba nie słyszeliście, co do was mówiłem. Uciekał siedemnaście razy! Pobity? Ma szczęście, że jeszcze żyje. A gdyby ten człowiek wczoraj rzucał się na siostrę siedemnaście razy? Ile razy musiałby to zrobić, żebyście kazali go w końcu pobić na śmierć?

Tatiana spojrzała w pociemniałe nagle oczy Aleksandra.

– Siostro, ten drań zapaskudzi ten wasz śliczny biały uniform – powiedział z odrazą Karolicz. – Połóżcie go na słomie. Nie musicie go wcale golić. Nie przywykł do takiego traktowania. A już na pewno nie zasłużył na nie.

Tatiana położyła Aleksandra. Miał teraz czyste, zabandażowane nadgarstki, obcięte i umyte włosy, opatrzoną ranę na głowie. Przepłukał nawet usta sodą. Teraz musiała zobaczyć resztę. Chciała się upewnić, że nie ma połamanych żeber.

– Czy ten człowiek ma jakiś stopień?

– Już nie – odparł Karolicz.

– A jaki miał?

– Kiedyś był majorem. Ale zdegradowali go do stopnia kapitana.

– Kapitanie, jak wasze żebra? Są złamane? – spytała.

– Nie jestem lekarzem – odparł Aleksander. – Nie wiem. Może.

Rozpięła mu koszulę. Powoli przesunęła palcami od szyi.

– Boli? – szeptała. Nie odpowiadał. Nie otworzył też oczu. Leżał nieruchomo, prawie nie oddychając.

Był cały posiniaczony, ale żebra były chyba całe, bo nawet nie drgnął, gdy do dotykała. To cały Aleksander. Nawet się nie skrzywił, gdy opatrywała mu ranę na głowie. Postanowiła nie drążyć dalej sprawy.

Rozpięła kajdany na nogach i umyła stopy w wodzie z mydłem. Miał opuchnięte kostki. Skóra była paskudnie otarta. Tylko tyle widziała w ciemnościach.

– Czy złamał niedawno żebra albo kostki?

– Może, nie wiem. Nie śledzę stanu jego zdrowia.

Karolicz nadal siedział na słomie. Zapalił nawet papierosa i rozkoszował się wciąganym w płuca dymem.

– Może zapalicie, siostro? Te papierosy są bardzo dobre.

– Dziękuję, poruczniku, nie palę. Ale może więzień miałby ochotę?

Karolicz parsknął śmiechem i kopnął Aleksandra końcem buta.

– Więźniowie w obozie nie mają prawa do papierosów, prawda, Biełow? – Zaciągnął się głęboko i wypuścił dym prosto w twarz Aleksandra.

Tatiana wstała.

– Poruczniku, przestańcie prowokować przy mnie więźnia. No, już skończyłam. Możemy iść dalej.

Aleksander jęknął głucho.

Tatiana zebrała swoje rzeczy. Karolicz skuł ręce i nogi Aleksandra.

– Kiedy ostatni raz więzień dostał coś do jedzenia?

– Przecież go karmimy – odparł burkliwym tonem Karolicz. – Dostaje więcej, niż na to zasługuje.

– A jak je? Zdejmujecie mu kajdany?

– Już nie. Stawiamy przed nim miskę. Pochyla się nad nią i je z ziemi.

– Ale on od dawna nic nie jadł. Nie widzicie, w jakim jest stanie? Czy to jego talerz? On nic nie zjadł, zrobiły to szczury. Macie tu szczury, poruczniku, bo jedzenie leży na ziemi całymi dniami, a one wiedzą, gdzie szukać kolacji. Wiecie, że szczury przenoszą zarazę? Przedstawiciele Czerwonego Krzyża przyjechali tu między innymi po to, by zapobiegać podobnym praktykom. Teraz wymienimy więźniowi słomę.

Kiedy skończyli, Karolicz podniósł talerz z ziemi.

– Później przyniosą mu świeże jedzenie – powiedział.

Tatiana spojrzała na Aleksandra, który leżał z zamkniętymi oczami. Skute kajdanami ręce skrzyżował na brzuchu. Chciała mu powiedzieć, że wróci, ale bała się, że Karolicz usłyszy drżenie jej głosu.

– Nie odchodź – szepnął Aleksander, nie otwierając oczu.

– Wrócimy tu później, żeby sprawdzić, jak się czujecie – powiedziała słabym głosem. Była wdzięczna, że jest skuty, bo wiedziała, że gdyby tylko mógł poruszyć rękami, nigdy by jej nie wypuścił.

Po wyjściu z ciemnego więzienia na moment oślepiło ją światło. Kiedy się zatrzymała, by dojść do siebie, Karolicz zapytał, czy ma ochotę na obiad. Podziękowała i powiedziała, że musi sprawdzić, ile jeszcze zostało paczek. Dodała, że najlepiej będzie, jeśli pójdzie sam, a ona niedługo do wszystkich dołączy.

Obozowe więzienie znajdowało się po prawej stronie bramy, tuż obok zaparkowanego dżipa Czerwonego Krzyża. Nad nim, na dachu budynku stało dwóch strażników. Jeden z nich pomachał do niej przyjaźnie. Otworzyła drzwi samochodu i zajrzała do środka. Dżip w jednej czwartej wypełniony był zapasami. Mieli jeszcze duży kosz jabłek i trochę paczek z żywnością. Wiedziała, że ma tylko parę minut, by wszystko dokładnie przemyśleć. Stała w milczeniu, po czym załadowała na wózek sześćdziesiąt pakietów z opatrunkami i ruszyła w stronę najbliższego baraku. Fakt, że zdecydowała się wejść sama do baraku, w którym przebywało dwustu

sześćdziesięciu ośmiu mężczyzn, świadczył o jej wielkiej desperacji. Nie była jednak aż tak głupia. Zawiesiła torbę na rączce wózka, a za pasek spodni wsunęła pistolet P-38 tak, żeby każdy mógł go zobaczyć.

Przydzielała jeden pakiet na pryczę, mówiła więźniom, że wróci z lekarzem, szybko pobiegła po następny zapas pakietów i jeszcze jeden, i kolejny. Kiedy zjawiła się w domu komendanta, wszyscy kończyli już obiad. Wypiła szybko szklankę wody i poszła się przebrać. Poprawiła też makijaż. Kiedy wróciła, odciągnęła Penny i Martina na stronę.

– Posłuchajcie – powiedziała. – Chyba powinniśmy wrócić do Berlina, po pakiety z opatrunkami. Skończyły się, brakuje też bandaży i penicyliny. Pojedziemy dziś wieczorem i wrócimy tu jutro rano.

– Dopiero co przyjechaliśmy, a już chcesz wracać? Ależ z niej kapryśna kobieta, prawda, Martin? – odparła Penny, puszczając do niej oko.

– To jeszcze najmniejszy problem – powiedział Martin. – Mówiłem, że nie powinniśmy tu przyjeżdżać bez odpowiedniego wsparcia.

Tatiana poklepała go po ramieniu.

– Miał pan absolutną rację, doktorze. Ale od wczoraj udało nam się zbadać pięć tysięcy więźniów, a to zupełnie niezły wynik.

Postanowili, że wyjadą o ósmej wieczorem, choć Flanagan się wzdragał, by jechać po ciemku po nieznanych drogach. Kiedy Penny i Martin udali się w stronę baraków cywilów, które przed chwilą odwiedziła, Tatiana oświadczyła, że zajrzy do reszty więźniów. Karolicz zaoferował się, że pójdzie razem z nią, ale szybko odparła:

– Siostra Davenport i doktor Flanagan bardziej was potrzebują. Wiecie doskonale, że w więzieniu jest najbezpieczniej. Nikt nie może mnie nawet dotknąć, a poza tym będzie ze mną kapral Pardow. Poproszę, żeby ze mną został.

Niechętnie Karolicz poszedł z Martinem i Penny. Tatiana pobiegła do kuchni komendanta i kazała przygotować kiełbasę na gorąco, ziemniaki, chleb z masłem i pomarańcze.

– Nie jadłam obiadu i umieram z głodu – powiedziała słodko. Zabrała też karafkę z wodą i kieliszek wódki, który sama nalała, wsypując do

alkoholu środek nasenny.

Tym razem, kiedy weszła do więzienia, uśmiechnęła się promiennie do kaprala, który odpowiedział jej równie serdecznym uśmiechem.

– Kapralu, przyszłam nakarmić więźnia z celi numer siedem. Uzgodniłam to z porucznikiem Karoliczem. Więzień nic nie jadł od trzech dni.

– Chce siostra, żebym go rozkuł?

– Zobaczę, czy to będzie konieczne.

– No, no. – Pardow popatrzył na tacę. – Czy to kieliszek czegoś specjalnego?

– Tak. – Uśmiechnęła się. – Ale nie sądzę, by więzień miał na to ochotę, prawda?

– Na pewno nie!

– No właśnie. Proszę się poczęstować, kapralu.

Pardow szybko wychylił kieliszek.

– Świetnie. – Spojrzała na niego łagodnie. – Może wrócę tu potem z kolacją dla niego i przyniosę mu jeszcze jeden kieliszek wódki. – Puściła oko do kaprala.

– Dobra. Ale następnym razem proszę nalać do pełna – powiedział Pardow i beknął.

– Postaram się. Możecie teraz otworzyć celę numer siedem?

Aleksander spał na siedząco.

– Chyba marnuje siostra czas – burknął Pardow. – Ten nie zasługuje na pomoc pielęgniarki. Tylko nie za długo, dobrze?

Zostawił otwarte drzwi i wrócił na swoje krzesło. Tatiana podeszła do Aleksandra. Postawiła tacę na ziemi, uklękła i szepnęła:

– Szura...

Otworzył oczy. Objęła go mocno za szyję i przytuliła obandażowaną głowę do swojej, cały czas szepcząc:

– Szura... Szura...

– Mocniej, Taniu, obejmij mnie mocniej.

– Jak kajdany?

Pokazał, że udało mu się otworzyć zamki. Ręce miał już wolne.

– Co się stało z twoimi włosami?

– Ufarbowałam je. Trzymaj ręce w kajdanach. Pardow może tu w każdej chwili wejść.

– Zawsze tak bratasz się ze strażnikami? Dlaczego ufarbowałaś włosy?

– Nie chciałam, żeby ktoś mnie rozpoznał. I dobrze zrobiłam. Widziałam tu Mikołaja Uspieńskiego.

– Uważaj z Mikołajem – powiedział, patrząc jej prosto w oczy. – To wróg, jak Dmitrij. Przysuń się bliżej. A twoje piegi? – szepnął.

– Są nadal. Przypudrowałam je tylko.

Pocałowali się. Pocałowali się, jakby raz jeszcze byli młodzi w lasach otaczających Ługę, jakby raz jeszcze przeżywali swoje pierwsze lato albo stali pod kopułą soboru Świętego Izaaka. Całowali się, jakby znów byli w Łazariewie, stale siebie głodni, jakby znów mówiła mu, że wydostanie go ze Związku Radzieckiego, pochylona nad łóżkiem w szpitalu w Morozowie.

Pocałunkiem chcieli odpędzić widmo Josifa Orbelego i Dmitrija, wojny i komunizmu, Ameryki i Rosji. Odpędzali pocałunkiem wszystko, pozostawiając tylko jedno – to co zostało z Tani i Szury.

Aleksander wysunął ręce z kajdan. Natychmiast się od niego odsunęła i pokręciła głową.

– Nie, nie, mówię poważnie, on może tu zaraz wejść i będzie po nas.

Dotknął końcami palców jej twarzy, po czym niechętnym ruchem wsunął ręce w kajdany.

– Makijaż nie ukryje blizny na policzku. Skąd ją masz? Z Finlandii?

– Opowiem ci o tym później. Teraz muszę cię nakarmić, a ty zjesz wszystko i wysłuchasz mnie uważnie.

– Nie jestem głodny. Jak, na Boga, mnie tu znalazłaś?

– Zjesz wszystko, bo musisz być silny. – Podała mu na łyżce kawałek kiełbasy i ziemniaki. – Zostawiłeś po sobie sporo śladów.

Wbrew protestom, pochłaniał wszystko bez słowa. Tatiana patrzyła na niego w milczeniu, a serce ściskało się jej na myśl, jak straszliwie musi być głodny.

– Szura… mamy tylko parę chwil, słuchasz?

– Skąd ja to znam? – spytał. – No, jak wygląda twój kolejny plan, Tatiasza? Opowiedz mi lepiej o naszym synu.

– Jest cudowny. Cudowny, mądry i śliczny.

– Nawet mi nie powiedziałaś, gdzie mieszkasz.

– Bo nie mamy na to czasu. W Nowym Jorku. Słuchasz?

Jadł chleb, mógł tylko skinąć głową.

– Jak się nazywa ten człowiek, który rzucił się na ciebie?

– Nie powiem ci.

– Powiesz. Jak się nazywa?

– Nie.

– Taniu! Jak się nazywa?

– Grammer Kerault. To Austriak.

– Znam go. – Oczy Aleksandra błysnęły lodowato. – Często tu bywa. Umiera na raka żołądka i na niczym mu już nie zależy. – Kiedy spojrzał na nią, lód w jego oczach stopniał. – Jak mnie stąd wyciągniesz? – szepnął.

Pochyliła się i pocałowała go namiętnie.

– Najdroższy – szepnęła. – Najdroższy, wiem, że się boisz.

– Nie, proszę. Nie chcę jedzenia, nie chcę nic pić ani palić. Tylko… usiądź tu przy mnie na parę sekund, Taniu. Przytul się do mnie na chwilę, żebym wiedział, że jeszcze żyję.

Przytuliła się.

– Gdzie są nasze obrączki?

Wyciągnęła sznureczek spod tuniki.

– Czekają tu, aż znów będziemy mogli je nosić – szepnęła i odsunęła się gwałtownie.

W drzwiach celi stanął Pardow.

– Wszystko w porządku, siostro? Długo już tu siedzicie. Mam go rozkuć?

– Nie, to nie będzie konieczne, kapralu, ale dziękuję. – Wsunęła obrączki pod tunikę. Podała Aleksandrowi ostatnią porcję ziemniaków. – Ma bardzo otarte ręce. Już prawie skończyłam. Jeszcze tylko minutkę.

– Proszę mnie zawołać, jeśli będę potrzebny. – Uśmiechnął się i zniknął.

– Przyjechałaś tu z konwojem? – spytał Aleksander.

– Przyjechaliśmy dżipem we trójkę. Oprócz mnie jeszcze jedna pielęgniarka i lekarz. Musimy cię wsadzić do tego dżipa.

– Jutro Stalin przyśle po mnie ludzi, którzy zabiorą mnie do Związku Radzieckiego.

– Stalin nie zdąży, mój kochany – odparła. – Ja przyjechałam po ciebie dzisiaj. Wyjedziemy stąd punktualnie o ósmej. Przyjdę po ciebie o siódmej. Z Karoliczem, więc bądź przygotowany. Przyniosę ci kolację. Będziesz jadł przy nim, bardzo wolno. Potrzebujemy dwudziestu minut, żeby zadziałał środek, który podam kapralowi.

– Musisz mu dać sporą dawkę.

– Ogromną.

Aleksander przestał jeść i nie spuszczał z niej wzroku.

– Chcesz wsadzić mnie do swojego dżipa i zawieźć do Berlina?

– Mniej więcej – szepnęła.

Pokręcił głową.

– Nie doceniasz Rosjan. Jak daleko jest do Berlina?

– Dwadzieścia dwie mile… trzydzieści pięć kilometrów.

Aleksander uśmiechnął się lekko.

– Taniu, nie musisz dla mnie przeliczać.

Odpowiedziała mu cieniem uśmiechu.

– Punkty kontrolne?

– Pięć.

– A twoi koledzy?

– Za godzinę wszyscy będziemy w sektorze amerykańskim. Bezpieczni.

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Wiedz, że waszego dżipa zatrzymają po dwudziestu minutach. Będziecie mieli szczęście, jeśli zdołacie dojechać do Oranienburga, zanim zaczną szukać mnie, ciebie i reszty twojej odważnej załogi – pokręcił głową. – Nie zrobię tego.

– O czym ty mówisz? – szepnęła zapalczywie. – A skąd będą wiedzieć? Odkryją twoją ucieczkę dopiero po paru godzinach. Będziemy już wtedy

w Berlinie.

Jeszcze raz pokręcił głową.

– Taniu, nie masz pojęcia...

– To wyskoczymy wcześniej, jeśli chcesz – powiedziała. – Wyskoczymy... kiedy tylko będziesz chciał.

– Znajdą mnie, zanim wyjedziemy z obozu. Strażnicy przeszukają samochód.

– Nie. Wyjdziesz stąd jako Karolicz i przejedziesz ze mną przez bramę. Potem ukryjesz się w schowku na kule i nosze na tyłach dżipa. Nawet nie wiedzą, że tam jest jakiś schowek.

– A gdzie są kule i nosze?

– Zostawiliśmy je w Hamburgu. Wyskoczymy z samochodu, a Martin i Penny pojadą dalej do Berlina. O niczym nie będą wiedzieć.

Przy drzwiach, chwiejąc się lekko, stanął Pardow. Przytrzymał się framugi.

– Siostro? Wystarczy.

– Już idę – wstała. Ktoś zawołał kaprala, który ruszył powoli korytarzem.

Mieli do omówienia jeszcze tysiąc szczegółów, ale czas naglił. Tatiana wyjęła z torby colta i dwa dodatkowe magazynki.

– W dżipie mam dużo więcej – powiedziała, chowając broń w słomie. – Kiedy już trochę odjedziemy, zapukam dwa razy, a ty coś wymyślisz, żebym musiała zatrzymać samochód.

– A potem?

– Potem? W dżipie jest klapa prowadząca na dach. Wyjdziemy i zeskoczymy.

– W biegu?

– Tak. – Zawiesiła głos. – Albo możemy to zrobić po mojemu i dojechać dżipem do Berlina.

Aleksander milczał przez chwilę.

– Ten plan nie jest tak dobry jak ostatni, Taniu – powiedział w końcu. – A z tamtego nic nie wyszło.

– Głowa do góry. Zobaczymy się o siódmej. Bądź gotowy. – Zasalutowała. – Kapitanie, mój kapitanie.

Podczas kolacji z Brestowem i Karoliczem udawała, że je, udawała, że słucha przekomarzania Penny i Martina, udawała nawet, że się uśmiecha. Jak? Nie miała pojęcia. Gotowa była zrobić wszystko, byle go uratować.

Nie chciała spoglądać co chwilę na zegarek, więc nie spuszczała oka z nadgarstka Martina do chwili, gdy zauważyła, że lekarz spogląda na nią podejrzliwie. Przeprosiła wszystkich, wstała od stołu i powiedziała, że pójdzie się spakować. Penny szybko poszła w jej ślady. Wyjaśniła, że skoro sama jest już spakowana, zajrzy jeszcze do baraku numer dziewiętnaście. Tatiana wiedziała, że jest tam mężczyzna, z którym chce się pożegnać. Była szósta. Przez piętnaście minut Tatiana przeżywała w swoim pokoju prawdziwe męki, studiując raz jeszcze mapę okolicy pomiędzy Oranienburgiem i Berlinem.

Dwadzieścia po szóstej zniosła torbę do samochodu. Wróciła do kuchni komendanta po talerz z jedzeniem dla Aleksandra. Za piętnaście siódma nalała do kieliszka wódki i rozpuściła w niej środek nasenny. Zarzuciła na ramię torbę, wzięła tacę i poszła poszukać Karolicza.

Za piętnaście siódma Penny szła przez barak numer dziewiętnaście, mijając po drodze pryczę zajmowaną przez Mikołaja Uspieńskiego.

– Siostro, a gdzie reszta załogi? – zawołał po rosyjsku. – Gdzie ta druga.. hmmm... siostrzyczka?

– Dobrze, że nie rozumiem ani słowa – rzuciła Penny po angielsku, uśmiechając się szeroko. Nawet się nie zatrzymała.

Uspieński opadł na pryczę. Widok Penny przypomniał mu o drugiej pielęgniarce, niewysokiej, ciemnowłosej. Zdążył już o niej zapomnieć, ale odkąd zobaczył ją po raz pierwszy, coś nie dawało mu spokoju. Miał wrażenie, że już gdzieś ją widział. Nie, to niemożliwe.

– Poruczniku, możecie udać się ze mną? – Tatiana się uśmiechnęła. – Robi się późno, a chciałabym zanieść jedzenie więźniowi z celi numer siedem. Nie chcę tam iść sama. Jeśli pójdziecie ze mną, będziemy mogli potem podjechać dżipem pod dom komendanta po pannę Davenport i doktora Flanagana.

Karolicz z radością ruszył z nią zacienioną ścieżką. Jej propozycja wyraźnie mu schlebiała.

– Jesteście świetną pielęgniarką – powiedział. – Nie powinniście jednak aż tak przejmować się więźniami. Proszę brać przykład ze mnie. Nie można traktować pracy zbyt poważnie.

– Coś o tym wiem, poruczniku. – Przyspieszyła kroku.

– Jeśli siostra chce, może do mnie mówić Iwan – zakaszlał.

– Zostańmy przy poruczniku – odparła, idąc jeszcze szybciej.

Była siódma, gdy dotarli do więzienia. Wokół panowała cisza. Pardow zerwał się z krzesła i zasalutował. Tatiana puściła do niego oko, kiwając lekko głową w kierunku stojącego na tacy kieliszka. Odpowiedział jej znaczącym mrugnięciem. Karolicz wszedł pierwszy, Tatiana za nim. Podsunęła tacę kapralowi, który chwycił kieliszek, wychylił jego zawartość i szybko odstawił go na tacę. Karolicz otwierał drzwi celi.

– Idziecie, siostro?

– Tak, poruczniku.

Aleksander leżał na boku.

Karolicz wszedł do środka i ziewając przeciągle, opadł na słomę. Siedział twarzą do pleców Aleksandra z wymierzonym w niego karabinem.

– Proszę go szybko nakarmić, siostro. Chciałbym już skończyć na dzisiaj. To jest właśnie najgorsze w tej pracy. Zaczynamy wcześnie, kończymy późno, dzień wydaje się nie mieć końca.

– Wiem, co macie na myśli. – Tatiana postawiła tacę na ziemi i udawała, że bada Aleksandra. – Nie wygląda najlepiej, prawda? – Spojrzała na jego kostki. – Chyba wdała się paskudna infekcja.

Karolicz potrząsnął głową.

– Martwy wyglądałby jeszcze gorzej. – Zapalił papierosa.

– Kapitanie, chcielibyście dostać środek przeciwbólowy?

– Tak, bardzo proszę – odparł Aleksander.

– Przed czy po jedzeniu?

– Po.

Odwrócił się na wznak i zaczęła go karmić. Jadł szybko, a po chwili jęknął i przewrócił się z powrotem na bok.

– Strasznie boli mnie głowa. Może da mi siostra coś teraz?

– Dam wam morfinę.

Aleksander nadal leżał na boku. Otworzył oczy i spojrzał na Tatianę. Leżąc tyłem do Karolicza, trzymał w dłoniach colta.

– Jak długo służycie w Armii Czerwonej, poruczniku? – spytała. Otworzyła torbę i wyjęła z niej trzy strzykawki z morfiną. Wyglądały jak małe tubki z pastą do zębów i zawierały po pół grana roztworu morfiny.

– Dwanaście lat – odparł Karolicz. – A jak długo wy jesteście pielęgniarką?

– Dopiero kilka lat – powiedziała, mocując się z igłą i zatyczką. Jej ręce były do niczego. Zwykle potrafiła otwierać takie strzykawki przez sen. – Opiekowałam się niemieckimi jeńcami w Nowym Jorku. – Musi przygotować trzy strzykawki, a nie potrafi dać sobie rady z jedną.

– Tak? Udało się któremuś uciec?

– Nie… Tak. Jednemu. Ogłuszył jednego z lekarzy i uciekł promem na drugi brzeg zatoki.

– I co się z nim stało? Złapali go?

– Tak. – Uklękła między Karoliczem i Aleksandrem. W prawej ręce trzymała trzy strzykawki. – Złapali go sześć miesięcy później. Mieszkał w New Jersey – roześmiała się. Nawet dla niej śmiech zabrzmiał sztucznie. – Chciał uciec do New Jersey.

– A co to takiego to New Jersey? Dlaczego bierzecie aż tyle tubek? Jedna nie wystarczy?

– To duży mężczyzna – odparła. – Potrzebuje podwójnej dawki.

– Brakuje nam tu tylko morfinisty. Ale może dzięki temu będzie bardziej uległy?

W tej chwili na korytarzu rozległ się głuchy odgłos, jakby coś ciężkiego upadło na ziemię. Karolicz odwrócił się w stronę drzwi i natychmiast sięgnął po karabin.

– Teraz! – krzyknął Aleksander.

Tatiana lewą ręką strąciła karabin z kolan Karolicza, a prawą wbiła mu w udo wszystkie trzy strzykawki z morfiną. Wciągnął ze świstem powietrze i wymierzył Tatianie cios prosto w szczękę, a drugą ręką sięgnął po osuwający się na ziemię karabin. Za Tatianą stał już jednak Aleksander. Odepchnął ją na ścianę, kopnął karabin i uderzył Karolicza w głowę kolbą colta. Czaszka porucznika otworzyła się jak upuszczony na ziemię arbuz. Wszystko trwało niecałe cztery sekundy.

– Pokażę ci twoją zasraną uległość – warknął Aleksander, kopiąc Karolicza bosą stopą.

– Szura, zdejmij mu szybko ubranie, zanim zaplami się krwią.

Aleksander zaczął zdzierać mundur z Karolicza i sam się rozebrał. Tymczasem Tatiana, słaniając się lekko po uderzeniu, wyjrzała przez drzwi, by sprawdzić, co dzieje się z Pardowem. Spadł z krzesła i leżał nieprzytomny na podłodze.

Aleksander ubrał Karolicza w swoją zakrwawioną koszulę i spodnie, i zakuł go w kajdany. Potem szybko włożył jego mundur, buty i czapkę. Z karabinem w ręce stanął na korytarzu.

– Pasuje niemal idealnie – powiedział do Tatiany. – Ten drań był tylko trochę niższy i grubszy.

Podszedł do Pardowa i próbował posadzić go na krześle, ale ten jednak stale zsuwał się na ziemię. Wreszcie udało się go posadzić z pochyloną do przodu głową.

– Nie potrzebował dwudziestu minut – powiedział Aleksander.

– Wiem. Dałam mu trochę… hmmm… większą dawkę.

– To dobrze. Ile morfiny wstrzyknęłaś Karoliczowi?

– Półtora grana, ale chyba na dobre uciszył go twój cios.

Aleksander zarzucił karabin na ramię. W ręce trzymał colta.

– Gdzie jest samochód?

– Pięćdziesiąt metrów od więzienia. Kiedy podejdziemy do dżipa, spojrzyj na strażników przy bramie i zasalutuj. On tak zawsze robi. Sam otwiera bramę kluczem. Jest leworęczny. Mógłbyś…

Aleksander przerzucił klucz do lewej ręki.

– Dobra. Tak jest lepiej. Strzelam prawą ręką. Gotowa? Idzie przed czy za tobą?

– Obok mnie. I nie otwiera mi drzwi. Salutuje tylko strażnikom i wsiada do dżipa.

– Kto prowadzi?

– Ja.

Zanim otworzyła drzwi, położył jej na ramieniu rękę, w której trzymał pistolet.

– Posłuchaj – powiedział cicho. – Wsiądź jak najszybciej do samochodu i włącz silnik. Jeśli coś pójdzie nie tak, zastrzelę strażników, a ty musisz wtedy natychmiast ruszyć.

Kiwnęła głową.

– Taniu…

– Tak?

– Wiem, że lubisz rządzić, ale od teraz dowodzę tylko ja. Jeśli zaczniemy dowodzić oboje, zginiemy. Zrozumiałaś?

– Tak. Ty dowodzisz.

Aleksander otworzył drzwi więzienia. Wyszli na zewnątrz. Było ciemno i chłodno. Szedł szybko przez oświetlony dziedziniec; Tatiana z trudem dotrzymywała mu kroku. Obserwowany przez strażników, podszedł do bramy z napisem „Praca cię uwolni”, otworzył ją i podszedł do dżipa. Tatiana siedziała już w środku z włączonym silnikiem. Ruszyła powoli, zanim Aleksander zdążył wsiąść.

Aleksander spojrzał na strażników, zasalutował i uśmiechnął się. Odpowiedzieli mu uśmiechem.

Wsiadł do dżipa i Tatiana wywiozła go z Sachsenhausen ocienioną drogą prosto pod dom komendanta. Zaparkowała pod drzewami w połowie drogi między obozem i domem Brestowa. Wysiedli i podbiegli

do tylnych drzwi dżipa. Tatiana wskoczyła do środka i otworzyła klapę schowka. Spojrzała na Aleksandra. Nie była pewna, czy się zmieści. Zapomniała już, jak jest wysoki.

On sam też o tym myślał, bo spojrzał na wąski schowek, potem na nią.

– Dobrze, że przez ostatnie sześć miesięcy niewiele jadłem.

– Tak – szepnęła, wyjmując torbę z bronią i plecak Ukraińca. – Wskakuj, szybko. Kiedy już odjedziemy, zapukam, a ty coś wymyślisz.

– Taniu, nie zapomniałem. Nie musisz mi dwa razy powtarzać. Czy to twoje torby?

Kiwnęła głową.

– Mam jeszcze plecak.

– Broń? Amunicja? Nóż, sznur?

– Tak, tak.

– Masz tu latarkę?

– W schowku.

Chwycił ją.

– Wskakuj, Szura.

Położył się, a Tatiana zatrzasnęła klapę.

– Słyszysz mnie?

– Tak – dobiegł ją zduszony glos. Otworzył klapę od środka. – Ale musisz mocno zapukać, żebym cię usłyszał przez szum silnika. Która godzina?

– Za piętnaście ósma.

– Zabierz ich jak najszybciej i ruszajcie.

– Zaraz.

Zanim wsiadła do samochodu, pobiegła na skraj drogi i zwymiotowała.

– Nie wiem, po co ten pośpiech – żaliła się Penny. – Jestem zmęczona, wypiłam trochę wina, dlaczego nie możemy się położyć i jechać jutro?

– Bo jutro musimy tu wrócić – odparła Tatiana, wpychając ją do dżipa. – Doktorze, idzie pan?

– Tak, tak, już idę. Chciałem się tylko upewnić, że niczego nie zapomniałem.

– Przecież wrócimy tu jutro.

– Racja. Nie powinniśmy się pożegnać z komendantem?

– To nie będzie konieczne – rzuciła najbardziej obojętnym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć. Chciała krzyczeć. – Pożegnałam się w naszym imieniu. A poza tym, jutro znów się z nim zobaczymy.

Wyszli z domu i wrzucili bagaże na tył dżipa.

– Gdzie twoje torby, Taniu? – spytała Penny.

Pokazała swój bagaż.

– Całkiem sporo – powiedział Martin. – Wydaje mi się, że stale go przybywa.

– Nigdy nie wiadomo, co będzie potrzebne w czasie takiej wyprawy. Chce pan, żebym poprowadziła? Nie piłam wina.

– Świetnie – odparł Martin, robiąc jej miejsce za kierownicą. – Da sobie pani radę po ciemku?

– Sprawdziłam trasę na mapie. Pojedziemy do Oranienburga, a potem skręcimy w lewo.

– Chyba tak. – Martin zamknął oczy. – Ruszamy.

Tatiana początkowo jechała powoli, potem dodała gazu. Chciała jak najszybciej znaleźć się daleko od Obozu Specjalnego Numer 7.

Za pięć minut ósma Mikołaj Uspieński otworzył oczy i głośno krzyknął. Zerwał się z pryczy i wymachując rękami jak szalony podbiegł do stojącego przy drzwiach baraku strażnika.

– Muszę się zobaczyć z komendantem! – wrzasnął. – Natychmiast! To bardzo ważne, uwierzcie mi!

– Spokojnie. – Strażnik odepchnął go. – O co ten krzyk?

– Jeden z więźniów chce uciec! Powiedzcie komendantowi, że kapitan Aleksander Biełow chce uciec!

– Co wy wygadujecie? Biełow? Ten, który siedzi skuty w celi?

– Mówię wam, jedna z pielęgniarek Czerwonego Krzyża nie jest wcale Amerykanką. To jego żona, Rosjanka, i na pewno pomoże mu uciec!

Tatiana jechała przez minutę, dwie, trzy. Czas i odległość stanęły w miejscu. Nie mogła jechać dość szybko, czas płynął zbyt powoli. Nie pamiętała, czy w Oranienburgu jest punkt kontrolny i nie wiedziała, czy może zaryzykować. Czy obóz mógł się porozumieć z załogą punktu? Mieli telefon? A jeśli ktoś wejdzie do celi? Jeśli Karolicz odzyska przytomność i zacznie krzyczeć? A jeśli Pardow spadnie z krzesła i nagle oprzytomnieje?

Jeśli, jeśli...

Dotarli do Oranienburga i skręcili w lewo w brukowaną drogę. Kiedy tylko zostawili za sobą światła miasta, Tatiana zastukała w ścianę kabiny. Penny i Martin byli pogrążeni w rozmowie i niczego nie zauważyli.

Piętnaście po ósmej Uspieński stanął przed Brestowem.

– O co chodzi? – spytał z uśmiechem wstawiony komendant. – Kto ma uciec?

– Aleksander Biełow, towarzyszu komendancie. Pielęgniarka Czerwonego Krzyża jest jego żoną.

– Która?

– Ta ciemnowłosa.

– Chyba obie miały... hmmm... ciemne włosy.

– Ta nieduża.

– Obie były niewysokie.

– Ta szczupła! To Rosjanka, Tatiana Mietanowa, parę lat temu uciekła ze Związku Radzieckiego.

– I twierdzicie, że wróciła tu po niego?

– Tak.

– Skąd wiedziała, że jest tutaj?

– Tego nie wiem, ale...

Brestow parsknął śmiechem i wzruszył ramionami.

– Gdzie jest Karolicz? – spytał stojącego przy drzwiach jego kwatery wartownika. – Poproście, żeby tu przyszedł.

– Nie widziałem go od jakiegoś czasu, towarzyszu komendancie.

– No to go znajdźcie.

– Dlaczego nie porozmawiacie z tą pielęgniarką? – spytał Uspieński. – To jego żona, porozmawiajcie z nią.

– Zrobię to jutro.

– Jutro będzie za późno! – Uspieński niemal krzyknął.

– A dzisiaj niemożliwe. Wyjechali.

– Dokąd? – spytał bez tchu Uspieński.

– Wrócili do Berlina. Zabrakło im opatrunków. Wrócą tu jutro. Wtedy z nią porozmawiamy.

Uspieński cofnął się o krok.

– Towarzyszu komendancie, nie sądzę, by ona tu wróciła.

– Wróci na pewno.

– Może. Ale choć nie lubię się zakładać, to teraz jestem gotów się założyć, że Aleksandra Biełowa nie ma już w celi.

– Nie wiem, o czym mówicie. – Brestow podrapał się w głowę. – Biełow siedzi w więzieniu. Poczekamy na Karolicza i pójdziemy to sprawdzić.

– Zadzwońcie do najbliższego punktu kontrolnego – powiedział Uspieński. – Każcie im przynajmniej zatrzymać samochód, dopóki nie sprawdzicie, czy Biełow jeszcze tu jest.

– Nie zrobię niczego, dopóki nie zjawi się mój porucznik. – Kiedy próbował wstać, zrzucił z biurka kilka leżących tam kartek. – A poza tym, lubiłem tę pielęgniarkę. Nie sądzę, by była do tego zdolna.

– Sprawdźcie celę – powiedział Uspieński. – A jeśli mam racje, to może towarzysz komendant porozmawia z Moskwą w mojej sprawie? Jutro mają mnie stąd zabrać. Może mała zmiana trasy? – Uśmiechnął się błagalnie.

– Nie mówmy hop, dobrze?

Czekali na Karolicza.

Najpierw rozległ się trzask drzwi obijających się o bok dżipa, a potem głuche uderzenie, jakby coś spadło na drogę i dostało się pod koła samochodu.

– Jej, co to było?! – wykrzyknęła Penny. – Taniu, przejechałaś psa?

Zatrzymali się i wysiedli na pustą drogę. Tylne drzwi dżipa były otwarte. Przez chwilę patrzyli na nie w milczeniu.

– Co tu się stało? – spytała Penny.

– Chyba zapomniałam zamknąć drzwi – odparła Tatiana. Zajrzała głębiej do środka. Jej plecak zniknął.

– Zgoda, ale co przejechałaś?

– Nic.

– A ten odgłos?

Tatiana się odwróciła. Dwadzieścia metrów za nimi coś leżało na drodze. Podbiegła.

To był jej plecak.

– Twój plecak wypadł z samochodu?

– Musieliśmy wpaść w jakąś paskudną dziurę. No, ale wszystko na szczęście jest w porządku.

– Ruszajmy dalej – powiedział Martin. – Nie ma sensu tak stać w ciemnościach na pustej drodze.

– Ma pan rację – odparła Tatiana. Nagle odbiegła na bok i udała, że wymiotuje. Podali jej wodę do przepłukania ust i stali zatroskani przy jej boku.

– Przepraszam – powiedziała. – Chyba nie czuję się najlepiej. Martin, mógłby pan teraz poprowadzić? Położę się z tyłu na chwilę.

– Oczywiście.

Pomogli jej wsiąść. Zanim Martin zamknął drzwi, spojrzała na nich czule.

– Dziękuję wam – powiedziała. – Za wszystko.

– Nic się nie martw – odparła Penny.

Jak zwykle bardzo ostrożny, Martin zamknął drzwi od środka. Jeszcze zanim zajął miejsce za kierownicą, Tatiana otworzyła klapę schowka. Spojrzała na Aleksandra. Samochód powoli ruszył.

Martin jechał wolno, jakieś trzydzieści kilometrów na godzinę. Tatiana wiedziała, że czuje się nieswojo, jadąc w ciemności po nieznanych drogach.

Przez szklaną przegrodę słyszała stłumioną rozmowę kolegów. Aleksander wydostał się ze schowka i wyjął karabin Karolicza.

– Trzeba było zostawić plecak na drodze – szepnął. – Teraz musimy go wyrzucić i trudno będzie go znaleźć.

– Znajdziemy.

– A może go tu zostawimy?

– Nie. Są tam wszystkie nasze rzeczy. Musimy też zabrać to. – Wskazała na mniejszy plecak i płócienną torbę.

– Nie. Musi nam wystarczyć jeden plecak.

– Ale w tym są pistolety, granaty, rewolwer i zapasowe magazynki.

– Ach tak.

Wspiął się na palce i otworzył klapę w dachu.

– Wyjdę pierwszy – szepnął – a ty podasz mi rzeczy. Zrzucę je na drogę, a potem wyciągnę ciebie.

Kiedy zrzucił wszystko na drogę i znaleźli się razem na dachu dżipa, Tatiana o mało co nie zmieniła zdania. W dole rozciągała się ciemna przepaść bez dna, a za godzinę znajdą się w sektorze francuskim.

Wiatr rozwiewał jej włosy i prawie nie słyszała Aleksandra.

– Musimy wyskoczyć, Taniu – powiedział z naciskiem. – Odbij się mocno. Wylądujesz w trawie. Ja skoczę pierwszy.

Nawet się nie obejrzał. Zeskoczył szybko z plecakiem pełnym amunicji. Sturlał się w dół zbocza i zniknął jej z oczu.

Wstrzymując oddech, odbiła się mocno od dachu i zeskoczyła. Spadła na trawę i krzaki i sturlała się w dół. Po deszczu grunt był miękki i błotnisty. Wyszła na skraj drogi i zobaczyła, że dżip pojechał dalej. Coś ją nagle zabolało. Nie miała jednak czasu zastanawiać się, co to może być i gdzie. Zaczęła biec, zatrzymując się co parę sekund i szepcząc:

– Aleksandrze? Aleksandrze?

O ósmej trzydzieści nadal nigdzie nie mogli znaleźć Karolicza. Wartownik, który go szukał i Brestow specjalnie się tym nie przejęli. Komendant kazał odprowadzić Uspieńskiego do baraku.

– Sprawdzimy to wszystko jutro rano, towarzyszu – powiedział.

– Nie moglibyście sprawdzić celi Biełowa teraz, komendancie? Żeby się upewnić. To zajmie tylko dwie minuty. Możecie zajrzeć do więzienia po drodze do baraku.

Brestow wzruszył ramionami.

– Ruszajcie, kapralu, możecie przejść koło więzienia, jeśli chcecie.

Uspieński i kapral minęli bramę.

– Czy oni widzieli Karolicza? – spytał Uspieński, ruchem głowy wskazując strażników.

– Tak, widzieli, jak wsiadał z pielęgniarką do dżipa jakieś czterdzieści pięć minut temu. Podjechali pod dom komendanta.

– Ale tam go nie ma.

– To jeszcze nic nie znaczy.

Wartownik otworzył drzwi więzienia i wszedł na korytarz. Nad leżącym na ziemi nieprzytomnym Pardowem unosił się mocny zapach wódki.

– Świetnie – mruknął wartownik. – Ale z was pieprzony strażnik, Pardow – wyjął mu z kieszeni klucz i podszedł do celi numer siedem.

Stanęli w otwartych drzwiach. Leżący na słomie mężczyzna był skuty i miał na sobie zakrwawioną koszulę i czarne spodnie. Nie ruszał się.

– No i co? – spytał wartownik. – Zadowolony?

Uspieński podszedł do więźnia i zajrzał mu w twarz. Odwrócił się.

– Tak, jestem zadowolony – powiedział. – Zobaczcie sami.

Wartownik podszedł bliżej i oniemiały spojrzał w szeroko otwarte oczy Iwana Karolicza.

– Taniu! – usłyszała jego głos.

– Gdzie jesteś?

– Tutaj, na dole. Chodź.

Pobiegła w dół zbocza. Czekał na nią pod drzewami. Znalazł już broń i jej plecaki. W ręce trzymał apteczkę. Chciała się do niego przytulić, ale był zbyt obładowany.

– Możesz ponieść mniejszą torbę z amunicją i apteczkę? Ja wezmę resztę amunicji, broń i duży plecak. Co tu schowałaś, kamienie?

– Jedzenie. Poczekaj. Mam dla ciebie ubranie. Przebierz się, plecak będzie lżejszy.

– Muszę się najpierw umyć. Chodź. – Ruszył przodem. Doszli do brzegu rzeki.

– Co to za rzeka?

– Hawela.

– Płynie na południe?

– Aż do Berlina, ale cały czas wzdłuż drogi.

– Szkoda. – Aleksander się rozebrał. – No, nareszcie zrzucę mundur tego sukinsyna. A na dodatek porucznika. Masz jakieś mydło? Nie zrobiłaś sobie krzywdy?

– Nie. – Czuła, że głowa zaczyna jej ciążyć. Podała mu mydło.

Aleksander wszedł nagi do wody. Tatiana usiadła na brzegu i poświeciła mu latarką.

– Zgaś ją! – powiedział natychmiast. – W ciemnościach światło widać z daleka.

Tak bardzo chciała na niego patrzeć. Zgasiła jednak latarkę i tylko słuchała, jak parska i myje się w zimnej wodzie.

Ona też się rozebrała, lecz nie weszła do rzeki. Założyła tylko oliwkowe ubranie i czysty biały podkoszulek.

Spojrzała na ciemny zarys jego sylwetki. Stał twarzą do niej i pochylał się w stronę drogi. Nagle zamarł. Słyszała tylko jego oddech.

– Tatiano – szepnął.

Ale nie musiał nic mówić. Kiedy się odwróciła, wiedziała doskonale, co zobaczy. Drogę oświetlał snop świateł, słyszeli krzyki i szczekanie psów.

– Jak mogli odkryć ucieczkę tak szybko? – szepnęła.

Podała Aleksandrowi ubranie. Założył je w mgnieniu oka. Zatrzymał buty Karolicza, inaczej musiałby iść boso („Nie mogłam myśleć o wszystkim", wyjaśniła).

– Musimy zmylić trop. Wilczury natychmiast go znajdą. Rosjanie z radością korzystają z dobrodziejstw machiny wojennej Hitlera.

– Ale minęli nas.

– Tak. Jak myślisz, dokąd tak pędzą? – spytał.

– Do dżipa.

– A my tam jesteśmy?

Ach tak.

– Ale dokąd pójdziemy? Utknęliśmy między rzeką i drogą. Wyczują nas tu na pewno. – Starała się, by w jej głosie nie zabrzmiała nutka paniki.

– Tak, psy z pewnością nas zajdą. Zwłaszcza przy tym wietrze.

– Przejdziemy rzekę i ruszymy na zachód.

– Gdzie jest najbliższy most?

– Zapomnij o moście. Nie pamiętam mapy – odparła. – Najbliższy jest chyba jakieś osiem kilometrów stąd. Przejdziemy rzekę tutaj. Przepłyniemy na drugi brzeg i ruszymy na zachód, nie do Berlina. Potem skręcimy na południe i wejdziemy od wschodu do brytyjskiego sektora.

– A gdzie jest sektor amerykański?

– Na południu. Ale wszystkie sektory są otwarte, więc im szybciej opuścimy terytorium radzieckie, tym lepiej.

– Tak myślisz? Rzeka nie jest zbyt głęboka.

Tatiana już zaczęła się rozbierać do podkoszulka i bielizny.

– W porządku. Przepłyniemy na drugi brzeg. Ruszamy.

– Nie możemy płynąć – zaprotestował Aleksander. – Jeśli zamoknie broń i amunicja, będziemy musieli czekać, aż wyschnie. – Stali przez chwilę, patrząc sobie w oczy. – Wejdź mi na plecy – polecił, szybko zdejmując ubranie, które przed chwilą założył. – Ja będę płynął, a ty weźmiesz rzeczy.

Tatiana wspięła się na ramiona Aleksandra. Dotyk jego nagich pleców wzbudził w niej tak straszliwy żal za utraconą przeszłością, że aż jęknęła z bólu. Aleksander zrozumiał to opacznie i szepnął:

– Hej.

Pragnąc powstrzymać łzy, przygryzła skórzany pasek plecaka.

Aleksander wszedł do wody, dźwigając na plecach Tatianę i plecaki. Zaczął powoli płynąć. Tatiana zauważyła, że rzeka jest o połowę węższa od Kamy. Czy on to zauważył? Po chwili zorientowała się, że Aleksander miał kłopoty. Czuła, że niemal tonie. Trzymał głowę nad wodą, ale nie mógł wydusić ani słowa. Słyszała tylko jego ciężki oddech. Kiedy wyszli na drugi brzeg, przez minutę leżał na trawie, ciężko dysząc. Usiadła przy nim i ściągnęła mu plecak z ramion.

– Świetnie sobie poradziłeś – powiedziała. – Było ciężko?

– Nie, nie ciężko, tylko... – Zerwał się na równe nogi. – Sześć miesięcy w celi robi swoje.

– No to odpocznijmy. Połóż się. – Pogłaskała go po nodze.

– Masz coś do wytarcia? – spytał. – Szybko.

Podała mu mały ręcznik.

– Taniu – powiedział, wycierając się szybko. – Nie przemyślałaś wszystkiego do końca. Co zrobią, kiedy zatrzymają dżipa Czerwonego Krzyża, twoi przyjaciele otworzą drzwi, a ciebie w środku nie będzie? Myślisz, że odpuszczą? Twoi przyjaciele, nie wiedząc, o co chodzi, powiedzą z pewnością: „Ostatni raz widzieliśmy ją na drodze". I zaprowadzą pościg do miejsca, w którym przepłynęliśmy rzekę. Za czterdzieści sekund ściągną tu posiłki. Dziesięciu ludzi, dwa psy, dziesięć karabinów maszynowych, dziesięć pistoletów. No, możemy już iść? Musimy uciec jak najdalej. Masz kompas? A może mapę?

– Myślisz, że będą mieli problemy z władzami radzieckimi?

Milczał przez chwilę.

– Raczej nie – powiedział w końcu. – Nie zechcą wyciągać tego na światło dzienne. Przesłuchają ich, to pewne. Ale nie będą chcieli nękać obywateli amerykańskich. Idziemy.

Osuszyli się, narzucili ubranie i pobiegli w stronę lasu.

Klucząc, przedzierali się przez ciemny las. Tatiana miała wrażenie, że przeszli około dwudziestu kilometrów. Aleksander szedł przodem z nożem w ręce i torował drogę. Tatiana szła krok w krok za nim. Czasami, gdy

pozwalały na to warunki, biegli. Jednak przeważnie musieli się przedzierać przez gęste krzaki. Aleksander zapalał na parę minut latarkę, by oświetlić drogę i natychmiast ją gasił. Często zatrzymywał się i nasłuchiwał, po czym znów ruszał przed siebie. Tatiana marzyła tylko o tym, by zatrzymali się na dłuższą chwilę. Nogi zaczynały odmawiać jej posłuszeństwa. Aleksander musiał się w końcu domyślić, że coś z nią jest nie tak, bo spytał:

– Jesteś zmęczona?

– Tak. Możemy chwilę odpocząć?

Zatrzymał się, by spojrzeć na mapę, którą zabrała ze sobą.

– Jesteśmy w dobrym miejscu. Bardziej na zachód, niż będą podejrzewali. I nie przesunęliśmy się zbytnio na południe.

– Ale też nie zbliżyliśmy się do Berlina.

– Nie. Jednak na razie oddaliliśmy się od nich, a to już coś. – Zwinął mapę. – Masz namiot?

– Mam wodoodporną pelerynę. Możemy z niej zrobić namiot. – Zawiesiła głos. – Ale wolałabym poszukać jakiejś stodoły. Ziemia jest bardzo mokra.

– Dobra, poszukajmy stodoły. Będzie cieplej. Pod lasem na pewno są jakieś gospodarstwa.

– Musimy więc iść dalej?

Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

– Tak – powiedział. – Musimy jeszcze trochę iść.

Powoli ruszyli przed siebie.

– Aleksandrze, jest północ. Jak myślisz, ile udało się nam przejść?

– Z pięć kilometrów. Jeszcze trochę i wyjdziemy na pola.

Nie chciała mu powiedzieć, że boi się szumiącego i trzeszczącego lasu. Prawdopodobnie nie pamiętał historii, którą mu kiedyś opowiadała. Kiedy była mała, zgubiła się w lesie. Aleksander był ciężko ranny, bliski śmierci, na pewno nie pamiętał, że te chwile spędzone przez nią samotnie w lesie były najgorszym przeżyciem w jej młodym życiu.

Wyszli na pole. Na niebie świecił księżyc. W jego blasku Tatiana dostrzegła majaczący w oddali zarys silosa.

– Przejdźmy przez pole – powiedziała.

Obeszli je dookoła. Aleksander bał się pól.

Stodoła stała w odległości czterdziestu metrów od gospodarstwa. Aleksander otworzył drzwi i gestem nakazał jej, by weszła do środka. Zarżał zdumiony koń. W środku było ciepło, pachniało sianem, nawozem i skwaśniałym mlekiem. Dla Tatiany były to swojskie zapachy, przywodzące na myśl Ługę. Znów ogarnęło ją poczucie pustki i utraty czegoś, co nigdy nie wróci. Wszystkie rzeczy, o których zapomniała w Ameryce, wracały teraz razem z nim.

Aleksander przystawił drabinę i weszli na stryszek znajdujący się nad zagrodą dla krów. Tatiana usiadła na sianie.

Wyjęła z plecaka butelkę wody, wypiła parę łyków i podała Aleksandrowi.

– Masz tam coś jeszcze? – spytał.

Z szerokim uśmiechem wyjęła paczkę marlboro.

– Ach, amerykańskie papierosy – westchnął. Wyciągnął jednego i zapalił. Nie odzywając się ani słowem, wypalił trzy, jeden po drugim. Tatiana siedziała bez ruchu i obserwowała go spod opadających powiek.

Gdy otworzyła oczy, zobaczyła, że Aleksander patrzy na nią tak przejmująco, że szybko podeszła do niego na czworakach. Objął ją ramionami tak mocno, że nie mogła oddychać. Tuliła się więc do niego bez tchu, a gdzieś nad głową słyszała, jak cicho szepcze w jej włosy: „Ciii".

Nie mogli wydobyć z siebie ani słowa. Znaleźć się znów w ramionach Aleksandra, poczuć jego zapach, usłyszeć jego oddech, jego głos…

– Cii, ciii – szeptał, zdejmując jej z głowy chustkę. Wyjął szpilki i rozpuścił czarne włosy.

Były teraz bardzo długie, opadały prawie do pasa. Zanurzył w nich dłonie.

– Zamykam oczy – szepnął – i znów są jasne.

Dotykał ją tak, jakby nagle stracił wzrok, miażdżył w uścisku, który nie miał nic wspólnego z miłością i namiętnością, a jednocześnie był ich pełen. Jego uścisk był wyrazem smutku, pełnej goryczy ulgi i strachu.

Tatiana czuła, że chciałby coś powiedzieć, ale nie mógł wydusić ani słowa. Siedział na sianie, a ona klęczała przed nim, ukryta w jego mocnych ramionach. Od czasu do czasu, między jednym drżeniem a drugim, słyszała szept: Cii, ciii.

Nie mówił tego do niej. Mówił do siebie.

Nie wypuszczając jej z objęć, położył ją przed sobą na sianie. Otoczył drżącymi ramionami i nogami, a ona sama, bez tchu, wstrząsana raz po raz łkaniem, nie wiedziała, jak uciszyć targające nim emocje.

Pocałował ją bez słowa. Oboje nie wiedzieli, co robić. Rozebrać się? Zostać w ubraniu? To nie miało znaczenia. Nie mogła się poruszyć, nie chciała. Całował ją w szyję, obojczyk, mocno, natarczywie, a ona chciała szeptać jego imię. Z oczu nieprzerwanie płynęły jej łzy.

W końcu zdjął z niej i z siebie tylko to, co trzeba. Nie tyle wszedł w nią, co wtargnął. Przyjęła go z radością, choć jej usta ułożyły się do niemego krzyku i przyciskając go do siebie mocniej, coraz mocniej, czuła, że w swoim zapamiętaniu Aleksander kocha się z nią tak, jakby odciągała go od krzyża, do którego był nadal przybity.

Wpijał się w jej ciało palcami tak mocno, że niemal sprawiał jej ból.

– Szura, proszę… – szepnęła ledwo słyszalnie.

Ale to było bezcelowe. Wiedziała. Nie chciała, żeby było inaczej. Nie mogło być inaczej.

Wreszcie osiągnął spełnienie tak gwałtowne, że wbrew podszeptom zdrowego rozsądku Tatiana krzyknęła.

Pozostał w niej, a ona tuliła jego drżące nadal ciało. Jeszcze mocniej. Nie mógł być już bliżej. A jednak…

Cii, ciii.

To nie Aleksander.

To Tatiana.

Zasnęli.

Nie odezwali się do siebie ani słowem.

Kiedy się obudziła, on znów był w niej.

Noc, choć bardzo długa, była dla nich za krótka.

Tatiana rozłożyła pelerynę na ziemi. Zdjęli ubranie. W ciemnej ciszy Tatiana płakała. Płakała od chwili, gdy bez tchu dotknęła go raz jeszcze, płakała, gdy wszedł w nią, był w niej, kiedy ją całował, pieścił mocnymi dłońmi, wędrował ustami po ciele, kiedy go tuliła, a jej ciałem wstrząsał niepohamowany szloch, kiedy zapadała się, osiągając spełnienie, kiedy czuła jego głód i pożądanie, jego smutek i bezradność, płonęła i zapadała się raz jeszcze.

– Och, Szura – szepnęła prosto w jego szyję.

Płakała, szeptała „Och, Szura…", gdy wchodził w nią i poruszał się powoli i coraz szybciej, bez końca.

Kiedy skończyli, nadal leżał na niej bez ruchu, a ona delikatnie gładziła go po plecach i głowie. Leżeli mocno przytuleni. Znów zaczęła płakać.

– Tatiu – szepnął – musisz przestać płakać za każdym razem, gdy się kochamy. Co ma sobie pomyśleć mężczyzna, kiedy jego żona płacze, gdy się z nią kocha?

– Że jego żona oprócz niego nie ma nikogo na świecie – powiedziała, nie przestając płakać. – Że jest jej całym życiem.

– A ona jego – szepnął. – Ale on nie płacze.

Odwrócił się, nie widziała jego twarzy.

Całował jej piersi i brzuch, pieścił ją ustami, tym razem bardzo delikatnie. Kiedy osiągnęła spełnienie, jej krzyk zabrzmiał prawie jak pieszczota.

– Niewiastę dzielną któż znajdzie? – powiedział głębokim głosem, przytulając ją mocno. – Jej wartość przewyższa perły. Serce małżonka jej ufa, na zyskach mu nie zbywa. Nie czyni mu źle, ale dobrze. – Głos mu się załamał. – Przez wszystkie dni jego życia[11].

– Wstanę – szepnęła Tatiana – po mieście chodzić będę, wśród ulic i placów, szukać będę ukochanego mej duszy. Znalazłam umiłowanego mej duszy, pochwyciłam go i nie puszczę[12].

Nie było nocy.

Był tylko zmierzch, gdy wielkie słońce zachodziło za uniwersytet w Leningradzie przed Jeźdźcem Miedzianym, przed soborem Świętego Izaaka. Wraz z upływem minut niebo zmieniało kolor z błękitu na lawendowy, bladoróżowy. Złota iglica katedry Piotra i Pawła odbijała promienie słoneczne w zwierciadle rzeki wypływającej z jeziora Ładoga, wypływającej z pożegnanej dawno Daszy, z brzegów Morozowa, pędzącej obok Szlisselburga, pod lodem, przez Leningrad, zatrzymującej się na chwilę, by podziwiać złocone iglice katedry i wyniosłe wiązy Ogrodu Letniego.

Noc była za krótka.

Za krótka na podłogę w gabinecie Matthew Sayersa, na Lisi Nos, na mokradła Finlandii. Za krótka na Sztokholm.

Za krótka na celę w Morozowie, dziesięć granów morfiny w szyi Leonida Słonko, na wzgórza pod Siniawinem, za krótka na marsz przez Europę z Mikołajem Uspieńskim.

Za krótka na Wisłę.

I zdecydowanie za krótka na polskie lasy i Góry Świętokrzyskie.

– Nie opowiadaj mi o nim – powiedziała stłumionym głosem Tatiana. – Nie mam siły, by tego słuchać.

– A ja nie mam siły, żeby ci opowiedzieć.

Kiedy dowiedziała się o Paszy, nie mogła wydobyć z siebie słowa ani spojrzeć na Aleksandra. Leżała skulona na sianie, a Aleksander całował ją w plecy, szepcząc:

– Tak mi przykro, Tatiasza, tak bardzo przykro. Próbowałem go ocalić dla ciebie.

– To za dużo jak na mnie.

– Na mnie też.

Szloch.

– Wiesz, Taniu, kiedy umarł, straciłem wolę walki. Nie miałem już sił. Nie potrafiłem zrozumieć Bożego planu, którego częścią była śmierć Paszy. Ale jednocześnie uświadomiłem sobie, że Pasza nie mógł przeżyć.

Wiesz, że Rosjanie mogą cię oszczędzić i zesłać na Kołymę, jeśli poddałeś się wrogowi, ale jeśli walczyłeś po jego stronie…

– Wiem, Szura.

– Taniu, w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku umierałem. Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, co czułem, gdy przedzierałem się z moim batalionem przez każdą cholerną rzekę w Polsce.

– Ja nie potrafię sobie wyobrazić? Aleksandrze, nie wiesz, co bym oddała za batalion karny.

Pocałował ją w czubek głowy, w szyję, w plecy między łopatkami.

– Tatiu, nie byłaś mężczyzną, brutalnym mężczyzną z sześcioma tysiącami naboi i bagnetem. Dopóki nie znalazłem Paszy, wydawało mi się, że przestałem być człowiekiem. W Górach Świętokrzyskich Bóg zesłał mi Paszę, bo bardzo go potrzebowałem. Myślałem, że będzie nam dane uciec i wrócić do ciebie. Nie wiedziałem, że to ty do mnie wrócisz.

– Ocaliłeś nas wszystkich, Aleksandrze Barrington – szepnęła. – Twoje jedno życie ocaliło nas wszystkich.

Aleksander nie tyle spał, co leżał nieprzytomny, a oparta na łokciu Tatiana wodziła palcem po jego bliznach. Na piersiach, ramionach, rękach, żebrach. Nie chciała go obudzić, ale nie mogła przestać go dotykać. Blizny i rany na ciele Aleksandra przerażały ją. Jak można znieść aż tyle, a mimo to przeżyć? Był chudy, wycieńczony, posiniaczony, ale żył.

Przesunęła delikatnie dłoń aż do nóg, po czym wróciła do ramion i tam już ją zostawiła, gładząc go lekko. Nie spuszczała wzroku z jego twarzy.

Jest taki jeden moment, jedna chwila w wieczności. Zanim poznamy prawdę o sobie nawzajem. Ten jeden moment pozwala nam iść przez życie, bez względu na to, co się wydarzy. Tą chwilą jest dla mnie to, co czuliśmy, stojąc na krawędzi przyszłości, nad otchłanią zakazanych uczuć, zanim wiedzieliśmy na pewno, że kochamy. Przed umierającą Daszą, mamą, umierającym Leningradem. Przed Ługą. Przed zaczarowanym światem Łazariewa, kiedy obsypałeś mnie cudami swojej miłości, a nasze ciała stopiły się na zawsze. Szłam z tobą przez Ogród Letni i od czasu do

czasu moje nagie ramię dotykało twojego. Od czasu do czasu coś do mnie mówiłeś, a mnie wolno było wtedy podnieść wzrok i spojrzeć w twoją twarz, w roześmiane oczy, spojrzeć na rozchylone lekko usta. I ja, której nikt nigdy nie dotykał, wyobrażałam sobie, jak by to było, gdybym poczuła dotyk twoich ust. Zakochałam się w tobie podczas spacerów w Ogrodzie Letnim w blasku białych nocy i ta chwila pozwala mi iść przez życie bez względu na wszystko.

Aleksander obudził się i spojrzał na nią.

– Co robisz? – szepnął.

– Czuwam nad tobą.

Zamknął oczy i zasnął.

Następnego ranka o świcie do stodoły wszedł gospodarz, by wydoić krowy. Aleksander i Tatiana leżeli cicho na stryszku, a kiedy wyszedł, Tatiana ubrała się i zeszła po drabinie. Wydoiła trochę mleka do małych kubków, w których rozdawała lekarstwa. Aleksander zszedł na dół, trzymając w dłoniach pistolety.

Wypili mleko.

– Jeszcze nigdy nie byłeś tak chudy – powiedziała. – Wypij do końca.

– A ty jeszcze nigdy nie byłaś tak uroczo zaokrąglona. – Pochylił się nad nią. – I masz większe piersi.

– To przez dziecko – mruknęła, całując go. – Dziecko, Amerykę, jedzenie, nie wiem.

– Chodźmy na górę – powiedział, wsuwając dłoń w jej włosy.

Wspięli się po drabinie. Zanim jednak zdążyli zrzucić ubranie, usłyszeli nadjeżdżający samochód. Była siódma rano. Aleksander wyjrzał przez małe okienko. Przed stodołą stała wojskowa ciężarówka, a z gospodarzem rozmawiało czterech oficerów Armii Czerwonej.

Aleksander spojrzał na Tatianę.

– Kto to? – szepnęła.

– Taniu, usiądź przy ścianie, ale niezbyt daleko. Weź do ręki pistolet i amunicję.

– Kto to?

– Przyjechali po nas.

Krzyknęła cicho i podczołgała się do okna.

– O mój Boże, jest ich aż czterech! Co teraz zrobimy? Utknęliśmy tu na górze.

– Ciii. Może sobie pojadą. – Przygotował karabin, trzy pistolety i pythona. Tatiana ukradkiem obserwowała żołnierzy. Gospodarz wymachiwał rękami i wzruszał ramionami. Żołnierze podchodzili coraz bliżej, wskazywali na dom, pola i wreszcie na stodołę. Mężczyzna zszedł im z drogi, wskazując gestem stodołę.

– Ten rewolwer... jest powtarzalny czy nie?

– Co takiego?

– Nic, nie ma sprawy.

– Chyba powtarzalny. Jestem niemal pewna – odparła, próbując sobie przypomnieć, co mówił mężczyzna w sklepie. – Chodzi ci o to, czy sam się odbezpiecza? Tak.

Aleksander leżał na brzuchu za dwiema belami siana. Z prawej strony położył karabin maszynowy i pistolety, a trzymanego w ręce pythona wymierzył w drabinę. Tatiana, trzymając w drżących dłoniach naboje, siedziała za nim przy ścianie.

Odwrócił się.

– Ani słowa, Taniu.

Skinęła głową.

Drzwi stodoły otworzyły się i do środka wszedł gospodarz z jednym z oficerów. Serce Tatiany waliło w piersiach jak oszalałe. Oficer mówił bardzo słabo po niemiecku i co chwila wtrącał rosyjskie słowa. Gospodarz musiał mu powiedzieć, że nie widział w okolicy nikogo obcego, bo oficer wrzasnął po rosyjsku: „Na pewno?!”

Przez kilka sekund krążyli tak wokół siebie, gdy nagle oficer zatrzymał się i rozejrzał.

– Palicie? – spytał po rosyjsku.

– *Nein, nein* – odparł natychmiast gospodarz. – *Ich rauche nicht in der Scheune wegen Brandgefahr*.

– Pożar nie pożar, ktoś palił w waszej zasranej stodole!

Gwałtownym ruchem Tatiana przyłożyła dłoń do ust, by powstrzymać krzyk.

Oficer wypadł ze stodoły. Wyjrzała przez okno. Krzyknął coś do pozostałych. Jeden z nich wyłączył silnik i wszyscy wzięli karabiny.

– Szura – szepnęła Tatiana.

– Ciii. Nic nie mów. Nawet nie oddychaj.

Kiedy Rosjanie weszli do środka, gospodarz nadal stał na środku stodoły.

– Zabieraj się stąd do cholery – rzucił jeden z nich. Mężczyzna wybiegł na zewnątrz.

– Kto tu jest?

Cisza.

– Pytam, kto tu jest?

– Nie ma nikogo – oświadczył jeden z żołnierzy.

– Biełow, wiemy, że tutaj jesteś – powiedział drugi. – Wyjdź, a nikomu nie stanie się krzywda.

Aleksander milczał.

– Masz ze sobą żonę. Nie możesz myśleć tylko o sobie. Chcesz chyba, żeby przeżyła, prawda?

Tatiana usłyszała ciche skrzypnięcie drabiny.

Aleksander leżał tak spokojnie, że można by po nim przejść i nawet tego nie zauważyć. Jeszcze jedno skrzypnięcie.

– Jeśli się poddasz, twoją żonę obejmie amnestia – powiedział jeden z oficerów.

– Jesteśmy uzbrojeni po zęby – dodał drugi. – Nie masz szans. Zachowaj się rozsądnie.

Aleksander nawet się nie wychylił. Wymierzył tylko pythona i wypalił prosto w głowę wspinającego się po drabinie mężczyzny. Ten zdążył tylko jęknąć i spadł na dół. Pozostali natychmiast przykucnęli i unieśli broń, lecz

nie zdążyli ani wypalić, ani się ukryć. Aleksander mierzył, strzelał, mierzył, strzelał, mierzył, strzelał. Żołnierze nawet nie otworzyli ognia.

Aleksander zerwał się na nogi i chwycił Tatianę za rękę.

– Spadamy – rzucił. – Nie możemy tu zostać ani sekundy dłużej. Jeśli na farmie jest telefon, gospodarz już dzwoni gdzie trzeba.

– Może nie ma telefonu – wyjąkała Tatiana.

– Nie możemy na to liczyć. Szybko!

Zebrała rzeczy, podczas gdy Aleksander załadował naboje do pythona.

– Niezłe cacko, Taniu – powiedział. – Trochę odskakuje, ale to nic. Znasz prędkość wylotową pocisku?

– Mężczyzna, który mi go sprzedał, powiedział, że wynosi czterysta pięćdziesiąt metrów na sekundę.

Aleksander gwizdnął.

– Nieźle. Prawie jak moja pepesza. Gotowa?

Wyjrzeli przez okno, by upewnić się, że nikt nie nadchodzi, po czym zeszli po drabinie. Kiedy przechodzili nad leżącymi w drzwiach martwymi żołnierzami, Aleksander sięgnął do kieszeni jednego z nich i wyjął paczkę papierosów. Wyszli na zewnątrz. Aleksander zabrał z ciężarówki lekki karabin maszynowy i pas z amunicją. Tatiana spytała, jak da radę dźwigać to wszystko.

– Nie martw się o mnie – odparł, zarzucając pas z amunicją na szyję. – Zajmij się sobą.

– Możemy wziąć ciężarówkę – zaproponowała.

– Świetny pomysł, podjedziemy nią na następny punkt kontrolny.

Pobiegli przez pola prosto do lasu.

Szli aż do południa, by znaleźć się jak najdalej od farmy.

– Zatrzymamy się na chwilę? – spytała Tatiana, gdy dotarli do strumienia. – Na pewno jesteś zmęczony. Umyjemy się, może coś zjemy. A tak w ogóle, to gdzie jesteśmy?

– Nigdzie – odparł, zatrzymując się z wyraźną niechęcią. – Jakieś siedem kilometrów od farmy i Armii Czerwonej.

– Siedem kilometrów na południe? – spytała z nadzieją. – To znaczy, że jesteśmy tylko...

– Na zachód. Nie idziemy na południe.

Spojrzała na niego zdumiona.

– Jak to nie idziemy na południe? Przecież tam jest Berlin.

– I tam właśnie będą nas szukać.

– Ale w końcu musimy się tam skierować.

– Tak.

Nie chciała wiedzieć już nic więcej. Umyli w strumieniu twarz i zęby.

– Tylko nie dawaj mi już tej pasty z morfiną – powiedział Aleksander.

Tatiana wyjęła jedzenie. Z uśmiechem pokazała mu mielonkę w puszkach.

– Bardzo ją lubię – powiedział, zdobywając się nawet na uśmiech. – Ale jak ją otworzysz?

– Ponieważ jest to produkt amerykański, ma przyklejony do wieczka otwieracz.

Wyjęła też suchary i trochę suszonych jabłek. Zjedli i popili wodą ze strumienia.

– Ruszamy dalej – powiedział Aleksander, wstając z ziemi.

– Szura, chciałabym się wykąpać. Dobrze? To nie potrwa długo.

Westchnął ciężko.

– No dobrze. Ja sobie zapalę.

Kiedy wypalił trzy papierosy, rozebrał się i wszedł za nią do wody.

Wczesnym popołudniem siedzieli na kłodzie drewna nad strumieniem. Tatiana tylko w podkoszulku i bieliźnie, Aleksander powoli szczotkował jej mokre, długie włosy. Drugą ręką gładził ją po włosach i plecach.

Po chwili pochylił się, pocałował ją w szyję i szepnął prosto do ucha:

– Nie maluj się już, dobrze? Chcę widzieć twoje piegi.

Zamruczała cicho i odwróciła do niego twarz. Patrzyli na siebie przez długą chwilę. Aleksander wypuścił szczotkę z rąk. Objął Tatianę za szyję,

przesuwając palce po sznureczku, na którym nosiła obrączki. Odchylił jej głowę do tyłu i przesunął rękę na piersi, brzuch, wsunął ją między uda.

– Rozbierz się – szepnął.

Stanęła przed nim naga. Ujął w dłonie jej piersi, a potem mocno przytulając ją do siebie, pieścił całe ciało. Usiadła na nim. Pochylił głowę i zaczął pieścić ustami sutki. Wstał i nie wypuszczając jej z objęć, zaniósł nad brzeg strumienia. Jedną ręką zsunął kalesony, usiadł na nich i opierając się o duży kamień, powoli opuścił Tatianę na siebie. Zaczął się poruszać w górę i w dół. Tatiana objęła go mocno za głowę i jęknęła przeciągle. Kiedy zaczął poruszać się bardziej rytmicznie, ona osłabła i nie mogła już dłużej siedzieć. Zaniósł ją na rozłożoną na trawie pelerynę. Uklęknął nad nią, pieszcząc jej ciało wargami i koniuszkami palców. Przestał, gdy zaczęła wić się jak wąż. Uniósł się na łokciach i wszedł w nią łagodnie, a ona krzyknęła cicho...

Nagle przestała się poruszać. Dyszała tylko ciężko, ale nad tym nie mogła zapanować. Ściskając go mocno za ramię, szepnęła:

– O mój Boże, Szura, obserwuje nas jakiś mężczyzna!

Aleksander zamarł.

– Gdzie? – spytał szeptem, nie odwracając głowy.

– Za moimi...

– Zegar, Taniu. Powiedz mi, gdzie jest na zegarze. Ja jestem w środku.

– Na czwartej trzydzieści.

Aleksander leżał spokojnie, tak samo jak wczesnym rankiem w stodole. Tatiana zapiszczała cicho.

– Ciii – szepnął. Przy jego lewej ręce leżał pistolet P-38. Uniósł się lekko i jednym płynnym ruchem odbezpieczył kurek, odwrócił się i wypalił trzy razy. Dobiegł ich krzyk i odgłos osuwającego się na ziemię ciała.

Oboje zerwali się z ziemi. Aleksander szybko wciągnął kalesony, Tatiana bieliznę. Trzymając w dłoniach pythona i colta, Aleksander ruszył w stronę krzaków. Tatiana poszła za nim.

Na ziemi leżał mężczyzna w radzieckim mundurze. Aleksander trafił go dwa razy: w ramię i szyję. Teraz zabrał mu broń i wrócił na polanę. Tatiana

uklękła przy mężczyźnie i przyłożyła dłoń do rany w szyi.

Nagle usłyszała pełen niedowierzania głos Aleksandra.

– Co ty wyprawiasz?

– Nic – odparła, rozpinając mężczyźnie kołnierz munduru. – On nie może oddychać.

Aleksander odciągnął ją gwałtownym ruchem, wymierzył pythona i dwa razy wystrzelił prosto w głowę mężczyzny. Tatiana krzyknęła, opadła na ziemię i przerażona próbowała na oślep odczołgać się od Aleksandra. On jednak podniósł ją z ziemi, nadal trzymając w ręce pythona. Zamknęła oczy i, niemal w histerii, zaczęła się wyrywać.

– Tatiano! Co ty, do cholery, wyprawiasz?

– Puść mnie!

– Nie może oddychać? Mam, kurwa, nadzieję, że nie! Teraz już na pewno. Chcesz ocalić jego czy nas? Tu nie ma żartów, do cholery. Nie możesz mu pomagać, kiedy my stoimy na granicy śmierci!

– Przestań, słyszysz? Puść mnie!

– Kurwa mać! – krzyknął. Rzucił broń na ziemię i kucnął przed nią. – Taniu, czego ty chcesz? Dlaczego tu przyjechałaś? Chcesz, żeby nasz syn stracił matkę? Nie rozumiesz, że przeżyjemy albo my, albo oni? Nie ma nic pośrodku. To pieprzona wojna, nie rozumiesz?

– Proszę cię, ja tylko...

– Nie, ty nic nie rozumiesz! – Chwycił ją mocno za ramiona. – On nas obserwował, obserwował ciebie, pewnie od samego początku. Widział i słyszał wszystko. A wiesz, na co czekał? Żebym wreszcie skończył. Wtedy mógłby mnie zabić i natychmiast zająć moje miejsce. A potem zabiłby ciebie. Nie wiemy, kim był, może żołnierzem, może dezerterem, ale wiem na pewno, że nie miał ochoty zjeść z nami obiadu.

– O mój Boże, co się z tobą stało?

Chwycił ją pod brodę i odwrócił twarz, by mogła na niego spojrzeć, po czym gwałtownie odepchnął.

– Ty mnie osądzasz? Właśnie ty? Jestem żołnierzem, nie pieprzonym świętym. – Splunął na ziemię.

– Nie osądzam cię, Szura, proszę tylko…

– Albo my, albo oni, Tatiano.

– Ty, Aleksandrze, ty. – Zachwiała się. Podtrzymał ją ramieniem, ale nie przytulił.

– Naprawdę nic nie rozumiesz? Idź, zmyj z siebie krew i ubierz się. Musimy ruszać dalej.

Po dziesięciu minutach opuścili polanę. W ciemnych, oliwkowych ubraniach przedzierali się przez las. Nie odzywali się ani słowem. Zatrzymywali się tylko na chwilę, pili i ruszali dalej. Aleksander palił papierosa za papierosem. Czasami zatrzymywał się, nasłuchiwał i ruszał dalej.

Unikali wiosek i brukowanych dróg. Gospodarstwa też stwarzały problem. Było przecież lato, pora żniw. Maszyny rolnicze, robotnicy byli dosłownie wszędzie. Musieli obchodzić pola dookoła, by uniknąć spotkania z przypadkowymi ludźmi.

Przez sześć godzin szli przez łąki i lasy, kierując się na południe. Tatiana marzyła o chwili odpoczynku. Aleksander nie zwalniał jednak kroku, a ona nie chciała zostawać w tyle.

Kiedy doszli do pola, na którym rosły ziemniaki, uświadomiła sobie, jak bardzo jest głodna. Wyszła przed Aleksandra. Natychmiast chwycił ją za ramię i pociągnął do tyłu.

– Nie wychodź przede mnie, zrozumiałaś? Nic nie wiesz o tym polu.

– A ty wiesz bardzo dużo.

– Tak, ponieważ widziałem tysiące podobnych.

– Ja też widziałam kiedyś pole, Aleksandrze.

– Zaminowane?

Milczała przez chwilę.

– To pole ziemniaków. Nie jest zaminowane.

– A niby skąd to wiesz? Obserwowałaś je przez lornetkę? Zbadałaś teren? Czołgałaś się po nim z bagnetem w ręce, by znaleźć miny? A może myślisz tylko, że kiedy byłaś w Łudze jako mała dziewczynka, pola nie były zaminowane?

– Przestań, dobrze? – powiedziała cicho.

Aleksander wyjął lornetkę. Obejrzał dokładnie ziemię. Wyglądała bezpiecznie, ale nie chciał ryzykować. Wyjął mapę i studiował ją przez kilka chwil.

– Chodźmy na lewo – powiedział. – Po prawej, niedaleko, biegnie droga. To zbyt niebezpieczne. Lasy po drugiej stronie są gęste i ciągną się jakieś dwadzieścia kilometrów.

Tatiana wykopała parę ziemniaków ze skraju pola.

Kiedy dotarli do lasu, zachodziło słońce. Zatrzymali się nad strumieniem, by napić się wody.

– Może uda nam się złapać rybę? – spytała Tatiana. – Jeśli rozpalisz ogień, ugotuję rybę i ziemniaki. Rozbijemy prawdziwy obóz. – Próbowała się uśmiechnąć, lecz Aleksander patrzył na nią z posępnym wyrazem twarzy.

– Ogień? Ty chyba zupełnie oszalałaś. W stodole wyczuli zapach papierosa. Jak myślisz, czego szukają ich psy, jeśli nie zapachu gotowanego jedzenia?

– Ale oni już nas nie szukają. Nie ma ich tutaj.

– Są tam. – Machnął ręką w nieokreślonym kierunku. – Kiedy tu przyjdą, będzie już za późno. Nie chcę im ułatwiać sprawy.

– Nie będziemy jeść?

– Zjemy ziemniaki na surowo.

– Świetnie – mruknęła.

Zjedli je na surowo. Tatiana wyjęła też ostatnią puszkę mielonki. Przywiozłaby więcej, ale czy mogło jej przyjść do głowy, że nie będą mogli rozpalić ogniska, ugotować ziemniaków? Umyli się. Aleksander wypalił papierosa.

– Gotowa? – spytał.

– Gotowa na co?

– Musimy iść.

– Proszę, nie. Jest ósma. Musimy odpocząć, będziemy szli jutro za dnia. – Chciała dodać, że boi się iść przez las nocą, ale wolała się do tego nie

przyznawać.

Milczeli oboje przez chwilę.

– Będziemy szli do dziesiątej – powiedział w końcu Aleksander, ciężko wzdychając. – Potem odpoczniemy.

Trzymała się blisko niego. Nie mogła się oprzeć poczuciu, że ktoś ich śledzi i odwracała się gwałtownie za każdym razem, gdy Aleksander zatrzymywał się, by posłuchać odgłosów lasu. Raz coś spadło, a może złamała się gałąź. Tatiana krzyknęła i złapała Aleksandra za rękę.

Położył jej dłoń na ramieniu.

– Co się stało, Tatiasza?

– Nic.

Poklepał ją lekko.

– Zatrzymamy się tutaj.

Musiała przygryźć wargę, by go nie błagać, żeby znaleźli jakąś stodołę, szopę, rów w pobliżu domu, nawet zaminowane pole. Tak bardzo bała się spędzić noc w lesie.

Aleksander zbudował szałas z gałęzi i peleryny. Powiedział, że zaraz wróci, ale upłynęło piętnaście minut, a jego nadal nie było. Tatiana wyczołgała się z szałasu. Siedział pod drzewem i palił papierosa.

– Szura – szepnęła. – Co robisz?

– Nic. Idź spać. Czeka nas długi dzień.

– Chodź do szałasu.

– Jest za mały. Dobrze mi tutaj.

– Nie jest wcale za mały. Przytulimy się do siebie i będziemy spać na boku. – Pociągnęła go za ramię. Szybko je cofnął.

Uklękła przed nim, przyjrzała mu się uważnie i podniosła dłoń do jego twarzy.

– Szura...

– Posłuchaj – zaczął – musisz przestać ze mną walczyć. Jestem po twojej stronie. Pozwól robić mi to, co uważam za konieczne. Nie mogę się z tobą spierać za każdym razem, gdy grozi nam niebezpieczeństwo.

– Wiem – odparła. – Przepraszam. Ale nic nie mogę na to poradzić. Taką już mam naturę.

– Musisz z tym walczyć. To trudne, wiem, chciałabyś, żeby było inaczej, ale musisz wygrać walkę z samą sobą. I jakoś to sobie poukładać. Bo chyba nie chcesz, żeby Hunowie wygrali? – Objął ją ramionami.

Przytuliła twarz do jego szyi.

– Nie chcę. Postaram się, dobrze? – szepnęła.

– Zrobisz to – powiedział z naciskiem, nie wypuszczając jej z objęć. – Wszystko, co ci każę. Trzymaj się z boku i nie pomagaj ludziom, którzy chcą nas zabić. – Ujął jej twarz w dłonie. – Taniu, w Morozowie pozwoliłem ci odejść, ale teraz tego nie zrobię. Tym razem albo oboje przeżyjemy, albo razem zginiemy.

– Dobrze.

– Myślę teraz tylko o tym, jak nas stąd wydostać, więc ty też musisz zapomnieć o całej reszcie.

– Dobrze, Aleksandrze. A teraz chodź spać.

Pokręcił głową.

– Proszę – szepnęła. – Boję się spać sama w lesie.

Wsunął się do szałasu i przytulił do jej pleców. Przykryła ich kaszmirowym kocem.

– Kupiłam go dla ciebie w czasie moich pierwszych świąt w Nowym Jorku.

– Lekki i bardzo ciepły. To dobry koc. *O Boże, otul mnie rozgwieżdżonym niebem, bym mógł znaleźć spokój i ukojenie.*

Leżeli przytuleni do siebie. *Dwie pasujące do siebie idealnie miski.* Przypomniała sobie Łazariewo i lody, które zrobił jej na urodziny.

– Taniu, powiedz mi, proszę. Nie będę wcale zły. Sam chciałem, żebyś była szczęśliwa. Byłaś z innym mężczyzną?

– Nie – odpowiedziała z wahaniem. Przypomniała sobie, jak była tego bliska z Jebem, z Edwardem. – Kto jest tak wspaniały jak ty, pełen boskich darów? – poczuła, jak ciało Aleksandra sztywnieje. – A ty?

– Nie – zawiesił głos. – Ale raz czy dwa miałem na to ochotę, by odpędzić śmierć.

Zamknęła oczy.

– Ja też – szepnęła. – A chcesz ją odpędzić teraz?

– Nie.

Gdy otworzyła oczy, było jeszcze ciemno. Aleksandra nie było w szałasie. Siedział pod drzewem, trzymając w rękach pistolet maszynowy.

– Co robisz?

– Czuwam nad tobą – odparł.

Wyjęła koc z szałasu, przykryła go, a potem położyła się na ziemi, z głową na jego kolanach. Zamknęła oczy i zapadła w niespokojny sen.

Kiedy się obudziła, leżała z głową przykrytą kocem. Zsunęła go z twarzy. Aleksander siedział nieruchomo i palił. Całe jego ciało zdradzało ogromne napięcie.

– Co się stało? – spytała.

– Nie chciałem nasypać ci popiołu na głowę.

– Nie, nie o to mi chodzi. Co się dzieje?

Odwrócił wzrok.

– Chyba nam się nie uda – szepnął.

Obserwowała go przez chwilę, a potem zamknęła oczy i ułożyła się wygodniej na jego kolanach.

– Żyj, jakbyś był pełen wiary – powiedziała – a wiara będzie ci dana.

Nie odpowiedział.

Zdjęła z szyi obrączki. Mniejszą wsunęła na swój palec, ujęła dłoń Aleksandra – choć musiała chwilę z nim walczyć, by oderwać ją od pistoletu – i włożyła większą na palec jego prawej ręki. Uścisnął jej dłoń i ponownie chwycił pistolet.

– Nie chcesz się przespać? Teraz ją będę czuwać.

– Nie – odparł. – I tak nie mogę zasnąć.

Pogładziła go po ramieniu.

– Co mogę zrobić? – Szturchnęła go lekko. – No co?

– Nic.

– Nic? – spytała zaskoczona.

– Nic – powtórzył obojętnym tonem. – Za dużo się wokół nas dzieje. Muszę być czujny. Zapomniałaś już, co się stało?

Zasnęła. Obudził ją, kiedy zaczęło świtać. W milczeniu umyli zęby i zebrali rzeczy. Tatiana odeszła parę metrów w las, a kiedy wróciła, Aleksander stał tyłem do niej.

– Jesteś głodny? – spytała, lecz zanim skończyła wypowiadać te słowa, odwrócił się gwałtownie, mierząc do niej z obu pistoletów. Minęła sekunda, zanim je opuścił i wrócił do swojego zajęcia.

Podeszła i zajrzała mu przez ramię. Przeszukiwał każdą kieszeń jej czarnego plecaka.

– Czego szukasz? – spytała.

– Masz więcej papierosów?

– Oczywiście. Przywiozłam sześć paczek.

– A więcej?

– Wypaliłeś w nocy sześć paczek papierosów?

Szukał dalej.

– A ta paczka, którą zabrałeś Rosjanom?

Spojrzał na nią bez słowa.

Wyjęła mu plecak z rąk. Próbowała wysunąć broń zza jego pasa, ale nie pozwolił. Objęła go więc, przytulając się do pistoletów i pasa z amunicją.

– Szura… – szepnęła. – Najdroższy, mężu, będzie…

– Idziemy – powiedział, odsuwając się lekko. – Musimy ruszać dalej.

Tym razem skierowali się na południe. Aleksander nie pozwalał jej odejść ani na metr. Nie było już kąpieli w strumieniach, nie było ognia, skończyły im się suchary. Idąc przez las, zbierali jagody. Znaleźli też jeszcze jedno pole ziemniaków.

Pod koniec dnia spytała, czy mogą rozpalić ognisko. Przecież nie wydarzyło się nic podejrzanego. Zabronił. Była zaskoczona, że przeszli zaledwie piętnaście kilometrów, że poruszali się tak wolno. Tatiana zastanawiała się, czy z jakiegoś powodu Aleksander boi się dotrzeć do Berlina. Jeśli tak, to dlaczego?

– Chyba jesteśmy już bardzo blisko. Nie sądzisz?

– Jesteśmy… Tak. Mamy przed sobą jakieś dziesięć kilometrów.

– Możemy więc dotrzeć tam jutro.

– Nie. Powinniśmy jakiś czas zostać w lesie.

– W lesie? Ale ty stale każesz iść dalej, nie chcesz się zatrzymać ani na chwilę.

– Zatrzymajmy się.

– Nie możemy rozpalić ognia, nie możemy niczego ugotować, nie mamy nic do jedzenia, nie możemy się wykąpać, spać… nic. Na co tu czekamy?

– Będą nas teraz szukać. Nie słyszysz?

– Czego?

– Ich. Są wszędzie, miotają się tam i z powrotem. Naprawdę nic nie słyszysz?

Nic nie słyszała.

– Nawet jeśli tak jest – zgodziła się – to północny Berlin jest bardzo rozciągnięty. Nie będą szukać nas wszędzie.

– Będą. Powinniśmy zostać tutaj.

Położyła mu ręce na ramionach.

– Uspokój się, Aleksandrze – powiedziała. – Chodźmy dalej, nie zatrzymujmy się, dopóki nie dotrzemy do Berlina.

Odsunął się.

– Dobrze. Jeśli tego właśnie chcesz. Idziemy.

Tuż przed Berlinem las się rozrzedził. Porozrzucane wśród wzgórz pola odgradzały rzędy drzew. Szli powoli, w pewnej chwili zapadli w krzaki i spędzili tam dwie godziny, bo Aleksandrowi wydawało się, że widzi przejeżdżającą ciężarówkę.

W najbliższej okolicy nie było strumieni, nie było też gdzie się schować. Aleksander stawał się coraz bardziej spięty i przez cały czas trzymał przed sobą pistolet maszynowy. Tatiana nie wiedziała, jak mu pomóc. Nie miała już papierosów.

O dziewiątej wieczorem, kiedy pozwolił jej chwilę odpocząć, spytała:

– Wszędzie panuje cisza, prawda?

– Nie. Wszędzie słychać jakieś hałasy. Na obrzeżach pól, w oddali, wciąż słyszę ciężarówki, głosy, szczekanie psów.

– Ja nic nie słyszę.

– A niby dlaczego miałabyś słyszeć?

– A ty?

– Bo takie mam zadanie. Jesteś gotowa? Ruszamy.

– Nie. Możesz mi pokazać na mapie, gdzie jesteśmy?

Z westchnieniem rozłożył mapę. Śledziła ruch jego palca.

– Szura, wspaniale! Kilka kilometrów przed nami jest wzgórze, niezbyt wysokie. Tylko sześćset metrów, prawda? Sześćset metrów w górę, sześćset w dół. Gdy przejdziemy na drugą stronę, będziemy już tylko kilka kilometrów od Berlina. Jutro w południe wejdziemy do sektora amerykańskiego.

Popatrzył na nią. Zwinął mapę i ruszył bez słowa.

Na ciemnym niebie świecił jasny księżyc, mogli więc iść, nie oświetlając sobie drogi latarką. Kiedy dotarli na szczyt wzgórza, Tatiana miała wrażenie, że widzi w oddali Berlin.

– Chodź – powiedziała. – Zbiegniemy na dół.

Aleksander usiadł na ziemi.

– Teraz widzę wyraźnie, że w czasie wojny w Leningradzie nie miałaś pojęcia, co się dzieje. Pułkowo i Siniawino nic cię nie nauczyły? Nie ruszymy się stąd. Wysokość to nasza jedyna przewaga. No, może jeszcze niewielki element zaskoczenia. U stóp wzgórza możemy równie dobrze czekać na nich z uniesionymi w górę rękami.

Przypomniała sobie Niemców na wzgórzach pod Pułkowem i Siniawinem. Na szczycie wzgórza czuła się nieswojo, rosło tu tylko jedno drzewo i kilka krzaków. Aleksander powiedział jednak, że nigdzie stąd nie pójdą. Zostali więc.

Nie zbudował szałasu i powiedział, by nie wyjmowała z plecaka niczego poza kocem, jeśli naprawdę go potrzebuje. Muszą być w każdej chwili gotowi do ucieczki.

– Ucieczki? Szura, tu jest tak cicho, tak spokojnie.

Nie słuchał jej. Odszedł parę kroków na bok i zaczął coś kopać w ziemi. Widziała tylko zarys jego sylwetki.

– Co robisz? – spytała, podchodząc bliżej.

– Kopię. Nie widzisz?

Obserwowała go przez parę chwil.

– Co kopiesz? Grób?

– Rów – odparł, nie podnosząc wzroku.

Nic nie rozumiała. Bała się, że brak papierosów w połączeniu z wielkim napięciem wywołały u Aleksandra czasowe (tylko czasowe) szaleństwo. Chciała mu powiedzieć, że wpada w paranoję, ale nie sądziła, by to w czymkolwiek pomogło. Pochyliła się więc i pomogła mu kopać, odgarniając ziemię gołymi rękami. Skończyli dopiero wtedy, gdy rów był na tyle głęboki, by Aleksander mógł się w nim położyć i przykryć ziemią.

Była druga nad ranem.

Siedzieli razem pod lipą. Aleksander opierał się o pień, ona o jego kolana. Nie chciał się położyć ani odłożyć pistoletu.

– Niepotrzebnie tutaj przyjeżdżałaś – usłyszała nagle. – Powinnaś mnie była tu zostawić. Ułożyłaś sobie życie na nowo. Opiekowałaś się naszym synem. Pracowałaś, miałaś przyjaciół, przyszłość przed sobą, Nowy Jork. My należeliśmy już do przeszłości. Trzeba to było tak zostawić.

– O czym ty mówisz? To dlaczego powiedziałeś mi: „Zapamiętaj – Orbeli", żeby mnie dręczyć, skoro chciałeś, bym zapomniała? – spytała. – Dlaczego zostawiłeś mi cień swego zmarnowanego życia?

– Nie chciałem cię dręczyć. Powiedziałem ci to, żebyś zachowała wiarę.

– Nie! – krzyknęła i zerwała się z ziemi.

– Cicho! – Nie ruszył się z miejsca.

Zniżyła głos, lecz nie usiadła.

– Powiedziałeś mi to, żeby mnie pogrążyć. – Nie mogła się powstrzymać.

– Tak, bo tylko o tym myślałem w czasie naszych ostatnich wspólnych chwil. Jak zamienić życie mojej żony w piekło.

– To była tortura! – wykrzyknęła.

– Mówiłem ci, żebyś była cicho.

– Gdybyś rzeczywiście chciał, żebym uważała cię za martwego, nie powiedziałbyś nic. Nie poprosiłbyś Sayersa, żeby wsunął mi do plecaka ten cholerny medal. Wiedziałeś, że jeśli znajdę choć najmniejszy znak, że żyjesz, nie będę w stanie ułożyć sobie życia. Wystarczyło tylko jedno słowo. Orbeli.

– Chciałaś usłyszeć jedno słowo, to usłyszałaś. Nie można mieć wszystkiego, Tatiano.

– Mieliśmy sobie mówić tylko prawdę, a ty zakończyłeś nasze życie największym kłamstwem. Przez ciebie codziennie płonęłam na stosie. Twoje życie, twoja śmierć codziennie podsycały płomienie. Nie mogłam się od tego uwolnić. Wiedziałeś, że tak będzie.

Zatrzymali się na chwilę. Tatiana próbowała opanować drżenie.

– Jeździec ścigał mnie we dnie i w nocy, codziennie, a ty mówisz mi teraz, że nie powinnam była po ciebie wracać? – pochyliła się, chwyciła go za ramiona i mocno potrząsnęła. Nie protestował, nie bronił się, lecz po chwili lekko ją odepchnął.

– Zdejmij mi ubranie – powiedział. – Połóż się koło mnie i szarp moje ciało zębami, jak w twoim śnie. Zjedz mnie żywcem po kawałku.

– O mój Boże, Aleksandrze – szepnęła i osunęła się na ziemię.

Siedzieli pod drzewem, po obu stronach pnia. Tatiana zakryła twarz dłońmi i położyła się na ziemi. Aleksander siedział obok niej, otoczony bronią.

Minęło parę godzin. Nagle usłyszała jego głos.

– Tatiano – szepnął i nie musiał już mówić nic więcej, bo ona też ich usłyszała. Zbliżali się. Tym razem warkot silników, krzyki i szczekanie psów nie rozlegały się gdzieś daleko na horyzoncie. Psy szczekały u stóp wzgórza.

Już miała się zerwać na równe nogi, gdy Aleksander mocno ją przytrzymał. Nie powiedział ani słowa, tylko przyciskał ją do ziemi.

– Co robisz? – szepnęła. – Dlaczego siedzisz? Biegnijmy! W jednej chwili znajdziemy się u stóp wzgórza.

– A oni w jednej chwili będą na szczycie. Ile razy mam ci to powtarzać?

– Wstawaj! Pobiegniemy i...

– Dokąd? Dookoła są tylko wzgórza i pola. Myślisz, że jesteś szybsza od psów?

Nadal przyciskał ją mocno do ziemi.

– Myślisz, że psy nas wyczują?

– Tak, bez względu na to, gdzie się znajdziemy.

Spojrzała w dół wzgórza. Nie widziała ich, ale słyszała szczekanie podnieconych psów i krzyki uciszających je po rosyjsku ludzi. Wiedziała, że psy szarpią się, bo wyczuły swoje ofiary.

– Wejdź do rowu, Szura – powiedziała. – Ja wejdę na drzewo.

– Lepiej się przywiąż. Jeśli rzucą bombę dymną, nie zdołasz się utrzymać.

– Idź. I daj mi lornetkę. Powiem ci, ilu ich jest. – Puścił ją i zerwali się z ziemi. – Daj mi też pistolet. – Zawiesiła głos. – Nie mamy wyjścia, musimy zastrzelić psy. Bez psów nie będą wiedzieli, gdzie jesteśmy.

Aleksander nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Myślisz, że się nie zorientują, widząc u stóp wzgórza dwa martwe zwierzęta?

Nie odpowiedziała mu uśmiechem.

– Daj mi też granaty. Może uda mi się rzucić.

– Ja to zrobię. Nie chcę, żebyś za szybko wyciągnęła zawleczkę. Kiedy wystrzelisz z pistoletu, uważaj na odrzut. Z P-38 nie jest tak źle, ale mimo wszystko trochę szarpnie. I załaduj go w wolnej chwili.

Skinęła głową.

– Nie pozwól nikomu zbliżyć się za bardzo do drzewa. Jeśli będą daleko, łatwiej spudłują. – Podał jej broń, sznur, wszystkie dziewięciomilimetrowe naboje w płóciennym worku i popchnął ją do przodu. – Idź – powiedział – i za nic nie schodź na dół.

– Nie bądź głupi – odparła. – Zejdę, jeśli będę potrzebna na dole.

– Nie. Zejdziesz, kiedy ci powiem. Nie mogę się martwić, gdzie jesteś i co robisz.

– Szura...

Była taka malutka.

– Zejdziesz, kiedy ci każę. Zrozumiałaś?

– Tak – odparła cicho. Wsunęła pistolet za pasek spodni i podniosła ręce. Gałąź była jednak za wysoko. Aleksander podniósł ją, chwyciła konar i wspięła się na drzewo. Aleksander podbiegł do rowu, zebrał wszystkie pistolety i magazynki, wsunął pas z nabojami do karabinu, który ustawił na stojaku, resztę owinął wokół siebie i ułożył się na ziemi. Przy boku miał pepeszę ze stu pięćdziesięcioma nabojami.

Tatiana wspięła się jak najwyżej. Niewiele jednak widziała przez gąszcz liści na lipie. Złamała kilka drobnych gałęzi i usadowiła się na najgrubszej blisko pnia. W dole widziała niewielkie sylwetki żołnierzy. Szli rozrzuceni, kilka metrów od siebie.

– Ilu? – krzyknął Aleksander.

Spojrzała przez lornetkę.

– Chyba dwudziestu. – Serce waliło jej jak oszalałe. Co najmniej dwudziestu, chciała dodać, ale nie zrobiła tego. Nie widziała psów. Dostrzegła jednak prowadzących ich żołnierzy, bo poruszali się szybciej od reszty, zrywami, jakby ciągnięci przez potężne zwierzęta.

– Jak daleko?

Nie potrafiła określić. Byli jeszcze na dole. Aleksander potrafiłby oszacować odległość, pomyślała, ale nie może przecież jednocześnie ich obserwować i strzelać. Python ma celownik, może uda mu się przynajmniej dojrzeć psy?

– Szura, widzisz psy?

Czekała na jego odpowiedź. Widziała, że bierze do ręki pythona, celuje, a potem rozległy się dwa wystrzały i szczekanie ucichło.

– Tak – powiedział.

Tatiana spojrzała przez lornetkę. Żołnierze zaczęli się rozbiegać.

– Idą! – krzyknęła.

Aleksandrowi nie trzeba było jednak tego mówić. Zerwał się i otworzył ogień z karabinu maszynowego. Przez długą chwilę Tatiana słyszała tylko

kanonadę. Kiedy przestał strzelać, powietrze przeciął gwizd i jakieś sto metrów pod nimi wybuchnął granat. Następny już pięćdziesiąt metrów od nich. Kolejny dwadzieścia pięć.

– Gdzie, Taniu?! – krzyknął Aleksander z karabinem opartym o ramię.

Spoglądała przez lornetkę. Wzrok jednak płatał jej figle. Miała wrażenie, że żołnierze w ciemnych mundurach czołgają się po trawie, zbliżają się coraz bardziej. Czołgają się czy wiją w agonii?

Kilku z nich wstało.

– Dwóch na szóstej, trzech na jedenastej! – krzyknęła. Aleksander znów otworzył ogień. Nagle przestał strzelać i zrzucił karabin z ramienia. Co się stało? Kiedy zobaczyła, że bierze do ręki pepeszę, domyśliła się, że zabrakło mu amunicji. W pepeszy było jednak tylko pół magazynka, może trzydzieści pięć naboi. Po paru sekundach nie było już po nich ani śladu. Aleksander chwycił colta, wystrzelił osiem razy. Dwie sekundy przerwy i znów osiem strzałów. Dwie sekundy przerwy. Rytm wojny, pomyślała Tatiana, marząc tylko o tym, by móc zamknąć oczy. Na jedenastej nagle pojawiło się pięciu żołnierzy, na pierwszej jeszcze czterech. Aleksander, skulony na ziemi, nie przestawał strzelać. Przerywał ogień tylko na dwie sekundy, by załadować broń.

Żołnierze na dole strzelali trochę na oślep, ale mimo wszystko w ich kierunku. Spojrzała raz jeszcze. Przy każdej serii z karabinu widać było ogień. Dzięki temu łatwiej było ich dostrzec. Nie uszło to uwagi Aleksandra. Tatiana uświadomiła sobie, że strzelając, też jest dla nich widoczny, więc wrzasnęła, by lepiej się schował. Leżał na brzuchu w rowie.

Jeden żołnierz wspinał się na wzgórze. Znajdował się już jakieś sto metrów od nich, na wprost drzewa.

Zobaczyła, że coś rzuca. W powietrzu rozległ się najpierw gwizd, pocisk wylądował obok Aleksandra i wybuchnął. Otaczające kryjówkę krzaki i trwa natychmiast stanęły w płomieniach. Aleksander wyrwał zawleczki z dwóch granatów i rzucił je na oślep przed siebie. W kłębach dymu nie widział, gdzie są żołnierze.

Tatiana widziała. Odbezpieczyła pistolet, wymierzyła go w majaczący przed nią kształt i bez chwili zastanowienia wypaliła. Odrzuciło ją do tyłu, ale gorszy okazał się huk wystrzału, bo nic nie słyszała. Krzaki i trawa otaczające rów Aleksandra nadal płonęły.

Aleksandrze? Zdawało się jej, że szepnęła, ale nic nie słyszała. Spojrzała przez lornetkę. Robiło się coraz jaśniej, leżące na ziemi kształty nie poruszały się. Wystrzeliła jeszcze parę razy. Nie strzelali już z moździerzy, lecz z dołu dobiegały sporadyczne serie z broni maszynowej. Celowali w stronę kryjówki Aleksandra. Tatiana odnalazła ich za krzakami, mniej więcej w połowie wzgórza. Wymierzyła ponownie, nie mając jednak pewności, czy pociski dolecą do oddalonego o dwieście metrów celu. Strzeliła. Żałowała, że nic nie słyszy. Załadowała broń sześć razy.

Aleksander nie przerywał ognia. Krzaki mogły się zapalić od wystrzałów z jego broni. Tatiana nie była już niczego pewna. Mierzyła w dół wzgórza, zamykała oczy i strzelała. Ładowała broń i strzelała, aż skończyła się amunicja.

A potem zapadła cisza.

Otworzyła oczy.

– Uważaj z tyłu! – wrzasnęła, a Aleksander wyskoczył z rowu niemal w tej samej chwili, gdy czający się za nim żołnierz wystrzelił. Aleksander wytrącił mu broń z ręki, kopnął go w nogi i pociągnął za sobą na ziemię. Żołnierz wyszarpnął z buta nóż. Widząc to, Tatiana o mało nie spadła z drzewa. Szybko rozplątała przytrzymujący ją sznur, zsunęła się na ziemię i pobiegła w stronę dwóch walczących mężczyzn. Przestańcie, przestańcie, krzyczała, wymachując bronią. Wiedziała, że nie ma już ani jednego pocisku. Przestańcie, krzyczała, lecz skoro sama nic nie słyszała, to jak oni mogli ją usłyszeć? Żołnierz próbował wbić nóż w pierś Aleksandra, który ostatkiem sił trzymał go za nadgarstek.

Podbiegła i z całych sił uderzyła żołnierza kolbą pistoletu w głowę. Skulił się, lecz nie puścił Aleksandra. Palce nadal zaciskał mocno na rękojeści noża, którego ostrze zbliżało się niebezpiecznie do piersi Aleksandra. Krzycząc ochryple, Tatiana uderzyła go jeszcze raz. Nie miała jednak dość

siły, więc zadawała mu jeden cios po drugim. Aleksander chwycił go wreszcie za szyję, przekręcił mocno głowę i ciało mężczyzny zwisło bezwładnie. Aleksander zrzucił go z siebie i zerwał się na równe nogi. Cały zakrwawiony, mówił coś do niej, ale nie słyszała ani słowa. Gestem kazał się jej cofnąć. Tatiana rzuciła broń na ziemię i zrobiła parę kroków do tyłu. Aleksander podniósł pistolet, wymierzył w żołnierza i pociągnął za spust, ale nie rozległ się huk wystrzału.

Pistolet jest pusty, chciała powiedzieć, ale on już to wiedział. Chwycił pythona, w którym było jeszcze kilka naboi i wymierzył w żołnierza. Nie strzelił jednak. Mężczyzna miał złamany kark. Aleksander rzucił broń na ziemię, podszedł do Tatiany i mocno ją przytulił.

Oboje ciężko dyszeli. Aleksander był czarny, z ramienia, głowy, piersi płynęła mu krew.

Coś do niej powiedział.

– Co?! – krzyknęła.

Pochylił się.

– Dobra robota, Taniu! – krzyknął jej prosto do ucha. – Ale wydawało mi się, że wyraziłem się jasno: nie schodź z drzewa, dopóki ci nie każę.

Spojrzała na niego, by sprawdzić, czy żartuje.

Ścisnął ją za ramię.

– Musimy iść. Zostały nam tylko dwa magazynki do rewolweru.

– Zabiłeś ich wszystkich? – Wydawało się jej, że tylko porusza ustami.

– Przestań krzyczeć. Na pewno nie. Ale to i tak nie ma znaczenia. Zaraz przyślą tu stu żołnierzy i to znacznie lepiej uzbrojonych. Biegnijmy.

– Poczekaj, jesteś ranny…

Zakrył jej usta dłonią.

– Przestań krzyczeć – powiedział. – Za chwilę odzyskasz słuch. Teraz bądź cicho i chodź za mną.

Pokazała palcem na zakrwawioną pierś. Wzruszył ramionami i przykucnął. Rozdarła rękaw koszuli. W ramieniu tkwiły odłamki pocisku. Wyjęła mniejsze z nich, lecz jeden wbił się mocno w mięsień.

– Szura, spójrz tylko.

Pochylił się w jej stronę.

– Chwyć go mocno palcami i pociągnij.

Zrobiła, co jej kazał. O mało nie zemdlała na myśl o tym, jak straszliwie musiało go to boleć. Ale on skrzywił się tylko. Przemyła rany i zabandażowała. Zajęło jej to dwie minuty.

– A twoja twarz?

Zauważyła, że rana na głowie znów się otworzyła.

– Później się nią zajmiesz. Idziemy.

Przytulił ją do siebie. Czuła, że ma twarz umazaną jego krwią. Nie wytarła jej.

Aleksander zostawił bezużyteczny już karabin. Wziął tylko pistolety i plecak. Tatiana chwyciła apteczkę i zbiegli w dół wzgórza.

Biegli po obrzeżach pól, pod rzędami drzew i wzdłuż kamiennych murów. Szli i czołgali się przez następne dwie, trzy godziny. Wokoło było coraz mniej zabudowań gospodarskich, wreszcie pojawiły się ulice i biała tablica przybita do trzypiętrowego, uszkodzonego przez bomby budynku. Napis na niej głosił: „WEJŚCIE DO SEKTORA BRYTYJSKIEGO".

Tatiana odzyskała już słuch. Chwyciła Aleksandra za zdrowe ramię, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Jesteśmy prawie na miejscu.

Nie odpowiedział.

Po kilkunastu metrach wiedziała już dlaczego. Berlin nie był opuszczony. Po ulicach jeździły dżipy i ciężarówki, a choć wiele z nich należało do Królewskich Sił Zbrojnych, to jednak nie wszystkie. W pewnej chwili minęła ich jedna z nich, z wymalowanym z boku sierpem i młotem. Aleksander wciągnął Tatianę do bramy.

– Jak daleko jest stąd do amerykańskiego sektora? – spytał ochryple.

– Nie wiem. Ale mam plan Berlina.

Okazało się, że mają do przebycia jeszcze pięć kilometrów. Zajęło im to cały dzień. Biegli od budynku do budynku, zatrzymywali się w bramach, przejściach i czekali, by ruszyć dalej.

Kiedy dotarli do sektora amerykańskiego, była czwarta po południu. O wpół do piątej znaleźli ambasadę przy Clayallee. Nie mogli jednak do niej wejść, bo przy bramie stały zaparkowane cztery dżipy z sierpami i młotami.

Tym razem to Tatiana wciągnęła Aleksandra do bramy. Usiedli pod schodami i ciężko dyszeli.

– Może nie czekają na nas – powiedziała z nadzieją w głosie. – To chyba standardowa procedura.

– Na pewno. Nie sądzisz, że kazano im wypatrywać mężczyzny mojego wzrostu i drobnej kobiety?

– Nie, raczej nie – odparła z cieniem powątpiewania w głosie.

– No to idziemy – zaczął się powoli podnosić z ziemi.

Zatrzymała go.

– O czym myślisz, Taniu?

– Jestem obywatelką amerykańską. Mam prawo wejść do ambasady.

– Tak, ale zatrzymają cię, zanim zdążysz z tego prawa skorzystać.

– Musimy coś wymyślić.

Aleksander milczał. Spojrzała na niego. Nie był już tak spięty. Wyglądało na to, że się poddał.

Wyciągnęła rękę i pogładziła go po twarzy.

– Hej – powiedziała. – Zbieraj się. To jeszcze nie koniec walki, żołnierzu. – Pociągnęła go za ramię. – Idziemy.

– Dokąd?

– Do domu gubernatora wojskowego. To niedaleko stąd.

Kiedy dotarli do siedziby amerykańskiego dowództwa, Tatiana ukryła się w budynku po drugiej stronie ulicy, zdjęła oliwkowe ubranie i założyła brudny pielęgniarski uniform. Skinęła na Aleksandra, by ruszył za nią w stronę pilnie strzeżonego wejścia. W pobliżu nie było widać żadnych radzieckich ciężarówek.

– Poczekam tutaj. Idź sama. Przyjdziesz potem po mnie – powiedział Aleksander.

Wzięła go za rękę.

– Nigdzie cię nie zostawię – odparła. – Idziemy. Zostaw tylko broń.

– Nie ruszę się bez broni.

– Nie mamy amunicji! Poza tym idziemy do domu gubernatora wojskowego. Kto cię tam wpuści uzbrojonego po zęby? Przynajmniej ją schowaj.

Zostawili w bramie pistolet maszynowy – był za duży. Resztę schowali do plecaka i podeszli do bramy. Tatiana zapytała wartownika, czy może się zobaczyć z gubernatorem Markiem Bishopem.

– Proszę mu powiedzieć, że przyszła siostra Jane Barrington.

Aleksander spojrzał na nią podejrzliwie.

– Nie Tatiana Barrington?

– W oryginalnych dokumentach Czerwonego Krzyża figuruje imię Jane – odparła. – Poza tym Tatiana brzmi zbyt rosyjsko.

Patrzyli na siebie przez chwilę.

– Bo to jest rosyjskie imię – powiedział cicho Aleksander.

Do bramy podszedł Mark Bishop. Spojrzał najpierw na Tatianę, potem na Aleksandra.

– Wejdźcie, proszę.

Kiedy przechodzili przez bramę, pokręcił głową.

– Siostro, niezłe pani wywołała zamieszanie.

– Gubernatorze, to mój mąż, Aleksander Barrington – odezwała się Tatiana po angielsku.

– Rozumiem – odparł Bishop i zamilkł na długą chwilę. – Jest ranny?

– Tak.

– A pani?

– Nie. Gubernatorze, czy jeden z pańskich ludzi mógłby nas podwieźć do ambasady? Musimy się zobaczyć z konsulem, Johnem Ravenstockiem. Czeka na nas.

– Na pewno?

– Tak.

– Na pani męża też?

– Tak. Mój mąż jest obywatelem amerykańskim.

– Doprawdy? A gdzie są jego dokumenty?

Tatiana spojrzała na niego przeciągle.

– Gubernatorze – powiedziała – proszę pozwolić, by wszystkim zajął się konsulat. Nie ma sensu mieszać w to także pana. Będę bardzo wdzięczna za transport. Tylko tyle.

Bishop przywołał dwóch pełniących służbę szeregowych.

– Chce pani dżipa, siostro czy...

– Najlepsza będzie zakryta ciężarówka.

– Oczywiście.

Spytała Bishopa, czy doktor Flanagan i siostra Davenport dotarli do amerykańskiego sektora.

– Z dużymi problemami, ale dwa dni temu udało się nam ich tutaj ściągnąć. Nie muszę chyba dodawać, że są na panią wściekli, łagodnie rzecz ujmując.

– Rozumiem. Bardzo mi przykro. Cieszę się, że wrócili bezpiecznie.

– Przeprosiny należą się nie mnie, ale im.

Dwaj szeregowcy zawieźli Tatianę i Aleksandra do ambasady. Siedzieli przytuleni do siebie z tyłu ciężarówki. Nie odzywali się ani słowem. Tatiana próbowała wytrzeć ze skroni Aleksandra zakrzepłą krew. Odsunął głowę.

Kiedy otworzyły się drzwi, byli już na amerykańskiej ziemi.

– Wszystko będzie dobrze, Szura – szepnęła, zanim wysiedli. – Zobaczysz.

Z budynku ambasady na brukowany dziedziniec wyszedł ubrany w smoking John Ravenstock. Nie powitał ich uśmiechem. Albo był z natury poważnym człowiekiem, albo też bał się wykonać jakikolwiek gest, który można by potraktować jako ciepły.

– Panie konsulu, Sam Gulotta z Waszyngtonu kazał nam się z panem skontaktować.

– Proszę mi wierzyć, że przez ostatnie trzy dni odebrałem sporo różnych wiadomości, w tym również od Sama – westchnął ciężko. – Siostro, proszę iść ze mną. Pani mąż zaczeka tutaj. Potrzebuje lekarza?

– Później – odparła Tatiana, biorąc Aleksandra za rękę. – Teraz musi tylko wejść z nami do środka. Jeśli pan sobie tego życzy, porozmawiamy na osobności. Mój mąż może poczekać na korytarzu, ale musi wejść do środka. Albo porozmawiamy teraz przy nim.

Ravenstock pokręcił głową.

– Jest szósta wieczorem. Kończę pracę o czwartej. Idę dziś wieczór na przyjęcie. Czeka na mnie żona.

– Mój mąż też czeka – powiedziała cicho Tatiana.

– Tak, tak. Pani mąż. Ale skończyłem już pracę. Proszę wejść, lecz ostrzegam, że w tej chwili nie mogę się zająć waszą sprawą jak należy. Spóźnię się straszliwie.

Weszli do ambasady i ruszyli szerokimi schodami na drugie piętro, prosto do wykładanego boazerią gabinetu Ravenstocka. Konsul wezwał wartownika, by pilnował siedzącego w poczekalni Aleksandra, i gestem zaprosił Tatianę do środka. Odwróciła się i spojrzała na Aleksandra. Nie chciała zostawiać go samego, ale byli przecież w ambasadzie amerykańskiej. Przecież bezpieczniej zostawić go tutaj niż w zbombardowanym budynku w okupowanym przez Rosjan Berlinie. Aleksander wyjął już zapalniczkę i poprosił wartownika o papierosa.

– Proszę nie siadać, nie mamy na to czasu – powiedział Ravenstock, zamykając drzwi. Był wysokim, siwiejącym mężczyzną po pięćdziesiątce, z długimi siwymi wąsami i krzaczastymi brwiami, które zasłaniały mu oczy.

Tatiana stała na środku pokoju.

– Czy ma pani pojęcie, co pani narobiła? – spytał podniesionym głosem. – Chyba tak. Siostro Barrington, znalazła się pani w Berlinie, w Niemczech na wyjątkowych prawach. Wykorzystanie uniformu pielęgniarki Czerwonego Krzyża i rozgniewanie naszych niedawnych sojuszników to głupota. Czysta głupota. Ale nie mam teraz czasu, by się w to zagłębiać.

– Biuro imigracyjne w Stanach Zjednoczonych poprze starania o wydanie paszportu dla mojego męża...

– Paszportu! Tak, Sam Gulotta kontaktował się ze mną w tej sprawie. Proszę zapomnieć o paszporcie. Stoimy w obliczu wielkiego dylematu, chyba zdaje sobie pani sprawę. To bardzo poważna sytuacja.

– Wiem…

– Nie, chyba pani nie wie. Dowódca garnizonu berlińskiego, radzieckie dowództwo w Niemczech, co tam, nawet Wydział Bezpieczeństwa Narodowego w Moskwie, wszyscy są tą sytuacją bardzo podenerwowani.

– Dowódca berlińskiego garnizonu? – spytała zaskoczona Tatiana. – Generał Stiepanow jest podenerwowany?

– Nie, nie on. Dwa dni temu został odwołany i na jego miejsce przysłali człowieka z Moskwy, jakiegoś weterana, generała Rymakowa.

Tatiana zbladła.

– Wszyscy żądają waszej krwi. – Konsul zawiesił głos. – Chcą dostać was oboje! Pani mąż złamał każde cywilne i wojskowe prawo, jakie mają zapisane w kodeksie. Utrzymują, że jest obywatelem radzieckim, majorem ich armii. Najpierw oskarżyli go o zdradę, szpiegostwo, dezercję, antyradziecką agitację, a kiedy wyjaśniliśmy, że nie przebywa w naszych rękach, oskarżyli go, że jest amerykańskim szpiegiem! Zapytaliśmy od razu, czy może być jednocześnie zdrajcą i szpiegiem? Poprosiliśmy, żeby się zdecydowali. Odmówili i wysunęli zarzuty także przeciwko pani. Od tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku znajduje się pani na liście wrogów klasowych. Nie tylko uciekła pani z kraju, lecz opuściła posterunek pielęgniarki Armii Czerwonej i aby wydostać się z Rosji, zabiła pani pięciu żołnierzy na granicy, w tym zasłużonego w walce porucznika. Powiedzieli mi też, że pani brat jest… – Ravenstock podrapał się w głowę. – Nie pamiętam już, jakiego słowa użyli. Najwyraźniej chodziło im o zdrajcę najgorszego rodzaju. Ale nie szpiega.

– Mój brat nie żyje – powiedziała Tatiana.

– Podsumowując, siostro, chcą, żebyśmy wydali was oboje jeszcze tutaj w Berlinie. Kiedy więc prosi pani o paszport, nie ma pani pojęcia, o czym pani mówi. A teraz naprawdę muszę już iść. Jest piętnaście po szóstej.

Tatiana usiadła na krześle stojącym przed biurkiem.

– Proszę nie siadać!

– Panie konsulu – zaczęła – w Stanach mamy małego synka. Jestem teraz obywatelką amerykańską. Mój mąż też jest Amerykaninem, przyjechał do Rosji z rodzicami jako mały chłopiec, musiał zarejestrować się w komisji rekrutacyjnej, nie miał innego wyjścia. Nic nie mógł poradzić na to, że jego rodzice zostali aresztowani i rozstrzelani przez NKWD. Mam panu przeczytać przepisy dotyczące obywatelstwa?

– Nie, dziękuję. Znam je na pamięć.

– Mój mąż jest obywatelem amerykańskim. Chce tylko wrócić do domu.

– Rozumiem doskonale, że tego chce, ale czy pani rozumie, że na mocy radzieckiego prawa został skazany na dwadzieścia pięć lat ciężkich robót za dezercję i zdradę, i Bóg jeden wie za co jeszcze? A waszą sprawę dodatkowo pogarsza fakt, że nie tylko uciekł przed karą, co też jest przestępstwem, i pani mu w tym pomogła, również łamiąc prawo, ale razem zabiliście czterdziestu ludzi! Oni dyszą żądzą waszej krwi. – Spojrzał na zegarek i zdenerwowany rozwiązał muszkę. – Och, nie. Nawet pani nie wie, jak bardzo jestem już spóźniony.

– Panie konsulu – Tatiana nie ustępowała. – Bardzo potrzebujemy pańskiej pomocy.

– Oczywiście. Ale powinna pani o wszystkim pomyśleć, zanim podjęła się pani tej szaleńczej misji.

– Przyjechałam do Europy, by odnaleźć męża. On nigdy nie był Rosjaninem. W przeciwieństwie do mnie. Ja urodziłam się i wychowałam w Związku Radzieckim. – Przełknęła ślinę. – Ale to nie ma znaczenia. Tu nie chodzi wcale o mnie. Najważniejszy jest mój mąż. Jeśli pan z nim porozmawia, przekona się pan, że wiernie służył po stronie aliantów, że jest wspaniałym żołnierzem, który w pełni zasłużył na to, by wrócić do domu. Armia amerykańska byłaby dumna, mając w swoich szeregach takiego żołnierza. – Głos Tatiany nie zadrżał ani na chwilę. – Byłam obywatelką radziecką. Nie zabiłam tamtych żołnierzy na granicy fińskiej, ale uciekłam z kraju. W tej sprawie mają rację, a pan wszelkie prawo, by

wydać mnie w ręce władz radzieckich. Wrócę tam chętnie, jeśli będę wiedziała, że mój mąż bezpiecznie wróci do domu.

Już wypowiadając te słowa, wiedziała doskonale, że jej propozycja jest śmieszna i niedorzeczna. Aleksander nigdy nie pozwoli, by wydano ją Rosjanom, a jego samego wysłano do Stanów. Spuściła głowę, lecz nie mogła pokazać Ravenstockowi, jak bardzo się zmieszała. Podniosła wzrok.

Ravenstock przysiadł na brzegu biurka i bacznie ją obserwował. Na chwilę przestał się kręcić nerwowo, lecz nagle przypomniał sobie, jak bardzo się spieszy. Zaczął bawić się rozwiązaną muszką.

– Nie będziemy teraz osądzać naszych sojuszników. – Zamilkł na chwilę. – Ale Rosjanie są nieustępliwi i dążą do okupacji Europy. To prawda, że w rozmowach z aliantami nie chcą iść na żadne ustępstwa i źle traktują jeńców wojennych. Ale wy oboje złamaliście ich prawa i to kilkakrotnie.

– Jeńców wojennych? Wystarczy tylko przejść przez Obóz Specjalny Numer 7, by zobaczyć, jak traktują nie tylko Niemców, ale i własnych obywateli.

Ravenstock postukał nerwowo w tarczę zegarka.

– Siostro, bardzo chętnie posiedziałbym tu z panią i porozmawiał o zasługach i wadach Związku Radzieckiego, ale jestem straszliwie spóźniony. Muszę jakoś rozwiązać tę sprawę, ale, niestety, mogę to zrobić dopiero jutro.

– Proszę przesłać depeszę do Sama Gulotty – powiedziała Tatiana. – Przekaże panu wszystkie informacje dotyczące Aleksandra Barringtona.

Ravenstock podniósł grubą teczkę leżącą na biurku.

– Mam już wszystkie potrzebne informacje. Jutro, punktualnie o ósmej rano porozmawiamy z pani mężem.

– Porozmawiamy? – szepnęła.

– Tak. Będę tam ja, gubernator wojskowy i trzech generałów sił zbrojnych stacjonujących w Berlinie. Kiedy już zostanie przesłuchany, podejmiemy decyzję, co z nim zrobić. Proszę jednak pamiętać, że wojsko traktuje swoje sprawy bardzo zasadniczo, obojętnie, czy dotyczą żołnierzy

własnej armii, czy też nie. Dezercja i zdrada to bardzo poważne oskarżenia.

– A co ze mną? Mnie też przesłuchacie?

Ravenstock potarł koniuszek nosa i pokręcił głową.

– To raczej nie będzie konieczne. A teraz proszę wstać i zająć się swoim mężem.

Otworzył drzwi gabinetu. Aleksander siedział na ławce i palił papierosa.

– Jutro zostanie pan przesłuchany – powiedział, podchodząc do niego Ravenstock. – Jaki ma pan teraz stopień? – zapytał po angielsku.

– Kapitan – odparł po angielsku Aleksander.

Ravenstock pokręcił głową.

– Twierdzi pan, że jest kapitanem, oni powiedzieli nam, że majorem, pańska żona utrzymuje, że pozbawiono pana stopnia. Nic już nie rozumiem. Jutro o ósmej, kapitanie Biełow. – Spojrzał na niego uważnie. – Możecie zjeść kolację w stołówce albo przyniosą wam jedzenie do pokoju.

– Zjemy w pokoju – powiedział Aleksander.

– Dobrze. – Spojrzał na podarte i brudne ubranie Aleksandra. – Ma pan coś innego do ubrania?

– Nie.

– Jutro o siódmej przyniosą panu mundur. Za pięć ósma przyjdzie po pana wartownik i zaprowadzi pana do sali konferencyjnej.

– Będę gotowy.

– Na pewno nikt nie powinien obejrzeć pana głowy i ramienia?

– Dziękuję. Mam już opiekę.

Ravenstock skinął głową.

– Do zobaczenia jutro rano. Wartownik, proszę ich odprowadzić na szóste piętro. Niech służba przygotuje dla państwa pokój i przyniesie kolację. Na pewno umieracie z głodu.

Przydzielono im duży pokój z drewnianą podłogą, dywanami, trzema dużymi oknami i wysokim sufitem. Stały tam wygodne fotele, stół, pokój miał nawet osobną łazienkę. Aleksander rzucił rzeczy na ziemię i usiadł

w fotelu. Tatiana przez kilka chwil chodziła po pokoju, oglądając obrazy, dywany, zdobione ściany. Patrzyła na wszystko, tylko nie na Aleksandra.

– No i co? Rosjanie wpadli w szał? – spytał w końcu.

– Sam wiesz – odparła, nie odwracając się.

– Hmmm. Wyobrażam sobie.

– Odwołali Stiepanowa i przysłali na jego miejsce kogoś innego.

Ręce Aleksandra zadrżały lekko.

– Kiedy przyjechał do mnie w lutym, dziwił się, że udało mu się przetrwać tu tak długo. Po wojnie generałowie nie mają lekkiego życia w armii radzieckiej. Zbyt wiele nieudanych kampanii, zbyt wiele ofiar, zbyt wiele win, które trzeba zrzucić na czyjeś barki.

– Skąd wiedział, że tam jesteś?

– Zauważył moje nazwisko w rejestrach Obozu Specjalnego.

– Mnie nie pozwolili ich przejrzeć.

– Nie jesteś dowódcą radzieckiego garnizonu w Berlinie.

Usiadła na parapecie i ukryła twarz w dłoniach.

– Co się dzieje? – spytała. – Myślałam, że najgorsze już za nami. Myślałam, że teraz pójdzie jak z płatka.

– Jak z płatka! – wykrzyknął Aleksander. – Czy coś kiedykolwiek poszło nam jak z płatka? Myślałaś, że kiedy staniemy na amerykańskiej ziemi, powitają nas z fanfarami?

– Nie, ale myślałam, że kiedy już wyjaśnię wszystko Ravenstockowi…

– Może jeszcze nie wie, jak wielką masz siłę perswazji. To konsul, dyplomata. Wykonuje tylko rozkazy i musi robić to, co najlepsze dla stosunków między dwoma państwami.

– Sam kazał mi zwrócić się do niego z prośbą o pomoc. Nie zrobiłby tego…

– Sam, Sam! Kto to taki? Dlaczego sądzisz, że NKGB grzecznie go wysłucha?

Tatiana zaczęła nerwowo wykręcać palce.

– Wiedziałam – powiedziała. – Niepotrzebnie tu przyszliśmy! Powinniśmy uciec na północ, gdzie się nas nie spodziewali. Mogliśmy

wsiąść na statek handlowy płynący do Szwecji. Tam na pewno udzieliliby nam azylu.

– Po raz pierwszy słyszę o tym planie, Taniu.

– Nie mieliśmy czasu, by wszystko dokładnie przemyśleć. Berlin! Czy ciągnęłabym cię tutaj, gdybym miała choć cień wątpliwości, że nie zechcą nam pomóc?

Rozległo się pukanie do drzwi. Spojrzeli na siebie. Aleksander wstał z fotela, by otworzyć, lecz Tatiana wskazała mu drzwi łazienki.

– Nie wychodź stamtąd. Tak na wszelki wypadek.

W drzwiach stanęła pokojówka z kolacją i świeżymi ręcznikami.

– Ma pani papierosy? – spytała Tatiana łamiącym się głosem. – Zapłacę. Może znajdzie pani paczkę lub dwie?

Dziewczyna wróciła po chwili z trzema.

– Aleksandrze? Wszystko w porządku?

W łazience było cicho. Tatiana czekała na dziewczynę i nie zajrzała do środka. Nagle przyszło jej do głowy, że mógł się tam zranić. Podbiegła do drzwi i otworzyła je z tak wielką siłą, krzycząc przy tym: „ALEKSANDRZE!", że niemal zwaliła go z nóg.

– Co się z tobą dzieje? – spytał spokojnie. – Dlaczego krzyczysz?

– Ja... siedziałeś tam tak cicho, ja...

Wyjął jej z ręki papierosy.

– Zobacz, przynieśli nam jedzenie – powiedziała, wskazując tacę. – Steki. – próbowała się uśmiechnąć. – Kiedy ostatni raz jadłeś stek, Szura?

– Stek? A co to takiego? – On też próbował się uśmiechnąć.

Usiedli przy stole i przesuwali kawałki jedzenia po talerzach. Tatiana wypiła wodę. Aleksander też opróżnił szklankę i zapalił papierosa.

– Smaczne, prawda?

– Tak.

Siedzieli tak jeszcze przez chwilę, nie odzywając się ani słowem. Zapadł zmrok. Tatiana wstała, by zapalić światło.

– Zostaw – powiedział Aleksander.

Siedzieli w ciemnościach, które rozjaśniał tylko żarzący się koniuszek papierosa.

Nie odzywali się ani słowem, ale w pokoju nie panowała cisza. Całe ciało Tatiany wypełniał niemy krzyk i wiedziała, że Aleksander pali, by zagłuszyć własny. I jej.

– Świetnie się nauczyłaś mówić po angielsku – powiedział wreszcie.

– Miałam kiedyś bardzo dobrego nauczyciela – odparła i zaczęła płakać.

– Ciii – szepnął. Nie patrzył na nią, lecz na otwarte okno. – Rosyjski jakoś łatwiej nam przychodzi. Brzmi bardziej znajomo.

– Czuję niemal ból, gdy rozmawiamy po angielsku.

– Tak dobrze rozmawiać z tobą w tym języku.

Popatrzyli na siebie przez blat stołu.

– Boże – szepnęła. – Co my teraz zrobimy?

– Nic – odparł. – Jakoś przez to przebrniemy.

– Dlaczego chcą cię przesłuchać? O co im chodzi?

– Jak zawsze w sprawach wojskowych, muszą to załatwić po wojskowemu. Kiedy Rosjanie mnie skazali, pozbawili mnie stopnia, ale wiedzą doskonale, że w Berlinie nic nie osiągną, jeśli oświadczą, że człowiek szukający pomocy u Amerykanów jest cywilem. Gubernator nawet się nad tym nie będzie zastanawiał i sprawa trafi prosto do Ravenstocka. Rosjanie powołują się jednak na zdradę, dezercję. To bardzo poważne przestępstwa, zwłaszcza dla Amerykanów, i świetnie o tym wiedzą. Od trzech lat nie jestem już majorem, a jednak tak mnie tytułują, by jeszcze bardziej rozgniewać Amerykanów. Wszystko po to, by wywołać odpowiednią reakcję. Dlatego muszą mnie jutro przesłuchać.

– A co ty o tym myślisz? Co z tego wyniknie?

Nie odpowiedział. Cierpiała jeszcze bardziej, wyobrażając sobie najgorsze.

– Nie. Nie. Nie mogę… Nie potrafię… – podniosła głowę i wyprostowała ramiona. – To będą musieli wydać także mnie. Nie zostawię cię samego.

– Nie bądź śmieszna.

– Ja…

– Nie bądź śmieszna – powtórzył. Wstał, lecz nie podszedł do niej. – Ja nie… nie będę o tym rozmawiał nawet czysto teoretycznie.

– To nie jest teoretyczna rozmowa, Szura – zaprotestowała. – Oni chcą dostać także mnie. Rozmawiałam z Ravenstockiem, pamiętasz? Sam Stiepanow mi o tym powiedział. Jestem na liście wrogów klasowych. Chcą, żeby wydali nas oboje.

– Kurwa mać! – wykrzyknął. – Naprawdę to zrobiłaś? – Podszedł nagle to okna i wyjrzał na zewnątrz, jakby chciał ocenić odległość do ziemi. – Taniu, w przeciwieństwie do mnie, ty masz amerykański paszport.

– To tylko szczegół, Aleksandrze.

– Tak, bardzo ważny szczegół. I jesteś cywilem.

– Byłam pielęgniarką Armii Czerwonej, oddelegowaną do Czerwonego Krzyża.

– Nie wydadzą cię.

– Wydadzą.

– Nie. Jutro z nimi porozmawiam.

– Nie! Nie dość już rozmawiałeś? Z Matthew Sayersem, ze Stiepanowem, patrzyłeś mi prosto w oczy i kłamałeś. Nie wystarczy? A mimo to jestem tutaj. – Pokręciła głową. – Z nikim nie będziesz rozmawiał.

– Będę.

Wybuchnęła płaczem.

– A co się stało z „przeżyjemy razem lub razem zginiemy”?

– Kłamałem.

– Kłamałeś! Wcale mnie to nie dziwi! – zadrżała. – Powinnam była wiedzieć. Nigdzie cię stąd nie zabiorą. A jeśli tak, to pojadę na Kołymę razem z tobą.

– Nie wiesz, co mówisz.

– Wybrałeś mnie – powiedziała łamiącym się głosem – wtedy, w Leningradzie, bo byłam szczera i prostolinijna.

– A ty wybrałaś mnie – odparł Aleksander – bo wiedziałaś, że będę za wszelką cenę chronił to, co do mnie należy. Jak Orbeli.

– Boże święty, nie ruszę się stąd bez ciebie. Jeśli wrócisz do Związku Radzieckiego, pojadę tam z tobą.

– Taniu! – już nie wyglądał przez okno. Stał przed nią z pałającymi oczami. – O czym ty mówisz? Chcesz, żebym zaczął rwać włosy z głowy? Mówisz tak, jakbyś o wszystkim zapomniała.

– O niczym nie zapomniałam…

– Będą cię torturować, aż wyznasz im całą prawdę o mnie albo podpiszesz zeznanie, które ci podsuną. Podpiszesz, mnie rozstrzelają na miejscu, a ciebie wyślą na dziesięć lat na Kołymę za to, że wbrew przepisom państwa radzieckiego wyszłaś za mąż za szpiega i sabotażystę.

Uniosła ręce w górę.

– Już dobrze, Szura – powiedziała. – W porządku. – Widziała, że traci panowanie nad sobą.

Chwycił ją za ramiona i postawił przed sobą.

– Wiesz, co się z tobą stanie w obozie? A może myślisz, że to tylko kolejna przygoda? Mężczyźni rozbiorą cię do naga i wykąpią, a potem popędzą wąskim korytarzem pomiędzy rzędami dozorców, którzy zawsze wypatrują ładnych dziewczyn. Taką jak ty na pewno zauważą. Zaproponują ci dobrą pracę w więziennej kantynie lub pralni w zamian za świadczone im regularnie usługi. Ty na pewno odmówisz, a wtedy pobiją cię, zgwałcą i wyślą do rąbania drzewa, jak robią z wszystkimi kobietami od tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku.

– Proszę cię… – zaczęła się go bać.

– Będziesz ładować kłody na platformy, a kiedy skończysz, przestaniesz być kobietą, bo dźwigałaś ciężary, jakich kobietom nie wolno dźwigać. Nikt cię nie będzie potem chciał, nawet dozorcy, którzy biorą wszystkie z wyjątkiem tych z wyrębu, bo wszyscy wiedzą, że to uszkodzony towar.

Pobladła nagle i próbowała się wyswobodzić z jego uścisku.

– Kiedy już odbędziesz karę i w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku wrócisz do społeczeństwa, nie będziesz już kobietą. – Zawiesił głos, lecz nie puścił jej. – Będzie już po tobie, Taniu.

– Och. – Tylko tyle zdołała z siebie wydusić.

– A to wszystko bez naszego syna – ciągnął dalej Aleksander – bez chłopca, który, kiedy dorośnie, może zmienić świat i beze mnie. Wrócisz do swojego mieszkania przy Piątej Radzieckiej bez zębów, bez dziecka, męża, wyniszczona i złamana, gwałcona bez litości. Czy tego właśnie chcesz? Nie wiem, jak ułożyłaś sobie życie w Ameryce, ale powiedz mi, czy zdecydujesz się na coś takiego?

– Ty przeżyłeś – powiedziała z zaciętym wyrazem twarzy. – Mnie też się uda.

– Ty też przeżyłaś! – krzyknął. – W tym scenariuszu nie umarłaś, prawda? Chcesz usłyszeć o śmierci? O, to zupełnie inna sprawa. – Puścił ją i cofnął się o krok. – Bardzo proszę. Umrzesz z zimna i głodu. Leningrad cię nie zabił, ale Kołyma zrobi to z pewnością. Dziewięćdziesiąt procent zsyłanych tam mężczyzn umiera. Umrzesz po aborcji, którą sama wykonasz, w wyniku infekcji, zapalenia otrzewnej, pelagry, gruźlicy, która z pewnością cię zabije, albo zostaniesz pobita na śmierć po zbiorowym gwałcie. – Zawiesił głos. – Albo przed.

Zasłoniła uszy dłońmi.

– Szura, przestań – szepnęła.

Zadrżała. Przytulił ją i mocno objął ramionami. Choć oddychał bardzo ciężko, czuła się lepiej, będąc tak blisko niego.

– Taniu, ja przeżyłem, bo dzięki Bogu jestem silnym mężczyzną. Nikt nie mógł się do mnie zbliżyć, bo musiał wcześniej zginąć. Mogłem strzelać, walczyć i nie bałem się zabić nikogo, kto tylko się do mnie zbliżył. A ty? Co byś zrobiła? – Ujął ją pod brodę i uniósł twarz. – Spójrz tylko, jesteś o połowę mniejsza ode mnie. – Popchnął ją lekko. Opadła na stojące za nią łóżko. Usiadł obok niej. – Nie potrafisz się bronić, nawet przede mną, a ja kocham cię tak bardzo, jak tylko mężczyzna może kochać kobietę. – Pokręcił głową. – Tatiasza, tamten świat nie został stworzony dla kobiet takich jak ty i dlatego Bóg tam cię nie wysłał.

Pogładziła go po twarzy.

– A dlaczego miałby tam wysłać ciebie? – spytała z goryczą. – Ciebie, króla pośród ludzi?

Nie chciał już nic więcej mówić.

Ona chciała, ale nie mogła.

Poszedł się wykąpać, a Tatiana zwinęła się na fotelu przy oknie.

Kiedy wyszedł z łazienki owinięty w pasie ręcznikiem, spytał:

– Obejrzysz tę ranę na piersi? Chyba wdała się infekcja.

Miał rację. Znał się przecież na tych rzeczach. Siedział nieruchomo, gdy robiła mu zastrzyk z penicyliny i czyściła ranę.

– Muszę ją zaszyć – powiedziała, wyjmując z apteczki nici chirurgiczne. Przypomniała sobie nagle, że takimi właśnie nićmi przyszywała emblemat Czerwonego Krzyża do fińskiej ciężarówki, która wywiozła ją ze Związku Radzieckiego. Zachwiała się. Nie mogła wtedy ocalić Matthew Sayersa.

– Zostaw, już za późno.

– Nie, trzeba to zrobić. To powstrzyma infekcję i rana będzie się lepiej goić. – Jak mogła mówić to tak spokojnie?

Wyjęła strzykawkę, by znieczulić okolice rany. Aleksander wziął ją za rękę.

– Co to jest? – spytał i pokręcił głową. – Szyj, Taniu. Daj mi tylko najpierw papierosa.

Musiała mu założyć osiem szwów. Kiedy skończyła, pocałowała go w ranę.

– Bolało? – szepnęła.

– Nic nie czułem – odparł, zaciągając się głęboko papierosem.

Opatrzyła ranę i zabandażowała mu ramię aż do łokcia, jak też poparzoną od prochu dłoń. Cały czas płakała. Aleksander oddychał ciężko i wiedziała, że jemu też jest trudno być tak blisko i nie dotykać jej, zupełnie jak podczas blokady i w Łazariewie. Wiedziała, że nie potrafi jej dotknąć teraz, gdy byli tak blisko końca.

– Chcesz morfinę? – spytała, podnosząc wzrok.

– Nie. Będę nieprzytomny przez całą noc.

Odsunęła się o krok.

– Kąpiel była wspaniała – powiedział. – Białe ręczniki. Gorąca woda. Cudowne, tym bardziej że nieoczekiwane.

– Tak. W Ameryce jest wiele wygód.

Odwrócili się od siebie. Tatiana weszła do łazienki, by wziąć prysznic. Kiedy wyszła owinięta ręcznikiem, Aleksander już spał. Leżał na wznak, nagi pod kołdrą. Usiadła na krześle przy łóżku. Trzymając rękę na strzykawkach z morfiną, patrzyła, jak śpi.

Wiedziała, że nie może, że nie pozwoli wrócić mu do Rosji. Odda go Bogu, zanim Związek Radziecki zdąży zgłosić swe prawa.

Zostawiła apteczkę na fotelu i wsunęła się do łóżka. Przytuliła się do jego ciepłego ciała. Objęła go mocno i zaczęła płakać. Z potężnego niegdyś Aleksandra zostały tylko skóra i kości.

– Czy Anthony jest miłym chłopcem? – spytał nagle.

– Tak – odparła. – To wspaniałe dziecko.

– Jest podobny do ciebie?

– Nie, wygląda zupełnie jak ty.

– To źle – powiedział i odwrócił się do niej.

Leżeli nadzy, z twarzą przy twarzy.

Ich smutki, oddechy, dusze stopiły się w jedno, krwawiąc w mroku niespokojnej nocy.

– Ze mną czy beze mnie, żyłaś i będziesz zawsze żyła tak, jak sobie to zaplanowałaś – powiedział Aleksander.

– Bardzo się starałam ze względu na ciebie. A nawet jeszcze bardziej. Wyobrażałam sobie, czego mógłbyś pragnąć dla nas obojga, i robiłam to.

– Nie, to ja bardzo się starałem ze względu na ciebie – odparł. – Wszystko robiłem dla ciebie. Cały czas miałem cię przed oczami, żywiłem nadzieję, że cokolwiek uda mi się zrobić, ty będziesz zadowolona. Marzyłem, że skiniesz głową i powiesz: „Świetnie sobie poradziłeś, Aleksandrze, naprawdę świetnie".

Chwila milczenia.

Pohukiwanie sowy.

Szczekanie psów.

– Świetnie sobie poradziłeś, Aleksandrze.

Objął ją mocno ramionami i pocałował w czoło.

– Nigdy nie mieliśmy przed sobą przyszłości. Dziś w nocy też mamy tylko chwilę – szepnął. – W ciepłym, czystym łóżku.

– Pociesz mnie, mój najdroższy – szepnęła. – Bądź ze mną, proszę.

Gładził ją ręką po plecach.

– Wiesz, co trzymało mnie przy życiu w więzieniu i w batalionie? Co pozwoliło mi przetrwać? Ty. Myślałem, że skoro uciekłaś z Rosji, przedarłaś się przez Finlandię, a przecież byłaś w ciąży i opiekowałaś się umierającym lekarzem, i miałaś tylko siebie, to mnie też uda się przeżyć. Jeśli zdołałaś przeżyć w Leningradzie, jeśli miałaś dość sił, żeby wstawać co rano i schodzić po oblodzonych schodach, by przynieść rodzinie chleb i wodę, to byłem pewny, że mnie też się uda. Jeśli ty przetrwałaś tamto, to ja na pewno przeżyję to.

– Nie wiesz, jak ciężko mi było przez pierwsze lata. Nie uwierzyłbyś, gdybym ci opowiedziała.

– Miałaś mojego syna. Ja miałem tylko ciebie i wspomnienia. Wracałem myślą do naszych spacerów po Leningradzie, do przeprawy przez jezioro Ładoga, przypominałem sobie, jak opatrywałaś mi plecy, jak ocaliłaś życie. Byłem głodny, a ty mnie karmiłaś. Nie miałem nic oprócz Łazariewa. – Nagle głos mu się załamał. – I twoją nieśmiertelną krew. Tatiano, ty byłaś moją jedyną siłą. Nie masz pojęcia, jak bardzo pragnąłem wrócić do ciebie. Poddałem się Niemcom dla ciebie. Dla ciebie strzelałem do ludzi i walczyłem, dla ciebie dopuszczałem się zdrady i prowadziłem ludzi na pewną śmierć. Tak bardzo chciałem znów cię zobaczyć. To, że wróciłaś po mnie, jest dla mnie wszystkim, Taniu. Nie rozumiesz? Reszta nie ma żadnego znaczenia. Niemcy, Kołyma, Dmitrij, Mikołaj Uspieński, Związek Radziecki to nic. Zapomnij o tym, na zawsze. Słyszysz?

– Tak – szepnęła.

Idziemy przez ten świat samotnie, ale jeśli mamy szczęście, to przez jedną chwilę należymy do kogoś i ta jedna chwila pozwala nam przetrwać całe wypełnione samotnością życie.

Przez jedną minutę znów go dotykała. Skrzydła urosły jej u ramion i znów była młoda w Ogrodzie Letnim. Szła obok niego pełna nadziei na

całą spędzaną razem wieczność.

---

11 Biblia Tysiąclecia, Księga Przysłów.

12 Biblia Tysiąclecia, Pieśń nad Pieśniami.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Berlin, czerwiec 1946

Następnego ranka obudzili się o szóstej. O siódmej pokojówka przyniosła im śniadanie i amerykański mundur dla Aleksandra. Wyprała też uniform Tatiany.

Aleksander zjadł grzankę, wypił kawę i wypalił sześć papierosów. Tatiana zjadła grzankę i wypiła kawę, ale natychmiast wszystko zwróciła w łazience.

Za pięć ósma dwóch uzbrojonych wartowników odprowadziło Aleksandra i Tatianę na trzecie piętro. Siedzieli, milcząc, w poczekalni.

O ósmej drzwi otworzyły się i stanął w nich John Ravenstock.

– Dzień dobry. Znacznie lepiej w czystych ubraniach, prawda?

– Zwłaszcza w amerykańskich – odparł Aleksander, wstając.

– Ach tak. Oczywiście. Proszę za mną. – Spojrzał na Tatianę. – Siostro, może pani poczekać w swoim pokoju. To zajmie parę godzin.

– Poczekam tutaj.

– Bardzo proszę – Konsul wzruszył ramionami. – Jeśli będzie pani chciała napić się wody, proszę powiedzieć wartownikowi.

Aleksander ruszył za Ravenstockiem. Zanim wszedł do sali, odwrócił się i spojrzał na stojącą przy krześle Tatianę. Zasalutował. Tatiana podniosła dłoń do czoła.

Przy długim stole siedziało sześciu mężczyzn.

John Ravenstock przedstawił Aleksandrowi gubernatora wojskowego Marka Bishopa („Już się poznaliśmy"), Phillipa Fabrizzia, amerykańskiego

ambasadora w Berlinie, oraz generałów amerykańskich sił zbrojnych stacjonujących w Berlinie – wojsk lądowych, sił powietrznych i marynarki.

– Co ma pan do powiedzenia w swojej sprawie, kapitanie Biełow? – zaczął Bishop.

– Słucham?

– Mówi pan po angielsku?

– Oczywiście.

– Z pańskiego powodu nad Berlinem zawisła groźba niebezpiecznego konfliktu międzynarodowego. Rosjanie zażądali od nas natychmiastowego wydania Aleksandra Biełowa odpowiednim władzom radzieckim w chwili, gdy tylko przekroczy drzwi naszej ambasady. Jednak pańska żona utrzymuje, że jest pan obywatelem amerykańskim. Ambasador Fabrizzio zapoznał się z pańskimi dokumentami. Sprawa obywatelstwa człowieka o nazwisku Aleksander Barrington jest rzeczywiście dość skomplikowana. Nie wiem, co pan zrobił lub czego nie zrobił, zanim Rosjanie wtrącili pana do Sachsenhausen. Jedna rzecz pozostaje jednak bezsporna: w ciągu ostatnich czterech dni zabił pan czterdziestu jeden żołnierzy i Rosjanie domagają się sprawiedliwości.

– Trudno mi zrozumieć, że dowództwo radzieckie w Berlinie, czy gdziekolwiek, interesuje się nagle losem czterdziestu jeden żołnierzy, gdy ja sam, w czasie pokoju, pochowałem w Sachsenhausen co najmniej dwa tysiące Rosjan.

– No cóż, Sachsenhausen jest obozem dla przestępców i kryminalistów.

– Nie. Jest obozem dla żołnierzy takich jak ja. I jak pan. Sporo tam poruczników, kapitanów, majorów, jest nawet jeden pułkownik. Nie licząc oczywiście siedmiuset Niemców, oficerów wysokiej rangi i cywilów, którzy zostali tam albo pochowani, albo spaleni w krematoriach.

– Zaprzecza pan, kapitanie, że zabił pan czterdziestu jeden radzieckich żołnierzy?

– Nie. Chcieli zabić mnie i moją żonę. Nie miałem wyboru.

– Uciekł pan z obozu?

– Tak.

– Komendant obozu specjalnego twierdzi, że uciekał pan kilkanaście razy.

– Tak. Nie odpowiadały mi tamtejsze warunki.

Generałowie wymienili spojrzenia.

– Został pan skazany za zdradę. Czy to prawda?

– Tak. Za to właśnie zostałem skazany.

– Zaprzecza pan tym oskarżeniom?

– Całym sercem.

– Rosjanie utrzymują, że zdezerterował pan z Armii Czerwonej, kiedy nadciągały posiłki. Przedarł się pan przez las, poddał Niemcom i walczył po ich stronie przeciwko własnym towarzyszom.

– W istocie, poddałem się. Przez dwa tygodnie nie mieliśmy żadnego wsparcia, skończyła się amunicja, moi ludzie zginęli, zostałem z garstką żołnierzy, mając przed sobą czterdzieści tysięcy Niemców. Nigdy nie walczyłem przeciwko swoim. Byłem w obozie w Katowicach, potem w Colditz. Nie wiem, czy panowie wiedzą, że żołnierze radzieccy nie mieli prawa się poddać, więc rzeczywiście jestem winny.

Generałowie milczeli.

– Ma pan szczęście, że udało się panu pozostać przy życiu, kapitanie – powiedział generał Pearson z marynarki. – Słyszeliśmy, że z sześciu milionów radzieckich jeńców wojennych pięć umarło w niemieckich obozach.

– Jestem pewny, że ta liczba nie jest zawyżona, generale. Może gdyby Stalin podpisał konwencję genewską, nadal by żyli. Amerykanie i Anglicy nie zginęli, prawda?

Generałowie milczeli.

– Jaki ma pan obecnie stopień?

– Nie mam stopnia. Odebrano mi go rok temu, gdy zostałem skazany za zdradę.

– Dlaczego więc Rosjanie tytułują pana majorem Biełowem? – spytał Bishop.

Aleksander uśmiechnął się lekko i wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Wcześniej przez trzy lata byłem kapitanem.

– Kapitanie, może zacznie pan od samego początku, od chwili przyjazdu do Związku Radzieckiego. Proszę opowiedzieć, co się z panem działo. To nam bardzo pomoże. Mamy zbyt wiele sprzecznych informacji w tej sprawie. Podobno został pan aresztowany i skazany w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku, podobno uciekł pan już wtedy. NKGB szuka Aleksandra Barringtona od dziesięciu lat. Jednocześnie Rosjanie utrzymują, że jest pan Aleksandrem Biełowem. Nie wiemy nawet, czy jest pan tym człowiekiem. Proszę nam powiedzieć, kim pan naprawdę jest.

– Z przyjemnością. Czy mogę usiąść?

– Proszę. Wartownik, proszę przynieść kapitanowi papierosy i wodę.

Aleksander siedział w sali już od sześciu godzin. Tatiana się obawiała, że mogli go wyprowadzić przez jakieś tajne przejście, ale za grubymi drzwiami słyszała szum głosów. Przez większość czasu słyszała głęboki głos swojego męża mówiącego po angielsku.

Chodziła tam i z powrotem po poczekalni, siedziała – na dywanie i na krześle – kucała, kołysała się. Przed oczami migały jej obrazki z jego i jej życia.

Uczyli się pływać i z każdą minutą było coraz gorzej, żaden następny dzień nie przynosił ulgi. Każdy dzień przynosił ze sobą rzeczy, o których nie mogli zapomnieć. Jane Barrington wraca pociągiem z Moskwy do Leningradu, obejmuje syna, wiedząc, że go zawiodła, płacze, marzy o kieliszku wódki. Harold w swojej celi płacze nad Aleksandrem, Jurij Stiepanow w błocie Finlandii wzywa Aleksandra, Dasza w ciężarówce na jeziorze z płaczem woła Aleksandra, Tatiana klęczy na bagnach w Finlandii, z płaczem wzywa Aleksandra, a Anthony, sam ze swoimi koszmarami, płacze za ojcem.

On stoi z czapką w dłoni, przechodzi na drugą stronę ulicy, by wstąpić w fale swojego morza, odnaleźć białą sukienkę w czerwone róże, czeka codziennie przed fabryką Kirowa, uśmiecha się, stojąc nad brzegiem morza. Stoi pod krzewem bzu na Polu Marsowym, ona obok niego, bosa,

wymachuje trzymanymi w ręce czerwonymi sandałkami. Stoją razem na schodach cerkwi, tańczą pod księżycem w noc poślubną. Aleksander wychodzi z Kamy, ona odgarnia mu z czoła mokre włosy; on wychodzi z chatki w Łazariewie z siekierą i papierosem, podchodzi do niej, załamany, stoi przy niej w chacie, bosy, uśmiechnięty, tonący Aleksander.

I Aleksander raz jeszcze, nad brzegiem Wisły, patrzy na to, co pozostało z jego wojny. Jedna ścieżka prowadzi prosto do śmierci, druga do życia, nie wie, którą ruszyć, lecz w jego oczach odbija się nieśmiertelne morze, a za nim rozciąga się most prowadzący do wolności.

Kiedy skończył, generałowie siedzieli w milczeniu. Milczał gubernator i konsul.

– No cóż, kapitanie Biełow – powiedział w końcu Bishop – widać, że wiele pan przeszedł. Ile pan ma lat?

– Dwadzieścia siedem.

Bishop gwizdnął przeciągle.

– Chce nam pan powiedzieć – zaczął generał Pearson z marynarki Stanów Zjednoczonych – że pańska żona, nie wiedząc, gdzie pan jest, przyjechała do Niemiec z plecakiem pełnym broni, znalazła obóz, w którym pana przetrzymywano, odnalazła pana w celi i pomogła panu uciec z Obozu Specjalnego Numer 7?

– Tak, panie generale i zanim udacie się na naradę, chciałbym jeszcze coś powiedzieć o mojej żonie. Ona… ona jest… ona łatwo nie rezygnuje. Zupełnie straciła głowę. Nie miała pojęcia, jakie wywoła zamieszanie, przyjeżdżając tutaj. Teraz postanowiła, że wróci ze mną do Związku Radzieckiego. Błagam was, oszczędźcie moją żonę. Ja mam wiele na sumieniu, ale ona niczym nie zasłużyła sobie na życie w tym kraju. Jest teraz obywatelką amerykańską, a nasz syn czeka w domu na matkę. Ona musi do niego wrócić. Wasza decyzja w mojej sprawie nie ma żadnego znaczenia. Wydajcie mnie Rosjanom, jeśli dzięki temu unikniecie skandalu dyplomatycznego.

John Ravenstock milczał. Milczeli też generałowie.

– Jakie nazwisko nosiłby pan, kapitanie, gdyby przywrócono panu obywatelstwo amerykańskie?

– Anthony Aleksander Barrington – powiedział.

Patrzyli na niego bez słowa. Aleksander wstał i zasalutował.

Drzwi otworzyły się i z sali wyszło siedmiu mężczyzn. Ostatni był Aleksander. Zobaczył, jak Tatiana z trudem podnosi się z krzesła. Musiała się przytrzymać oparcia. Była taka drobna, bał się, że załamie się zupełnie w obecności obcych ludzi. Tak bardzo chciał jej powiedzieć coś, co ją uspokoi. Skinął więc lekko głową, uśmiechnął się i powiedział:

– Wracamy do domu.

Tatiana wciągnęła ze świstem powietrze i zakryła usta dłonią.

A ponieważ była sobą, podbiegła do niego i rzuciła mu się w ramiona, nie zwracając zupełnie uwagi na generałów. Objęła go z całych sił i ukryła twarz na ramieniu.

Aleksander pochylił się i mocno ją przytulił.

Epilog

Jeszcze tego samego dnia Tatiana i Aleksander polecieli do Hamburga. Spędzili tam w ambasadzie dwa tygodnie, czekając na paszport dla Aleksandra. Tatiana ufarbowała włosy na blond. W Hamburgu świętowali dwudzieste drugie urodziny Tatiany i czwartą rocznicę ślubu, a kilka dni później statkiem „White Star" popłynęli do Nowego Jorku. Tatiana wysłała telegram do Vikki: „WRACAMY DO DOMU". Dwunastodniową podróż spędzili niemal wyłącznie w kabinie, wychodząc z niej tylko na posiłki.

Kiedy wpłynęli do portu i zobaczyli przed sobą panoramę miasta, Aleksandra oślepiło palące słońce. W Battery Park zgromadziły się tysiące ludzi, by powitać wracających do kraju żołnierzy. Wśród nich znaleźli się Vikki i Anthony, ubrani w barwy narodowe i wymachujący flagami. Aleksander i Tatiana zeszli po trapie i od razu zauważyli Vikki biegnącą do nich z Anthonym w ramionach. Anthony wyrwał się i natychmiast podbiegł do matki. Przez pięć minut nie dał się od niej oderwać, wtulony mocno w jej ramiona, z buzią ukrytą w szyi Tatiany. Aleksander czekał tuż obok. Tatiana oswobodziła się z uścisku synka i podała go Aleksandrowi, a sama podeszła, by uściskać Vikki.

Aleksander wziął syna na ręce i mocno przytulił. Obaj byli bardzo poważni.

– Anthony, kochanie, wiesz, kto to jest?

– Tak – odparł malec. – To tata.

Aleksander nie odezwał się ani słowem. Anthony patrzył na niego przez długą chwilę, a potem drobną rączką objął mocno za szyję. Po chwili przekrzywił głowę i spojrzał na pas Aleksandra. Potem pochylił się i zajrzał na plecy.

– Gdzie masz broń? – spytał w końcu.

– Nie mam.

– W ogóle?

– Nie, nie mam przy sobie.

– Ale gdzieś masz?

Aleksander próbował powstrzymać uśmiech.

– Może mam.

– Mogę zobaczyć?

– Nie – powiedziała Tatiana.

– Mama mówi, że nie – powtórzył Aleksander poważnym tonem.

– A więc to jest Aleksander? – spytała Vikki, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Tak, to jest Aleksander.

Vikki uścisnęła mu dłoń, kiwnęła głową i wybuchnęła śmiechem.

– Teraz już wszystko rozumiem.

Ojciec zaniósł syna do domu. Anthony cały czas obejmował go mocno za szyję. W pewnej chwili szepnął mu do ucha:

– Pokażesz mi później?

– Mama nie będzie zadowolona.

– Nie powiemy jej.

– Uwierz mi, na pewno się dowie.

Vikki zaproponowała, by wyszli z domu świętować powrót Aleksandra.

– Dziadkowie marzą o tym, by cię poznać.

Tatiana się nie zgodziła. Zostaną w domu, zrobi coś na kolację, a Isabellę i Travisa odwiedzą za parę dni.

– Kolacja w domu? Och nie. Aleksander na pewno nie ma ochoty na bekon.

– Ależ tak – odparł. – Coś amerykańskiego. Może hamburgera z bekonem?

– Dobrze. To się nazywa baconburger – wyjaśniła Tatiana.

– Ach, teraz ty uczysz mnie angielskiego.

Tatiana przygotowała baconburgery i pieczone ziemniaki („Z bekonem!”, zauważyła Vikki), zrobiła Aleksandrowi drinka, dała mu papierosa, potem herbatę i jeszcze jednego drinka. Wreszcie chwycił ją za jedną rękę, potem za drugą i pociągnął na kolana.

– Usiądź tutaj – poprosił. – Jestem taki szczęśliwy.

Vikki powiedziała Tatianie, że Edward bardzo pomagał jej opiekować się Anthonym, wpadał „przynajmniej” cztery razy w tygodniu. Jedli razem kolację, bawili się i spędzali wszystkie weekendy.

– Kim jest Edward? – spytał Aleksander, kładąc rękę na biodrze Tatiany.

– To lekarz, z którym pracujemy na Ellis i w szpitalu uniwersyteckim – odpowiedziała bez mrugnięcia okiem Vikki. – Nasz dobry przyjaciel. Może wpadniesz jutro do szpitala, Taniu, żeby się przywitać? Bardzo się ucieszy.

Tatiana spojrzała na Aleksandra, który wzruszył tylko ramionami.

– Co tylko zechcesz.

Razem położyli Anthony’ego do łóżka, który przez cały czas przytulony do matki nie przestawiał mówić do ojca.

Oboje spędzili niemal bezsenną noc, Tatiana z twarzą przykrytą poduszką, która tłumiła jęk rozkoszy. O świcie Aleksander pozwolił jej zasnąć, a o ósmej drzwi do ich pokoju otworzył Anthony. Aleksander zabrał go do kuchni.

– Mamusia jeszcze śpi – powiedział. – Jesteś głodny?

– Potrafisz zrobić śniadanie?

– Spróbuję. Na co miałbyś ochotę?

– A co potrafisz zrobić?

– Nic.

– To poproszę odrobinę tego. Z mlekiem – odparł Anthony i wybuchnął dźwięcznym śmiechem.

Tatiana wyszła z sypialni o jedenastej. Znalazła obu swoich mężczyzn na kanapie. Anthony przeglądał książeczkę z bajkami na dobranoc i udawał, że czyta śpiącemu smacznie Aleksandrowi.

Kiedy się obudził i zjedli lunch, poszli we trójkę do szpitala.

Tatiana zastanawiała się, co powiedzieć Aleksandrowi o Edwardzie. Może uda się ograniczyć ilość zbędnych wyjaśnień do minimum. Musiała jednak załatwić sprawy z Edwardem. Zasługiwał na to. Przesłała mu wiadomość na pager i czekali na niego w stołówce, gdzie jadali razem lunch. Kiedy Edward stanął w drzwiach, Anthony zerwał się z kolan Aleksandra i pobiegł w jego stronę.

– Edwardzie, Edwardzie, szybko! – krzyczał. – Musisz poznać mojego tatę.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Anthony ciągnął ojca za koszulę, domagając się, by wziął go na ręce.

Edward nieśmiałym ruchem objął Tatianę. Zapytał, czy wszyscy mają się dobrze, czy mieli dobrą podróż i czy Tatiana wróci do pracy.

– Nie jestem pewna – odparła.

Edward pokiwał głową. Rozmawiali jeszcze przez kilka minut, lecz Aleksander odzywał się coraz mniej, Tatiana również. W końcu zamilkł też Edward.

Kiedy wyszli ze szpitala i wsiedli do autobusu jadącego do Central Parku, Aleksander nie odzywał się ani słowem. Tatiana szturchnęła go lekko, lecz on nadal wyglądał przez okno.

– Edward bardzo lubi Anthony'ego i jego sympatia zdaje się wykraczać poza zwykłą uprzejmość – powiedział w końcu.

– Tak. No wiesz… pomógł mu przyjść na świat.

– Ach tak. Lubi nie tylko Anthony'ego, Taniu.

Wzięła go za rękę.

– Bardzo mi pomagał, kiedy byłam tu sama. Bardzo. On, Vikki, Isabella.

Aleksander nie cofnął dłoni.

– Czy zostałby twoim miejscowym lennikiem? – spytał cicho.

Nie odpowiedziała.

W Central Parku wynajęli łódkę. Tatiana wiosłowała. Aleksander leżał wyciągnięty, a Anthony siedział mu na piersi.

Na środku jeziora odłożyła wiosła. Aleksander przysunął się i usiadł między nogami Tatiany, a Anthony przechylił się przez burtę łodzi i moczył

ręce w wodzie. Tatiana pochyliła się i przytuliła mocno głowę Aleksandra.

– Dawno, dawno temu – szepnął – żyła piękna dziewczyna, która uciekła do krainy bzów…

– Czekała niecierpliwie na swojego księcia tak długo, że w końcu pojechała go szukać… – dokończyła Tatiana.

– I nigdy go nie zdradziła, nie wyszła za mąż za lennika z krainy bzów…

– Ale czekała na księcia tak długo, że mogła to z czystym sumieniem zrobić.

Uszczypnął ją.

– Nie mam pojęcia, dlaczego narzekasz. Miałaś czekać przez czterdzieści lat.

Następnego ranka pojechali pociągiem do Waszyngtonu.

– Jest tam ktoś, kto był dla nas bardzo dobry. Musimy mu podziękować, Szura – powiedziała, pakując wielką torbę pierożków.

Dzień później pojechali do Esther. Zostali w Barrington cały tydzień, bo ani Esther, ani Rosa, która opiekowała się kiedyś małym Aleksandrem, nie chciały ich wypuścić.

Aleksander ze smutkiem przyjął wiadomość o śmierci Teddy'ego i Belindy. Zmartwił się też, że jego dawny dom został sprzedany, a na miejscu lasu powstało osiedle. Jednak wszyscy żyjący przyjaciele Esther pamiętali doskonale Aleksandra, każdy z nich miał do opowiedzenia jakąś historię, wszyscy obejmowali go i dotykali, jakby nadal był ich dziewięcioletnim chłopcem.

– Wszystko w porządku, Tatiasza, naprawdę – powiedział, gdy szli Main Street. Aleksander niósł Anthony'ego na barana. – Można by pomyśleć, że nigdy stąd nie wyjechałem, tyle rzeczy pozostało niezmienionych. Domy nadal są drewniane i białe, nazwy starych restauracji przetrwały. To prawda, powstało dużo nowych sklepów, ludzie jeżdżą nowymi samochodami i rowerami, ale nadal koszą trawniki, a na ulicach nie ma śmieci. Kościół lśni w oddali, okna są całe, nikt nie wyrwał drzwi z zawiasów. To Ameryka. I wszystko pozostało bez zmian. Pomyśl, co byś zobaczyła po powrocie do Leningradu.

– Może rada miejska oczyści i odmaluje miasto. – Ujęła go pod ramię. – Za pieniądze z odszkodowań.

Spojrzeli na siebie.

– Barrington jest jak nowe – odparł, pochylając się, by ją pocałować. – Miasto jest bardziej czyste, nowsze, silniejsze. Teraz żyje tu więcej ludzi, jest więcej kościołów, więcej ruchu.

– Zapomniałeś wspomnieć – uśmiechnęła się – że nazwano je na twoją cześć.

W drodze powrotnej do domu Aleksander trzymał na kolanach śpiącego Anthony'ego.

– Taniu, musimy się zastanowić, co zrobimy z resztą życia – powiedział.

– O co ci chodzi? Nie chcesz mieszkać w Nowym Jorku ze mną i Vikki? – Uśmiechnęła się. – Co tylko zechcesz, żołnierzu. Zrobię, co tylko zechcesz.

Pod koniec upalnego sierpnia kupili przyczepę kempingową, spakowali rzeczy Tatiany, zabrali Anthony'ego, pożegnali się z Vikki, Edwardem i Isabellą i wyruszyli w podróż po Ameryce. Aleksander podejmował się najróżniejszych prac. Zbierali jabłka, pracowali na polach tytoniowych („Są ci szczególnie bliskie, prawda, Szura?"). Pomagali budować szopy i silosy, jeździli traktorami, a w Kalifornii zatrzymali się w Napa Valley. Zbierali winogrona tak długo, aż zaczęli się zastanawiać, czy nie powinni zostać tu na zawsze.

Podróżowali przez trzy lata. Odwiedzili wszystkie stany, w każdym zatrzymali się na dłużej. Nocą, kiedy pozwalała na to pogoda, kładli Anthony'ego spać w przyczepie, a sami rozpalali ognisko i budowali namiot. Kochali się w nim i spali.

Każdy dzień, każdą noc spędzali blisko siebie; spali razem w namiocie, zmieniali się za kierownicą, śpiewali puszczane w radiu piosenki, opowiadali dowcipy, kłócili się o wybór trasy, opowiadali sobie o wojnie, o wyspie Ellis, o Daszy i Paszy, o Jane i Haroldzie.

Ameryka uzdrowiła Aleksandra i Tatianę. Kalifornia uleczyła pozostawione przez wojnę rany. San Francisco, Chicago i Nowy Orlean zaleczyły rany pozostawione przez jego więzienie i jej samotność.

Montana, Idaho i Góry Skaliste zabliźniły rany pozostawione przez jego zdrady i jej rozpacz po utracie rodziny. Barrington pomogło uleczyć ból po utracie Jane i Harolda. Gdzieś daleko od Ellis, daleko od Mount Washington, daleko za White Mountains, za wzgórzami Vermontu i Flint Hills w Kansas, gdzieś w Blue Ridge Mountains, może w Appalachach, a może w głębokim na kilometr Wielkim Kanionie znów stali się całością i mogli stawić czoło światu.

Lato, kiedy Anthony skończył sześć lat, spędzali na Key West. Leżeli w hamaku na plaży, oglądali błękitne niebo, palmy, porośnięte mchem dęby i wymyślali bardzo sprośne historie.

– Angielski bardzo się zmienił od czasu, gdy cię uczyłem – powiedział Aleksander.

– Ty to nazywasz nauką angielskiego? – oburzyła się Tatiana. – Gdybym korzystała choćby z jednej czwartej słów, jakich mnie nauczyłeś, wyrzuciliby mnie z porządnego towarzystwa.

– Zgoda, ale zatrzymałabyś przy sobie męża. Nie warto? – Uśmiechnął się.

Odpowiedziała mu szerokim uśmiechem i połaskotała go.

– No dobra, mam coś. Ja zaczynam. Dawno, dawno temu żyła sobie dziewczyna brzydka jak noc. Kupiła sobie zadek jak stodoła…

Aleksander wybuchnął śmiechem.

– O nie, chyba dostanę zawału.

– Dlaczego?

– Ona nie mogła sobie kupić zadka. Ona go miała.

– Och.

Następnej nocy, kiedy leżeli w hamaku, Aleksander powiedział:

– Taniu, za dwa miesiące Anthony zaczyna szkołę.

– Tak.

– Musimy się zastanowić, gdzie ją zacznie.

– Tak.

– Widzieliśmy już wszystko, sporo przeżyliśmy. Jest mi obojętne, gdzie osiądziemy na stałe.

– Żeby tylko nie było śniegu.

– Zgoda. Ja też nie przepadam za śniegiem.

Na chwilę zamilkli.

– Co powiesz na jakieś ciepłe miejsce? Ale musimy mieć stałą bazę. Anthony powinien mieć dom.

– Tak.

Ujął jej dłoń i pocałował.

– Tatiasza – szepnął – chciałabyś zamieszkać w Arizonie, krainie wiecznej wiosny?

– Tak, najdroższy, tak.

Nie zamierzali wynajmować domu, bo marzyli o tym, by osiąść na własnej ziemi. Nie mieli jednak dość pieniędzy, by wybudować wymarzony dom. Kupili więc za gotówkę wielką przyczepę. Ustawili ją w pobliżu drogi na dziewięćdziesięciu siedmiu akrach pustyni Sonora, a Anthony rozpoczął naukę w pierwszej klasie w Mesie.

Tatiana znalazła pracę jako pielęgniarka w izbie przyjęć szpitala Phoenix Memorial.

– Pracując w izbie przyjęć, czuję się tak, jakbym nadal była na wojnie – powiedziała.

Aleksander zatrudnił się jako brygadzista w firmie budowlanej.

– Będę budował domy, zamiast je burzyć.

Mieszkając w przyczepie i żyjąc bardzo oszczędnie, odkładali pieniądze, a Aleksander uczył się wstawiać okna i pokrywać dachy, malować, zakładać instalację elektryczną i rury, robić szafki kuchenne i układać kafelki.

– Teraz mogę już sam zbudować dom dla ciebie i wszystkich naszych przyszłych dzieci.

– Aleksandrze, czy mam ci przypomnieć, że jedyną rzeczą, jaką do tej pory zbudowałeś, był wielki stół i koślawe ławki?

Uśmiechnęli się do siebie i do wspomnień.

– Dzieci, Taniu.

– No to chodźmy, już teraz nad tym popracujemy.

Minęło jednak siedem lat, zanim Tatiana zaszła po raz drugi w ciążę, a stało się to piętnaście lat po ich pierwszym spotkaniu.

Wcześniej Aleksander zdążył założyć własną firmę budowlaną i postawił dla nich obszerny, otynkowany na żółto dom, którego czerwony dach lśnił w słońcu pustyni Sonora. Na horyzoncie dumnie wznosiły się w niebo szczyty gór Maricopa.

W ogródku warzywnym Aleksander ogląda zrobione własnoręcznie przed tygodniem podpórki do ogórków. Czeka na Tatianę, która poszła do domu po mrożoną herbatę. Kiedy wreszcie się zjawia, nalewa herbatę do wysokiej szklanki i trzyma ją w ręce. Aleksander pije przez słomkę, nie spuszczając oczu z żony.

– Kiedyś przynosiłaś mi papierosy – mówi. – A teraz tylko herbatę.

– Mrożona herbata jest o niebo lepsza.

Aleksander patrzy na nią tak, jakby chciał powiedzieć: „Oszalałaś?", ale mówi tylko:

– Nie.

– Będziesz za to zdrowszy – czułym gestem Tatiana odgarnia mu z czoła czarne włosy.

– Papierosy to trucizna, ale działa bardzo wolno. – Aleksander bierze do ręki motykę i zaczyna okopywać młode rośliny. Kiedy są razem, nadal mówią po rosyjsku.

– Kto dzwonił?

– Znów ten stary McAllister.

Aleksander wybucha śmiechem.

– Ile tym razem?

– Daje nam pięć tysięcy za akr i chce kupić dziewięćdziesiąt. Nieźle, prawda?

– Za mało.

– Twierdzi, że dobra koniunktura w Phoenix nie będzie trwała wiecznie. Rynek niebawem się nasyci. Powinniśmy sprzedać ziemię teraz, kiedy jest jeszcze zapotrzebowanie. Mówi, że jesteśmy zbyt chciwi. Zostanie nam

przecież jeszcze siedem akrów. To podobno sześć i trzy czwarte akra więcej, niż mają właściciele domów w okolicy Phoenix.

– Następnym razem ja z nim porozmawiam. Ustawię go, jak należy. Nie sprzedam, dopóki nie da nam miliona za akr.

Oboje wybuchają śmiechem. Zabierają się do sadzenia pomidorów. Aleksander przebiera sadzonki, wybierając najlepsze. Ogórki rosną znakomicie, myśli Tatiana. Aleksander zbudował dla nich podpórki i niedługo powinny zacząć się zawiązywać.

– Szura, zastanawiałeś się nad imieniem?

– Skończyły mi się pomysły. Jeśli znowu urodzisz chłopca, będę w kropce.

Mają już trzech synów: Anthony'ego, studenta Akademii Marynarki Handlowej w King's Point, Harry'ego i Charlesa Gordona, którego nazywają Gordon Pasza lub po prostu Pasza, co po turecku oznacza króla.

– Nie mogę być jedyną kobieta w domu, po prostu nie mogę. Za dużo tu tych Barringtonów.

– Za karę urodzisz bliźniaki.

– Muszę mieć choć jedną dziewczynkę. Chciałabym dać jej na imię Janie.

– Hmmm. Mała Janie. Byłoby miło.

– Mówiłam ci, że Vikki wróciła z Australii? Chce do nas przyjechać i zostać do czasu narodzin dziecka. Nie masz nic przeciwko temu?

– Nie. Powiedz jej, że Steve znów jest wolny. Marzy o tym, żeby zabrać ją do kina.

– Vikki nie chce nigdzie wychodzić. Mówi, że dostarczasz jej więcej rozrywki niż wszystkie filmy razem wzięte.

– Miło z jej strony. Zaproś ją na *vaudeville* po kolacji.

Tatiana podnosi wzrok. Aleksander patrzy na nią z uśmiechem. Ma na sobie tylko kremowe bawełniane szorty. Jest mocno umięśniony i opalony. Na całym ciele widać jednak nadal blizny po ranach odniesionych na wojnie. Tatiana uśmiecha się i bierze do ręki sekator.

– Szura, słyszałeś, co się stało w Mesie? Więzienna furgonetka zderzyła się z gruszką do przewożenia betonu. – Zawiesza głos. – Policja szuka teraz osiemnastu groźnych kryminalistów.

Aleksander śmieje się z tego nieoczekiwanego żartu. Tatiana ma na sobie biały podkoszulek bez rękawów i białe szorty. Ramiona i ręce opalone na ciemny brąz, jasne włosy przytrzymuje z tyłu kolorowa klamra. Nuci pod nosem coś znajomego i miłego: *„...księżyc jasno świeci, gwiazdy migają na niebie, lecz dwie utonęły w twoich oczach...”*

– Co będzie na lunch? – pyta Aleksander.

– Na lunch? – Tatiana nie podnosi wzroku znad sadzonek ogórków, które delikatnie przycina. – Dopiero co wstaliśmy i zjedliśmy śniadanie.

– Umieram z głodu.

– Zawsze umierasz z głodu. Co powiesz na kanapki z tuńczykiem?

– Świetnie. Zrobisz za parę minut? – Podnosi motykę. – I chyba nie jest za wcześnie, by zacząć myśleć o kolacji.

Patrzy na jej wstrząsane śmiechem ramiona.

– Na kolację... – mówi, przerywając śpiewaną piosenkę – możesz wybierać. Niespodzianka z lodówki albo kanapki z bekonem.

– Mmmm. – Aleksander odkłada motykę i staje tuż za nią. Patrzy na jej plecy i przypomina sobie, nie, widzi ją w Łazariewie, pochyloną nad piecem, klęczącą na polanie, skuloną nad niemal pustym workiem cukru w mieszkaniu przy Piątej Radzieckiej podczas ciężkiej zimy tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku; widzi, jak wyjmuje z jego plecaka mapy Skandynawii i pyta: „Co tutaj chowasz, wielkoludzie?” Widzi jej piegi i jasne włosy, słyszy jej melodyjny głos i nie może już tego wytrzymać. Jak zawsze na jej widok brakuje mu tchu i czuje ból w sercu.

– Popatrz – mówi.

Tatiana podnosi wzrok. Aleksander stoi nad nią i patrzy tym swoim spojrzeniem. W ręce trzyma strączek zielonego groszku. Drugą wyciąga do niej.

– Odłóż broń i wstań.

Tatiana z uśmiechem odkłada sekator i z jego pomocą podnosi się z ziemi. Jest w mocno zaawansowanej ciąży. Aleksander otwiera strączek, lecz ona pochyla się i bierze do ust cały, razem z wskazującym palcem Aleksandra. Patrzy na nią, jedną ręką gładząc ją po zaokrąglonym brzuchu.

– Co się stało? – pyta Tatiana, obejmując go ramionami, przyciskając twarz do jego nagiej piersi. Słyszy mocne bicie serca. Przesuwa palcami po bliźnie. Całuje go w pierś.

– Taniu, wiesz, co to takiego rosyjskie trio smyczkowe?

Z uśmiechem patrzy mu prosto w twarz.

– Nie.

– Rosyjski kwartet smyczkowy wracający z Zachodu.

Tatiana nie spuszcza z niego wzroku.

– A co otrzymasz, krzyżując białego misia z czarnym?

– Nie zaczynaj znowu z tymi misiami.

Aleksander mocno ją obejmuje.

– Co, najdroższy?

Jego oczy maja barwę syropu czekoladowego.

Znów całuje go w pierś.

On nie wypuszcza jej z objęć.

– Jestem przy tobie – szepcze Tatiana. – Na zawsze. Poczuj mnie, żołnierzu.

Przytula ją jeszcze mocniej i pochyla się, by ją pocałować.

– Czuję, Tatiasza, czuję.

Oboje spłonęli i odrodzili się z popiołów rozpaczy jeszcze szczęśliwsi, jeszcze bardziej namiętni. Oni, którzy ochrzcili się kiedyś w wodach Kamy, przeszli przez dolinę smutku, z ruin rozpaczy wydobyli miłość, którą tam schowali i po długiej podróży nareszcie odnaleźli drogę do domu.

Czuli się tak, jakby wędrowali przez pięćset lat, cierpieli i opłakiwali bliskich, lecz również kochali, bez chwili zwątpienia. Ich miłość była testamentem i dowodem na istnienie Boga.

Aleksander całuje Tatianę i raz jeszcze wraca do Ługi, leży z nią na ziemi i całuje po raz pierwszy w życiu. Tatiana odpowiada mu

pocałunkiem i raz jeszcze wraca do Łazariewa, stoi mu na stopach i ze śmiechem zakłada jego oficerską czapkę.

Wiele minęło, wiele trwa – i chociaż już nie jesteśmy mocą tą, co niegdyś ziemią i niebem trzęsła, czym jesteśmy… związkiem mężnych serc… silnych pragnieniem, by się z losem zmagać, szukać, znajdować, wędrować do końca[13].

Barrington, Leningrad, Ługa, Ładoga, Łazariewo, wyspa Ellis, Święty Krzyż, Sachsenhausen, pustynia Sonora, ich utracone rodziny, rodzice, których musieli pożegnać, wszystko to pozostawiło blizny w ich duszach i cień smutku na twarzach. Jak księżyc na jasnym niebie, jak Jowisz nad Maui, jak gwiazdozbiór Perseusza ze swoimi niebieskimi uśmiechniętymi gwiazdami, wszystko to trwa w nich, gdy gwiezdne wiatry szepczą nad Uralem i Kamą, nad oceanami i ziemią, a ich szept niesie się echem po oświetlonym blaskiem księżyca niebie…

Tatiana…

Aleksander…

A Jeździec Miedziany nareszcie zatrzymał się w biegu.

---

13 Alfred Tennyson *Ulisses*, przeł. Zygmunt Kubiak.